



Bez

Ciebie

*Trochę inne love story*

**Kate Eberlen**

Kate Eberlen

**Bez Ciebie**

Tłumaczenie:  
Aga Zano

*Pamięci mojej wspaniałej Babci,  
Dzięki której codzienność stawała się cudem*

# CZĘŚĆ PIERWSZA

## Sierpień 1997

### TESS

Mama przywiozła kiedyś z wakacji na Teneryfie pamiątkowy talerz. Zdobilo go ręcznie malowane motto: *Dziś jest pierwszy dzień reszty twojego życia.*

Mimo że talerz stał zawsze na półce w kuchni, nigdy nie zwracałam na niego uwagi. Po prostu był częścią domu, tak jak nagroda taty z konkursu piosenki czy szklana kula wypełniona śniegiem padającym na miniaturowy Nowy Jork, którą Kevin przysłał kiedyś na święta. Ale teraz, ostatniego dnia wakacji, nie mogłam przestać o nim myśleć.

Kiedy się obudziłam, namiot wypełniało pomarańczowe światło, jak wewnątrz dyni na Halloween. Ostrożnie rozsunęłam zamek, starając się nie obudzić Doll, i wystawiłam twarz na oślepiające słońce. W powietrzu wciąż jeszcze panował poranny chłód, w oddali rozlegało się brzęczenie dzwonek. Zapisałam w notatniku dostrzeżone gdzieś wcześniej słowo „piangere” i oznaczyłam gwiazdką, żeby sprawdzić w słowniku po powrocie do domu.

Z kempingu rozciągał się widok na Florencję: rdzawe kopuły z terakoty i białe marmurowe wieże migotały na tle idealnie błękitnego nieba. Wszystko było na swoim miejscu – tak doskonałe, że ogarnęło mnie dziwne uczucie smutku, jakbym już za tym tęskniła.

Wiedziałam, że wielu rzeczy wcale nie będzie mi brakować, na przykład spania na ziemi (po kilku godzinach miałam wrażenie, że każdy kamyczek na stałe wgniótł mi się w plecy), ubierania się w namiocie wysokim na niecały metr czy pokonywania drogi przez całe pole namiotowe do pryszniców tylko po to, żeby na koniec zorientować się, że zapomniałam zabrać papier toaletowy. Zabawne, jak pod koniec wakacji jedna część ciebie marzy, żeby to nigdy się nie skończyło, a druga nie może się doczekać powrotu do domowej wygody.

Przez cały miesiąc podróżowałyśmy przez Europę pociągami z karnetem Interrail – na południe przez Francję, a potem przez Włochy. Spałyśmy na dworcach, piłyśmy piwo z holenderskimi studentami na kempingach, pociłyśmy się w dusznych, nagrzanym pociągach, sunących powoli w palącym słońcu. Doll najbardziej interesowały plaże i Bellini; ja wolałam mapy i muzea. Mimo to dogadywałyśmy się równie dobrze jak pierwszego dnia szkoły, kiedy miałyśmy cztery lata. Maria Dolores O'Neill – to ja zaczęłam nazywać ją Doll – podeszła do mnie i zapytała:

– Chcesz być moją przyjaciółką?

Byłyśmy bardzo różne, ale jednocześnie dopełniałyśmy się nawzajem. Zawsze, gdy to mówiłam, Doll odpowiadała: No tak, ja mam ładne włosy, a ty śliczną cerę. Albo: Twoja sukienka dobrze się komponuje z moją. Kiedy zwracałam jej uwagę, że nie o takie dopełnianie mi chodzi, śmiała się i mówiła, że przecież wie. Nigdy nie byłam pewna, czy aby na pewno. Ale przecież przyjaźń powinna mieć własny, specjalny język, prawda?

Moje wspomnienia innych miejsc, które odwiedziłyśmy podczas tych wakacji, są jak pocztówki: podświetlona scena amfiteatru w Weronie na tle czarnego jak atrament nieba; lazurowa zatoka Neapolu; zaskakująco żywe barwy sklepienia Kaplicy Sykstyńskiej. Ale to właśnie ten ostatni, beztroski dzień we Florencji, ostatni dzień, zanim moje życie nieodwracalnie się zmieniło, jestem w stanie odtworzyć godzina po godzinie, niemal krok po kroku.

Doll zawsze spędzała na porannej toalecie dużo więcej czasu niż ja – już wtedy nie ruszała się nigdzie bez pełnego makijażu. Ja lubiłam mieć trochę czasu dla siebie. Cieszyło mnie to zwłaszcza tego ostatniego dnia, bo wtedy miałam dowiedzieć się o wyniku matury. Chciałam trochę się uspokoić, zanim usłyszę wiadomość, która zadecyduje o moich studiach.

Poprzedniego wieczoru w drodze na kemping zauważyłam podświetloną fasadę kościoła, wyłaniającą się spośród drzew na wzgórzu. Była piękna i wydawała się niemal nie na miejscu, jak drogocenne puzderko na biżuterię, które ktoś zostawił w lesie.

W świetle dziennym bazylika okazała się dużo większa, niż mi się wcześniej wydawało. Podczas wspinaczki po kondygnacjach barokowych schodów pomyślałam, że to idealne miejsce na ślub. Ta myśl była dziwna i dość zaskakująca – nigdy do tej pory nie miałam na poważnie chłopaka, a co dopiero marzeń o białej sukni z welonem.

Widok z tarasu na szczycie robił tak wielkie wrażenie, że łzy napłynęły mi do oczu, zupełnie bez sensu, i obiecałam sobie uroczyscie – z całą powagą swoich osiemnastu lat – że pewnego dnia tu wrócę.

Poza mną nikogo nie było w pobliżu, ale ciężkie kościelne drzwi nie były zamknięte i otworzyłam je bez trudu. W środku panował półmrok – przez chwilę miałam wrażenie, że jest zupełnie ciemno, bo oczy wciąż miałam przyzwyczajone do oślepiającego porannego słońca. Na zewnątrz był upał, ale tutaj panował przyjemny chłód, a w powietrzu unosił się znajomy kościelny zapach kurzu zmieszanego z kadzidłem. Byłam sama w domu Bożym i z pełną świadomością rejestrowałam każde niestosowne plaśnięcie sandałów, kiedy szłam po schodach prowadzących do prezbiterium. Stałam przed wielką, obojętną twarzą Jezusa i zaczęłam się modlić, żeby moje wyniki okazały się dobre. Wtem apsydę wypełniło światło.

Zaskoczona, odwróciłam się. Ujrzałam chudego chłopaka mniej więcej

w moim wieku. Stał obok automatu zawieszzonego na ścianie, do którego należało wrzucić monetę, żeby zapalić światło. Wilgotne brązowe włosy miał zaczesane do tyłu, był ubrany jeszcze bardziej nieodpowiednio niż ja. Miał na sobie szorty do biegania, koszulkę i adidas. Przez moment mogliśmy uśmiechnąć się do siebie albo nawet coś powiedzieć, ale ta chwila minęła i zmieszani odwróciliśmy wzrok ku ogromnemu sklepieniu pokrytemu złotą mozaiką. Światło znów zgasło z głośnym kliknięciem, równie stanowczo i niespodziewanie, jak się pojawiło.

Zerknęłam na zegarek – moje oczy znów musiały przywyknąć do mroku – udając, że chciałabym poświęcić jeszcze trochę czasu na kontemplację mozaikowego wizerunku, może nawet dorzucić parę groszy na oświetlenie, ale muszę już lecieć. Gdy już chwytałam za klamkę, znów usłyszałam kliknięcie. Spojrzałam na poważną, rozświetloną twarz Chrystusa i poczułam, jakbym Go zawiodła.

Kiedy dotarłam z powrotem na kemping, Doll była już umalowana i uczesana.

- I jak tam kościół?
- Chyba bizantyński.
- To dobrze?
- Jest piękny.

Po cappuccino i briozkach z kremem (niesamowite, we Włoszech nawet w barze na kempingu jedzenie jest pyszne) spakowałyśmy się i postanowiłyśmy ruszyć prosto na pocztę, żeby zadzwonić do domu i dowiedzieć się, jak mi poszło. W przeciwnym razie wisiałoby to nad nami cały dzień.

Nawet złe wieści były lepsze od niepewności. Nie potrafiłam znieść trwania w zawieszeniu, nie wiedząc, co mnie czeka. Poszłyśmy więc do *centro storico*. Całą drogę trajkotałam o wszystkim, tylko nie o tej jednej rzeczy, która zaprzętała mi głowę.

Kotłowało się we mnie tyle przerażonych myśli, że wybierając numer do domu, myślałam, że język chyba stanie mi kołkiem.

Mama odebrała po pierwszym sygnale.

- Hope przeczyta ci wyniki – powiedziała.
- Mamo! – zawołałam, ale było za późno. Moja młodsza siostra już dorwała się do telefonu.
- Przeczytam ci twoje wyniki.
- No dobra, słucham.
- A, B, C... – wyrecytowała powoli Hope, jakby ćwiczyła alfabet.
- Wspaniale, prawda? – wtrąciła mama.
- Co?
- Dostałaś A z angielskiego, B z historii sztuki i C z filozofii i religioznawstwa.

– Nie żartujesz? – Miałam zapewnione miejsce na University College London, pod warunkiem że dostanę dwa B i jedno C na maturze, więc poradziłam sobie lepiej, niż było trzeba.

Wychyliłam się spod daszku budki telefonicznej, żeby pokazać Doll uniesiony w górę kciuk. Po drugiej stronie słuchawki mama mi gratulowała, a Hope wtórowała jej w tle. Wyobraziłam sobie, jak siedzą obie w kuchni obok półki na pamiątki z wycieczek. Stoi tam talerz z napisem *Dziś jest pierwszy dzień reszty twojego życia*.

Doll zaproponowała, żebyśmy uczciły dobre wieści, przepuszczając nasze ostatnie pieniądze na butelkę *spumante* przy Piazza Signoria. Miała więcej pieniędzy ode mnie, bo uczyła się w technikum i jednocześnie dorabiała w salonie kosmetycznym. Czaiła się, żeby znów usiąść przy jednym z piekielnie drogich stolików na świeżym powietrzu, odkąd nieświadomie przepuściliśmy nasz całodzienny budżet na jedno cappuccino przy placu Świętego Marka w Wenecji. Już w wieku osiemnastu lat Doll miała słabość do luksusów. Ale była dopiero dziesiąta rano i uznałam, że nawet gdybyśmy się nie spieszyły, wciąż miałybyśmy mnóstwo czasu do nocnego pociągu do Calais, a do tego jeszcze ból głowy. Taka już się urodziłam – praktyczna.

– Jak chcesz – westchnęła rozczarowana Doll. – To twoje święto.

Było tyle rzeczy, które chciałam jeszcze zobaczyć: Uffizi, Bargello, Duomo, Baptysterium, Santa Maria Novella...

– To wszystko kościoły, nie? – Doll nie dała się nabrać na litanie włoskich nazw.

Obie zostałyśmy wychowane w wierze katolickiej, ale na tym etapie życia dla Doll kościół stanowił przeszkodę, by wyspać się w niedzielę. Ja z kolei uważałam, że fajnie mówić o sobie „agnostyczka”, chociaż wciąż dość często łąpałam się na cichej modlitwie w konkretnych intencjach. Włoskie kościoły nie były dla mnie miejscem spotkań z Bogiem – raczej z kulturą. Szczerze mówiąc, byłam dość pretensjonalna, ale pozwalałam sobie na to, bo przecież miałam właśnie rozpocząć studia.

Zostawiłyśmy plecaki w przechowalni bagażu na dworcu, szybko okrążyłyśmy Duomo i zrobiłyśmy sobie nawzajem zdjęcia przed złotymi drzwiami Baptysterium. Potem przeszłyśmy bocznymi uliczkami w kierunku Santa Croce. Zrobiłyśmy przystanek w otwierającej się właśnie maleńkiej *gelaterii*. Poranna porcja lodów zaspokoila apetyt Doll na dekadencję. Wybrałyśmy po trzy smaki z cylindrycznych pojemników ustawionych za oszkloną ladą, która przypominała ogromne pudło z farbami.

Dla mnie świeża mandarynka, cytryna i różowy grejpfrut.

– Za bardzo śniadaniowe – skomentowała Doll, wybierając marsalę, wiśnię i czekoladowy fondant. To rozpusztne połączenie, opisane przez Doll jako



„orgazmiczne”, wprawiło ją w tak dobry nastrój, że bez szemrania zniosła całą godzinę z freskami Giotta.

Oglądanie sztuki z Doll było zabawne. Chętnie wygłaszała komentarze w rodzaju: „Ale stopy to nie bardzo mu wychodziły, co?”, lecz gdy wyszliśmy z kościoła, widziałam, że wystarczy jej kultury na resztę dnia. Z nieba lał się popołudniowy żar, więc zaproponowałam, żebyśmy przejechały się autobusem do Fiesole, starożytnego miasta na wzgórzach, o którym czytałam w przewodniku. W autobusie stanęliśmy przy otwartym oknie, z ulgą witając świeże powietrze owiewające nam twarze.

Główny plac Fiesole był zaskakująco spokojny w porównaniu z gwałtownymi, zatłoczonymi uliczkami Florencji.

– Chodźmy na *menu turistico*, trzeba jakoś uczcić ten dzień – zaproponowałam, postanawiając przepuścić resztkę pieniędzy, którą zachowałam na wszelki wypadek.

Usiadliśmy na tarasie restauracji z widokiem na Florencję w oddali. Miniaturowe miasto wyglądało jak tło obrazu Leonarda.

– Mamy zaplanowane jakieś rozwojowe zajęcia na popołudnie? – zapytała Doll, ocierając kąciki ust po *spaghetti pomodoro*, które pochłonęliśmy do ostatniej nitki makaronu.

– Jest tu rzymski amfiteatr – przyznałam. – Ale mogę iść sama, napraw...

– Ci cholerni Rzymianie wszędzie się musieli wpakować, co? – przerwała mi, ale chętnie poszła razem ze mną.

Byliśmy jedynymi zwiedzającymi. Doll położyła się w słońcu na kamiennym stopniu, a ja poszłam obejrzeć wszystkie zakamarki. Kiedy dotarłam na scenę, Doll usiadła i zaczęła klaskać. Ukłoniłam się.

– Powiedz coś! – zażądała.

– Jutro, jutro i znów jutro!<sup>[1]</sup> – wygłosiłam.

– Jeszcze! – zawołała, wyciągając aparat.

– Dalej nie pamiętam!

Zeskoczyłam ze sceny i wspierałam się po stromych schodach.

– Chcesz zdjęcie?

– Zróbmy sobie jedno razem.

Doll ustawiła aparat trzy schodki wyżej, oceniając, że wtedy znajdziemy się obie w kadrze na tle toskańskich wzgórz.

– Jak jest „ser” po włosku? – zapytała, ustawiając samowyzwalacz, po czym pobiegnęła do mnie, żeby zdążyć przed pstryknięciem migawki.

Mam to zdjęcie w albumie. Wyglądamy na nim, jakbyśmy wysyłały całusy do obiektywu. Taśma samoprzylepna pożółkła, a plastikowa osłonka stała się sztywna i krucha, ale kolory na fotografii – biały kamień, błękitne niebo, czarnozielone cyprysy – wciąż są tak samo wyraziste jak w moich wspomnieniach.

Na autobus powrotny do Florencji czekałyśmy w głębokiej ciszy. Na przystanku słyhać było tylko niewidzialne świerszcze, grające gdzieś między drzewami.

– Myślisz, że wciąż będziemy się przyjaźnić?

– O co ci chodzi? – Udałam, że nie rozumiem pytania.

– No wiesz, studia na uniwersytecie z nowymi znajomymi, którzy będą się interesować książkami, historią i tym wszystkim...

– Nie wygłupiaj się – uciełam stanowczo, ale w głowie zdążyła już pojawić mi się zdradziecka myśl, że w przyszłym roku zapewne pojedę na wakacje z ludźmi o podobnych zainteresowaniach. Z przyjaciółmi, którzy będą chcieli podziwiać kolekcję malowanych greckich waz w muzeum na terenie wykopalisk albo ze szczerym zainteresowaniem porównywać prace Michelangela, Donatella i innych Żółwi Ninja (jak mówiła o nich Doll).

*Dziś jest pierwszy dzień reszty twojego życia.*

Gdy pozwalałam sobie na rozmyślenia o przyszłości, czułam, jak żołądek ściska mi jednocześnie strach i podniecenie.

Po powrocie do Florencji wybrałyśmy się jeszcze raz na lody. Doll nie mogła się oprzeć kolejnej porcji czekoladowych, tym razem z melonem. Ja wybrałam gruszkowe (smakowały jak esencja stu idealnie dojrzałych konferencji) z malinowymi, wyrazistymi i słodkimi jak wspomnienie lata z dzieciństwa.

Na Ponte Vecchio było trochę spokojniej niż rano, więc mogłyśmy pozaglądać w okna maleńkich sklepów jubilerskich. W jednym z nich Doll dostrzegła srebrną bransoletkę z przywieszkami, dużo tańszą od pozostałych. Złapałyśmy więc za klamkę i przecisnęłyśmy się do środka.

Sprzedawca podniósł delikatny łańcuszek z miniaturowymi replikami Duomo, Ponte Vecchio, butelki Chianti i „Dawida” Michała Anioła.

– To dla dziecka – powiedział.

– Może kupię ją dla Hope? – zaproponowała Doll, szukając pretekstu do wydania resztki pieniędzy.

Patrzyłyśmy, jak sprzedawca układa bransoletkę na bibułce w małym kartonowym pudełku zdobionym złotymi lilijkami. Pewnie wyobrażałyśmy sobie, że moja siostra będzie przechowywać ten prezent w jakimś specjalnym miejscu. Tylko od czasu do czasu rozpakuje bransoletkę i będzie ją oglądać z nabożnym podziwem, jakby to była drogocenna rodzinna pamiątka.

Słońce zdążyło już spełznąć ze starożytnych budynków, a miejski gwar nieco przygasł. W ciepłym powietrzu unosił się łagodny riff klarnetu ulicznego grajka. Zatrzymałyśmy się na środku mostu, czekając, aż tłum się przerzedzi, żebyśmy mogły zrobić sobie zdjęcia na tle gasnącego złotego nieba. Trochę dziwnie się czułam na myśl o tych wszystkich kominkach i lodówkach, na których pojawią się zdjęcia z naszymi twarzami w tle, od Tokio po Tennessee.

– Zostały mi dwie klatki – oznajmiła Doll.

Nagle wychwyciłam w tłumie twarz, która wydała mi się znajoma. Chłopak, mniej więcej w moim wieku. W odpowiedzi na mój uśmiech zmarszczył z zaskoczeniem brwi. Dopiero wtedy zorientowałam się, gdzie go wcześniej widziałam. Spotkaliśmy się dziś rano w San Miniato al Monte. W ostatnich promieniach słońca jego włosy przybrały rudawy odcień. Teraz miał na sobie koszulkę polo koloru khaki i chinosy. Stał nieco zmieszany obok pary w średnim wieku, pewnie rodziców.

– Mógłbyś? – Wyciągnęłam aparat w jego kierunku.

Miał tak niepewną minę, że zwątpiłam, czy mówi po angielsku. Jego blada, piegowata twarz oblała się rumieńcem.

– Tak, jasne! – odparł. Mama powiedziałaaby, że brzmi jak „dobrze wychowany chłopiec”.

– Powiedzcie „ser”!

– *Formaggio!* – zawołałyśmy jednocześnie.

Na zdjęciu mamy zamknięte oczy i śmiejemy się z własnego żartu.

W pociągu miałyśmy tylko dla siebie cały przedział z sześcioma kuszetkami. Położyłyśmy się na łóżkach na samym dole i zaczęłyśmy przegląd wspomnień z wakacji, podając sobie na zmianę butelkę czerwonego wina. Pociąg toczył się przez noc.

Dla mnie najlepsze były widoki i architektura.

– Pamiętasz kwiaty na Schodach Hiszpańskich?

– Kwiaty?

– Czy my na pewno byliśmy na tych samych wakacjach?

Doll bardziej interesowali mężczyźni.

– Pamiętasz minę tego kelnera na Piazza Navona, kiedy powiedziałam, że lubię rybę?

Teraz już wiedziałyśmy, że „ryba” ma po włosku jeszcze jedno, niezbyt eleganckie znaczenie.

– Najlepszy obiad? – zapytała Doll.

– Prosciutto i brzoskwinie ze straganu w Bolonii. A dla ciebie?

– Ta cebulowa niby-pizza z anchois w Nicei była pyszna...

– *Pissaladière.*

– Czy ty mnie obrażasz?

– Najlepszy dzień?

– Capri, a ty?

– Chyba dzisiaj – odparłam.

– Najlepsze...

Doll odpłynęła, ale ja nie mogłam zasnąć. Gdy tylko zamykałam oczy, widziałam się w pokoju, który czekał na mnie w akademiku. Dotąd nie pozwalałam

swojej wyobraźni w nim zamieszkać. Teraz po raz pierwszy rozstawiałam w myślach rzeczy na półkach, rozkładałam kapę na łóżku, podekscytowana przyklejałam na ścianie plakat z reprodukcją „Primavery” Boticellego, przetaczający się teraz łagodnie po półce na bagaż. Czy będę miała pokój z widokiem na dachy w kierunku Telecom Tower, jak ten, który nam pokazywali podczas dni otwartych? A może trafi mi się sypialnia od ulicy, a pod oknem będą pełzać czerwone piętrowe autobusy i rozbrzmiewać znieściska policyjne syreny, jak w filmie?

Pociąg zaczął wspinaczkę przez Alpy i w przedziale zrobiło się chłodno. Przykryłam Doll polarem. Zamruczała z wdzięcznością, ale się nie obudziła. Cieszyłam się, bo ta chwila prywatności była dla mnie ważna: tylko ja i moje plany na przyszłość, w podróży z jednego etapu życia w następny.

Musiałam zasnąć o świcie. Obudził mnie stukot wózka ze śniadaniem. Doll wpatrywała się ponuro w krople deszczu biegnące po szybie pociągu, który pędził teraz przez pola północnej Francji.

– Zdążyłam zapomnieć o pogodzie – westchnęła, podając mi kwaśną kawę w plastikowym kubeczku i zapakowanego w celofan croissanta.

Kiedy wreszcie dotarłyśmy na miejsce, odprowadziłam Doll do jej domu na Laburnum Drive, a potem poszłam do siebie wzdłuż Conifer Road. Nie żebym oczekiwała transparentów albo delegacji sąsiadów z kwiatami, ale czułam ukłucie rozczarowania, że wszystko jest dokładnie takie samo jak wcześniej. Nasze osiedle powstało pod koniec lat sześćdziesiątych. Wtedy stanowiło pewnie szczyt nowoczesności: jednakowe domki przypominające sześciennie klocki, zrobione w połowie z jasnej cegły, a w połowie z białego muru. Przed nimi rozciągały się komunalne trawniki zamiast ogródków. Wszystkie ulice nosiły nazwy drzew, ale nikt nigdy żadnych tu nie posadził, z wyjątkiem kilku cherlawych kwitnących wiśni. Do niektórych domków właściciele dobudowali z przodu przeszklone ganki albo przezroczyste dachy z PCV w jadalniach na parterze, ale mimo to wszystkie dalej wyglądały niemal identycznie, jak klocki dla dzieci. Wystarczył miesiąc nieobecności, żebym zrozumiała, że już wyrosłam z tego miejsca.

Mama nie wiedziała dokładnie, kiedy wracam, ale mimo to byłam nieco zaskoczona, że ona i Hope nie siedziały w oknie albo nawet na trawniku przed domem, czekając na mnie. Był piękny wieczór. Może mama napuściła wody do baseniku za domem? Może nie słyszały dzwonka przez szum wody?

W końcu za szkłem pojawiła się znajoma mała sylwetka.

– Kto tam? – usłyszałam.

– To ja!

– To ja! – odkrzyknęła.

Nigdy nie byłam do końca pewna, czy Hope się wygłupia, czy jest aż tak pedantyczna.

– To ja, Tree! No weź, Hope, otwórz!

– To Tree!

Usłyszałam głos mamy dochodzący z głębi mieszkania, ale nie byłam w stanie rozróżnić słów.

Hope uklęknęła, żeby odezwać się do mnie przez klapkę na listy u dołu drzwi.

– Wezmę krzesło z kuchni.

– Weź to z korytarza – powiedziałam do klapki.

– Mama kazała wziąć to z kuchni!

– Okej, okej...

Czemu mama sama nie zeszła? Nagle poczułam się zmęczona i zirytowana.

W końcu Hope udało się otworzyć drzwi.

– Gdzie mama? – zapytałam. W domu było trochę chłodno i nie czułam zapachu obiadu.

– Właśnie wstaje.

– Źle się czuje?

– Nie, tylko jest zmęczona.

– Taty jeszcze nie ma?

– Pewnie siedzi w pubie. – Hope wzruszyła ramionami.

Zdjęłam z ramion ciężki plecak i oparłam go o ścianę. Mama stała u szczytu schodów, ale nie zbiegła na dół, żeby mnie uściskać. Zamiast tego zeszła ostrożnie, trzymając się poręczy. Pomyślałam, że pewnie nie chce się poślizgnąć w kapciach, wyglądających spod spranego różowego dresu, który zwykle wkładała na aerobik. Wydawała się nieobecna, jakby obrażona. Nalała wody do czajnika. Ani razu nie spojrzała mi w oczy.

Zerknęłam na zegarek. Było już po ósmej. Zapomniałam, że w Anglii później się ściemnia. Zaczęłam się zastanawiać, czy nie lepiej by było, gdybym zadzwoniła do domu po zejściu z promu, ale nie wydawało mi się to na tyle poważnym wykroczeniem, żeby mama się do mnie nie odzywała.

Miała rozczochrane włosy z tyłu głowy. Leżała w łóżku, kiedy przyjechałam. Jest zmęczona, powiedziała Hope. Musiała sobie sama radzić przez całe cztery tygodnie.

– Daj, ja to zrobię. – Wyjęłam jej czajnik z rąk. Pierwsze poważne ułucie niepokoju pojawiło się, gdy zauważyłam stos brudnych kubków w kuchni. Mama musiała być naprawdę wykończona – kuchnia zawsze była nieskazitelnie czysta.

– Gdzie tata? – zapytałam.

– Pewnie w pubie.

– Może idź na górę, a ja przyniosę ci herbaty, co?

– Dobrze – powiedziała ku mojemu zaskoczeniu. Mama nigdy wcześniej nie pozwalała, żeby ją w czymkolwiek wyręczać. Po chwili, jakby dopiero sobie przypomniała, że właśnie wróciłam z wakacji, dodała: – Jak ci się udał wyjazd?

– Świetnie! Było super!

Twarz aż bolała mnie od uśmiechu, którego mama nie odwzajemniła.

– A podróż?

– W porządku!

Ale ona już wchodziła z powrotem po schodach do sypialni.

Zaniosłam jej herbatę. Drzwi do sypialni rodziców były uchylone. Zanim weszłam, mignęła mi na chwilę twarz mamy w lustrze na toalecie. Czasem ludzie wyglądają inaczej, gdy nie wiedzą, że ktoś na nich patrzy, prawda? Leżała na łóżku z zamkniętymi oczami, jakby uszła z niej cała energia do życia, pozostawiając ją prawie niematerialną, odległe echo jej samej. Wpatrywałam się w jej odbicie przez kilka sekund, aż poruszyła się nagle i zauważyła, że stoję w progu.

Nasze oczy się spotkały. Wbiła we mnie niespokojne spojrzenie: Nie pytaj przy Hope. Gdy zauważyła, że jestem sama, z ulgą opuściła powieki.

– Pomogę ci usiąść – powiedziałam.

Oparła się o mnie, gdy poprawiałam poduszki za jej plecami. Była lekka i delikatna. Pół godziny temu szłam do domu i z niechęcią myślałam o tym, jak znajome i zwyczajne jest wszystko wokół. Teraz świat zaczynał kruszyć się na moich oczach i desperacko pragnęłam, żeby znów był taki jak dawniej.

– Niedobrze ze mną, Tess – westchnęła mama, odpowiadając na pytanie, którego bałam się zadać. Czekałam, aż doda: „Ale nie ma co się martwić, bo...”.

Nie dodała.

– W jakim sensie? – Głos mi drżał od narastającej paniki.

Kiedy mama była w ciąży z Hope, wykryto u niej raka piersi. Nie poddała się chemioterapii aż do porodu, ale w końcu wróciła do zdrowia. Od tamtej pory musiała się regularnie badać; ostatnim razem, kilka miesięcy temu, wyniki były dobre.

– Mam raka jajnika z przerzutami na wątrobę. Trzeba było iść z tym wcześniej do lekarza, ale myślałam, że to tylko problemy z żołądkiem.

Z dołu dobiegał głos Hope. Śpiewała znajomą melodię, ale nie mogłam skojarzyć jaką.

Próbowałam przypomnieć sobie, jak mama wyglądała przed moim wyjazdem. Trochę zmęczona i chyba zmartwiona, ale wydawało mi się, że to może przez moją maturę. Zawsze się o mnie troszczyła: rano prosiła Hope w kuchni, żeby dała mi w spokoju przejrzeć notatki przy śniadaniu. Gdy wracałam ze szkoły, czekała z herbatą, gotowa słuchać o moich sprawach. Jeśli nie miałam ochoty rozmawiać, po prostu była przy mnie, zmywając naczynia albo krojąc warzywa na obiad w przyjaznej ciszy.

Jak mogłam być tak samolubna, żeby nic nie zauważyć? Jak mogłam w ogóle wyjechać na wakacje?

– Nic byś nie poradziła – powiedziała, czytając mi w myślach.

- Ale podczas ostatniego badania wszystko było w porządku!
- To było badanie piersi.
- A reszty nie sprawdzili?

Mama przyłożyła palec do ust.

Hope wchodziła po schodach. Teraz słyszałam, że śpiewa „Wchodzę po schodkach”, ale przekręcała niektóre słowa.- Wchodzę po schodkach, wchodzę po schodkach, kogo na tych spodkach schodkam?

Zmusiłyśmy się do uśmiechu, gdy weszła.

– Jestem głodna – oznajmiła.

– Okej. – Zeskoczyłam z łóżka. – Chodź, zrobię ci coś na kolację.

Jakbym nie miała już dość dowodów na to, że jest źle, w lodówce znalazłam tylko światło. Wprawdzie nigdy się u nas nie przelewało, ale jedzenie zawsze było. Nagle poczułam wzbierającą falę złości na ojca. W naszym domu podział ról był bardzo tradycyjny: tata zarabiał, mama zajmowała się domem. Ale w takiej sytuacji chyba jednak mógłby się trochę włączyć? Wyobraziłam sobie, jak siedzi w pubie i wyciska do ostatniej kropli wyrazy współczucia od kumpli, którzy stawiają mu piwo. Odkąd pamiętałam, tata uwielbiał narzekać, że mu w życiu nie wyszło.

W szafce znalazłam puszkę spaghetti Heinza w sosie pomidorowym. Wetknęłam kromkę chleba do tosterka.

Hope wpatrywała się we mnie. Miałam w głowie taki mętlik od prób ogarnięcia wszystkiego, co właśnie na mnie spadło, że nie wiedziałam, co jej powiedzieć.

Spaghetti zbulgotało na ogniu. Nałożyłam trochę na tosta, wspominając miskę ugotowanej *al dente* pasty, którą zjadłam wczoraj w Fiesole. Sos miał smak tysiąca dojrzałych pomidorów. Przypomniałam sobie panoramę Florencji w oddali, jak tło obrazu Leonarda, teraz tak odległą, jak z innego życia.

Słownik potwierdził, że „piangere” oznacza po włosku „płakać”. Pochodzi od łacińskiego *plangere*: bić się w piersi z żalu.

## Sierpień 1997

### GUS

Po śmierci brata zacząłem biegać na długie dystanse. Tylko tak mogłem spędzać czas w samotności bez narażania się na krytykę. Troska otoczenia była chyba najgorsza w tym wszystkim. Kiedy mówiłem, że jest w porządku – ludzie patrzyli na mnie dziwnie. Kiedy przyznawałem, że jest mi ciężko, i tak nie mogli pomóc. Ale kiedy mówiłem, że trenuję do maratonu charytatywnego, żeby pomóc w zbiórce pieniędzy na pomoc ofiarom wypadków sportowych, wszyscy z zadowoleniem kiwali głowami. Ross zginął w wypadku na nartach, więc to miało dla nich sens.

Gdy osiągałem optymalną prędkość, rytmiczne uderzenia butów o podłoże przynosiły ulgę i uzależniające zapomnienie. Po to wstawałem codziennie z łóżka, nawet w wakacje, mimo że we Florencji kocie łby na ulicach i pojawiające się zniecka oszałamiające widoki utrudniały utrzymanie tempa, dzięki któremu mógłbym zapomnieć, gdzie jestem i jak się nazywam.

Ostatniego dnia wakacji przebiegłem o świcie wzdłuż Arno, po kolei biegnąc na drugą stronę rzeki po każdym moście. Potem wróciłem wężykiem w odwrotnym kierunku. Blade poranne słońce świeciło mi w oczy w jedną stronę i grzało plecy w drugą. Ulice były puste, jeśli nie liczyć zamiataczy, których mijalem tu i ówdzie po drodze. Intensywny wysiłek uwalniał myśli i pozwalał swobodnie przepływać różnym pomysłom. Przyszło mi do głowy, że mógłbym pewnego dnia wrócić do Florencji, może nawet tu zamieszkać. W tym historycznym mieście mógłbym być kimś bez przeszłości, kimkolwiek. W wieku osiemnastu lat takie myśli są jak objawienie.

Przebiegając po raz trzeci przez Ponte Vecchio, z wolnieniem do marszu, żeby trochę ochłonać. Nikogo poza mną tu nie było. Lśniące wystawy złotników wciąż kryły się za drewnianymi okiennicami. Mógłbym jakimś cudem przenieść się teraz pięćset lat wstecz, wtedy pewnie wyglądało to tak samo. Ale mimo tego wrażenia otoczenie wydawało się jakoś mniej prawdziwe niż poprzedniego wieczoru, gdy most wypełniali turyści. Teraz przypominał opuszczony plan filmowy.

Chyba miałem nadzieję, że znów ją tu spotkam. Nie żebym wiedział, co mógłbym powiedzieć, podobnie jak za pierwszym i drugim razem. Oddając jej wczoraj aparat, nie miałem nawet dość śmiałości, by nawiązać kontakt wzrokowy. A potem dostałem trzecią szansę – i znów dałem ciała.

Stałem w kolejce do lodziarni niedaleko mostu. Nagle poczułem delikatne



stuknięcie w ramię. Znów ona, z takim uśmiechem, jakbyśmy znali się całe życie i mieli właśnie wyruszyć na spotkanie jakiejś fantastycznej przygody.

– Tu niedaleko jest taka wspaniała *gelateria*, zaraz przy Via dei Neri. Dostaniesz tam sześć porcji w tej cenie, co jedna tutaj! – powiedziała.

– Nie sędzę, żebym dał radę zjeść sześć!

Chciałem być zabawny, wyszedłem na nadętego sztywniaka. Nie miałem dużo doświadczenia w rozmowach z dziewczynami.

– Jak tam pójdziesz, to na pewno zjesz!

Pokażesz mi, gdzie to jest? Super! Chodźmy! Żadna z odpowiedzi, jakie przyszły mi do głowy, nie była możliwa, bo obok stali moi rodzice. Gapiłem się na nieznaną jak idiota, słowa mieszały mi się pod czaszką, a jej uśmiech zbladł i przeszedł z promiennego w nieco zdezorientowany. W końcu pobiegła za odchodzącą koleżanką.

Po północnej stronie rzeki Florencja budziła się przy terkocie podnoszonych metalowych żaluzji w barach, otwierających się na powitanie pierwszych klientów. Gdy dotarłem do placu Duomo, promienie słońca padały prosto na Campanile di Giotto. Jej poziome paski przypominały układ warstw cassaty. Powietrze wypełnił nagle dźwięk dzwonów. Florencja była dla mnie jak niebo na ziemi – pomyślałem, że nie da się tu mieszkać i być nieszczęśliwym.

Dołączyłem do rodziców w hotelowym foyer i poszliśmy razem na śniadanie.

– Samotność długodystansowca! – skomentował ojciec.

Zawsze tak mówił, kiedy wracałem z biegania, jakby to miało coś znaczyć, a nie było tylko bezmyślnym powtarzaniem tytułu filmu, który widział w młodości.

Przy rodzicach od razu cały się jeżyłem. To była niekontrolowana reakcja na ich obecność, jak odruch Pawłowa.

Z podsłuchanych w szkole rozmów wiedziałem, że prawdziwe toskańskie wakacje oznaczały wynajęcie willi z basenem (jeśli nie posiadało się własnej), otoczonej gajami oliwkowymi, z widokiem na łagodnie opadające wzgórza. Mój ojciec postanowił jednak wynająć nam pokoje w drogim hotelu w centrum Florencji. Nigdy nie byłem pewien, kto i jak ustalał, w jaki sposób należało robić pewne rzeczy. Od dość wczesnego wieku miałem jednak świadomość, że takie niepisane zasady istniały i że mój ojciec nie do końca potrafił ich przestrzegać. Sam nie chodził do prywatnej szkoły, ale teraz mógł do niej wysłać swoich synów. Na szkolne wydarzenia sportowe przychodził w marynarce i pod krawatem, podczas gdy fajni ojcowie, którzy jeździli na festiwal w Cannes albo trzymali oszczędności na Kajmanach, mieli na sobie dzinsy, koszulki polo i mokasyny bez skarpetek, jakby walczyli o tytuł najbardziej wyluzowanego rodzica. Jako dość liberalny licealista wierzyłem, że każdy ma prawo ubierać się tak, jak mu się podoba; jako jego syn byłem sparaliżowany ze wstydu.

– Kto normalny jada ser o takiej porze?

Ojciec analizował właśnie skład szwedzkiego stołu. Miał w zwyczaju wygłaszać głośne komentarze, jakby zachęcał wszystkich wokół, żeby mu przytaknęli.

– Chyba Niemcy – odparła cicho matka, żeby nikt nie usłyszał.

– Jakoś nikt nic nie mówi o zapadalności na raka jelita grubego u Niemców, co? – zamyślił się ojciec. – A tej wędzonej kiełbasy też sobie nie żałują...

– Dokąd się dziś wybieracie? – zapytałem, gdy wróciliśmy do stolika z pełnymi talerzami.

W cenie pakietu „Skarby Toskanii” proponowano wycieczki do najważniejszych turystycznych miejscowości w regionie. Podczas pierwszej z nich – do Asyżu – dwukrotnie zatrzymywaliśmy autokar, bo musiałem zwymiotować. Od tamtej pory spędzałem większość czasu samotnie we Florencji, we własnym tempie zwiedzając galerie sztuki i kościoły. Cieszyłem się cudownym uczuciem nieważkości, jakie dawał brak towarzystwa rodziców.

– Do Pizy – odparł ojciec.

Jako człowiek niewierzący w chorobę lokomocyjną nie potrafił ukryć rozdrażnienia. Był zły, że nie korzystałem w pełni z wakacji, za które zapłacił, a biuro podróży odmówiło zwrotu części kosztów.

Centrum wypełniało się grupami turystów, sunącymi posłusznie za wzniesionymi wysoko parasolkami przewodników, ale łatwo było oderwać się od tłumu i zniknąć w jednej z cienistych bocznych uliczek. Przez ostatni tydzień chodziłem po mieście tak dużo, że miałem już rozrysowaną w wyobraźni całą mapę Florencji. Codziennie z samego rana odbywałem pielgrzymkę do hali targowej przy San Lorenzo. Powietrze w środku było przyjemnie chłodne i nasycone zapachem wędzonych delikatesów. Niektórzy sprzedawcy już mnie rozpoznawali. Starszy pan przy straganie z owocami przesuwając wyćwiczoną kciukiem po piramidzie brzoskwiń, wybierając te idealnie dojrzałe. Przyjazna *mamma* w *salumerii* bardzo poważnie traktowała moje poszukiwania dodatków do porannej bułki, podając mi skrawki różnych salami do spróbowania albo powąchania, jakby to było dobre wino. Ponieważ to był mój ostatni dzień, pozwoliłem sobie na *un'etto* drogiego prosciutto San Daniele. Sprzedawczyni starannie ułożyła przezroczyście, cienkie jak papier plasterki na lśniącej bibułce.

– *Ultimo giorno* – powiedziałem, przypominając sobie kilka słów po włosku. Mój ostatni dzień. – *Ma ritorno* – dodałem. Ale wrócę – jakby ubranie tej myśli w słowa miało sprawić, że będzie wiążąca.

Na początku wakacji kupiłem szkicownik oprawiony w ręcznie zdobiony florencki papier. Zabierałem go na wyprawy po galeriach. Gdy rysowałem, mogłem się bardziej skupić na obrazach i nie czuć przy tym głupio. W szkole zawsze byłem najlepszy z historii sztuki – jeśli uznać ją za prawdziwy przedmiot,

którym według mojego ojca nie była. Im więcej czasu spędzałem na podziwianiu sztuki we Florencji, tym bardziej żałowałem, że nie znalazłem w sobie odwagi, by złożyć papiery na historię sztuki na uniwersytecie. Nie chodziło tylko o umiejętność nakładanie farby na płótno albo fresk. Fascynowało mnie, co artysta myślał, co chciał przekazać. Czy oni naprawdę wierzyli w biblijne opowieści, które pod ich pędzlem stawały się tak głęboko ludzkie, pełne świętych i apostołów ubranych jak florencyjscy mieszczanie, czy po prostu traktowali to jako sposób na zarobek?

Od zawsze byłem popychany w kierunku medycyny, bo to było „w rodzinie”, jak powiedział mój nauczyciel w liceum. Jakby chodziło o jakąś mutację genetyczną. Wszyscy zawsze mi powtarzali, że sztukę będę mógł oglądać po pracy. A teraz, w tym mieście, gdzie sztuka i nauka kwitły splecione jedna z drugą, zastanawiałem się, czy ja mógłbym je połączyć. Może pewnego dnia wrócę do Uffizi jako wykładowca anatomii? Gdybym został lekarzem, przynajmniej stać by mnie było na wyjazdy. Ojciec zawsze powtarzał, że w sztuce nie ma pieniędzy. „Nawet Van Gogh nie mógł malowaniem zarobić na życie!”.

Zjadłem *panino* na schodach Palazzo Vecchio, co jakiś czas postukując stopą do rytmu ulicznego gitarzysty, żeby wyglądało, jakbym coś robił. Czas spędzany w samotności płynął bardzo powoli, a patologiczna nieśmiałość powstrzymywała mnie przed zagadywaniem nieznajomych. Zastanawiałem się, czy lepiej by mi szło, gdyby był ze mną mój przyjaciel Marcus. Mieliśmy wspólnie jechać na wakacje z karnetem Interrail, ale on na balu maturalnym wyrwał jakąś dziewczynę z naszej siostrzanej szkoły i oczywiście wołał seks na Ibizie od wycieczki po Europie ze mną. Żaden z nas nie miał prawdziwego doświadczenia z dziewczynami i chyba obaj zakładaliśmy, że seks raczej nie przytrafi się nam na studiach. Odczuwałem więc w stosunku do Marcusa coś w rodzaju rozżalonego podziwu, ale ta sytuacja zmusiła mnie do nieprzyjemnej decyzji: odwołać wyjazd albo jechać samemu.

Mniej więcej w tym samym czasie jeden z pacjentów ojca złamał koronę na kawałku *panforte* i podczas wizyty wyraził zdumienie, że ojciec nigdy nie był w Toskanii. Ojciec zinterpretował to jako zawołany przytyk i postanowił coś z tym zrobić.

– Jak myślisz? – zapytał pewnego ranka, podsuwając mi po kuchennym stole broszurkę.

Byłem zajęty pochłanianiem płatków, żeby zdążyć dojechać na rowerze do pracy – spędzałem lato, dorabiając w nowym gastropubie.

– Świetny pomysł! – ucieszyłem się, że znów coś go zainteresowało.

– Jedziesz z nami?

– Poważnie? – Jakimś cudem w moich pełnych płatków ustach przerażenie zabrzmiało jak entuzjazm zmieszany z niedowierzaniem.

Jako dentysta tata nie oczekiwał od nikogo odpowiedzi bardziej złożonych niż lekkie kiwnięcie głową, więc gdy wróciłem z pracy, wakacyjny wyjazd był już

zarezerwowany i opłacony.

Powiedziałem sobie, że byłoby szczytem niewdzięczności nie przyjąć szczodrości rodziców, ale tak naprawdę byłem po prostu mięczakiem i bałem się odmówić.

Przyglądałem się zastępom turystów fotografujących replikę posągu „Dawida” Michała Anioła i myślałem, czy rzeczywiście rozpoznałbym tę dziewczynę, gdybym ją znów zobaczył. Była wysoka, miała dość długie i chyba brązowe włosy. Nie było w niej nic szczególnie wyrazistego poza tym, że kiedy się uśmiechała, jej twarz nabierała psotnego wyrazu. W jej spojrzeniu pojawiała się jakaś poufałość, jakby ona jedna znała niezwykły sekret, którym zamierzała się podzielić tylko ze mną.

Via dei Neri była wąską uliczką, wężykiem prowadzącą ku Piazza Santa Croce. Za pierwszym razem przeszedłem obok *gelaterii* i nawet jej nie zauważyłem – pojedyncze drzwi i ciemne wnętrze, to wszystko. Na pierwszy raz wybrałem *nocciola* i *limone*, bo o to poprosił jakiś Włoch przede mną. Kremowy orzech doskonale komponował się z odświeżająco kwaskowatą cytryną. Zjadłem lody w drodze do Santa Croce, a potem wróciłem po jeszcze jedną porcję, tym razem pistacjowe i melonowe. Jakiś czas przesiedziałem w chłodnym cieniu sklepu, zerkając na każdego wchodzącego klienta w nadziei, że znów ją zobaczę.

Gdy nadszedł popołudniowy upał, ruszyłem do Ogrodu Boboli. Im wyżej się wspinałem, tym mniej widziałem turystów – na szczycie okazało się, że jestem nad malowniczym jeziorem całkiem sam. Słońce wciąż mocno grzało, ale teraz skryło się za welonem wilgoci, dzięki której panorama miasta wyglądała jak skruszały przez wieki nalot na obrazie któregoś ze starych mistrzów. Po wzgórzach przetoczył się grzmot, a powietrze zgęstniało od nadchodzącego deszczu. Otworzyłem szkicownik i naniósłem na papier mglisty zarys Duomo.

Nagle przez nienaturalnie żółte wieczorne niebo przebił się promień słońca. Nadał surrealistycznej wyrazistości równo przyciętym żywopłotom i rozświetlił zielonkawoniebieską wodę. Podniosłem aparat, a wtedy z fontanny pośrodku jeziora zerwała się biała czapla – do tej pory stała tak nieruchomo, że wydawała mi się jedną z wymyślnych marmurowych rzeźb. Ptak przeleciał nad wodą, wytrącając mnie z zadumy. Trzepot jego skrzydeł był jedynym, co mąciło idealnie statyczny i cichy krajobraz.

Uświadomiłem sobie, że od śniadania ani przez chwilę nie myślałem o Rossie.

Na moment przed oczami stanęła mi twarz brata, patrząca na mnie zza chmury gęsto padającego śniegu. Miał białe zęby, płatki śniegu opadały na jego ciemne, odgarnięte do tyłu włosy, zza lustrzanych gogli nie było widać oczu.

Wielka kropla deszczu spadła na rysunek Duomo, rozmywając kontury. Zamknąłem szkicownik i przez kilka chwil stałem z twarzą odchyloną ku niebu,

rozkoszując się ciepłą ulewą. Nagły błysk uświadomił mi jednak, że jestem jednym z najwyższych obiektów w okolicy i chyba lepiej będzie się gdzieś ukryć. Popędziłem w dół po marmurowych schodach, które nagle zrobiły się bardzo śliskie. Z ogrodów zaczęły wylewać się hordy turystów z rozłożonymi nad głowami lśniącymi od deszczu przewodnikami.

Stłoczyliśmy się pod ścianami pałacu Pittich, które oferowały skromne schronienie. Co jakiś czas ktoś wyciągał rękę, by sprawdzić intensywność deszczu i ocenić, czy warto ryzykować dalszy bieg, czy lepiej jeszcze poczekać.

Obok mnie stały trzy Amerykanki mniej więcej w moim wieku, objuczone wielkimi plecakami. Pochylały się nad przewodnikiem i debatowały, jak dotrzeć na kemping. Znałem trasę, bo wczoraj przebiegałem tamtędy do Piazzale Michelangelo, ale nie byłem pewien, czy wypada je zagadnąć. Jedna z dziewczyn była bardzo ładna. Poczulem, że się czerwienię, jeszcze zanim otworzyłem usta.

– Przepraszam, nie chciałem podsłuchiwać, ale może mógłbym pomóc?

Mój głos zabrzmiał, jakby pochodził od innej osoby. Najpierw skrzeczący, a później o wiele za głośny i pretensjonalny.

– Jesteś z Anglii? – zainteresowała się ta ładna. – Uroczy akcent!

– Też śpisz na kempingu?

– Nie, zatrzymałem się w hotelu – wybąkałem, nie mogąc wymyślić dostatecznie szybko nic lepszego.

– Może pójdziemy wszyscy na *aperitivo*? – zaproponowała ta głośna.

– Dziękuję, ale jestem umówiony z rodzicami na kolację.

Deszcz zelżał, więc oddaliłem się w pośpiechu, przekonany, że się ze mnie śmieją. Ross wiedziałaby dokładnie, jak się zachować. Czy z urokiem osobistym trzeba się urodzić, czy to kwestia praktyki?

Burza przegoniła tłumy z Ponte Vecchio. Zatrzymałem się, by po raz ostatni spojrzeć na wzgórza za murami miasta, ale zasnuły je niskie chmury. Zniknęła też zielono-biała fasada San Miniato al Monte. Zwykle widziałem ją, podświetloną w nocy, z basenu na dachu hotelu.

Po rezerwacji wycieczki w naszej skrzynce pocztowej wylądowała sztywna biała koperta. W środku były bilety i dołączony przez biuro podróży kolorowy katalog, wyliczający wszystkie atrakcje Toskanii, których absolutnie nie wolno przegapić. Teraz więc każdego wieczoru ojciec robił przy kolacji przegląd dnia, licząc na palcach odhaczone punkty programu. Wyglądał jak skrupulatny skaut podsumowujący zdobyte sprawności.

• Brukowane ulice San Gimignano?

Zaliczone.

• Najwyższa wieża w Toskanii?

Zaliczona.

• Słynny fresk Giotto, przedstawiający życie świętego Franciszka?

Zaliczony. (Tyle malarstwa religijnego, że starczy na resztę życia!).

- Ekscytująca gonitwa koni galopujących wokół Piazza del Campo w Sienie?

Wydarzenie dostępne tylko w dwa konkretne dni w roku.

- Relaksujący aperitif na słynnym placu w kształcie muszli?

Zaliczony, pomimo skandalicznej ceny ginu z tonikiem.

– I jak Piza? – zapytałem tego wieczoru, gdy czekaliśmy na menu w drogiej restauracji. Belki pod sufitem i ściany z surowych cegieł sprawiały, że przypominała średniowieczną salę biesiad.

– Większa, niżbyś przypuszczał. – Ojciec założył okulary do czytania, mimo że dobrze wiedział, co zamówi.

– Ale Krzywa Wieża mniejsza, niż się spodziewałam – dodała matka.

– Powinni coś zrobić z tym systemem kolejek – oznajmił ojciec, więc wywnioskowałem, że nie udało im się wspiąć na zabytek. Misja nie mogła zostać uznana za uwieńczoną sukcesem.

- Krzywa wieża w Pizie?

Sfotografowana, ale niezdojta.

To nie było całkiem satysfakcjonujące zakończenie wycieczki. – Jest tam też mnóstwo innych budynków – wtrąciła matka. – Jakież katedry i inne takie. Oczywiście, wszystko zapchane turystami.

Nic z tego nie zachęcało do powiedzenia, że chciałbym się tam kiedyś wybrać. Poza tym to by tylko przypomniało ojcu o zmarnowanym miejscu w autokarze, więc w ogóle się nie odezwałem.

– Ach tak, tak, panu też *buona sera* – odezwał się ojciec, gdy przy stoliku pojawił się kelner, by przyjąć nasze zamówienie. – Poprosimy befszytk po florencku.

To był projekt numer jeden od samego początku wakacji: znaleźć najlepsze miejsce, żeby spróbować tego „najsłynniejszego tokańskiego dania”. Tata poprosił o radę taksówkarza, który odebrał nas z lotniska, a potem całą obsługę hotelowej recepcji. Teraz siedzieliśmy w restauracji polecanej przez większość, pięciu do jednego.

*Bistecca alla Fiorentina* – wyceniany za kilogram – to było coś więcej niż posiłek. Dochodził do tego cały spektakl, odgrywany na platformie pośrodku restauracji. Najpierw szef kuchni w wysokiej białej czapce na głowie podnosił stek z kością; następnie szybkimi, dramatycznymi ruchami ostrzono nóż; później odkrajano bardzo gruby kawał mięsa – porcja jak dla kulturysty. Po ukrojeniu stek ważono, kładziono na wózku i wieziono do stolika, by klient wyraził aprobatę. Ojciec puchł z dumy, gdy w sali rozbrzmiewały obowiązkowe ochy i achy przy każdym etapie rytuału. Nie odmówiłbym mu tej małej przyjemności, ale w duszy skręcałem się z zażenowania.

– Co dziś porabiałeś? – zapytał, gdy obsługa odwiozła mięso do kuchni

i mogliśmy znów rozmawiać.

– Spacerowałem. Byłem w Ogrodzie Boboli. – Cisza. – Widziałem czaplę.

– Czaplę? Nie jesteśmy za bardzo w głębi łądu? Pewny jesteś, że to nie bocian? – Ojciec był dość sceptyczny.

– To było trochę dziwne. Najpierw wydawało mi się, że jest częścią fontanny, a potem poderwała się do lotu, jakby rzeźba nagle ożyła.

Rodzice wymienili spojrzenia. Matka mawiała, że jestem „wrażliwy”. Ojciec preferował takie określenia jak „fiu-bździu” czy „artystyczne fafarafa”. Według etykietek, jakie rodzice przyklejają swoim dzieciom, ja byłem tym z głową w chmurach.

Chciałem wypełnić czymś ciszę, więc zacząłem improwizować. Błąd.

– To było prawie jak jakaś wizja... No wiecie, może te wszystkie wizje świętego Franciszka miały w rzeczywistości podłoże neurologiczne? Może to było coś z jego mózgiem... – Za późno zdałem sobie sprawę, że „mózg” to jedno ze słów zakazanych. Pewne wyrazy przywoływały nieuniknione skojarzenia. W ciągu ostatnich miesięcy nasz rodzinny zasób słownictwa drastycznie i nieodwracalnie się skurczył.

Teraz oboje patrzyli w przestrzeń za mną, jakbym był przezroczysty.

Tą bezmyślną uwagą przypomniałem im o głowie Rossa, o tym, że nawet grube warstwy bandaży nie zdołały ukryć istotnego braku pod spodem.

Zastanawiałem się, czy trochę mózgu mojego brata nie wylało się na białe podłoże. Czy ekipa ratunkowa schowała plamy pod świeżym śniegiem? A kiedy wiosną przyszły roztopy, czy na górskim zboczu wciąż leżały odpryski jego czaszki?

Jeśli te wakacje miały nam pomóc się otrząsnąć, to chyba słabo nam wyszło. Ostatnie wakacje spędziliśmy z Rossem. To było zimą, więc nic nie przypominało lepkiego żaru Florencji, ale to były nasze rodzinne wakacje. Wspominając takie wyjazdy, myśli się o widokach i pogodzie, ale jakoś zawsze ulatuje z pamięci ta klaustrofobia przebywania razem przy każdym posiłku. Ross zwykle dominował w rozmowach, żartował z ojcem i przekomarzał się ze mną, podczas gdy mama wpatrywała się w niego z uwielbieniem. Teraz go nie było, lecz jego obecność stała się jeszcze wyraźniejsza.

*Znasz to powiedzenie, zamiatać problem pod dywan? Cały się tam nie zmieścisz, Ross!*

Pomyślałem, że taki komentarz mógłby przypaść mu do gustu. Czasami łapałem się na mówieniu do brata w myślach, chociaż za jego życia nigdy nie byliśmy blisko. Teraz jednak odkrywałem z zaskoczeniem, jak wiele mieliśmy ze sobą wspólnego tylko przez przynależność do tej samej rodziny. Ross jako jedyny rozumiałby ten paradoks: rodzice zasługiwali na głębokie współczucie z powodu żałoby, ale jednocześnie wciąż potrafili być niewiarygodnie denerwujący.

– Trzeba sobie radzić z rzeczywistością – odezwał się w końcu ojciec. Nie byłem pewien, czy to reprimenda skierowana do mnie, czy raczej przypomnienie dla siebie samego. – Trzeba się mierzyć z tym, co człowiek ma przed sobą.

Akurat w tej chwili przed sobą miał wielki, przypieczony kawał mięsa. Krew sączyła się z befsztyku na drewnianą deskę, na której został podany.

Ojciec podniósł wzrok na kelnera.

– Prosimy dobrze wysmażony, jeśli to nie problem dla szefa kuchni! – warknął.

Wyobraziłem sobie minę szefa na widok kelnera wracającego ze stekiem. Podczas dorywczej pracy w kuchni zdążyłem się nauczyć, że goście odsyłający steki do wysmażenia natychmiast spadali na samo dno restauracyjnej hierarchii i zasługiwali na najgłębszą pogardę.

Stek wrócił do nas na wskroś bladobrazowy, jakby spędził dziesięć minut w mikrofalówce.

Ojciec zaczął dzielić mięso na łykowate plastry.

– Angus, ile dla ciebie?

– Jeden wystarczy.

– Jeden?

– Angus nigdy nie miał wielkiego apetytu – przypomniała mu matka.

Za to Ross miał wilczy apetyt. Czy byłem już przewrażliwiony, uznając jej komentarz za dyskretne porównanie?

Byłem całkowitym przeciwieństwem Rossa. Mój brat był ciemnowłosy, wysoki i barczysty; ja odziedziczyłem mimozowatą posturę matki. A choć moje włosy nie były tak pomarańczowe jak ojca, dostało mi się po nim dość piegów, żeby w szkole i tak wołali za mną „rudy”.

Ross był kapitanem drużyny rugby i wioślarskiej, no i oczywiście przewodniczącym samorządu. Ja lubiłem piłkę nożną i nigdy nie byłem brany pod uwagę w szkolnych wyborach. Gdy Ross skończył szkołę, dorabiał przez wakacje jako ratownik na miejscowym otwartym basenie. Praca w charakterze ratownika była czymś wyjątkowym, w przeciwieństwie do zasuwania w knajpie na zmywaku. Nie żeby Ross kiedykolwiek kogoś uratował, chociaż sporo dziewczyn udawało, że ma kłopoty, by się nimi zainteresował. Ross grał główną rolę we własnej wersji „Słonecznego patrolu”. W Guildford.

Nigdy nie miałem pewności, czy rodzice tak słabo ukrywali, który z nas jest ich ulubieńcem, czy może po prostu tak blado wypadałem na tle Rossa. Nie mogłem o tym z nikim porozmawiać, bo wyszedłbym na frajera, więc nigdy nie poruszałem tematu. Z wyjątkiem rzadkich rozmów z Marcusem, który wiedział, jaki Ross był naprawdę. Zastanawialiśmy się czasami: czy to ze względu na sportowe sukcesy mojego brata nauczyciele udawali, że nie widzą, co wyprawiał? A może oni też się go bali? Może Ross i jego świta prowadzili jakąś kartotekę



przewinień popełnianych nie tylko przez młodszych uczniów, ale też przez kadre? Nigdy się tego nie dowiem, bo kiedy umarł, wszyscy zaczęli unikać choćby najdrobniejszej krytyki pod jego adresem.

Siedzieliśmy w ciszy, skupieni na przeżuwananiu mięsa.

– Pewnie już się nie możesz doczekać studiów... – podjęła nowy temat matka.

Czy mój dyskomfort był aż tak widoczny?

Prawda była taka, że z jednej strony odliczałem godziny do końca klaustrofobicznych wakacji z rodzicami, ale z drugiej denerwowałem się na myśl o tym, co ma nadejść po ich zakończeniu. Spodziewałem się, że jakoś sobie poradzę na medycynie, bo byłem niezły z biologii i interesowało mnie, jak działają ludzie.

– Brzmisz jak pańcia od porad osobistych w jakimś pisemku! – dogryzł mi Ross w listopadzie zeszłego roku, tak niedawno, a jakby w poprzednim życiu. W pewnym sensie tak właśnie było.

Mimo jego złośliwości, a może z tego powodu, nieźle sobie poradziłem na rozmowie rekrutacyjnej i dostałem się warunkowo na medycynę – żeby mnie przyjęto, musiałem dostać na maturze trzy A. Nie czułem się jednak dobrze, idąc w ślady brata. W ostatnie święta zebrałem się wreszcie na odwagę, by poprosić rodziców o pozwolenie na przełożenie studiów o rok, żebym mógł się zastanowić, czy rzeczywiście chcę poświęcić życie medycynie.

A potem zdarzył się ten wypadek.

Gdy wróciłem do szkoły po feriach, zbliżał się czas aplikacji na studia. Ojciec był taki dumny na myśl, że obaj jego synowie będą lekarzami. Pójście na medycynę, albo przynajmniej nie-niepójście, było jedyną małą rzeczą, jaką mogłem dla niego zrobić.

Dzień wcześniej zadzwoniłem do szkoły, żeby dowiedzieć się, jak mi poszło na maturze. Rodzice czyhali na korytarzu tuż za drzwiami. Jeszcze wtedy gdzieś w głębi duszy miałem nadzieję, że się wymknę. Ale poszło mi dostatecznie dobrze.

Uświadomiłem sobie, że nie odpowiedziałem na pytanie matki.

– Tak, bardzo się cieszę – zapewniłem.

Przynajmniej będzie seks, pomyślałem. Jeśli uznać doświadczenia Rossa za standard, to studenci medycyny bzykają się bez przerwy.

## Wrzesień 1997

### TESS

Pierwszego dnia szkoły<sup>[2]</sup> Hope była zaskakująco posłuszna i bez grymaszenia pozwoliła się ubrać w szarą spódniczkę, białą koszulkę polo i niebieski sweter. Pobieгла do pokoju mamy, żeby dać się pocałować na pożegnanie.

– Zrób jej zdjęcie, Tess – poprosiła mama.

Postanowiliśmy, że mama nie będzie nawet próbować odprowadzać mojej siostry do szkoły, bo mała zaczęłaby to traktować jako obowiązujący stan rzeczy. Hope z łatwością przyjęła do wiadomości, że ja z nią pójdę. Może uznała to za coś naturalnego, bo jeszcze niedawno to ja codziennie rano wyruszałam do szkoły. Byłam przygotowana na płacz i krzyki, ale gdy wychodziłyśmy i mama zawołała: „No, to pa!”, to właśnie jej głos drżał od ledwie wstrzymywanych łez.

One od zawsze były nierozłączne. Mama urodziła Hope, gdy miała czterdzieści trzy lata. Zawsze mówiła, że to był „spóźniony prezent”, bo nigdy nie nazwałaby Hope wpadką. Nasza trójka zdążyła już dorosnąć, więc teraz mama miała czas na wspólne czytanie książek i pieczenie ciasteczek z najmłodszą córką. Większość ludzi uważała, że Hope jest rozpieszczona. Była ślicznym dzieckiem o niesfornych blond loczkach i mieszkając z piątką dorosłych – szóstką, jeśli liczyć Tracy, dziewczynę Brendana – zawsze znajdowała się w centrum uwagi. Wszyscy uwielbialiśmy ją nosić i podrzucać, żeby wywołać na jej buzi uśmiech. Niektórzy komentowali, że trochę późno zaczęła chodzić i robić inne rzeczy, bo we wszystkim była wyręczana. Mama zapisała ją do przedszkola, ale Hope nie pozwalała się tam zostawiać. Zanim skończyła cztery lata, potrafiła liczyć do tysiąca i znała na pamięć wszystkie możliwe piosenki i wierszyki dla dzieci, wyprzedzając chyba większość rówieśników.

Wbrew moim obawom Hope bez grymaszenia pozwoliła się odprowadzić do szkoły i posłusznie stanęła w rzędzie innych małych dzieci na placu zabaw. Czekałam przy bramie i trzymałam mocno kciuki, modląc się, żeby było dobrze, żeby Hope znalazła w tym miejscu wsparcie i schronienie przed wszystkim, co nadchodzi.

Cisza w pierwszych kilku sekundach po dzwonku była jak najpiękniejszy prezent. Jak cud prosto od Boga, którego nigdy nie powinnam była opuszczać. A później powietrze rozdarł znajomy dźwięk.

Mama często powtarzała, że moi bracia się w końcu wyprowadzili, bo nie

mogli wytrzymać z Hope. Nigdy nie wiedziałam, czy mówi poważnie, bo zawsze dodawała, że i tak był już najwyższy czas, żeby wylecieli z gniazda. Mama miała poczucie humoru. A ponieważ była jednocześnie bardzo inteligentna, lecz niezbyt pewna siebie, zazwyczaj rzucała jakiś komentarz, a później obracała go w żart, jeśli nie spotykał się z oczekiwaną reakcją.

Kevin wyjechał jako pierwszy. Najpierw do Londynu, bo tam dostał stypendium, a potem do Stanów. Mój brat i tata nigdy się nie dogadywali, zwłaszcza po tym, jak Kevin odmówił zajęcia się budownictwem. No więc jego wyjazd właściwie wszystkim wyszedł na dobre. A potem Tracy zaszła w ciążę i Brendan oznajmił, że emigrują do Australii. Brendan zawsze uważał, że żyje w cieniu Keva; w ten sposób choć raz udało mu się go przebić. Po wyprowadzce chłopaków Hope dostała własny pokój i nie spała już razem ze mną, ale w domu dalej było głośno. Gdy tylko mogłam, przesiadywałam w szkolnej bibliotece. Tata przy każdej okazji uciekał do pubu. Ludzie mówili, że mama ma anielską cierpliwość.

– To naturalne, że dziecko jest niespokojne, kiedy mają państwo w domu tyle zmartwień – powiedziała mi pani Corcoran, dyrektorka Świętego Kutberta.

Według niej, najlepiej byłoby, gdybym przychodziła przez jakiś czas do szkoły razem z Hope, żeby czuła się raźniej. Mogłam pomagać przy pozostałych maluchach. Wychowawczyni czterolatek była na urlopie macierzyńskim, więc przydałby się ktoś do pomocy.

Zgodziłam się – chciałam się czymś zająć. Z grupą trzydziściorga dzieci nie miałam czasu na myślenie o czymkolwiek poza wkładaniem i zdejmowaniem kurtek, czapek, rękawiczek, fartuchów do malowania i strojów na wuef, szukaniem zgubionych butów, towarzyszeniem w wyjściach do toalety, sprawdzaniem czystości małych rączek i rozdawaniem na przerwach kawałków jabłka.

W domu mama głównie spała, bo miała podawaną morfinę. Wydawałoby się, że jeśli wiesz o zbliżającej się śmierci bliskiej osoby, to będziesz z całych sił próbować zdążyć wszystko jej powiedzieć, ale to wcale tak nie wyglądało. Unikaliśmy rozmów o końcu i baliśmy się, że nie zdążymy ze wszystkim na czas albo że zdążymy za wcześnie i nie zostanie już nic do zrobienia, tylko czekanie.

Mówiłam mamie, że ją kocham. Najpierw raz dziennie, potem zaczęłam też za każdym razem, kiedy szła spać, kiedy wychodziłam z jej pokoju, żeby zrobić Hope kolację, przy każdej okazji, aż zaczęło to brzmieć trochę głupio. Kto by pomyślał, że „kocham cię” może stać się pustym frazesem.

Oczywiście, mówiłam też inne rzeczy, takie jak: „Nie martw się o nas, poradzimy sobie”. Na co ona odpowiadała: „Wiem, że dacie sobie radę”.

Nigdy nie rozmawiałyśmy o tym, z czym konkretnie mielibyśmy sobie dać radę, bo nie chciałam skupiać problemu na sobie.

Pewnego razu mama złapała mnie za rękę i spojrzała mi głęboko w oczy,

jakby chciała mnie przekonać, że nie żartuje.

– Musisz iść na studia – powiedziała.

– Nie przejmuj się, pójdę. – Moja mało precyzyjna odpowiedź pozwoliła nam obu uniknąć bardzo oczywistego pytania: jak.

Pomogłam mamie przygotować skrzynkę wspomnień dla Hope. Zrobiliśmy ją z pudełka po butach, które okleiliśmy materiałem w różową kratkę. Mama zachowała skrawki zasłon, które uszyła dla Hope, gdy chłopcy się wyprowadzili i mała dostała własny pokój. Na pokrywkę przykleiliśmy kwadrat z materiału, na którym mama wyhaftowała „Hope” żółtą jedwabną nitką, znaną z kufierku z przyborami do szycia. Pudełko wyglądało pięknie, ale nie bardzo wiedzieliśmy, co do niego włożyć. Mama nie miała dużo fizycznych dowodów czasu spędzonego z najmłodszą córką. Ludzie zwykle robią mnóstwo zdjęć pierwszemu dziecku, ale z każdym kolejnym coraz mniej zwracają sobie tym głowę. W końcu jednak znalazłyśmy piękne zdjęcie mamy z uśmiechniętą malutką Hope na rękach. Potem mama podyktowała swój przepis na ulubiony deser Hope. Nagrała też dla niej na kasecie wiadomość – użyliśmy dziecięcego odtwarzacza z mikrofonem, który znalazłam w pokoju siostry. W końcu mama zdjęła złoty krzyżyk, który zawsze miała na szyi, i poprosiła, żebym schowała wisiołek do pudełka.

– Ty pewnie i tak byś go nie chciała, co, Tess?

Nie byłam pewna, czy wolałaby, żebym zaprzeczyła. Może pocieszała ją myśl, że krzyżyk trafi do Hope. Dołożyłam wisiołek do reszty pamiątek. Ale Hope prędko zauważyła, że krzyżyk zniknął z szyi mamy. Nie chciałyśmy wyjaśniać jej nic przed czasem, więc wisiołek wrócił do mamy, a pudełko znów ukryliśmy pod łóżkiem. Mama wspomniała o nim jeszcze kilka razy:

– Może dałoby się dołożyć coś jeszcze? Na przykład jakąś płytę? Abba, największe przeboje? Uwielbia ten kawałek ze śpiewającymi dziećmi...

Prawie żałowałam, że w ogóle się do tego zabrałyśmy i że chociaż nie wybrałyśmy mniejszego pudełka. Te drobiazgi w środku w ogóle nie odzwierciedlały ogromu miłości mamy.

Raz ośmieliłam się zadać pytanie, gdy siedziałyśmy i wyszywałyśmy – jak wiktoriańskie damy, zażartowała mama. Łatwiej było rozmawiać, gdy obie zajmowałyśmy się jednocześnie czymś innym. Zapytałam, czy jeśli istnieje życie po śmierci, mama mogłaby dać mi jakiś znak, żebym wiedziała.

Rozbawiło ją to.

– Nie mogę ci dać wiary, Tess – powiedziała. – Sama musisz zrobić ten krok, a potem wszystko się już ułoży.

– Ale nie mogłabyś chociaż spróbować? Jakiś malutki znak?

– Gdybyś chociaż połowę tej wyobraźni, jaką poświęcasz na wątpliwości, wkładała w wiarę... – odparła po swojemu, jak zwykle znajdując sposób, by zamienić krytykę w komplement.

Brendan i Kevin przyjechali z dwóch końców świata, obaj w garniturach. Brendan – napęczniały od sukcesów, rozchwiany między chęcią popisywania się jako pierworodny syn i miazdzącym niezrozumieniem nadchodzącej tragedii. Kevin – wysportowany i elegancki, w jasnobrązowych półbutach i jasnoszarych spodniach, których lekko połyskujący materiał opinał mu się na umięśnionych łydkach. Kevin dużo mówił o problemach – to znaczy swoich, nie mamy.

Po odwiedzinach w hospicjum tata zabrał ich obu do pubu. Gdy wtoczyli się późnym wieczorem do przedpokoju, zalatywało od nich piwem i dziwną wesołością.

– Jak za dawnych czasów – wzruszył się tata. Stał uwieszony na moich braciach, wspominając miłą tradycję, którą pewnie bardzo by lubił, gdyby faktycznie kiedyś istniała.

Na sam koniec tylko ja siedziałam przy łóżku mamy. Nie wiem, czy tego właśnie chciała, czy może po prostu kończył jej się czas na indywidualne pożegnania. To wyglądało tak, jakby czekała, żeby zobaczyć wszystkie swoje dzieci, a potem już zaczęło jej się spieszyć do odejścia. Może obawiała się, że chłopaki muszą wracać do pracy. Mama zawsze najpierw myślała o innych.

Zasłonki wokół szpitalnego łóżka dawały fałszywe poczucie prywatności, ale przecież słyszałyśmy wszystko, co inni mówią po drugiej stronie.

– Mam jeszcze czas pójść po kawę? Jak myślicie? – dobiegł mnie głos Brendana.

Może powinnam być wdzięczna bratu za to, że dał mi ostatni cień jej konspiracyjnego uśmiechu: *Słyszysz, co on wygaduje?*

W jednej chwili była ze mną, w następnej światło w jej oczach nagle zgasło.

Myślałam, że jestem gotowa na pożegnanie, ale kiedy zrozumiałam, że nie żyje, byłam tak zszokowana, jakby to się stało zupełnie bez ostrzeżenia. Siedziałam i trzymałam ją za rękę, aż poczułam, że nie mogę dłużej ukrywać tego przed innymi.

Mężczyźni zaczęli płakać. Ja nie. Ich skacowane beczenie drażniło mnie.

Hope też się to nie podobało.

– Ćśś! – zbeształa ich, przykładając palec do ust. – Mama próbuje spać!

Powiedziałam siostrze, żeby ucałowała mamę na do widzenia, potem zabrałam ją do hospicyjnego bufetu na kielbaski z frytkami, a później, ku jej niedowierzaniu, kupiłam całą paczkę Haribo tylko dla niej.

Gdy tego wieczoru kładłam Hope spać, zapytała, o której odwiedzimy jutro mamę (w szkole uczyliśmy się właśnie odczytywać czas), więc powiedziałam, że mama poszła do nieba.

– Po co?

– Żeby się spotkać z aniołkami – zaimprovizowałam.

– I z Jezusem – dodała.

– Tak.

– I z babcią, i z dziadkiem, i z Lady Di, i z Matką Teresą... – Hope wymieniła wszystkie osoby, za które ostatnio razem się modliły.

Nigdy do tej pory nie widziałam sensu wiary w niebo. Czy to był znak?

Odczekałam, aż Hope odplynęła w sen, i zaczęłam skradać się do drzwi.

– Tree?

– Tak?

– Kiedy mama wróci?

Co miałam na to odpowiedzieć?

– Mama nie wróci, Hope. Ale wciąż nas kocha.

– Mama zawsze będzie nas kochać – odparła.

W pokoju było ciemno, ale zauważyłam, że moja siostra nie płacze. Dla Hope to było proste stwierdzenie faktu, bo przecież mama sama tak powiedziała – raz, drugi, trzeci, w nieskończoność – na kasecie magnetofonowej.

Dużo rodziny przyjechało z Irlandii na pogrzeb, mimo że za życia mamy nikt nas nie odwiedzał. Jej wyjazd do Anglii z tatą w latach siedemdziesiątych został uznany przez rodzeństwo za zdradę. Uważali, że jako najstarsza siostra miała obowiązek zostać w domu i zająć się dziadkiem po przedwczesnej śmierci babci. Wujków, ciocię i kuzynów znałam bardzo słabo z rzadkich spotkań w chłodnych pokojach gościnnych, gdzie piliśmy herbatę z dobrej porcelany, wyjmowanej tylko dla gości. To była ta nudna część wakacji w Irlandii – rodzice mówili na to „odhaczanie listy”. Nikt z nich nie widział wcześniej Hope, ale wszyscy uzurpowali sobie prawo, by klepać ją po głowie, wpatrywać się w jej małą buzię załzawionymi oczami i łapać w objęcia, co w ogóle jej się nie podobało.

– Starczy tych buziaków! – wykrzyknęła w końcu i cała zeszywniała.

– Ma charakterek, co? – skomentowała siostra mamy, Catriona, po czym dodała głośnym, złowrogim szeptem: – Musisz na nią teraz uważać, Tereso, i na siebie też, bo to ponoć rodzinne. Coś straszego, że tak to nad nami wszystkimi teraz wisi.

Miałam wrażenie, że ciotka próbuje obwiniać mamę nawet po jej śmierci.

Uważałam, że Hope nie powinna iść na pogrzeb, ale tata i Brendan się uparli, a Kev powiedział, że jego i tak nikt nigdy nie słucha, co było dobrym sposobem na wymiganie się od odpowiedzialności. Więc wygrała tak jakby większość. Choć byłam pewna, że mama też by tego nie chciała.

– Powiedziała ci? – dopytywał ojciec.

– Nie. – To była jedna z wielu rzeczy, o które powinienem była ją zapytać. Czulałam się taka głupia. Miałyśmy tyle czasu, a ja nie zapytałam, jak powinien wyglądać jej pogrzeb.

– No, to po sprawie – uciął tata.

Hope była grzeczna, kołysała się do powolnej, ostrożnej interpretacji „I Have

a Dream” Abby w wykonaniu parafialnego organisty, gdy weszliśmy do kościoła. Potem stanęła między mną a tatą i wszyscy odśpiewaliśmy „Gdy na ten świat spoglądam, wielki Boże”, ulubiony hymn mamy. Razem z nami odmówiła „Ojciec nasz”, a tata co chwila posyłał mi nad jej głową spojrzenia mówiące: No widzisz!

Chyba nawet nie zauważyła trumny, dopóki Brendan nie wstał, żeby przeczytać swój wiersz.

Gdy teraz o tym myślę, wydaje się oczywiste, że Kev albo ja powinniśmy byli go zatrzymać. Ale chyba oboje byliśmy tak zszokowani, że Brendan, ze wszystkich ludzi na świecie, napisał wiersz, że nawet nie przeszło nam przez myśl go wcześniej przeczytać. Jeśli już, to było nam trochę wstyd, że sami nie wpadliśmy na ten pomysł.

Każdy, kto choć raz miał w rękach lokalną gazetę, wie, że sklejenie kilku rymów nie wystarczy, by stworzyć dzieło mające wartość dla kogokolwiek poza autorem. Uwagę Hope zwrócił nieszczęsny dwuwiersz, rymujący „Zawsze prałaś moje skarpety” i „Teraz leżysz w trumnie, niestety”.

– W trumnie? – powtórzyła. Jej głos odbił się echem w cichym kościele.

– Ćśś! – syknął tata.

– Tree, trumna to jest to pudło? Mama tam leży?

– Musisz być teraz cichutko, jesteśmy w kościele – odparłam. Zawsze działało, kiedy mama to mówiła, ale w moim głosie brakowało stanowczości.

– Mama jest w niebie z Jezusem! – oznajmiła Hope.

Wtedy podszedł do nas ojciec Michael.

– Hope, ciało twojej mamy jest w trumnie, ale jej dusza poszła do nieba – wyszeptał, zionąc na nią nieświeżym oddechem.

Kilka sekund później niosłam Hope do wyjścia przy akompaniamencie jej rozdzierającego wrzasku. Jak ktoś tak mały mógłby zrozumieć ideę rozdziału ciała i duszy? Trzeba było zaufać przeczuciom. Pogrzeb to nie jest uroczystość dla dziecka. Wiedziałam o tym. Ale najgorsza była myśl, że zawiodłam mamę.

Kończył się wrzesień. Był jeden z tych rześkich, słonecznych dni. Po błękitnym niebie ścigało się kilka białych chmur, a drzewa dopiero zaczynały się lekko złocić. Zbyt piękny dzień na coś tak smutnego. Hope przestała krzyczeć, jak tylko wyszliśmy z kościoła, i zaczęła mi się wrywać. Na asfaltowym chodniku leżały podeptane skrawki konfetti: różowe podkówki, białe motylki, cytrynowe serduszka. Moja siostra oddaliła się w podskokach, goniąc pierwsze spadające liście. Stałam bez ruchu i ją obserwowałam, myśląc, że jeśli uda jej się jakiś złapać, to na pewno będzie znak. Oczywiście, nic z tego. Jesienne liście mają w zwyczaju nagle zmieniać kierunek, gdy już masz prawie pewność, że lecą ci prosto w rękę. Poza tym Hope nigdy nie mogła się pochwalić zbyt dobrą koordynacją. Postanowiłam zabrać ją na McFlurry, zanim narastająca frustracja zamieni się w złość.

W ten sposób ominęło nas słuchanie komunałów ojca Michaela o tym, jaką mama była porządną żoną i matką, Charlotte Church śpiewająca „Pie Jesu” z odtwarzacza CD, no i opuszczenie trumny do grobu, co ponoć powinno się zobaczyć, żeby mieć poczucie zamknięcia rozdziału żałoby. Zastanawiam się, czy to dlatego wciąż czasem śni mi się mama i budzę się z cudownym uczuciem ulgi: wiedziałam, że to nie może być prawda! Dopiero po chwili mój mózg dostraja się do rzeczywistości.

Mama była popularna w lokalnej społeczności i miała wielu przyjaciół, którzy podjęli się przygotowania stypy w przykościelnej salce. Pod ścianą ustawiono stoliki, a za nimi znalazła się cała linia produkcyjna złożona z kobiet w fartuchach. Jedne szykowały plastikowe talerzyki z kanapkami, tartaletkami, bułeczkami i ciastami domowej roboty, wielkie plastikowe miski z czipsami i aluminiowe tacki z gorącymi parówkami, a inne dźwigały wielkie metalowe czajniki z herbatą, których zwykle używały podczas świątecznego jarmarku. Kobietom nalewały też sherry, a mężczyznom – whiskey.

Nie minęło wiele czasu, a atmosfera się ożywiła i goście zaczęli opowiadać różne historie. Ciocia Catriona, po otrzymaniu wieści o śmierci mamy, weszła do jej dawnej sypialni i poczuła tam intensywny zapach. Ponoć kiedy ludzie wracają, przynoszą ze sobą nowy zapach. Przez chwilę była pewna, że Mary jest z nią w pokoju, a potem przypomniała sobie, że przecież wetknęła do gniazdka odświeżacz powietrza, bo w rzadko używanym pomieszczeniu było już czuć stęchlizną.

Tata z każdym, kto miał ochotę słuchać, dzielił się opowieścią o tym, jak poznał mamę. Przyjechał do swojego rodzinnego miasta w Irlandii na pogrzeb babci i dostrzegł mamę na drugim końcu zatłoczonego pokoju, a w jej oczach zobaczył światło miłości.

To wyrażenie „światło miłości” przywiodło mi na myśl oczy mamy zaraz przed śmiercią. To był dobry opis. Tata potrafił tak zaskakiwać. Można się było zastanawiać, co tak łagodna i inteligentna kobieta jak mama w nim widziała, ale czasem dało się dostrzec jakiś przebłysk.

– Spotkaliśmy się na stypie i na stypie się rozstajemy!

Ten kończący historię frazes z godziny na godzinę brzmiał coraz bardziej fałszywie i łzawo – ojciec pławił się w okazywanym mu współczuciu, gdy kolejne osoby chwytały go za ramię i dzieliły się mądrościami w rodzaju: „Takie jest życie, Jim” albo „Piękne wspomnienia zostaną na zawsze”.

– Ach, była taką cudowną żoną! – wzdychał. To prawda, choć nigdy nie słyszałam, żeby powiedział tak do niej.

Nie uważałam, żeby był chociaż w połowie tak cudownym mężem, jak mama żoną, ale ona nigdy nie narzekała.

„Ojciec ma dużo na głowie”; „Ojciec ciężko pracuje, żebyśmy mieli co jeść”



– tak zazwyczaj usprawiedliwiała jego przesiadywanie w salonie zakładów albo w pubie. Nie żebyśmy za nim tęsknili. Zawsze unosiła się wokół niego aura potencjalnego zagrożenia.

– To alkohol, nie człowiek. – Mama broniła go nawet po koszmarnym wieczorze, gdy wyszło na jaw, że płaciła za lekcje baletu Kevina z domowego budżetu. Brandon wskoczył ojcu na plecy i kopał go po łydkach, a ja wybiegłam z domu, krzycząc do sąsiadów, żeby zadzwonili na policję. Myślałam, że on ich wszystkich pozabija.

Gdy na dworze zaczęło się ściemniać, atmosfera stała się już całkiem swobodna. Wszystko spowijała mgła lekkiego alkoholowego upojenia i wybujałych emocji, co zwykle zdarza się na weselach, gdy spotykamy dawno niewidzianych członków rodziny.

Kev usiadł przy pianinie i zagrał swój popisowy numer, „Danny Boy”, który pewnie zdażył kilka razy odśpiewać w Stanach na Dzień Świętego Patryka. Wszyscy tam przeżywają to święto jeszcze bardziej niż w Irlandii. Kev lepiej tańczył, niż śpiewał, ale nie fałszował. Po jego występie zapadła cisza pełna zaskoczenia, którą w końcu przerwały oklaski i zapewnienia, że matka byłaby z niego bardzo dumna.

– Zaśpiewasz nam coś, Jim?! – zawołał ktoś z głębi sali.

Tata chwilę się krygował, ale w końcu uległ.

– No dobra, to dawaj – powiedział, wszedł na małą scenkę i oparł się o pianino, śpiewając do akompaniamentu Keva „I Will Love You” irlandzkiego zespołu The Fureys.

Kiedy skończył, wszyscy mieli łzy w oczach. Na mnie to nie słowa piosenki zrobiły wrażenie, lecz widok taty i Keva razem, bo wiedziałam, jak bardzo ucieszyłoby to mamę. W końcu milczącą zadumę przerwał cieniutki głosik tuż przy mnie, zaskakująco donośny i czysty.

– Idzie niebo ciemną nocą, ma w fartuszku pełno gwiazd. Gwiazdki świecą i migocą, aż wyrzwały ptaszki z gniazd!

Na twarzączce Hope malowała się zaskakująca powaga. Ta mała, pulchna figurka, ilustrująca piosenkę ruchami, których nauczyła się w szkole, wyglądałaby przezabawnie, gdyby to nie było tak bardzo wzruszające.

Kiedy skończyła, wszyscy bili brawo, ale w przeciwieństwie do Kevina i taty, Hope nie pławiła się w blasku pochwał. Wyglądała, jakby w ogóle ich nie zauważyła.

– A ty, Tereso? – zapytała ciotka Catriona. – Jeszcze ciebie nie słyszeliśmy.

Pewnie miała dobre chęci i chciała dać mi szansę, ale to zabrzmiało jak zarzut.

– Nie umiem śpiewać – zaprotestowałam.

– Nie szkodzi, Tree – zaszczębiotała Hope. – Każdy jest dobry w jednym,

a niezbyt dobry w drugim.

To zabrzmiało tak bardzo w stylu mamy, że wszyscy poza Hope się roześmiali.

– Okej. To był ulubiony wiersz mamy – powiedziałam, żałując, że nie zaproponowałam, by go odczytać na pogrzebie.

*„Innisfree, wyspa na jeziorze”*

*Wstanę teraz, by pójść ku wyspie Innisfree,*

*Chatka z gliny i łóz na środku wyspy stanie:*

*W dziewięciu rzędach groch i ul, i pszczoły, i*

*Mieszkanie będę miał na pełnej pszczół polanie.*

*I znajdę spokój tam, gdzie świerszczy śpiewny gwar,*

*Spokój z poranka mgieł powoli spłynie w końcu;*

*Północ tam zawsze łśni, błyszczą południa żar,*

*A purpurowy zmierzch pełen jest skrzydeł dzwońców.<sup>[3]</sup>*

Recytowałam słowa wiersza powoli i wyraźnie, starając się pohamować drżenie głosu, tak żeby mama mogła być ze mnie dumna. Zastanawiałam się, czy marzyła o spokoju i samotności z daleka od ciągłego zgiełku i chaosu naszej rodziny. A kiedy rozglądałam się po twarzach jej przyjaciół i krewnych, pomyślałam, że może wszyscy wyobrażamy sobie to samo: dla niej ten wiersz opisywał właśnie niebo. Ta myśl przyniosła odrobinę kojącego spokoju. Może właśnie o to chodzi ludziom, którzy mówią, że poezja przynosi pocieszenie.

Kiedy skończyłam, pomieszczenie ogarnęła głęboka cisza.

– Czas spać – powiedziałam do Hope, korzystając z okazji do pożegnania się, zanim znów rozpoczną się śpiewy, a wraz z nimi poleje się więcej alkoholu. To mogło bez trudu zamienić ogólną wesołość w awanturę jednym nieprzemyślanym zdaniem.

Gdy kąpałam Hope, mała zauważyła na parapecie motylka. Takiego białego, z małą czarną kropką na każdym skrzydle. Bielinek kapustnik.

– Chce wyjść – powiedziała. Machinalnie otworzyłam okno łazienki, a motyl wyleciał w gasnący zachód słońca.

Dopiero gdy znów przykłękałam, żeby nałożyć Hope szampon na głowę, zaczęłam myśleć, jak motyl mógł się dostać do środka. W ogrodzie za domem rosła budleja, która latem przyciągała motyle, ale zazwyczaj te pomarańczowe, no i żadnego nigdy nie widziałam w domu. Czy nie było już trochę późno dla motyli? Może wleciał tu, żeby się ogrzać?

A może to był znak, o który prosiłam mamę, i jedyne co zrobiłam, to wypuściłam go z powrotem na zimno.

Następnego ranka, gdy tata wciąż jeszcze chrapał na górze, a Hope oglądała „Teletubisie”, Brendan przyszedł z hotelu i powiedział, że Kevin już pojechał na lotnisko.

Ponoć kilka godzin po tym jak zabrałam Hope, na stypie rozpętała się wielka awantura. Kevin zebrał się na odwagę i oznajmił, że Shaun, mężczyzna, z którym dzielił pokój w hotelu, to nie kolega, który zabrał się razem z nim na spotkanie służbowe, lecz partner od dwóch lat. Partner!, krzyknął ze łzami w głosie, którego nie mógł nawet przedstawić rodzinie na pogrzebie własnej matki!

Ani mnie, ani Brendana nie zaskoczyło za bardzo, że Kevin jest gejem (szczerze mówiąc, pewnie nawet ojciec się tego spodziewał, bo zawsze był podejrzliwy wobec jego lekcji tańca). Ale ogłaszać takie rzeczy na pogrzebie, powiedział Brendan, to po prostu słabe, nie?

Ojciec, już całkiem rozklejony i na dobre osadzony w roli ofiary, zawodził do ojca Michaela: „Jednego dnia straciłem i żonę, i syna!”.

To z kolei dało Kevinowi okazję, by wyliczyć ojcu wszystkie pretensje, jakie skrywał od dzieciństwa. O ironio, sytuację uratował nie kto inny, jak właśnie Shaun, który przyjechał taksówką po tym, jak usłyszał przez telefon napastliwy bełkot Keva, i zgarnął go z powrotem do hotelu.

– Wygląda na porządnego gościa – ocenił Brendan.

Przeszło mi później przez myśl, że może Kevin bardziej lub mniej świadomie stworzył sobie okazję do dramatycznego wyjścia – zawsze miał skłonności do przesady – co pozwoliło mu wykręcić się od rodzinnych zobowiązań. A może nawet nie powstało mu w głowie, podobnie jak chyba Brendanowi, że została nas w domu trójka: ja, nasza pięcioletnia siostra i pijący ojciec.

– Chciałam z tobą porozmawiać, co będzie dalej z Hope – powiedziałam, próbując poruszyć temat.

– Przejdzie jej szybciej, niż ci się wydaje – odparł Brendan. – Dzieci tak mają.

Sam był ojcem dwójki maluchów, więc pewnie się na tym znał. No i mieszkał na drugim końcu świata. Co ja sobie myślałam? Czego się po nim spodziewałam? Ale byłoby jednak miło, gdyby ktoś zainteresował się, jak sobie radzę.

Do ostatniej chwili zwlekałam z rezygnacją ze studiów. Nie dlatego, że zapomniałam albo nie miałam czasu, ale dlatego, że po cichu liczyłam na jakiś cud.

Odczekałam, aż tata i Hope pojedą z Brendanem na lotnisko, żebym mogła być w domu sama.

– To bardzo późno na taką decyzję – westchnęła administratorka akademika.

– Moja mama niedawno zmarła, więc byłam zajęta pogrzebem.

– Och. Przykro mi.

Jeszcze nie wiedziałam, jak na to odpowiadać. „Nie szkodzi” brzmiało bez sensu. „Mnie też” wydawało się impertynenckie.

– To nie pani wina – wydusiłam w końcu. To też nie było dobre.

Nastąpiła pełna zażenowania pauza.

– Obawiam się, że nie będziemy mogli zwrócić depozytu, chyba że znajdzie się ktoś inny na pani miejsce. Muszę przyznać, że teraz to już mało prawdopodobne. Oczywiście, dam znać, jeśli coś się zmieni.

– Dziękuję.

Odłożyłam telefon i dopiero wtedy się rozplakałam. Głośnym, rozdzierającym szlochem. Brzmi samolubnie, co? Ale to nie tylko moje marzenie właśnie runęło w gruzy. To było też marzenie mamy. Moje studia były naszym wspólnym projektem.

Nie wiem, jak długo płakałam, siedząc w kuchni, która bez niej wydawała się porażająco pusta. W końcu przestałam i wlepiłam wzrok w talerzyk z napisem: *Dziś jest pierwszy dzień reszty twojego życia.*

We wszystkich książkach o żałobie piszą, że jeśli małe dziecko straci rodzica, nie można zrobić nic gorszego, niż zacząć zmieniać rzeczy wokół niego. Wydawałoby się, że rozpoczęcie wszystkiego od nowa to dobry pomysł, ale to ponoć wcale nie tak. Dziecko miało już dość zmian. Teraz potrzebuje stabilizacji. Może tak właśnie było z tym talerzem.

Schowałam go do szafki, ale Hope zauważyła jego brak zaraz po powrocie z lotniska i zażądała, by postawić go z powrotem na półce. Więc został tam, gdzie był wcześniej. Czasami na jego widok robiło mi się przykro, czasem byłam prawie nieprzytomna z żalu, a czasami czułam taką złość, że chciałam go rozwalić o podłogę. Według książek to są kolejne etapy żałoby.

## Wrzesień 1997

### GUS

Trudno wyglądać na wyluzowanego, gdy depcze ci po piętach matka z naręczem rzeczy kupionych na dobry początek studenckiego życia: dekoracyjne poduszki, zestaw pierwszej pomocy, przybornik na biurko i szczotka toaletowa w ceramicznym stojaku.

Kiedy w końcu przytargaliśmy cały mój dobytek i złożyliśmy go na stercie pośrodku pokoju, przez chwilę po prostu staliśmy we trójkę w milczeniu, nie wiedząc, co powiedzieć. To był najzwyczajniejszy pokój: z jednoosobowym łóżkiem, biurkiem i wbudowaną szafą, przedostatni na korytarzu pełnym takich samych pomieszczeń, czekających na nowych mieszkańców z otwartymi szeroko drzwiami. Trafiło mi się drugie z czterech pięter, więc z okna nie było takiego widoku, jak obiecywał katalog. Ale za to pokój był od strony podwórza, więc nie dochodził tu hałas z ulicy. Podszedłem z ojcem do okna. Wlepiliśmy wzrok w gałęzie dwóch okazałych drzew, liście powoli zaczynały już brązowieć.

– No, przynajmniej nie będziesz na parterze – przerwała ciszę mama. – To co, rozpakujemy cię?

Ojciec okazał rzadki moment zrozumienia.

– Angus będzie pewnie chciał sam sobie wszystko poukładać – powiedział. Łagodnie, lecz stanowczo wziął matkę pod ramię.

– Och! – Nagle w jej oczach zakręciły się łzy. Uświadomiła sobie, że już czas na pożegnanie. Prędkiej, niż się spodziewała. – Może chociaż zabierzemy go na obiad?

Ostatnia prosta wciąż się wydłużała. Zrobiło mi się słabo na myśl o przemierzaniu okolicy, zaglądaniu w menu wywieszane przed drzwiami lokali, o ojcu wyciągającym okulary i głośno odczytującym nazwy dań. Ale nic nie powiedziałem. Wołałem przecierpieć jeszcze godzinę albo dwie, niż rozstać się w poczuciu winy, że nie zachowałem się, jak należy.

Ojciec zerknął na zegarek.

– Zostało nam niecałe dwadzieścia minut darmowego parkingu. – Samochód stał pod Sainsbury's.

– No dobrze. – Mama stanęła na palcach i cmoknęła mnie w policzek, a potem jeszcze przez moment przytrzymała mnie na odległość wyciągniętych ramion, mierząc wzrokiem z góry na dół. Jak zwykle poczułem, że zostałem oceniony dość dobrze, ale nie w stu procentach dobrze.

Nad jej głową dostrzegłem dziewczynę o ufarbowanych na różowo włosach i z plecakiem zarzuconym na ramię. Zatrzymała się przed wejściem, spojrzała na mnie, na numer na drzwiach, na świstek papieru w dłoni, a potem ruszyła dalej.

Spodziewałem się, że ojciec uściśnie mi dłoń jak swoim kumplom z klubu golfowego, ale on nagle wyciągnął pomarańczową plastikową reklamówkę.

– Żeby mieć darmowy parking, trzeba wydać piątaka... – powiedział. Zajrzałem do reklamówki i wyjąłem butelkę szampana.

– Ale... – to kosztowało dużo więcej niż piątaka, chciałem powiedzieć. Oczywiście, że więcej. – ...To bardzo miło z waszej strony!

– Tylko nie wypij całego na raz!

Widząc, jak promienieje z zadowolenia, że udała mu się niespodzianka, przypomniałem sobie, że przecież kiedyś był wesołym człowiekiem.

Wyszliśmy razem na korytarz.

– Masz klucze?

– Mam!

– To początek twojej nowej drogi życia – zaczęła mama, ale nie dokończyła. Wiedziałem, że myśli o drodze Rossa, tak nagle przerwanej.

– Pracuj ciężko! – dodał ojciec.

– Nie będę miał innego wyjścia! – odparłem, co chyba go ucieszyło.

Patrzyłem za nimi, jak odchodzili korytarzem. Jej płaszcz z wielbłądziej wełny i jego marynarka na tle pomazanych graffiti ścian akademika krzykliwie podkreślały ich status społeczny. W końcu zawróciłem. Poczulem dziwną pustkę. Miałem nadzieję, że gdy uwolnię się wreszcie od duszącej rodzinnej żałoby, będę mógł stworzyć sobie własną tożsamość, ale zamiast tego miałem wrażenie, że nie zostało we mnie zupełnie nic.

Moja nowa sąsiadka była zajęta przyklejaniem do drzwi kartki, na której napisała dużymi, wyraźnymi literami: *Pokój Nash*.

– Trochę tu sztywno, co? – Pchnęła drzwi, żeby pokazać mi swój pokój. Ponieważ znajdował się w rogu budynku, miał dodatkowe okno. Pod sufitem zdążyła już zawisnąć jakaś lustrzana ruchoma dekoracja, chwytająca słabe promienie jesiennego słońca i odbijająca je w złożony wzór światełek na wytartym beżowym dywanie.

– Miałam fuksa, co? Wczoraj jeszcze nie miałam gdzie mieszkać, ale ktoś zrezygnował w ostatniej chwili. A w ogóle to jestem Nash. To skrót od Natashy.

Wskazałem głową kartkę na jej drzwiach.

– No! – Odrzuciła różowe włosy dramatycznym gestem, więc pomyślałem, że może powinienem o nie zapytać.

– Angus – przedstawiłem się.

– Poważnie?

Nigdy nie wydawało mi się, by w tym imieniu było coś dziwnego.

– To szkockie imię, nie? – dodała, chyba chcąc przez to powiedzieć, że nie zauważyła u mnie szkockiego akcentu.

– Mój ojciec jest Szkotem.

– Więc jak mam do ciebie mówić? – „Angus” ewidentnie się nie nadawał.

W szkole mówiliśmy do siebie po nazwisku. Dlatego moje, Macdonald, często było skracane do Mac. Czasami mówili też na mnie Burger, od MacDonalda. Nie zamierzałem się jej z tego zwierzać.

– Może Gus? – zaproponowała. Nikt nigdy nie nazywał mnie Gus. Spodobało mi się. Moja nowa tożsamość zyskała imię.

– Gus, jak najbardziej – zgodziłem się prędko, wyciągając rękę na potwierdzenie.

– Ile masz wzrostu?

Ludziom często wydaje się, że to w porządku pytać o coś takiego, mimo że w życiu nie przeszłoby im przez myśl dociekać, ile waży ktoś gruby. Nie ośmieliliby się nawet zapytać o dokładny wzrost kogoś bardzo niskiego.

– Metr dziewięćdziesiąt cztery – odparłem. Nie byłem w stanie wymyślić żadnego pytania, jakie mógłbym jej zadać.

– Zaproponowałabym ci kawę. Ale tak się składa, że nie mam.

– A lubisz szampana? – wypaliłem.

– Co za głupie pytanie!

Ojciec dostałby zawału, gdyby zobaczył, że otwieram szampana przed szóstą i piję go na ciepło z ceramicznych kubków zdjętych z drewnianego wieszaczka od mamy. Ale dzięki tej myśli alkohol smakował jeszcze lepiej.

– Niebiańska dekadencja, mój drogi! – oznajmiła Nash.

Trochę mi przypominała Sally Bowles z „Kabaretu”. Nie żeby wyglądała jak Liza Minelli – miała na sobie workowaty czarny dres i tenisówki bez sznurówek – ale roztaczała wokół siebie taką samą aurę świadomego ekscentryzmu. Przeszło mi przez myśl, że może w jej oczach jestem niewinnym, zagubionym chłopaczkiem w stylu Michaela Yorka, możliwe że gejem, pierwszy raz w dużym mieście.

– Co studiujesz? – zapytałem i aż się skrzywiłem w duchu. Co za banał.

– Zgadnij! – zażądała, wyciągając się na plecach na łóżku. Zasłała je już czarnym prześcieradłem i czerwoną kołdrą. Tuż nad jej głową wisiał plakat z podobizną Che Guevary.

– Politologię?

Zrobiła zaskoczoną minę.

– Angielski i teatrologię. – Przyjrzała mi się uważnie. – Psychologia?

Schlebiało mi, że zrobiłem na niej wrażenie kogoś, kto studiuje psychologię.

– Medycyna.

– Och, to pewnie jesteś bardzo zdolny.

– Nieszczerólnie.

– Będę aktorką – oznajmiła.

– Ja nie jestem pewien, kim chcę zostać – odparłem, licząc, że zabrzmiałoby tajemniczo.

Nash się roześmiała.

– Co?

– No przecież będziesz lekarzem!

Przygniotło mnie to stwierdzenie, tak oczywiste nawet dla kogoś świeżo poznanego. Poczulem, jak nieuniknione uderza prosto w moją nową, jeszcze delikatną tożsamość.

Nalałem resztkę szampana do kubka i wychyliłem jednym tchem jak lemoniadę.

– Przydałoby się coś zjeść, nie sądzisz? – Nash nagle okazała się tą trzeźwiejszą i rozsądniejszą.

Najbliżej była jakaś grecka restauracja. Nie podawali jedzenia przed szóstą, ale kelner powiedział, że możemy do tego czasu posiedzieć i się czegoś napić. Nash była kiedyś w Grecji i powiedziała, że powinniśmy zamówić retsinę. Wino miało kwaśny, żywiczny posmak, przywodzący na myśl szkolny prysznic, z którego przed chwilą wyszła sprzątaczką.

– Na kogo głosowałeś? – Nash była bardzo bezpośrednia.

Urodzeni w 1979 roku, byliśmy pokoleniem Margaret Thatcher. Dotąd znaliśmy tylko rządy konserwatystów, ale w maju tego roku przez kraj przetoczyła się wielka zmiana.

– Nie przepadam za polityką – spróbowałem zrobić unik, bo w ogóle nie zagłosowałem.

– No, to jesteś torysem. Jeśli nie jesteś gotowy podważać status quo...

Nigdy nie myślałem o tym w ten sposób. Zostałem wychowany w przekonaniu, że nie wypada wypytywać o poglądy.

– Piłka nożna czy rugby? – Nash nie odpuszczała.

– Piłka i bieganie.

– Czyli jesteś z małej prywatnej szkoły i zawsze trzymałeś się trochę z boku – wywnioskowała, zamasyście strzepując serwetkę. Zamachała w kierunku kelnera, który obok nakrywał duży stół.

Skrzywiłem się, słysząc tak trafne podsumowanie.

– Założę się, że twój tata jest lekarzem.

– Dentystą.

– Czyli lekarzem, któremu nie wyszło. Jeszcze lepiej!

Nigdy nie przyszło mi to do głowy. Może tacie zależało, żeby obaj jego synowie zostali lekarzami, bo chciał sobie zrekompensować własne niespełnione ambicje. Czy coś mu się nie udało po drodze? Zastanawiałem się, czy Nash była tak bardzo spostrzegawcza, czy po prostu nieuprzejma.



– Co zamawiamy? – zapytała, przeglądając menu. – Przy okazji, jestem wegetarianką.

Zauważyłem, że wygłasza co jakiś czas takie informacje, jakby rzucała mi wyzwanie i spodziewała się, że zacznę z nią dyskutować.

Nigdy wcześniej nie jadłem żadnych greckich potraw poza musaką, która niczym się nie różniła od innych brejowatych dań z mielonego mięsa, jakie podawano w mojej szkolnej stołówce, więc pozwoliłem Nash wybrać. Kelnerzy przynieśli nam małe talerzyki z oleistymi dipami, kawałki gumowatego smażonego sera i koszyki z ciepłymi pitami. Zjadłem z apetytem, czując, że mój żołądek jest mi wdzięczny. Jedzenie zagłuszyło w końcu żywiczny posmak retsiny, więc zgodziłem się z Nash, że powinniśmy teraz zamówić karafkę czerwonego wina.

Resztę wieczoru pamiętam jak przez mgłę. Było trochę przyjaznych przepychanek, śmiechu, ale też parę łez. Rodzice Nash byli po rozwodzie, jej ojciec zdążył się jeszcze dwa razy ożenić, a matka mieszkała teraz z kobietą. Wyglądało na to, że Nash ma sporo przyrodniego rodzeństwa w różnych krajach. O ojcu mówiła „ten gnój”, ale było widać, że tęskni za jego zainteresowaniem. Poczulem ulgę na myśl, że ta pewna siebie, obyta dziewczyna też ma jakieś słabsze strony.

– A twoja rodzina? – zainteresowała się.

– Nic ciekawego.

– Bardzo tajemniczo!

– Albo bardzo zwyczajnie.

– Masz jakieś rodzeństwo?

Przez sekundę nie potrafiłem odpowiedzieć. Stała mi przed oczami twarz Rossa, patrząca na mnie zza gęstej zasłony śniegu, jego białe zęby, oczy ukryte za goglami narciarskimi.

– Nie – odparłem.

*To niezupełnie kłamstwo, Ross.*

– Wiesz co – dodałem pośpiesznie – nie chcę być postrzegany przez pryzmat pochodzenia czy tego, kim są moi rodzice. Zawsze czułem się jak wyrzutek: i w rodzinie, i w szkole. Teraz wreszcie mogę być naprawdę sobą.

– Więc jaki jesteś naprawdę?

– Pojęcia nie mam.

Nash omyłkowo wzięła moją szczerość za błyskotliwy żart.

Następnego ranka obudziłem się w ubraniu, ale czułem się dobrze, umysł miałem jasny – dopóki nie spróbowałem usiąść. Wtedy okazało się, że w nocy ktoś zastąpił moją czaszkę twardym metalowym pudełkiem, o które mózg obijał się boleśnie przy najlżejszym ruchu. Rozważyłem możliwości: albo z powrotem zanurzyć się pod kołdrę, albo wybiegać resztki alkoholu.

Na podłodze wciąż leżała sterta nierozpakowanych rzeczy. Wygrzebałem spośród nich torbę sportową i wyciągnąłem szorty oraz buty do biegania. Po chwili

paniki znalazłem też klucz do drzwi – okazało się, że bardzo rozsądnie zostawiłem go w zamku po wewnętrznej stronie, choć nie pamiętałem, żebym to zrobił. Nie pamiętałem też powrotu do pokoju, ale kiedy wyszedłem na deszcz i potruczałem przez kałuże, zaczął mi się przewijać przed oczami film z poprzedniego wieczoru. Co jakiś czas obraz zastygał na klatkach przedstawiających wyjątkowo zawstydzające momenty. Czy włosy naprawdę wplątały mi się w plastikową winorośl zdobiącą sufit restauracji, gdy wstałem, by iść do toalety? Czy rzeczywiście tłukliśmy talerze i tańczyliśmy w rozszalałym kole podczas czyjegoś wesela?

Miejskie chodniki były śliskie. Pokrywała je błotnista zupa, ochlapująca mi nogi i wsiąkająca w białe adidasy, ale deszcz był chłodny i oczyszczający. Przykleił mi włosy do czoła i spływał po twarzy, kiedy odchylałem głowę.

Na ulicach było dość pusto, tylko co jakiś czas przez kałuże przetaczał się autobus. Nie miałem pojęcia, dokąd biegnę, ale gdy dotarłem do większego skrzyżowania, postanowiłem skręcić w lewo, w zamożniejszą okolicę pełną agencji nieruchomości. Natrafiłem na pub ze stolikami na chodniku i koszykami wymęczonego geranium, kołyszącymi się na wilgotnym wietrze. Obok stał otwierający się właśnie kiosk. Zdjąłem z półki przewodnik i zobaczyłem, że przebiegłem trzy czwarte drogi w kanciastym kółku. Akademik był ponad kilometr stąd. Kupiłem karton mleka. Gdy pobiegłem w stronę akademika, deszcz zaczął słabnąć, a kac zniknął na dobre.

W męskiej łazience natrafiłem na potężnego gościa, który wyglądał na pozoranta. Ostentacyjnie się wycierał, tak jak chłopaki z drużyny rugby w mojej szkole: upewniając się, że zakodowałaś sobie, jakie mają wielkie mięśnie i pały. Wlepił wzrok w moje ubłocone nogi.

– Nawaliłem się wczoraj, to trzeba było pobiegać – rzuciłem nonszalancko. Zauważyłem, że chyba awansowałem w jego ocenie oczko wyżej.

Kiedy wróciłem do pokoju, otworzyłem pudełko z napisem Kuchnia. Wewnątrz znalazłem nowiutki czajnik oraz wielki słoik dobrej rozpuszczalnej kawy, wielką puszkę śmietanki w proszku i kilka puszek kawy do mielenia. Mama pomyślała o wszystkim. Pożałowałem, że nie pozwoliłem jej tego rozpakować i porozstawiać tak, jak chciała.

Z dwoma kubkami kawy w rękach stanąłem przed drzwiami Nash. Już miałem w nie kopnąć, gdy przypomniało mi się coś jeszcze.

Czy my się wczoraj całowaliśmy? Tak. Przed jej drzwiami. Najpierw zwykły całus, a potem z języczkiem. Później rzuciła mi powłóczyście spojrzenie spod rzęs i zapytała, czy chciałbym wejść, i było jasne, że zapowiada się seks, ale wymamrotałem coś w rodzaju: „To nie najlepszy pomysł”.

Nash nie była do końca w moim typie. Do tej pory nawet nie wiedziałem, że mam jakiś typ.

Wypiłem sam obie kawy i poszedłem na wykład inauguracyjny pierwszego roku medycyny.

Przed salą wykładową tłoczyło się już stadko nowych studentów, a w powietrzu aż iskrzyło od nerwów. W końcu ktoś stojący najbliżej wielkich drewnianych drzwi wpadł na pomysł, żeby pociągnąć za klamkę, okazały się otwarte. Przez tłum przetoczyła się fala śmiechu.

– Wasz pierwszy krok na drodze do podejmowania niezależnych decyzji – skomentował kwaśno profesor, czekający na nas przy mównicy. Wcisnęliśmy się w rzędy siedzeń, zerkając ukradkiem, czy sąsiedzi zdejmują kurtki albo wyjmują zeszyty.

Zauważyłem kilka znajomych twarzy z egzaminów wstępnych. Chłopak w okularach trzeźwo odpowiedział na moje rozpoznawcze skinienie głową; dziewczyna w chuście na głowie onieśmielona odwróciła wzrok.

– Jak myślisz, kto zemdleje? Ponoć zawsze ktoś odlatuje, jak pierwszy raz pokazują trupa – szepnął do mnie siedzący obok chłopak.

Wyciągnąłem palec w stronę krótkowłosej blondynki siedzącej zaraz przed nami, a ona nagle się odwróciła, jakby to wyczuła. Miała klasyczną urodę, o typowo angielskich, miękkich rysach. Jej oczy przez moment zatrzymały się na moich i poczułem, że się czerwienię.

Podczas przerwy na kawę mój sąsiad odkrył, że dziewczyna ma na imię Lucy. On miał na imię Toby. Usiedliśmy we trójkę przy stoliku w wydziałowej kawiarni.

Gdybym przyszedł przed salę wykładową chwilę później albo wcisnął się na koniec pełnego rzędu siedzeń zamiast na początku następnego, pewnie spędziłbym pierwszy dzień z kimś innym. A może to tak nie działa? Może ja i Lucy i tak mieliśmy spotkać się przy kawie? Jeśli usiadłbym obok Jonathana, tego w okularach, czy spędziłbym całe studia, grając w szachy, i też zostałbym wziętym onkologiem? Wydaje nam się, że sami sobie wybieramy przyjaciół, ale może tak naprawdę zawsze decyduje przypadek.

Już pierwszego tygodnia zabrali nas do laboratorium. Chyba chodziło o to, żebyśmy mieli z tym kontakt od samego początku. Na korytarzu panował gwar, ale gdy weszliśmy do pomieszczenia, zapadła cisza. Powietrze było gęste od chemikaliów.

Próbowałem się przygotować na widok czekający na mnie po otwarciu worka. Wyobrażałem sobie różne twarze, ale zawsze stare. Naszym oczom ukazał się młody mężczyzna o zniekształconej twarzy: uderzył głową o chodnik, gdy ciężarówka skręciła w lewo, prosto w jego rower.

Stojący koło mnie Toby zemdleł. Pomogłem wynieść go z laboratorium, podniosłem mu nogi do góry i oparłem o krzesło, a potem usiadłem obok. Udawałem spokój, dopóki nie poczuł się na tyle dobrze, żeby wrócić do środka.

Gdy weszliśmy, pozostali studenci przy naszym stoliku już zdążyli dotknąć ciała i zobaczyli, jak dotrzeć do różnych organów podczas operacji. Anatomia zajmiemy się porządnie w drugim semestrze, zapewnił wykładowca – do tego czasu zdążymy się przyzwyczaić.

– Wszystko okej? – zagadnęła Lucy, gdy stanęliśmy na końcu kolejki do stołówki.

Na jej twarzy malowała się troska. Nie byłem pewien, czy zauważyła, że też się źle poczułem w laboratorium. Była tak miła i ładna, że przez chwilę zaświtał mi dość cyniczny pomysł, by opowiedzieć jej o Rossie, żeby zainteresowała się mną bardziej niż Tobym. Ale nie zrobiłem tego. Nie mogłem znieść myśli, że nowi znajomi będą okazywać mi współczucie albo uważać przy mnie na słowa.

*Całe życie spędziłem w twoim cieniu, Ross. Koniec z tym.*

## Grudzień 1997

### TESS

W swoich pierwszych jasełkach Hope dostała rolę osiołka. Nie spodziewaliśmy się, że w ogóle wystąpi po awanturze, jaką zrobiła, gdy dowiedziała się, że nie będzie aniołkiem. Szczerze mówiąc, nie rozumiałam, czemu nie pozwalają jej być aniołkiem – było ich sporo do obsadzenia – ale wychowawczynie powiedziały, że Hope nie wyjdzie na dobre, jeśli będzie dostawać wszystko, czego chce. Musiałam przyznać pani Madden trochę racji. Poza tym przypuszczałam, że nie chodziło nawet o to, że jej wygląd lub zachowanie pozostawiały wiele do życzenia. Po prostu zamęczała wszystkich pytaniami.

Święta były dla Hope dziwnym doświadczeniem.

– Czy mama jest ze zwykłymi aniołami czy z archaniołami? – dociekała, jakby chodziło o imprezę dla VIP-ów.

Albo:

– Dziewica Maryja wygląda zupełnie jak Matka Boska.

– Bo to ta sama osoba, Hope.

– To czemu nazywa się też Dziewica Maryja?

– Bo różnie się na nią mówi.

Zrobiłam jej z kartonu maskę osiołka, na wypadek gdyby jednak zmieniła zdanie. Na próbie generalnej pani Madden po raz ostatni spróbowała przekonać Hope do udziału, mówiąc, że osiołek jako jedyny poza Jezusem będzie mieć własną kolędę. To przekonało małą do wystąpienia – potraktowała sprawę bardzo poważnie i weszła na scenę na czworakach, a potem się obraziła, gdy pozostałe dzieci dołączyły do śpiewania jej piosenki. W końcu udało się osiągnąć kompromis: Hope sama śpiewała pierwszą zwrotkę, a refren już wszyscy wspólnie: *Uciekali, uciekali, uciekali na osiołku przez pustyni żar.*

Hope zdążyła obejrzeć z boku tyle prób, że wiedziała dobrze, gdzie każdy powinien się znajdować. Między zwrotkami „Anioł pasterzom mówił” można było usłyszeć, jak strofuje wielbłąda, że nie stoi dokładnie na swoim miejscu. Kilka matek podeszło do mnie po występie i powiedziało, że mama byłaby bardzo dumna. Rozciągały twarze w wymuszonych uśmiechach, dając do zrozumienia, że tym razem mi odpuszczają.

Hope nie była popularna nawet wśród innych dzieci. Wydawałoby się, że cztero – i pięcioletki będą na to za małe, ale okazało się inaczej. Gdy zajmowałam się maluchami na placu zabaw, patrzyłam, jak biega w kółko po boisku w jakimś

samotnym wyścigu, i modliłam się, żeby któreś z dzieci do niej podeszło, żeby się zaprzyjaźnić. Hope chyba było to obojętne, ale mnie pękało serce.

Spróbowałam porozmawiać z tatą o jej osamotnieniu, ale on tylko zaczął starą śpiewkę, że mała jest rozpuszczona i że nie trzeba było jej na wszystko pozwalać.

– Jeśli trochę pobędzie sama, to w końcu sobie poradzi – powiedział, nie rozumiejąc, że Hope już od dłuższego czasu jest sama. Ale z tatą nie było dyskusji.

Brendan dzwonił z Australii co dwa tygodnie, ale on też nie potrafił mi doradzić, jak pomóc Hope.

– Pewnie też czułaś się samotna, gdybyś miała pięć lat i właśnie straciła mamę. Za dużo się martwisz!

Też byś się martwił, gdybyś miał osiemnaście lat i nagle musiał się sam zajmować pięciolatką – miałam ochotę odparować. Ale to byłoby dziecinne.

Podczas lunchu ostatniego dnia semestru pani Corcoran poprosiła mnie do swojego gabinetu. Byłam pewna, że urządzi mi pogadankę na temat zachowania Hope albo czegoś jeszcze gorszego. Zamiast tego usłyszałam, że szkoła zamierza szukać nowej wychowawczynie, ale jeśli jestem zainteresowana, to chętnie mnie zatrudnią.

– Układ korzystny dla wszystkich – powiedziała.

– No wiesz, skoro i tak tam pracujesz, to równie dobrze mogliby ci za to płacić – skomentowała Doll podczas domowego seansu „Bezsenności w Seattle”. Doll od pewnego czasu wpadała do mnie w każdy piątek z jedzeniem na wynos i filmem, gdy tata był w pubie. Zwykle wybierała jakieś romantyczne historie, żebyśmy obie mogły się porządnie wypłakać.

– Tylko dopóki Hope się trochę nie usamodzielni – dodała.

Często używaliśmy tego zwrotu. Dopóki Hope się nie usamodzielni. Jakby to była tylko chwilowa sytuacja. Wciąż wypożyczałam książki z sylabusu mojego kierunku, żeby nie być w tyle, gdybym jakimś cudem wróciła na uczelnię.

Chyba spodziewałam się, że Doll będzie mnie odwozić od tego pomysłu, ale obie wiedziałyśmy, że nie mam wyboru. Tata musiał chodzić do pracy, więc nie mogłby zajmować się Hope nawet wtedy, gdyby potrafił albo chciał siedzieć z małym dzieckiem. Jakakolwiek alternatywa nie wchodziła w grę.

– Wiem, że bardzo ci zależało na studiach, więc jest mi przykro ze względu na ciebie. Ale trochę się też cieszę, że tak wyszło... Ze względu na siebie – oznajmiła Doll, sięgając po kawałek pizzy. – Czy z tego powodu jestem dobrą przyjaciółką czy potwornym samolubem?

– Oczywiście, że potwornym samolubem – odparłam z wymuszonym śmiechem.

Przez jakiś czas obie wpatrywałyśmy się bez słowa w telewizor.

– Wierzysz w Tego Jedynego? – zapytała w końcu Doll.

– Zależy, co masz na myśli – powiedziałam trochę zbyt opryskliwie, jak to się czasem zdarza, gdy za wszelką cenę chcesz powstrzymać łzy. Nie zbierało mi się na płacz ze względu na film, bo nie skupiałam się za bardzo na fabule. Po prostu właśnie potwierdziłyśmy, że nigdzie się nie wybieram.

– No wiesz, w tę jedną osobę, która jest ci przeznaczona.

– Brzmi mało prawdopodobnie, nie sądzisz?

– Czemu? – zainteresowała się Doll, próbując elegancko sobie poradzić z ciągnącą się w nieskończoność nitką mozzarelli.

– No pomyśl, tylko jedna osoba na całym świecie? A co, jeśli ten ktoś mieszkałby w amazońskiej dżungli albo mówił tylko po arabsku, czy coś w tym rodzaju? I skąd w ogóle miałabyś to wiedzieć, no bo jeśli myślisz, że ktoś jest Tym Jedynym, a w rzeczywistości nim nie jest, to może straciłaś swoją jedyną szansę na spotkanie...

– No, a pan Darcy?

Tak samo jak wszystkie inne dziewczyny, obie kochałyśmy się na zabój w Colinie Fircie, grającym pana Darcy'ego w telewizyjnym serialu „Duma i uprzedzenie”.

– To było w dziewiętnastym wieku – przypomniałam. – Wtedy nie spotykało się tylu ludzi co dzisiaj.

– W ogóle nie jesteś romantyczna!

Przewertowałam w myślach listę wielkich literackich romansów. Czy to naprawdę było przeznaczenie, czy ci ludzie po prostu mieszkali blisko siebie? Cathy i Heathcliff żyli w jednym domu, Romeo i Julia oboje byli z Werony. Czy Ten Jedyny nie jest po prostu złudzeniem wywołanym przez miłość, uczucie, którego jeszcze nie poznałam? Czy to uczucie jest na tyle potężne, by uwierzyć, że ta jedna osoba została nam zapisana w gwiazdach? Czy to nie jest bardziej kwestia definicji niż predestynacji?

Na ekranie w końcu doszło do spotkania Meg Ryan i Toma Hanksa na szczycie Empire State Building.

– Mogła lepiej trafić, nie sądzisz? – skomentowała Doll podczas napisów końcowych. – No wiesz, to dobry aktor, ale nie jest chyba szczególnie seksowny, co?

– Czekaj, i to niby ja nie jestem romantyczna?

– Dobra, gdybyś mogła w tej chwili wybrać kogokolwiek na świecie, to kto by to był? – Doll nie dawała mi spokoju.

Wątkowałyśmy ten temat wiele razy w drodze ze szkoły do domu. Wtedy wygrywał Robbie Williams, chociaż w głębi duszy podejrzewałam, że gdybyśmy jakimś cudem się spotkali, wybrałby Doll, bo ona była drobną blondynką i podobała się chłopakom.

– George Clooney? – rzuciłam.

Wszystkie wychowawczynie w szkole Hope uwielbiały „Ostry dyżur”. Okazało się, że mam coś wspólnego ze stadkiem współczujących pań w średnim wieku – podobnie jak one wzdychałam do Clooneya. Poza tym rozmowa zazwyczaj schodziła na takie tematy jak żyłaki czy menopauza.

– Trochę stary dla ciebie, co?

– Przecież i tak nigdy go nie spotkam.

– Zawsze leciałaś na starszych facetów – zamyśliła się Doll.

– Skąd ci to przyszło do głowy?

– „Małe kobietki”, pamiętasz? Zupełnie ci nie przeszkadzało, że Jo związała się z tym starym nauczycielem, zamiast z milutkim Lauriem. To jedyna książka, którą przeczytałam od początku do końca – przyznała, gdy dostrzegła moje osłupiałe spojrzenie. – Bo mnie zmusiałaś.

– A ty kogo byś wybrała? – Czułam się w obowiązku odwzajemnić pytanie.

– Ze znanych ludzi... Toma Cruise'a.

– No, on jest cudowny.

– Za niski dla ciebie – ucięła natychmiast Doll, jakbym miała jej go odbić.

Wstała i wyjęła kasetę z magnetowidu.

– A z chłopaków, których znamy? – zapytała.

Chciałam odpowiedzieć, że przez ostatnie kilka tygodni raczej nie w głowie mi były romanse, ale wtedy usłyszałam, jak tata zgrzyta kluczem w zamku. Podskoczyłam, żeby uprzątnąć resztki pizzy. Nigdy nie było wiadomo, w jakim humorze ojciec wróci z pubu.

Wszedł do pokoju w chmurze zapachu curry.

– O, zamówiłyście sobie pizzę, co, dziewczyny? – zainteresował się, widząc pudełko na stole.

– Tak.

– A dla mnie nic nie zostało? – Podniósł pokrywkę, raczej żartem niż złośliwie.

– Przykro nam!

– A ile taka pizza kosztuje?

– Doll zapłaciła – odparłam prędko.

– Masz już pracę, co?

– Tak, proszę pana, pracuję teraz w salonie fryzjerskim na pełen etat.

Podczas gdy ja uczyłam się w liceum, Doll chodziła do technikum, gdzie uczyła się zawodu, ale odkąd skończyła trzynaście lat, pracowała w wieczory i weekendy u najmodniejszego fryzjera w mieście. Zdążyła przez ten czas dojść od zamiatania włosów z podłogi do posady młodszej stylistki.

– No, proszę. – Ojciec rzucił mi krzywe spojrzenie.

– Ja też dostałam pracę – usłyszałam nagle własny głos. Serce aż mnie zabolalo na myśl, że nie ucieknę od propozycji pani Corcoran. – Po świętach będę



wychowawczynią na etacie.

– No, to wtedy będziesz mogła kupować pizzę – odparł tata.

Nie: dobra robota, czy coś w tym stylu. Tata nie wybaczył mi, że wolałam iść na studia, zamiast pracować. Mimo że i tak nie poszłam.

Wymieniłyśmy z Doll porozumiewawcze spojrzenia.

– No, to ja będę się zbierać.

– Odprowadzę cię – zaproponowałam. Miałam nadzieję, że gdy wrócę, tata będzie już spać. Wydawałoby się, że śmierć mamy zbliży nas do siebie, ale zamiast tego ojciec stał się jeszcze bardziej kłótlivy. Może to był jeden z etapów jego żałoby.

Przyjemnie było znaleźć się na świeżym powietrzu po całym wieczorze w domu.

– Ojej, zapomniałam! Mama zaprasza was na święta – oznajmiła nagle Doll.

– Wszystkich.

Prawie się rozplakałam z wdzięczności. Tak bardzo martwiłam się świętami. Nie wiedziałam, czy mogę przynieść ze strychu choinkę, czy wypada dekorować salon papierowymi łańcuchami. Kiedy próbowałam rozmawiać o tym z tatą, słyszałam:

– Święta? Z roku na rok coraz wcześniej się to zaczyna!

Zawsze znajdował jakąś wymówkę – pub, partyjkę snookera, mecz – przez którą nie miał czasu czegokolwiek ze mną ustalić.

Na stoliku w korytarzu piętrzył się stos nieotwartych kartek z życzeniami. Wyjątek stanowiła ta zrobiona w szkole przez Hope, wycięta na kształt choinki i tak naładowana klejem i brokatem, że nigdy do końca nie wyschła. Postawiłam ją na kuchennej półce z drobiazgami. Hope spoglądała na nią codziennie rano znad miski płatków i mówiła, całkiem niezłe naśladowując irlandzki akcent pani Corcoran:

– No pięknie ci wyszło, Hope, co?

Sama myśl o świątecznym obiedzie napełniała mnie przerażeniem. Nie miałam zielonego pojęcia o gotowaniu. Całe szczęście, że w szkole podawali lunch na gorąco, bo mój domowy repertuar ograniczał się do tostów z fasolką w sosie pomidorowym z puszek, tostów ze spaghetti z puszek oraz tostów z Marmite. Czasami zdarzało się, że tata wygrał coś na wyścigach konnych i świętował, przynosząc do domu wielką torbę ryby z frytkami, ale zwykle jadał w pubie albo w Taj Mahal, jeśli pub był już zamknięty.

Którejś niedzieli spróbowałam zrobić ulubiony obiad Hope, pieczonego kurczaka z małymi kielbaskami, ale pomieszały mi się ustawienia temperatury, a poza tym zapomniałam zdjąć kurczaka z plastikowej tacki przed włożeniem go do piekarnika. Zamiast kremu na trifle wyszła mi słodka jajecznica, a śmietanę ubiłam za mocno, więc w miejsce lekkiej i puszystej chmurki miałam tłustą masę, której nie dało się rozprowadzić. Po tej przygodzie tata zaczął zabierać nas na

niedzielnny obiad do pubu ze szwedzkim stołem z pieczenią. Można było tam jeść, ile się chciało, za 4,99 funta, a dzieci wchodziły za darmo. Była tam też maszyna z lodami, do której Hope biegła tam i z powrotem tyle razy, że w końcu tata powiedział dość. Nawet przy jedzeniu za darmo trzeba zachować jakiś rozsądek. Ale w święta pub był zamknięty.

Przed narodzinami Hope zawsze jeździłam z mamą na świąteczne zakupy do Londynu. Rzadko cokolwiek kupowałyśmy, ale chodziłyśmy po ulicach i oglądałyśmy przystrojone wystawy domów towarowych. Czasem zapuszczałyśmy się do środka, żeby ukradkiem spryskać się odrobiną Chanel nr 5, korzystając z nieuwagi ekspedientki.

– Jeśli znajdziesz bogatego męża, Tess, będzie ci kupował właśnie te perfumy – szeptała mama.

Wiedziałam, że sporo ryzykuję, zabierając Hope. Uznałam jednak, że spodobać się jej świąteczne dekoracje, a wycieczka w nowe miejsce będzie sporą atrakcją.

Pierwszy błąd popełniłam, zatrzymując się z nią przed wystawą Hamleys<sup>[4]</sup>. Kiedy chciałam ruszyć dalej, Hope zapała się, siłą woli nagle podwajając swoją wagę. Natychmiast dostrzegła wielką górę pluszowych zabawek wewnątrz sklepu.

– Możesz ich dotknąć, ale ostrożnie i grzecznie. Grzecznie, Hope! Delikatnie. A teraz odłóż, proszę, Hope... Odłóż!

Skończyło się tak, że musiałam kupić pluszową żyrafę, która zdążyła prawie stracić ogon, jeszcze zanim dotarliśmy do kasy. Nie mogłam uwierzyć, ile kosztuje. Tata dał mi dwadzieścia funtów, żebyśmy mogły sprawić sobie jakąś przyjemność, ale po tym zakupie ledwie starczyło mi na Happy Meal w ramach lunchu. Trzeba było wracać do domu, a był już 23 grudnia; nie miałam prezentów dla Doll i jej mamy, a chciałam kupić im coś w Selfridges<sup>[5]</sup>.

Odkąd skończyłyśmy z Doll piętnaście lat, wolno nam było jechać w wakacje do Londynu, jeśli odłożyłyśmy dość pieniędzy z weekendowej pracy. Uwielbiałyśmy chodzić po mieście, odkrywać różne małe dzielnice, przypominające osobne miasteczka. Wyobrażałyśmy sobie, że kiedyś wynajmiemy tu razem mieszkanie. Doll chciała coś nowoczesnego z widokiem na Hyde Park; mnie bardziej pociągały małe domki przy Portobello Road, pomalowane na jaskrawe kolory. Ja pracowałabym w bibliotece albo księgarni, a Doll byłaby jedną z ekspedientek w perfumerii w Selfridges, zawsze w sterylnej czystym białym kostiumie, proponującą zrobienie maseczki na próbę.

Na Oxford Street było pełno ludzi robiących zakupy na ostatnią chwilę. Nie miałyśmy innego wyjścia, jak tylko popłynąć z prądem. Nawet dla kogoś tak wysokiego jak ja było to męczące, a co dopiero dla Hope. W końcu nie mogła już dłużej znieść naporu ludzi i hałasu, więc stanęła w miejscu jak wmurowana.

– Chodź, Hope, to niedaleko.

Kolumny Selfridges były tuż przed nami.

– Hope! Stoimy na środku, inni też chcą przejść.

Początkowo przechodnie rzucali mi współczujące spojrzenia, ale gdy zaczął się wrzask, ich zrozumienie szybko zmieniło się w irytację.

– Hope, no chodź! Co mama by sobie pomyślała?

Przysięgłam sobie, że nigdy nie użyję pamięci mamy jako groźby, i pożałowałam, gdy tylko to powiedziałam, ale pytanie na sekundę odwróciło jej uwagę. Udało mi się ją podnieść. Od razu zaczęła się wrywać i kopać.

– Postaw mnie!

– Postawię, jeśli obiecasz, że będziesz grzeczna.

– Postaw mnie!

Krzyki Hope robiły się coraz głośniejsze, twarz miała czerwoną i mokrą od łez, aż nagle w jednej chwili umilkła i przekrzywiła głowę na bok jak wróbelek. Spośród kakofonii miejskiego gwaru udało mi się wyłowić dźwięki „Cichej nocy” granej przez zespół gdzieś w pobliżu Selfridges.

Stałyśmy przed muzykami chyba z pół godziny, słuchając kolęd. Twarz Hope rozświetlało szczęście za każdym razem, gdy rozpoznawała znajomą melodię. Znała wszystkie słowa do „Przybieżeli do Betlejem” i „Trzej panowie” (tak sobie przekręcała), i śpiewała absolutnie bez zażenowania. Kiedy zespół zrobił sobie przerwę, dałam jej pięćdziesiąt pensów, żeby wrzuciła do puszek na datki.

– Jaki z ciebie mały aniołek! – zachwyciła się pani z Armii Zbawienia.

– Ja jestem małym osiołkiem – odparła Hope.

W Selfridges ludzie zajmowali każdą wolną przestrzeń, a wszystkie wystawy były trochę za wysoko dla Hope. Spróbowałam ją zainteresować, psikając perfumami na wierzch jej dłoni, ale zaczęła zabawnie kaszleć z teatralną przesadą. Prędko wybrałam pudełko mydełek w pięknych kwiatowych opakowaniach dla pani O'Neill, a dla Doll zestaw prezentowy Rive Gauche: *eau de parfum* i balsam do ciała. To był ostatnio jej ulubiony zapach.

– Proszę zapakować osobno – poprosiłam kasjerkę, gdy w końcu dotarliśmy na początek kolejki. Cały sens prezentów polegał na tym, że znajdą się w jaskrawożółtych torebkach Selfridges.

– Razem dwadzieścia osiem funtów poproszę.

Zaczęłam grzebać w torebce. Czułam, jak ludzie za mną już się niecierpliwiają, i ogarnęło mnie duszące przecucie, że jakiś sprytny kieszonkowiec podwędził mi portfel, korzystając ze ścisku i nieuwagi. W końcu wyczułam go na samym dnie torebki.

– Proszę! – Wyciągnęłam pieniądze do ekspedientki. Wtem uświadomiłam sobie, że Hope nie trzyma mnie już za rękę i nie stoi obok.

– Hope?

Ani śladu.

Poczułam ucisk w klatce piersiowej, jakby moje ciało zapomniało o oddychaniu. Spokojnie. Na pewno jest gdzieś niedaleko. Przebiegłam wzrokiem przez tłum. Setki, może tysiące ludzi na parterze domu handlowego. Dokąd ona poszła? Ludzie byli wszędzie, upchani na każdym stopniu schodów ruchomych, w górę i w dół. Ze wszystkich stron otaczały nas lustra, dodatkowo pomnażające masę ludzi wokół. Ale Hope nie było.

– Hope?

Wciąż ściskając pieniądze w dłoni, zaczęłam przepychać się przez tłum, zaglądamy za lśniące ludy stoisk i szukając małej. Może się schowała? Ale to byłoby do niej niepodobne. Hope nie bardzo rozumiała, na czym polega zabawa w chowanego.

– ...Dziewięć, dziesięć, szukam! – wołałam.

– Tu jestem! – odpowiadała Hope zza firanki.

Może uciekła? Nie. Hope nie uciekała. Wykręcała się i kopała, ale nie uciekała.

Czułam się jak w koszmarze, z tą różnicą, że w snach zawsze próbowałam krzyżeć, ale z moich ust nie wydobywał się żaden dźwięk. Tym razem jednak krzyżałam z całych sił, lecz nikt nie odpowiadał.

Ktoś ją zabrał! Proszę, Boże, tylko nie to! Spraw, żeby to nie była prawda!

Ludzie wychodzili przez drzwi obrotowe ze sklepu na ulicę. Czy na kogoś czekał na zewnątrz samochód z przyciemnianymi szybami? Na pewno ktoś by coś zauważył. Ale z drugiej strony, gdy wrywała mi się wcześniej, wszyscy patrzyli z dezaprobatą, ale nikt nie zainteresował się, czy to w ogóle moje dziecko. Każdy był zajęty własnymi zakupami.

Proszę, Boże! Będę w Ciebie wierzyć, tylko mi ją oddaj!

Zaczęłam odmawiać w myślach zdrowaśki, aż nagle doznałam olśnienia.

*Jaki z ciebie mały aniołek!*

Wybiegłam na ulicę i popędziłam w stronę zespołu Armii Zbawienia, nie zważając na ludzi na mojej drodze, których popychałam i potraçałam.

Niedaleko rozległo się wycie karetki. Proszę, Boże, nie pozwól, żeby to była ona! A jeśli chciała przejść przez ulicę i wpadła pod piętrowy czerwony autobus?

Spokojnie. Będzie stała przy koszu na śmieci, tam, gdzie zatrzymałyśmy się wcześniej, żeby posłuchać kolęd.

Nie stała! Naprawdę ją zgubiłam! Dodatkową głupotą było wyjście ze sklepu. Jeśli mnie szuka, to teraz nie znajdzie!

Zespół zaczął nową piosenkę.

– Uciekali, uciekali, uciekali na osiołku przez pustyni żar...

Byłam tak zdenerwowana, że nie zauważyłam Hope. Stała tuż obok dyrygenta. Stanowczo odmawiała wzięcia za rękę zaniepokojonej pani z puszką na datki.

– Wystarczy już tego ściskania! – wykrzyknęła, gdy objęłam ją z całych sił.  
– Przestań, mówię!

W drodze powrotnej zasnęła w pociągu. Wyglądała jak ucieleśnienie niewinności, przytulona do pluszowej żyrafy, z twarzą tuż przy jej miękkim pyszczku. Miałam chwilę, żeby pomyśleć o wszystkim na spokojnie. To było niesamowite, że udało jej się znaleźć drogę przez cały sklep na ulicę, aż do zespołu. To był chyba wystarczający dowód, że Hope dorównuje inteligencją pozostałym dzieciom albo wręcz je przewyższa. Trzeba będzie porozmawiać o tym z panią Corcoran.

Albo i nie. Bo musiałabym przyznać, że zgubiłam Hope.

Naprzeciwko siedziała pani w średnim wieku, otoczona świątecznymi zakupami. Skinęła głową w stronę Hope i uśmiechnęła się do mnie.

– Cudowne dziecko!

– Szkoda, że nie widziała jej pani wcześniej. Dała niezły popis!

– Nie ma potrzeby krytykować własnego dziecka – skarciła mnie. – Spotka pani w życiu jeszcze mnóstwo ludzi, którzy panią chętnie w tym wyręcą.

Kiedy indziej wyjaśniłabym, że nie jestem matką Hope, ale te kilka sekund, minut – nawet nie wiem, ile upłynęło czasu, gdy w przerażeniu jej szukałam – zmieniły wszystko. Kiedy zgubiłam Hope, zrozumiałam, że ona jest ważniejsza niż cokolwiek innego. W jednej chwili stało się dla mnie jasne, że mam wybór: mogę dalej myśleć, że życie jest niesprawiedliwe, i zmienić się w zgorzkniałą, rozczarowaną kobietę, albo cieszyć się życiem i poświęcić je opiece nad Hope. Poczulałam ulgę. No i Brendan miał rację, gdy uciął moje narzekania podczas naszej ostatniej rozmowy przez telefon. Rezygnacja ze studiów nie powstrzymuje mnie przed czytaniem, prawda?

Przypomniało mi się coś, co mama często mawiała. *Jeśli robisz coś z pogodą w sercu, znajdziesz w tym radość.*

Albo, jak skomentowała Doll – jedyna osoba, której opowiedziałam o tym wydarzeniu:

– „Hope” znaczy „nadzieja”, nie? Najpierw ją straciłaś, a potem znów znalazłaś.

## Grudzień 1997

### GUS

Dni stawały się coraz krótsze, a ja powoli zaczynałem czuć się w Londynie jak w domu. Jesień wyostrzyła doświadczenie życia w dużym mieście. Gdy kończyliśmy popołudniowe wykłady, było już ciemno, światła latarni migotały w deszczu, a w powietrzu unosił się zapach indyjskiego jedzenia z ulicznych barów. Dygoczące z zimna tłumy ludzi na spływających ulewą przystankach jednoczyły się w cierpieniu. Latem człowiek czuł się tu bardziej jak turysta; ale jeśli ktoś był tu zimą, to dlatego, że musiał.

W Noc Guya Fawkesa razem z Lucy i Tobym przyłączyliśmy się do tłumu pełną gębą na Primrose Hill<sup>[6]</sup>. Gdy dotarliśmy na szczyt, zatonęliśmy w zachwycie nad oświetloną panoramą Londynu pod nami. Fajerwerki rozświetlały nasze twarze, wokół rozbrzmiewały uradowane ochy i achy, i było oczywiste, że Lucy podoba się zarówno Toby'emu, jak i mnie. Istniała między nami niepisana rywalizacja, a Lucy udawała, że tego nie dostrzega.

Pierwszego dnia ferii świątecznych większość studentów zapakowała brudne pranie do walizek i wyjechała z miasta. Lucy cieszyła się na rodzinne święta, a Toby nie mógł się doczekać spotkania ze znajomymi z liceum. Nash leciała zobaczyć się z ojcem. Wszyscy byli zadowoleni z perspektywy, która mnie napełniała przerażeniem: świąt w domu.

Wciąż wyszukiwałem nowe powody, żeby jeszcze nie jechać. Poranki musiałem spędzać w bibliotece, żeby przygotować się do styczniowej sesji, popołudnia w National Gallery, gdzie zapoznawałem się po kolei ze wszystkimi epokami: od renesansu do paryskiego fin-de-siècle'u. Kiedy odkryłem, że w Królewskim Teatrze Narodowym jest pula tanich wejściówek do nabycia w dniu spektaklu, postanowiłem zmienić trasę porannego joggingu na południe miasta zamiast na północ. Przebiegłem przez stalowoszarą Tamizę, mijając pierwszych zaspanych przechodniów w drodze do pracy, a potem stanąłem w kolejce do teatralnej kasy. Wiatr znad rzeki chłostał zimnem aż do kości.

Dzień przed Wigilią uświadomiłem sobie, że nie kupiłem jeszcze prezentów, dzięki czemu mogłem odwlec wyjazd o jeszcze kilka godzin. Dawniej mama zawsze kupowała prezenty za nas: ode mnie eleganckie miętowe czekoladki dla niej i z likierem dla ojca. Od Rossa komplet mydełek i zestaw piłek do golfa. W teorii mieliśmy oddać pieniądze za prezenty z kieszonkowego, ale nigdy tego nie robiliśmy. Byliśmy jednak odpowiedzialni za ich zapakowanie, choć nawet

papier, nożyczki i taśmę klejącą znajdowaliśmy przy łóżkach obok prezentów, a w świąteczny poranek mama zawsze udawała zaskoczenie, gdy je otwierała. W tym roku chciałem, żeby szczerze się ucieszyła z prezentu ode mnie, choć nie miałem jeszcze żadnego pomysłu, co jej kupić.

Wyruszyłem do Selfridges. W dzieciństwie rodzice zabierali nas tam na spotkanie ze Świętym Mikołajem. Później ojciec, Ross i ja szliśmy do Brass Rail na ogromne kanapki z pastrami, ociekające musztardą i szcudrze przekładane plasterkami korniszonów. Mama w tym czasie buszowała po perfumerii, dyskutowała z ekspedientkami o kremach do twarzy i wypróbowywała na grzbiecie dłoni kolory szminek. A później przejeżdżaliśmy przez Regent Street. Ross i ja na tylnym siedzeniu samochodu wykręcaliśmy szyje, żeby zobaczyć świetlne dekoracje.

Staromodne drzwi obrotowe pośrodku domu towarowego przywołały wspomnienie Rossa, który zawsze popychał je najmocniej jak potrafił, wytrącając nic niepodważających przechodniów z równowagi. Na parterze znalazłem dział męski. Wybrałem komplet w pudełku ze sztucznego drewna: piersiówkę i notes do zapisywania punktów w grze w golfa, jedno i drugie oprawione w materiał w szkocką kratę. W części dla kobiet znalazłem zestaw prezentowy Yardleya: talk do ciała i olejek do kąpieli przewiązane lawendową wstążką, po czym ustawiłem się w kolejce do kasy.

Przede mną stała wysoka kobieta, trzymająca za rękę niecierpliwą dziewczynkę, w drugiej dłoni miała parę pudełek. Jej prezenty wyglądały dużo bardziej elegancko od moich – poczułem się trochę niepewnie z moim zestawem od Yardleya. Kobieta mówiła do dziecka tak cierpliwym tonem, że już zbierałem się na odwagę, by poprosić ją o radę, ale wtedy nadeszła jej kolej, by zapłacić. Zaczęła szukać portfela w torebce, a dziewczynka natychmiast skorzystała z jej nieuwagi i zniknęła między nogami klientów.

Nagle zauważyłem, że jestem na początku kolejki.

– W czym mogę pomóc?

Podniosłem z lady pudełko w czarno-niebiesko-srebrny wzór – kobieta przede mną zostawiła je bez płacenia, gdy zauważyła ucieczkę dziewczynki. Porównałem z tym wybranym przeze mnie.

– Dla mamy czy dziewczyny? – zapytała rzeczowo ekspedientka. Poczulem, jak rumieniec rozlewa mi się po twarzy, parząc koniuszki uszu.

– Dla mamy – wymamrotałem.

Kasjerka uśmiechnęła się porozumiewawczo, dopełniając tym samym mojego upokorzenia.

– To chyba jednak bezpieczniejszy będzie Yardley – oceniła, wyjmując mi zestaw z dłoni.

Przez chwilę miałem ochotę kupić ten drugi z czystej przekory. A może moja

mama była młodsza i bardziej elegancka, niż sądziła ekspedientka? A może dałbym go Lucy? Umawialiśmy się wstępnie na spotkanie między świętami a Nowym Rokiem. Ale nie miałem pojęcia, jakich używa perfum, jeśli w ogóle.

Ojciec przyjechał po mnie na dworzec. Pochylił się nad siedzeniem pasażera, żeby otworzyć mi drzwi.

– Mówili, że może padać śnieg – oznajmił. Był trochę meteorologiem amatorem, w korytarzu mieliśmy nawet mahoniowy barometr, ale to zdanie wypełniały inne znaczenia.

– Miejmy nadzieję, że nie – powiedziałem.

Całą krótką drogę do domu spędziliśmy w ciszy, z wzrokiem wbitym przed siebie, jakbyśmy przygotowywali się na konfrontację z pierwszymi zabłąkanymi płatkami śniegu.

Na drzwiach jak zwykle wisiał wieniec z jemioly przewiązany kokardą w szkocką kratę. W holu stała żywa choinka, ale dekoracje, które zrobiliśmy kiedyś z Rossem (akurat obaj mieliśmy odrę), przeszły na emeryturę. Mama wyłoniła się z kuchni. Miała na sobie świąteczny fartuch, a ręce całe w mące, więc tylko ucałowała mnie w powietrzu, po czym odsunęła się o krok i zmierzyła mnie wzrokiem, jakby oczekując, że będę wyglądać jakoś inaczej.

Kolację zjedliśmy w rzadko używanym salonie. Ojciec próbował zagiąć mnie pytaniami o działanie organów i gruczołów. Podobnie się zachowywał, gdy Ross zaczął studia. Może Nash miała rację, mówiąc, że był niespełnionym lekarzem? Ross miał więcej pewności siebie ode mnie i nie bał się z nim dyskutować. Ja byłem bardziej milczący, co tylko zachęcało ojca do dalszych pytań. Mama w końcu mu przerwała, wzdychając:

– Na litość boską, Gordon, dajże mu spokój!

Jednak zamiast czuć wdzięczność, prawie pożałowałem, że przestał, bo cisza, jaka zapadła w pokoju, aż dzwoniła w uszach – jak niesłyszalny wrzask bólu.

Stół był wypolerowany na wysoki połysk, szklanki i sztućce aż lśniły. Mama tak dbała o czystość i porządek, że dom przypominał sterylny gabinet dentystyczny ojca.

– Jeszcze wina? – zaoferowała.

Wprawdzie ledwie zdążyłem napocząć pierwszy kieliszek, a ona opróżniła swój już trzy razy. Szyjka butelki brzęknęła delikatnie o szkło. Ojciec obserwował ją z uwagą. Mama odstawiła ostrożnie butelkę i podniosła kieliszek. I wtedy ktoś zadzwonił do drzwi.

– Kogo niesie? – zapytał ojciec.

– Pewnie kolędnicy! – Matka mało nie podskoczyła na krześle, z ulgą przyjmując urozmaicenie. Gdy otworzyła drzwi, zamiast śpiewu kolęd do salonu dotarł przesadny pisk radości.

– Jaka przemiła niespodzianka! – Jej głos stawał się donośniejszy, gdy



zbliżała się do jadalni. – Gordon, Angus, zgadnięcie, kto przyszedł?

Zza jej pleców wyłoniła się Charlotte, była dziewczyna Rossa. Miała na sobie długi liliowy płaszcz z szalowym kołnierzem, który na kimś mniej eleganckim mógłby przypominać szlafrok, ale ona wyglądała w nim jak gwiazda filmowa. Trzymała przed sobą pudełko zapakowane w absurdalnie tani i wesoły papier.

– Nie wstawajcie, nie chciałam przerywać kolacji.

– Nie przerywasz! – wypaliłem, idiotycznie wdzięczny, że swoim przyjściem zmieniła domową dynamikę.

– Czego się napijesz? – Ojcu włączył się nastrój jowialnego gospodarza. Zdążyłem już zapomnieć, że jest do tego zdolny.

W salonie znów zrobiło się miło i normalnie.

– Proszę coś bez alkoholu. – Charlotte odłożyła paczuszkę i zdjęła miękkie rękawiczki z czarnej skóry. – Prowadzę.

– Masz własny samochód? Wspaniale! – zachwyciła się matka.

– To tylko mały peugeot.

Ojciec otworzył butelkę toniku. Kostki lodu zaczęły głośno pękać, gdy zalał je spieniony napój, a nad stołem uniósł się delikatny gorzki aromat.

– Peugeot, co? – zainteresował się.

Charlotte zsunęła płaszcz z ramion zgrabnym ruchem, pozwalając mu spłynąć na oparcie krzesła. Od wewnątrz był podbity śliską satyną. Pod spodem miała prosty czarny golf i czarne dżinsy. Jej włosy były tak ciemne i lśniące, że wydawały się niemal granatowe; cera była bez najmniejszej skazy. Na kominku w salonie stało zdjęcie, na którym ona i Ross pozowali przebrani za rodzinę Addamsów na przyjęciu halloweenowym. Wyglądała na nim niemal wampirycznie, ale teraz miała usta blade od zimna i bardziej przypominała modelki ze zdjęć Davida Bailey'a z lat sześćdziesiątych: uderzająco piękne, ale przy tym odrobinę bezbronne.

– Jak tam, jesteś już lekarzem? – zainteresował się ojciec. – Czy powinienem mówić „lekarką”?

Charlotte rozciągnęła blade usta w wąskim uśmiechu.

– Na praktyce.

– Wiesz już, w czym się chcesz specjalizować? Lekarz pierwszego kontaktu?

– Kardiologia – odparła głucho.

Z jakiegoś powodu lekko parsknąłem śmiechem.

Byłem zachwycony Charlotte, odkąd Ross przyprowadził ją po raz pierwszy do domu latem pod koniec drugiego roku studiów. Ojciec właśnie skończył pracę nad jacuzzi na tarasie. Charlotte miała na sobie skąpe białe bikini. Nigdy wcześniej nie widziałem tak roznegliżowanej kobiety. Była prowokacyjnie chłodna. Nie potrafiłem nawet stwierdzić, czy w ogóle mnie dostrzegła zza wielkich okularów

przeciwsłonecznych, w których przypominała celebrytkę incognito.

– Jak ci się podoba medycyna, Angus? – zapytała.

– W porządku. Wiadomo, dużo pracy – wymamrotałem, czując się, jakbym miał znów trzynaście lat.

– Nie tak dużo, jak ma kardiolog – wtrąciła matka. – Coś podobnego! To chyba najtrudniejsza...

– Bardzo konkurencyjna specjalizacja – weszła jej w słowo Charlotte.

– Ciekawe... – zaczęła matka.

W oczach stanęły jej łzy, wzrok miała nieobecny – widać było, że myśli, jaką ścieżkę wybrałby Ross.

– No, to jeszcze odległa przyszłość – powiedziała Charlotte znad szklanki toniku.

– W każdym razie, dobrze mieć ambicje – wtrącił ojciec. Nie zabrzmiało to, jakby oceniał jej szanse. – Wybierasz się do domu na święta?

Dom matki Charlotte znajdował się zaledwie kilka kilometrów od naszego, a mimo to poznali się z Rossem dopiero na studiach.

– Pieprzyłem kobiety na pięciu kontynentach – powiedział mi kiedyś, goląc się przed randką. – A najlepsza dupa mieszka pięć minut drogi od domu.

– Tylko na dziś i jutro. Pracuję w drugi dzień świąt – odparła Charlotte.

– Witamy w prawdziwym życiu! – podsumował ojciec. Ja jednak pamiętałem tylko jedną sytuację, gdy musiał jechać do kliniki w święta, żeby przepisać antybiotyk na zapalenie ozębnej.

– W Nowy Rok też? – zapytała cicho matka.

– Tak, w Nowy Rok też.

– W sumie to chyba bez różnicy – podsumował ojciec.

– Tak.

Zapadła cisza bez końca.

– To miło, że do nas wpadłaś, prawda, Gordon?

Charlotte przesunęła prezent po stole.

– Taki drobiazg – wyjaśniła.

– Nie trzeba było! Ale jak miło! Poczekaj, też mam coś dla ciebie!

Mamy nie było w pokoju tyle czasu, że zacząłem się zastanawiać, czy faktycznie kupiła coś dla Charlotte – czy też może pospiesznie pakuje coś, co kupiła na wszelki wypadek, gdyby umknął jej ktoś z długiej jak książka telefoniczna świątecznej listy.

– Gdzie mieszkasz? – zapytałem, żeby przerwać ciszę.

– W Battersea. Wiesz, gdzie to jest?

– Nie.

– Miła okolica.

– Byłem tam tylko w Teatrze Narodowym.

Aby wyprodukować tę boleśnie nielogiczną odpowiedź, przeskoczyłem w myślach od Battersea do jedyne go znanego mi miejsca po drugiej stronie Tamizy.

Charlotte rzuciła mi pogardliwe spojrzenie.

– Szczęściarz. – Jej komentarz był nasączony sarkazmem.

– W dniu spektaklu mają tanie wejściówki – spróbowałem przyjść na ratunek ojcu, który wyglądał na trochę zaskoczonego. – No i biegam – dodałem.

– Ja też – odparła.

– No, to może kiedyś przebiegniecie sobie drogę! – Ojciec spróbował włączyć się do rozmowy, ale po tak słabym żarcie już nikt nie miał nic do powiedzenia.

Mama w końcu wróciła i podała Charlotte miękki pakunek.

– Mogę otworzyć teraz? – Charlotte rozdarła papier i wyjęła czerwone wełniane rękawiczki i szalik z Marks & Spencer.

– Mmm, będzie mi teraz ciepłutko! – powiedziała, owijając szalik wokół szyi.

Wskazała paczkę na stole. Mama rozpakowała prezent, odsłaniając pudełko z różowym amarylisem na pokrywce.

– Trzeba posadzić cebulkę, wyrośnie śliczny kwiat – wyjaśniła Charlotte.

– Zawsze się zastanawiałam, czy to faktycznie działa – skomentowała mama niepewnie, odwracając pudełko i zerkając na instrukcję.

– Oczywiście, że działa! – powiedziałem, rozczarowany, że Charlotte wsuwa już szczupłe ramiona z powrotem w satynowe rękawy płaszcza. Wełniany czerwony szalik odcinał się od jej eleganckiego ubioru równie mocno jak prezent, z którym przyszła. Ciekaw byłem, jak daleko odjedzie, zanim go zdejmie.

– No, muszę się zbierać.

Charlotte i mama ucałowały się w powietrzu, a potem wyciągnęła dłoń do ojca, ale w końcu pozwoliła mu się objąć, sztywno odwzajemniając uścisk. Popędziłem do drzwi, żeby jej otworzyć i nie wyglądać, jakbym też oczekiwał uścisku albo całusa.

– Dzięki, że przyszłaś. Nawet nie wiesz, jak ich to ucieszyło.

Charlotte spojrzała na mnie. Zauważyłem, że ma zielonkawę oczy, jak kot.

– Jak ty urosłeś, Angus. Matko, jesteś chyba teraz większy niż Ross.

– Nie byłby zadowolony! – wypaliłem, natychmiast wstydząc się, że mój jedyny komentarz na jego temat był tak pozbawiony szacunku.

Zmarszczyła lekko brwi, jakby zastanawiając się, czy mam rację, a później – ku mojej uldze – uśmiechnęła się. To był szczery uśmiech, jakby przypomniała sobie coś miłego.

– Święta prawda! Wcale by mu się to nie spodobało! – Lekko uścisnęła mnie za ramię i wyszła.

Mimo że było nas tylko troje, mama i tak zerwała się w pierwszy dzień świąt o świcie, żeby zacząć piec wielkiego indyka. Nie spałem zbyt dobrze, więc zszedłem na dół, gdy tylko usłyszałem brzęk naczyń. Kuchnię zdążyła już spowić ciepła mgiełka, unosząca się znad garnka z podrobami, które mama gotowała na sos pieczeniowy. Wypiłem zaoferowany mi kubek herbaty i oznajmiłem, że idę pobiegać.

– Tak, tak, wyjdź trochę na powietrze – zgodziła się.

Powietrze było zabarwione zamarzającą mleczną mgłą, a chodnik powleczony cienką warstewką lodu, która przyklejała mi się lekko do adidasów. Prawie nic nie było widać, więc utrzymywałem powolny trucht, jakby odezwał się we mnie jakiś zwierzęcy instynkt – jakby mój mózg włączył ustawienie „niewidomy” i próbował mnie chronić przed przeszkodami czającymi się na drodze. Nie mogłem się rozpędzić do mojego ulubionego tempa, przy którym umysł opuszczał ciało i nie liczyło się nic poza rytmem stóp uderzających o podłoże.

Nagle uświadomiłem sobie, że ktoś biegnie za mną, i się zatrzymałem.

*No, to może kiedyś przebiegniecie sobie drogę!*

Wyprzedził mnie nieznajomy mężczyzna. Musiał wczoraj jeść czosnek. Kwaśny zapach wciąż unosił się w nieruchomym powietrzu jeszcze dobrą chwilę po tym, jak jego ciężki oddech rozpląnął się w białej ciszy.

Po powrocie do domu poczułem zapach spalenizny. Matka szorowała nad zlewem poczerniały garnek, w którym wcześniej gotowały się podroby. Nie odwróciła się, gdy stanąłem w progu, ale po jej przygarbionych ramionach poznałem, że płacze.

Wziąłem długi prysznic, ciesząc się gorącą wodą, obmywającą mi przemarzniętą twarz.

Później zszedłem na dół. Ojciec siedział przy kuchennym stole w tym samym stroju, który wkładał w każdy bożonarodzeniowy poranek: sztruksowe spodnie, gruby niewyjściowy sweter, a pod nim koszula w kratę.

Odkąd wróciłem do domu, wyczuwałem otaczającą ojca aurę niecierpliwości, jak u kierowcy, który wyczekuje holownika na poboczu autostrady.

Mama ostentacyjnie postawiła na stole świąteczny talerz.

– Ma ktoś ochotę na wędzonego łososia i lampkę szampana?

– Nie za wcześnie? – odparł ojciec.

– Niektórzy z nas już od dawna są na nogach!

Słyszałem tę rozmowę w każde święta, jak daleko sięgam pamięcią.

– No, raz się żyje! – kończył zazwyczaj ojciec. Ale oczywiście w tym roku nie zamierzał tego mówić.

W poprzednich latach dostawałem tylko pół lampki szampana, ale teraz

wyglądało na to, że skoro skończyłem osiemnaście lat, mogę pić, ile chcę. Alkohol spłynął mi do gardła jak balsam.

– Nie wiem, czy warto w ogóle rozpalać w kominku – westchnęła mama. Przez ostatnie kilka lat to było zadanie Rossa. Nie potrafiłem ocenić, czy oczekiwała, że tym razem ja to zrobię, czy może wołała w ogóle nie wchodzić do salonu. Z każdej strony spoglądałyby tam na nią jego zdjęcia.

– Może otworzymy prezenty w kuchni? – zaproponowałem.

– No, ciepło i przytulnie – zawtórował mi natychmiast ojciec. – Właściwie czemu nie? – Mama wydawała się podekscytowana perspektywą wyłamania się z corocznej tradycji.

Kupiła mi piżamę, kupon na dziesięć lekcji jazdy w British School of Motoring i krokomierz od ojca.

– Pokaż, pokaż – zażądał. Było jasne, że pierwszy raz go widzi.

– Liczy, ile zrobiłeś kroków! – zaćwierkała mama.

Wiedziałem, że nigdy z niego nie skorzystam, ale doceniałem starania włożone w wybór prezentów. Niemal słyszałem, jak skarży się koleżankom:

– Nie mam pojęcia, co kupić Angusowi. On nic nie robi, tylko biega!

Ojciec wyglądał na zadowolonego z prezentu, ale gdy mama rozpakowała swój, wydusiła z siebie tylko:

– Och! Lawenda!

Po jej tonie poznałem, że zapach się nie spodobał. Obracała eleganckie pudełko na wszystkie strony.

– Ross zawsze kupował mi lawendowe mydło od Yardleya – dodała ochryplym szeptem.

Poczułem, jak przez ciepły kokon alkoholowej waty przebija się ostre ukłucie pretensji.

Nieprawda! – chciałem zaprotestować. – Sama je kupowałaś! Czy naprawdę musimy z niego robić świętego?

Zegar tykał na ścianie. Indyk w piekarniku skwierczał i pryskał tłuszczem.

– Rany boskie, już ta godzina? – ocknął się nagle ojciec. – Byłem umówiony na partyjkę golfa z Brianem!

– Może zabrałbyś ze sobą Angusa? – zasugerowała matka. Wyczułem lekkie wahanie.

– Masz ochotę się przyłączyć?

Wiedziałem, że wołałby usłyszeć „nie”, ale mama równie mocno liczyła na „tak”.

Czekałem już w korytarzu, kiedy zszedł na dół, podzwaniając kluczykami do samochodu, spowity chmurą wody kolońskiej, której nigdy wcześniej od niego nie czułem.

Klub golfowy znajdował się parę kilometrów od domu. W salonie siedziało

kilku najwierniejszych członków – wśród nich tylko jedna kobieta, tkwiąca samotnie przy stoliku blisko buzującego kominka. Gdy pchnąłem drzwi, podniosła na mnie wyczekujące spojrzenie i prędko opuściła wzrok, gdy nie okazałem się tym, na kogo czekała.

– Na co masz ochotę? – Ojciec objął mnie ramieniem i poprowadził do baru.

Poprosiłem o pół pinty<sup>[7]</sup> ale. Wiedziałem, że nie przepuściłby okazji do bardzo głośnego wyrażenia opinii na temat miłośników lagera.

– Dwie połówki najlepszego! – zawołał do barmana. – Chyba nie mieliśmy jeszcze okazji się razem napić? – dodał, odwracając się w moją stronę.

– Nie wydaje mi się.

Obaj dobrze wiedzieliśmy, że nie. Nikt nie zauważył moich osiemnastych urodzin w kwietniu, z oczywistych powodów.

– Znalazłeś już w Londynie jakieś przyzwoite puby? A może wolisz wine bary?

– Nie byłem w zbyt wielu.

– Na kampusie taniej, co?

– Tak mi się wydaje – odparłem. Nie byłem pewien, czy to pułapka, czy może chciałby, żebym lubił trochę wypić.

– Tak mu się wydaje! – powtórzył, jakby chciał zaprosić innych gości do naszej męskiej rozmowy. Odpowiedziało mu kilka uśmiechów, ale nikt się nie przyłączył.

Wychylił resztę ale.

– Jeszcze jedno? – zaproponowałem.

– Lepiej nie, w końcu prowadzę. Słuchaj, ty sobie spokojnie dokończ, a ja skoczę na chwilę przywitać się z Percym.

Zostałem sam przy barze. Dopilem, starając się zignorować nijaki smak ciepłego ale. Ojciec wrócił z kobietą, którą zauważyłem wcześniej.

– Angus, nie uwierzysz, kogo spotkałem! Samantha, moja nowa asystentka!

– Nie taka nowa! – zaśmiała się niezręcznie. Gdy podawała mi rękę, patrzyła na niego, nie na mnie.

Jak większość jego asystentek, które poznałem, była ładna w dość kliniczny sposób. Krótkie włosy, białe zęby i praktyczne kolczyki na sztyftach. Miała na sobie dopasowane, czyste džinsy wetknięte w wysokie skórzane kozaki i puszysty bladobłękitny sweter. Na jej ramionach spoczywał jedwabny szal z granatowym obramowaniem we wzór ze złotych klamerek, trochę kłóący się z resztą stroju. Domyślałem się, że to prezent świąteczny od ojca. Nie była jeszcze w wieku na jedwabne szale.

– Ile to już? – zapytał ją ojciec.

– Siedem miesięcy.

– Już tyle? Należysz do klubu? – zainteresował się, jakby ktokolwiek mógł

uwierzyć, że jest z niej taka kobieta, która wrywa się z domu w świąteczny poranek, żeby poćwiczyć zamach.

– Tatko należy. Spędzam święta u rodziców. – Po raz pierwszy spojrzała mi w oczy, jakbyśmy oboje dobrze wiedzieli, jaka to męczarnia. – Powinam już wracać.

W drodze powrotnej nie potrafiłem stwierdzić, co czuję, o ile w ogóle cokolwiek czułem. Jeśli z Samantha znajdował jakieś pocieszenie, niech mu będzie. Domyślałem się, że nie ona pierwsza. Matka pewnie coś podejrzewała – w końcu sama była kiedyś jego asystentką – więc może chciała mu pokrzyżować plany moim towarzystwem? Jedno, czego byłem pewien, to że na pewno nie chciałyby dowiedzieć się prawdy ode mnie.

– Samantha wydaje się dość sympatyczna – zaryzykowałem, z cieniem porozumienia w głosie.

– Co? A, tak, nie jest zła – odparł, wpatrując się w drogę.

Gasnące popołudniowe niebo zabarwiało się powoli na żółto, zwiastując śnieg.

– Nie mam pojęcia, co się stało z Brianem! – oznajmił nagle, w ostatniej chwili przypominając sobie o swoim alibi.

– Dość późno przyjechaliliśmy – powiedziałem.

Ojciec odwrócił się i posłał mi szelmowski uśmiech, który do tej pory zawsze widywałem tylko podczas jego rozmów z Rossem.

– Pewnie dlatego!

– Jakaś dziewczyna do ciebie dzwoniła – oznajmiła mama, gdy weszliśmy do domu.

– Hm?

– Nie do ciebie, Gordon. Do Angusa! Dziewczyna.

– Dziewczyna, co? – Ojciec znów się do mnie uśmiechnął.

– Przedstawiła się?

– Czy się przedstawiła! – powtórzył uradowany. W jednym zdaniu awansowałem w jego oczach z potencjalnego geja na casanovę.

– Nie było zbyt dobrze słyszać. Powiedziała, że zadzwoni później. Mam nadzieję, że nie przy obiedzie.

Telefon zabrzączał, gdy mama pytała, czy chcę świąteczny pudding z bitą śmietaną, sosem angielskim<sup>[8]</sup> czy z jednym i drugim.

– Do ciebie! – Ojciec puścił do mnie oko, podając telefon.

Wyszedłem na korytarz, czując, że serce mi trochę przyspieszyło. Odkaslnąłem, zanim zacząłem mówić. Ale nie usłyszałem głosu Lucy, tylko Nash.

– Jak tam święta? W porządku?

– Okej – odparłem. – Spokojne. A u ciebie?

– Koszmar! Jesteśmy tu dopiero dwa dni. Ojciec ma nową kobietę, straszna

zołza. Nikogo tu nie znam! Słuchaj, ojciec mówi, że gdybym chciała kogoś zaprosić na Nowy Rok, to zapłaci za bilet...?

– A gdzie ty właściwie jesteś? – zapytałem. Przez myśl przeszedł mi Nowy Jork, Bruksela albo jakieś inne z wielu miast, w których ojciec Nash miał nieruchomości.

– Domek alpejski w Val d'Isère. Jeździsz na nartach, nie?

– Nie – skłamałem. – Więc to chyba nie najlepszy...

– No weź, Gus. Tylko pomyśl. Croissanty, dobra kawa, ocean grzanego wina. Proszę, bardzo ładnie proszę...

– Przepraszam, ale naprawdę nie mogę, Nash. Dzięki za propozycję...

Odłożyłem telefon i wlepiłem wzrok w rozwieszane na sznurkach kartki świąteczne, zdobiące korytarz. Śnieg na kościołach, śnieg na drzewach, śnieg na obrazach Bruegla z łyżwiarzami, śnieg pokrywający gałązkę, na której przycupnął czerwony gil, lśniący śnieg na dachu stajenki – czy na Bliskim Wschodzie w ogóle pada śnieg? – uroczy szczeniak labradora w czerwonej czapce z pomponem, ślizgający się na śniegu. Całe girlandy miękkich, białych obrazków, błyszczących od obsypanych śniegiem życzeń. Czy nikt nie pomyślał?

Znów stanęła mi przed oczami twarz Rossa, wpatrzona we mnie przez gęsto padający śnieg, jego białe zęby, oczy schowane za lustrzanymi goglami. Płatki śniegu opadały na jego ciemne, odgarnięte do tyłu włosy.

– Co to za propozycja? – zainteresował się ojciec, gdy wróciłem do stołu.

Przewinałem w myślach całą rozmowę, na wypadek gdyby usłyszeli coś jeszcze, z czego musiałbym się tłumaczyć.

– Nic takiego.

– Nic takiego, hm?

Poczułem się paskudnie na samą myśl, że obaj mamy jakieś sekrety.

– Mogę dokończyć później? Już nic nie zmieszczę... – wykręciłem się.

Ojciec posłał mi zranione spojrzenie. Nasza bańka męskiej przyjaźni była świeża i delikatna, a ja właśnie ją przebiłem.

Poszedłem do sypialni i wlepiłem wzrok w płatki śniegu za oknem, myśląc o wydarzeniach sprzed roku.

Wraz z zapadającym zmrokiem zaczął sypać śnieg. Zjazd poza trasą to zawsze zły pomysł, ale przy takiej widoczności był czystym szaleństwem.

– Po co wlałeś na górę, jeśli nie chciałeś zjeżdżać? – zapytał ostro Ross. To była sprawdzona strategia mojego brata: najpierw sprawić, żebym poczuł się jak idiota.

– Myślałem, że chcesz zjechać tak, jak zwykle...

– Już zjeżdżaliśmy „tak, jak zwykle” – zaczął mnie przedrzeźniać.

– Nie w takich warunkach. Byłoby dość niebezpiecznie...

– „Byłoby dość niebezpiecznie!” – kolejne złośliwe echo, a po nim



nieunikniona szpila, zawsze działająca, gdy Ross chciał mnie zmusić, bym zrobił coś, na co nie miałem ochoty:

– Boże, jaka z ciebie cipa!

Spojrzałem w dół. Ross też spojrzał w dół. Potem na mnie. W oczach miał wyzwanie.

– Ostatni na dole stawia kolejki! – Naciągnął gogle i odjechał, od razu wołając „start!”, nie czekając, aż zaczniemy odliczanie. Zawsze tak robił.

Prawie za nim pojechałem. Prawie za nim pojechałem. Ale nie pojechałem.

Słyszałem jego docinki tak często, że straciły już swoją siłę. Nie zjechałem tą trasą. Niewielka fala triumfu odpłynęła, gdy wsiałem samotnie do wagonika i powoli zjechałem przez gęstą mgłę, jakbym w końcu zaakceptował porażkę.

Wróciłem do hotelu i siadłem przy oknie w barze, wpatrując się w mlecznobiałą nicość za szybą.

Po chwili znaleźli mnie rodzice. Mama spędziła popołudnie w spa i teraz była cała lśniąca i różowa. Ojciec skończył jeździć, gdy zaczął padać śnieg, więc zdążył już wziąć prysznic i przebrać się do obiadu.

– Gdzie Ross?

– Chciał jeszcze raz zjechać. Ja miałem dość.

Nie powiedziałem, że Ross zjechał poza trasą. Nie było sensu ich niepotrzebnie niepokoić.

Minęła godzina. Mama zaczęła się wiercić. Co kilka minut zerkła na zegarek.

– Pewnie kogoś spotkał i poszedł na drinka – zasugerowałem.

– Albo poszedł do pokoju się ogarnąć – dodał tata.

– Chyba się przejaśnia – powiedziała mama. – Może się schował i poczekał, aż śnieg przestanie padać?

Prześcigaliśmy się w możliwych przyczynach tego nienaturalnego spóźnienia.

Myślę, że wszyscy baliśmy się o Rossa. Mama obawiała się wyjść na zamartwiającą się kwokę; ojciec puchł z dumy nad odwagą i męstwem starszego syna i nie chciał tego podważać; mój własny strach brał się z ukrywania przed nimi prawdy.

– Może powinniśmy kogoś zawiadomić? – zapytałem w końcu. – Wydaje mi się, że chciał zjechać poza trasą...

– Co? Cholera jasna, czemu nic wcześniej nie powiedziałeś? – Ojciec już zdążył obarczyć mnie winą.

Zanim ustaliliśmy, co należy zrobić w takiej sytuacji, zanim oddział ratunkowy wyruszył na poszukiwania – minęły trzy godziny, odkąd ostatni raz widziałem brata. Znaleźli go o dziewiątej wieczorem, wciąż żywego, ale w hipotermii, ze strzaskanym ramieniem i ciężkimi obrażeniami głowy. Okazało

się, że zaledwie minutę albo dwie po tym, jak zniknął mi z oczu, Ross wjechał w pełnym rozpędzie na drzewo. Udało się określić dokładny czas, bo zegarek na jego połamanej ręce się zatrzymał. Zawsze wyobrażam sobie, jak pędzi przez białą nicność, zerka przez ramię, żeby zobaczyć, czy go gonię, tracąc ułamek sekundy, który decyduje o jego reakcji na wyrastającą przed nim nagle przeszkodę.

– Czemu go puściłeś...?! – wrzasnęła matka, gdy zobaczyła nosze.

– ...Samego? – dodał ojciec.

Musieli wiedzieć, że nie byłbym w stanie go zatrzymać, ale kogoś trzeba było obarczyć winą. Nie mogli winić Rossa, bo było oczywiste, że nie przeżyje. A ci, którzy umierają młodo, muszą na zawsze pozostać bohaterami.

## Grudzień 1997

### TESS

W świąteczny poranek obudziło mnie odległe brzękanie garnków. Wskoczyłam z łóżka i popędziłam na dół, bosą i w koszuli nocnej. Mama siedziała w kucki przed piekarnikiem i zaglądała przez szybkę, żeby sprawdzić, jak sobie radzi indyk. Odwróciła się do mnie z uśmiechem.

– Jak było na pastercie?

– Wiedziałam, że to nieprawda!! – W eksplozji radości pobiegłam ku niej z rozpostartymi szeroko ramionami. A potem się obudziłam i kokon szczęścia pękł pod ciężarem miazdzącego rozczarowania.

W pokoju było ciemno. Koce i różowa narzuta z miękkiej wełny otulały mnie ciaśniej niż kołdra w domu. Z dołu faktycznie dobiegał ciepły zapach piezzonego indyka i postukiwanie garnkami. Pokój gościnny w domu Doll, przypominałam sobie.

Ciekawe, ile trwał ten sen. Kilka minut, a może sekund? Jak mózg to robi? Jak nasza świadomość dopisuje we śnie całą historię, żeby zinterpretować dźwięki i zapachy z zewnątrz? I czemu musiałam się od razu obudzić? Zacisnęłam powieki, próbując znów przywołać obraz mamy, ale już jej nie było. Wtem pomyślałam: Czy to był znak? Mama mogła powiedzieć cokolwiek, ale zapytała o nabożeństwo.

Hope spała w łóżku na wyciągnięcie ręki od mojego.

– Wesołych świąt dla mojej siostry Tree! – powiedziała, ledwo otworzyła oczy. – Sios-Tree! – powtórzyła, uradowana własnym odkryciem.

Chyba nigdy nie widziałam, żeby Hope była smutna. Krnąbrna, tak. Zdenerwowana bez powodu, tak – ale taki już miała charakter. Czasem patrzyłam na tę moją małą siostrzyczkę i zastanawiałam się, czy w ogóle tęskni za mamą. Nie pytałam, bo nie zamierzałam przywoływać smutku tam, gdzie go nie było. Mówiłam sobie: jeśli pięciolatka potrafi sobie z tym poradzić, to czemu ja nie?

– Jak było na pastercie? – zapytała pani O'Neill, gdy zebraliśmy się w salonie, żeby rozpakować prezenty.

– Jak co roku – odparła natychmiast Doll.

Zawsze kłamała dużo lepiej ode mnie. Stawiała na proste odpowiedzi i liczyła, że jej się upiecze, zamiast wymyślać całą skomplikowaną historię, na wypadek gdyby ktoś ze znajomych doniósł o naszej nieobecności w kościele.

Może podświadomie czułam się winna, że poszłam poprzedniego wieczoru do pubu zamiast na pasterkę, i dlatego we śnie mama właśnie o to zapytała? Jej

obecność nadal unosiła się w powietrzu tak wyraźnie, że czułam dziwną dezorientację.

– Które prezenty są dla mnie? – zapytała Hope.

Z pieniędzy od taty kupiłam siostrze odtwarzacz CD od niego. Ode mnie dostała płytę z kołędami. Święty Mikołaj zostawił jej skarpetę ze słodyczami, chociaż nie przyszedł tak naprawdę do naszego domu ani do O'Neillów, bo nie mieliśmy kominków: Hope wszystko brała bardzo dosłownie i wizja wielkiego brodatego mężczyzny kręcącego się w nocy po domu przerażała ją ponad wszelkie wyobrażenie.

Kupiłam tacie skarpetki z Homerem Simpsonem od Hope i butelkę Jamesona ode mnie, bo mama zawsze kupowała mu tę whiskey. Wydawał się miło zaskoczony, jakby niczego się nie spodziewał.

Potem nadeszła kolej na mnie. Otworzyłam paczuszkę z wiszącymi kolczykami z Accessorize, które kupiłam dla siebie od Hope.

– A gdzie twój prezent dla Tree? – zwróciła się Hope do taty.

Uświadomiłam sobie, że chyba powinnam była sama sobie kupić też prezent od niego. Poczulałam się jak idiotka, że wierzyłam w zaskoczone miny mamy, gdy co roku zrywała papier z opakowania tanich perfum od niego.

– No wiesz – powiedział ojciec z zakłopotaniem. – Nie wiedziałem, co ci kupić, Tess, więc może lepiej, jeśli sama sobie coś wybierzesz.

Wstał, wyjął z tylnej kieszeni spodni portfel i odliczył najpierw pięć, a potem, czując na sobie wzrok pani O'Neill, kolejne pięć banknotów dziesięciofuntowych. To był szczodry gest, ale dużo bardziej bym się ucieszyła, gdyby pomyślał o prezencie dla mnie.

Mama zawsze kupowała mi dziennik, taki zwyczajny notes A5 z WHSmith<sup>[9]</sup>, po jednej stronie na każdy dzień. Zawsze sama oprawiała go w materiał z wyhaftowanym moim imieniem i aktualnym rokiem. To były pierwsze święta, odkąd skończyłam dziesięć lat, kiedy nie dostałam dziennika.

Gdy usiedliśmy do obiadu, Doll przyniosła pudełko dwunastu świątecznych petard – nigdy nie mieliśmy ich w domu, bo były za drogie. Hope najpierw była lekko zszokowana głośnymi trzaskami, ale szybko oszalała na punkcie nowej rozrywki i zaczęła biegać wokół stołu, nalegając, żeby każdy właśnie z nią pociągnął swoją petardę, a potem zbierała małe prezenty do nowej różowej torebki, którą dostała od Doll. Po krótkiej dyskusji pozwoliła nam jednak zachować bibułkowe korony.

– W końcu to dla dzieci są święta, prawda? – powiedział tata Doll kilka razy, jakby sam sobie o tym przypominał.

Mama Doll przygotowała indyka ze wszystkimi możliwymi dodatkami, do tego przyniosła Hope kilka serdelków, a na deser zrobiła jej lody śmietankowe, posypane orzeszkami w czekoladzie, żelkami i czekoladowymi gwiazdkami. Pani

O'Neill miała w życiu dość dzieci, by wiedzieć, że maluchom nie zawsze smakuje świąteczny pudding.

Po południu tata i pan O'Neill poszli do pubu, a Hope i mama Doll usadowiły się na kanapie przed wielkim telewizorem, żeby obejrzeć film Disneya. Gdy skończyłyśmy zmywać, Doll zaproponowała, żebyśmy wybrały się na spacer.

Wzdłuż wody ciągnęła się blada srebrna ścieżka, biegnąca ku zimowemu słońcu. Czasami, gdy kolory były tak jak dziś przygaszone mgłą, można było dostrzec w tym mieście powidoki dawnej świetności, przyciągającej niegdyś artystów – w tym samego Turnera. Obecnie większość wiktoriańskich willi, dawniej służących zamożnym londyńczykom za letnie rezydencje, przerobiono na domy seniora albo hostele „opieki społecznej”, jak je nazywano. Mieszkały w nich najrozmaitsze zbieraniny osób zmagających się z uzależnieniami i chorobami psychicznymi, w ciągu dnia kręcące się bez celu po mieście. Ponure okna zdobiły niechlujne, spłowiałe łańcuchy.

Zauważyłyśmy jeszcze kilka osób, które wybrały się na poobiedni spacer. Z salonów gier nie dochodziły dziś piski i grzechotanie maszyn, więc mój słuch dostroił się do urywkowych rozmów przechodniów.

– Szkoda chłopców... – mówiła starsza pani na wózku do popychającej go młodszej kobiety.

– Co za tragedia...

Czy rozmawiały o własnej stracie, czy może o rodzinie królewskiej?

Zgadywałam, że idący w naszą stronę dwaj mężczyźni po trzydziestce są braćmi, którzy przyjechali do domu na święta. A może to para gejów? Gdy nas mijali, jeden z nich zmierzył Doll wzrokiem. Więc nie geje. Drugi coś opowiadał.

– ...I tak to jest, jak marzenia się spełniają... – Po jego wyglądzie wnioskowałam, że nie wyszło mu w życiu tak, jak by chciał. Miał na sobie tanie dzinsy i skórzaną kurtkę w kolorze rzadkiej kupy.

– Jak myślisz, jakie on miał marzenia? – zapytałam Doll.

– Marzenia? Co?

– Nieważne.

Zawsze podsłuchuję cudze rozmowy i próbuję dopisać do nich całą historię, żeby nabrały sensu. Mama też tak robiła. Czasem chodziłyśmy na herbatę do kawiarni przy moło i zwyczajnie sobie rozmawiałyśmy, ale gdy tylko nasi sąsiedzi odchodzili od stolika, od razu zaczynałyśmy analizować wszystko, co udało nam się usłyszeć:

– On czuje się winny...

– Nie wierzyłam, jak powiedział, że żałuje, a ty?

– Jak myślisz, to jego dziewczyna na boku?

Doll to nie interesowało, bo zwykle sama miała dużo do powiedzenia.

Zeszłyśmy na plażę. Był odpływ i morze stało w idealnym spokoju,

znaczone jedynie co jakiś czas falą nie większą niż zmarszczka jedwabiu na płaskim, mokrym piasku.

– Choć plusk, gdy liże brzeg, ledwie się wsącza w ciszę...

– Że co się wsącza?

– To z wiersza mamy.

– Och.

Czy żałoba ma jakiś okres ważności? Trzy miesiące? Sześć? Nawet cierpliwość Doll miała swoje granice. Czy już czas, żebym „wzięła się w garść” i „pogodziła z rzeczywistością”? A może to były tylko puste zwroty, uwielbiane przez tych, którzy nigdy nie doświadczyli takiej straty?

– Włosi w pierwszy dzień świąt odwiedzają groby bliskich – powiedziała nagle Doll. – Przed cmentarzami stoją budki z kwiatami. To chyba miłe, nie?

Pomyślałam o grobie mamy na końcu cmentarnej alejki. Ponoć należało odczekać, aż ziemia się uleży przed postawieniem pomnika, więc jeszcze go nie było. Nie mogłam znieść myśli, że leży tam sama wśród obcych, pod grubą warstwą zwiędłych kwiatów i gnijących od deszczu pluszowych misiów. Na mogile obok stała lśniąca czarna tablica w kształcie serca, z wygrawerowanym z błędem napisem: *Nazawsze w naszych sercach*. Mama dostałaby białej gorączki – zwracała wielką uwagę na pisownię i gramatykę. Trzeba było wybrać się dziś na cmentarz, pomyślałam. Nie przyszło mi to wcześniej do głowy, bo w ogóle nie miałam poczucia, że ona tam jest.

– ...Fred mówi, że w ten sposób tak jakby przyłączają się do świętowania – ciągnęła Doll.

– Fred? – Wróciłam na ziemię.

– Fred Marinello. Jego tata jest Włochem.

– No!

Obie wiedziałyśmy, o co tak naprawdę pytam – jak to się stało, że nagle tak dobrze znasz się z Fredem? Może powinnam wyjaśnić, że Fred był kapitanem drużyny piłki nożnej i najbardziej popularnym chłopakiem w szkole. W wieku szesnastu lat podpisał kontrakt z lokalnym półprofesjonalnym klubem piłkarskim, stając się najmłodszym zawodnikiem, jakiego kiedykolwiek zwerbowali. Ostatnimi czasy chodziły plotki, że interesował się nim Arsenal. Sprawę rozwałkowała na wszystkie strony lokalna gazeta w artykule pod tytułem: „Fred w pierwszej lidze?”. Fred był najślawniejszą osobą, jaką wydało na świat nasze miasteczko, i podobał się wszystkim dziewczynom w szkole.

Gdy o tym pomyślałam, uświadomiłam sobie, że był wczorajszego wieczoru w pubie z grupą kolegów i nawet zauważyłam, jak Doll zamienia z nim kilka słów po drodze do łazienki i wskazuje na mnie, jakby tłumaczyła, gdzie siedzimy.

– Przychodzi do salonu na woskowanie nóg – wyjaśniła wesoło. – Niektórzy piłkarze z ligi tak robią, ze względu na aerodynamikę.

– Albo żeby lepiej wyglądać na boisku! – zaśmiałam się.

Doll nie podjęła żartu. Traktowała swój zawód bardzo poważnie. Chciała być kosmetyczką, odkąd skończyła pięć lat i dostała na święta lalkę, której odrastały włosy po obcięciu. Jako najmłodsza w rodzinie, a w dodatku jedyna córka, miała pozwolenie na eksperymentowanie z prawie zużytymi szminkami i zaschniętym eyelinerem pani O'Neill. Pewnego razu, gdy miałyśmy jakieś siedem lat, Doll wykorzystwała mnie jako modelkę – efekt mało nie doprowadził mamy do zawału. Potem nasze rodziny przez dobrych kilka tygodni siedziały na mszy w różnych ławkach.

– Tak się składa, że Fred zaprosił nas na sylwestra.

– Fred? Nas?

– No, mnie, ale zapytałam, czy możesz się przyłączyć.

– Dzięki, ale nie skorzystam.

– No weź. Jeśli tam będziesz, mama pozwoli nam zostać, do której będziemy chcieli. Wiesz, jaka ona jest.

Moja mama zawsze była lekko sceptyczna wobec mojej przyjaźni z Doll, obawiając się, że będzie mieć na mnie zły wpływ. Pani O'Neill z kolei bardzo cieszyła się z naszej bliskiej znajomości, bo ja byłam tą, która czytała książki, miała zapisane zadania domowe, pamiętała, co trzeba przynieść na zajęcia z gotowania, i tak dalej.

– A co z Hope? – zaoponowałam, szukając wymówki. – Tata na pewno będzie chciał iść do pubu.

– Przecież może zostać u nas – odparła natychmiast Doll.

– Ale nie mam w co się ubrać.

– Teraz to już brzmisz jak Kopciuszek.

– Czyli nie mam wyboru, co?

– Kopciuszku, pójdziesz na bal – oznajmiła Doll.

Dopiero kiedy Fred Marinello otworzył drzwi w sylwestrową noc, wreszcie zrozumiałam. Jego twarz rozjaśnił słoneczny uśmiech. Jako dziecko miał krzywe zęby, ale jakiś czas temu wybił połowę w zderzeniu ze słupkiem bramki, więc zamiast tego świecił rzędem równiutkich białych licówek.

Jego oczy powędrowały w górę i w dół po ciele Doll. Następnie, jakby dopiero zauważył, że za nią stoję:

– Tess!

Byłam równie wysoka jak on, mimo że miałam płaskie buty. Tacy mężczyźni jak on nie bardzo wiedzieli, jak sobie z tym radzić.

– Przykro mi z powodu twojej mamy – powiedział. – Była bardzo miła. Przy okazji, dobrze ci z takimi włosami.

Zazwyczaj wiązałam włosy w ciasny kucyk – były długie i kręcone, więc starałam się choć trochę utrzymać je pod kontrolą. Tego popołudnia Doll uparła się

jednak, że je wyprostuje, kosmyk po kosmyku, i zaczesze na bok, żeby połowa spadała mi na twarz. Kiedy ruszałam głową, wciąż czułam lekki zapach spalenizny.

– Doll mnie uczesała.

– Zdolna i do tego piękna... – Fred pocałował Doll w usta.

Poczułam się dość głupio. Byłam dobra w wymyślaniu historii o życiu nieznanym, ale nie zauważyłam, że moja najlepsza przyjaciółka zaczęła pierwszy prawdziwy romans. Przypomniałam sobie naszą niedawną rozmowę o Tym Jedynym i wszystkie jej opowieści o włoskich zwyczajach – to naprawdę było dość oczywiste.

– Od kiedy się spotykacie? – zapytałam Doll w sypialni rodziców Freda, gdzie zostawiłyśmy płaszcze i zajrzałyśmy do lustra na toaletce, żeby sprawdzić, czy nie mamy szminki na zębach.

– Nie byłam pewna, czy to na poważnie – wykręciła się Doll.

– A jest na poważnie?

– Mówi na mnie Maria D!

– I co, podoba ci się to?

Tak na nią mówili nauczyciele, gdy otwierali dziennik. Żeby odróżnić ją od Marii Lourdes, na którą mówili Maria L.

– Wydaje mi się, że to brzmi trochę dojrzej – odparła, obciągając obcisłą sukienkę z czarnej koronki.

Wlepiłam wzrok w swoje odbicie. Obok Doll wyglądałam na jeszcze wyższą, bo ona była drobniutka i doskonała. W towarzystwie zawsze czułam się przy niej niezręcznie, jak sztywna przyzwoitka, a nie najlepsza przyjaciółka. Miałam na sobie czarne dżinsy i czerwoną aksamitną bluzkę z opadającym luźno dekoltem, kojarzącym się z klimatem lat pięćdziesiątych. Na usta nałożyłam szminkę w pasującym odcieniu – Rubinowa Czerwień – z paletki, którą Doll podarowała mi pod choinkę. Czasem wydawało mi się, że urodziłam się trochę za późno, jeśli chodzi o modę i kanony urody. Miałam długie nogi i szczupłe biodra, więc dobrze wyglądałam w dżinsach, ale od pasa w górę byłam dwa rozmiary większa. Figura pływaczki, zaczęła mawiać mama po tym, jak jedna z medalistek olimpiady w Barcelonie stała się dość popularna i zaczęła reklamować kosmetyki.

Nie byłam pewna, czy czuję się dziwnie, bo jestem zazdrosna, że Doll układa sobie życie beze mnie – nie żeby podobał mi się Fred (a nawet gdyby, to i tak nie miałabym u niego szans), czy może dlatego, że nie powiedziała mi od razu. Czy naprawdę zachowywałam się aż tak żałośnie, że najlepsza przyjaciółka bała się przyznać przede mną do chłopaka z marzeń?

Na imprezie znaleźli się głównie znajomi z naszej szkoły, choć było też parę nieznanym twarzy – zapewne piłkarze. W myślach podzieliłam ich wszystkich na trzy grupy. Ci, którzy wiedzieli o mamie – oni głównie posyłali mi uśmiechy albo pytali: „No, jak się trzymasz?”, na co jedyną możliwą odpowiedzią było: „W



porządku”.

Druga grupa to ci, którzy nie wiedzieli o mamie – oni pytali, jak mi idzie na studiach, więc musiałam im powiedzieć, mimo że nie miałam ochoty poruszać tego tematu. Uznałam, że na kondolencje najlepiej odpowiadać po prostu „dziękuję”, ale to i tak brzmiało trochę jak odpowiedź na komplement.

Była też trzecia grupa – nieznajomi, ale nie miałam śmiałości, żeby do nich podejść.

Większość moich rówieśników miała już prawdziwą pracę. Przymierzali się do kredytów mieszkaniowych i mebli kuchennych na raty, a ja się cofałam tak bardzo, że większość czasu spędzałam w podstawówce, do której wszyscy kiedyś chodziliśmy.

– Matko, pani Corcoran. Zawsze mnie przerażała! – powiedziała Cerise McQuarry.

– Mnie nadal przeraża!

Piliśmy w kuchni różową cavę. Wtedy wszyscy pili cavę. Nikt nawet nie słyszał o prosecco.

– Szczęściara z tej Doll, co? – ciągnęła Cerise. – *Największe szanse, że poślubi milionera...*

– Pod warunkiem że Fred zostanie milionerem i się z nią ożeni – wtrąciłam.

Cerise posłała mi spojrzenie, które dobrze pamiętałam z liceum. Jej zdjęcie w albumie klasowym podpisano *Największe szanse, że zostanie modelką*, co zapewne skłoniło ją do podjęcia tematu. Jak na razie jednak pracowała w sieciowej drogerii w dziale z kosmetykami.

Ja byłam tą, która ma *Największe szanse, że zostanie nauczycielką*, pewnie dlatego, że byłam kujonką, trochę pedantyczną w dodatku. Mama chciała, żebym została nauczycielką, ale ja nigdy nie byłam przekonana do tego pomysłu. A zwłaszcza teraz. Pokój nauczycielski w mojej szkole dzieliła sztywna hierarchia. Wychowawczynie siadały razem, żeby zjeść kanapki, a nauczycielki sadowiły się na drugim końcu pomieszczenia i narzekały na podstawy programowe albo na to, ile mają pracy w domu. Nie brzmiało to zbyt przyjemnie.

Nigdy nie byłam duszą towarzystwa. Wysokie i nieśmiałe dziewczyny mają dużo gorzej niż niskie i nieśmiałe. Po okazałym wzroście ludzie automatycznie wnioskujeją, że jesteś też pewna siebie – jeśli okazujesz się małomówna, uznają cię za zarozumiałą. Kłopotliwe jest też, że jest wielu niezbyt wysokich mężczyzn, którzy chętnie dzielą się uwagami w rodzaju: „Musi być zimno tam na górze”, co od razu sprawia, że cała się jeżę.

Był tam jednak jeden chłopak tak wysoki, że gdy wchodził do pokoju, musiał się schylić. Nasze palce dotknęły się przypadkiem, gdy sięgnęliśmy jednocześnie po ostatnią parówkę w cieście francuskim, po czym nastąpiła niezręczna wymiana uprzejmości: „Proszę!”, „Nie, ty!”, „Naprawdę, bardzo

proszę”, i tak dobrą chwilę. Nawet nie byłam głodna, ale z jedzeniem w dłoni wyglądałam przynajmniej, jakbym była czymś zajęta. Bez tego rekwizytu widać było, że po prostu stoję sama i nie wiem, co ze sobą zrobić.

– Fred mówi, że jesteś koleżanką Marii? – Chwilę zajęło mi skojarzenie, o kim mowa.

– Ja mówię na nią Doll. Bo ma na drugie imię Dolores. Wiesz, że Maria Dolores to Matka Boża Bolesna...? – brnęłam coraz dalej.

– Teraz chyba nic jej nie boli! – skomentował, zerkając przez pokój. – Przy okazji, jestem Warren.

– Skąd znasz Freda?

– Co? A, jestem bramkarzem.

Zatańczyliśmy. Przyjemnie było poczuć potężne ramię wokół talii i zostać naprawdę głęboko pocałowaną przy dzwonach Big Bena dochodzących z radia. Warren był tak wysoki i dobrze zbudowany, że w jego ramionach czułam się niemal drobna i delikatna.

– Chodź, bierz płaszcz! – wymruczał mi w szyję.

– Nie ma mowy, dziękuję bardzo! – wykręciłam się, cała sztywna jak zakonnica.

– Czy on naprawdę liczył na seks od razu po tym, jak uderzył w ślinę? – zapytałam Doll w drodze do domu.

Jej milczenie było bardziej wymowne niż słowa.

– O Boże, ty i Fred? Wy... – wykrztusiłam, natychmiast trzeźwiejąc. To dlatego czułam się tak obco na imprezie. Nie przez śmierć mamy. Oni wszyscy już uprawiali seks. A ja wciąż byłam dziewicą.

– Przepraszam, Tess.

Chodziło jej o to, że mi nie powiedziała.

Przypomniałam sobie, jak zaczęłyśmy interesować się chłopakami i na zmianę ćwiczyłyśmy całowanie na lustrze w sypialni Doll. Jak się zastanowić, to było dość nielogiczne, bo zimna i płaska powierzchnia nie miała nic wspólnego z ludzkimi ustami. Poza tym cały czas miałyśmy otwarte oczy, żeby kontrolować, jak sobie radzimy – tego też raczej się nie robi w romantycznych sytuacjach.

Od tamtej pory zarówno Doll, jak i ja chodziłyśmy na randki, ale to nie było nigdy nic poważniejszego niż lody na molo albo wyjście do kina. Zawsze dzieliłyśmy się szczegółami intymnych kontaktów, porównywałyśmy malinki i oceniałymy, jak daleko sprawy zaszły w skali od jednego do dziesięciu. Ale ponieważ żadna z nas nie poszła na całość, trudno było czasami właściwie ocenić skalę doświadczenia. To, co kiedyś wydawało się piątką, rok później było już tylko dwójką.

Teraz Doll miała na swoim koncie dziesiątkę, a ja najprawdopodobniej dotarłam tylko do szóstki, bo nie bardzo pozwalałam chłopakom dotykać moich

piersi, a co dopiero tam na dole.

– I jak to jest? Fajnie?

– Cholernie fajnie. Dużo lepiej, niż się spodziewałam.

– Kochasz Freda? – zapytałam, czując się znów jak dwunastolatka.

– Chyba tak. Czasem sama nie mogę uwierzyć. Fred Marinello!

Noc była zimna. Nasze oddechy zamieniały się w białe obłoczki pary, a kroki odbijały echem po oblodzonym chodniku. Spojrzałam na sklepienie nieba, usiane gwiazdami.

– Nie sądzisz, że to dziwne? Że tysiące par poznają się dziś w nocy? – powiedziałam. – Niektóre przetrwają dwa tygodnie, a inne wciąż będą razem za dwadzieścia lat, ale teraz żadna o tym nie wie...

Doll spojrzała na mnie jak na wariatkę.

– Warren jest w porządku – powiedziała. – Pracuje w telesprzedazy.

Nie myślałam o Warrenie. Nie myślałam nawet o sobie. Po prostu czasami, kiedy patrzę w czyste niebo pełne gwiazd, Wszechświat staje się tak ogromny i nieuporządkowany, że wydaje mi się dziwne, jak ważne są dla nas te mikroskopijne momenty tu na Ziemi.

– Ma firmowy samochód – ciągnęła Doll, jakby to rozstrzygało sprawę.

– Słuchaj, wiem, że wyjdę na wybredną – przerwałam – ale „Fred mówił, że trzeba się tobą porządnie zająć” to nie jest najbardziej romantyczny tekst na podryw, jaki słyszałam.

– Ups! Sorry!

– Ale naprawdę się cieszę, że tak ci się ułożyło z Fredem – powiedziałam, bo uznałam, że tak wypada. – Tylko trochę mi smutno, że nie będę cię już tak często widywać. Więc chyba jestem potwornym samolubem!

– No, to obie jesteście!

Roześmiałyśmy się i przez chwilę wszystko było jak dawniej, ale potem znów ucichłyśmy, bo w rzeczywistości to wcale nie było takie symetryczne.

Hope było słyhać już z drugiego końca ulicy. Tata i pan O'Neill wyszli do pubu, a pani O'Neill wyłączyła odtwarzacz, żeby kolędy nie zagłuszyły Big Bena.

– Naprawdę lubi tę płytę, co?

Pani O'Neill wychowała czterech chłopców, a do tego Doll, ale nigdy nie widziałam jej tak wykończonej jak po jednym wieczorze z Hope.

– Może po prostu zabiorę ją do domu? – zaproponowałam.

– O tej porze? – zaprotestowała mama Doll. – Już wam posłałam w gościnnym!

Powiedziałam Hope, że pozwolę jej włączyć odtwarzacz w sypialni – pod warunkiem że się uspokoi, umyje zęby i przebierze w piżamę. Aby mieć pewność, że będzie się zachowywać, poszłam od razu do łóżka, zamiast usiąść na kieliszek snowballa z Doll i jej mamą.

Płyta doszła aż do „Mizerna cicha”, zanim Hope w końcu zasnęła.

Przekręciłam się na plecy i zaczęłam rozmyślać o postanowieniach noworocznych. Gdy byłam młodsza, zawsze zapisywałam je najładniej jak umiałam na skrawkach papieru, które potem zwijałam w ruloniki, obwiązywałam kolorowymi nitkami z przybornika mamy i wieszałam na gałkach szuflad komody w moim pokoju.

*Zawsze będę zmywać.*

*Będę więcej pomagać mamie.*

*Będę odkładać kieszonkowe.*

Już dawno temu przestałam to robić, ale wciąż postanawiałam różne rzeczy w myślach – jak chyba wszyscy, co? W tym roku jednak nic nie przychodziło mi do głowy.

Rok temu spędziłam sylwestra z mamą. W kącie migotały łańcuchy na choince, w telewizji leciał *Hootenanny*<sup>[10]</sup>, a my popijałyśmy baileysa. Moje postanowienia były wtedy dość proste: ostro powtarzać do matury, żeby dostać się na studia; odłożyć dość pieniędzy z weekendowej pracy w sklepie, żeby latem pojechać na wakacje.

– A ty? Jakie masz postanowienia? – zapytałam.

– Ja co roku mam takie samo postanowienie, Tess – odparła. – Cieszyć się wszystkim, co mam.

Szczerze mówiąc, ręce mi czasem opadały. Myślałam, że mama mogłaby osiągnąć więcej w życiu, gdyby nie była taka święta. Była inteligentną kobietą, czytała tak szybko, że co tydzień kończyła dwie albo trzy książki z biblioteki. Znała odpowiedzi na wszystkie pytania z „Milionerów”. Mogłaby mieć w życiu więcej.

Teraz uświadomiłam sobie, że może źle ją zrozumiałam.

Czy skoro mama musiała postanawiać, że będzie szczęśliwa, to oznaczało, że nie była szczęśliwa?

Że nie czuła się spełniona w życiu?

Czemu nigdy o tym nie rozmawiałyśmy?

Dlaczego nie powiedziała mi, co myśli, a zamiast tego posyłała mi ten swój wkurzający uśmiech, mówiący: Niedługo sama zrozumiesz?

Przecież we śnie mogła powiedzieć mi cokolwiek, więc czemu zapytała, czy byłam na pasterce?

I co miałam niby wyczytać z głupiego motylka?

Odwróciłam twarz do ściany w bezgłośnym szlochu, ramiona mi drżały, a gorące łzy spływały niepohamowanym strumieniem po policzkach. Skuliłam się jak małe dziecko, podciągając kolana pod brodę. Szlochałam i szlochałam, aż prawie poczułam, jak mama pochyła się nade mną z troską. Tak jak wtedy gdy byłam mała i miałam gorączkę.

Któregoś weekendu Doll wypożyczyła „Głęboko, prawdziwie, do szaleństwa”, bo myślała, że to prosta komedia romantyczna. W filmie Juliet Stevenson płacze tak mocno, że Alan Rickman powraca do życia, by znów z nią być.

Ale ja nie poczułam chłodnej szmatki na czole, nie usłyszałam łagodnego głosu obiecującego:

– No, już dobrze, dobrze. Niedługo przejdzie, zobaczysz.

Otoczona lekkim chłodem pokoju, którego na co dzień nikt nie zamieszkiwał, tak bardzo tęskniłam za mamą, że sprawiało mi to fizyczny ból.

– Nie chodzi o to, że sobie nie radzę – tłumaczyłam jej w myślach. – Po prostu tęsknię za tobą, kiedy wracamy do domu ze szkoły, bo dom jest taki pusty. Tęsknię za naszymi rozmowami w kuchni i za naszą ciszą, bo obie byłyśmy zajęte podsłuchiowaniem cudzych rozmów. Po prostu tak strasznie za tobą tęsknię, mamo! Nic nie jest takie samo bez ciebie...

Nagle przyszło mi do głowy, jak bardzo by ją zasmucił mój widok w takim stanie – jak zapłakuję się na śmierć i moczę poduszki pani O'Neill.

– Przepraszam, mamo – wyszeptalam.

Prawie usłyszałam jej odpowiedź.

– Ja też przepraszam, Tess. Wiesz, że nie tego chciałam.

## Grudzień 1997

### GUS

Ross zmarł w sylwestrowe popołudnie. Rodzice mieli decyzję wyrytą na twarzach, choć nic mi nie powiedzieli. Czy pozwoliliby mi przy tym być, gdybym poprosił? Ale nie odezwałem się, bo czułem, że to coś osobistego między nimi a Rossem. To oni sprowadzili go na świat. Poza tym spędzili z nim całe pięć lat, zanim ja się pojawiłem. Tylko bym przeszkadzał. Nie miałem więc okazji się pożegnać, bo nikt nie chciał spojrzeć prawdzie w oczy. „Odszedł” brzmi lepiej, niż „został odłączony od aparatury”. Zresztą, to byłoby puste pożegnanie, bo jego mózg i tak był już martwy. Jedyną różnicą, jaką zauważyłem, gdy wezwano mnie w końcu do pokoju, to panująca tam kompletna cisza – podtrzymujące życie maszyny przestały pikać i szumieć. Byłem zadowolony, że odszedł po południu, gdy było jeszcze jasno, a nie tuż przed północą, przy akompaniamencie fajerwerków i klaksonów samochodów za oknem.

Wróciliśmy do domu kilka dni później. Samolot wypełniali skacowani narciarze – wszystkie miejsca były zajęte z wyjątkiem jednego koło mnie. Po długim zastanowieniu rodzice postanowili skremować to, co zostało z Rossa po pobraniu organów nadających się do przeszczepów, i rozsypać prochy w morzu. Ross kochał morze. Zawsze opowiadał, że chciałby ustanowić rekord w przeprowie kajakiem przez Atlantyk.

Dokładnie rok później w wigilię Nowego Roku wyruszyliśmy z rodzicami do Lymington, żeby złapać prom na wyspę Wight. Jechaliśmy w milczeniu. Czas odmierzały uderzenia wycieraczek, a opony rozbryzgiwały wodę na pełnej kałuż M3. Na tylnym siedzeniu koło mnie leżał wielki bukiet białych lilii.

Tata wymyślił, że wypłyniemy na zatokę w małej łódce z domku letniskowego, który zawsze wynajmowaliśmy w wakacje, i rzucimy kwiaty do wody mniej więcej w tym samym miejscu, gdzie rozsypaliśmy prochy Rossa poprzedniej wiosny. Ale gdy zaparkowaliśmy przed domkiem, wiatr był gwałtowny i padało tak mocno, jakby ktoś wylewał na samochód całe wiadra wody i trząsał nim na boki. Przez zaparowane okna nie było widać, gdzie kończy się plaża a zaczyna morze.

Spędziliśmy popołudnie, licząc na jakąś cudowną zmianę pogody. Nikt się nie odezwał. Po dobrej godzinie bez najmniejszej nadziei na osłabnięcie deszczu ojciec nagle przekręcił kluczyk w stacyjce i zawiózł nas z powrotem do Yarmouth. Był wściekły, że plan się nie powiódł. Jego złość była w klaustrofobicznej

przestrzeni bmw równie wyczuwalna co omdlewający zapach lilii.

– A może rzucimy je z promu? – zaproponował w końcu, gdy już zbliżaliśmy się do miasta.

– Myślałam, żeby pójść na to małe molo za pubem, co? – odparła mama. Zerknęła na mnie, upewniając się, że ma wsparcie. – Tam, gdzie chodziliście łapać kraby?

Nasza smętna mała procesja wyruszyła po śliskich deskach mola, kryjąc się pod parasolem golfowym, za małym na naszą trójkę. Dlaczego Ross nie mógł mieć normalnego grobu, gdzieś, gdzie już i tak jest smutno, zamiast zamieniać całą wyspę, pełną słonecznych wspomnień z dzieciństwa, zamków z piasku i lodów, w deszczowe miejsce, w którym już nigdy nie mogliśmy być znów szczęśliwi?

Wreszcie doszliśmy do końca mola. Mama chwilę męczyła się z szeleszczącym celofanem, zanim go zerwała i mi podała. Stałem z boku z mokrą folią w rękach, a oni wspólnie rzucili kwiaty do wody.

– Raz, dwa, trzy!

Zamknęli oczy, kiedy je puszczali, jakby pomyśleli życzenie. Bukiet wpadł do wody. Patrzyliśmy, jak się kołysze, smagany deszczem. Miałem nadzieję, że nie zatonie, bo wydawało mi się, że to źle by wyglądało, ale nie chciałem też, żeby fale wyrzuciły go na brzeg, żebyśmy nie musieli powtarzać całego rytuału jeszcze raz. Po kilku minutach zmieniłem zdanie i uznałem, że mógłby jednak pójść na dno, bo jeśli nic się nie wydarzy, to będziemy tu sterczeć do końca świata.

Matka wreszcie westchnęła, uśmiechnęła się melancholijnie i powiedziała:

– Założę się, że przepłynął już dwa razy dookoła świata.

– Bez dwóch zdań! – przytaknął ojciec.

Nawet prochy Rossa były odważne i bohaterskie.

Odwrócili się i spojrzeli na mnie, jakby zapomnieli, że też z nimi przyszedłem.

*Woleliby, żebym to był ja, Ross.*

Oczywiście, że tak.

W drodze do domu nikt się nie odzywał.

Mama poszła prosto na górę. Ojciec nalał sobie szklankę szkockiej i włączył transmisję Hogmanay<sup>[11]</sup>. Zamknąłem się w pokoju i zapatrzyłem w czarne okno. Wspominałem, jak zwykle dochodziły mnie tu stłumione rozmowy dorosłych na przyjęciach koktajlowych rodziców, albo, od czasu do czasu, wybuchy śmiechu ojca, gdy Ross opowiadał swoje historyjki, popijając z nim whisky. W tym roku jednak śmiech z puszek w telewizji mieszał się ze zdławionym szlochem mamy, siedzącej w pokoju Rossa.

Otworzyłem okno i wystawiłem twarz na zimne, spokojne powietrze. Uderzyło mnie, jak cicho i ciemno jest na zewnątrz, kiedy deszcz już ustał. W Londynie nigdy nie było całkiem ciemno; nocne niebo zawsze barwiła delikatna

pomarańczowa poświata. Pomyślałem o Nocy Guya Fawkesa i o twarzy Lucy, złotej od blasku pióropuszy fajerwerków na niebie, rozświetlonej dziecięcym zachwytem. W Londynie nigdy nie było zupełnie cicho. Zawsze gdzieś rozlegało się buczenie metra albo jeżące włosy na karku wycie alarmu samochodowego.

Gdy przywykłem do ciszy, zacząłem wyłapywać odległe dźwięki muzyki z jakiejś domówki. Muzyka ucichła, żeby ustąpić miejsca odliczaniu do północy. Grupa gości krzyczała: „Pięc, cztery, trzy, dwa, jeden!” przy akompaniamencie kakofonii imprezowych trąbek; odśpiewano pierwszą linijkę „Auld Lang Syne”, lecz tradycyjna piosenka szybko przeszła w basy jakiegoś dance'owego kawałka.

Niebo było teraz czyste. Pewnie miliony ludzi na świecie wpatrywały się właśnie w migoczący Wszechświat, decydując pod gwiazdami o noworocznych postanowieniach.

Zamknąłem okno i zacząłem grzebać gorączkowo w torbie, aż znalazłem kartkę, na której Lucy zapisała swój telefon. Popędziłem na dół i wybrałem prędko numer, żeby nie zdążyć się rozmyślić.

– Kto mówi? – zapytał kobiecy głos po drugiej stronie. W tle słychać było dźwięki imprezy.

– Gus – odparłem, starając się mówić najciszej, jak to możliwe, żeby rodzice nic nie podsłuchali. Wydało mi się, że słyszę, jak mówi: „To on!” i podaje telefon Lucy.

– Szczęśliwego Nowego Roku! – powiedziałem.

– Hej! Szczęśliwego Nowego Roku!

Nastąpiła krótka pauza, a później odezwaliśmy się jednocześnie.

– Pamiętasz, mieliśmy się spotkać...

– Nie masz ochoty się spotkać...?

Nerwowy śmiech.

– Pasuje ci jutro?

Gdy zobaczyłem na peronie znajomy wełniany płaszcz Lucy i jej twarz, rozjaśniającą się uśmiechem na mój widok, poczułem, jak krew zaczyna szybciej płynąć mi w żyłach. Powiedziałem rodzicom, że postanowiłem wrócić wcześniej do Londynu, by przygotować się do sesji. Odczuwałem lekko buntowniczą satysfakcję, jakbym uciekł z domu.

Pojechaliśmy nad morze. Lucy prowadziła. Nie widzieliśmy się zaledwie dwa tygodnie, ale miała mnóstwo do opowiedzenia. Wesołe, zabawne, normalne historyjki o tym, jak poszła na spotkanie klasowe i odebrała świadectwo maturalne, jak poszła na zakupy z siostrą do Bluewater, jak zabrały jej małą siostrzenicę Chloe do Zimowego Ogrodu w Margate na świąteczną pantomimę, ale musiały wyjść w przerwie, bo Chloe przeraził widok damy.

Opowiedziałem jej o moich wyprawach do Teatru Królewskiego, które wydały mi się teraz bardzo odległe w czasie.



- Chodzisz sam? Nie czujesz się dziwnie?
- Chyba trochę – przyznałem. – Może chciałabyś się kiedyś wybrać ze mną?
- No pewnie!

Zaparkowaliśmy w jednej z wąskich uliczek wiodących ku plaży. Lucy prowadziła z godną pozazdrosczenia pewnością siebie, bez wysiłku cofając samochód w ciasną przestrzeń tuż przy krawężniku.

- A jak tobie minęły święta? – zapytała.

Nie miałem żadnych zabawnych historii, jak ta o jej babci Cynthii, która chyba cierpiała na łagodną demencję i wylała cały dzbanek wody na podpalony dla efektu świąteczny pudding.

- Spokojnie – odparłem wymijająco.

Plaża różniła się od tej, którą znałem z wyspy Wight. Tamtą pokrywał jasny, miękki piasek, a tu podłoże było usiane ciemnymi kamykami. Miejscami było tak stromo, że musieliśmy uważać, żeby nie spaść. Za pierwszym razem gdy Lucy się poślizgnęła, złapałem ją i podciągnąłem z powrotem, a następnie od razu puściłem. Za drugim pozwoliłem, by jej dłoń pozostała w mojej, kiedy wspięliśmy się na promenadę wysoko nad plażą.

– Chodźmy na kawę! – zaproponowałem, kiedy mijaliśmy witrynę włoskiej kawiarenki w stylu retro.

Przytulne i aromatyczne wnętrze szybko stopiło resztki napięcia.

– To miejsce jest znane z lodów – powiedziała Lucy, a potem zamówiła gorącą czekoladę.

– Ja proszę puchar lodowy – zwróciłem się do kelnerki. Zauważyłem, że Lucy się śmieje.

- No co? Uwielbiam lody!
- Jesteś taki... – Przerwała, szukając właściwego słowa.
- Głupi?
- Oryginalny – odparła ostrożnie.
- Nie przeszkadza ci to? – upewniłem się.
- Nie, to urocze! – zapewniła, rumieniąc się, jakby powiedziała zbyt wiele.
- Ty jesteś urocza – usłyszałem własny głos.

Wyciągnąłem rękę przez różowy plastikowy stolik. Zdjęła rękawiczki, ale miała zimne palce. Zacząłem ugniatać je łagodnie w dłoni, ale szybko puściłem, gdy kelnerka wróciła z naszym zamówieniem.

Lucy pociągnęła łyk z wysokiego szklanego kubka, ale prędko odstawiła go z powrotem.

- Co się stało?
- Bita śmietana jest w porządku, ale czekolada strasznie gorąca...
- Poparzyłaś się?
- Troszkę.

– Masz, zjedz trochę.

Nabrałem porcję lodów waniliowych na długą łyżkę i wyciągnąłem w jej stronę. Zawahała się przez chwilę, po czym otworzyła usta. Poczulem drgnięcie w kroczu, gdy pozwoliła mi włożyć ją sobie do ust, po czym otarła kąciki warg papierową serwetką.

– Lepiej?

– Tak! Dziękuję, panie doktorze!

Zamilkliśmy, pełni niewypowiedzianych myśli. Ja skupiłem się na lodach, a ona na czekoladzie. Ciszę przerywało jedynie stukanie łyżeczek o szkło.

– Moglibyśmy pojechać do mnie, jeśli chcesz – powiedziała w końcu.

– Okej – odparłem ostrożnie, zastanawiając się, czy wypada mi pokazać się jej rodzinie w dżinsach i koszuli w kratę.

– Rodzice zabrali babcię Cee z powrotem do Rye.

– Rye? – powtórzyłem.

– Tak, mieszka w domu opieki. Tuż pod Rye.

– To kawałek stąd, co? – W rzeczywistości mówiłem o czymś innym.

– Jakieś półtorej godziny. Zostaną na obiad. – Ona też mówiła o czymś innym. Dalej mieszała gorącą czekoladę.

– Może chcesz ją zmieszać z lodami? Trochę ostudzić?

– Zabawny jesteś... – zachichotała.

Wiedziałem, że nie jestem bardzo zabawny ani oryginalny, skoro już o tym mowa, ale w jej towarzystwie miałem wrażenie, że jestem wystarczająco dobry taki, jaki jestem, i czułem się z tym dobrze – jakby moje zamarznęte uczucia wreszcie zaczęły powoli topnieć.

Dom Lucy stał na przedmieściach, na prywatnym osiedlu otoczonym żywopłotami. Duży wolno stojący dom z elementami w stylu udającym epokę Tudorów, częściowo belkowaną fasadą pod dachem i witrażowym herbem rodzinnym w drzwiach wejściowych. Powstał w czasach, gdy wszędzie było jeszcze mnóstwo ziemi, a ludzie, których stać było na takie posiadłości, oczekiwali porządnego ogrodu zarówno od frontu, jak i za domem. Gdy parkowaliśmy, zauważyłem stojące na półkolistym podjeździe volvo i zaniepokoiłem się, że coś zatrzymało jej rodziców przed wyjazdem do Rye. Lucy czytała mi w myślach. Wyjaśniła, że to samochód jej mamy. Wzięli audi ojca. Renault clio, w którym siedzieliśmy, należało do niej i jej siostry.

– Ile masz siostr? – zapytałem. Coraz trudniej było mi podtrzymywać niezobowiązującą rozmowę w obliczu tego, co mogło się zaraz wydarzyć.

– Dwie. Najstarsza to Helen, ma męża i Chloe, no i drugie dziecko w drodze. Średnia ma na imię Pippa i jest teraz w Kanadzie.

– Jesteście blisko?

– Bardzo się różnimy, ale dość dobrze dogadujemy. Nie wyobrażam sobie,

jak to jest całkiem samemu... – Posłała mi tak badawcze spojrzenie, że aż zacząłem się zastanawiać, czy się nie domyśla.

Nigdy wprost nie skłamałem jej na temat Rossa, ale wiedziałem, że mam teraz okazję poprawić mylne wrażenie. Czułem, że to może ostatnia szansa, żeby to zrobić bez konsekwencji.

Jednak milczałem.

O ironio, Ross często powtarzał, że beznadziejnie kłamię, bo nie potrafię dostatecznie szybko wymyślić dobrej wymówki. Kiedyś to milczenie od razu mnie demaskowało. Teraz sprawiało, że wydawałem się trochę tajemniczy i nieprzenikniony.

– Nic dziwnego, że jesteś taki... – Lucy znów zawahała się, jakiego słowa użyć.

Miałem nadzieję, że nie powie „rozpuszczony”. Tak zazwyczaj się mówi na jedynaków, nie?

– ...Samowystarczalny.

Przestronny hol zasypany był kolorowymi plastikowymi zabawkami. Żółty konik na kółkach z niebieską grzywą górował nad zbieraniną dużo mniejszych zwierzątek.

– Mama opiekuje się moją siostrzenicą dwa dni w tygodniu – wyjaśniła Lucy. – Żeby Helen mogła pracować na część etatu.

– A czym się zajmuje?

– Jest internistką.

Ojciec Lucy też był internistą, mama – pielęgniarką środowiskową, a druga siostra studiowała fizjoterapię. Wyobraziłem sobie, jak bardzo ojciec starałby się dobrze wypaść przed takim towarzystwem.

– Chcesz kawy? – zapytała Lucy.

Poszedłem za nią do dużej kuchni z jadalnią – w przeciwieństwie do naszej, ta wypełniona była drobiazgami, jakie zwykle same pojawiają się w domach szczęśliwych rodzin: wszędzie było pełno niepasujących do siebie magnesów, przytrzymujących różne listy i notatki, wizytówki firm taksówkarskich i dziecięce obrazki. Na stole leżały otwarte pudełka płatków; w kącie zauważyłem miseczki z kocią karmą i wodą.

– Wybacz bałagan. Nie spodziewałam się, że przyjdiesz.

– Nie szkodzi, podoba mi się.

Spojrzała na mnie, jakbym żartował. Szum wody nalewanej do czajnika wydawał się nienaturalnie głośny.

Nagle coś miękkiego otarło mi się o nogi, aż podskoczyłem. Zobaczyłem dużego rudego kota.

– To Marmoladek. Zwykle nie lubi obcych! Masz jakieś zwierzęta?

– Miałem świnkę morską, jak byłem mały, ale lis ją dorwał.

– Och! – Uśmiech zniknął jej z twarzy, a ja kopnąłem się w myślach za psucie nastroju.

Miałem wrażenie, że wróciliśmy do punktu wyjścia. Albo nawet jeszcze dalej, jakbyśmy dopiero się poznali i z trudem nawiązywali pierwszą rozmowę.

– Kawa czy herbata?

– Kawa. Proszę.

Kawa w słoiku na blacie prawie się skończyła. Lucy sięgnęła do szafki wysoko nad jej głową.

– Czekaj, pomogę ci...

W jednej chwili stałem za nią i wyciągałem rękę po słoik, a w następnej ona stała do mnie przodem i się całowaliśmy. Zamknąłem oczy, jedyne co słyszałem, to bulgotanie czajnika i pstryknięcie, gdy woda się zagotowała.

Smakowała czekoladą. Nie chciałem robić nic innego, tylko całować ją jeszcze i jeszcze, trzymać jej twarz w dłoniach, wdychać cytrynowy zapach jej lśniących włosów. Najpierw stała nieco bezradnie z rękami opuszczonymi wzdłuż ciała, ale gdy odsunąłem się na chwilę, by na nią popatrzeć, objęła mnie delikatnie. Położyła mi dłonie na dole pleców, dokładnie w tym miejscu, co trzeba, sprawiając, że poczułem, jak spływa na mnie fala przyjemności i momentalnie twardnieję.

A potem Lucy wzięła mnie za rękę i wyprowadziła z kuchni.

Miałem ochotę kopnąć na bok zabawki i zrobić to z nią na parkiecie w korytarzu; na pokrytych dywanem schodach, czując, jak krawędzie wbijają się nam w plecy; na półpiętrze, patrząc na nasze odbicia w wielkim lustrze na ścianie.

– Nie mam przy sobie... – zająknąłem się, gdy ona otwierała drzwi z małą porcelanową tabliczką, na której napisane było: *Pokój Lucy*.

– Nie szkodzi. Jestem na pigułkach – wyszeptła.

Ta informacja była tak kliniczna i niespodziewana, że cała naturalność sytuacji zniknęła, a razem z nią moja erekcja.

Patrzyłem, jak Lucy się rozbiera, składa każdy element ubrania w kostkę i kładzie w schludną kupkę na taborecie przy toalecie. Pytania jak szalone przebiegały mi przez głowę. Dotąd zakładałem, że dla niej, podobnie jak dla mnie, to miał być pierwszy raz, że nie będzie miała z kim mnie porównywać. Czy planowała to wcześniej, a jeśli tak, to jak dawno? Czemu nic o tym nie wiedziałem? A może uprawiała też seks z innymi? Chyba nie z Tobym?

Gdy była już tylko w staniku i majtkach, podniosła kołdrę i wślizgnęła się do łóżka. Pożałowałem, że nie rozbierałem się razem z nią, bo teraz ona patrzyła na mnie. Odwróciłem się do niej plecami, zdjąłem koszulę, dzinsy i skarpetki i wszedłem do łóżka, wciąż w bokserkach. Łóżko było pojedyncze. Nie dało się leżeć bez dotykania się nawzajem, ale żadne z nas nie miało śmiałości się poruszyć.

Stopy wystawały mi za krawędź łóżka. Lucy była kompletnie nieruchoma.

Dziwnie byśmy wyglądali, gdyby ktoś teraz wszedł do pokoju! Może zmieniła zdanie? Albo czekała, aż zrobię pierwszy krok? W kuchni byłem tak podniecony, że ledwo mogłem się pohamować. Teraz nie wiedziałem nawet, od czego zacząć.

– Denerwujesz się?

– Tak.

Nie wiedziałem, czemu mówimy szeptem. Nikogo oprócz nas nie było w domu.

– Robiłeś to już kiedyś?

– Niezupełnie...

– Co to znaczy?

– To znaczy, że nie – przyznałem.

Jej śmiech sprawił, że moje przerażenie trochę zelżało.

– Ja też nie.

– Studiujemy medycynę – powiedziałem. – Powinniśmy znać się na anatomii i całej reszcie. Słuchaj... – Podparłem się na łokciu. – Może cię zbadać?

– Okej... – zgodziła się niepewnie.

– Rozluźnij się i powiedz, boli? – Pocałowałem jej ucho.

– Nie! – Znów się roześmiała.

– A teraz? – Pocałowałem ją w ramię.

– Nie!

– A teraz? – Pocałowałem jej pierś.

– Dobrze... – westchnęła.

– Przyjrzyjmy się lepiej.

Odgarnąłem kołdrę, żeby odsłonić koronkową krawędź jej stanika, i pocałowałem w to miejsce. Uśmiechnęła się i zamknęła oczy. Zanurkowałem pod kołdrę, przesuwając językiem po jej ciele do brzucha, aż do gumki majtek, i pocałowałem tuż nad linią włosów łonowych. Nagle poczułem jej ramiona i uda oplatające się wokół mnie, jej usta na moich wargach. Gorączkowo wyplątaliśmy się z bielizny. Zamknąłem oczy, czując, jak Lucy otwiera się na mnie. Przypomniałem sobie jej twarz w Noc Guya Fawkesa, całą w ciepłym świetle, złotą i pełną zachwyty, i w mojej głowie zaczęły wybuchać fajerwerki.

Gdy już było po wszystkim, leżeliśmy objęci, skóra przy skórze, wdychaliśmy wzajemnie swoje oddechy. Dopiero wtedy zauważyłem, jak porządny i dziewczęcy jest jej pokój. Zasłony ozdobił staromodny wzór różowych różyczek, biała toaletka pasowała do pomalowanych na biało półek w ścianie; na różowym dywaniku leżała para ogromnych, puchatych szarych kapci w kształcie królików.

Lucy zauważyła, że się im przyglądam.

– Prezent pod choinkę. Cieplutkie!

– Mam nadzieję, że się nie rozmnożą...

Zachichotała w odpowiedzi.

- Od kiedy bierzesz pigułki? – zapytałem, zanim zdążyłem się powstrzymać.
- Od dwóch miesięcy.

Dwa miesiące! Spróbowałem sobie przypomnieć, co wtedy było. Noc Guya Fawkesa.

- Helen powiedziała, że jeśli chcę zacząć, to powinnam być przygotowana. Rozmawiała o tym ze starszą siostrą!

– Ze mną? – Gdy tylko zadałem to pytanie, uświadomiłem sobie, że przecież nie odpowie: „Nie, z kimś innym”.

- Oczywiście, że z tobą, głupku!
- Szkoda, że nie wiedziałem wcześniej!
- A chciałeś?

Uśmiechnąłem się i przycisnąłem ją do siebie.

- No jasne.

- Od kiedy?

– Odkąd cię po raz pierwszy zobaczyłem – odparłem. To zabrzmiało jak coś, co powiedziałby Ross.

Czy to prawda, pomyślałem, gdy zaczęliśmy się znów całować, czy po prostu chciałem sprawić jej przyjemność?

Drugi raz był spokojniejszy i bardziej odkrywczy, i pozostawił nas w sennym rozmarzeniu, nieświadomych upływu czasu.

Nagle zauważyliśmy, że na zewnątrz zrobiło się ciemno i jej rodzice pewnie niedługo wrócą, więc w panice zaczęliśmy się ubierać. Pędem wynieśliśmy się z domu.

Lucy odwiozła mnie na dworzec i wskoczyłem do pociągu do Londynu.

Jutro, ustaliliśmy zdyszani między jednym a drugim pocałunkiem, jutro ona też wróci do Londynu. Będziemy się razem uczyć do zimowej sesji.

Pociąg ruszył, a ona biegła wzdłuż peronu, trzymając moją dłoń tak długo, jak się dało, a potem puściła i zaczęła machać na pożegnanie.

– Nie mogę się doczekać nauki! – krzyknąłem. Odtąd to było nasze specjalne słowo.

Usiadłem w przedziale i zapatrzyłem się w noc za oknem. Grzejnik pod siedzeniem słabo owiewał mi nogi ciepłym powietrzem. Wciąż czułem zapach Lucy na skórze, wciąż czułem ją w kroczu, a gdy zamknąłem oczy, usłyszałem jeszcze raz jej szybki, płytki oddech. W rozklekotanym pociągu panował przeciąg. Życie nagle wydało mi się całkiem znośne. Odbicie w szybie uśmiechnęło się do mnie i przez moment sam siebie nie poznawałem.

## **CZĘŚĆ DRUGA**

**1998**

**GUS**

– Ale ci się trafiło!

Marcus i ja siedzieliśmy przy stoliku w ogródku piwnym pubu Gloucester Arms i patrzyliśmy na Lucy, wchodzącą do pubu po następną kolejkę. Miała na sobie dżinsową minispódniczkę i różowy podkoszulek. Z jakiegoś niepojętego powodu – Marcus tego nie powiedział, ale wiedziałem, że właśnie tak myśli – ten chodzący ideał kobiecości się we mnie zakochał. Nieskrywana aprobatą przyjaciela sprawiła, że poczułem się jeszcze bardziej dumny z mojej dziewczyny, nie tylko dlatego, że miała śliczną twarz i wspaniałe ciało, ale też ze względu na to, z jakim zainteresowaniem rozmawiała z nim o uczelni i życiu w Bristolu, gdzie studiował prawo. Wyglądało na to, że na studiach zajmował się głównie uczestnictwem w kołach naukowych i imprezowaniem. Nieśmiały chłopak, którego pamiętałem z liceum, w rozmowie z Lucy był niemal wygadany.

Lucy postawiła przed nami dwa piwa i zostawiła nas, żebyśmy mogli spędzić trochę czasu razem. Umówiła się z koleżankami do kina.

– Na pewno macie masę rzeczy do obgadania – powiedziała. Patrzyliśmy za jej oddalającą się sylwetką. We wczesnowieczornym słońcu jej włosy lśniły jak czyste złoto.

W pubie pokazywali na dużym ekranie półfinał Pucharu Świata. Powietrze nagle wypełniły krzyki i gwizdy. Wyciągnęliśmy szyje, żeby zobaczyć wynik. Jeden do jednego.

– Myślisz, że będą karne? – zapytał Marcus.

– Możliwe.

– Brazylia musi wygrać, nie?

– No chyba nie ma innej opcji.

Nasza przyjaźń opierała się bardziej na wspólnym milczeniu niż na rozmowie. Podzielaliśmy naturalną skłonność do obserwacji, a nie udziału. Poznaliśmy się na końcu kolejki do stołówki pierwszego dnia w internacie. Zmierzyliśmy się wzrokiem i odkryliśmy, że obaj kibicujemy Arsenalowi, choć szybko nauczyliśmy się, że lepiej nie chwalić się tym publicznie. W naszej szkole piłka nożna była sportem dla dresów i mięczaków; prawdziwi mężczyźni grali w rugby. Na boisku moja szybkość i umiejętności Marcusa pomagały nam uniknąć najgorszych obrażeń. W internacie i pod prysznicami uważaliśmy na siebie nawzajem i pomagaliśmy sobie, jeśli trzeba było. To, że mój starszy brat był



przewodniczącym samorządu, wcale nie chroniło mnie przed okazjonalną przemocą. O ironio, Ross był zagorzałym wyznawcą zasady „co cię nie zabije, to cię wzmocni”. Jak zwykle w męskich przyjaźniach, między mną a Marcusem zawsze panowała lekka rywalizacja. Patrząc na niego z perspektywy roku spędzonego osobno, uznałem, że chyba dorosłem bardziej niż on. W liceum wyobrażaliśmy sobie, że studia będą niekończącą się dziką imprezą, a kobiety będą wskakiwać nam do łóżek i równie prędko wyskakiwać z nich wczesnym rankiem, widząc, jaki popełniły błąd. Teraz ja zaczynałem zdania od „my” i wiedziałem całkiem sporo o stymulacji łechtaczki – nie tylko z podręczników. Z tego, co udało mi się wywnioskować, romans Marcusa na Ibizie okazał się fiaskiem, i mimo że od tamtej pory przespał się z kilkoma dziewczynami, wciąż nie miał nikogo na stałe, a na seks mówił „bzykanie”.

Studenci medycyny są znani z tego, że imprezują równie ostro, jak pracują, ale ja i Lucy byliśmy jak para emerytów. Prawie w każdą sobotę budziła mnie kubkiem kawy, po czym wślizgiwała się z powrotem do wąskiego łóżka i dawała mi buziaka o smaku pasty do zębów. Lucy podchodziła do seksu tak jak do większości rzeczy, czyli bardzo metodycznie. Wszystkie magazyny zapewniały, że należy otwarcie mówić o tym, co się lubi, więc staliśmy się bardzo dobrzy w sprawianiu sobie nawzajem przyjemności. Czasem Lucy pytała, czy mam jakieś fantazje, na co zawsze mówiłem, że podoba mi się tak, jak jest, bo byłem pewien, że takiej odpowiedzi oczekuje.

Oczywiście nic z tego nie wyznałem Marcusowi.

Marcus planował od drugiego roku studiów wynająć dom z grupą kolegów z akademika; Lucy i ja zamierzaliśmy zamieszkać razem.

– To co, napraaaawdę się kochacie? – zapytał Marcus z lekkim znużeniem.

Lucy i ja mówiliśmy na seks „kochanie się”. Mogliśmy mówić rzeczy w rodzaju „kocham to uczucie” albo „kocham spędzać z tobą czas”, a nawet „kocham cię, gdy jesteś taki poważny/ taka zabawna/taki głupiutki”. Ale wciąż nie wypowiedzieliśmy słów „kocham cię” samodzielnie, jakby miały rzucić na nas jakiś nieodwracalny urok. Raz wydawało mi się, że wyszeptała to podczas wyjątkowo silnego orgazmu, ale nie byłem pewien – no i wiadomo, że nie miałem jak poprosić o doprecyzowanie.

– Zależy, co to znaczy „napraaaawdę”? – odparłem, starając się pokazać Marcusowi, że nie mam z tym problemu.

Prawda była taka, że nie wiedziałem, czy kocham Lucy. Szalenie ją lubiłem. Bardzo dobrze spędzało mi się z nią czas. Zależało jej na mnie bardziej, niż komukolwiek w całym moim życiu. Zapamiętywała różne drobiazgi, które mówiłem: nawet tak nieważne jak to, że wolę masło orzechowe z kawałkami orzechów. Może po prostu kobiety takie już są? Nie potrafiłem tego ocenić, bo była moją pierwszą dziewczyną. Bez przerwy czułem się zaskoczony i szczęśliwy, że

jest mną zainteresowana. Czy to była miłość? Zapadła cisza. Obaj pociągnęliśmy długie, porządne łyki piwa.

– Nie powiedziałem Lucy o Rossie – wyznałem nagle.

Tego też nie potrafiłem wytłumaczyć. Czy po prostu nie chciałem, żeby zaczęła mi współczuć i nalegać, abym z nią o tym rozmawiał? A może hodowałem w sobie jakiś irracjonalny lęk, że Ross wciąż ma władzę nad moim życiem i jest w stanie zniszczyć wszystko, co dla mnie ważne? W gimnazjum zostałem wybrany na bramkarza szkolnej reprezentacji, ale musiałem zrezygnować, bo wybił mi bark. Moją świnkę morską, Toffi, zagryzł lis po tym, jak Ross „przypadkiem” wypuścił ją na dwór.

Marcus myślał nad tym tak długo, że zacząłem się zastanawiać, czy mnie w ogóle usłyszał. W końcu odparł:

– Chyba nie było po co.

Poczułem niewyobrażalną ulgę.

– To dla ciebie nowy rozdział.

– Tak.

– Ross był porąbany. Niech spoczywa w pokoju, oczywiście – powiedział Marcus.

Przerwaliśmy rozmowę i zapatrzyliśmy się na ekran, gdzie Brazylia właśnie wywalczyła sobie miejsce w finale.

– Wciąż grasz w squasha? – zapytałem w końcu.

– No. A ty biegasz?

– Co rano.

Miałem stałą trasę – to było ważne, bo wtedy mogłem zanurzyć się w medytacyjnej próżni, jaką zapewniało bieganie, i nie rozpraszać otoczeniem. Biegałem wzdłuż smętnych głównych ulic Camden, potem Parkway i przez bramę aż do cichego raju Regent's Park. Zimą trawę pokrywał szron, poranne niebo rumienił różowy świt, a koronkowe gałęzie drzew, zamglone lekko moim parującym oddechem, przypominały krajobraz z impresjonistycznego obrazu. Wiosną zauważałem raczej detale, na przykład kamienne wazy pełne tulipanów na Euston Road albo woskowe płatki kwiatów magnolii. Lato przynosiło girlandy róż na pergolach pośrodku parku, gdzie robiłem pętlę, a później biegłem sprintem prostą drogą przez trawniki, koło żyrafiarni, przez kanał i z powrotem po niższym zboczu Primrose Hill.

W słoneczne dni widziałem, jak właściciele kawiarni rozstawiają stoliki i krzesła wzdłuż szerokiej, zakrzywionej ulicy, która prowadziła mnie z powrotem do mostu kolejowego. To była jedna z tych eleganckich dzielnic Londynu, gdzie dawne miejsca nie mogły już konkurować z zapotrzebowaniem na kawę i świeżym, pysznym jedzeniem. Przez ostatni rok patrzyłem, jak stara pralnia zostaje wyopatroszona, wyremontowana i zamieniona we włoską knajpę.

Pewnego dnia właściciel, który większość pracy wykonał sam, męczył się na drabinie, gdy przebiegałem. Zatrzymałem się i zaoferowałem pomoc przy wieszaniu znaku nad witryną, na którym widniała nazwa miejsca: *PIATTINI*. Od tamtej pory zawsze wymienialiśmy przyjazne *buon giorno!*, gdy mijałem go rano, jak wypisywał kredą na tablicy przed wejściem danie dnia. Napisy zawsze były bardzo proste, bez zbędnych ozdobników – *polenta con funghi trifolati*, *salsiccia al nocchio*, *granita alla mandorla* – wspaniałe zapachy płynące z kuchni mówiły same za siebie.

Gdy któregoś poranka zauważyłem nad menu wypisane kredą słowa *ZATRUDNIĘ KELNERA*, pobiegłem dalej, jak zwykle, po czym zatrzymałem się, a potem zawróciłem. Salvatore dał mi próbną zmianę wieczorem, po czym zapłacił za przepracowane godziny i zapytał, czy przyjmuję pracę. Chyba byłem z tego bardziej dumny niż z zaliczenia pierwszego roku studiów.

– Czyli zostajesz w Londynie na lato? – zapytał Marcus.

– Taki mam plan.

Mieszkanie, które znalazła dla nas Lucy, było dostępne od końca roku akademickiego, a ponieważ właśnie dostałem pracę, nie musiałem w ogóle wracać do domu na wakacje.

– A co tam u twoich rodziców?

– Chyba wszystko okej.

Dzwoniłem do nich mniej więcej raz na dwa tygodnie. Po mojej ostatniej wizycie ojciec położył nowe kafelki w garderobie na parterze i zamontował system przeciwwłamaniowy z czujnikami ruchu. Podejrzywałem, że oba projekty miały na celu odwrócenie jego uwagi od trudniejszych problemów. Matka zaczęła wyszywać narzuty na łóżko. Gdy pytali, czy wszystko u mnie w porządku, przytakiwałem. Nie potrafiłem wyobrazić sobie innego sposobu, żeby ich ucieszyć, niż zostać lekarzem. Mogliby postawić na kominku moje zdjęcie w todze i birecie i chwalić się znajomym. Gdyby to tylko ode mnie zależało, pewnie załamałbym się pod presją studiów, ale Lucy pilnowała, żebyśmy oboje ostro pracowali, upewniała się, że robię wszystko na bieżąco, i pomagała mi w pisaniu raportów z praktyk.

– To nie wypracowanie z filozofii – zwróciła mi kiedyś uwagę, gdy zauważyła, jak się męczę. – Oni chcą tylko wiedzieć, czego się nauczyłeś i co mogłeś zrobić lepiej. Uczysz się, jak leczyć choroby, a nie dusze.

– A ty? – zagadnąłem Marcusa. – Masz jakieś plany?

– Myślałem, żeby przejechać się pociągiem po Europie – odparł ze wzruszeniem ramion, które mi uświadomiło, że po to się ze mną spotkał. Przez chwilę poczułem pokusę powrotu do Włoch – miałem ochotę nadrobić zeszłoroczne wakacje, których nie udało nam się spędzić razem. Ale potrzeba zarobienia własnych pieniędzy była silniejsza. Wprawdzie rodzice nigdy nie wspominali o kosztach mojej edukacji, ale chciałem być tak niezależny, jak to

tylko możliwe.

Lucy przytuliła Marcusa na pożegnanie, gdy odprowadziliśmy go na pociąg na stację Paddington. Gdy odwrócił się do mnie i oficjalnie uściśnął mi dłoń, pożałowałem, że mężczyźni nie mogą też się przytulać. Miałem kolegów na uczelni, na przykład Toby'ego, ale rzadziej się widywaliśmy, odkąd zacząłem spotykać się z Lucy. Był też Jonathan, poważny chłopak, którego poznałem jeszcze na egzaminach wstępnych. Czasem chodziłem z nim na piwo, jeśli akurat nie grał w szachy, ale nikt nie znał mnie tak jak Marcus. Moja znajomość z Nash była najbliższa prawdziwej przyjaźni, ale Lucy nie czuła się z tym zbyt dobrze. Najbardziej krytyczny komentarz na temat Nash, jaki usłyszałem z ust Lucy, to że jest „trochę zbyt wyrazista”. Nash wyrażała się dużo bardziej bezpośrednio, zwłaszcza po alkoholu, i oskarżała mnie, że zadowolam się łatwym związkiem z kimś, kto nie stanowi dla mnie żadnego wyzwania, na co zawsze odpowiadałem:

– A ty masz z tym problem, bo...?

To ją tylko jeszcze bardziej nakręcało, ale sprzeczki zawsze kończyły się śmiechem.

Nowe mieszkanie znajdowało się na siódmym piętrze w wielkim bloku na osiedlu komunalnym na Euston Road. To była świetna lokalizacja, dziesięć minut piechotą od szpitala. Mieliśmy widok na północ i wschód: na dworzec Euston i na Camden, Gospel Oak i Hampstead Heath. Z początku ponure, pomazane graffiti okolice wydawały się nam dość groźne, ale gdy lepiej poznaliśmy całe sąsiedztwo, przestało się nam kojarzyć ze strefą wojenną.

Lucy i ja zajęliśmy jedną sypialnię, a jej dwie koleżanki, Harriet i Emma, zamieszkały w pozostałych dwóch. Przed pójściem na studia nigdy nie miałem okazji przebywać w kobiecym towarzystwie, ale szybko okazało się dużo przyjemniejsze niż stuprocentowo męskie otoczenie, jakie zapamiętałem z internatu. Wtedy moja niechęć do rytuałów inicjacyjnych – takich jak „robienie herbaty”, czyli branie jąder starszego kolegi w usta – była uznawana za niemęską. W nowym mieszkaniu wystarczało w sobotę po południu obejrzeć mecz, by zostać jednogłośnie uznanym za prawdziwego mężczyznę.

Wszyscy dzieliliśmy się obowiązkami w domu – ja zgłosiłem się do wyrzucania śmieci (wtedy jeszcze nie wiedziałem, że winda tak często się psuje) i do robienia wspólnych zakupów raz w tygodniu. Przejąłem się swoją rolą do tego stopnia, że poświęciłem się wyszukiwaniu miejsc w okolicy z najtańszymi artykułami pierwszej potrzeby, na przykład mlekiem i papierem toaletowym, i przemierzałem w sobotnie popołudnia rynek na Inverness Street, gdy sprzedawcy już się pakowali i często pozbywali warzyw i owoców za grosze.

Pod okiem Stefanii, żony Salvatore i szefowej kuchni w Piattini – gdzie nadal pracowałem w weekendy – rozwinąłem zainteresowanie gotowaniem.

– Ile pomidorów mogą twoim zdaniem zjeść cztery osoby? – zapytała Lucy,

gdy wróciłem do domu ze skrzynką pomidorów, zdobytą za funta.

Musiała jednak przyznać, że podpieczone na oliwie z oliwek zamieniły się w przepyszny sos do pasty, zwłaszcza z odrobiną świeżo startego parmezanu.

Zacząłem cieszyć się na metodyczne mycie i krojenie warzyw, mieszanie, próbowanie, tworzenie czegoś pysznego, jak *ribollita*, z zaledwie kilku surowych składników. W ten sposób mogłem odprężyć się po całym dniu w szpitalu. Poza tym domowe posiłki były tańsze i bardziej pożywne niż gotowe potrawy ze sklepu albo jedzenie na wynos, no i mogłem w ten sposób wynagrodzić moim współlokatorom ich wysiłek wkładany w inne obowiązki domowe, takie jak odkurzanie czy sprzątanie łazienki – zwykle robiły to, zanim ja zdążyłem zauważyć, że już najwyższa pora.

W październiku rodzice oznajmili, że przyjeżdżają do Londynu „zobaczyć, jak mi się teraz mieszka”, i poprosili, żebym zarezerwował gdzieś stolik. „W jakiejś porządnej restauracji, na którą cię nie stać”. Zamiast tego zaskoczyłem ich domowym obiadem: podałem *porchetta* faszerowaną koprem włoskim, chili i czosnkiem, a do tego pieczone ziemniaki z rozmarynem i chrupiącą sałatą.

– Pyszne, Lucy! – Tata robił mi obciach, próbując z nią flirtować, jak to często robią ojcowie.

– To Gus wszystko zrobił – odparła. – Ja mam dwie lewe ręce w kuchni!

– Gus? – powtórzyła mama. – No, co za niespodzianka. Przemiała niespodzianka!

Nie było dla mnie jasne, czy mówi o moim skróconym imieniu, dowodzie na moją heteroseksualność, czy o jedzeniu. Poczulem przyływ dziecinnej dumy, że wreszcie wykazałem się talentem, którego Ross nie przejawiał. Zaraz potem nadeszła fala przerażenia, że porówna mnie do niego na głos, a nie tylko w myślach. Ale tego nie zrobiła. Dzień zakończył się sukcesem, co nie znaczyło, że chciałem go powtórzyć.

– Twoi rodzice są mili – powiedziała potem Lucy.

Twoi rodzice. Przedstawiłem ich jako „moja mama” i „mój tata”, zamiast Caroline i Gordon. Nie byłem nawet pewien, czy w ogóle wypadałoby mówić do nich po imieniu.

– Myślisz, że mnie polubili?

Nawet nie wiedziałem, czy lubią mnie.

– Na pewno. Oni po prostu nie są zbyt wylewni.

Nigdy wcześniej tak o tym nie myślałem. Może jako jedynacy nigdy nie musieli okazywać uczuć? A może, ponieważ wspięli się na szczyble klasy średniej z dość przeciętnych warunków, nie byli pewni, jak należy się zachowywać.

– Nie jesteś taki jak oni.

– Ulżyło mi – odparłem, ciesząc się, że udało mi się zaspokoić jej ciekawość bez konieczności wizyty w naszym zimnym, martwym domu.

Rodzice Lucy byli przyzwyczajeni do tego, że córki przyprowadzają do domu chłopaków, i traktowali mnie z idealną dozą serdeczności i sceptycyzmu. Mama Lucy była gościnna i ciepła, i z miejsca kazała mówić do siebie Nicky. Podczas gotowania zawsze pytała mnie o zdanie – jak dużo przypraw dodać do curry albo ile jeszcze czasu zostawić mięso w piekarniku. Gdy zrywałem się od stołu, żeby pomóc posprzątać po obiedzie, mówiła, że miło wreszcie zobaczyć mężczyznę, dla którego zmywanie nie oznacza wkładania naczyń do zlewu, żeby się namoczyły. Za to ojciec Lucy nigdy nie zaproponował, żebym mówił do niego Bill. Jego krytyczny grymas sprawiał, że zachowywałem się nieco niezdarnie – moczyłem rękaw w misce płatków albo potykałem się o grabie, gdy pomagałem mu zbierać liście z trawnika.

Panowała u nich dużo swobodniejsza atmosfera niż ta, którą znałem z domu. Można było spać do późna w niedzielę, jeśli się miało ochotę, albo zrobić sobie tosta o dowolnej porze dnia. Kiedy Nicky zapytała, czy chciałbym spędzić z nimi święta, zgodziłem się z niemal przesadnym entuzjazmem, mówiąc rodzicom, że muszę pracować w restauracji do późna w Wigilię, więc nie dam rady ich odwiedzić. To była akurat prawda, choć pewnie dostałbym wolne, gdybym poprosił.

Rodzina Lucy zorganizowała przed obiadem żartobliwe mikołajki. Dostałem parę ogromnych, miękkich kapci w kształcie Gromita; ja wylosowałem Helen, najstarszą siostrę Lucy. Po namyśle kupiłem jej maszynkę do robienia baniek mydlanych, która zachwyciła jej córeczkę Chloe. Helen lubiłem najmniej. Otaczała ją ta chłodna, lekarska aura dystansu, jakby patrzyła na człowieka i oceniała symptomy, które niezbyt jej się podobają. Kiedyś powiedziałem jej półzartem, że chyba nie chciałbym być lekarzem rodzinnym, bo nie wyobrażam sobie, abym miał kiedyś dość pewności siebie, by zdiagnozować choćby przeziębienie. Odparła sucho, że większość przeziębień ma podłoże wirusowe i nic się z tym nie da zrobić poza doradzeniem pacjentowi, by przyjmował dużo płynów, dopóki jego system odpornościowy sam sobie nie poradzi.

– Ale co, jeśli trafi się jeden na tysiąc przypadków, że to nie będzie przeziębienie, tylko zapalenie opon mózgowych?

– Wszyscy się tego boimy.

– Chodzi mi o to, że nie widzę się w sytuacji, gdy podejmuję decyzję w pozostałych dziewięćset dziewięćdziesięciu dziewięciu...

– Zobaczysz, gdy będziesz miał w poczekalni trzydziestu pacjentów, czytających zeszłoroczne egzemplarze „Grazii” – odparła opryskliwie. – Nie ma sensu się nad tym za bardzo zastanawiać.

Średnia siostra, Pippa, była dużo przyjemniejsza: łatwo się irtowała i obrażała, ale równie chętnie i prędko okazywała radość i przywiązanie. To ona była rodzinną buntowniczką. Jako nastolatka cierpiała na bulimię – w rodzinie

samych lekarzy o takich rzeczach rozmawiało się przy stole – a teraz utrzymywała chudą jak patyk sylwetkę, popalając ukradkiem papierosy na końcu ogrodu. Ona była tą „wymagającą dużo uwagi” – rodzice często przyklejają dzieciom takie etykiety.

– Więc jaka jest Lucy? – zapytałem kiedyś Nicky, gdy poczułem, że nasza znajomość weszła już na taki poziom, że mogę sobie na to pozwolić.

– Lucy jest tą, z którą nigdy nie ma kłopotów.

– Pewnie dlatego, że wszyscy zawsze się mną opiekowali – odparła Lucy.

– Widzisz, właśnie o tym mówię! – zaśmiała się Nicky.

Szczerze mówiąc, Lucy też potrafiła wymagać sporo uwagi. Na przykład gdy opowiadałem anegdotki o klientach z Piattini, zawsze się trochę dąsała:

– Wydaje mi się, że ta praca podoba ci się bardziej niż medycyna.

Musiałem ją wtedy zapewniać, że nie, lubię medycynę (czytaj: lubię być z tobą); po prostu w restauracji można poznać najróżniejszych ludzi, z których każdy ma własną historię.

– W szpitalu też można – zwracała uwagę.

– Tak, ale oni wszyscy są chorzy!

Lucy często myślała, że żartuję, kiedy tak naprawdę nie miałem takiego zamiaru.

Zjedliśmy świąteczny obiad w południe, z papierowymi koronami na głowach, podając sobie sos i półmiski warzyw w jedną i drugą stronę, nakładając żurawinę na talerz prosto ze słoika. Wyobraziłem sobie rodziców, jak siedzą w milczeniu w salonie i sumiennie jedzą przystawkę z wędzonego łososia, używając właściwych sztućców. Poczulem okropne ukłucie winy.

Po obiedzie wszyscy usiedliśmy w salonie przed płonącym kominkiem i otworzyliśmy nasze prawdziwe prezenty. Długo szukałem odpowiedniego prezentu dla Lucy, choć nie bardzo wiedziałem, co by to mogło być, aż w końcu znalazłem coś, co wydało mi się idealne. Przed świętami byliśmy na przyjęciu wydziałowym i przebraliśmy się za Sandy i Danny'ego z „Grease”. Lucy wyglądała świetnie z wysoko upiętymi włosami, ubrana w sukienkę w stylu lat pięćdziesiątych z plastikowym paskiem, którą znalazła w second handzie. Przechodząc Neal Street, zobaczyłem w sklepie z amerykańskimi ciuchami vintage podobnie ubranego manekina, trzymającego oryginalną torebkę z lat pięćdziesiątych – wydałem na nią więcej, niż planowałem.

Bez kontekstu sukienki biała torebka wyglądała jednak bardziej jak badziewie niż vintage, zapięcie było lekko zardzewiałe, a pokryty plastikiem materiał lekko popękany i pokruszony na krawędziach. Starłem się wyjaśnić, o co mi chodziło. Pippa nie mogła powstrzymać wybuchu śmiechu, a Helen spojrzała na mnie tak, jakbym przywłókł coś obrzydliwego na butach.

– Śliczna! – oznajmiła lojalnie Lucy i zawięła torebkę z powrotem

w papier, po czym podała mi ciężki pakunek z moim imieniem na karteczce.

W środku znalazłem szkicownik, kredki i drewniane pudełko z akwarelami.

Prezent doskonale odzwierciedlał jej szczodłą i praktyczną naturę. Lucy nie była zainteresowana sztuką – kilka razy poszliśmy razem na wystawę, ale szybko zaczynała zerkać na zegarek – ale wiedziała, że lubię malować, i zachęcała mnie do tego.

– Gus chciał być artystą, jak był mały – oznajmiła rodzinie.

– Nie potrafię sobie go wyobrazić małego – powiedziała Helen.

– Ja potrafię – wtrąciła Pippa. – Gus ma taką chłopięcą twarz.

– Kto to jest Gus? – zainteresowała się babcia Cee.

– No dobra, to narysuj nam coś! – zażądała Pippa. Czując na sobie wzrok całej rodziny – wprawdzie przyjazny, a nie oceniający – naszkicowałem więc Marmoladka, śpiącego przed kominkiem.

– Ojej, naprawdę dobre! – zawołała Lucy, gdy pokazałem rysunek.

Nie byłem pewien, czy potraktować to jako pochwałę, czy trochę się obrazić, że tak ją to zaskoczyło.

Wyrwałem kartkę i jej podałem.

– Oprawię sobie w ramkę!

– A umiesz rysować ludzi? – zapytała Pippa.

– Nigdy nie próbowałem.

– To teraz spróbuj! No, dawaj!

Podparłem szkicownik niemal pionowo o udo, żeby nikt nie widział moich wysiłków, i spróbowałem najlepiej jak mogłem uchwycić rysy Lucy. Zauważyłem, że jej twarz miała w sobie pewien bezruch – zawsze wyglądała podobnie, bez względu na to, czy była szczęśliwa, zmęczona czy znudzona. Nigdy nie zwróciłem na to uwagi, ale gdy raz to dostrzegłem, stało się dla mnie widoczne na wszystkich jej zdjęciach stojących na kominku. Lucy zawsze wyglądała na nich mniej więcej tak samo. Moje zdjęcia na kominku u rodziców przedstawiały moją twarz z najróżniejszymi minami, od wkurzonej po zupełnie kretyńską.

Gdy pozwoliłem rodzinie spojrzeć na rysunek, wyglądali na zadowolonych. Sam byłem dość dumny z tego, jak udało mi się uchwycić otaczającą Lucy pogodną aurę.

– Wyglądasz tu jak te laleczki, które zamykają oczy, gdy kładziesz je na plecach! – skomentowała Pippa, zaglądając siostrze przez ramię. – Czyli tak jak w rzeczywistości, skoro już o tym mowa. Może faktycznie powinieneś zostać artystą, Gus!

– No, ale pieniędzy raczej z tego nie ma, prawda? – odparłem, bo wydało mi się to odpowiednio skromne.

– Nawet Van Gogh nigdy nie sprzedał żadnego obrazu – dodała Lucy.

To był jeden z dwóch argumentów, które zawsze wywlekali ludzie



niemający pojęcia o sztuce. Drugi to ten, że współczesna sztuka, sprzedawana za ciężkie pieniądze, nie jest tak naprawdę w ogóle sztuką. Ale nie chciałem psuć zabawy gadaniem o owczych zwłokach i niezaścielonych łózkach.

– Przepraszam za Pip – powiedziała Lucy później, gdy leżeliśmy przytuleni w jej pojedynczym łóżku.

– Nie ma za co. Jest zabawna.

Natychmiast pożałowałem, że użyłem tego słowa, bo Lucy odparła:

– Pewnie ja też powinnam być bardziej zabawna.

– Jesteś bardzo zabawna – zapewniłem, modląc się, żeby nie kazała mi oceniać tego w skali od jednego do dziesięciu, jak to czasem robiła z przymiotnikami.

– Za tydzień będzie rok – powiedziała.

Chwilę mi zajęło, zanim się zorientowałem, że mówi o nas. Czy powinienem kupić kartkę? Albo kwiaty? A może jedno i drugie?

– Tak – odparłem.

– Wydaje ci się, że minęło więcej czy mniej czasu?

Prawdopodobnie jedna z odpowiedzi była prawidłowa, ale nie wiedziałem która. Czas ponoć płynie szybciej, gdy człowiek jest szczęśliwy, więc możliwe, że należało powiedzieć „mniej”, ale nie byłem na sto procent pewien. Nigdy się nad tym nie zastanawiałem.

– Wydaje mi się, że minął mniej więcej rok – powiedziałem niepewnie. Poczulem się jak oszust, gdy się zaśmiała, jakbym właśnie zabłysnął żartem.

1999

TESS

Różowa sukienka, którą kupiłam Hope, miała na metce napisane „7-8 lat”, ale już była na nią przyciasna, a rozciągliwy, obszyty cekinami materiał opinał się nie tam, gdzie powinien. Hope nie była gruba, ale miała dość baryłkową sylwetkę i krótkie, trochę krzywe nóżki. Po epidemii wszy w klasie zabrałam ją do fryzjera, żeby obciął jej gęste, ciemne włosy. Były teraz dość krótkie i sterczały na wszystkie strony, naelektryzowane od naciągania sukienki przez głowę. Hope obejrzała się uważnie w lustrze.

– Ależ jesteś śliczna, jak z obrazka! – oznajmiła. Dokładnie tych słów użyła pani Corcoran, gdy Hope przyszła w tej sukience ostatnio na dzień bez mundurka. Hope przestała powtarzać słowa mamy. Wszystkie jej ciepłe powiedzonka zastąpiły teraz spostrzeżenia pani Corcoran, tak jakby wspomnienie mamy zupełnie ją opuściło.

– Masz funta na raka piersi? – zapytała, gdy wychodziłyśmy z domu do szkoły.

– Mam – zapewniłam, poklepując torebkę. – Ale to nie jest na raka piersi, tylko na walkę z rakiem piersi.

Nie wiem, czy ktoś poza mną poczuł się trochę dziwnie, gdy wszystkie małe dziewczynki w szkole wykrzyknęły „hurra!” na wieść, że w dzień bez mundurka szkoła będzie wspierać organizację walczącą z rakiem piersi, więc miały się ubrać na różowo. Decyzja została podjęta nie tylko ze względu na mnie i Hope. Gdy odchodzi ktoś bliski, człowiek szybko sobie uświadamia, że prawie każdego w jego otoczeniu też to dotknęło. Wydawałoby się, że to powinno pomóc spojrzeć na własne cierpienie z dystansu, ale wcale tak nie jest.

Hope nie trajkotała jak większość dzieci w jej wieku, więc w drodze do szkoły zwykle grałyśmy w różne gry, na przykład w liczenie. Wybierałyśmy kategorię: powiedzmy kwiaty albo zwierzęta, i szłyśmy do głównej ulicy, wypatrując jak najwięcej różnych rodzajów. Resztę drogi spędzałyśmy na wyliczaniu wszystkiego, co udało się nam zauważyć. Zwykle lista Hope była dużo dłuższa od mojej, bo dostrzegała wszystkie małe fioletowe kwiatki rosnące w szparach między cegłami, dmuchawce i stokrotki na trawnikach.

Jej ulubioną zabawą była gra w słuchanie – połowę drogi przemierzałyśmy w całkowitym milczeniu, a potem mówiłyśmy sobie o wszystkich dźwiękach, jakie słyszałyśmy. Tu Hope zawsze wygrywała, bo wychwytywała nie tylko trzask drzwi

i chrzęst kół na podjeździe, ale też tykanie kierunkowskazów czy fragment piosenki dobiegający z radia w samochodzie. Zwykle potrafiła też rozpoznać utwór.

– Ręka w górę, kto przyniósł funta na raka piersi! – zawołała wychowawczyni, gdy usadziła wszystkie dzieci przed sobą na dywanie.

– To nie na raka piersi, tylko na walkę z rakiem piersi!

– Dziękuję za uwagę, Hope. To może chciałabyś zgłosić się na ochotnika i pozbierać pieniądze od wszystkich dzieci?

– Nie.

Po klasie przetoczyła się fala śmiechu.

Z czasem odmienność Hope stawała się coraz bardziej widoczna – na początku wszystkie dzieci były zajęte sobą, ale teraz odnajdywały się już w grupie. Nawet klasowe gwiazdy – w każdej klasie było kilka takich, zwykle najwyższych i najbystrzejszych, których mamy mówiły im, że niektóre dzieci mają więcej trudności niż inne – już się poddały i nie próbowały włączać Hope do zabawy w dom albo szpital, bo odmawiała współpracy i odgrywania przyznanych jej ról.

Z początku Hope była zapraszana na przyjęcia urodzinowe, ale teraz to się urwało, bo dzieci świętowały urodziny w mniejszych grupach bliższych przyjaciół – zwykle były to wypadki do kina albo do parku wodnego. Zaproszenie Hope oznaczało również zaproszenie mnie, a to było trochę dziwne, bo nie byłam ani dzieckiem, ani matką, a dzieci mówiły do mnie „pani Costello”.

Miało to jednak pewne plusy: nie musieliśmy wydawać pieniędzy na prezenty, a mnie łatwiej było utrzymać zawodowy dystans. Jako wychowawczyni byłam w dość uprzywilejowanej pozycji. W ciągu dnia słyszałam dużo osobistych rzeczy o rodzinach dzieci. Na przykład szesnastoletnia siostra Chantelle zaszła w ciążę, żeby dostać mieszkanie komunalne, a mama Kaylie uważała, że ktoś w ich domu „tylko marnuje, kurwa, miejsce” (to zdanie dobiegało z kąta za każdym razem, gdy przychodziła kolej Kaylie na bycie mamą).

Hope chyba nie zauważała, że jest wykluczana z towarzystwa, ale ja czułam dotkliwe ukłucie żalu za każdym razem, gdy wkładałam do teczek pocztę dla rodziców. W teczce Hope nigdy nie pojawiały się małe pastelowe koperty z zaproszeniami.

Tak samo było na szkolnej dyskotecie, co było nieco absurdalne, bo Hope niczego nie uwielbiała bardziej od muzyki, ale tańczyła sama, jakby od pozostałych dzieci odgradzał ją niewidzialny mur.

Zazwyczaj didżejem był Bryan Leary, który organizował wszystkie potańcówki w kościele i grał kawałki w rodzaju „Jingle Bells”, ale tym razem sekretarka pani Corcoran musiała znaleźć kogoś innego – Music Man, głosił plakat – bo Bryan miał problem z kanalizacją w domu.

Nowy didżej był o wiele młodszy. Zaczął od: „Jestem Music Man”,

wyciągając spod odtwarzaczy różne instrumenty, trochę jak Mary Poppins ze swojej dywanikowej torby, a potem przeszedł prosto do pierwszych akordów „Hit Me Baby One More Time”, na co starsze nauczycielki uniosły wysoko brwi.

Następnie przyciszył dźwięk i powiedział do mikrofonu:

– Kto wie, jak się gra w taniec figur?

Ręce wystrzeliły w górę. Muzyka ruszyła.

*Oh, baby baby...!*

Hope podobała się piosenka, ale nie rozumiała idei zabawy. Gdy didżej przerywał muzykę, denerwowała się, zamiast zastygnąć w jakiejś pozie.

Pomodliłam się w duszy, żeby Music Man nie odrzucił jej jako pierwszej.

– Okej, dzieciaki – powiedział. – To było tylko na próbę. Tym razem jak muzyka się zatrzyma, wy też się zatrzymujecie, jasne?

Instrukcje nie mogły być wyraźniejsze, ale Hope była w swoim świecie z Britney. Didżej chyba dostrzegł panikę w moich oczach, gdy skradałam się na tył sali, żeby być blisko Hope, gdy odpadnie.

– Tym razem słuchajcie bardzo uważnie...

Muzyka umilkła. Czworo dzieci nie zdążyło. Emma i Kaylie usiadły same, Patrycja trzeba było postukać w ramię.

– Musisz teraz usiąść, Hope – wyszeptałam.

Rozległ się chór oburzonych głosów:

– Hope oszukuje!

Posłałam didżejowi rozpaczliwe spojrzenie, a on włączył muzykę i wyłączył niemal natychmiast, więc cała klasa odpadła.

– Kto chce następną zabawę? Zróbcie hałas!

To był tak niezwykły nakaz, że niektóre dzieci zerknęły na panią Corcoran dla potwierdzenia, zanim wykrzyknęły: „Jaaaaaaaa!”.

– Teraz będzie konkurs tańca. Kto zna tę piosenkę?

Pierwsze takty „Tragedy” Steps.

Ręka Hope wystrzeliła w powietrze, podobnie jak każdej innej dziewczynki w pomieszczeniu.

– A kto chce zatańczyć?

Dłoń Hope pozostała stanowczo w powietrzu.

– W porządku. Teraz wszyscy tańczymy. I pamiętajcie! Wszystko widzę.

Hope zaczęła skomplikowaną sekwencję kroków i gestów do muzyki. Zauważyłam, że kilka dziewczynek próbowało ją naśladować, ale żadna nie potrafiła tak jak ona utrafić w rytm. Nauczycielki zaczęły trącać się łokciami i wskazywać na moją siostrę. Hope, wciśnięta jak serdelek w lśniąca różową sukienkę, podjeżdżającą jej prawie do majtek, była kompletnie nieświadoma, że ktoś na nią patrzy.

– Fantastycznie tańczę – oznajmiła tacie wieczorem.

- A kto tak powiedział?
- Music Man tak powiedział.
- Music Man, co?
- Naprawdę świetnie tańczy – wtrąciłam. – Wygrała czekoladę w konkursie tańca, prawda, Hope?
- Skąd wiesz, jak się tańczy?
- Z „Top of the Pops”.
- „Top of the Pops”, co?

Tata nigdy tak naprawdę nie słuchał. Zazwyczaj komunikował się z nami, powtarzając końcówki naszych zdań.

- Jak jakaś przeklęta papuga – mawiała mama.

Na kolację było jedzenie na wynos, co najprawdopodobniej oznaczało, że ojciec wygrał parę groszy na koniach.

- Może zapisalibyśmy Hope na lekcje baletu? – zaryzykowałam. – Większość dziewczynek chodzi na jakieś zajęcia i trochę się popisują.

- Balet? – obruszył się ojciec. – Widziałaś, jak ona wygląda, Tess?

Kopnęłam się w myślach za użycie tego słowa. W oczach ojca to właśnie balet był przyczyną upadku Kevina.

- W jej wieku najważniejsze jest po prostu, żeby ruszać się do muzyki – starałam się go przekonać. – Naprawdę, tato, gdybyś tylko zobaczył, jak ona tańczy...

- Balet! – Ojciec był niewzruszony. – Myślisz, że śpię na pieniądzach? – dodał z lekką groźbą w głosie. Obie wiedziałyśmy, że lepiej z nim dalej nie dyskutować.

Gdy Hope położyła się już spać, wróciłam do łazienki, żeby umyć wannę i posprzątać po kąpieli. Podniosłam różową sukienkę, którą mała rzuciła na pokrytą linoleum podłogę.

Różowy był takim radosnym, żywym kolorem jak na symbol raka piersi. Gdyby ktoś zapytał, jaki kolor przychodzi mi na myśl, wybrałabym czarny albo bardzo ciemny odcień szarości.

Pewnie chodziło o to, żeby różowy dawał siłę i pozytywnie nastrajał. Język, jakiego używa się w kontekście raka, jest pełen skojarzeń z walką, wygrywaniem i odwagą, jakby to było jakieś zagrożenie z zewnątrz, które należy pokonać. Ale gdyby chodziło tylko o dobre nastawienie, to pewnie większość chorych wracałaby do zdrowia, prawda?

Ja wyobrażałam sobie raka jako działającego w ukryciu terrorystę, którego należało przechytrzyć. Przeczytałam dość artykułów na ten temat, by wiedzieć, że powinnam regularnie badać piersi. Podczas pierwszych miesięcy po śmierci mamy byłam przekonana, że wykryłam kilka grudek i podejrzanych stwardnień, ale zdążyły zniknąć, zanim doczekałam się wizyty u lekarza. Czułam, jakbym tylko

zabierała mu czas.

Przy trzeciej wizycie trafiła mi się nowa pani doktor.

– Piersi są bardzo wrażliwe na zmiany poziomu hormonów – wyjaśniła. – Dlatego najlepiej zawsze badać je w tym samym momencie cyklu. Najlepiej kilka dni po miesiączce. Może mi pani pokazać, jak się pani zwykle bada?

– W łóżku – odparłam, kładąc się na kozetce. Zatoczyłam dłońmi kilka kręgów w powietrzu nad piersiami – nie miałam ochoty ich dotykać, gdy na mnie patrzyła.

Zostałam wychowana na porządną dziewczynkę z katolickiej rodziny, więc czułam wystarczającą presję strachu i wstydu, gdy robiłam to w ciemności i pod kołdrą. Gdzieś w tyle głowy pobrzmiwał mi głos ojca Michaela, straszącego nas „pokusami cielesnych przyjemności” na przygotowaniach do bierzmowania.

– Łatwiej byłoby na stojąco – powiedziała rzeczowo lekarka. – Ja zawsze stoję przed lustrem w łazience. W ten sposób mogę też się dobrze przyjrzeć podczas badania każdej piersi, czy nie ma żadnych zmian w wyglądzie, na przykład przebarwień albo innych zmian skórnych.

Poczułam się lepiej, słysząc, że ona też to robi. Dzięki temu udało mi się zmienić perspektywę na nieco bardziej kliniczną.

– Ale pani wie, czego szukać – zaprotestowałam.

Uśmiechnęła się.

– Pani Tereso, pani wie więcej ode mnie, bo to pani najlepiej zna własne piersi. Albo przynajmniej powinna. Z czasem nabierze pani więcej pewności. Spróbuj pani?

Zachęcona jej radami zdołałam nieco ograniczyć obsesyjne szukanie sygnałów do comiesięcznego badania. Teraz jednak był dzień walki z rakiem piersi, więc zamknęłam się w łazience i rozebrałam od pasa w górę.

Zawsze miałam lekkie kompleksy na tym punkcie, bo rozwinęłam się bardzo szybko, już w wieku dwunastu lat – przeszłam od zera do miseczki E w niecałe pół roku. Wciąż brałam głęboki oddech przed obmacaniem każdej piersi. Najpierw uciskałam od zewnątrz, spiralnie, aż do sutków, a potem sprawdzałam pod pachami. Nie zauważyłam żadnych zmian. Westchnęłam z ulgą. Minął kolejny miesiąc, Hope wciąż dorastała. Jeśli tylko uda mi się odhaczyć jeszcze sto trzydzieści pięć miesięcy, Hope skończy osiemnaście lat i nie będzie już takiego kłopotu, jeśli dostanę raka i umrę.

Zastanawiałam się, czy każdy, kto opiekuje się małym dzieckiem, tyle się martwi. A może to tylko ja? Trudno się przyznać do zmartwienia. Ostatnie, czego bym chciała, to żeby inni martwili się, że się martwię, więc zwykle dusiłam to w sobie, przez co pewnie te uczucia się nawarstwiały.

Ostatniego popołudnia przed wakacjami Hope i ja ostatnie wyszłyśmy ze szkoły, po polowaniu na zagubioną tenisówkę. Nasze kroki odbijały się echem na

placu zabaw, dziwnie cichym bez czterystu dzieci. Cieszyłam się, że kolejny rok już za nami. Udało nam się przez niego przejść bez zbyt wielu wpadek. Dyskoteka miała cudowny wpływ na samoocenę Hope. Słońce grzało. Wszystko szło ku lepszemu.

– Music Man! – Hope pierwsza go zauważyła.

– Hej, Hope! – Przykucnął, żeby przybić jej piątkę, ale uderzył tylko powietrze, bo ona nie przybijała piątek.

– Tree, to Music Man!

– Tree?

– To zdrobnienie od Teresy. Jestem jej siostrą – dodałam, żeby wyjaśnić, czemu nie mówi do mnie „pani Costello”.

– Nie sądziłem, że jesteś jedną z nich – powiedział. Jego uśmiech był zaraźliwy.

– No cóż, jestem, ale i tak dziękuję.

– Miałem nadzieję, że uda mi się cię złapać.

– Czemu?

– Chyba coś zostawiłem w sali.

– Och, co takiego? – zapytałam. Na jego twarzy odmalowało się zmieszanie.

– Nieważne, już nic.

– Nic nie zostawiłeś? – upewniłam się. Zabrzmiała jak nauczycielka.

– Po prostu miałem nadzieję, że cię jeszcze zobaczę.

Uświadomiłam sobie, że mnie podrywa. Doll wiedziałyby, co zrobić, zatrzepotałyby rzęsami, może na sekundę dotknęłyby jego ramienia.

– A to czemu? – Znowu wyszłam na oziębłą zakonnicę.

– Może miałabyś ochotę wyjść kiedyś na kawę?

– Musiałabym zabrać Hope – wypaliłam.

– Dla mnie żaden problem, Tree.

– Tess – powiedziałam. – Znajomi mówią na mnie Tess.

– Co to za napakowane ciacho? – zainteresowała się Doll.

Czekała na nas przed bramą w różowym volkswagenie beetle z odstłoniętym dachem. W dłoni trzymała kręconego loda dla Hope.

Ciacho? Tak się zdenerwowałam, że nawet nie zapytałam, jak on ma na imię. Był mniej więcej mojego wzrostu, miał krótkie brązowe włosy i gładko ogoloną twarz, kojarzącą się z odpowiedzialnością i mundurem, na przykład z zawodem strażaka albo ratownika medycznego. Nie wyglądał jak didżej.

– To Music Man – wyjaśniła Hope.

– Ach taaaak! – odparła Doll, rozciągając słowo „tak” w nieskończoność i posyłając mi wymowne spojrzenie, gdy zapinałam pasy Hope, jakbym robiła z tego tajemnicę.

– Może miałabyś ochotę wyjść kiedyś na kawę? – Hope powtórzyła idealnie

jego słowa i intonację.

– Ach tak! – powiedziała znowu Doll, przekręcając kluczyk w stacyjce.

To naprawdę nie tak, zamierzałam powiedzieć, ale nie zrobiłam tego, bo czułam się wyjątkowo. Poznałam kogoś nowego, trochę starszego ode mnie, mężczyznę a nie chłopca, z ciekawą pracą. Gdyby Doll go nie zauważyła, pewnie zatrzymałabym to dla siebie przez jakiś czas, dopóki sprawy nie posunęłyby się trochę dalej. Ale pewnie i tak za bardzo wybiegałam do przodu.

Różowy beetle był prezentem dla Doll od Freda na ich pierwszą rocznicę. Fred był teraz zawodnikiem pierwszej ligi i oboje mieli właśnie wprowadzić się do nowiutkiego domu, który kupili jeszcze przed wybudowaniem.

Brama zapiszczała i otworzyła się bardzo powoli, gdy Doll wycelowwała w nią kluczykami.

– Ogród jeszcze trzeba będzie porządnie zaprojektować – powiedziała. – Jak ci się podoba?

Ganek wspierały dwie wysokie białe kolumny – jak front świątyni.

– Wspaniale!

Pani O'Neill często mawiała, że to prawdziwy cud, jak się Fredowi powiodło, i że nikomu by to nie przyszło do głowy, gdyby zobaczył go w podstawówce.

– Tak sądziłam, że spodoba ci się rzymski styl. Na siłowni jest jacuzzi i basen.

– Macie siłownię?

– No, na razie to tylko pokój z lustrami, dopóki nie zainstalują maszyn. Tyle jeszcze zostało do zrobienia!

Hol był wysoki na dwa piętra, z pnącymi się spiralnie schodami, prowadzącymi na balkon.

– Hope, nie chcesz iść się porozglądać? – zasugerowała Doll. Hope kompletnie ją zignorowała.

– I Freda naprawdę na to stać? – zapytałam.

Wiedziałam, że jego dochody wystrzeliły pod sufit, gdy zeszłego lata pojawiły się plotki, że zostanie wybrany do reprezentacji Pucharu Świata we Francji. Najlepszy moment, żeby być fotogenicznym młodym napastnikiem z Anglii. Ale nawet jeśli tak było, ta posiadłość musiała kosztować majątek.

– Lepiej, żeby było go stać – odparła Doll. – Jego agent zajmuje się finansami. Tu jest taniej niż w Londynie, poza tym on mówi, że to dobre posunięcie dla wizerunku Freda. No wiesz, że wciąż kocha rodzinne miasto i że ma tu dziewczynę ze szkoły, oczywiście. „Hello!” robi z nami wywiad za dwa tygodnie! Staję na rzęsach, żeby to wszystko ogarnąć na czas!

– A co z twoją pracą? – Odkąd Doll została dziewczyną Freda, częściej rozmawialiśmy przez telefon, niż się widywałyśmy. Nawet nie pamiętałam, kiedy



ostatnio mówiła coś o salonie.

– Nie mam na to czasu, Tess, co chwila jakaś premiera albo aukcja charytatywna. Widziałaś ten różowy diament, który Fred mi kupił na raka piersi?

– Na walkę z rakiem piersi – poprawiła ją natychmiast Hope.

Doll posłała małej ostre spojrzenie.

– Na każdą imprezę muszę mieć inną sukienkę, chodzić na wosk, paznokcie, całą resztę, więc i tak nadal spędzam pół życia w salonie! Jak myślisz, może powinnam zorganizować sobie parę piesków? Na zdjęciach w „Hello!” oni zawsze mają te małe białe pieski, zauważyłaś? Albo dziecko. Ale nie chciałabym, żeby srały na podłogę. Wiedziałaś, że marmur wchłania plamy? Dekoratorka wewnątrz powiedziała mi dopiero po fakcie, w przeciwnym razie pewnie wybrałabym panele dębowe. Zakaz czerwonego wina. Przynajmniej na dole.

– Ciężko będzie ci załatwić dziecko w dwa tygodnie... – wtrąciłam, zastanawiając się, czy powiedziała to, żeby zobaczyć, jak zareaguję.

– Daj spokój. Moją matkę by to chyba zabiło. Wystarczy jej, że będę mieszkać z Fredem. Jak zobaczyła plan, powiedziała: „No, macie pięć sypialni, to jakoś to rozwiążecie”. Ona wierzy, że czekamy do ślubu.

– A bierzecie ślub?

– Agent Freda mówi, żeby poczekać, aż go wezmą do reprezentacji. Wtedy nie będziemy musieli płacić za wesele!

– Agent Freda decyduje?

– Nie martw się, Tess, on mnie uwielbia. Nie chciałby, żeby Fred włóczył się po klubach z jakimiś panienkami, które potem od razu polecą do prasy.

Dyskretnie wskazałam głową w kierunku Hope. Moja siostra była jak magnetofon.

– O Boże! Hope! – wrzasnęła Doll.

Lody ciekły małej po rękach.

– Brudzisz mój marmur! – Doll wciąż krzyczała.

Kiedy indziej pewnie rozbawiłoby nas, jak głupio to zabrzmiało, ale tym razem Hope wpadła w jeden ze swoich humorów. Wyglądała, jakby na jej twarz dosłownie opadł cień. Stała bez ruchu, patrząc na nas nienawistnie. Chyba już wolałam, żeby zaczęła się wydzierać.

– Myślisz, że coś z nią jest nie tak? – wyszeptała Doll, wytrącona z równowagi. Gdy usłyszałam, jak mówi o mojej siostrze w trzeciej osobie, cała się zjeżyłam w jej obronie.

– To ty jej kupiłaś te cholerne lody!

– Ja tylko mówię, co powiedział Fred!

– A, to teraz Fred jest też pediatrą, co?

Twarz Doll wyglądała, jakbym oskarżyła Freda o coś dużo gorszego.

– Pediatra to lekarz dziecięcy – wyjaśniłam.

– Ty i te twoje trudne słowa!

Nie znosiłam, kiedy Doll próbowała pokazać, że jest głupia, bo to nie była prawda. Ona po prostu w ten sposób chciała wywołać we mnie poczucie winy.

– Powinna się nauczyć – dodała Doll.

– Czego nauczyć? Że marmur absorbuje plamy? Nie ma tego w podstawie programowej. Ty też nie wiedziałaś, dopóki ta twoja przeklęta dekoratorka ci nie powiedziała!

– Nie o to...

– To tylko wanilia – przerwałam jej, wyjmując chusteczkę. – Patrz, nic nie widać.

Bliska leż zaczęłam wycierać chusteczką podłogę. Doll nagle uświadomiła sobie, że trochę przesadziła.

– Przepraszam, Tess...

Co się stało z Doll? Jakby w tym jej nowym świecie polerowanego granitu i ogrzewania podłogowego zabrakło nagle miejsca na to, co naprawdę ważne. A może faktycznie się od nas oddała, pomyślałam, i nie chodziło tylko o jej nowy dom.

– Nie lubię Doll – powiedziała Hope, gdy wracałyśmy na osiedle.

„Myślisz, że coś z nią jest nie tak?”. Słowa przyjaciółki wciąż dzwoniły mi w głowie. Wiedziałam, że niektórzy tak sądzą. Czasami sama o tym myślałam, ale Hope była taka zdolna w tak wielu dziedzinach, że chyba nie mogło się z nią dziać nic złego? Znała słowa wszystkich piosenek ze wszystkich płyt, jakie mieliśmy w domu. Dzięki niej wszyscy znaliśmy je na pamięć, łącznie ze słowami, które przekręcała w zabawny sposób, gdy nie do końca coś zrozumiała. Raz nawet przyłapałam tatę, jak podśpiewuje „Grimme, Grimme, Grimme” przy goleniu. Gdy mnie zauważył, aż cały struchlał pod grubą warstwą białej piany. „Struchleć”: dziwne słowo, co? Kiedyś myślałam, że to od trusi, czyli królika, ale według słownika pochodzi od truchła, czyli spróchniałego pnia.

Mama często powtarzała: „Hope po prostu jest, jaka jest”. I jeszcze: „Świat byłby nudny, gdybyśmy wszyscy byli tacy sami, co?”.

Ale czasem żałowałam, że nie mogę jej zapytać, tak szczerze, czy też się nie martwiła.

Music Man zadzwonił wieczorem. Podobało mi się, że grał w otwarte karty. To było dużo dojrzałe niż te wszystkie gierki: zaczekam kilka dni na wszelki wypadek, żeby nie wyjść na zbyt zainteresowanego. Nazywał się Dave Newbury i z zawodu był hydraulikiem. Więc nie będzie problemu z tatą, pomyślałam, znów wybiegając myślami trochę za daleko.

Spotkaliśmy się następnego popołudnia pod wieżą zegarową. Uświadomiłam sobie, że nigdy nie byłam na randce – jeśli to była randka – z kimś, kogo nie znałam od podstawówki.

Tak bardzo się denerwowałam, że w ogóle nie wiedziałam, o czym rozmawiać, co do mnie niepodobne. Spróbowałam sobie wyobrazić, co pomyślałby ktoś patrzący na nas z boku. Czy wyglądaliśmy jak para, czy też było oczywiste, że się właściwie nie znamy?

– Ładnie ci w tej sukience – powiedział Dave.

Było gorąco, więc włożyłam wzorzystą sukienkę na ramiączkach, którą kupiłam na przecenie w Debenhams, ale jego uwaga sprawiła, że od razu zaczęłam myśleć, czy nie lepiej byłoby zostać przy džinsach. Czy miał na myśli, że nie wyglądałam ładnie w spodniach, które nosiłam w pracy? Co należało odpowiedzieć? „Dobrze ci w tej koszuli” zabrzmiałoby jak kpina. Ale on naprawdę dobrze w niej wyglądał – miała krótkie rękawy i była w szerokie biało-niebieskie paski, podkreślające błękit jego oczu jeszcze bardziej, niż zapamiętałam. Wyglądała, jakby ktoś ją starannie wyprasował. Ciekawa byłam, czy mieszka z rodzicami i matka pierze mu ubrania, czy może ma własne mieszkanie.

– Hope bardzo się podobał konkurs tańca – powiedziałam. Szliśmy po obu stronach mojej siostry, zajętej wielkim lizakiem od Dave'a w jednej ręczce i wstążką od balonika na hel w kształcie delfina w drugiej.

– Lubisz S Club 7, co, Hope? – zagadnął ją Dave, po czym zaczął razem z nią śpiewać refren ich najnowszego przeboju, „Bring It All Back”, po czym wspólnie wykonali cały układ taneczny.

Na ułamek sekundy przed tym, jak Hope wyciągnęła ręce w powietrze, wiedziałam, co się wydarzy, ale nie zdołałam temu zapobiec. Uwolniony z dłoni Hope balonik wzleciał w niebo. Wszyscy patrzyliśmy, jak unosi się coraz wyżej, aż nagle Hope zaczęła skakać i machać rękami, krzycząc przeraźliwie, jakby dopiero zdała sobie sprawę, że delfin już do niej nie wróci.

– Nie martw się, dostaniesz nowego – spróbował ją pocieszyć Dave.

– Nie trzeba, naprawdę! – zapewniłam.

I tak był już zbyt szczodry, kupując jej dwa prezenty. Nie chciałam, żeby płacił za trzeci, ale Hope usłyszała już propozycję, i teraz przykleiła się do chodnika w swoim popisowym stylu. To było wystarczająco krępujące, gdy byłam z nią sam na sam, a co dopiero z kimś, kogo ledwo poznałam. Teraz ludzie naprawdę się nam przyglądali, bo Hope była już za duża na takie zachowanie. Co gorsza, sprzedawca balonów nie miał już więcej delfinów, a Hope nie zadowolala rybka, statek piracki ani nawet My Little Pony.

– Hope, przestań! Natychmiast! – Miałam jej już dość i wstyd mi było przed Dave'em, który zdążył już zaproponować wiatraczek, lizaka, a nawet piłkę plażową w siatce, i teraz stał kilka kroków od nas, z wielkim lizakiem Hope w dłoni i wyrazem rezygnacji na twarzy.

Jedyne, co działało na Hope, to odwrócenie jej uwagi, więc przykucnęłam przed nią na promenadzie.

– Słuchaj, chyba wiem, dokąd ten delfin poleciał...

Hope natychmiast się uspokoiła i spojrzała na mnie wyczekująco.

– Wydaje mi się, że uciekł do zoo. Pewnie czuł się dość samotny bez innych delfinów wśród tych wszystkich kucyków Pony, więc postanowił wrócić do domu.

– Delfiny nie mieszkają w zoo – zwróciła mi uwagę Hope.

Spojrzałam na Dave'a, który wzruszył ramionami, jakby mówił: „Zagięła cię!”.

– Wiesz co, Hope, masz rację – odparłam, przekopując pamięć w poszukiwaniu informacji o delfinach. – Delfiny nie mieszkają w zoo. No to gdzie?

– W morzu? – podsunęła Hope.

– Właśnie. Wiesz, że spotkałam kiedyś prawdziwego delfina? W miejscowości Dingle w Irlandii, tam w zatoce mieszka sobie delfin. Ma na imię Fungi i lubi pływać z ludźmi. Ja byłam za mała, żeby z nim popływać, ale widziałam go z łódki. Może twój delfin poleciał do Fungiego?

Hope wciąż była podejrzliwa.

– A czy mój delfin to delfin czy balon?

– No, on jest balonem-delfinem. To dość rzadkie, bo zamiast pływać jak większość delfinów, on lata. A właśnie, jak on ma na imię?

– Balon Delfin – odparła. Zawsze taka była z imionami. Żyrafę, którą kupiliśmy kiedyś w Hamleys, nazwała Rafa.

– No, to jak myślisz, dokąd poleciał Balon Delfin? – ciągnęłam.

Obie spojrzałyśmy w niebo. Wysoko nad nami wciąż można było dostrzec pobłysk słońca, odbijający się od lśniącego balonika. Czy będzie się tak wznosić, aż wyleci w kosmos, zastanawiałam się, jak te balony meteorologiczne, które czasem pokazują w lokalnych wiadomościach?

– Do nieba? – zasugerowała Hope.

Wyobraziłam sobie, jak uśmiechnięty Balon Delfin dołącza do trójcy, za którą Hope modliła się co wieczór: księżnej Diany, Matki Teresy i mamy.

– Leci w stronę Herne Bay – odezwał się Dave.

Tak naprawdę balon skierował się w inną stronę, ale nic nie powiedziałam.

– Gdzie jest Herne Bay? – zainteresowała się Hope, już na tyle spokojna, że nawet nie zauważyła, jak stawiam ją z powrotem na nogi.

– Dalej nad brzegiem morza. Jeśli chcesz, możemy pojechać za Delfinem Balonem moim vanem – zaproponował.

– Balonem Delfinem – poprawiłam go.

Hope usiadła na fotelu pasażera, a ja na podłodze z tyłu, co prawdopodobnie było niezgodne z przepisami, ale Dave ostrożnie prowadził. Otworzył okna i puścił głośno „Now That's What I Call Music!”, a Hope najwyraźniej zdążyła już zapomnieć o baloniku.

Spojrzałam na twarz Dave'a w lusterku wstecznym. Koncentrował się na drodze, a co jakiś czas śpiewał razem z Hope kilka słów refrenu piosenki. Czy wiedział, że muzyka rozwiąże problem, czy instynktownie zaproponował przejażdżkę? Tak czy inaczej, podziałało. Nagle zauważyłam, że jego odbicie się do mnie uśmiecha. Poczułam, jak się rumienię, jakby przyłapał mnie na gorącym uczynku.

Herne Bay było jednym z tych lekko wyblakłych nadmorskich angielskich miasteczek, które mocno ucierpiały na tanich lotach w cieplejsze miejsca – bo kto chciałby kamieniste plaże i zimną, brudną wodę u ujścia Tamizy, jeśli mógł lecieć do Hiszpanii? Z drugiej strony, niektóre miejsca na wybrzeżu, jak na przykład Whitstable, stały się modnym kierunkiem weekendowych wycieczek co bardziej stylowych londyńczyków.

– Ludzie mówią, że Herne Bay będzie następnym modnym miejscem – powiedział Dave, gdy spacerowaliśmy wzdłuż plaży.

– Po Balonie Delfinie ani śladu – westchnęła zawiedziona Hope.

– Może Balon Delfin postanowił zamiast tego wybrać się do Francji – zaimprovizowałam.

– A gdzie jest Francja?

– Po drugiej stronie morza. – Pomachałam ręką w kierunku horyzontu. – Jest tam takie piękne miasto, nazywa się Paryż. Może Balon Delfin chciał zobaczyć wieżę Eiffla albo przelecieć się nad katedrą Notre Dame.

– Albo nad Disneylandem – zawtórował mi Dave.

– Mogę też jechać do Francji? – zapytała Hope.

– Pewnego dnia pojedziesz – odparłam, bo to było lepsze wyjście niż odmowa.

Nagle pomyślałam, że Balon Delfin mógłby stać się dobrym tematem do rozmów, zamiast porażką wychowawczą. Mogłybyśmy wymyślać o nim historie przed snem, i może Hope nauczyłaby się przy okazji trochę geografii. Balon Delfin mógłby odwiedzić piramidy, gdy Hope uczyłaby się o Egipcie. Mógłby się wybrać do Rzymu albo nawet do Florencji. Balon Delfin i jego przygody mogłyby oderwać Hope od „Jamesa i ogromnej brzoskwini”, którego czytałyśmy już po raz piąty, bo Hope była bardzo zaintrygowana tym, że Kev mieszka w Nowym Jorku i że pewnego dnia mogłybyśmy go odwiedzić – w samolocie, nie na brzoskwini.

Niedaleko wejścia na molo stało małe wesołe miasteczko.

– Może przejażdżka na karuzeli? – zaproponował Dave. – Zaraz wrócę.

Założyłam, że poszedł do łazienki.

Karuzela była przeznaczona dla trochę mniejszych dzieci. Hope, wciśnięta w samochodzik, siedziała nieruchomo i patrzyła przed siebie podejrzliwie, krzywiąc się, gdy nalegałam, żeby trąbiła klaksonem za każdym razem, gdy mnie mijała.

– Balon Delfin! Music Man go znalazł! – wykrzyknęła nagle, gdy zauważyła Dave'a, truchtającego w naszym kierunku.

Tym razem dla pewności obwiązał wstążkę balonika dwa razy wokół jej nadgarstka.

Słońce już zachodziło, a niebo zabarwiło się warstwami koralu, turkus i szarości. Hope dreptała zadowolona przed nami. Nowy Balon Delfin podskakiwał jej nad głową.

– W taki wieczór nigdzie nie jest lepiej niż tutaj – powiedział Dave.

Jego słowa trochę zgrzytnęły w moich uszach – tata zawsze tak mówił, żeby wykręcić się od zabierania nas na prawdziwe wakacje. Czasem sugerowałam niedrogą ofertę wyjazdu na Teneryfę – dawniej jeździliśmy tam na wakacje po tym, jak moi bracia się wyprowadzili. Ale on za każdym razem miał taką samą odpowiedź: „Po co te wszystkie wyjazdy, jak mieszkamy nad samym morzem?”.

Najpierw myślałam, że chodzi o pieniądze, ale ojciec spędził dwa lata jako kierownik budowy nowego supermarketu za miastem, więc uświadomiłam sobie, że on po prostu nie ma najmniejszej ochoty wyjechać na dwa tygodnie tylko ze mną i Hope.

– Gdzie znalazłeś delfina? – zapytałam szeptem.

Na moment zmarszczył brwi, jakbym myślała, że znalazł ten sam balonik, który Hope wcześniej wypuściła. Potem zrozumiał, że udaję, na wypadek gdyby Hope coś usłyszała.

– W zeszłym tygodniu naprawiałem kran w sklepie z dekoracjami na przyjęcia. Pamiętałem, że sprzedawali też balony, więc przyszło mi do głowy, że pewnie wszyscy mają je od tego samego dostawcy, nie?

Miał szczęście, pomyślałam. Ale przecież odrobina szczęścia to wszystko, czego w życiu trzeba.

– Kto chce rybę z frytkami? – zaproponował, co dopełniło idealnego popołudnia dla Hope.

Zjedliśmy gorącą kolację prosto z gazety, siedząc na ławce na promenadzie pod girlandą kolorowych lampek. Czułam się jak na prawdziwych wakacjach.

Hope zasnęła w wanie w drodze do domu. W ciemności, przy cichej muzyce płynącej z głośników, atmosfera nagle zrobiła się dość intymna.

– Masz wspaniały uśmiech, wiesz? – powiedział Dave cicho, zerkając na mnie w lusterku.

– Ludzie zwykle tak mówią, gdy ktoś jest gruby albo nieatrakcyjny – odparłam.

– A ty jaka jesteś? – zaśmiał się. – Nie jesteś gruba, co? A przy tym śliczna, a ja i tak to powiedziałem...

– Och...

– Powinnaś częściej się uśmiechać.

Oczywiście, po takiej uwadze nie mogłam przestać.

Opowiedzieliśmy sobie swoje historie.

– Świetnie sobie z nią radzisz – skomentował, gdy dowiedział się, dlaczego opiekuję się Hope.

Był cztery lata starszy ode mnie i pochodził z wyspy Sheppey, tuż u wybrzeża. Oboje jego rodzice żyli, a Dave mieszkał z nimi, ale odkładał pieniądze na zaliczkę na mieszkanie. Marzył o pracy didżeja od dzieciństwa, po tym, jak rodzice zabrali go na wakacje do Butlin's, gdzie naoglądał się najróżniejszych artystów. Teraz liczył na to, że gdy zbierze grono stałych klientów, będzie mógł zajmować się tylko muzyką. Miał dwie starsze siostry, obie z dziećmi.

– Pewnie dlatego tak dobrze radzisz sobie z maluchami – zrewanżowałam się za komplement.

W wolnym czasie Dave chodził na siłownię, a dwa razy w tygodniu grał w golfa.

– Żeby wyjść na trochę na dwór. A ciebie co wyciąga z domu?

– Książki – odparłam. – Też mnie wyciągają z domu... W innym sensie, oczywiście.

– Książki podróżnicze, reportaże?

– Głównie powieści.

Moją ulubioną porą dnia był wieczór, gdy Hope wreszcie szła spać, w całym domu panowała cisza, a ja zamykałam drzwi do swojego pokoju i przenosiłam się do wiktoriańskiego Londynu albo do Wessex Hardy'ego, albo do Irlandii w latach sześćdziesiątych. Edna O'Brien była ulubioną powieściopisarką mamy. Czytając „Dziewczynę o zielonych oczach”, zastanawiałam się, czy właśnie tak mama postrzegała przyjaźń, mężczyzn i całą resztę, gdy była w moim wieku.

Dave też miał ładny uśmiech. Nie chodzi mi tylko o usta. Fred świecił tym swoim garniturem ultrafioletowych zębów, ale Dave miał roześmiane oczy. Dobre, miłe oczy.

– Nie marnujcie życia na uganianie się za jakimś pięknym księciem z bajki – powtarzała nam mama, gdy ja i Doll szalałyśmy na punkcie Robbiego Williamsa. – Znajdźcie kogoś, kto będzie was naprawdę rozumiał. Łagodnego, dobrego mężczyznę.

A potem wzdychała głęboko. Dobrze wiedziałyśmy, że mój ojciec taki nie jest. Był przystojny, przynajmniej w młodości. Olśniewał urokiem osobistym i potrafił być duszą towarzystwa, a gdy wpadał w dobry nastrój, był skory do zabawy – lubił *craic*, jak mówili Irlandczycy. Ale chyba nigdy nie widziałam, żeby zrobił coś dla innych. Świat taty obracał się wokół niego samego. Gdy Kevin dostał pracę w Nowym Jorku, jedyne co się liczyło, to cierpienia taty, a nie sukces syna. Gdy ja dostałam się na studia, ciągle tylko narzekał, ile to będzie kosztować. Mama przekonywała nas, że on po prostu w ten sposób pokazuje, że jest z nas dumny, ale

wiedzieliśmy, że to była jej dobroć, a nie jego.

A kiedy lekarze powiedzieli, że rak wszedł w czwarty stopień zaawansowania – czyli śmiertelny – ojciec powiedział tylko:

– Boże drogi, czym sobie na to zasłużyłem?

Dave zaparkował przed naszym domem, ale nie wyłączył silnika. Nie byłam pewna, czy to dlatego, że chciał jak najszybciej od nas uciec, czy może liczył, że zaproszę go do środka. Okna były ciemne, więc taty najprawdopodobniej nie było, ale nie chciałam ryzykować, że wtoczy się do domu pijany i coś mu się ubzdura. Albo że zacznie się popisywać, bo z ojcem nigdy nic nie wiadomo. Perspektywa przyjaźni ojca z Dave'em była prawie tak samo przerażająca jak to, że mógłby go wyrzucić z domu.

– Nie pamiętam, kiedy ostatnio miałyśmy taki miły dzień – powiedziałam, przełamując niezręczną ciszę, wypełnioną terkotaniem silnika, i od razu pomyślałam, że to zabrzmiało trochę zbyt zapraszająco.

Dave pewnie miał już nas dość. W duchu przygotowałam się na rozczarowanie, więc kiedy w końcu się odezwał, przez dobre kilka sekund nie rozumiałam, o co mu chodzi.

– Nie chciałabyś mi pomóc w przyszłą sobotę? Będę grał na weselu, wiesz, takim w ogrodowym namiocie – byłoby świetnie, gdybyś chciała ze mną pojechać. Wiesz, żeby wszystko przygotować.

– Nie mogę zabrać Hope na taką imprezę.

– Fakt.

Uświadomiłam sobie, że to brzmi, jakbym nie chciała iść.

– Zapytam przyjaciółkę, czy zgodzi się nią zająć, co? – dodałam szybko.

– Super! Zadzwoń w tygodniu...

Wyczułam, że gdybym siedziała na przednim siedzeniu, pewnie wychyliłby się, żeby mnie pocałować, ale nie bardzo miał jak to zrobić, bo siedziałam z tyłu. Dave wyłączył silnik i obszedł samochód dookoła, żeby wypuścić mnie razem z Balonem Delfinem.

– Chodź, Hope. Czas spać... – Poklepałam ją delikatnie, żeby się obudziła.

– Nie jestem zmęczona! – zaprotestowała, ledwo zdążyła otworzyć oczy.

– Balon Delfin na pewno już chciałby iść do łóżka – spróbowałam ją przekonać.

– Balony nie chodzą spać, Tree! – odparła zirytowana.

– Wesele, co? – zainteresowała się Doll.

– To nie tak, jak myślisz.

Po przymierzeniu niezliczonej ilości ubrań uznałyśmy, że najlepiej będzie, jak pójde w czarnych dzinsach i białej koszuli. Doll pożyczyła mi kolczyki, duże pojedyncze perły, „żeby całość była bardziej elegancka”, więc wyglądałam dość stylowo. Kupiła mi też w prezencie koronkową bieliznę. Wiadomo, nie było jej



widać, ale poczułam się odrobinę sexy.

W sobotę przyjechała wcześniej rano, żeby zrobić mi włosy. Wyprostowała je i zaczesła do tyłu w długie, gładkie kucyk, z którym wyglądałam dość surowo, dopóki nie nałożyła mi na usta blad różowej perłowej szminki. Dzięki temu całość złagodniała i nabrała dziewczęcego uroku.

Doll zrobiła krok w tył i oceniła swoje dzieło.

– Biznesowo, ale atrakcyjnie.

Kobieta w lustrze w ogóle nie wyglądała jak ja.

– Nie sądzisz, że to trochę za dużo na tę porę dnia? – zaniepokoiłam się.

– Wow! – powiedział Dave, gdy wsiadłam do samochodu.

Trochę dziwnie się czułam, siedząc z przodu i co jakiś czas zerkając na jego profil, gdy skupiał się na drodze. Żadne z nas się nie odzywało, poza moimi wskazówkami, gdy sprawdzałam drogę na mapie. Może bez Hope nie mieliśmy o czym rozmawiać?

– Jak dostałeś tę pracę? – wymyśliłam w końcu pytanie.

– Mój kolega naderwał ścięgno Achillesa. Poszedł do fizjoterapeutki, a ona mu mówi, że ma już zaplanowane całe wesele, ale didżej w ostatniej chwili dał ciała. No więc on mnie jej polecił. To moje pierwsze wesele.

Zauważyłam, że też się denerwuje. Pewnie dlatego chciał, żebym mu towarzyszyła.

– Dasz sobie radę – spróbowałam podnieść go na duchu. – Na pewno będziesz lepszy niż Bryan Leary.

– Też mi pociecha!

Zaśmialiśmy się oboje i atmosfera się rozluźniła.

Wprawdzie wesele odbywało się tylko kilka kilometrów od mojej miejscowości, ale nigdy tu nie byłam. Wąska ulica nad brzegiem morza nie znajdowała się na trasie autobusu, którym zwykle jeździłam.

– To chyba tutaj. – Pokazałam wjazd na prywatne osiedle.

Nad bramą wjazdową jednego z dużych wolno stojących domów unosiły się kiście srebrnych balonów w kształcie serc. Na zewnątrz stało kilka samochodów z kwaciarni, a zespół cateringowy rozładowywał ze swojego vana pudła z białą zastawą.

– Niektórym to się powodzi – skomentował Dave.

1999

GUS

– Mógłby ktoś otworzyć?! – zawołała Nicky z piętra.

Czekałem w holu, podczas gdy dziewczyny się szykowały, ale nie byłem pewien, czy „ktoś” obejmowało również mnie. Całe rano przyjeżdżały dostawy: dziesięć wielkich okrągłych stołów i osiemdziesiąt krzeseł; bela białych obrusów; tort – każda potężna warstwa przyjechała w osobnym pudełku i dopiero teraz ktoś z cukierni ustawiał je w piramidę. I kwiaty, mnóstwo kwiatów, wszystko białe, przetykane ozdobnym bluszczem, wielkie dekoracje z lilii, wiele metrów kwiatowych girland, przepelniających powietrze zapachem jaśminu, a do tego płytkie skrzynki pełne stroików z białych róż na stoły. Wiedziałem, co należy robić, ale to nie był mój dom. Na chwilę się zawahałem, a w tym czasie Helen zbiegła po schodach w szlafroku, z lokówkami we włosach.

– Boczna brama, prosto na tył – poinstruowała ludzi w drzwiach. – Organizatorka tam będzie. – Zamknęła drzwi i krzyknęła: – Pip, didżej przyjechał!

– Co?! Dzięki Bogu! – dobiegł nas przytłumiony głos z góry.

– Nie za wcześnie? – Spojrzałem na Helen.

– Lepiej za wcześnie niż za późno – odparła, pędząc znów na górę.

Odebrałem to jako przytyk do mojego przybycia dziś rano zamiast wczoraj wieczorem na rodzinną kolację. W piątek wieczór w restauracji zawsze było najwięcej ruchu i musiałem zostać do końca, żeby dostać wolną sobotę. Zanim skończyłem sprzątać i polerować zastawę, była pierwsza w nocy, a potem musiałem jeszcze jechać do Nash, choć oczywiście o tym już nie powiedziałem Lucy. Nash musiała się wypłakać, bo właśnie rzucił ją jakiś aktor, którego poznała na festiwalu Fringe w Edynburgu. Większość nocy zajęło mi słuchanie jej i rozmowa, aż wreszcie znów się uśmiechnęła. Udało mi się przespać kilka godzin na jej kanapie, a potem musiałem pędzić do Moss Bross, by odebrać garnitur, i złapać pociąg.

Mimo to zdążyłem już wziąć prysznic, ogolić się i ubrać, a żadna z nich nie była jeszcze gotowa. Nabożeństwo zaczynało się za czterdzieści minut, a panny młodej i druhen wciąż nie było. Czułem się trochę jak idiota, stojąc bezczynnie w holu, ale nie mogłem usiąść i poczytać gazety w salonie, bo nigdy wcześniej nie miałem na sobie fraka i nie byłem pewien, co zrobić z długimi połami.

– Siemasz, kolego!

W kuchennych drzwiach stanął barczysty facet w białym T-shircie z napisem

*Music Man.* Przez ramię miał przewieszony zwinięty kabel.

– Wiesz, gdzie mogę to podłączyć?

– A nie znalazłeś organizatorki ślubnej w ogrodzie? – zapytałem. Trochę się bałem złamać jakiś protokół.

– Nikogo tam nie ma, tylko ludzie z kwiaciarni!

– Czekał...

Zawołałem Helen.

– No na litość boską! – wykrzyknęła, stukając na schodach butami na obcasie, obitymi jedwabiem w tym samym odcieniu błękitu co jej sukienka. Wyprowadziła didżeja z kuchni i wróciła kilka minut później.

– Po co w ogóle zawracaliśmy sobie głowę organizatorką, skoro i tak sama muszę wszystkiego pilnować?!

– Cały kłopot, że jesteś w tym świetna – odparłem.

Taka uwaga zadziałałaby z Lucy, ale przy Helen wyszedłem jednocześnie na dupka i lizusa.

Wyjrzała przez okienko w drzwiach wejściowych.

– Ta przekłeta kwiaciarnia będzie musiała przeparkować vany, zanim przyjadą po nas samochody.

– Chcesz, żebym im powiedział?

Obrzuciła mnie tym swoim lekarskim spojrzeniem.

– A ty nie miałeś czasem być drużbą?

– Chyba tak.

– Więc chyba powinieneś już być w kościele?

– Wydawało mi się, że mam jechać z Lucy.

– Nie zmieścisz się w samochodzie z druhnami. I nie możesz jechać z Pippą. Jestem pewna, że miałeś jechać z tatą i babcią Cee.

– No to chyba będę musiał pójść na piechotę?

– To dość daleko...

– Dam sobie radę – zapewniłem, nie chcąc robić więcej kłopotu, ale gdy minął mnie vintage rolls-royce z Pippą w środku, uświadomiłem sobie, że się mocno przeliczyłem.

Trudno nie zwracać na siebie uwagi, gdy masz ponad metr dziewięćdziesiąt i pędzisz wzdłuż ulicy we fraku, z cylindrem w dłoni. Gdy w końcu dotarłem do kościoła, Lucy i Helen posłały mi wściekłe spojrzenia, ale Pippa była cała roześmiana.

– Jak to miło z twojej strony, Gus, że dałeś mi powód do zmartwienia i nie musiałam się zastanawiać nad niczym innym!

– Strasznie przepraszam – wyjąkałem. – Wyglądasz cudownie. W innych okolicznościach nie określiłbym Pippy w taki sposób, bo to trochę zbyt poufałe jak na siostrę mojej dziewczyny, ale byłem tak zdyszany, że w ogóle się nie

zastanawiałem. Poza tym to była prawda.

W chłodnym półmroku kościoła uświadomiłem sobie, że po skroniach spływają mi krople potu, a biała koszula klei mi się do pleców. Zauważyłem, że Nicky gwałtownie gestykułuje, przywołując mnie do przodu, a kilka sekund później organy rozbrzmiały pierwszymi akordami „Przybycia królowej Saby” i nagle uświadomiłem sobie, że tuż za mną stoją Pippa i jej ojciec, a ja blokuję im przejście. Teraz cały kościół się na mnie gapił, więc prędko wskoczyłem w pierwszą lepszą ławkę.

Gdy procesja przechodziła koło mnie, zauważyłem, że Pippa jest blada i mocno trzyma się ramienia ojca; Lucy wydawała się bardziej przerażona niż rozbawiona; Helen nie zamierzała nawet przypadkiem spojrzeć w moją stronę. Druhny miały na sobie sukienki o wysokiej talii, w odcieniu lodowego błękitu. Prowadzone przez ojca wyglądały jak siostry z jakiegoś serialu na podstawie powieści Jane Austen. Przed ołtarzem stał Greg i jego brat bliźniak, Jeff, który przyjechał, żeby być świadkiem. Obaj byli równie wysocy jak szerocy. Przyszło mi do głowy, że zabraknie miejsca dla Pippy, ale Jeff odsunął się na bok.

Rodzina uważała, że Greg jest dobrym kandydatem dla Pippy. Poznała go na praktykach w Banff w Kanadzie. Krzepki i rumiany Greg wyglądał jak facet, który mógłby spokojnie trenować zapasy z niedźwiedziami, powiedziałem Lucy po obiedzie zaręczynowym kilka miesięcy temu. Było jasne, że Greg uwielbia Pippę i jest w nią zapatrzony jak mały piesek. Ona chyba uważała, że to czarujące, choć przypuszczałem, że gdyby gapił się tak na nią podobnie wyglądający Anglik, raczej uznałaby go za barana. Musiał być świetny w łóżku.

– Nie lubisz go? – zapytała mnie Lucy.

– Nie jest w moim typie, kotku – odparłem przegiętym głosem, aż zachichotała.

Z tego, co wiedziałem, wszyscy faceci, z którymi spotykała się wcześniej Pippa, byli niezłymi gnojkami – jeden miał nawet spory problem z narkotykami – więc wszystkim ulżyło, że w końcu znalazła kogoś porządnego, kto się nią zaopiekuje. Słowa przysięgi powtarzała z tłumionym śmiechem, jakby znajome formułki były tak straszne, że aż śmieszne. Nie mogłem się oprzeć myśli, że jutro obudzi się obok tego Hulka i złapie za głowę, że zrobiła coś takiego.

W końcu zdołałem przemknąć się bokiem do przodu i usiąść koło Lucy, podczas gdy państwo młodzi, świadek i rodzice z obu stron podeszli podpisać akt małżeństwa.

– Piękne, co? – wyszeptała Lucy. Nagle rozmarzenie na jej twarzy ustąpiło miejsca panice. – Nie masz kwiatka w butonierce!

Rozkołysały się dzwony, organista zaczął grać Mendelssohna i całe planowane i ćwiczone od miesięcy przedsięwzięcie wreszcie dobiegło końca. Ale jednak nie, bo jeszcze trzeba było zrobić zdjęcia, cały album obowiązkowych póz

i konfiguracji.

Najpierw rodzina panny młodej, co było dla mnie trochę niezręczne, bo ani Lucy, ani ja nie wiedzieliśmy, czy też mam podejść do zdjęcia. Oczywiście James, mąż Helen, ustawił się do zdjęć razem z ich córkami. Po kilku pstryknięciach Nicky zawołała, żebym się przyłączył.

– Chodź, Gus! Czy ktoś może mu pożyczyć kwiatek do butonierki?

Następnie rodzina pana młodego. Ich czwórka zajęła na kościelnych schodach tyle miejsca, co nas dziewięcioro. Potem drużny; panna młoda z drużnymi; panna młoda z dorosłymi drużnymi, podciągająca sukienkę, żeby pokazać „coś niebieskiego” w postaci podwiązki<sup>[12]</sup>; i w końcu drużbowie we frakach, podrzucający cylindry w geście całkowicie przeczącym spontaniczności.

– Po co się to robi? – zapytałem Jamesa, który podwiózł mnie z powrotem do domu.

– Chyba tylko po to jest cylinder. – Wzruszył ramionami.

Na trawniku przed domem podawano szampana, a państwo młodzi w tym czasie pozowali z tortem.

Nie mogłem nie zauważyć, że rodzina Lucy dość mocno się mną zainteresowała. Krewni podchodzili w regularnych odstępach czasu, żeby mi się przyjrzeć.

– A więc to jest Gus! Aleś ty wysoki, co?

– Dobrze ponad dwa metry w cylindrze!

– I też studiujesz medycynę?

– Owszem, też.

– Wspaniale!

Nikt nie zapytał, czy jesteśmy następni w kolejce, ale wyczuwałem, że pod oceniającymi uśmiechami trwają kalkulacje.

Zostaliśmy posadzeni przy głównym stole. Kelner nalał nam białego wina. Wychyliłem oba kieliszki – swój i Lucy, a dopiero potem poszedłem za nią do stołu z bufetem. Odczuwałem ten szczególny, skacowany rodzaj głodu, spowodowany jednocześnie alkoholem i brakiem snu. Przy tym dalej gasiłem pragnienie winem, choć rozsądniej byłoby przetrzucić się na wodę. Gdy przyszła pora na przemowy, byłem już na najlepszej drodze do stanu upojenia.

Ojciec Lucy powiedział, że Pippa zawsze była najbardziej nieprzewidywalną z jego córek. Jeśli zamierzał ostrzec Grega, to już musztarda po obiedzie. Przemowa Grega cała była o Kanadzie i o tym, że już nie może się doczekać, aż pokaże żonie wszystko, co w jego kraju najpiękniejsze. Zarówno on, jak i jego brat mieli w klapach fraków małe przypinki w kształcie klonowego liścia. Skojarzyło mi się to z amerykańskimi prezydentami, którzy noszą w klapie malutką flagę.

– Po co to robią? – wyszeptałem do Lucy. – Raczej nikt nie zapomni, skąd przyjechali.

– Ćśśś! – uciszyła mnie.

– Tam, skąd jestem – ciągnął Greg – rano można pływać w morzu, a po południu jeździć na nartach.

– Brzmi jak ostatnie miejsce na świecie, w którym chciałbym się znaleźć – mruknąłem.

– A mnie się podoba – odcięła się Lucy zirytowanym szeptem.

Wstał Jeff. Jego szeroka twarz na szczęście łatwo dawała się odróżnić od brata, bo miał wąsy.

– Jest ich dwóch? – zdziwiła się babcia Cynthia.

– Myślisz, że Jeff specjalnie na tę okazję zapuścił wąsy? – zapytałem, nachylając się do Lucy.

– Przestań już...

Jeff opowiedział nieskładną anegdotę o tym, jak w dzieciństwie chodził z bratem na ryby. Greg próbował wszelkich sposobów, żeby coś złowić, ale nigdy mu się nie udało. A teraz proszę, dorwał najgrubszą rybę w sezonie!

– Biedna Pippa – wyszeptałem do Lucy, gdy po toaście za zdrowie państwa młodych przez stoły przetoczył się entuzjastyczny aplauz.

– Czemu tak mówisz?

– Jeff właśnie nazwał ją rybą. Grubą w dodatku!

– Chodziło mu tylko o to, że Gregowi się poszczęściło. I nie mów tak głośno, bo będzie cię słychać na nagraniu.

Kamerzysta kręcił się po namiocie. Zauważyłem wcześniej, jak robi zbliżenie na skomplikowany wzorek z majonezu na gotowanym łososiu. Może chciał zrobić przebitkę podczas historyjki Jeffa?

Matka Grega, siedząca kilka miejsc od Lucy, zastukała widelcem w kieliszek, ale wyraźnie się zmieszała, gdy wszystkie głowy posłusznie odwróciły się w jej stronę.

– Nie martwcie się, nie będę przemawiać!

– No, to ulga! – mruknąłem.

– Mógłbyś się wreszcie zamknąć? – syknęła Lucy.

– W Ameryce Północnej, gdy ktoś dzwoni w szkło na weselu, para młoda musi się odnaleźć i pocałować, gdziekolwiek by akurat byli! – wyjaśniła nowa teściowa Pippy.

Greg i Pippa, którzy wciąż jeszcze siedzieli koło siebie przy stole, posłusznie się pocałowali. Goście zaczęli bić brawo.

Przyszedł czas na krojenie tortu. Państwo młodzi ustawili się z wielkim srebrnym nożem nad ciastem i zamarli w bezruchu, a fotograf pstrykał kolejne zdjęcia. Ojciec Grega zastukał w kieliszek i musieli znów się pocałować. Potem nastąpiło ceremonialne napoczczenie najniższego piętra tortu, a obsługa od razu porwała ciasto na bok, żeby pokroić je na maleńkie kawałeczki.

Gdy goście ruszyli do stołu bufetowego po deser, Greg i Pippa zaczęli krążyć po namiocie, żeby po kolei przywitać się z rodziną i przyjaciółmi. Dzwonienie w szkło było zabawne, jeśli się poczekało, aż znajdą się po przeciwnych stronach namiotu, ale za trzecim razem uderzyłem za mocno i rozbiłem kieliszek. Na szczęście zauważyła to tylko wysoka dziewczyna z kucykiem, ubrana w czarne spodnie i białą bluzkę. Jej twarz rozświetlił szelmowski, niemal konspiracyjny uśmiech.

– Mógłbym prosić o nowy kieliszek?

– Nie jestem kelnerką.

– A ja jestem kelnerem – wypaliłem bez sensu.

– No to na pewno wiesz, gdzie znaleźć kieliszki – odparła, znów się uśmiechając.

Przez moment patrzyliśmy sobie w oczy z zaskoczeniem. Czy ja ją już gdzieś widziałem?

– Kim ty jesteś? – zapytałem, nim zdążyłem się powstrzymać.

I wtedy pojawiła się przy mnie Lucy z miotłą i szufelką.

Czyli jednak inni też zauważyli.

– Chyba przyda mi się trochę świeżego powietrza – powiedziałem.

– Bardzo dobry pomysł – skwitowała ostro.

Na dworze było już ciemno, a chłodne wieczorne powietrze przesyciła woń liści tytoniu. Po pustym ogrodzie odbijały się echa „La Vida Loca”, a ja mgliście sobie uświadomiłem, że moje poczucie czasu i przestrzeni powoli się rozmywa. Zauważyłem, że siedzę na huśtawce ogrodowej, skrzypiącej lekko w rytm kołysania. Lśniący namiot i uderzenia basów po drugiej stronie trawnika wydawały się bardzo odległe.

Gdy się obudziłem, w głowie czułem bolesne pulsowanie, a twarz miałem przyciśniętą do zimnej poduszki w paski. Po muzyce domyśliłem się, że musiało minąć kilka godzin. Robbie Williams śpiewał „Angels”. Na ścianie namiotu widać było sylwetki tańczących par.

Ktoś wyszedł, rzucając na trawnik trójkąt światła. Rozpoznałem wysoką postać kelnerki, która nie była kelnerką. Światło za nią zgasło, gdy puściła materiał. W ciemności i bezruchu ledwo widziałem jej zarys, ale w jakiś sposób wyczułem, że myśli o czymś smutnym.

Na trawę znów wylało się światło. Z namiotu wyszedł mężczyzna.

– Wszystko okej? – zapytał.

– Tak, w porządku.

– Nie dałbym rady bez ciebie.

– Ale ja nic nie zrobiłam.

Podszedł krok bliżej.

– Nie jesteś jak inne kobiety.

- Skąd taka konkluzja?
- Masz ten cudowny uśmiech, ale w głowie ciągle ci się kłębią różne rzeczy.
- Teraz mówisz, jakbym była wariatką!
- A jesteś? Na tyle, żeby być moją dziewczyną?

Zapadła długa cisza.

- Dużo dziś gwiazd, co? – powiedział, ostrożnie kładąc dłoń na jej ramieniu.

Potem ona odwróciła się do niego, on ją pocałował, a ja siedziałem nieruchomo. Modliłem się, żeby nikt nie włączył światła w domu, ujawniając, że jestem świadkiem tak osobistej chwili.

– Gdzieś ty się podziewał? – zapytała Lucy, gdy wszedłem do salonu przez drzwi ogrodowe.

- Zasnąłem na ławce.

– No naprawdę!

- Dużo mnie ominęło?

– Ominęło cię, jak Jeff uczył mnie salsy. Pip zaraz odjeżdża. Ja i Jeff przywiązaliśmy do samochodu wszystkie srebrne balony.

- Ty i Jeff, co?

– Wiesz, co mówią o świadku i pierwszej drużynie?

– A czy to Helen nie była czasem pierwszą drużyną?

– Obie byliśmy!

– Szczęściarz z tego Jeffa!

Lucy uderzyła mnie żartobliwie w ramię.

– Powinienem się niepokoić? – Wtuliłem twarz w jej szyję.

– Nie wiem – odparła, strząsając mnie z siebie. – Ty mi powiedz.

– Te wąsy chyba przesadzają na moją korzyść – uznałem.

Kolejne, tym razem mniej żartobliwe uderzenie. W tej samej chwili u szczytu schodów pojawiła się Pippa w zwiewnej letniej sukience, na którą narzuciła dzinsową kurtkę. Tuż za nią stał Greg. On miał na sobie wyprasowane chinosy i koszulkę polo. Miał mokre włosy po prysznicu. Wyglądali, jakby właśnie zakończyli bardzo energiczny seks.

Na podjeździe czekał biały jaguar, który miał zabrać ich do hotelu przy lotnisku. Gdy Pippa miała już wsiadać do samochodu, podbiegła do niej Helen z bukietem białych róż, który panna młoda miała w kościele. Zauważyłem, jak Pippa zerka na Lucy, która w odpowiedzi niemal niedostrzegalnie potrząsa głową. Zamiast do niej Pippa rzuciła więc bukiet przez ramię w kierunku najlepszej przyjaciółki ze szkoły, która zapiszczała radośnie, gdy go złapała.

– Co to miało być? – zapytałem Lucy, machając razem z nią na pożegnanie odjeżdżającego samochodu.

- Dziewczyna, która złapie bukiet, będzie następna przed ołtarzem.

Nie byłem na tyle głupi, żeby tego nie wiedzieć. Chodziło mi o tę



porozumiewawczą wymianę spojrzeń między siostrami – Lucy najwyraźniej sądziła, że to umknęło mojej uwagi. Czyżbym tak ją wkurzył, że traciła zainteresowanie? Nigdy nie byłem pewien, co ona właściwie we mnie widziała.

– Nie zdążyliśmy jeszcze zatańczyć – powiedziałem, prowadząc ją z powrotem do namiotu.

Grało „Flying Without Wings” Westlife. Z początku Lucy była trochę sztywna w moich ramionach, ale gdy przyciągnąłem ją do siebie, rozluźniła się i przytuliła do mojej piersi. Poczulem, że zostało mi wybaczone. Zanurzyłem twarz w jej włosach.

– Kocham cię – usłyszałem własny szept.

Odsunęła się na krok, żeby spojrzeć w moją twarz.

– Naprawdę?

Wyglądała na tak uszczęśliwioną, że pomyślałem: może naprawdę.

2001

TESS

– Syndrom Aspergera? – powtórzył tata, jakby miał jakiegokolwiek pojęcie, o czym mowa.

Po raz pierwszy w życiu poczułam maleńkie ukłucie współczucia dla niego. Tak zawzięcie wierzył, że z Hope wszystko w porządku. Musiało być upokarzające słyszeć, że jest inaczej – zwłaszcza w mojej obecności. Pilnowałam się, żeby na niego nie patrzeć, ale czułam, jak ulatnia się z niego całe poczucie własnego autorytetu. Miałam wrażenie, że wręcz się kurczy pod wpływem atmosfery gabinetu lekarskiego.

– Więc to nie autyzm? – dopytywał się. Pomyślałam, że chyba zależy mu bardziej, niż to dotąd okazywał.

Konsultant przyjrzał się nam znad okularów. Otaczała go aura chłodnej obojętności, bardziej kojarząca się z kierownikiem banku niż z kimś, kto specjalizuje się w pracy z dziećmi. W pomieszczeniu panowała bezosobowa, kliniczna atmosfera. Jedyne osobiste akcent stanowiła srebrna ramka na biurku. Była odwrócona w jego stronę, więc nie widziałam, kto jest na zdjęciu.

– Zespół Aspergera znajduje się wewnątrz spektrum autystycznego. Ale Hope nie wykazuje znaczących trudności z przyswajaniem wiedzy, więc można powiedzieć, że jej przypadek jest raczej łagodniejszy.

– Czyli to nie całkiem autyzm? – drążył tata.

– Jeśli tak pan chce na to patrzeć.

– Więc co to dokładnie jest syndrom Aspergera? – Nie zamierzałam wracać do domu bez kompletu informacji tylko dlatego, że tata musiał się kłócić o terminologię.

Na konsultację na oddziale dziecięcym w Londynie czekaliśmy miesiącami, a cały ranek zajęły różne testy. Hope siedziała teraz w poczekalni ze studentką na praktykach, która myślała, że jestem matką, nie siostrą. Dziewczyna była mniej więcej w moim wieku, więc Bóg raczy wiedzieć, jak okropnie musiałam wyglądać. Tata obiecał Hope, że jeśli będzie grzeczna, to pójdziemy do zoo, ale nie mieliśmy nieskończenie dużo czasu na wypytanie o szczegóły pod jej nieobecność.

Dziś mogłabym to sprawdzić w internecie, nie? Ale wtedy jeszcze nie każdy miał laptopa. Nie znaleźliśmy jeszcze czasownika „googlować”. Chodziłam co tydzień po książki do biblioteki, ale nie mieli tam wiele książek innych niż powieści. Wprawdzie znalazłam hasło „autyzm” w słowniku medycznym, ale nie

udało mi się nigdzie odszukać ani jednej wzmianki o syndromie Aspergera.

– Charakterystyczne objawy to trudności w zakresie komunikacji, interakcji i wyobraźni społecznej – wyjaśnił konsultant.

To mówiło tacie chyba jeszcze mniej niż mnie.

– Czy mógłby pan podać jakieś przykłady? – poprosiłam.

– Oczywiście, każdy jest trochę inny. Niektórzy mają świetnie rozwinięte zdolności językowe, ale nie rozumieją komunikatów nie podanych wprost. Często mają problemy z nawiązywaniem przyjaźni. Mogą bez przerwy mówić tylko o jednej rzeczy, jaka ich interesuje...

– Tak jak Hope z tą swoją muzyką, co, Tess? – wtrącił tata. To rozpoznanie z jego strony było dla mnie wielkim krokiem naprzód.

– Częste jest uzależnienie od pewnej rutyny albo ciągła zabawa w tę samą grę. Zdarzają się kłopoty z koordynacją ruchów, depresja, stany lękowe...

To by wyjaśniało skoki nastrojów.

Nie wiedziałam, czy wybrał wszystkie symptomy, które pasowały do Hope, żeby udowodnić tacie swoją rację, czy może po prostu moja siostra stanowiła podrećznikowy przypadek.

Na szczupłej, kościstej dłoni miał obrączkę. Czy w srebrnej ramce trzymał zdjęcie żony? A może dzieci? Gdyby z którymś było kiedyś coś nie tak, zauważyłby to jako pierwszy czy ostatni?

– A co wywołuje Aspergera?

– Dopiero od niedawna jest jednoznacznie diagnozowany, od lat dziewięćdziesiątych. Wciąż nie mamy pewności, co dokładnie go powoduje.

– Dużo się w rodzinie nacierpieliśmy po śmierci żony – westchnął tata. – Moja Tess robi, co może, ale jest bardzo młoda, wie pan, co mam na myśli?

Nie wierzyłam, że to powiedział! Ze wszystkiego zrezygnowałam, żeby zająć się Hope, podczas gdy jego życie prawie w ogóle się nie zmieniło. A mimo to miał tupet sugerować, że to ja odpowiadam za jej problemy! W gardle wezbrała mi wściekłość. Musiałam zacisnąć wargi i złapać się mocno krzesła, bo inaczej wstałabym i natychmiast wyszła. Ale to w niczym by nie pomogło Hope, prawda?

– To nie kwestia wychowania – odparł konsultant. Miałam ochotę obieć jego biurko i rzucić mu się na szyję. – Niestety, Hope już taka się urodziła. I będzie jej to towarzyszyć całe życie.

No, to nie ma co się przytulać.

– Nie ma lekarstwa? – Tata był tak oszołomiony, że znów zrobiło mi się go trochę szkoda.

– Możemy pomóc Hope i jej bliskim, wdrażając pewne strategie.

– Strategie! – wykrzyknął ojciec. – Taki kawał przejechaliśmy po jakieś strategie! Wie pan, ile tu kosztuje parking?

W drodze do zoo zatrzymaliśmy się przy placu zabaw w Regent's Park i tata

kupił nam lody na patyku z budki. Chyba wszystkich nas wykończyło siedzenie tyle godzin w środku, oddychanie szpitalnym powietrzem, słuchanie rzeczy, które miały na zawsze zmienić nasze życie, od ludzi, którzy kompletnie nas nie znali. Ani ja, ani tata nic nie mówiliśmy, ale było niemal słychać, jak nasze mózgi aż trzeszczą, przetwarzając wszystkie usłyszane dziś informacje.

Czułam ulgę, że mamy diagnozę, bo teraz mogliśmy otrzymać dofinansowanie na wykwalifikowaną pomoc na podstawie orzeczenia lekarskiego. Ale czułam też pulsujące poczucie winy, że należałam na badanie Hope. Jeśli nic nie miało się zmienić, tata miał rację – po co w ogóle zawracać sobie głowę?

Było też dziwne, puste poczucie straty, bo wiedziałam, że już nigdy nie będę mogła sobie powiedzieć, że to na pewno nic takiego.

Patrzyłam, jak Hope wdrapuje się na szczyt ścianki wspinaczkowej, i wiedziałam, że determinacja na jej buzi zmieni się w złość, gdy utknie w miejscu i nie da rady wejść na podest. Przecież złość to też uczucie. Skoro jest do tego zdolna, to czemu nie do czułości, empatii czy innych emocji, które uczyniłyby jej życie łatwiejszym?

– Chodź, kochanie – powiedział tata, podsadzając ją wysoko na podest, żeby mogła zjechać po zjeżdżalni jak inne dzieci. Wyglądał, jakby diagnoza go wypatroszyła i na chwilę wypełniła jakąś niezwykle łagodnością.

– Do zoo idziemy, my, my... – zaśpiewał.

– Idę ja i ty, ty, ty – dokończyła Hope.

Pomyślałam, że może przydałoby się zostawić ich na trochę samych.

– Może wy pójdziecie do zoo, a ja spotkam się z wami później? – zapytałam tatę.

– A co będziesz sama robić? – Od razu zrobił się podejrzliwy.

– No wiesz, trochę sobie pospaceruję...

– Masz czekać przed wejściem o czwartej albo trafimy na godziny szczytu.

– Co to są godziny szczytu?

– Od piątej do około szóstej trzydzieści wszędzie są straszne korki, bo ludzie wracają do domu po pracy – wyjaśnił tata.

– To nie godziny. Od piątej do szóstej trzydzieści jest godzina i pół – zwróciła uwagę Hope.

– Mądra z ciebie dziewczynka – odparł zdławionym głosem. – Mądra jest, że to zauważyła, nie, Tess?

Gdyby tata, Doll, a nawet Dave zobaczyli, że wchodzę na dziedziniec University College, pomyśleliby, że zwariowałam. Bo kto normalny poszedłby tam tylko po to, żeby postać i powyobrazić sobie, jak mogłoby wyglądać jego życie? Grupki studentów siedziały na trawie i jadły lunch. Niektórzy leżeli na plecach i czytali, trzymając książki nad twarzą, żeby osłonić oczy przed wrześniejącym słońcem. Pomyślałam, że wyglądają na dużo młodszych niż ja. Mogli beztrąsko

nosić klapki i krótkie spodenki w środku tygodnia, podczas gdy ja musiałam ubrać się do szpitala w eleganckie granatowe spodnie i bluzkę. Czułam na sobie zdziwione spojrzenia, jakbym nie miała prawa w ogóle tu być, podczas gdy w rzeczywistości pewnie tylko zastanawiali się, co tu robi ta wariatka i czemu gapi się na wielki kolumnowy portyk, jakby to było wejście do jakiejś świątyni.

W Londynie najbardziej kocham to, że jest wielką, skomplikowaną układanką różnych dzielnic, z których każda ma własny charakter. Eleganckie gregoriańskie place w części uniwersyteckiej. Masywne jońskie kolumny Muzeum Brytyjskiego. Wąskie brukowane uliczki przy Covent Garden, z ciągnącymi się po obu stronach sklepowymi witrynami, pełnymi przedmiotów mówiących, że zmieniłyby twoje życie, gdyby tylko było cię na nie stać. Zza szyby patrzyły na mnie śliczne pudełka z herbatą, florencka papeteria, kurtka motocyklowa vintage narzucona na sukienkę z lat pięćdziesiątych w ogromne żółte róże.

Doszłam do rzeki i stanęłam pośrodku Waterloo Bridge. Patrzyłam na rozciągającą się przede mną panoramę, czułam wilgotny wiatr we włosach, a pode mną przewalały się masy wody koloru kawy z mlekiem. Przypomniałam sobie to uczucie czystej ekscytacji, jakie zawsze przeżywałam podczas wizyt w Londynie razem z Doll w szkolnych czasach. Godzinami chodziłyśmy po mieście i wyobrażałyśmy sobie, jak będzie wyglądać nasza przyszłość.

Hala O2 zmieniła panoramę miasta. London Eye przypominało ogromne, absurdalne koło parostatku, które odpadło i utkwilo u brzegu rzeki. Po wschodniej stronie Tamizy widać było pnące się wysoko nowe wieżowce w City, ich lustrzane okna lśniły w słońcu jak tafla wody. Stojącą tuż nad rzeką starą elektrownię przerobiono na siedzibę Tate Modern.

Zerknęłam na zegarek. Nie zostało mi dziś już dużo czasu, ale przecież zawsze mogłam tu wrócić. Dave powtarzał, że nie lubi Londynu, ale był tu tylko raz, na szkolnej wycieczce w Muzeum Historii Naturalnej. Nie musielibyśmy chodzić po muzeach ani galeriach sztuki. Mogłabym pokazać mu te wszystkie śliczne miejsca, które odkryłam kiedyś z Doll, albo pozwiedzać nowe. Kentish Town, Pimlico, Swiss Cottage – już same nazwy były intrygujące. Dave nigdy nawet nie słyszał o Portobello Road, ale na pewno spodobałyby mu się puby, sklepy z antykami i stoiska, na których kusily piramidy egzotycznych owoców.

Wsiadłam do autobusu 168 w kierunku Chalk Farm. Gdy przyjeżdżałyśmy do Londynu jako nastolatki, zawsze upierałam się, że musimy znać mapę metra i najważniejsze trasy autobusowe. W drodze do miasta odpytywałam Doll z mapy miasta.

- Jestem na Charing Cross. Jak najszybciej dostać się do Holland Park?
- Po co ci to? – jęczała Doll. – Na każdej stacji jest przecież mapa, nie?
- Ale miejscowi nie gapią się na mapy. Chcesz wyglądać jak turystka?

Autobus powlókł się z powrotem przez Bloomsbury i Euston Road aż na

Camden Town. Wsiadłam na ostatnim przystanku i przeszłam przez most kolejowy aż do ulicy, która skręcała w dół Primrose Hill. Przy kawiarnianych stolikach siedzieli ludzie i popijali kawę, a po szerokich chodnikach biegały dzieci, jak we Włoszech. Z restauracji dobiegały wspaniałe zapachy pieczeni i smażonego czosnku, a na tablicach przed drzwiami można było przeczytać wypisane kredą dania dnia.

Jak to jest mieszkać w miejscu, gdzie można jeść greckie, włoskie albo nawet rosyjskie jedzenie, kiedy tylko się ma ochotę? Gdzie codziennie jest do wyboru inny film albo sztuka? Gdzie nikt cię nie zna, więc możesz samodzielnie odkrywać, kim tak naprawdę jesteś?

Ostatnie kilkaset metrów musiałam pokonać biegiem, żeby zdążyć pod bramę zoo na umówioną godzinę. Tata obserwował ulicę, co chwila spoglądając na zegarek.

– Tree, lew spał – poinformowała mnie Hope, gdy szliśmy do samochodu.

– Ale były też setki innych zwierząt, prawda? I żadne nie spało! – W głosie taty pobrzmiwała nuta rozdrażnienia właściwa osobom, które nie były przygotowane na trzy godziny sam na sam z Hope.

– Lew spał – powtórzyła.

– W środku dżungli, potężnej dżungli, lew stary mocno śpi... – zanuciłam.

– No już, ruszajcie się! – zniecierpliwził się tata i przyspieszył tak, że musiałyśmy za nim biec. – W tym tempie ucieknie mi całe karaoke.

– Karaoke? – zainteresowała się Doll w niedzielę.

Drużyna Freda właśnie wróciła z przedsezonowej sesji treningowej w Emiratach. Doll i ja siedziałyśmy na tylnym siedzeniu jego range rovera. Fred prowadził, a obok niego siedział Dave. Mieliśmy wybrać się we czwórkę na lunch, ale ponieważ Doll zajęła się organizacją spotkania, nie mogliśmy tak po prostu pójść coś zjeść. Kiedy przeczytała o wszystkich usługach dostępnych w hotelu, od razu zarezerwowała nam babskie popołudnie w spa, a chłopakom rundę golfa, żebyśmy wszyscy mieli czym się zająć przez większość dnia.

– Tata sporo śpiewał, zanim ożenił się z mamą – wyjaśniłam. – Trzeba przyznać, że ma niezły głos. Zdarza mu się ćwiczyć „Islands In the Stream” w łazience. On i Hope...

– Teraz Hope jest Kylie – wyjaśnił Dave Fredowi. – Nakłada sobie prześcieradło na głowę i kręci się po mieszkaniu, śpiewając „Can't Get You Outta My Head”. Brzmi dokładnie jak na płycie, nie, Tess?

Niezbyt mi się podobało, że opowiada Fredowi o Hope, choć nie byłam pewna dlaczego, bo Dave świetnie dogadywał się z moją siostrą. Miał encyklopedyczną wiedzę na temat piosenek pop, potrafił wymienić wszystkie kawałki na płycie we właściwej kolejności i powiedzieć, ile trwają co do sekundy. Czasami podczas jazdy samochodem Hope wyciągała ze schowka jego płyty

i czytała numery utworów, żeby sprawdzić, czy wie, jakim tytułom odpowiadają. On za to testował ją ze znajomości jej kolekcji, gdy przychodził do nas do domu. Na dziewiąte urodziny kupił Hope discmana, którego nosiła na szyi jak wielki medal. Odtwarzacz miał też słuchawki, co z kolei okazało się prezentem dla wszystkich dookoła. Nikt nie jest w stanie słuchać największych hitów Abby w nieskończoność.

– No, to kto jest Dolly Parton dla twojego ojca, co? – zapytała Doll.

– Co masz na myśli?

– No, „Islands In the Stream”! To przecież duet, nie?

Nagle uświadomiłam sobie, jakie to oczywiste. Tata dużo bardziej dbał ostatnio o higienę. Kupił sobie nawet kilka nowych koszul, ale nie przyszło mi do głowy, że w jego życiu mogła pojawić się jakaś kobieta. Może dlatego tak niechętnie został dziś w domu z Hope?

Wyobraziłam sobie tatę i jakąś kobietę z wielką trwałą na głowie, jak stoją przed tarczą do rzutek i śpiewają do siebie z mikrofonami w dłoniach. Jak długo to już trwa? Czy to coś poważnego? Czy powinnam się przygotować na współdzielenie z nią domu? Jak zareaguje na Hope? A Hope na nią? A może cała trójka siedzi teraz przy naszym stoliku w pubie na niedzielnym obiedzie?

Na przodzie range rovera Fred i Dave dyskutowali, kogo kupiliby w transferach, gdyby byli menadżerami drużyny piłkarskiej.

Zanim się poznali, nie byłam pewna, czy się dogadają. Gdy po raz pierwszy powiedziałam o Fredzie Dave'owi, był pod ogromnym wrażeniem, bo całe życie kibicował jego drużynie. Byłam przerażona, że poprosi o autograf albo coś w tym rodzaju. Na szczęście tego nie zrobił. Dave był trochę starszy i znał się na prawdziwych męskich zajęciach – potrafił odetkać zlew czy zainstalować bojler, więc Fred go szanował. W golfa grali z taką samą liczbą uderzeń, i pomimo że to Fred był zawodowym piłkarzem, Dave wiedział o tym sporcie równie dużo. Gdy słuchałam, jak wybierają swoje wymarzone drużyny, nagle uderzyło mnie, że brzmią tak samo, jak Dave rozmawiający z Hope. Konsultant powiedział nam, że syndrom Aspergera częściej występuje u mężczyzn. Może też go mieli w łagodnym stopniu. Może wszyscy go mamy.

– Oni się uwielbiają, co? – Doll wzięła mnie pod rękę i poprowadziła w stronę wejścia do spa, gdzie obsługa podała nam puszyste ręczniki, kapcie i gratisowe koszyczki z kosmetykami aromaterapeutycznymi.

– Zabawne – powiedziała, gdy rozbierałyśmy się w szatni. – Kiedy jesteś bogata, zawsze dają ci różne rzeczy za darmo. Czekoladki na poduszce, kosze prezentowe... Nie dostaniesz tego w tanim hostelu, mimo że byłabyś dużo bardziej wdzięczna, nie? À propos – zanurkowała do różowej skórzanej torby na ramię – przywiozłam ci mały prezent z Dubaju.

Podowała mi papierową torebkę. W środku było neonowożółte bikini od

Guccięgo.

– Muszę przyznać, faktycznie mały. – Przyłożyłam skąpe skrawki materiału do szlafroka.

– Sobie też taki kupiłam. – Doll wyjęła z torby taki sam strój, tylko że w kolorze neonowego różu, nieco redukując moje poczucie winy wywołane jej ekstrawagancją.

Nie dało się nie zauważyć, że Doll pozbyła się wszystkich włosów na ciele. To było nieco szokujące, bo przy jej drobnej budowie to sprawiało, że wyglądała znów jak dziecko. Nieskrępowana nagością stanęła przed lustrem i ścisnęła swoje maleńkie piersi razem, żeby wyglądały na większe.

Pomyślałam, że jej musi być dużo łatwiej badać sobie piersi, bo prawie nic tam nie ma. Żaden guzek nie umknąłby jej uwagi. Nie musi się zastanawiać, czy może coś poczuła, ale gdzieś jej uciekło.

– Jak sądzisz? Fred chce, żebym je sobie zrobiła.

– Implanty?

– Ty nie masz takich problemów – wskazała brodą moje piersi – ale reszta świata, niestety, owszem.

Owinęłam się ciasniej szlafrokiem. Nie uważałam moich piersi za zaletę. Ubrania nigdy nie wyglądały na mnie jak należy – pewnie właśnie dlatego większość modelek jest płaska. Zanim poznałam Dave'a, byłam grzeczną dziewczynką z katolickiej rodziny do tego stopnia, że uważałam dotykanie piersi za coś, co można robić tylko w poważnym związku, bo mężczyznami kieruje przecież cielesne pożądanie. Nawet nie przeszło mi przez myśl, że mogłoby mi się to podobać.

– Musiałabyś wymienić całą garderobę.

– Miałaś mnie odwieść od tego pomysłu, a nie zachęcać! – roześmiała się.

Poczułam ulgę, bo przez moment sądziłam, że poważnie myśli o operacji, i trudno byłoby mi wtedy zachować neutralność. Mamie usunięto jedną pierś. Nie było miło. Dużo się nacierpiała, więc nie miałam cierpliwości do zdrowych kobiet, które z własnej woli pakują się pod nóż.

Nasze łóżka do masażu stały obok siebie. Światła były przygaszone, skądś dobiegał kojący szum wody. Pewnie ze schowanych głośników, a nie z prawdziwej fontanny albo wodospadu gdzieś na miejscu.

– Dave lubi porno? – zapytała Doll, kiedy masażystki zaczęły przesuwać zaskakująco mocnymi dłońmi po naszych plecach.

Przez szum wody nie byłam na sto procent pewna, czy powiedziała „porno”, ale nie przychodziło mi do głowy żadne podobne słowo, z którym mogłabym je pomylić. Nie zamierzałam powtórzyć: „porno?” głośniejszym głosem, żeby się upewnić.

– No wiesz, jak zaczynasz z kimś być, to wiadomo. Chcecie wszystkiego spróbować, nie? – ciągnęła. – Ale z Fredem ciągle trzeba robić coś nowego,



a ostatnio jeszcze wszystko nagrywać!

Po trzech latach regularnych zabiegów: woskowania całego ciała, maseczek, nitkowania brwi (z jakiegoś powodu nitkowanie miało być lepsze od wrywania pęsetą) Doll tak przywykła, że ktoś coś z nią robi, że nawet już nie zwracała uwagi na obecność kosmetyczek. Robiła dokładnie to, czego nie znosiła u klientek, gdy pracowała w salonie.

– Gadają ze sobą, jakby w ogóle mnie tam nie było! – wściekała się kiedyś.

W sprawach seksu zawsze byłam daleko w tyle za Doll, ale po utracie dziewictwa z Dave'em naiwnie sądziłam, że ją dogoniłam. Wyglądało jednak na to, że wciąż jestem tą niewinną, bo nigdy nawet nie przeszło mi przez myśl, żeby oglądać pornografię, a co dopiero nagrywać.

– Nie żeby Freda kręciło sado-maso, czy coś w tym stylu. Po prostu nie jestem akrobatką, do cholery! Wiesz, o co mi chodzi, nie?

Miałam ochotę przyznać, że nie mam pojęcia, żeby mi wytłumaczyła – bo ciekawość, co robią inni, jest czymś naturalnym, prawda? Ale czułam, że seks jest tematem tabu nawet w rozmowach z najbliższą przyjaciółką, więc nie należy mówić konkretnie, co się dzieje „tam na dole”, albo „za zamkniętymi drzwiami”, jak mawiała mama.

Czy Dave i Fred rozmawiali na polu golfowym o swoich erotycznych fantazjach, albo jeszcze gorzej – porównywali nas? Nie przypuszczałam. Miałam absolutne zaufanie do Dave'a. Zawsze był dla mnie łagodny i cierpliwy. Po tym, co właśnie usłyszałam od Doll, czułam jeszcze większą wdzięczność, że spotkałam takiego mężczyznę.

– A jak tam w pracy? – zapytała, gdy rozłożyłyśmy się na leżakach z jakąś specjalną gliną wzbogaconą wodorostami na twarzach i z plasterkami ogórków na powiekach.

Właśnie zaczął się nowy rok szkolny. Przy opowieściach Doll o seksie i zakupach nasz Dzień Wiktorianański wypadł dość blado. Ja i Hope przebrałyśmy się za kominiarzy i poszłyśmy do szkoły z twarzami umazanymi sadzą. Całą drogę śpiewałyśmy piosenkę o kominiarzu z filmu „Mary Poppins”, choć to nie do końca odpowiednie, bo Mary była edwardiańska, a nie wiktorianańska, ale Hope trochę się bała Olivera.

W szkole powitały mnie zażenowane spojrzenia nauczycielek, bo źle rozumiałam instrukcje. Nauczycielki i wychowawczynie miały się przebrać za sztywne wiktorianańskie guwernantki. Pani Corcoran w pełnym czarnym stroju królowej Wiktorii, włącznie z białym koronkowym czepkiem na głowie, rozkazała Hope iść umyć buzię. Była z tym cała masa problemów, bo Hope nie rozumiała, że pani Corcoran odgrywa rolę. Spędziłam okropny dzień w pomazanej sadzą koszuli i starych spodniach taty, podtrzymywanych kawałkiem sznurka.

Doll śmiała się tak bardzo, że jej gliniana maseczka cała popękała jak błoto

w upale.

– Tęsknię za tym, wiesz?

– Za szkołą? – zapytałam ze zdumieniem.

– Za pracą. Naprawdę, brakuje mi pracy. Głupie, nie? Tęsknię za plotkami i towarzystwem. Czasem kiedy Fred jest na treningach, całymi dniami nie mam do kogo się odezwać.

– Nie spotykasz się z innymi dziewczynami?

– One nie są takie jak ty, Tess. Ani takie jak ja, prawdę mówiąc – dodała tęsknie. – No wiesz, jest pewna granica, ile par butów możesz sobie kupić. Słyszysz, co ja wygaduję? W życiu nie sądziłam, że to powiem!

Kiedy już miałyśmy oczyszczone pory i złuszczonego naskórek, usiadłyśmy na brzegu basenu. Pływały w nim małe rybki, które zaczęły skubać nam suchą skórę na stopach. Trochę łaskotało, ale nie było nieprzyjemne.

– To czemu nie wrócisz do pracy?

– Gdybym była modelką czy czymś takim, to byłoby co innego. Ale młodsza stylistka? Raczej nie ma się czym chwalić.

Kiedyś każda dziewczyna z naszej klasy chciała być fryzjerką. To wydawało się nam szczytem glamour.

– Fred mówi, że dziecko rozwiązałoby problem, miałabym zajęcie...

Znałam Doll dość dobrze, by poznać, że pod tą luźną rzuconą uwagą kryło się coś poważniejszego.

– A ty co o tym sądzisz? – zapytałam ostrożnie.

Trudno sobie poradzić z chłopakiem najlepszej przyjaciółki. Z jednej strony nigdy nie uznasz, że jest dla niej dość dobry, ale z drugiej istnieje pewna granica krytyki, na wypadek gdyby jednak zostali razem.

– Mam dopiero dwadzieścia jeden lat, a Fred sam jest jak wielkie dziecko. Myślisz, że to staromodne, że chciałabym najpierw wziąć ślub?

– Jeśli tego właśnie chcesz, to wcale nie – odparłam. Pomyślałam: cycki, porno, fabryka dzieci, co się z tobą dzieje?

– Fred mówi, że powinniśmy mieć dziecko i zobaczyć, jak to będzie.

– Ale to nie tylko od Freda zależy, prawda? – zauważyłam.

Twarz Doll rozpromienił szeroki uśmiech.

– Tess, tak się cieszę, że to powiedziałaś. Zawsze mogę udawać, że się staram, nie?

Nie całkiem o to mi chodziło.

Podczas lunchu nie potrafiłam patrzeć na Freda tak samo jak przedtem. Przystojny, tak; może nie najmądrzejszy, ale dość pogodny. Pewnie byłby z niego niezły ojciec, gdyby tylko zapomnieć o porno, jednak nie umiałam tego zrobić. Ale czy dom, samochód, ubrania, biżuteria i luksusowe wakacje czyniły z niego odpowiedniego męża dla Doll? Czy nadal by z nim była, gdyby miał przeciętne

zarobki, jak Dave? Z drugiej strony, jak mogłam to oceniać, kiedy fundował mi lunch i rybi pedicure?

– Byłam w kościele z panią O'Neill – oznajmiła Hope, ledwo weszłam do domu. – Śpiewaliśmy hymny.

Poczułam, jak ciepły płaszcz dobrego samopoczucia spowijający mnie po sesji w spa natychmiast rozplywa się w powietrzu.

– Ojciec Michael był w szoku, że Hope tak rzadko bywa w kościele! – dodał tata. – Mówi, że powinna dołączyć do chóru.

– Mogłeś mnie najpierw zapytać – wymamrotałam.

Kiedy Hope raz weszła w jakąś rutynę, trudno było ją od niej odzwycząić.

Przestałam zabierać Hope do kościoła po śmierci mamy. Uznałam, że i tak robię wystarczająco dużo. Mamie to by się nie spodobało, ale przecież sama powtarzała, że nie trzeba chodzić na mszę, żeby wierzyć w Boga. Nie żebym wciąż była pewna swojej wiary, choć nadal dość często łapałam się na modlitwie – żeby dzieci wybrały Hope do swojej drużyny w różnych grach, żeby nie miała napadu złości albo żeby właśnie go miała, kiedy akurat robiliśmy testy w szpitalu, bo obawiałam się, że jak będzie taka grzeczna, to lekarze uznają, że wszystko sobie wymyśliłam.

– Tess, to moja córka! – odparł ojciec.

– Więc poszedłeś razem z nią? – zapytałam, choć dobrze znałam odpowiedź. Poszedł do pubu. Poznałam po jego twarzy i po zapachu ubrania.

Mama zawsze mówiła na to „flanerowanie”. Sprawdziłam w słowniku. To od francuskiego słowa *flaneur*. W dziewiętnastowiecznej Francji flanerami nazywano dandysów, zajmujących się spacerowaniem, szukaniem spontanicznej przygody i narzekaniem na otoczenie.

– Tata pojechał po Anne. – Hope w końcu przerwała przeciągającą się ciszę.

– To twoja koleżanka z karaoke, co? – Bez mrugnięcia wytrzymałam jego wściekłe spojrzenie. To go zaskoczyło. Na twarzy pojawiło mu się spojrzenie mówiące: „kto ci to, do cholery, powiedział?”

Poczułam, jak unosi się we mnie mała bańka triumfu.

– No, to jaka jest Anne? – zwróciłam się do Hope.

– Lubi sernik z truskawkami.

Muszę uczciwie przyznać, że Anne trochę spadła mi z nieba, o czym przekonałam się w następny weekend, kiedy poszliśmy do niej na obiad. Była wdową. Jej mąż zmarł na potężny atak serca, obserwując ostatnie okrążenie wyścigu koni, na którym postawił sporą sumę. Kiedy wydawał ostatnie tchnienie, jego koń przekraczał właśnie jako pierwszy linię mety. To znaczyło, że umarł szczęśliwy, uznała Anne.

– Każdy kiedyś musi umrzeć, prawda? – podsumowała filozoficznie.

Teraz ona korzystała z wygranej za nich oboje. Miała ładny nowy dom

z ogródkiem i małą czerwoną dwuosobową mazdę z opuszczanym dachem. Pozwoliła ojcu prowadzić niedługo po tym, jak ich znajomość stała się oficjalna (nie wiedziałam, jak długo trwała przedtem, i nigdy nie próbowałam się dowiadywać). Co najlepsze, Anne miała w jadalni szafę grającą, która wyglądała zupełnie jak z lat pięćdziesiątych, ale odtwarzała płyty CD.

– Hope może tu przychodzić, kiedy tylko chce – oznajmiła.

Oczywiście Anne nie miała jeszcze pojęcia, jak dosłowna jest Hope; po prostu chciała przypodobać się ojcu. Nie mogłam tego zrozumieć, bo wydawało mi się, że powodzi się jej dużo lepiej niż jemu. No, ale ojciec mógł się podobać, a poza tym potrafił być szczodry i czarujący, kiedy było mu to na rękę.

Anne uważała, że należy żyć pełnią życia, i chyba właśnie tego potrzebował tata. Była bardzo wyrazistą kobietą. Miała burzę popielatoblond włosów i zawsze inną obcisłą sukienkę. Twierdziła, że ma pięćdziesiąt jeden lat, tyle co tata. Ale po jej szyi wnioskowałam, że już od dobrych kilku lat ma te swoje pięćdziesiąt jeden, choć Doll mówiła, że skóra może się taka zrobić od opalania. Najlepiej pasowało do niej chyba słowo „frymuśna”, z tą jej intensywnie różową szminką, pełnym dekoltem i małą fałdką tłuszczu wokół gumki bielizny wyszczuplającej. Miała pełny, gardłowy śmiech i zawsze spowijała ją chmura perfum i zapachu papierosów. Nie mogła bardziej różnić się od mojej matki.

Uznałam, że pojawienie się Anne prawdopodobnie wyjdzie nam na dobre, więc starałam się nie zwracać uwagi na jej komplementy. Ani na to, jak kładzie mi ciężką od pierścionków rękę na ramieniu i mówi poufnym szeptem:

– Twój tata zawsze powtarza, że nie wie, co by bez ciebie zrobił.

Byłam pewna, że nigdy nie powiedział czegoś takiego.

To Anne znalazła artykuł o syndromie Aspergera w jednym ze swoich magazynów. Pisali w nim, że prawdopodobnie cierpiał na niego Albert Einstein. Sprytnie zrobiła, podsuwając go ojcu, bo to dało mu inne spojrzenie na problem Hope. Teraz niemal się tym chwalił. Tata zawsze lubił być w centrum zainteresowania.

2001

GUS

Zaczęło się jak każdego innego poranka – może w większym pośpiechu niż zwykle, bo właśnie rozpoczynaliśmy kurs zintegrowanej opieki medycznej, który mieliśmy spędzić w szpitalu, jak prawdziwi lekarze. Cieszyłem się, że będę mógł od podszewki poznać pracę na SOR: traktowałem ją jako test życia i śmierci nie tylko dla pacjentów, ale też dla mnie. Jeśli nie radzę sobie z widokiem zmasakrowanych ludzi, lepiej przekonać się o tym jak najszybciej. Okazało się, że nie mam żadnego problemu z badaniem zmiążdżonej ręki pracownika budowlanego ani z opatrywaniem ropiejących wrzodów na pośladkach starszego pana, którego znaleziono w mieszkaniu komunalnym pełnym starych gazet i gołębi, ubranego tylko w szlafrok przewiązany sznurkiem.

Ani Lucy, ani ja nie przewidzieliśmy jednak presji ze strony otoczenia i konieczności zachowywania się, jakbyśmy wiedzieli, co robimy. Do tej pory zawsze *post mortem* mogliśmy odreagować na pełnych czarnego humoru spotkaniach w kawiarni ze znajomymi z roku. Tego wieczoru wróciliśmy do domu wykończeni. Chcieliśmy wziąć coś na wynos z hinduskiego baru na naszej ulicy, ale Lucy zwróciła uwagę, że nasi pacjenci i tak już cierpią, nie muszą w dodatku męczyć się z naszym oddechem. Więc zrobiłem zapiekanki z serem.

– Jak było? – zapytała, kiedy już oboje zalegliśmy na kanapie.

– Nikt nie zmarł. – Ta wytarta klisza miała dla studentów medycyny ponury wydźwięk. Byłem zbyt zmęczony, by wdawać się w szczegóły.

Ku mojemu zaskoczeniu, praca na oddziale pediatrycznym okazała się dla Lucy niespodziewanym wyzwaniem.

– Na studiach nikt ci nie mówi, że to nie z dziećmi jest problem, tylko z rodzicami. Mieliśmy dziś ojca, który dostał napadu szału przed konsultantem, a ja siedziałam przed gabinetem z dzieckiem i udawałam, że nie słyszę krzyków... Nie miałam pojęcia, jak się zachować. Byłam kompletnie do niczego!

– Nie jesteś do niczego. Będiesz świetnym lekarzem – spróbowałem ją pocieszyć. – Postawiłbym na to własne pieniądze.

– Naprawdę?

– Oczywiście. Ale nie więcej niż dychę.

Łatwo było ją rozbawić, ale następnego dnia to mnie chyba bardziej chciało się iść do pracy niż jej. Na skrzyżowaniu z Euston Road szybki pocałunek, a potem nasze drogi się rozdzieliły. Stałem przed przejściem i czekałem na zielone światło,

patrzac na oddalajacą się Lucy. W głębi duszy liczyłem, że się odwróci i pomacha na pożegnanie, zanim zniknie mi z oczu. Ale jej krok był sztywny – widziałem, że już myśli o czymś innym. Nie spojrziała za siebie, a moja na wpeł uniesiona ręka opadła.

Zabawne, jak jeden obraz może utkwic człowiekowi w pamięci. Teraz, gdy wspominam ten nieustajacy londyński ruch uliczny, chłodny wrześniowy wiatr rozwiewajacy mi włosy i widok mojej dziewczyny, odchodzacej bez spojrzenia za siebie, mam wrazenie, że to był jakis punkt zwrotny w moim zyciu.

Na SOR zawsze był ruch: jakaś Japonka zemdlala w metrze, ale nie wygladalo to na nic powazniejszego niz brak sniadania. Potem przyjechal trzylatek z niepokojaco spuchnietym uchem, uzadlony przez pszczołę w zoo; dostal leki antyhistaminowe i zostal na obserwacji, a matce kazalismy isc do lekarza rodzinnego po EpiPen w razie podobnego wypadku w przyszlosci. U kuriera, który spadl z roweru, stwierdzono wstrzasnienie mozgu. Zostal wyslany na przeswietlenie i przyjetý na oddzial.

Podczas przerwy postanowilem wyjśc, by odetchnac swiezym powietrzem. Przy drzwiach od strony podjazdu dla ambulansow zobaczylem starsza pania na wozku.

– Czekam na panów z karetki – wyjaśniła.

Gdy już raz popelnilem ten blad i zapytalem, czy wszystko w porzadku, okazalo się, że nie dam rady tak latwo uciec. Staruszka byla bardzo gadatliwa, a przy tym wykazywala się typowa dla emerytow sklonnoscia do ciaglego przepaszania za klopot. Powiedziala, że zadzwonila do córki, która akurat byla w pracy i kazala jej wezwac pogotowie. Sama by tego nie zrobila, bo pewnie nic jej nie jest, tylko cos dziwnego dzieje się z jej ręką.

– Dziwnego? Co ma pani na myśli? – pociagnalem temat. Czy prawdziwy lekarz zadalby wlasnie takie pytanie?

– No cóz, cala rękę mam zimna. A mrozu przeciez nie ma, prawda?

W szpitalu czlowiek traci swiadomosc czasu i pogody, ale przypomnialem sobie, że gdy szedlem rano z Lucy do pracy, swiecilo slonce.

– Kiedy to pani zauwazyła?

– Jakos tak pare godzin temu? Nagle zle się poczulam. A potem cala ręką zrobila się zimna. Nie moglam jej niczym rozgrzac. Córka kazala mi zadzwonic po karetkę. Troche glupio się czulam, no wie pan. „Mam zimna rękę”, to nie brzmi zbyt powaznie.

– Dobrze pani zrobila.

– Wiecej sady pan, że to cos powaznego?

Moja naiwna proba pocieszenia tylko ja zaniepokoil. Ulzylo mi, gdy pojawilo się dwóch ratownikow medycznych.

– Wszystko w porzadku, pani Collins?

– Właśnie rozmawiałam z tym miłym panem doktorem. Mówi, że to może być coś poważnego.

Ratownicy posłali mi spojrzenia pełne pogardy, które zawodowcy zachowują specjalnie dla studentów medycyny.

– Zabierzemy panią teraz do pielęgniarki w rejestracji, ona wszystko z panią omówi.

Mnie tymczasem zawołano do uczennicy ze szkoły tańca, która upadła i złamała albo zwichnęła kostkę, a potem już było po przerwie na lunch, więc do momentu, kiedy znowu zobaczyłem panią Collins, musiała minąć jakaś godzina. Wciąż czekała.

– Jak ręka?

– Strasznie biała...

– Badał już panią lekarz?

– Jeszcze czekam. Duży dziś ruch, prawda?

Przychodziła mi do głowy tylko jedna przyczyna białej, zimnej ręki: brak dopływu krwi. A skoro nie opinał jej ciasny rękaw ani opaska uciskowa, to sugerowało zablokowaną arterię. A jedynym powodem zablokowanej arterii, jaki znałem, był zakrzep. A zakrzepy to nic dobrego.

Poszperałem gorączkowo w pamięci w poszukiwaniu innego wyjaśnienia. Za kogo ja się uważałem? Czy mógłbym wiedzieć lepiej niż pielęgniarka, która od lat przyjmuje pacjentów? A mimo to, kiedy alarm rozdzwonił mi się w głowie, nie mogłem już go uciszyć. Poszedłem do rejestracji i zapytałem, co się dzieje z panią Collins, próbując dać do zrozumienia, że starsza pani nie daje mi spokoju. Pielęgniarka za biurkiem spojrzała w monitor i oznajmiła, że pani Collins jest na liście oczekujących do chirurga naczyniowego.

– Czy ktoś mu powiedział, że to pilne?

Pielęgniarka posłała mi spojrzenie mówiące, że przekraczam swoje kompetencje, o czym wiedziałem, ale skoro wziąłem na siebie rolę upierdliwca, to mleko już się wylało i nie zamierzałem teraz się wycofać.

W szkole nigdy nie byłem dobry w zawodach, kto pierwszy mrugnie – i nigdy, przenigdy nie udało mi się pokonać Rossa – ale zawzięłem się, że nie odpuszczę i zmuszę pielęgniarkę, by zadzwoniła po lekarza. Wystukała numer i podała mi słuchawkę.

– Lepiej, żeby sam pan wyjaśnił – powiedziała z nutą triumfu w głosie.

Widać z chirurgiem naczyniowym nie należało zadzierać.

– Tak? – Szorstki, kobiecy głos.

– Halo... Ee... Jestem studentem medycyny, i może się mylę, ale chyba mamy tu pacjentkę, która wymaga dość szybkiej interwencji...

– Bo?

Mniej więcej w połowie monologu opisującego rękę pani Collins zdałem

sobie sprawę, że po drugiej stronie już dawno nikogo nie ma. Na twarzy pielęgniarki pojawił się uśmiezek.

Zawiadomiłem specjalistę. Nic więcej nie mogłem zrobić. Jeśli to zakrzep, nie miałem uprawnień, żeby przepisać środek rozrzedzający krew. Gdybym się pomylił i zalecił podanie leku bez takiej konieczności, pojawiłoby się ryzyko krwotoku. Poza tym byłem beznadziejny w zakładaniu kroplówki. Udowodniłem to kilkakrotnie, gdy musiałem wzywać na pomoc pielęgniarkę. Koniec końców okazuje się, że myślisz: *Jeśli ona teraz umrze, to nie będzie moja wina.*

Nic więcej nie mogłem zrobić.

Nie lubię tego zdania.

Brzmi tak godnie i szczerze, w skrócie komunikując: *Próbowaliśmy wszystkiego, staraliśmy się z całych sił, naprawdę zależało nam na tej konkretnej osobie*, ale w rzeczywistości to rzadko kiedy jest prawdą. Nie mówię, że lekarze są leniwi albo że świadomie popełniają błędy, ale kiedy jest dużo pacjentów na oddziale, łatwo coś przegapić albo zrobić za późno. Bardzo często przetrwanie jest po prostu kwestią szczęścia.

Wyszedłem na podjazd dla karet i stałem przez chwilę w wyziewach z rur wydechowych, fantazując o tym, że zdejmuję biały fartuch i odchodzę jak wolny człowiek.

Pierwszy rok studiów zaliczyłem, bo zawiąłem się, że nie zawiodę rodziców. Na drugim Lucy przekonała mnie, że wszyscy mają takie same wątpliwości i zmartwienia jak ja. Na trzecim, kiedy inni studenci kończyli studia i zaczynali życie zawodowe, uświadomiłem sobie, że mało kto lubi swoją pracę. Przynajmniej jako lekarz miałem szansę dobrze zarabiać. Ale nigdy nie udało mi się całkiem uciszyć głosu w głowie, który zawsze w stresujących sytuacjach krzyczał: *Nie chcę tego robić!*

W drodze powrotnej mało nie wpadłem na bardzo szczupłą kobietę w białym lekarskim fartuchu, który w przeciwieństwie do większości lekarzy miała zapięty pod szyję. Co ciekawe, nie było spod niego widać żadnego ubrania, z wyjątkiem cienkich czarnych rajstop, a może pończoch.

– Angus?

Nikt poza rodzicami od lat mnie tak nie nazywał.

– Charlotte!

– Dla ciebie doktor Grant!

To żart czy nakaz? Pewnie jedno i drugie po trochu.

Uśmiechnąłem się szeroko. Ona nie.

– Co tu robisz? – zapytałem.

Było oczywiste, że pracuje w szpitalu, ale nie widziałem jej wcześniej, nie zauważyłem też jej nazwiska na tablicy na SOR.

– Jestem chirurgiem naczyniowym. Właśnie przyszłam i od razu jakiś



pieprzony student mnie wezwał na dół. A ty?

– Ja jestem tym pieprzonym studentem.

Westchnęła zniecierpliwiona.

– Okej. Gdzie?

Zabrałem ją do łóżka pani Collins i odsunąłem się na krok, a ona zaciągnęła zasłonę wokół łóżka. Nigdy nie rozumiałem, po co się to robi, skoro to daje pacjentowi kompletnie złudne poczucie prywatności, a wśród sąsiadów wzbudza jeszcze większe zainteresowanie. Przystępowałem nerwowo z nogi na nogę, mając nadzieję, że nauczę się czegoś z opanowanej, profesjonalnej konsultacji Charlotte.

– No dobrze, pani Collins, teraz zwołamy pielęgniarkę, żeby podpięła pani drugą rękę do kroplówki i podamy lekarstwo. Niedługo powinna się pani lepiej poczuć.

Zasłona odsunęła się szybciej, niż się spodziewałem, i poczułem się jak złapany na podsłuchiwanie.

Po głosie Charlotte nigdy bym nie poznał, że to coś więcej niż rutynowa kontrola, ale gdy gwałtownie pomaszerowała do rejestracji, było widać, że jest wściekła. Nie przebierając w słowach, kazała pielęgniarkom natychmiast zaaplikować pani Collins kroplówkę z heparyną.

– A potem macie ją zapisać na mój oddział, rozumiano? Która, do jasnej cholery, ją przyjmowała?

Pielęgniarka za biurkiem aż się skuliła.

– Poszła na przerwę.

– No proszę, ale ma szczęście!

Charlotte znów odwróciła się szybciej, niż się spodziewałem, przez co poczułem się, jakbym ją śledził.

– Dobrze, że mnie pan zawiadomił, doktorze Macdonald. – Puściła do mnie oko i oddaliła się zamaszystym krokiem.

Egzotyczny zapach jej perfum unosił się w powietrzu jeszcze chwilę po tym, jak zniknęła za rogiem korytarza. Dało mi to kilka sekund ulgi od zwykłego kwaśnego odoru środka do dezynfekcji, który nigdy całkiem nie zabija intensywnego tła fetoru krwi i odchodów, charakterystycznego dla SOR.

Po południu doszło jeszcze kilku chłopców z całym wachlarzem kontuzji piłkarskich, ale po nich nie nadeszła jak zazwyczaj cisza wczesnego wieczoru, zapowiadająca napływ pacjentów z urazami spowodowanymi nadmierną konsumpcją alkoholu. Zamiast tego od razu nadjechało siedemnastu rannych, w tym jeden śmiertelnie.

O piątej po południu zapytano mnie, czy zostanę dłużej. Ledwo zdążyłem zadzwonić do Lucy na nową komórkę – kupiliśmy telefony, gdy zorientowaliśmy się, że będziemy pracować w różnych miejscach. Dziwnie się wspomina czasy, gdy komórki nie miały internetu i korzystało się z nich tylko w nagłych wypadkach.

Stanąłem na parkingu, tam gdzie wjeżdżały karetki, bo w szpitalu nie wolno było korzystać z telefonów. Syreny z każdą chwilą wyły coraz głośniej.

Wcześniej zdawało mi się, że nie jestem wrażliwy, ale to było, zanim zobaczyłem ludzi ze spalonymi twarzami. O dziwo, ten horror nie sprawił jednak, że zapragnąłem wyjść, bo wiedziałem, że mogę się przydać. Człowiek jedzie wtedy na adrenalinie. Robi się to, co należy robić. Żyje się tu i teraz. Tylko raz między kolejnymi karetkami zdążyłem wyjść na powietrze. Stałem w tym samym miejscu, w którym wcześniej marzyłem o odejściu, i nagle zorientowałem się, że myślę: *Kocham to!*

Tego wieczoru zacząłem palić. Wydawałoby się, że lekarze nie powinni palić, bo wiedzą o ryzyku. Ale to tak nie działa. Kiedy ciągle widzisz, jak niepewne i nietrwałe jest życie, mniej się przejmujesz odległym ryzykiem zdrowia w przyszłości. Paliłem kiedyś w szkole. Nie było wyjścia, inaczej wychodziło się na mięczaka. Więc kiedy pielęgniarz stojący koło mnie zaproponował papierosa, poczułem, że to gest solidarności.

Wyszedłem dopiero po dwudziestej trzeciej. Miałem za sobą szesnaście godzin na najwyższych obrotach. Nie czułem się zmęczony, ale gdybym nie wpadł na Charlotte przy wyjściu, poszedłbym prosto do domu.

– Angus. Znowu ty!

Nie potrafiłem stwierdzić, czy uważała nasze ponowne spotkanie za coś miłego czy może irytującego.

Właśnie skończyła zmianę.

– Jak tam pani Collins? – zapytałem. Wydawało mi się, że to wydarzyło się bardzo dawno temu. Że od tamtego czasu miałem już kilka całych żyć.

– Chyba udało się nam uratować jej rękę. To trochę cud, że wtedy zadzwoniłeś. Mój kolega nie został poinformowany, że konieczna jest natychmiastowa interwencja.

Więc pracuje tu, czy tylko go zastępuje?

– I jak, podoba ci się? – zapytała. Szła pół kroku przede mną i odwracała lekko głowę, żeby rozmawiać. Na ramiona miała zarzucony miękki sweter z czarnego kaszmiru, a pod nim czarny podkoszulek i spódnicę przed kolano, otulającą jej nogi w przezroczystych czarnych rajstopach. Stukała obcasami po chodniku.

– „Podoba” to chyba nie jest właściwe słowo...

– A jak tam wypadek? – Wieści widocznie szybko się rozchodzą po szpitalu.

– Nieciekawy, co?

„Nieciekawy” – to brzmiało nieadekwatnie i dziecinnie w stosunku do obrażeń, jakie dziś widziałem.

– Bardzo nieciekawy.

Dotarliśmy do skrzyżowania z Tottenham Court Road. Ona szła na południe,

ja na północ.

– Musisz gdzieś teraz iść? – zapytała nagle. – Wyglądasz, jakbyś potrzebował się napić.

To zabrzmiało bardziej jak diagnoza niż propozycja. Czy były jakieś zasady dotyczące spędzania czasu wolnego z kolegami z pracy? Ale to przecież Charlotte, powiedziałem sobie. Znam ją, od kiedy skończyłem trzynaście lat.

Zerknąłem na zegarek. Puby już dawno były pozamykane.

– Nie wiem, gdzie można jeszcze pójść o tej godzinie.

Zaśmiała się lekko.

– Do mojego klubu – odparła, unosząc rękę, by zatrzymać taksówkę, której ja nawet nie zdążyłem zauważyć.

Klub okazał się jednym z modnych miejsc spotkań biznesowych w Soho. Miał domofon z kamerą, a na recepcji elegancką obsługę. Pełno w nim było modnie i bogato wyglądających gości po dwudziestce i trzydziestce.

– Większość to ludzie z mediów – wyjaśniła Charlotte, gdy przeciskaliśmy się przez tłum. – Ale znam kogoś z zarządu.

Czy ten ktoś to mężczyzna czy kobieta?, zastanawiałem się, skupiając wzrok na luźnym koku kruczoczarnych włosów przede mną. Mężczyzna, uznałem. Charlotte za bardzo onieśmiałała, nie potrafiłem jej sobie wyobrazić z wianuszkami przyjaciółek jak Lucy. Rozejrzałem się po pomieszczeniu, próbując wchłonąć wszystkie szczegóły, by wiedzieć, jak opisać ten świat nocnych imprez, o którego istnieniu nie miałem nawet pojęcia. Cocktail bar, na ścianach sztuka współczesna, odsłonięta kuchnia, na tablicy wypisane kredą dania dnia – dyniowe ravioli z szałwią, wolno gotowany boczek, duszona czerwona cykorja.

– Zawsze tu tak jest?! – Musiałem krzyczeć, żeby mnie usłyszała.

– Dziś chyba trochę bardziej w klimacie „Powstania i upadku Imperium Rzymskiego” – odparła.

Przecisnęliśmy się do pomieszczenia, w którym ludzie oglądali coś na wielkim telewizorze plazmowym. W pierwszej chwili myślałem, że to film katastroficzny. Przystanąłem na moment i zrozumiałem, że to amerykański kanał informacyjny, w kółko emitujący ten sam materiał. Widać było samolot przelatujący nad głowami straży pożarnej, prosto w jedną z wież World Trade Center. Potem plan ogólny na obie wieże: z jednej unosił się gęsty dym, ku drugiej zbliżał się samolot, maleńki i czarny jak wrona. Wleciał prosto w budynek.

– Matko Boska! – powiedział tylko reporter, gdy w miejscu uderzenia nastąpiła eksplozja.

– Co się dzieje? – zapytałem.

Charlotte posłała mi zgorzzone spojrzenie, jakby myślała, że się wygłupiam, ale zorientowała się, że naprawdę jestem zaskoczony.

Boże, jesteś chyba jedyną osobą na świecie, która o niczym nie wie. Myślisz,

że jest zimno na dworze?

– Nie, chodźmy...

Charlotte poprowadziła mnie po wąskich schodach. Na górze znajdowały się drzwi wiodące na taras na dachu. Łagodnie oświetlały go lampki, a wszędzie porozstawiane były luksusowe meble ogrodowe. Nocne powietrze było przyjemnie odświeżające po przesiąkniętej potem i alkoholem, gorącej atmosferze wewnątrz.

Zapadliśmy się w głębokie lniane poduszki na rattanowej sofie. Podeszła do nas kelnerka.

– Coś dla państwa?

– Proszę martini na Grey Goose, bardzo wytrawne, z cytryną.

– Dla mnie to samo – powiedziałem, gdy dziewczyna zwróciła się w moją stronę.

Okazało się, że Grey Goose to wódka, bez wątplenia wściekle droga. Poczulem ukłucie niepokoju na myśl o rachunku, ale szybko złagodziła je następna kolejka. Martini były zimne, a rozluźnienie przyszło tak nagle, jakbym się podłączył do kroplówki z morfiną.

Charlotte zaczęła opowiadać wszystko, co wiedziała o wydarzeniach w Nowym Jorku, a ja po raz drugi tego dnia sięgnąłem po papierosa. Palila czerwone marlboro. Pamiętam, że pomyślałem z podziwem, jaka jest twarda. Żadnych lightów czy mentoli. Robiła wrażenie samym swoim istnieniem. Ze wszystkich sił usiłowałem nie wpatrywać się w jej usta.

– Dziwne, że nie zamknęli przestrzeni powietrznej nad Londynem – powiedziała.

W milczeniu spoglądaliśmy za światełkami samolotów, opadającymi cicho przez nocne niebo w kierunku Heathrow.

– Myślisz, że świat się kończy?

Nie wiedziałem, co na to odpowiedzieć. Pomyślałem tylko: Jeśli nawet, to przynajmniej z klasą! Popijałem koktajle z Charlotte. Pod nocnym niebem rozciągały się dachy, wieżyczki i barokowe portyki, niewidoczne z ulicy. Ross nieźle by się zdziwił, gdyby zobaczył, jak z nią tu rozmawiam, a czasem nawet wywołuję jej śmiech. A jaki byłby wściekły...

– Od kiedy należysz do tego klubu? – zapytałem.

– Chyba od paru lat – odparła po chwili zastanowienia. Czyli nie przychodziła tu z Rossem.

Palila papierosy tylko do połowy, a potem gasiła stanowczo, jakby mówiąc im – i sobie – że już więcej nie potrzebuje.

– A ten ktoś z zarządu? Twój znajomy?

Wypiłem już tyle, że wprawdzie słyszałem swój głos, ale miałem wrażenie, że to mówi ktoś inny. Charlotte wyciągnęła się na poduszkach jak kot.

– Chyba nie próbuje mi pan sprawdzać kartoteki, doktorze Macdonald?

– W żadnym razie!

– Często bywasz w teatrze? – To pytanie było tak niespodziewane, że aż pomyślałem, czy może jakimś cudem nie przegapiłem sporej części rozmowy.

– Nigdy.

– Och. Zapytałam, bo ostatnim razem wspomniałeś, że byłeś w Narodowym...

Ostatnim razem? Chodziło jej o pierwsze święta po Rossie? To było prawie cztery lata temu, a wydawało się jeszcze dawniej. Byłem nieopierzonym chłopaczkiem, podekscytowanym wszystkim, co Londyn ma do zaoferowania. Nie wierzyłem, że to zapamiętała.

– ...Więc sądziłam...

– No, tak, wciąż lubię teatr. Po prostu nigdy tam nie chodzę.

– Powinniśmy się na coś wybrać – zaproponowała.

Spojrzałem na jej pusty kieliszek po martini i pomyślałem, że chyba nie ja jeden dziś mówię bez sensu. Czy ona ze mną flirtuje?

– Jeszcze po jednym?

– Czemu nie? – zgodziłem się. Byłem już na tym etapie upojenia, za którym rozciąga się przepaść, kiedy człowiek absurdalnie i wbrew zdrowemu rozsądkowi sądzi, że ma nad wszystkim absolutną kontrolę.

Nie pamiętam, ile jeszcze wypiliśmy ani jak zapłaciliśmy rachunek, ani o czym rozmawialiśmy. Nagle okazało się, że idę z nią przez miasto, mijamy domek w stylu Tudorów pośrodku Soho Square, przechodzimy przez opustoszałą Oxford Street i wzdłuż jakiejś ulicy biegnącej równoległe do Tottenham Court Road, na której pełno było dawno pozamykanych pizzerii i greckich restauracji.

– Charlotte Street... – przeczytałem tabliczkę na rogu, nie po raz pierwszy tego wieczoru zastanawiając się, czy to sen.

– Idealna nazwa, co? – zaśmiała się po swojemu, lekko i lekceważąco. – Tu mieszkam. – Wskazała drzwi obok wejścia do kiosku.

Jak przez mgłę pamiętałem, że wspomniała wcześniej o przeprowadzce z Battersea w okolice szpitala, ale chwilę mi zajęło połączenie faktów.

– Wejdiesz na kawę?

Charlotte mieszkała w kawalerce na ostatnim piętrze. Mieszkanie miało spadzisty dach, a pod skosami zawieszono szafki dla oszczędności przestrzeni. W dach wbudowana była duża lukarna z wielkim panelowym oknem balkonowym, prowadzącym na niewielki taras.

– Usiądź – poinstruowała i poszła nastawić czajnik. Małeńka kuchnia była i tak za niska, żebym mógł w niej stanąć bez schylania.

Usiąść można było jedynie przy niewielkim okrągłym stoliku, obok którego stały dwa krzesła z giętego drewna, albo na wielkim łóżku, przykrytym ciężką kapą z białej bawełny z koronkowymi zdobieniami. Z sufitu zwiisał żyrandol z barwnych

szklanych kwiatków. Całe mieszkanie przywodziło na myśl jeden z tych ekskluzywnych sklepów z antykami na tyłach Boulevard Saint-Germain, do których nie można było wejść bez wcześniejszego umówienia wizyty.

Charlotte wróciła z dwiema porcelanowymi filiżankami z różnych kompletów.

– To niewiele więcej niż takie *pied-à-terre*, ale ma ładny widok. Chodź, zobacz. – Otarła się o mnie lekko, żeby otworzyć drzwi na taras.

Po jednej stronie Telecom Tower, zaskakująco bliska i ogromna; po drugiej morze dachów, dziwnie ciemnych jak na tak niewielką odległość od centrum Londynu. W powietrzu czuć było niemal podmiejski spokój, tak różny od nastroju tarasu w Soho. Tu dochodziły jedynie odległe westchnienia i stukoty pociągów przejeżdżających przez Euston, zwykle tak głośne i wyraźne, kiedy latem otwieraliśmy okna w naszym mieszkaniu.

– Wiesz, chyba powinienem się zbierać.

– Och...

Nie „okej”. Po prostu „och...”.

Taras był tak mały, że czułem aromat rumianku z jej parującej filiżanki, zmieszany z intensywnym zapachem jej perfum. Spryskała się przed chwilą? Po co miałyby to robić? Spodobałem się jej? Oczywiście, że nie! Na pewno nie w tym sensie. Czy to był jakiś żart? Wcześniej, na ulicy, miałem jasny umysł. Wydawało mi się, że po spacerze wódka wywietrzała mi z głowy. Ale gorąca czarna kawa sprawiła, że stan upojenia powrócił z nową siłą. Byłem lekko roztrzęsiony, niemal przerażony – bo jakimś cudem czułem, że jeśli odwrócę się w jej stronę choć o milimetr, będę w niebezpieczeństwie.

To ona pierwsza się poruszyła. Weszła do środka, zrzuciła buty i wycelowała pilota w telewizor, siadając na łóżku.

– Jezu! – westchnęła zszokowana.

– Co? – Przycupnąłem koło niej.

Na ekranie widać było zapadające się wieże, potężne, symboliczne wieże rozsypujące się w proch. Potem zobaczyliśmy biegnących ludzi, ściganych przez monstrualne tsunami pyłu i gruzu.

Te obrazy mówiły, że świat już nigdy nie będzie taki sam.

Wpatrywaliśmy się w telewizor w milczeniu, a potem Charlotte odwróciła się do mnie. Przeważenie malujące się na jej twarzy sprawiało, że była jeszcze piękniejsza, i wiedziałem, nagle, że mogę. A potem zaczęliśmy się całować, z mocno zamkniętymi oczami, jakby to miało pomóc wymazać rzeczywistość, gdy zdzieraliśmy z siebie ubrania.

To jednak były pończochy, takie, które same trzymają się na nogach, z szeroką koronkową opaską wokół uda.

Pieprzenie Charlotte było tak nierealne i podniecające, jak pieprzenie

gwiazdy filmowej. Jej giętkie ciało, wygłodniałe usta, świadomy akt poddawania się pokusie zawiodły mnie w miejsce na granicy przyjemności i wyrafinowanego bólu, miejsce, w którym nigdy wcześniej nie byłem, a nawet nie wiedziałem, że w ogóle istnieje.

Leżałem na plecach z rozpostartymi ramionami, z przytuloną do mojej piersi smukłą i oszałamiająco piękną dziewczyną mojego brata, nie wierząc w to, co właśnie się stało. Bałem się poruszyć, aby fantazja nie rozplynęła się nagle w lepkie zażenowanie.

W końcu Charlotte uniosła głowę. Jej usta były ciemne od pocałunków, a długie włosy opadały w nieładzie na ramiona.

– Stanowczo dorosłość – oceniła. Nie ośmieliłem się odpowiedzieć.

Zsunęła się ze mnie i przesunęła moje ramię, żeby położyć się wygodnie obok.

– Wiesz co... – Wzięła mnie za rękę i poprowadziła między swoje uda. – To chyba jeszcze nie wszystko.

Z grzeszeniem jest jak z kłamaniem. Jeśli raz to zrobisz, kolejny nie robi już różnicy.

Za pierwszym razem byłem tak skoncentrowany na wyczuwaniu, co sprawia jej przyjemność, że przez cały czas miałem zamknięte oczy. Teraz wpatrywałem się w jej twarz w tej cudownej chwili, kiedy szczytowała, i pragnąłem, aby to trwało wiecznie, czuć jej wilgoć na palcach, mieć głowę pełną jej westchnień.

– Dziękuję – powiedziała po wszystkim. Co mógłbym na to odpowiedzieć? Nie odezwałem się w ogóle. – Wyprzystojniałeś. Wiedziałeś o tym? Stanowczo się poprawiłeś z wiekiem.

– Jak ser?

– Albo wino – zaśmiała się.

Chciałem coś powiedzieć, ale każdy komplement, który przychodził mi do głowy, brzmiał prostacko albo niedostatecznie odpowiednio. Nie chciałem, żeby mnie wyśmiała, kiedy byłem nagi.

– Muszę iść... – Pocałowałem czubek jej uroczego nosa.

– Naprawdę? – Naciągnęła kołdrę na idealnie okrągłe małe piersi.

Czy to ją rozdrażniło? Że już wychodzę? Czy może to, że ja o tym zdecydowałem, a nie ona?

– Naprawdę.

Obserwowała, jak się ubieram.

– No, to do zobaczenia. – Odwróciłem się. Nic nie odpowiedziała.

Wyszedłem z mieszkania i zbiegłem po wąskich schodach cztery piętra w dół. Kiedy szedłem do domu, wschodziło słońce. Skierowałem się prosto do łazienki, napuściłem wody do wanny i zanurzyłem się w głębokiej, oczyszczającej kąpieli, nie mogąc uwierzyć w to, co zrobiłem.

To był wypadek.

Wódka.

Apokalipsa w Nowym Jorku.

To się już nigdy nie powtórzy.

Więc jak dużo, albo jak mało, powinienem powiedzieć Lucy? Zaczynało mi świtać, że tą jedną chwilą upojenia podkopałem całe swoje życie. Dziwne, że do tej pory nie odczuwałem winy, bo Charlotte była tak odległa od mojego życia z Lucy. Zdawało mi się, że jeśli kogoś zdradziłem, to Rossa.

Czy powinienem wszystko wyznać i zakończyć sprawę? Byłem prawie pewien, że Lucy by mi wybaczyła, gdybym się wytłumaczył. Ale czy na pewno? Po co ją ranić? To był pierwszy i ostatni raz. Skoro do tej pory nie wpadłem na Charlotte, było mało prawdopodobne, że znów ją spotkam. A nawet gdybyśmy znów się zobaczyli, na pewno zachowa się, jakby nigdy do niczego nie doszło. Oboje się tak zachowamy. Na pewno już żałowała. To tylko maleńka iskierka na ścieżkach naszego życia. Fala przeszłości wtoczyła się na moment w terażniejszość, rozbiła o brzeg z potężnym grzmiotem, a potem znów cofnęła w nicość.

Sięgnąłem po ręcznik. Wycierając się, myślałem, co powiedzieć Lucy. Nie było seksu, więc nie było też kawalerki na poddaszu ani klubu, ani Charlotte. Przyłożyłem dłoń do ust, próbując sprawdzić oddech i ocenić, czy uda mi się pominąć też alkohol. Nie. Więc może powinienem włożyć butelkę wódki w dłoń pielęgniarki, który poczęstował mnie papierosem. To był traumatyczny dzień, obaj potrzebowaliśmy paru głębszych po pracy.

Położyłem się na kanapie w salonie. Kiedy Lucy obudziła mnie parę godzin później z martwego, pustego snu, nic z poprzedniego wieczoru nie wydawało się prawdziwe.

– Bardzo miło, że tu spałeś – powiedziała, podając mi parujący kubek herbaty – ale naprawdę nie miałabym nic przeciwko, gdybyś mnie obudził.

Więc w ogóle nic nie powiedziałem.

W głowie czułem szczególną jasność, ale drżałem i byłem lekko spocony, jakbym pocił się resztkami wódki. Domyślałem się, że poziom alkoholu we krwi miałem wciąż stanowczo powyżej jakiegokolwiek sensownego limitu dopuszczającego pracę w szpitalu, ale nie było szans, żebym wziął urlop na żądanie już w pierwszym tygodniu pracy. Zrobiłem więc sobie tosta i jajecnicę z potężną ilością masła, a Lucy usiadła nad miską musli.

– Straszne, co? – powiedziała, gdy słuchaliśmy wiadomości w radio.

– Niewiarygodne.

Przez resztę dnia kac trzymał mnie o włos od palpacji. Kiedy moja zmiana wreszcie dobiegła końca, natychmiast poszedłem do domu i położyłem się spać na długo przed powrotem Lucy. Obudziłem się przed świtem i wyszedłem pobiegać,



pierwszy raz w tym tygodniu, a po powrocie wziąłem prysznic, zrobiłem naleśniki na śniadanie i poczułem, jakby wszystkie rozsypane kawałki mojej duszy znów stopiły się w całość.

Przy śniadaniu rozmawialiśmy o wizycie u rodziców Lucy w Broadstairs, jeśli w weekend będzie dalej ładna pogoda. Kiedy pożegnaliśmy się na skrzyżowaniu z Euston Road, Lucy odwróciła się i pomachała. Świat się nie skończył. Wszystko było w porządku, wszystko było normalne. Przysiągłem w duchu, że już nigdy nie wypiję martini, ani z Grey Goose, ani z niczym innym.

Po południu osłuchiwałem pierś małego chłopca stetoskopem (wciąż jeszcze odczuwałem przy tym falę dziecinnego podekscytowania), kiedy nagle włączył się mój pager. Zignorowałem go podczas rozmowy z matką chłopca. Miał czyste płuca, więc należało przebadać go pod kątem astmy. Przerazenie na jej twarzy przypominało mi, co Lucy opowiadała o radzeniu sobie z rodzicami. Dorośli zwykle są dużo dzielniejsi przy własnych diagnozach niż przy tych dotyczących ich dzieci.

Znów poczułem brzęczenie pagera. Informował, że ktoś dzwonił do mnie na wewnętrznej linii.

– Ma pan pięć minut, doktorze Macdonald?

Głos Charlotte brzmiał tak opryskliwie, że chyba zrobiłem coś bardzo złego.

– Proszę się ze mną zobaczyć na najwyższym piętrze – powiedziała, a potem się rozłączyła.

Windy w szpitalu były straszliwie powolne, więc poszedłem schodami, dzięki czemu na kilka sekund przed wejściem zobaczyłem ją przez szybę w drzwiach. Tak jak poprzednio, miała na sobie zapięty pod szyję fartuch i pończochy. Wyglądała na zniecierpliwioną. Przeszła z nogi na nogę i co chwila zerkała na zegarek.

– Doktor Grant?

– Doktorze Macdonald. – Zachwiała się lekko na obcasach, jakbym ją zaskoczył. – Potrzebuję pana opinii w pewnej sprawie. Proszę za mną.

Poprowadziła mnie na klatkę schodową, ale zamiast w dół na oddział, poszła piętro wyżej, gdzie znajdowało się już tylko wyjście ewakuacyjne na dach. Oparła się o drzwi, wzięła mnie za rękę i poprowadziła ją pod swój biały farchuch.

Słyszałem ludzi biegających w górę i w dół po niższych piętrach, szumy i piski windy. Kiedy zaczęła dyszeć, instynktownie zasłoniłem jej usta, żeby ją uciszyć, co jeszcze bardziej ją podnieciło. Szarpnęła zamek mojego rozporoka, owinęła mi mocno nogi wokół bioder, wbijając mi obcasy w pośladki; nie miałem innego wyboru, jak tylko wchodzić w nią raz za razem, aż do wytrysku, kiedy wznosiła się i opadała na falach orgazmu.

Nigdy wcześniej nie robiłem tego na stojąco. Nigdy wcześniej nie robiłem tego w ubraniu. Nigdy nie robiłem tego w szpitalu, pod drzwiami z biegnącą

zieloną postacią przed oczami. To było nieprzyzwoite, złe i absolutnie wspaniałe.

Staliśmy mocno przytuleni, dysząc sobie w szyję, aż w końcu odepchnęła mnie lekko. Zapiąłem rozporek i patrzyłem, jak przeczesuje palcami włosy, poprawia kok, wygładza biały fartuch.

– Czy ty w ogóle czasem nosisz coś pod spodem?

– Nie robię tego cały czas, jeśli o to ci chodzi – odparła. Nie myślałem o tym wcześniej. Ale teraz tak, i nie byłem pewien, czy czułem się z tym lepiej, czy może gorzej.

– Nie mogę tego robić. Mam dziewczynę.

– I to jest jakiś problem, bo...?

– Bo ją kocham.

Jej brwi uniosły się leciutko, zaledwie na milimetr, ale wystarczająco, żebym poczuł się jak hipokryta.

– No cóż, szkoda. Dobrze nam to wychodzi.

Dotknęła mojej twarzy. Ta delikatna pieszczota wydała mi się niemal bardziej intymna od wszystkiego, co dotąd zrobiliśmy. Więc musiałem ją znów pocałować. Wspaniale całowała, powoli i zmysłowo.

– Jesteś najcudowniejszym stworzeniem, jakie widziałem.

– Ty też. Jesteś najlepszy, Angus. Najlepszy na świecie.

2002

TESS

Z okazji trzeciej rocznicy Dave zrobił mi niespodziankę: weekend w Londynie. Dogadał się z Anne, że Hope zostanie u niej na noc – tata i tak właściwie już tam mieszkał – i poradził się Doll, gdzie powinniśmy się zatrzymać, wszystko bez mojej wiedzy. O dziewiątej rano wsiedliśmy do pociągu pełnego popijających piwo kibiców Arsenalu, więc Dave całą drogę świetnie się bawił, dyskutując z nimi o statystykach i przewidując wynik meczu. Kiedy dojechalismy do Londynu, morze facetów w czerwono-białych koszulkach radośnie popłynęło w stronę metra. Wiedziałam, że Dave najchętniej poszedłby razem z nimi na mecz.

Ponoć Doll zaoferowała, że wykupi nam nocleg w Hiltonie, ale Dave odmówił. To było bardzo miłe ze strony Doll i cieszyłam się, że nie przyjął propozycji, ale byłam trochę rozczarowana miejscem, które wybrał. Zatrzymaliśmy się przy Southampton Row, w dość nędznym, bezosobowym hotelu. Nasz pokój wychodził na brudną studzienkę na wewnętrznym podwórku. Wypełniały je opary smażonego mięsa, unoszące się z kuchennych kanałów wentylacyjnych.

– No, w końcu i tak nie będziemy tu przesiadywać, nie? – Próbowałam robić dobrą minę do złej gry. – Tak się cieszę! Pierwszy raz zostaję na noc w Londynie. I kwiaty takie śliczne!

Dave zadzwonił wcześniej do hotelu, żeby w pokoju czekały na mnie białe róże. Dawał mi je na każdą rocznicę, bo zdobyły markizę na weselu, pod którą pierwszy raz się pocałowaliśmy. Nie wspominałam więc, że białe róże leżały na trumnie mamy.

Na lunch poszliśmy do Costy na kanapkę i cappuccino. Wtedy to wciąż jeszcze było nieco wyjątkowe, bo nie we wszystkich kawiarniach mieli ekspresy do kawy ze spieniaczem do mleka. Dave powiedział, że przez resztę dnia to ja mogę zdecydować, co będziemy robić, bo lepiej znam Londyn.

– Może London Eye? – Wiedziałam, że to jedna z rzeczy, które chciałby zobaczyć.

– Szkoda tracić popołudnie na stanie w kolejce... – odparł. Nalegał, żebyśmy zamiast tego przeszli się w miejsca, które lubiałam odwiedzać z Doll. Ale po drodze do metra zauważyłam, jak wyciąga szyję, żeby zajrzeć do pubu, gdzie na ekranie pokazywali mecz.

– Może spotkamy się później w hotelu? – zaproponowałam.

– Jesteś pewna?

Przeszłam przez Waterloo Bridge i ruszyłam wzdłuż Tamizy prosto do Tate Modern. Potężna krwistoczerwona rzeźba Anisha Kapoora wypełniała przestronną salę Turbine Hall niczym jumbo jet w hangarze. Przypominała mi ogromny ludzki organ, co okazało się dość trafnym skojarzeniem, gdy przeczytałam tabliczkę z tytułem. „Marsjasz”, mitologiczna postać żywcem odarta ze skóry.

Spędziłam sporo czasu na wystawach w poszukiwaniu wyciętego z kawałków papieru „Ślimaka” Matisse'a. Spirala wyrazistych barw przyniosła mi taką radość, że cieszyłam się z samotnej wyprawy. Nie musiałam słuchać komentarzy Dave'a o tym, że on takie rzeczy robił, jak miał cztery lata. Zawsze tak komentował, kiedy w wiadomościach mówili coś o sztuce współczesnej, na przykład o rekordowo wysokiej cenie za obraz Picassa na aukcji. A Picasso sam twierdził, że całe życie uczył się malować jak dziecko.

W holu przed galerią wisiała mała wystawa prac dzieci z podstawówki, które próbowały stworzyć własne wersje „Ślimaka” z kolorowych wydzieranek na białych kartkach A4. Zaskoczyło mnie, jak bardzo prace różniły się między sobą. Było kilka bardzo dobrych obrazków. Inne, choć składały się z tych samych elementów, nie robiły wrażenia. Zastanawiałam się, co powiedziałby o tym Picasso. Kupiłam pocztówkę z reprodukcją obrazu w sklepie z pamiątkami, myśląc, że może spróbujemy czegoś podobnego w klasie Hope na plastyce.

Na ścianie zobaczyłam plakat reklamujący wykłady odbywające się wieczorami w galerii: wstęp wolny. Gdybym mieszkała w Londynie, mogłabym tu przychodzić i uczyć się o sztuce, a latem stałabym w kolejce na koncerty nad rzeką i słuchała muzyki klasycznej. Tyle można tu było robić, nawet jeśli się nie studiowało.

Z rozchwianego mostu dostrzegłam teatr szekspirowski The Globe i dom, w którym mieszkał Sir Christopher Wren, kiedy budował katedrę Świętego Pawła. Widać było wszystko aż do Tower Bridge. Przeszłam na północną stronę rzeki i wsiadłam do autobusu jadącego przez Fleet Street do Aldwych. Podczas spaceru przez Covent Garden zatrzymałam się przed królewskim frontem Royal Opera House. Kremowe stiukowe kolumny zalewało złote światło. Na ścianach wisiały oprawione plakaty, zapowiadające przedstawienia baletowe na nowy sezon.

Kilka tygodni wcześniej Kev przysłał nam program trzech sztuk. Nie wiedziałam, dlaczego to zrobił – występował wcześniej w wielu produkcjach, ale nigdy nie dostaliśmy programu. Zrozumiałam to dopiero wtedy, kiedy zobaczyłam jego nazwisko w obsadzie. Pierwsza w karierze rola solowa. Dołączył pocztówkę z Empire State Building. Na odwrocie naskrobał: *Kiedy przyjedziecie nas odwiedzić?* Dawno temu obiecałam Hope, że polecimy do Nowego Jorku. Zdążyłam już nawet zaoszczędzić dość pieniędzy, ale wtedy doszło do ataku na World Trade Center i wszystkim odechciało się latać. Cudownie byłoby zobaczyć Kevina na scenie. Wiedziałam, że powinnam się zebrać na odwagę, dopóki Hope

łapała się jeszcze na zniżkę w liniach lotniczych.

Tłum wchodzący do opery pasował do luksusowego foyer. Ten, kto powiedział, że kobieta nigdy nie jest zbyt bogata ani zbyt szczupła, pewnie sporo chodził do opery. Niektórzy mężczyźni mieli muszki, a kobiety ścisnęły malutkie, obszyte kryształkami kopertówki prosto z kolorowych magazynów, i dreptały na wysokich szpilkach, jakich nigdy nie znalazłabym w zwykłej galerii handlowej. Weszłam z nimi do środka i powędrowałam w górę po wyłożonych czerwonym dywanem schodach.

Po prawej było foyer, gdzie goście jedli kolację przed spektaklem. Nad ich głowami kołysały się obwieszane błyszczącymi kryształkami żyrandole, odbijające się w ogromnych lustrach, tak że pokój wyglądał jak nieskończenie długi, rozmigotany korytarz. Po lewej rozciągało się ogromne pomieszczenie przypominające szklarnię, w którym rozbrzmiewał gwar bogatych ludzi popijających szampana.

Prześlizgnęłam się przez przejście prowadzące po czerwonych schodach na kolejne piętro, gdzie zobaczyłam zakrzywiony korytarz. Wzdłuż ciągnął się rząd drewnianych drzwi. Ośmieliłam się otworzyć jedno i zajrzeć do środka. Znalazłam się w ciemnym korytarzyku łoży, z haczykami na płaszcze po obu stronach. Weszłam dalej, do części z fotelami. Przysiadłam i patrzyłam na rozciągającą się przede mną potężną, pustą widownię. Rzędy zdobione były ślicznymi maleńkimi lampkami i złożonymi zawijaszami. Potem opuściłam wzrok niżej, na ciężką kurtynę ze szkarłatnego aksamitu, zakończoną złotym sznurem. Widniały na niej wyszyte złotą nicią inicjały królowej. Jaką trzeba mieć odwagę, żeby wyjść na tę scenę, czując na sobie wyczekujący wzrok tysięcy osób. Nic dziwnego, że Kev zawsze był taki zestresowany.

Aż podskoczyłam, kiedy nagle usłyszałam, że ktoś otworzył drzwi do łoży.

– Och, przepraszam! – powiedział wysoki mężczyzna, wycofując się od razu.

– Nie szkodzi, tylko oglądałam – wymamrotałam i prędko czmychnęłam, mijając w przejściu jego towarzyszkę. Spuściłam wzrok, jakbym zablądziła do eleganckiego sklepu, w którym i tak na nic mnie nie stać.

Dave nie miał ochoty wypróbować żadnej restauracji w Chinatown, gdzie w witrynach leżały pieczone kaczki, nad którymi wisiały podejrzanie wyglądające kiełbasy. Ostatecznie padło na stolik przy oknie w Aberdeen Steak House, gdzie dokładnie wiadomo, czego się spodziewać, a porcje są tak wielkie, że nie da się ich zjeść – w tym cała masa pieczarek, panierowanych krążków cebuli i innych takich.

Przyglądałam się różnym ludziom, w pośpiechu przechodzącym koło nas – to było jedno z moich ulubionych zajęć. Za szybą widziałam grupki zagranicznych nastolatków z jednakowymi plecakami; rodziny z dziećmi, od samego rana na nogach; kucharzy, którzy wymknęli się z restauracji na szybkiego dymka; młode pary na pierwszej randce i stare, które już trochę miały się dość.

– No jasne, spóźnili się na przedstawienie i teraz ona jest wściekła, bo kupiła bilety wieki temu – powiedziałam, patrząc na parę kłóącą się tuż przy naszym oknie.

– Znasz ich?

– No coś ty!

– Dziwna jesteś czasami, wiesz?

Kelner przyjął nasze zamówienie i przyniósł po kieliszku białego wina domowego do sałatki z krewetek.

– To jest życie! – oznajmił Dave. – No, na zdrowie!

Stuknęliśmy się kieliszkami.

– Dasz wiarę, że to już trzy lata? – Pochylił się ku mnie nad stołem.

Ponoć to kobiety zawsze nalegają na poważny związek, ale w naszym przypadku to jemu bardziej na tym zależało. Za każdym razem, kiedy zaczynał mówić o „nas”, czułam przypływ lekkiej paniki. Był moim pierwszym chłopakiem i jedynym mężczyzną, z którym uprawiałam seks, ale nie miałam pewności, że to Ten Jedyny, z którym chciałabym spędzić resztę życia. Cała moja romantyczna edukacja płynęła z książek, a wszystkie ulubione bohaterki były nierozumiane i cierpiały w poszukiwaniu prawdziwej miłości. Bathsheba Everdene i Gabriel Oak, Dorothea Brooke i Will Ladislaw, Meggie i Ralph de Bricassart – to nie były łatwe związki jak mój i Dave'a. Nie chciałabym zostać źle zrozumiana, naprawdę mi na nim zależało i miło spędzałam z nim czas. Był przystojny, szczodry, a czasami, tak jak tym razem, potrafił mnie zaskoczyć wyjątkowo przemyślanym prezentem. Nie byłam jednak pewna, czy czuję się gotowa na kolejny krok, a czasami miałam wrażenie, że on właśnie do tego zmierza.

Niełatwo unikać tematu, kiedy siedzi się twarzą w twarz w boksie przy stoliku, a w perspektywie jest trzydaniowy obiad. Trajkotałam o przechodniach i o steku – czy to jakość mięsa, czy ostry nóż sprawia, że tak łatwo się kroi? – zamówiłam kieliszek czerwonego wina do wołowiny i zachęciłam Dave'a, żeby zrobił to samo. A ponieważ całe popołudnie pił piwo, dość szybko zakończył sentymentalne przemyślenia. Zamiast tego zajął się drobiazgowym roztrząsaniem karnego, którego sędzia niesprawiedliwie przyznał przeciwnej drużynie.

Kiedy wyszliśmy, publiczność wylewała się z teatru, gdzie grali dziś „Mamma Mia!”. Wszyscy rozmawiali, śmiali się i podśpiewywali tytułową piosenkę. Beztroska atmosfera mieszała się z cudownie słodkim zapachem dochodzącym z budek, w których uliczni sprzedawcy robili orzechy w karmelu. Nigdy ich nie próbowałam, bo byłam pewna, że się rozczaruję, tak samo jak to było z prawdziwą kawą.

– Hope byłaby zachwycona, co?

Hope zawsze nam towarzyszyła, nawet kiedy jej nie było.

– Moglibyśmy przyjechać tu z nią obejrzeć musical na Gwiazdkę, jakbyś

chciała.

Nie byłem pewna, czy warto wydawać pieniądze. Kiedy zabraliśmy Hope na świąteczne przedstawienie w Ogrodzie Zimowym, śpiewała tak głośno, że dama z pantomimy – przebrany za kobietę komik znany z talentu do improwizacji – zaprosiła ją na scenę. Hope miała na sobie żółtą letnią sukienkę, a do tego fioletowe rajstopy, bo w święta mogła wybrać sama, w co się ubierze. Na jej głowie tkwiła czapka Mikołaja ze świecidełkami na białym futerku. Aktor ledwo sobie poradził z cienką granicą między śmiechem a wyśmiewaniem, ale trudno było potem ściągnąć Hope ze sceny, co prawdopodobnie ustanowiło niebezpieczny precedens. W Londynie nikt nie miałby cierpliwości do takich wybryków.

Po powrocie do hotelu Dave włączył „Mecz dnia” na BBC, a ja poszłam wziąć prysznic. W domu mieliśmy tylko wannę, więc prysznic był rzadką przyjemnością. Stałam pod mocnym strumieniem, skupiając się na wodzie płynącej po plecach. Wino wciąż szumiało mi w głowie. Aż podskoczyłam, kiedy Dave rozsunął nagle drzwi kabiny i stanął przy mnie.

Byliśmy ze sobą już trzy lata, lecz nadal trochę się wstydziłam własnej nagości przy świetle. Ciało Dave'a było umięśnione i silne. Twierdził, że ma metr siedemdziesiąt dziewięć, czyli więcej ode mnie, ale zawsze czułam się trochę bezbronne, kiedy stałam przy nim bez ubrania, jakbym miała za długie ręce i nogi. Nigdy nie wiedziałam, czy mam obejrzeć go z uznaniem, jak on mnie. Przy mężczyźnie nic się nie da ukryć, wszystko wydaje się tak jakoś bardziej osobiste. Dave mnie pocałował, najpierw to był tylko zwykły całus. Po chwili jednak, wśród coraz dłuższych i coraz bardziej intensywnych pomruków, przycisnął mnie do ściany prysznica, wbijając mi twarde penis w podbrzusze. W jego oczach pojawił się błysk, przechodzący subtelnie z uczucia w pożądanie. Chciał zrobić to teraz, tutaj, w strumieniach wody. Kiedy mnie podniósł, instynktownie spróbowałam znaleźć oparcie i niechcący zmieniłam temperaturę wody z ciepłej na wrzątek.

– Jasna cholera! – Dave gwałtownie przekręcił kurek w drugą stronę i woda zrobiła się lodowata.

Trzeba było więc zupełnie wyłączyć prysznic, co całkiem zepsuło moment.

– Nigdy nie jest tak jak w filmach, co? – zaśmiał się. To było jedno z jego stałych powiedzonek. Wiedziałam, że miało brzmieć zabawnie i wyrozumiale, więc mu zawtórowałam, ale zawsze, kiedy tak mówił, czułam, że chyba nie jestem zbyt dobra w łóżku.

Dave owinał mnie w wielki biały ręcznik, wziął na ręce i zaniósł do sypialni, kładąc się koło mnie. Wytarłam się najlepiej jak mogłam, a potem zawinęłam włosy w ręcznik, żeby nie zamoczyć poduszki.

Położył się na mnie i zatonął w kolejnym długim pocałunku.

Mimo jego delikatności zawsze nieco sztywniałam, kiedy czułam jego dłonie na piersiach, na wpół spodziewając się, że znajdzie coś, co ja przegapiłam.

Leżałam, wstrzymując oddech, jakby był saperem, szukającym niewypałów na podejrzanym terenie.

Dave'owi zależało, żeby było mi dobrze, ale czasami miałam ochotę powiedzieć: „Rób, co chcesz, nie przejmuj się mną”. Zamiast tego wzdychałam i jęczałam mu do ucha, jak na filmach.

Najbardziej lubiłam, kiedy już było po wszystkim i mogłam wtulić się w jego ramiona, pełne ciepła i zadowolenia, wiedząc, że dałam mu przyjemność.

– Pamiętasz, jak się poznaliśmy? – zapytał, podpierając się na łokciu. – Jak przyszedłem do twojej szkoły ostatniego dnia roku?

– No...

– Powiedziałem ci, że coś zostawiłem...

Pamiętałam, ale wydało mi się dziwne, że teraz o tym mówi. Jeśli ktoś to znalazł, pewnie już dawno zostało wyrzucone.

– To było moje serce. Zostawiłem tam serce, Tess. Zakochałem się w tobie, kiedy tylko cię zobaczyłem.

Nie przychodziła mi do głowy żadna dobra odpowiedź – a to ja przecież lepiej znałam się na słowach. Cisza zaczęła się niezręcznie przeciągać, więc powiedziałam:

– Ja też cię kocham.

Następnego popołudnia dowiedziałam się, czemu Dave nie chciał iść wczoraj na London Eye. Kupił nam wcześniej specjalne bilety z wejściem bez kolejki.

Byliśmy prawie na samym szczycie. Pokazywałam mu różne znajome elementy panoramy:

– Patrz, kolumna Nelsona! A tam Telecom Tower! – Nagle zorientowałam się, że w wypełnionym turystami wagoniku zapada cisza. Kiedy się odwróciłam, zobaczyłam Dave'a klęczącego na jednym kolanie. W wyciągniętej dłoni trzymał pudełeczko obite niebieskim aksamitem, z pierścionkiem w środku.

– Jesteśmy razem już trzy lata, Tess... – zaczął przemowę. Widać było, że wcześniej ćwiczył. – To były najlepsze trzy lata mojego życia, bo jesteś najmilszą i najzabawniejszą osobą, jaką w życiu spotkałem.

Drżał mu głos. Boże, niech on się teraz nie rozplacze!

– Wiem, nie uważasz, że jesteś piękna...

Czemu w ogóle tak mówi przy ludziach?

– ...ale dla mnie jesteś. Chcę dać ci szczęśliwe życie, więc na pewno domyślasz się, co teraz powiem. Wyjdiesz za mnie?

Tłumek w kabinie westchnął, jakby wszyscy do tej pory wstrzymywali oddech. Nawet jeśli ktoś nie mówił w ogóle po angielsku, nietrudno było zgadnąć, co się wydarzyło. Obiektywy aparatów, wcześniej zwrócone na londyńską panoramę, teraz były wycelowane we mnie.



– Patrzcie za okno! – miałam ochotę krzyknąć. – Zaraz będziemy na dole, nie dadzą wam zostać na jeszcze jedno okrążenie!

– To był przemiły weekend... – zaczęłam.

– ...Musisz to przemyśleć – przerwał mi, gdy okazało się, że nie usłyszy prostego: „Tak!”. – Ona dużo myśli! – dodał w stronę tych, którzy znali angielski.

Nikt nie odpowiedział. Otaczali nas głównie Chińczycy, niżsi od nas i patrzący na mnie z dołu tak, jak dzieci wpatrują się w szkielet dinozaura w muzeum.

– Ale weź pierścionek – nalegał Dave, więc wzięłam, bo dzięki temu mógł wstać i zachować twarz.

Prędko się pocałowaliśmy. Wokół rozległy się krótkie oklaski.

– Dave nie mówił ci, że zamierza się oświadczyć, prawda? – zapytałam Doll, kiedy wpadła w poniedziałkowy wieczór w odwiedziny, żeby dowiedzieć się, jak nam minął weekend.

– Nie, ale się domyśliłam. Tak mu zależało, żeby wszystko było jak trzeba, jest kochany! No, to pokaż pierścionek.

Przyniosłam z góry niebieskie aksamitne pudełko. Pierścionek zdobila perła, otoczona maleńkimi diamentami. Wyglądał tak skromnie w porównaniu z brylantową bransoletką na nadgarstku Doll, że niemal poczułam się do niego bardziej przywiązana.

– Bo podczas naszego pierwszego pocałunku miałam perłowe kolczyki.

– A to nie były moje perły?

– Owszem.

– No, nieważne – zachnęła się niecierpliwie, jakbym to ja przerwała. – Powiedziałaś „tak”?

– Tak jakby.

– Tak jakby?

– To nie takie proste, nie uważasz? No wiesz, miałby się tu wprowadzić? Nie pomieścimy się wszyscy w jego mieszkaniu. Muszę myśleć o Hope.

Siedziałyśmy w kuchni, bo Hope oglądała „Idola” w salonie.

– Dave świetnie sobie radzi z Hope – zauważyła Doll.

– Wiem, wiem. Po prostu... spodziewałam się, że po ślubie będzie inaczej, nie tak samo – skapitulowałam.

– Dziwna jesteś, wiesz?

– Dave zawsze tak mówi. Nie odmówiłam. Po prostu chciałam się zastanowić.

– Jeśli on się nie rozmyśli. Nad tym się zastanów! Dave jest przystojny i kochany. To dobry facet, Tess! Twoja mama tak by się cieszyła!

Czyżby? Nie byłam taka pewna. I nie uważałam, żeby Doll mogła to oceniać, szczerze mówiąc.

Poza tym zapomniała o pierwszej rzeczy, jaką mama powtarzała: żebyśmy znalazły mężczyznę, który nas zrozumie. Nie wątpiłam w miłość Dave'a. Ale on nie miał pojęcia, że w głębi duszy marzę o życiu w Londynie, o uczeniu się nowych rzeczy i odkrywaniu, co lubię i do czego jestem zdolna.

– Kto by pomyślał, że będziesz pierwsza? – powiedziała Doll. Zabrzmiało to tak smutno, że przez dobrą chwilę obie milczałyśmy. – Rozstałam się z Fredem.

Wtedy rozumiałam. I doceniłam gest Doll: to, że pozwoliła mi pierwszej podzielić się dobrą wiadomością.

– Może zrobię herbaty?

Tak już działała nasza przyjaźń. Lepiej się czułam, kiedy opowiadała mi o swoich problemach, niż kiedy dawała mi rady. Może dlatego, że ja byłam starszą siostrą, a ona najmłodszym dzieckiem w rodzinie.

– Pokłóciliśmy się o to, że chcę pracować. Więc powiedziałam: „No, muszę umieć o siebie zadbać, skoro nie zamierzasz się ze mną ożenić, co?”. A on nie odpowiedział: „Okej, pobierzmy się”, tylko: „Jak sobie chcesz?”. Tess, cztery lata, do jasnej cholery! „Jak sobie chcesz?”. Więc powiedziałam, że właśnie tak chcę. I tyle. Cztery lata! Wyobrażasz sobie? Nie potrzebuję więcej tego gnoju. Rzygać mi się chce, jak pomyślę, że jestem uczepiona jego ramienia jak jakaś cholerna...

– Kokota?

– Wszystko jedno. Czego się mogę spodziewać z Fredem? Dzieci i botoksu, i nic więcej.

Może oczekiwała, że będę miała jakieś „ale”, jak ona przed chwilą wobec mnie, jednak nic nie przychodziło mi do głowy. Nie znosiłam, jak Fred uzurpuje sobie coraz większe prawo do decydowania o życiu Doll.

– Więc jesteś pewna?

– Zabrałam wszystkie rzeczy z powrotem do domu.

Wiedziałam, że to samolubne, ale w głębi duszy cieszyłam się, że Doll znów będzie mieszkać tuż za rogiem.

– I co, wracasz do salonu?

– Niezupełnie... – Doll posłała mi enigmatyczny uśmiech. – Tess, widziałam przyszłość. Przyszłość kryje się w paznokciach.

W pierwszej chwili pomyślałam, że chodzi jej o brud za paznokciami, ale Doll natychmiast podsunęła mi pod nos zadbaną dłoń. Każdy paznokieć miała pomalowany lśniącym blad różowym lakierem, z biegnącą ukośnie ścieżką diamencików.

– Każdy potrzebuje fryzjera, nie? Teraz każdy musi też mieć zrobione paznokcie. Tylko że salon paznokci taniej założyć, bo nie potrzebujesz dużo sprzętu ani miejsca i nie musisz zatrudniać stylistek.

– Ale czy wiesz, jak się prowadzi interes?

– Tess, poznałam dzięki Fredowi całą masę ludzi w biznesie. Myślałby kto,

że będą inteligentni, wykształceni i tak dalej – nic z tych rzeczy. Agent Freda zawsze powtarza, że są dwa sposoby na zrobienie pieniędzy. Albo masz jeden wielki, świetny pomysł, jak Bill Gates, albo mały, który powtarzasz w nieskończoność. Więc ja będę robić paznokcie, wyłącznie paznokcie. Dobrze i w przystępnej cenie. Będę pierwsza na rynku.

– A jeśli to tylko chwilowa moda?

– Zaufaj mi, Tess. Jestem dyplomowaną kosmetyczką. Tu nie ma odwrotu. Jak z Halloween.

Nie dostrzegałam wspólnego mianownika.

– Jak byłyśmy małe, nie miałyśmy kartek, prezentów, przebierania i tych wygłupów, „cukierek albo psikus”, nie? A teraz nie da się już tego zignorować.

Nie mogłam zaprzeczyć. Nawet w szkole organizowaliśmy halloweenowy tydzień.

– A jak nazwiesz salon?

– Myślałam o „Maria O'Nail's”. Jak uważasz?

– A może „Doll's House”? – zasugerowałam.

Od razu się ożywiła.

– „Doll's House”? Domek dla lalek. Tess, wspaniałe!

Wyjęła z różowej torebki Mulberry obłożony różową skórą notes i zapisała moją propozycję.

– Źle postawiłaś apostrof. To gramatycznie bez sensu.

– Oj, chrzanić apostrof! No wiesz, kogo to obchodzi? Toys R Us to nie jest gramatyczna nazwa i co z tego? Ale czekaj, czy nazwa „Domek dla lalek” nie sugeruje, że jest tylko jeden? A co, jak będę zakładać sieć?

– Nie rozpędzasz się za bardzo?

– No, ale Body Shop ma wiele oddziałów, nie? – zamyśliła się Doll. – A właścicielka zaczynała z jednym sklepikiem w nadmorskim miasteczku. Najważniejsze to zbudować markę...

Może Doll faktycznie wiedziała, co robi. Zawsze miała rękę do pieniędzy. Jako trzynastolatka załatwiła sobie weekendową pracę: zmiatanie włosów w salonie fryzjerskim. Już kilka tygodni później zbierała napiwki za mycie głowy klientkom. Kiedy skończyła piętnaście lat, czesała koleżanki swojej mamy przed parafialnymi spotkaniami, piątka od osoby, a w dzień studniówki zorganizowała w łazience całonocny salon fryzur i makijażu, z rezerwacjami od rana bez chwili przerwy. Nie było więc zaskoczeniem, że jako jedna z WAGs<sup>[13]</sup> nie zajmowała się jedynie pozowaniem do zdjęć, tylko robiła notatki.

– Oczywiście, potrzebna jest promocja, ale mam znajomości w prasie. Muszę się pospieszyć, bo za parę miesięcy zamiast „Po rozstaniu z narzeczonym Fredem Maria O'Neill otwiera salon manicure” będzie jedynie: „Kto?”.

– Zostaje tylko jeden problem – spróbowałam przemycić mały zastrzyk

realizmu. – Nie będziesz potrzebować pieniędzy na początek?

Zauważyłam, że nie oddała Fredowi diamentowej bransoletki. Ciekawe, ile była warta.

– Już załatwione. Znalazłam w szafie chanelkę i poleciałam do banku, nie?

– Chanel numer 5? – Niemal usłyszałam głos mamy, mówiący: „Tess, jeśli wyjdiesz za bogatego mężczyznę, właśnie takie perfumy będzie ci kupował!”.

– Nie perfumy, głupku. Kostium! No wiesz, czarno-biała marynarka bez kołnierza i spódnica, spod której widać dokładnie tyle nóg, co trzeba. Musiało wyjść dobrze, bo facet w banku powiedział, że nie będzie problemu.

Poczułam się trochę zepchnięta na dalszy plan, dowiadując się, że beze mnie już tak daleko zaszła z nowym pomysłem.

– Pomożesz mi, Tess, prawda? – zapytała Doll, bo znała mnie dość dobrze, by wiedzieć, co mi chodzi po głowie.

– Oczywiście. Jeśli tylko będę umiała.

– Wymyśliłaś mi nazwę!

Postawiłam przed nią kubek herbaty.

– To jest życie! – Doll sięgnęła po karmelowego wafelka. – Wiesz co, Tess, wydawałoby się, że tam czeka cały wspaniały wielki świat. Ale ja byłam w Dubaju, w St Tropez, na Florydzie, spałam w pięciogwiazdkowych hotelach... I nic mi się tak nie podobało, jak siedzenie tu u ciebie w kuchni, popijanie herbaty i jedzenie ciastek, jeśli mam ochotę. Czasami to, co najlepsze, jest tuż obok nas. Wiesz, o co mi chodzi?

2003

GUS

Kilka tygodni po rozpoczęciu pracy na pierwszym etapie praktyk medycznych Lucy wykupiła nam wycieczkę.

– Znalazłam w internecie ofertę *last minute*. Czterogwiazdkowy hotel w Brighton. Pokój z widokiem na morze i w ogóle – oznajmiła, kiedy wróciłem w piątek rano z całonocnej zmiany.

– Wow!

– Możemy sobie zrobić porządny niegrzeczny weekend! – oznajmiła.

– A czy to się nie wyklucza?

Lucy się roześmiała.

– No, to kiedy jedziemy?

– Dziś wieczorem, głupku. To jest *last minute*! Dwie noce w cenie jednej. Przyjedziemy późno, ale mamy całą sobotę i niedzielę tylko dla siebie!

Posłała mi porozumiewawcze spojrzenie. Pomysł z „niegrzecznym weekendem” tak do niej nie pasował, że poczułem lekką panikę.

– Co? – zapytała, widząc mój wyraz twarzy.

– Nie, nic. Charlotte miała bilety do teatru, ale może pójść z kimś innym.

– Na pewno? – To było pytanie retoryczne.

Dałem jej szybkiego buziaka, zanim wyszła do pracy.

Charlotte nie odbierała telefonu, więc zostawiłem jej krótką wiadomość. Po rozłączeniu poczułem falę ulgi. Nie będzie zadowolona i na tym wszystko się skończy.

Postanowiłem napomknąć o Charlotte w rozmowie z Lucy kilka tygodni po całym zajściu. Opisałem ją jako przyjaciółkę rodziny. Szczerze powiedziawszy, chyba odmalowałem ją jako dość żalosalną postać, której niemal z obowiązku towarzyszyłem czasem w teatrze czy w operze. Gdyby Lucy poznała Charlotte, mogłaby nabrać podejrzeń, ale, o ironio, ucieszyło ją, że mam „koleżankę od opery”. Może obawiała się, że w przeciwnym razie to ona musiałaby tam ze mną chodzić.

Przekonywałem się, że tak naprawdę nie kłamałem, mówiąc, że Charlotte jest „sporo starsza” ode mnie ani że jest dość samotna. Podobnie jak papierosy, które zacząłem palić tego samego dnia, Charlotte okazała się nałogiem o wiele trudniejszym do rzucenia, niż początkowo sądziłem.

Lucy była przerażona, kiedy skończyły mi się wymówki, czemu śmierzę

pubem.

– Od kiedy? – zapytała, słysząc moje wyznanie o paleniu.

– Od 9/11 – odparłem wymijająco. Stałem się dość dobry w fabrykowaniu półprawd.

Z początku nie wierzyłem w to, co się dzieje. Ale z biegiem czasu wypracowałem sobie wytłumaczenie: nie ma szans, żeby Charlotte na poważnie rozważała związek ze mną. Byłem od niej pięć lat młodszy, a przede wszystkim – byłem bratem jej dawnego chłopaka. W porównaniu z Rossem wydawałem się nieopierzony, niedoświadczony i cherlawy, więc pewnie wykorzystywała mnie po prostu jako chwilową rozrywkę, zanim znajdzie się ktoś naprawdę jej godzien.

Nie próbuję wykręcać się od odpowiedzialności, ale dla nieopierzonego, niedoświadczonego i cherlawego mężczyzny zaraz po dwudziestce szansa na seks z kobietą tak dobrą w łóżku i tak bardzo spoza mojej ligi – z obłędnie piękną dziewczyną mojego starszego brata – była niemożliwa do odrzucenia.

Kilka razy próbowałem z tym skończyć. Raz wytrzymałem prawie dwa tygodnie, biegając dwa razy dziennie wokół Regent's Park. Szybko. Ale kiedyś wpadłem na Charlotte o szóstej rano, gdy też biegła po parku. Widok jej zwykle gładkiej grzywki, teraz przyklejonej do czoła, kropel potu lśniących na jej doskonale wyrzeźbionych ramionach... to było zbyt wiele. Zrobiliśmy to od razu, w parku, za budką z kawą, zaraz przy ogrodzie księżnej Diany; jej słodki, nieświeży oddech tuż przy moim uchu, jej długie, gładkie uda zaciśnięte wokół mnie, jej jedwabista, ciepła wilgoć, w którą wślizgnąłem się bez trudu, moje czoło uderzające o szorstkie drewniane belki, pachnące środkiem ochronnym.

Byłem stuprocentowo pewien, że prędzej czy później ona uzna, że już wystarczy. W jakiś sposób nabrałem przekonania, że w tej chwili nie robi to większej krzywdy mojemu związkowi z Lucy, niż już zrobiło, więc grzeszę oportunistycznie bardziej niż celową zdradą.

Kiedy wreszcie dotarliśmy do Brighton, było już późno. Z dworca pojechaliśmy taksówką. Po latach na studenckim budżecie takie niewielkie ekstrawagancje miały wciąż jeszcze posmak nowości. Wręcz czułem, jak ekscytacja Lucy unosi się w powietrzu, mieszając się z zapachem samochodowej choinki.

Hotel otaczała aura wyblakłego wiktoriańskiego glamour. Przy recepcji szepnąłem Lucy do ucha:

– Czy powinniśmy się przedstawić jako pan i pani Smith?

W oczach Lucy rozblęskło zdumienie, które spróbowała zamaskować nieco niezręcznym chichotem. Byliśmy razem już od sześciu lat i zaczynaliśmy dobrze zarabiać, ale wciąż omijaliśmy temat małżeństwa.

Otworzyłem szeroko przeszklone drzwi i wyszedłem na balkon.

Wiała świeża, słona bryza, a molo migotało od kolorowych światełek. Co

jakiś czas wiatr przynosił na rozbryzgujących się o brzeg falach echo popularnej piosenki albo odległy wrzask z wesołego miasteczka. Poczułem, jak presja wielkiego miasta opada mi z ramion.

– Musisz palić? – skrzywiła się Lucy, gdy wyjąłem zapalniczkę.

Na jej twarzy malowało się niezadowolenie i troska o moje zdrowie, aż pomyślałem, tak jak kilka razy każdego dnia, jakie mam szczęście, że z nią jestem – i jaki ze mnie gnój. Stanowczo zgasilem papierosa, pocierając niedopalkiem o betonową balkonową podłogę. Postanowiłem, że to był ostatni, że już nigdy więcej, ale nie obiecałem tego głośno, bo robiłem to już ze sto razy. Lucy od razu by mi o tym przypomniała, a ja wtedy poczułbym się jak ostatni frajer, zachciałoby mi się palić i całe błędne koło ruszyłoby od nowa.

Staliśmy blisko siebie, patrząc na morze. Jej ciało przylegało wygodnie do mojego; poczułem zalewającą mnie falę tkliwości, jak pierwszego dnia naszego związku, i niemal równie mocno jak wtedy stresowałem się perspektywą seksu. A przecież właśnie po to tu przyjechaliśmy. Jak mogłem sądzić, że nie zauważy mojego coraz mniejszego zainteresowania seksem? Jak mogłem sądzić, że może dla niej tak jest wygodniej?

Rano przeszliśmy się za rękę po molo. Lucy trąkotała o kolejkach, na których jeździła w wesołych miasteczkach, i zastanawiała się, czy zrobi jej się niedobrze na Waltzerze zaraz po pełnym angielskim śniadaniu. Paplała bez ustanku o czymkolwiek, żeby tylko uniknąć ciszy. Inaczej moja impotencja poprzedniej nocy mogłaby się stać zbyt podejrzana, żeby usprawiedliwić ją zmęczeniem.

Komórka brzęczała mi w kieszeni już któryś raz. To Charlotte dzwoniła z pretensjami. Nagle zorientowałem się, że się zatrzymaliśmy, a Lucy właśnie zadała mi pytanie.

– Co proszę?

– Masz jakieś drobne do maszyny z żetonami? Poważnie, Gus, czasami po prostu kompletnie znikasz! Masz dość tlenu tam na górze?

Wymieniłem dziesięć funtów na żetony i ruszyliśmy na spacer między różnymi kolejkami, wybierając urządzenia, na których się przejeździemy. Booster był najbardziej niebezpieczny. Na każdym końcu długiego, obracającego się pionowo ramienia zawieszono były cztery foteliki. Pozostałe atrakcje wyglądały przy nim jak zabawki dla dzieci.

– Chodź! – Złapałem dłoń Lucy i pociągnąłem w stronę bramki. – Z góry będzie świetny widok.

Wrzaski Lucy – niemal zwierzęca mieszanina strachu i ekscytacji – trochę mnie podniecały, bo zwykle wszystko miała pod kontrolą. Pędziliśmy szybciej i szybciej, aż w końcu strach zbladł, ustępując miejsca przyjemności aż do granic, kiedy nie mieliśmy siły na nic innego, jak tylko na śmiech pełen czystej euforii. Chwilę później zwolniliśmy, histeria opadła, i uświadomiłem sobie, że od dobrych

pięciu minut nie myślałem o Charlotte.

Przechodząc koło salonu gier, zobaczyliśmy stół do cymbergaja. Lucy wygrała kilka razy z rzędu, wśród stukotu i pisków otaczających nas maszyn. Jedyńm sportem, jaki uprawialiśmy wspólnie, był tenis. Wprawdzie Lucy mogła się pochwalić dużo lepszą techniką, ale miałem nad nią przewagę wzrostu i prędkości, więc wygrywała tylko wtedy, gdy jej na to pozwoliłem. Przy cymbergaju było inaczej – ja koncentrowałem się na sile uderzeń, a ona na odbiciu dysku pod odpowiednim kątem, więc spuściła mi ostre lanie. Po ostatnim trafieniu w moją bramkę na jej twarzy rozlał się tak radosny uśmiech, że aż zrobiło mi się słabo od przyływu czułości.

W alejkach co drugi sklep sprzedawał antyczną biżuterię. W oknach migotały pierścionki z diamentami. Wprawdzie Lucy się nie odezwała ani nie posyłała tęsknych spojrzeń w tamtą stronę, ale zauważyłem, że kilka innych kobiet spacerujących z partnerami właśnie tak robi. Nagle zapragnąłem wynagrodzić Lucy poprzednią noc, uklęknąć i się jej oświadczyć. To idiotyczne, ale zatrzymał mnie tylko honor. Wiedziałem, że to nie byłoby w porządku wobec Lucy, dopóki nie skończę z Charlotte raz na zawsze.

Kupiłem Charlotte na urodziny jedwabny szalik od Paula Smitha. Podziękowała, ale go nie założyła.

– Ja też mam dla ciebie prezent – oznajmiła, wręczając mi pudełko Agent Provocateur.

Pod bibułką znalazłem bladnoróżową jedwabną koszulkę i parę przejrzystych pończoch w kolorze kości słoniowej.

– To chyba dla ciebie, nie dla mnie? – upewniłem się.

Charlotte pokręciła głową.

– Dla ciebie. Ja je tylko włożę. Chcesz, żebym miała je na sobie, czy wolisz mnie nimi przywiązać do łóżka?

Czasami przechodziło mi przez myśl, że Charlotte powinna – a może już to robiła – dorabiać jako luksusowa call girl. Gdzie ona się tego wszystkiego nauczyła?

Jeśli seks był jeszcze bardziej obłądny niż zwykle, to dlatego, że wiedziałem, że to koniec. Kiedy skończyliśmy, od razu wstałem, wziąłem prysznic i się ubrałem. Czuję się zbyt bezbronny, próbując jej to powiedzieć nago.

– No, to już – powiedziała, patrząc, jak przestępuję z nogi na nogę przed drzwiami.

– Wiem, że już to wcześniej mówiłem, ale tym razem to naprawdę był ostatni raz.

– Nie poleciałeś powiedzieć żonce, co?

– Nie nazywaj jej tak.

– A co, jest w ciąży?



– Nic mi o tym nie wiadomo. – Chciałem, by zabrzmiało to nonszalancko, ale zamiast tego wyszedłem chyba na dupka.

– To by było trochę kłopotliwe...

– Niby czemu? – zjeżyłem się. Nawet bym się ucieszył, pomyślałem, tylko że Lucy jest zbyt rozsądna na wpadkę.

– Bo ja jestem. W ciąży.

Następnie, po bardzo długiej ciszy, dodała:

– Nie mógłbyś się odrobinę bardziej ucieszyć?

– Jak to się stało?

– Kotku, chyba uczyłeś się o tym w liceum?

– No tak, ale... – Na pewno jakoś się zabezpieczała?

– Zespół policystycznych jajników. Nie sądziłam, że kiedykolwiek uda mi się zajść.

– Ale czemu nic mi...

– Nigdy nie pytałeś.

Jak to się mogło stać? Na litość boską, byłem lekarzem. Czemu zapomniałem o wszystkich zasadach? Bo każdy raz wydawał się jedyną szansą w życiu, którą mogłem w każdej chwili zaprzepaścić.

– Od kiedy? – Własny głos odbił mi się echem w głowie, jakby to ktoś inny artykułował pytania, które należało zadać.

– Nie będę cię zanudzać szczegółami mojego cyklu ani jego braku, ale biorąc pod uwagę brak normalnych symptomów, przypuszczam, że co najmniej trzeci miesiąc, możliwe, że czwarty.

Brzuch wciąż miała płaski. Czy to był jakiś dziwny żart? Musiałem wyglądać na kompletnie osłupiałego.

– I jeszcze jedno: tak, na pewno.

– Co „na pewno”?

– Na pewno twoje.

– I zamierzasz... – W tamtej chwili wciąż myślałem, że to dotyczy wyłącznie jej, nikogo innego.

– Długo się nad tym zastanawiałam. Oczywiście, nie planowałam ciąży, ale mam trzydzieści lat, a z moimi jajnikami to się może nie powtórzyć w naturalny sposób. No i teraz stracę mniej czasu zawodowo, niż gdybym najpierw awansowała, a potem musiała przechodzić przez *in vitro*.

– A co ja mam zrobić? – zapytałem.

– Nie proponujesz, że zrobisz ze mnie porządną kobietę?

Czy ona się ze mną drażni?

– Chcesz za mnie wyjść?

– Czemu jesteś taki zaskoczony? Seks jest fantastyczny. Jesteś inteligentny i obyty. Byłby z ciebie niezły ojciec.

Wszystko, co mówiła, brzmiało dziwnie i obco. Miałem wrażenie, że halucynuję, że ona jest jakąś surrealistyczną instalacją, leżącą w bladuróżowej jedwabnej bieliźnie, z sutkami i ustami ciemnymi od seksu, a w środku, w niej, rozwija się mały człowiek, który w połowie należy do mnie. Wpatrując się w jej brzuch, pomyślałem teraz, że faktycznie dostrzegam zaokrąglenie tam, gdzie w środku kuli się maleńki płód.

W jednym z podręczników położnictwa Lucy była tabelka rozwoju płodu, ze wszystkimi stadiami porównanymi do jedzenia. W czwartym miesiącu dziecko było już sporo większe od fasolki, ale pewnie jeszcze mniejsze od grejpfruta.

Milczałem. Charlotte spojrzała na mnie i powiedziała tęsknym tonem, jakiego nigdy wcześniej u niej nie słyszałem:

– Mogłoby być fajnie... Nie sądzisz?

Przez chwilę wyglądała tak bezbrinnie, że zapragnąłem ją przytulić i obiecać, że wszystko będzie dobrze. Ale jednocześnie wciąż nie byłem pewien, czy to nie jest jakaś wyrafinowana gra. Przychodziło mi do głowy tylko jedno pytanie, by to zweryfikować.

– Więc wyjdiesz za mnie?

Czasami, gdy siedzieliśmy przy drinkach we foyer jakiegoś teatru, pozwalałem sobie przez chwilę pofantazjować, że ktoś mógłby nas wziąć za prawdziwą parę. Nigdy jednak nie zastanawiałem się, jak mielibyśmy osiągnąć ten status, a na pewno nie sądziłem, że stanie się to w taki sposób.

– Och, Angus, jesteś kochany!

Uklękła na łóżku, wzięła mnie za rękę i powiedziała uroczyście:

– Tak.

A potem nagrodziła mnie najczulszym i najbardziej zmysłowym pocałunkiem, jakiego doświadczyłem w całym życiu.

Jak powiedzieć dziewczynie, z którą jesteś od sześciu lat, że właśnie zaręczyłeś się z kobietą, którą niechcący zapłodniłeś? I że tak się składa, że to dawna dziewczyna twojego starszego brata, o którym nigdy nawet się nie zająknąłeś?

W drodze do domu z Charlotte Street wciągałem głęboko powietrze, próbując ułożyć w głowie przemowę, ale piramida fałszu, którą zbudowałem przez lata z małych, pozornie nieistotnych kłamstewek, teraz okazała się niezmiernie potężna. Po raz pierwszy zaświtała mi myśl, że te kłamstwa, które do tej pory wydawały się dotyczyć tylko i wyłącznie mnie, zrujnują także życie Lucy. Nie wiedziałem, czy potrafię to zrobić. Ale musiałem. Było dziecko. Była Charlotte...

Kiedy wróciłem, Lucy nie było w domu. Poszła z koleżankami do kina, a potem na kolację. Po jej powrocie było za późno na wyjaśnienia, bo leżałem w łóżku, udając głęboki sen.

Powinienem był wszystko wyznać następnego dnia, ale musiała

poinformować ciężarną pacjentkę, że serce jej dziecka przestało bić. Kiedy mi o tym powiedziała, nie byłem w stanie się odezwać.

Obiecałem sobie, że wszystko rozwiążę w weekend, ale w czwartek zadzwonił ojciec. Oznajmił, że on i mama mają mi coś do powiedzenia i chcieliby to zrobić osobiście.

– Nie jesteś chory?

– Nie, nie o to chodzi – odparł, ale brzmiało to poważniej niż decyzja o emeryturze czy przeprowadzce.

– Muszę jechać do rodziców – powiedziałem Lucy.

– Mogę jechać z tobą?

– To chyba nie jest dobry pomysł.

Lucy nigdy nie była w domu moich rodziców. Nie zapowiadało się, że to najlepszy moment na pierwszą wizytę.

– Czemu?

Nie mogłem znaleźć żadnej dobrej odpowiedzi. A potem przyszło mi do głowy, że może taka wizyta zachęci Lucy do zakwestionowania sensu naszego związku, jeszcze zanim jej cokolwiek wyznam.

Ojciec czekał na nas przed dworcem.

– Bez owijania w bawełnę. Zdecydowaliśmy się z matką na separację.

– Twój ojciec miał romans z asystentką. – Taką wersję wydarzeń przedstawiła mama zaraz po tym, jak zamknęły się za nami drzwi wejściowe.

– Może lepiej, żebym...? – zaczęła Lucy, zmieszana. Było oczywiste, że nie spodziewała się takich osobistych nowin.

– Nie, nie. Równie dobrze możesz zostać i posłuchać, co cię czeka, kiedy stracisz urodę i libido – prychnęła matka ze złością.

Ta bezpośrednia wypowiedź była tak nie w jej stylu, że aż się zastanowiłem, czy przed chwilą nie piła albo nie oglądała jakiejś telenoweli.

– Twoja matka i ja już od jakiegoś czasu nie jesteśmy szczęśliwi...

– Jak mielibyśmy być szczęśliwi po tym wszystkim?

– ...i teraz, kiedy mam szansę, czuję, że muszę spróbować...

– Ona ma trzydzieści siedem lat – wtrąciła matka.

Nie przychodziła mi do głowy żadna stosowna odpowiedź, więc spojrzałem na ojca. To był błąd.

– Ach, tak! – Mama odwróciła się w moją stronę. – Od początku o wszystkim wiedziałeś, co?

– Absolutnie nie! – zaprzeczyłem.

– Naprawdę nie miał pojęcia! – Lucy stanęła w mojej obronie.

Matka wciąż świdrowała mnie wzrokiem. Nie wiedziałem, co robić. Potępić ojca czy spróbować go zatrzymać? Co zrobiłby Ross?

Wtedy uświadomiłem sobie, że Lucy zauważyła zdjęcia mojego brata na

kominku. Ross z dyplomem, w czarnej pelerynie i birecie absolwenta, tuż koło mojej fotografii w identycznej pozie.

Cisza wydawała się nie mieć końca.

– No, więc co teraz? – zapytałem wreszcie.

– Ja nigdzie się stąd nie ruszę – odparła natychmiast matka. – Całe życie włożyłam w ten dom.

– Wyprowadzę się – dodał ojciec.

– Nie rób z siebie ofiary!

– Też dużo w to włożyłem – zaprotestował żałośnie.

– A teraz wszystko zniszczyłeś! – podsumowała matka, po czym wybiegła z pokoju.

Tak często słyszałem jej płacz, że już dobrze go znałem. Ale tym razem brzmiał inaczej, jak skowyt zranionego zwierzęcia.

– Mama sobie poradzi finansowo? – zapytałem, czując, że ktoś powinien stanąć po jej stronie.

– Tak, tak! – zachnął się ojciec. – Słuchaj, najlepiej, jeśli tobie to zostawię. Odezwę się w sprawie dalszych ustaleń.

– Okej – odparłem. Wyciągnąłem rękę w jego kierunku, bo nie wiedziałem, co innego mógłbym zrobić. Ucisnął moją dłoń. Wydawał się zaskoczony i wdzięczny.

– Nie mogła zapomnieć. – Pierwszy raz słyszałem, żeby jego głos tak się łamał z emocji. – I nie pozwalała mi zapomnieć. Nie pozwalała mi wrócić do normalnego życia.

Do tej pory postrzegałem ich jako jedną całość, związaną żalobą, ale teraz widziałem, że każde z nas było równie samotne.

– Mam nadzieję, że będziesz szczęśliwy. – Nic innego nie przyszło mi do głowy. W jego oczach zobaczyłem obawę, że powiedziałem to sarkastycznie, ale było chyba za późno na wyjaśnienia.

– To niesprawiedliwe, nie uważasz? – zamyśliła się Lucy, patrząc, jak automatyczna brama zamyka się za lexusem ojca. – Trudno sobie wyobrazić, żeby twoja mama odeszła z trzydziestoletnim facetem, prawda?

Podeszła do kominka, żeby przyjrzeć się zdjęciom. Ross z dziurami po mleczakach. Ross w przedszkolnym mundurku. Ross odbierający puchar rugby. Ross ze swoją drużyną wioślarską, wszyscy razem unoszący łódź nad głowami. Ross w lustrzanych goglach na tle ośnieżonej góry.

Wziąłem głęboki wdech.

– To mój brat. Zginął w wypadku na nartach w święta zaraz przed tym, jak poszedłem na studia. Nie chciałem sprawiać wrażenia ofiary, przy której każdy boi się odezwać, wiesz?

– Och, Gus, tak mi przykro! – W oczach Lucy zaszklily się łzy. Tego nie

było w moim scenariuszu. – Jak ty się musiałeś strasznie czuć...

– No, tak. Ale właśnie robisz to, czego chciałem uniknąć.

– Przepraszam.

Nie należały mi się przeprosiny, tylko pretensje.

– Co się stało? – zapytała ostrożnie.

To pytanie usłyszałem tylko tamtego dnia. Od rodziców, od zespołu ratunkowego, a potem od policji, lata temu. I nigdy więcej. Pytanie, o którym przez cały ten czas próbowałem w ogóle nie myśleć.

– Zjeżdżał poza trasę i uderzył w drzewo. Mózg był tak uszkodzony, że postanowiono odłączyć go od aparatury.

– Byłeś przy tym?

– Jak go odłączyli? Nie. Tylko rodzice.

Lucy nic nie powiedziała, ale wiedziałem, że nie o to pytała.

– Pewnie mi nie wybaczysz? Że nigdy ci o tym nie powiedziałem? – Kiedy tylko to wydusiłem, poczułem, że wybrałem zły moment. Trzeba było poczekać, żeby uświadomiła sobie w pełni wszystkie możliwe konsekwencje.

– Ale tu nie ma czego wybaczzać! – zaprotestowała. – Po prostu tak strasznie mi przykro, że nie mogłam cię wspierać!

Podeszła i spróbowała mnie przytulić, ale nie mogłem się zmusić, żeby ją objąć. Jej próby ułatwienia mi sytuacji sprawiały, że wszystko było jeszcze trudniejsze.

– Był bardzo przystojny – oceniła, podnosząc zdjęcie, na którym właśnie wyjeżdżał z plecakiem na roczną przerwę przed rozpoczęciem studiów.

– Tak. Był przystojny, był cool, i we wszystkim dobry. Wszyscy go uwielbiali.

– A to jego dziewczyna?

Freudowskie przeoczenie. Nie zauważyłem fotografii, na której Ross i Charlotte stali przebrani za Mortycję i Gomeza Addamsów.

– Tak.

– Piękna.

– Tak.

Przez resztę dnia Lucy była bardzo cicha, choć próbowała robić dobrą minę do złej gry, kiedy mama zeszła zrobić nam kolację. Placek z kurczakiem i porem. Gdyby mama była w normalnym stanie, przygotowałyby dla Lucy sypialnię gościnną, ale nawet jej to nie przyszło do głowy, więc położyliśmy się w moim pokoju. Z początku poczułem przyływ słodko-gorzkiej nostalgii, odkrywając na nowo, jak to jest leżeć przyciśnięty całym ciałem do jej pleców, tak jak za pierwszym razem w jej wąskim łóżku w Broadstairs, chociaż teraz żadne z nas nie miało ochoty na seks. Minęło dużo czasu. Oboje leżeliśmy w ciszy, aż w końcu zorientowałem się, że ona też nie może spać.

– Wszystko okej? – zapytała w ciemności.  
– Bywało lepiej.  
– Przepraszam, nie chciałam.  
– Nie, w porządku. Przepraszam, że cię w to wplątałem.  
– Nie przepraszaj. Żałuję, że nic nie powiedziałeś wcześniej. To takie dziwne, że nigdy nie wspomniałeś o Rossie. Taka wielka, ważna część twojego życia, o której nie miałam pojęcia. A myślałam, że tak dobrze cię znam.

Kolejne minuty upłynęły w ciszy, kiedy oboje udawaliśmy, że śpimy.

– Serce mocno ci bije. Na pewno wszystko w porządku?

– Nie! Nic nie jest w porządku! – Odwróciłem się. Nagle poczułem, że nie mogę dłużej powstrzymać nadchodzącej paniki.

Usiadłem. Ona też. Sięgnęła do lampki nocnej, ale nie wiedziałem, czy będę potrafił powiedzieć to, co należało powiedzieć, czując na sobie jej wzrok.

– Zostaw!

– Co się dzieje?

– Wszystko okej. Nie, nic nie jest okej. Jestem gnojem!

– Gus, uspokój się. Wszystko dobrze. Dużo dziś przeszedłeś. Naprawdę, Gus. To tylko atak paniki. Oddychaj. Przyniosę ci wody.

– NIE POTRZEBUJĘ WODY!

Nigdy nie podniosłem na nią głosu. Teraz ciszę wypełniało poczucie krzywdy.

– Lucy, przykro mi, ale musimy się rozstać. Cały tydzień chciałem ci o tym powiedzieć, na długo przed sprawą z moimi rodzicami.

– Nie wygłupiaj się!

– Mówię poważnie.

Nie widziałem zbyt dobrze jej twarzy, ale było oczywiste, że mi nie wierzy. Może sądzi, że jestem w szoku i chwilowo się nie kontroluję.

– Mam romans. Zamierzam się z nią ożenić.

Co za tchórz. Wyznać jej to w ciemności!

Teraz nie powstrzymałem jej przed zapaleniem lampki. Kiedy rozblęła żarówka, Lucy mogła wyczytać z mojej twarzy, że nie żartuję. Nie płakała, nie wtedy, nie tak, jak się spodziewałem.

– Dlaczego? – zapytała spokojnie.

Będzie z niej świetny lekarz.

– Jest w ciąży – westchnąłem. – I chce zatrzymać dziecko.

– Ale kochasz ją?

Dziwnie to brzmi, ale nigdy nie zadałem sobie tego pytania. Byłem ciekaw, czy Charlotte o tym myślała. Ani ja, ani ona nie wspominaliśmy o miłości. Ona była zbyt cool, a ja próbowałem jej dorównać.

– Tak, kocham.

Nie mogłem wytrzymać bliskości Lucy, kiedy to mówiłem, więc wstałem i ściągnąłem z haczyka na drzwiach szlafrok Arsenalu, by zakryć własną nagość. Dostałem go, kiedy miałem dwanaście lat, ale teraz założyłem go po raz pierwszy.

Podszedłem z powrotem do łóżka, żeby usiąść na krawędzi.

– Nie! – wrzasnęła Lucy, aż podskoczyłem, czując się bezbrinnie i głupio. – Nawet się nie zabezpieczaliście? – W jej mózgu kolejne zapadki wskakiwały prędko na miejsce, jedna po drugiej, tworząc coraz dłuższą listę moich przestępstw.

– Sądziłem...

– Czyli nie tylko mnie okłamywałeś, ale w dodatku sprowadziłeś na mnie zagrożenie?

Nigdy dotąd nie przeszła mi przez myśl kwestia chorób.

– Jestem pewien...

– Tak samo, jak byłeś pewien, że jest na pigułkach? Jak ona się w ogóle nazywa?

– Ma na imię Charlotte.

– Chyba nie ta twoja koleżanka od opery? Boże, jaka ze mnie kretyńka! Zaufałam ci, Gus! Myślałam, że jesteś taki kochany! Nawet przez chwilę w ciebie nie zwątpiłam!

– Wiem.

– A Charlotte wie chociaż o moim istnieniu?

– Nie rozmawiamy za dużo o...

– Co, tylko się pieprzycie? A może naprawdę chodzicie do opery? Jezu, Gus, czyś ty oszalał?

– Może.

– Mieszkaś ze mną! Nie masz pojęcia, jak to jest mieszkać z nią. To jakiś obłąd! Obłąd, Gus!

Wydawało mi się, że zamarzęm. Nie miałem żadnych wymówek. Żadnych wyjaśnień.

Wtem Lucy zerwała się z łóżka i rzuciła na mnie, zaczęła bić pięściami w mój tors.

– Co jest z tobą nie tak?! – wrzeszczała. – Co jest z tobą nie tak, Gus?! Jakbyś był w transie!

Nie doczekawszy się reakcji, opadła w końcu na kolana, z twarzą wykrzywioną grymasem niemego skowytu, a potem zaniósła się donośnym szlochem.

Nie mogłem znieść widoku jej cierpienia. Moja przyjaciółka bez winy, moja towarzyszka. To dzięki niej odzyskałem normalność i odpłaciłem jej tak obrzydliwie, że nie mogłem teraz zrobić ani powiedzieć nic, żeby ją pocieszyć.

W końcu wzięła bardzo głęboki wdech i spróbowała się opanować.

– To przez Rossa, prawda?

Pomyślałem, że mówi o moim pociągu do Charlotte. Jaka musiała być inteligentna, żeby to zauważyć.

Stała mi przed oczami Charlotte w białym bikini, tego dnia, kiedy Ross przyprowadził ją do domu, żeby wypróbować nowe jacuzzi. Wprawdzie Lucy skomentowała wcześniej jej urodę, ale nie wiedziała, że to jest t a Charlotte. Teraz to sobie uświadomiłem. Nigdy jej tego nie wyznałem.

– Jak raz kogoś okłamiesz, tracisz do niego szacunek – kontynuowała Lucy.  
– Nie zależało ci na mnie tak bardzo, bo mi nic nie powiedziałeś. A przez to pewnie łatwiej ci przychodziły kolejne kłamstwa.

To też było bardzo przenikliwe spostrzeżenie.

– Mogłam posłuchać Helen – westchnęła w końcu z rezygnacją. – Zawsze mnie ostrzegała, że jesteś niepoważnym gnojkiem.

Podniosła głowę i zmierzyła mnie wzrokiem. Bezradnie kiwałem się w idiotycznie małym szlafroku.

– Zostaw mnie, Gus.

Poszedłem do pokoju Rossa i położyłem się na jego łóżku, wpatrując się w lśniące rzędy pucharów na półkach. Zza ściany dochodził mnie stłumiony głos Lucy, całą noc rozmawiała przez telefon.

Okolo siódmej rano ktoś zadzwonił do drzwi. Zbiegłem na dół i otworzyłem. Przede mną stała Nicky. Lucy minęła mnie bez słowa i wsiadła do samochodu matki.

– Nigdy nie chciałem jej zranić! – wyjąkałem.

– Och, Gus, poważnie? – Nicky posłała mi spojrzenie pełne rozczarowania. Poczulem, że zdradziłem całą rodzinę.

– Co się dzieje? – Kiedy zamknąłem drzwi, zauważyłem mamę stojącą na schodach, owiniętą szlafrokiem.

– Rozstałem się z Lucy.

– Tutaj? Czemu?

– Obawiam się, że ją zawiodłem.

– Ale nie jak twój ojciec?

Chciałem zaprotestować. Nie, nie tak. Ale jaka była między nami różnica? Milczenie zdradziło moją winę.

– Dlaczego?! – wykrzyknęła nagle matka, odchylając głowę w stronę sufitu, jakby wyklinała ku niebu.

– Wiesz, Ross też nie był aniołem! – Pożałowałem, gdy tylko moje słowa rozbrzmiały w powietrzu.

Puste spojrzenie matki było o wiele gorsze niż jej typowy wyraz lekkiego rozczarowania. Aż zadrzałem, czując absolutną pewność, że mnie nienawidzi – przynajmniej w tej chwili.

– Nie wiem, co tu jeszcze robisz – oznajmiła, machając niecierpliwie ręką.



Odwróciła się, by wrócić na górę. – Możesz już sobie pójść?

W pociągu do Londynu nie mogłem dojść do siebie. Gapiłem się na własne odbicie w szybie. Wszystko, co o sobie wiedziałem, okazało się złudzeniem. Było mi niedobrze ze wstydu i obrzydzenia.

Wróciłem do mieszkania i jak automat pakowałem ubrania do walizki. Nie byłem pewien, czy sprawię Lucy więcej bólu, zabierając prezenty od niej i jej rodziny, czy je zostawiając. W końcu postanowiłem zostawić.

Po raz ostatni obszedłem wszystkie pokoje. Nie docierało do mnie, że już nigdy nie obudzę się w tym łóżku, nigdy nie ugotuję Lucy śniadania na tej kuchence, nigdy nie przytulę się do niej zimną na tej kanapie, śmiejąc się z naszych ogromnych kapci, wyglądających spod koca.

Pod wpływem impulsu wybrałem jej numer.

– Wszystko okej?

– A jak myślisz? – westchnęła ze zmęczeniem.

Cisza.

– Nie martw się, Gus, nie zrobię nic głupiego...

– Nie myślałem...

– Nie.

Kolejna długa pauza.

– Gus, nie dzwoń do mnie więcej. – Rozłączyła się.

Wrzuciłem klucze do skrzynki na listy.

Winda tym razem działała.

Szedłem przez miasto, ciągnąc walizkę po ruchliwej ulicy. Zaczynałem czuć inny rodzaj paniki. Postanowiłem zrezygnować ze stabilności na rzecz ekscytacji, ale co będzie, jeśli Charlotte mnie wrobiła? Nie rozmawialiśmy od początku tygodnia. Wydawało mi się, że minęły wieki. A jeśli zaśmieje mi się w twarz? Dokąd pójdę? Nash pewnie pozwoliłaby mi pomieszkać parę dni kątem u niej, ale najpierw zafundowałaby mi wykład o moim zachowaniu wobec kobiet. Nie czułem się na siłach być rozczarowaniem dla kolejnej osoby.

Minęła dobra chwila, zanim Charlotte podniosła słuchawkę domofonu. Jej głos brzmiał zimno jak lód.

– Tak?

– To ja, Angus!

Wpuściła mnie do środka. Wciągnąłem walizkę po schodach. Drzwi były otwarte, a ona leżała na łóżku w różanej jedwabnej bieliźnie.

– Zaczynałam już myśleć, że nie masz jaj! – Poklepała miejsce obok siebie.

Jak prędko adaptuje się ludzki mózg: w jednej chwili stoję na ulicy, ponury i bezdomny. W następnej kładę się na mojej kochance, otumaniony niedowierzaniem, jakie musi czuć ktoś, kto wygrał w totolotka.

O wygraniu na loterii często mówimy jak o bajce, ale zapominamy, że każda

bajka ma swoją mroczniejszą stronę. Ja zawsze czułem dreszcz złego przeczucia. Niczym Jaś, który przyjmuje od czarownicy ciastko, choć wie, że nie powinien go jeść.

Podczas trzech tygodni poprzedzających nasz ślub Charlotte i ja dowiedzieliśmy się o sobie wielu rzeczy, jakie wychodzą na jaw dopiero wtedy, gdy się z kimś zamieszka. Charlotte nie umiała gotować. Żałowałem, że nie zabrałem płytkiego żaroodpornego naczynia Le Creuset, które Nicky podarowała mi na ostatnie urodziny. Służyło do robienia *casserole*, ale świetnie sprawdzało się też jako patelnia. Charlotte była bałaganiarą. Jej mieszkanie na poddaszu zawdzięczało swój nieskazitelny stan wyłącznie sprzątacze, która przychodziła dwa razy w tygodniu. W pozostałe dni Charlotte nie zawracała sobie głowy wieszaniem ubrań na miejsce ani wrzucaniem ich do kosza na rzeczy do prania. Wyjaśniała to oszczędnością: jeśli można komuś zapłacić za sprzątanie, po co marnować czas na coś takiego?

Przez tę logikę, a może dlatego że tyle lat pracowałem jako kelner, czasem czułem się trochę jak lokaj, kiedy prasowałem ubrania Charlotte albo przynosiłem jej śniadanie do łóżka. Z tym wyjątkiem, że lokaje zwykle nie paradują w samych bokserkach, a po skończonym śniadaniu pani domu nie całuje ich lśniąco od masła ustami. Lokaj rzadko kiedy ma okazję podziwiać, jak jego pani wije się na jego biodrach, podczas gdy okruszki chleba na pościeli drapią go w plecy.

Postanowiliśmy pobrać się w urzędzie dzielnicy Marylebone. Gdyby można to było załatwić od ręki, pewnie poprosilibyśmy po prostu dwójkę przechodniów na świadków, ale ceremonię należało zarezerwować z pewnym wyprzedzeniem, więc powiedzieliśmy rodzicom. Matka i ojciec Charlotte byli od dawna rozwiedzeni. Ojca nie widziała od lat – mieszkał w Szkocji z nową rodziną, ale przysłał nam kartkę z gratulacjami i czek na tysiąc funtów. Jej matka niedawno przeprowadziła się na Baleary z Robbiem, w którym kochała się w dzieciństwie. Odnaleźli się po latach na portalu społecznościowym i znów między nimi zaiskrzyło. Uparła się, że przyjedzie na ceremonię.

Po tym, jak zareagowali moi rodzice, postanowiłem nie zapraszać żadnego z nich.

– Ale Lucy to taka kochana dziewczyna...! – Ojciec nie mógł pojąć, jak do tego doszło, i nawet jak na jego standardy posunąłem się o krok za daleko.

– Ale oczywiście nie mówisz o Charlotte Rossa? – zapytała matka.

Zadzwoiłem do Marcusa, który był już wtedy prawnikiem na kontrakcie w dużej firmie w londyńskim City. Poprosiłem, żeby był moim świadkiem.

– Będę zaszczycony. Czekał, zajrzę do kalendarza. Mówimy o tym roku czy przyszłym?

– Przyszła środa. Wiesz, tak spontanicznie.

– Och. No dobra. Gratulacje! No to chyba muszę popracować nad

przemówieniem!

– Nie przejmuj się, to tylko szybka ceremonia, a po niej lunch w Piattini. Zaraz potem wylatujemy do Nowego Jorku.

– Super! Byłem ostatnio na tylu weselach, że mógłbym sobie za to kupić dom! Rozumiem, że nie muszę być we fraku?

– Nie musisz.

Znalazłem czarny garnitur w Marks & Spencer, jedyny dostępny od ręki z dostatecznie długimi nogawkami. Charlotte kupiła kremową smokingową marynarkę i nową małą czarną z Liberty – wprawdzie ciąża była ledwie widoczna, ale jej stare sukienki już opinały się na brzuchu. Komplet powiesiła na karniszu nad drzwiami prowadzącymi na taras.

– Czy to nie przynosi pecha, jeśli pan młody zobaczy sukienkę przed ślubem? – zapytałem, kiedy już leżeliśmy w łóżku. Ślub miał się odbyć następnego dnia.

– Och, nie znoszę tych głupot. Dorosłe kobiety zmusza się do udawania nieśmiałych dziewic czekających, żeby przekazać je mężowi – w dwudziestym pierwszym wieku, na litość boską!

Przypomniałem sobie o miesiącach przygotowań do ślubu Pippy, i że z Lucy musiałbym przechodzić przez takie samo zamieszanie; podejście Charlotte było o wiele bardziej dojrzałe.

Następnego ranka obserwowałem z łóżka, jak Charlotte ubiera się w nową czarną bieliznę i wciąga pończochy. Zastanawiałem się, czy kiedykolwiek znudzi mi się ten odwrótny striptiz, ubrania jedno po drugim zasłaniające kolejne części jej ciała. To było niemal równie podniecające jak rozbieranie.

Do taksówki wsiedliśmy już z małym bagażem podręcznym. Wybraliśmy na podróż poślubną Nowy Jork, bo żadne z nas tam wcześniej nie było. Poza tym uznaliśmy, że to odpowiednio seksowne miejsce na długi weekend – nie mogłem wziąć dłuższego urlopu, bo dopiero zacząłem pracę jako lekarz.

Taksówka podjechała pod urząd. Marcus czekał już na schodach. Dostrzegłem jego wyraz twarzy, kiedy zobaczył Charlotte – ona wywierała na mężczyznach taki efekt. Nie dało się na nią nie patrzeć. Za Charlotte wyszedłem ja i zapłaciłem taksówkarzowi, a zachwyty na twarzy mojego przyjaciela ustąpił miejsca zaskoczeniu.

– Marcus, to jest Charlotte.

– Bardzo mi miło. – Ujął jej dłoń i posłał jej uśmiech. Nigdy nie widziałem go tak opanowanego i ułożonego, ale kiedy odwrócił się do mnie, nie potrafił dłużej ukrywać szoku. Posłał mi chłopiące spojrzenie, mówiące: „Jakim cudem udało ci się coś takiego?!”.  
Poczułem, jakbym wygrał konkurs, w którym nawet nie brałem udziału.

Matka Charlotte wręczyła jej mały bukietik blad różowych róż, gryzący się

z krzykliwą wystawką sztucznych kwiatów na urzędowym biurku. Kiedy wyszliśmy z urzędu, opadł na nas deszcz ziarenek ryżu, również zapewniony przez matkę Charlotte. Ryż wpadał nam we włosy, w ubranie i w usta, gdy staliśmy i zanosiliśmy się śmiechem. Potem całą czwórką wsiedliśmy do taksówki i pojechaliśmy do Piattini.

Podaliśmy tu setki posiłków, a niejeden zjadłem w kuchni, ale nigdy nie przyszedłem do Piattini jako gość. Stefania przygotowała dla nas doskonałe maślane risotto z szafranem, przybrane płatkami złota. Następnie podano *tagliatę* z krwistego, opalonego z zewnątrz steku z dodatkiem sałatki z rukoli i octu balsamicznego. Na deser zjedliśmy czekoladowo-orzechowe *semifreddo*, przekładane tak cienkimi płatkami karmelu, że rozplływały się w ustach już przy pierwszym delikatnym chrupnięciu. Kiedy szefowa kuchni wyszła nam pogratulować, podziękowaliśmy jej oklaskami.

Zauważyłem, że dyskretnie zmierzyła Charlotte wzrokiem, gdy ją przedstawiłem. Pocałowały się w oba policzki, kontynentalnym zwyczajem, który zawsze wydawał mi się dziwnie nadgorliwy. Stefania i Salvatore nie byli moimi przybranymi rodzicami, ale prowadzili rodzinny interes, w którym uczestniczyłem przez całe lata, więc czułem z nimi bliższą relację niż tylko pracownik-pracodawca. Zza lekkiej mgiełki chianti dostrzegłem zaskoczenie Stefanii na widok mojej wyrafinowanej żony. Podobna reakcja na twarzy Marcusa sprawiła, że moja samoocena triumfalnie podskoczyła o kilka oczek. Jednak widząc ją na twarzy Stefanii, poczułem niepokój.

Za czek od ojca Charlotte kupiła nam bilety w klasie biznesowej, więc miałem mnóstwo miejsca na nogi. Charlotte nie piła ze względu na ciążę, a ja, dzięki przywilejom klasy biznes, mogłem liczyć na ciągłe dostawy szampana.

– Chyba mógłbym się przyzwyczaić – powiedziałem sennie, gdy przygaszono światła w kabinie, a stewardesy podały nam poduszki w świeżych bawełnianych poszewkach.

– Czemu nie – odparła Charlotte. W ciemności poczułem, że jej dłoń szuka mojej.

Ja mówiłem o luksusie; ona mówiła o nas.

Prosty akt trzymania się za ręce wydał mi się najbardziej intymną rzeczą, jaką kiedykolwiek zrobiliśmy.

– Chodź – szepnęła mi w szyję.

Poszedłem za nią do toalety i skonsumowaliśmy nasz związek na wysokości dziewięciu tysięcy metrów, przy akompaniamencie ziarenek ryżu wypadających z naszych ubrań na podłogę.

2003

TESS

Niektórych ponoć kręci seks na wysokości. Nie miałam wątpliwości, że właśnie to się dzieje w toalecie, ale obawiałam się, że Hope waląca w drzwi trochę popsuła atmosferę. Myślałam, że w ubikacji w klasie biznes będzie więcej miejsca – nie chciałam ryzykować, że Hope pójdzie tam sama i się zatrzaśnie – ale nie mogłyśmy dłużej czekać, więc ostatecznie przeszliśmy całą drogę z powrotem do części economy. Światła były przygaszone i wszyscy próbowali spać, ale Hope musiała głośno oznajmić:

- Mam mokro w majtkach!
- Czemu nie poszłaś do łazienki na lotnisku, jak ci mówiłam?
- Nie musiałam.

Hope już tak dawno nie miała „wypadku”, że nie zapakowałam dla niej do bagażu podręcznego zapasowej bielizny. Byłam przerażona koniecznością poproszenia stewardesy o ręcznik na siedzenie, ale kiedy Hope ściągnęła majtki, okazało się, że jest dużo gorzej – zobaczyłyśmy krew.

W żadnej książce nikt nie wyjaśnia, jak w łazience na pokładzie samolotu wytłumaczyć dziewczynce z łagodnym autyzmem, że właśnie dostała pierwszej miesiączki. Hope miała dopiero jedenaście lat, więc jeszcze się tego nie spodziewałam, choć miałam świadomość, że pulchniejsze dziewczynki czasem dojrzewają prędzej od rówieśniczek. Nawet w najbardziej sprzyjających okolicznościach taka sytuacja jest wystarczająco trudna do opanowania, zwłaszcza z kimś tak dosłownym jak Hope. Jedynym plusem całej sytuacji było to, że wyczerpana krzykami zasnęła na resztę lotu.

Kevin i Shaun czekali na nas w hali przylotów. Trzymali tabliczkę z napisem: *Céad míle fáilte Teresa and Hope Costello*, udowadniając, że to prawda, co mówią o Irlandczykach – za granicą stają się jeszcze bardziej irlandzcy.

Dziwnie zobaczyć kogoś po kilkuletniej przerwie, bo z początku zawsze jest trochę niezręcznie, kiedy zastanawiasz się, czy ta druga osoba też myśli, jak się postarzałaś.

Nigdy nie rozumiałam, dlaczego mężczyźni bojący się łysienia golą się na zero przy pierwszych oznakach utraty włosów. Z drugiej strony, to pewnie nic miłego: patrzeć, jak z dnia na dzień lśniaca kopyta czoła niestrudzenie migruje coraz wyżej i wyżej. Pół biedy, jeśli to postępuje równomiernie. Gorzej, kiedy tu i ówdzie pozostają placki włosów. Pewnie chodzi o to, że ogolona głowa wygląda

jednak bardziej cool niż zaczeska. Czy Kev nosił perukę na przedstawieniach? Nigdy nie widziałam łysego baletmistrza. Nie żebym w ogóle widziała wielu baletmistrzów poza transmisjami na BBC2 w święta i męskimi łąbiedziami na końcu filmu „Billy Elliot”, chociaż i tak mieli na głowach ozdoby z piór.

Nie miałam pojęcia, co Kevin myśli o mnie. A może miałam, bo on i Shaun rozmawiali o mojej „nowej stylizacji” na długo przed tym, jak Shaun mi to w końcu zaproponował podczas wakacji.

– Jak się leciało? – zapytał Kev.

– Krew mi leci w majtki, bo nie będę miała dziecka – oznajmiła Hope. Chyba nawet Kev musiał przyznać, że Hope różniła się od rówieśniczek.

– Dostała pierwszej miesiączki... Tak, w samolocie... Oczywiście, że się nie spodziewałam... Poza tym? Ach, tak, w porządku, wszystko świetnie.

– Witamy w Big Apple – dodał Shaun.

Wyglądał na porządnego, wrażliwego faceta. Wprawdzie dopiero się poznaliśmy, ale pod wieloma względami lepiej się przy nim czułam niż przy Kevinie, którego znałam całe życie. Kev zawsze był w defensywie. Nie zamierzałam robić mu wyrzutów, że zostawił mnie samą ze wszystkim, ale i tak ciągle wymieniał setki powodów, dla których nie mógł nigdy przyjechać do domu.

Pojechaliliśmy na Manhattan żółtą taksówką. Z początku byłam rozczarowana. Przedmieścia Nowego Jorku wyglądały tak samo jak każde inne, pełne niechlujnych, nijakich budynków, zakurzonych parkingów i potężnych billboardów. Z drugiej strony, powinnam była się tego spodziewać – w końcu czytałam „Wielkiego Gatsby'ego”. Ale oczywiście kiedy tylko zobaczyłam Manhattan, rozświetlony jak w czołówce „Przyjaciół”, zmieniłam zdanie. Z Mostu Brooklińskiego rozpościerał się krajobraz tak znajomy z filmów, że od razu dotarło do mnie, jak bardzo brakuje w nim wież World Trade Center i jak ten boleśnie pusty kawałek nieba codziennie przypomina nowojorczykom, że świat już nigdy nie będzie taki sam.

Kev i Shaun mieszkali w piętrowym lofcie w Tribeca na Dolnym Manhattanie. Shaun wyjaśnił, że nazwa stanowi skrót od Triangle Below Canal Street, czyli „trójkąt pod Canal Street”, choć skrót brzmi o wiele bardziej egzotycznie, prawda? Bardziej jak dawna rosyjska dzielnica. Kev powiedział, że Robert de Niro – mówił o nim Bob, jakby go znał – mieszka tuż za rogiem. Mieszkanie znajdowało się na piątym piętrze. Kiedy Shaun otworzył drzwi, wydało się dość ciemne. Dla mnie i Hope przygotowali pokój gościnny z widokiem na okolice Wall Street, z wielkim podwójnym łóżkiem i materacem na parkiecie.

Kev i Shaun spali w olbrzymim łożu małżeńskim w drugiej sypialni. Nie byłam pewna, co Hope o tym pomyśli. Była sceptycznie nastawiona do „klejenia się”, jak to nazywała, między kobietą a mężczyzną, więc nie miałam pojęcia, co powie na dwóch mężczyzn. Czułam, że może należało ją przygotować, ale nie

wiedziałam, od czego zacząć, więc dużą część wakacji spędziłam pełna obaw, że zada jakieś niezręczne pytanie i że jakimś cudem to będzie moja wina.

Do mieszkania wchodziło się z piątego piętra, ale w salonie wybito część sufitu i postawiono schody wiodące piętro wyżej, do kuchni na otwartym planie, z drzwiami prowadzącymi na taras na dachu. Dzięki przeszklonym drzwiom całość wyglądała jeszcze bardziej przestronnie.

– Czemu macie kuchnię na górze? – dopytywała się Hope.

– A czemu nie? – zjeżył się Kev. Jak mówiłam, od razu w defensywie.

– Tree! Czemu kuchnia jest na górze?

– Bo Kevinowi i Shaunowi tak się bardziej podoba. W ten sposób można jeść i patrzeć na miasto, widzisz?

Wiedziałam, że myśli: Czemu ktoś miałby na to ochotę?

Nie podziwialiśmy widoków w domu ani w szkole, ani w żadnym innym miejscu, gdzie jadalimy posiłki.

– Wasz dom jest do góry nogami? – zapytała Shauna.

– Chyba można tak powiedzieć – zaśmiał się. – Ale czuj się tu jak u siebie!

Hope niezbyt dobrze radziła sobie z wyrażeniami idiomatycznymi.

– Nie mogę, w naszym domu wszystko jest normalnie.

Pospacerowaliśmy trochę po okolicy, a później zjedliśmy wczesną kolację, bo dla mnie i Hope było już po północy. Tribeca okazała się jedną z tych dzielnic, gdzie sklepy z ubraniami przypominały instalacje artystyczne. Zwykle w oknie leżały neonowe pręty świetlne, a w środku stała jedna para butów albo wieszak z jedną sukienką, bez metki z ceną. Shaun zarezerwował nam stolik w restauracji, która okazała się świetna, ale zmarnowana na gości, którzy nie odróżniali flądry od pstrąga (i chyba nawet nie wiedzieli, że to ryby), a pasta dzieliła się dla nich na taką z mięsem, serem albo z paczki. Obsługa była tak miła i pomocna, że pewnie poszliby kupić nam puszkę spaghetti w sosie pomidorowym, gdybyśmy o to poprosili, ale zapewniłam Shauna, że Hope bez problemu zje *farfalle* – choć lepiej, żeby opisać je jako kokardki, a nie motylki – z pomidorami koktajlowymi i kozim serem. Zauważyłam, że Shaun zostawił napiwek przewyższający koszt najdroższego posiłku, jaki kiedykolwiek jadłam. W drodze powrotnej szliśmy kilka kroków za Kevem i Hope – mój brat po raz pierwszy nawiązał z nią kontakt, więc chciałam, żeby się trochę poznali. Powiedziałam Shaunowi, że nie trzeba było wybierać tak dobrej restauracji. Równie dobrze mogliśmy zjeść w KFC albo w McDonalddie.

– Co chciałabyś robić podczas pobytu? – Uśmiechnął się do mnie.

– Musimy zobaczyć Empire State Building. To znaczy wjechać na górę – doprecyzowałam. Sam budynek było widać w oddali nawet z tarasu ich mieszkania.

– A może Hope chciałaby pójść na musical? – zapytał Shaun. – Kevin

mówił, że lubi muzykę.

Zawahałam się, bo dobrze wiedziałam, że Hope nic nie uradowałoby bardziej. Postanowiłam wyjaśnić sprawę wprost.

– Problem w tym, że jeśli Hope zna jakąś piosenkę, będzie chciała ją zaśpiewać. A ona zna wszystkie piosenki.

– Tess, nie przejmuj się. Całe życie zajmuję się trudnymi przypadkami.

Był reżyserem, więc pewnie chodziło mu o tancerzy i aktorów, ale byłam pewna, że skinął głową w stronę Kevina. Poczułam, że połączyła nas cudowna, osobista chwila porozumienia.

Następnego wieczoru Shaun zorganizował bilety na „Króla Lwa”. Zarezerwował cztery miejsca w samym środku widowni. Wiedział, że będą wolne, bo w teatrach zachowuje się kilka dobrych miejsc na ostatnią chwilę na wszelki wypadek, na przykład gdyby zaraz przed spektaklem przyszedł George Clooney. Hope usiadła między mną a Shaunem. Gdy światła zgasły i rozległy się pierwsze dźwięki muzyki, Shaun powiedział do niej miłym, lecz bardzo stanowczym tonem:

– Hope, teraz jesteś na widowni. Wszyscy na widowni muszą siedzieć spokojnie i być cicho, bo inaczej nie będzie nam wolno dalej oglądać przedstawienia.

To była ryzykowna strategia, ale sprytna, bo nie dał jej czasu na sprzeciw. Ku mojemu zdumieniu, zachowała się dokładnie tak, jak jej kazał. Pewnie trochę pomogło, że Shaun był mężczyzną, bo byliśmy przyzwyczajone do słuchania się taty. Poza tym na scenie tyle się działo, że Hope zapomniała o całym świecie. To było niesamowite, aktorzy poruszali się zupełnie jak afrykańskie zwierzęta, a od muzyki łyzy stawały mi w oczach. Dosłownie zapierało dech w piersiach.

Kiedy tylko wyszliśmy na ulicę, Hope od razu zapytała:

– A teraz mogę śpiewać?

– Okej, teraz możesz – zgodził się Shaun, więc całą drogę do domu mieliśmy recital „Hakuna Matata”, ku zażenowaniu Keva, choć pasażerom metra się podobało. Gdyby Kev zdjął czapkę, pewnie szybko wypełniłaby się drobniakami.

Przez resztę pobytu Shaun zabierał Hope i mnie na popołudnia i wieczory na Broadwayu. Obejrzałyśmy „Wicked”, „Hairspray”, „Les Misérables” i jej ulubiony musical, „Mamma Mia!”. Kev niedługo miał premierę, więc większość czasu spędzał na próbach i nie mógł się do nas przyłączyć. Było widać, że trochę go to drażni. Kev lubił być w centrum uwagi i może faktycznie miał prawo do zazdrości, bo jeśli mam być szczerą, odrobinę zakochałam się w Shaunie. Nie w fizycznym sensie, oczywiście, chociaż był bardzo przystojnym mężczyzną i świetnie się ubierał. Nosił miękkie kaszmirowe swetry i idealnie czyste dżinsy, a poza tym zawsze wspaniale pachniał, ale nie o to chodziło. Podobało mi się, że był tak troskliwy i potrafił z każdego wydobyć najlepsze cechy. Nie tylko z Hope, ze mnie też.



Po raz pierwszy w życiu mogłam porozmawiać z kimś o sztuce. Shaun zabrał mnie do MoMA, podczas gdy Kev i Hope poszli do zoo. Było tam kilka pięknych obrazów Matisse'a i parę świetnych Warhola. Cieszyłam się, że mogę je zobaczyć w mieście, w którym zostały zrobione (nigdy wcześniej nie użyłam w stosunku do obrazu słowa „zrobiony” zamiast „namalowany”, ale w tym przypadku tak właśnie było). Shaun zaczął mnie też zapoznawać z literaturą amerykańską. Codziennie wybierał dla mnie inną powieść w lśniącej twardej oprawie, którą czytałam potem cały wieczór, a następnego dnia o niej rozmawialiśmy. Mój umysł był jak puste naczynie, spragnione wiedzy. Nawet się nie zaśmiał, kiedy to powiedziałam. Odparł, że powinnam pójść do szkoły – to amerykańskie określenie uniwersytetu.

– Dostałam się na literaturę angielską na University College w Londynie – oznajmiłam z dumą. – Ale musiałam zrezygnować, bo mama umarła.

– Znowu się zaczyna! – wtrącił Kevin, ocierając obiema rękami niewidzialne łzy.

Siedzieliśmy we czwórce w Central Parku, bo był jeden z tych słonecznych dni, kiedy wydaje się, że jest dość ciepło na piknik (dlatego przynieśliśmy ze sobą jedzenie w papierowej torbie z delikatesów o nazwie Zabar's). Ale kiedy Kev to powiedział, nagle wydało mi się, że trawnik zrobił się trochę za zimny, wiatr trochę za ostry, i najlepiej byłoby sobie pójść.

Nie zależało mi, żeby ludzie uznali mnie za męczennicę albo ciągle dziękowali, ale uważałam, że muszę sobie radzić z czymś bardzo trudnym, co kosztuje mnie sporo poświęceń. Nie oczekiwałam współczucia, ale ponieważ wszyscy odmawiali przyznania, że jest jakiś problem (bo wtedy musieliby wziąć na siebie część odpowiedzialności), nikt nie chciał też przyznać, że należy mi się jakieś uznanie. Nie uważałam, żeby to było fair.

Więc powiedziałam coś w ten deseń, a Kevin odebrał to jako osobisty afront.

– Przecież i tak nie zamierzałaś studiować nic pożytecznego.

Tak jakbym słyszała tatę wygłaszającego swoje zdanie na temat artystycznych ambicji Keva.

– No tak, bo taniec jest bardzo pożyteczny! – odparowałam. Na co on obruszył się jeszcze bardziej.

– Czemu wszyscy w tej rodzinie mają problem z tym, że tańczę?

– Czy ty zawsze musisz wszystko przekreślać? To ty powiedziałeś, że moje ambicje są nic niewarte!

Z jaką łatwością rodzeństwo cofa się do czasów dzieciństwa. Ty zaczęłaś! Nie, ty! W kilka chwil wszyscy są tak obrażeni, że już nikt nie pamięta, o co poszło.

– Chodziło mi tylko o to, że przecież dalej możesz czytać książki – odparł.

Powinnam była zrozumieć, że próbuje się wycofać, ale byłam już zbyt wściekła.

– Ale nie mogłam skończyć studiów i zdobyć wykształcenia! Byłam najlepsza w szkole, a teraz nie mam do niczego kwalifikacji!

– Ale wciąż możesz studiować, Tess – powiedział Shaun. – I powinnaś, prawda, Kevin?

– Powinna, prawda, Kevin – zawtórowała Hope.

Tego popołudnia przejechaliśmy się promem Circle Line wokół całej wyspy Manhattan.

Kevin stał z Hope przy barierce.

– A to jest...

– Statua Wolności – przerwała mu Hope.

– Skąd wiedziałaś, Hope? – Kev posłał mi zaskoczone spojrzenie nad jej głową.

– Przysłałeś nam pocztówkę – wyjaśniła.

Kevin był pod wrażeniem. Widziałam, że się ucieszył. Zaczął pokazywać jej kolejne rzeczy: prom Staten Island, South Street Seaport, Most Brookliński, Most Manhattański...

– A to jest siedziba Organizacji Narodów Zjednoczonych – oznajmiła Hope, gdy płynęliśmy w górę East River. – Zawsze jest napisane na dole w wiadomościach.

Większość ludzi podczas oglądania wiadomości skupia się na reporterach i na słuchaniu, co mają do powiedzenia na temat ostatniego zebrania Rady Bezpieczeństwa, czy o czym oni tam opowiadają. Hope jednak zwracała większą uwagę na kształt budynku w tle i czytała informacje na czerwonym pasku u dołu ekranu. Dwa różne spojrzenia na dokładnie to samo. Zauważyłam, że Kevin zaczyna rozumieć: Hope jest inteligentna, tylko w inny sposób. Cieszyłam się, bo to jest coś, co trudno wytłumaczyć. Trzeba pojąć samemu.

– A to co? – zapytał.

– Empire State Building, James wylądował tu na wielkiej brzoskwini – wyjaśniła, jakby tylko idiota tego nie wiedział.

– Świetnie! A to? – Wskazał wieżowiec Chrysler Building.

– Nie wiem.

– No, to ci powiem, chcesz...?

Patrzyłam, jak Kevin otacza naszą małą siostrę ramieniem i opowiada o swoim nowym domu, i czułam, jak łzy napływają mi do oczu. Kev chyba po raz pierwszy spojrzał na Hope jak na dar, a nie jak problem. Może brzmię trochę jak ksiądz na ambonie, ale to naprawdę ma sens.

Shaun i ja odeszliśmy kawałek dalej, żeby dać Kevinowi i Hope trochę czasu dla siebie.

– Co zamierzasz zrobić, jak Hope skończy podstawówkę?

W liceum nie pracowali już wychowawcy jak w podstawówce. Nawet gdyby

było takie stanowisko, wiedziałam, że nie powinnam iść tam za nią. Kiedyś Hope musi zacząć sobie radzić ze światem, a pójdzie do liceum jest dobrym momentem na rozpoczęcie tego procesu. Byłam pewna, że jeśli nie spanikuje na nadchodzących egzaminach końcowych, będzie mieć dość dobre wyniki, żeby kontynuować naukę w zwykłej szkole. A ponieważ mieliśmy orzeczenie lekarskie, przysługiwałyby jej opiekun – przynajmniej na części zajęć. Bardzo się cieszyłam z tych postępów, ale pozostawało jedno pytanie: co ze mną?

– Myślałaś, żeby zostać nauczycielką?

– Wszyscy tak mówią! – zachnęłam się. To było logiczne rozwiązanie, bo wciąż musiałam być z Hope w domu po szkole. Tata teraz praktycznie mieszkał u Anne, a ona nie chciała mieć u siebie Hope bez przerwy.

– Wystarczy, że ma tatę bez przerwy – skomentował Kev poprzedniego wieczoru, kiedy opisałam mu Anne. Uśmiechnęliśmy się do siebie w krótkiej chwili porozumienia, jakie może zaistnieć tylko między rodzeństwem: przez chwilę poczuliśmy się jak przyjaciele, a nie rywale.

Przed wyborem zawodu nauczycielki powstrzymywało mnie kilka rzeczy. Po pierwsze, musiałabym skończyć studia, co zajęłoby co najmniej trzy lata: nauka wieczorami i praca jako wychowawczyni w ciągu dnia. Potem musiałabym ukończyć kurs przygotowawczy dla nauczycieli, przez kolejny rok nic nie zarabując. Ale największy problem polegał na tym, że nie chciałam być nauczycielką.

– Najpierw chodziłam do szkoły, potem zamiast iść na studia wróciłam do szkoły, a teraz miałabym spędzić tam całe moje pieprzone życie! – powiedziałam Shaunowi. – Jeszcze nawet niczego się nie zdążyłam nauczyć!

Shaun uniósł dłonie w pojednawczym geście, jakby usłyszał dość wyjaśnień.

– A wiesz, co chciałabyś robić?

Stałam na promie w obcym kraju, z człowiekiem, który mnie ledwo znał, ale przyznałam mu się do czegoś, o czym wiedziała wyłącznie mama – tylko że jej powiedziałam o tym, kiedy miałam dziesięć lat, więc pewnie i tak się nie liczyło. Nie wyznałam tego Dave'owi ani nawet Doll. Czułam, że to okazja, by wypróbować te słowa, sprawdzić, jak zabrzmia. Gdyby Shaun mnie wyśmiał, nie czułabym się z tym aż tak źle, bo nie był kimś bliskim.

– Chciałabym być pisarką.

Nie roześmiał się. Szczerze mówiąc, gdybym uznała, że jest choć najmniejsze ryzyko takiej reakcji, nic bym mu nie powiedziała, więc nie wykazałam się szczególną odwagą.

– A piszesz?

– W szkole pisywałam wiersze, i zawsze wymyślam różne historie. Myślisz, że to głupie?

– Nie mogę ocenić twoich umiejętności, dopóki nie czytałem nic, co

napisałaś. Ale wiem, że kochasz czytać, a pisarze zawsze dużo czytają. Z całą pewnością masz własny, wyraźny głos, Tess. To wszystko, co mogę powiedzieć. Reszta zależy od ciebie. Zaczynij pisać. Zapisz się na kurs kreatywnego pisania...

Czułam się tak, jakbym wreszcie dostała pozwolenie. To było ekscytujące. Ale pozostawało pytanie, jak mam zarobić na życie.

– Mogłabym pracować dla Doll...

– Doll?

– To moja najlepsza przyjaciółka – wyjaśniłam.

Trudno było uwierzyć, że Shaun znał mnie teraz tak dobrze, nie wiedząc o istnieniu Doll, więc streściłam mu historię naszej znajomości. Doll trafiła w dziesiątkę z paznokciami. Bardzo ciężko pracowała – zamieszkała z powrotem u rodziców, a cały czas i pieniądze włożyła w stworzenie Dolls House. Interes rozkręcił się w mgnieniu oka i teraz Doll otwiera już czwarty salon.

– Przedsiębiorcza młoda kobieta.

Poczułam absurdalne ukłucie zazdrości. Doll miała dość wielbicieli. Nie jej wina, że była ładna, więc mężczyźni stawali na głowie, żeby jej pomóc, ale bez najmniejszych skrupułów z tego korzystała: od kierownika banku po faceta, który zaprojektował jej logo, a nawet Dave'a, który włożył dużo pracy w założenie całej instalacji, kasując tylko za materiały. Nie chciałam dzielić się z nią Shaunem, choć mieszkał w Nowym Jorku, więc raczej nie było ryzyka, że się kiedykolwiek poznają.

– To ja wymyśliłam nazwę.

– Ale nie chciałabyś z nią pracować? – Shaun zauważył, że mam mieszane uczucia.

– Po pierwsze, wszyscy mówią, że nie powinno się pracować z przyjaciółmi. Po drugie, nie interesują mnie paznokcie, peelingi i inne takie...

– Może nie potrzebujesz pracy, w której będziesz się realizować intelektualnie i emocjonalnie? Może lepiej, żeby praca zostawiała ci przestrzeń na wyobraźnię do pisania? – On rzeczywiście brał moje ambicje na poważnie. – A po trzecie?

– Nie wyglądam jak należy, prawda?

Shaun głośno się roześmiał.

– Kochana, jeśli to twój jedyny problem, to posłuchaj, co zaplanowaliśmy z Kevinem.

Nowy wygląd. To pewnie brzmi straszniej niż w rzeczywistości. Żadnych operacji plastycznych czy botoksu, po prostu inna stylizacja.

– Jesteś jak czyste płótno – oznajmił Shaun.

– Wielkie dzięki.

– Kotku, chodzi mi o to, że masz ukryty potencjał. Pozwolisz mi go wydobyć?

Najpierw poszliśmy do fryzjera. Shaun wyjaśnił stylistom dokładnie, co mają zrobić: dla Hope zgrabny bob, pasujący do kształtu jej twarzy i łatwy w utrzymaniu. Dla mnie radykalne cięcie, po którym na podłodze zostały góry świętych włosów, a ja ledwie poznałam twarz, która ukazała mi się w lustrze.

Od dzieciństwa miałam dość długie, kręcone brązowe włosy z przedziałkiem pośrodku. W szkole zwykle zaplatałam je w warkocze. Później Doll zaczęła mi kupować różne prostownice i chyba każde serum, jakie kiedykolwiek wynaleziono, ale nic nie było w stanie ich wygładzić na więcej niż dzień lub dwa. Zazwyczaj zbierałam je więc w puszysty kucyk, a kiedy chciałam wyglądać bardziej elegancko, spinałam je w kok i traktowałam dużą ilością lakieru. Wszyscy mówili wtedy, że wyglądałam jak moja mama. Cieszyłam się, bo mama była atrakcyjną kobietą, ale pewnie chodziło o to, że się postarzam.

Teraz moje odbicie pokazywało młodą dziewczynę. Po interwencji nożyczek puszysta chmura włosów zmieniła się w lśniące loki, okalające mi twarz i podkreślające oczy, które nagle wydały się o wiele większe. *Garçonne*, powiedział Shaun. Sprawdziłam w słowniku – to styl chłopięcej, nieco elfiej urody.

Następnie poszliśmy do makijażystki grupy tanecznej Kevina, która wyregulowała mi brwi i pokazała, jak podkreślać kości policzkowe. Ostatnim krokiem były zakupy – Shaun wziął na siebie rolę mojego osobistego stylisty i dodał mi pewności siebie w mierzeniu ubrań, o jakich wcześniej nawet nie myślałam. Pod koniec czułam się jak inna osoba. Może miała z tym coś wspólnego amerykańska rozmiarówka, bo nigdy wcześniej nie nosiłam S.

Jednak przy obcasach zaprotekowałam. W Stanach jest inaczej, bo wszyscy są wysocy. Przeczuwałam, że Dave i tak będzie miał problem z przyzwyczajeniem się do moich nowych krótkich sukienek, taliowanych marynarek i rurek nad kostkę. Co dopiero, gdybym jeszcze była od niego wyższa.

– Kto to jest Dave? – zainteresował się Shaun.

To pewnie dość znaczące, że do tej pory ani razu nie wspomniałam o narzeczonym – choć nie mieliśmy jeszcze wyznaczonej daty ślubu.

– Dave to Music Man – wtrąciła Hope, jakby to wszystko tłumaczyło.

Wieczorem usiadłam z Shaunem na tarasie. Popijaliśmy cosmo i patrzyliśmy na rozmigotaną siatkę ulic, rozciągającą się w dali. Czułam się jak w „Seksie w wielkim mieście”. Kieliszki były wypełnione lodem, a limonka i sok żurawinowy miały świeży, kwaśny smak, więc nie czułam za bardzo alkoholu i chyba trochę za szybko wypiałam więcej, niż należało.

– Wychodzisz za tego Dave'a? – zapytał Shaun.

– Jest bardzo miły. Ma własne mieszkanie w Herne Bay i vana. Wszyscy go lubią...

Wbiłam wzrok w ścianę sąsiedniego budynku. Za każdym oknem rozgrywa się jakiś mały dramat, pomyślałam. Tysiące, dziesiątki tysięcy małych

dramatów. Kochałam wielkie miasta.

– Ale? – Shaun pochylił się, żeby dolać mi drinka.

Czy to naprawdę było tak oczywiste?

Westchnęłam.

– Wiesz, nie mogę powstrzymać tej głupiej myśli, że powinno być coś więcej. Wiem, że pewnie nic w życiu nie jest takie wspaniałe, jak mi się wydaje, ale chciałabym sama się przekonać. Dla Doll wszystko jest w porządku, bo spróbowała tego wspaniałego życia, a teraz ma pracę, którą uwielbia, ale czemu miałabym jej wierzyć na słowo?

Shaun nic nie powiedział.

– Ale z drugiej strony – sprzeciwiłam się samej sobie – kocham Dave'a. Wszyscy go kochają. Jest częścią rodziny. Nawet tata go lubi. I Anne. Co Hope by bez niego zrobiła? Nawet nie chcę o tym myśleć. Więc... Nie wiem, czemu nie mogę po prostu się z tym pogodzić, żeby wszyscy byli zadowoleni...

Jeśli chciałam usłyszeć potwierdzenie, to nie było sensu oczekiwać go od Shauna.

– To nie jest wina Dave'a – spróbowałam wyjaśnić. – Kocha mnie. Ale problem w tym, że on mnie tak naprawdę nie zna!

– A czego o tobie nie wie?

Pociągnęłam kolejny porządny łyk cosmo.

– Kiedy Dave po raz pierwszy mnie zobaczył, byłam w pracy, otoczona dziećmi. Wiesz, jakie one są, wszystkie na raz się wokół ciebie tłoczą, ciągle czegoś od ciebie chcą, mają coś do powiedzenia. Więc w oczach Dave'a natychmiast stałam się taką troskliwą, macierzyńską postacią, rozumiesz? Nie wiem, czy w ogóle by mnie zauważył, gdybym stała pod ścianą na jakiejś studenckiej imprezie...

Shaun milczał, dając mi przestrzeń do wyrażenia myśli, których nigdy nie wypowiedziałam.

– Dave wie, czego chce od życia: założyć rodzinę i mieszkać z nią w ładnym małym domku, a ja... A ja nawet nie chcę dzieci!

Wciąż zero reakcji.

– NIGDY, PRZENIGDY nie wydam na świat dziecka – oznajmiłam. Miałam wrażenie, że powietrze wibruje od moich słów, jak w chwilę po ucichnięciu kościelnych dzwonów.

– Dlaczego? – zapytał w końcu Shaun.

– Bo nie mogę ryzykować, że umrę i je zostawię. Nie mogłabym tego nikomu zrobić!

Nagle poczułam, że po twarzy toczą mi się łzy. Nie wiedziałam, skąd się wzięły.

– Wychowywanie dziecka jest przerażające, wiesz? Bez przerwy paraliżuje

mnie strach, bo co by się stało z Hope, gdyby mnie zabrakło?

Teraz już dławiłam się łzami.

– Mama musiała o tym myśleć, prawda? Więc dlaczego, do cholery, nie poszła się zbadać? To było takie samolubne z jej strony, i naprawdę nie potrafię jej wybaczyć. Co ona sobie wyobrażała? Że co z nami będzie?

Nie mogłam już dłużej kontrolować płaczu. Szloch wstrząsał całym moim ciałem, zagłuszając szum samochodów daleko w dole.

– Przepraszam, mamó! Wiem, że nie chciałaś... Tak bardzo mi przykro!

Poczułam, że Shaun stoi za mną. Łagodnie położył mi dłoń na plecach, przez co zaczęłam jeszcze gwałtowniej zanosić się płaczem, bo on był taki kochany, a za dwa dni wrócimy do domu i nie będę już mogła z nim rozmawiać, i nawet nie będę już miała wakacji, na które mogłabym się cieszyć.

A potem nagle wzięłam głęboki wdech. Koniec łez.

Pewnego lata, kiedy byliśmy jako dzieci w Irlandii, zrobiliśmy na plaży małą tamę, odprowadzającą wodę do dołka. Do końca wakacji dołek zdążył się zmienić w wielkie jezioro. Stanęliśmy nad nim wszyscy. Tata odliczył, raz, dwa, trzy, a potem rozbiliśmy piaskową ścianę i cała woda chlusnęła z powrotem przez plażę do morza. Nagle piasek z powrotem zrobił się gładki, woda z naszego jeziora połączyła się w jedno z morzem, a ja wpatrywałam się w słońce znikające za horyzontem i czułam dziwny smutek, jakbym straciła jakąś małą część mojego życia.

– Powinnam już mieć przepracowany etap złości, nie?

– Tess, żałoba to proces, a nie lista punktów do odhaczenia.

– Tak naprawdę nie jestem zła na mamę. Kochałam ją najbardziej na świecie. Po prostu żałuję, że myślała o innych, a nigdy o sobie, bo to w niczym nie pomogło. Hope jej potrzebowała...

– I ty też?

– Tak, ale nie potrzebowałabym jej tak bardzo, gdyby nie umarła!

– Tess, czasami jesteś prawie tak pedantyczna jak Hope!

Kiedy mowa o naturze i wychowaniu, ludzie często zapominają, że wychowanie działa w dwie strony. Oczywiście, dzieci naśladową dorosłych, ale nikt nie wspomina, że dorośli też naśladową dzieci. Te wszystkie zabawne powiedzonka, które na stałe wchodzą do rodzinnego języka, pochodzą od dzieci, prawda? Więc jeśli ja i Hope jesteśmy w jakiś sposób podobne, to może być genetyczne, a może po prostu trochę przejęłam od niej.

– Spróbujemy to nieco rozpakować? – zaproponował Shaun. Często używał tego słowa, „rozpakować”, i nie chodziło mu o walizki. Skinęłam głową. – Wydaje mi się, że twój największy problem to lęk przed śmiercią. Uważasz, że umrzesz młodo, bo przydarzyło się to twojej mamie?

– Jej matce też...

– Możesz zrobić jakiś test genetyczny?

– Tak. – Czytałam niedawno artykuł na ten temat. – Ale tylko dziesięć procent ludzi zapada na raka z przyczyn genetycznych. A według obecnych wytycznych nie robią ci testu, jeśli nie ma dowodów, że ktoś z bliskiej rodziny był nosicielem zmutowanego genu...

Poszłam z tym do lekarza. Miła internistka, która zwykle mnie leczyła, była na macierzyńskim, więc przyjął mnie starszy lekarz rodzinny, który znał mnie od dziecka – i nadal tak mnie traktował.

– Ile masz teraz lat, Tess? – zapytał, zaglądając w moją kartę. – Dwadzieścia cztery! Jesteś stanowczo za młoda! Testy genetyczne niosą ze sobą mnóstwo poważnych konsekwencji...

Czasami boimy się pytać o straszne rzeczy, takie jak „poważne konsekwencje”, bo myślimy, że mówiąc coś na głos, przywołamy to do życia. Zamiast tego zapytałam więc:

– To ile powinnam mieć lat?

– Pomyślimy znowu, kiedy będziesz po trzydziestce i zdążysz założyć rodzinę. Ciesz się życiem, Tereso! Nie martw się tak!

– To jakiś obłąd – powiedział Shaun. – Jeśli można zrobić test, powinnaś się go domagać. A co sądzi Dave?

– Uważa, że lekarz chyba wie, o czym mówi. Pewnie ma rację.

Ten lekarz nie zdiagnozował u mamy raka jajnika, ale nie leczyła się u niego, więc nie mogłam go winić. Moja dotychczasowa pani doktor powiedziała, że dzięki pigułkom przynajmniej ten rak mniej mi zagraża.

– Mówiłaś Dave'owi, że nie chcesz mieć dzieci?

– Nie – przyznałam.

– Czemu?

– Bo powiedziałby, że teraz tak sądzę, ale mi się odmieni.

– A gdyby powiedział: „Tess, ja też nie chcę dzieci. Chcę tylko być z tobą”?

– Nie powiedziałby tak. – A gdyby jednak? – Shaun spojrzał mi głęboko w oczy. – Nie wiem – wyznałam. Ale nagle wszystko wydało się dużo bardziej oczywiste.

Ostatniego wieczoru poszliśmy we trójkę na balet „Romeo i Julia”, w którym występował Kevin. Wprawdzie nie grał Romea, ale dostał rolę Benwolia i miał duże solo w drugim akcie. Kev miał fantastyczną technikę, ale najbardziej mi się podobało, kiedy nadawał roli naturalnego, chłopięcego rysu, wygłupiając się i przekomarzając z przyjaciółmi, Merkucjem i Romeem. Przypomniało mi się, jak grał z Brendanem w piłkę w ogrodzie za domem, i zebrało mi się na płacz, bo gdyby tata go teraz widział, przekonałby się, że taniec wcale nie jest niemęski, i byłby naprawdę dumny ze swojego pierworodnego syna. Wiedziałam też, że gdzieś głęboko w środku właśnie tego Kev pragnął najbardziej na świecie.



Spróbowałam mu to powiedzieć na bankiecie po spektaklu, ale to nie to samo, kiedy ktoś inny to mówi, prawda? Zwłaszcza jeśli to jest młodsza siostra.

A tak na marginesie, występował w peruce.

Nigdy nie widziałam Hope tak podekscytowanej jak po powrocie do domu, kiedy opowiadała tacie i Anne o wycieczce. Oczywiście, zapamiętała inne rzeczy niż ja, na przykład dźwięk pociągów metra wjeżdżających na stację, czego ja w ogóle nie zauważyłam, albo sposób, w jaki Amerykanie wymawiają słowo „kawa”. Odśpiewała im piosenki ze wszystkich musicali. Tata nie wierzył, kiedy mu powiedziała, że byłyśmy na Broadwayu dziewięć razy, choć przecież powinien wiedzieć, że Hope nie potrafi kłamać.

– A kto za to wszystko płacił? – zapytał, patrząc na mnie badawczo.

– Shaun załatwił nam wejściówki – odparłam pewnym głosem. Szczerze mówiąc, nie wiedziałam, czy to znaczyło, że dostał je za darmo, ale przynajmniej tata się zamknął.

– Shaun i Kevin są jacyś dziwni – powiedziała nagle Hope.

A już sądziłam, że udało się bezpiecznie ominąć to pytanie.

Niemal poczułam, jak pokój wypełnia lodowate zimno. Ojciec posłał mi mordercze spojrzenie w oczekiwaniu na ostateczny dowód, że jego najmłodsza córka została bezpośrednio narażona na zetknięcie ze śmiertelnym grzechem.

– Mają kuchnię na górze! – wyjaśniła moja siostra.

Dave stał przed restauracją i rozmawiał przez telefon, więc nie zauważył, że się zbliżam. Przez chwilę zobaczyłam go tak, jak mógłby wyglądać w oczach nieznamych. Miał na sobie granatową koszulkę polo i dopasowane dzinsy. Wyglądał bardzo męsko i dość seksownie. Cała pewność siebie, jaką przywiozłam z Nowego Jorku, zaczęła się ulatniać. Czy naprawdę chciałam zrezygnować z tego cudownego mężczyzny w pogoni za mglistą nadzieją, że gdzieś czeka na mnie coś lepszego? W Nowym Jorku łatwo było marzyć, ale tu było moje prawdziwe życie. Dave mnie kochał i się o mnie troszczył, i nagle wydało mi się to tak drogocenne, że nie pojmowałam, jak mogłabym z tego zrezygnować. Może po prostu potrzebowałam tych kilku dni, żeby nabrać nieco dystansu.

Usłyszał, jak biegnę w jego stronę, podniósł wzrok i schował telefon do kieszeni.

– Łał! – Zmierzył mnie wzrokiem. – Ale się zmieniłaś!

– Podoba ci się? – Obróciłam się dookoła.

– Świetnie.

Szczerze mówiąc, spodziewałam się czegoś więcej.

Cmoknęliśmy się szybko, niemal z zażenowaniem. Minął zaledwie tydzień, ale zachowywaliśmy się, jakbyśmy zapomnieli, co należy robić.

Usiedliśmy przy stoliku. Wręczyłam mu czapkę Yankees, którą mu przywiozłam. Założył ją na chwilę, a potem od razu zdjął.

– Na co masz ochotę? – Otworzył menu.

Trochę żałowałam, że poszliśmy na pizzę, bo w Nowym Jorku była o wiele lepsza. Złapałam się na trajkotaniu o tym bez końca, pewnie przez *jet lag*.

– Coś na początek? – zapytał, wołając kelnerkę.

– Nie, dzięki.

Czułam się prawie jak na naszej pierwszej randce, kiedy bardzo chciałam zrobić na nim wrażenie, ale nie wiedziałam, o czym należałoby rozmawiać. Obiecałam sobie, że nie będę wspominać o planach zmiany pracy i o pisaniu, dopóki sprawy nie nabiorą tempa, ale i tak wszystko wypaplałam.

– Kurs kreatywnego pisania? – powtórzył Dave.

– Żeby zobaczyć, czy się nadaję.

– A po co miałybyś to robić?

– Bo myślę, że mogłabym się w tym realizować intelektualnie. – Trochę się zjeżyłam, całkiem jak Kev.

– Ty i te twoje wielkie słowa!

To zdanie zawisło między nami.

– Dużo widywałeś się ostatnio z Doll? – zapytałam, myśląc o instalacji, którą zakładał w jej nowym salonie, ale Dave miał tak otwartą twarz, że od razu wszystko z niej wyczytałam. Po pierwsze, owszem, widywał się, a po drugie, pomyślał, że chodzi mi o coś więcej niż remont.

– Ty i Doll...? – Głos mi się załamał.

Zostawiłam jej wiadomość na sekretarce, że wróciłyśmy, ale nie oddzwoniła od razu, żeby o wszystko zapytać.

– Przykro mi, Tess...

– A gdybym nie zapytała, to powiedziałabyś mi, czy dalej byście to robili za moimi plecami?

– To nie tak, jak myślisz...

– Niby jakim cudem?

– To jest na poważnie.

Miał rację. O tym w ogóle nie pomyślałam. Sądziłam, że to przelotny romans. Nie wiedziałam, czy tak było lepiej czy gorzej.

Wszystko wydawało się trochę nierealne, jakbym grała w filmie i teraz zgodnie ze scenariuszem należało zapytać:

– Jak długo to już trwa?

– Tylko ten tydzień. Pracowaliśmy do późna, żeby przygotować wszystko na czas w salonie i...

Podniosłam rękę, żeby mu przerwać. Nie miałam ochoty słuchać szczegółów.

– Tylko tydzień i mówisz, że to na poważnie? – zapytałam, naśladując jego żarliwy ton.

– Ale przecież znamy się z Doll od lat, nie? Nie żebym kiedykolwiek myślał, że to możliwe...

Co sugerowało, że oczywiście każdy zdrowy na umyśle mężczyzna wybrałby Doll zamiast mnie. Na jego twarz wypłynął uśmiech – może myślał o seksie albo o czymś innym, w czym była lepsza ode mnie.

– Na litość boską! – wykrzyknęłam.

Nic więcej nie przychodziło mi do głowy, więc gwałtownie odsunęłam się na krześle i wyszłam, zostawiając go z rachunkiem. Pół godziny temu czułam się taka dorosła, z nową fryzurą i ubraniem. Ale teraz siedziałam w autobusie do domu i wydawało mi się, że cofnęłam się w czasie do pierwszej szkolnej dyskoteki, kiedy patrzyłam, jak wszyscy chłopcy przestępują z nogi na nogę i zbierają się na odwagę, żeby zaprosić Doll do tańca, a ja stałam obok, ale równie dobrze mogłabym w ogóle nie istnieć.

Wielkie niebieskie oczy Doll rozwarły się szeroko, kiedy otworzyła drzwi. Zrozumiałam, że spodziewała się Dave'a. Umówili się, że zamelduje się u niej po wszystkim? Zamierzali usiąść i omówić moją reakcję, czy od razu polecieć na górę się pieprzyć?

– To samo się stało... – zaczęła Doll.

– Jak?

– Naprawdę chcesz wiedzieć?

– NIE!

Zdenerwowała się, widząc moją rozdzierającą udrękę. Dotknęła mojego ramienia.

– Chodź do środka, porozmawiamy.

Odrzuciłam jej dłoń.

– O czym niby miałybyśmy rozmawiać? – zapytałam gorzko.

– Tess, nie każ mi wybierać! – jęknęła.

– Nawet nie próbuj udawać biednej ofiary i robić ze mnie harpię!

– Harpię?

– Jędzę.

– Przykro mi – powiedziała. – Wiedziałam, że będziesz zła, ale myślałam...

– Co? Że dam ci błogosławieństwo? – Nagle ogarnęła mnie furia. – Nie ma sprawy, Doll, weź sobie mojego narzeczonego! Rób, co chcesz. Zresztą, jak zawsze. Zawsze chcesz tylko brać, brać, brać, nie? Poproszę to, i to, w obu kolorach, ktoś inny zapłaci...

– Ty wstrętna krowo! – oburzyła się Doll. – Co ja ci niby kiedykolwiek zabrałam?

– Moje prace domowe, moje pomysły... Mojego narzeczonego, do cholery!  
– wrzasnęłam.

– Przecież i tak go nie chciałaś!

Na to już nic nie mogłam odpowiedzieć, a ona zdawała sobie z tego sprawę. Ta gotowość, by wykorzystać sekrety, które jej powierzyłam w najgłębszym zaufaniu – to była ostateczna zdrada.

– Nie idź! Tess, proszę! – Doll pobiegła za mną. – Jeszcze spełnisz swoje marzenia, wiem o tym...

– Co? – Odwróciłam się gwałtownie i spojrzałam jej w twarz. – Żebyś mogła mi je ukraść?

– To nie fair! – Zatrzymała się.

Szłam, na wpół licząc, że będzie za mną biegła. Ale tego nie zrobiła. I nie przyszła później do nas do domu. Już raz się kiedyś poważnie pokłóciłyśmy. Miałyśmy wtedy osiem lat. Nie rozmawiałyśmy przez całe wakacje po tym, jak Doll oznajmiła nagle, że od teraz Cerise McQuarry jest jej najlepszą przyjaciółką.

– Lepiej by ci było bez niej – rozbrzmiały mi w głowie słowa mamy.

Wszystko świetnie, ale teraz zostałam już całkiem sama, odparłam jej w myślach.

## CZEŚĆ TRZECIA

**2005**

**GUS**

– Polecałbyś rodzicielstwo? – zapytał Marcus.

Patrzyliśmy, jak moja córka Flora sięga do wody, stojąc nad brzegiem w samej pieluszcze i maleńkich różowych bucikach z gumy. Przykucnęła, demonstrując niesamowity zmysł równowagi, którego dzieci uczą się, kiedy tylko zaczynają chodzić, i nabrała wody w plastikowe żółte wiaderko.

Marcus zaprosił nas na niedzielny obiad na północne wybrzeże Kentu. Niedawno kupił przerobioną na domek letniskowy chatę rybacką w Whitstable, żeby mieć gdzie wyjeżdżać na weekendy ze swojego loftu w dawnej fabryce materacy w Clerkenwell. W perspektywie czekało go partnerstwo w dużej firmie prawniczej w City, ale już teraz dobrze mu się powodziło. Premie, na których widok innym mogłoby się zrobić słabo, inwestował w ciekawe nieruchomości. Bez wątplenia odniósł większy sukces ode mnie – wiedziałem, że pewnie nigdy mu nie dorównam – ale ja już byłem ojcem. W naszej niepisanej rywalizacji nigdy nie było wrogości, ale zawsze się ścigaliśmy, jakbyśmy prowadzili nieustanny audyt, porównując się do siebie.

– Bez najmniejszych wątpliwości – odparłem.

– Ale nie hamuje cię to przed robieniem różnych rzeczy? – Podniósł kamyk i zamachnął się, rzucając go do wody. Patrzyliśmy, licząc w milczeniu. Raz, dwa, trzycztery pięć sześć siedem.

Miałem ochotę odpowiedzieć, że już nie uprawiamy seksu w łoży, kiedy idziemy do opery. Ale wiedziałem, że to nie byłaby przyjacielska rywalizacja, tylko zwykłe przechwałki.

Znalazłem kamień i posłałem na wodę. Siedem.

– Wiesz co, przestajesz myśleć w taki sposób. Twoje potrzeby nie są już takie ważne w porównaniu z tym, czego potrzebuje twoje dziecko.

– To znaczy? – Marcus był dobrze wytrenowany w podważaniu dowodów.

Wybrałem kolejny kamień, ale zrezygnowałem, bo nie był dość płaski. Zamyśliłem się, szukając odpowiedniego przykładu.

– Zawsze myślałem, że kiedy wreszcie zacznę zarabiać, pojedziemy na wakacje do Włoch. Ale Flora nie bawiłaby się zbyt dobrze, łażąc po kościołach. Tutaj jest jej równie dobrze jak w spa na Malediwach – dodałem, bo taką wizję odpowiednich wakacji miała Charlotte, dopóki nie wyobraziła sobie dziesięciu godzin w samolocie z Florą.

– Więc nie żałujesz?

– Ani trochę – potwierdziłem stanowczo, choć nie byłem pewien, jak by zareagował na informację, że żałuję jedynie powrotu do pracy po urlopie ojcowskim, który wziąłem, kiedy przenosiłem się z praktyki w szpitalu do przychodni.

Nie spodziewałem się, że tworzenie ciepłego, przytulnego domu będzie mi dawać tyle satysfakcji. Dwa razy w tygodniu chodziłem na spotkania dla matek z dziećmi, gdzie śpiewaliśmy „Koła autobusu kręcą się”, a nasze zdumione maluchy siedziały nam na kolanach, pozwalając, żebyśmy kręcili ich rączkami w rytm muzyki. Popołudniami uwielbiałem robić zakupy na targu, kiedy sprzedawcy już się pakowali, i pokazywać Florze wszystkie rzeczy, które zjadła Bardzo Głodna Gąsienica. Przyzwyczailem się, że codziennie gotuję Charlotte coś pysznego na obiad, a kiedy Flora zaczęła jeść stałe pokarmy, sumiennie miksowałem jej organiczne papki z warzyw i owoców. Kiedy zacząłem przynosić na spotkania matek z dziećmi ciasteczka domowej roboty, stałem się „ulubieńcem gorących mamusiek”, jak powiedziała Charlotte.

– Oczywiście, brakuje starych przyjaciół – przyznałem, zastanawiając się, czy o to chodziło Marcusowi. Widzieliśmy się zaledwie drugi raz od narodzin Flory.

Przez kilka pierwszych miesięcy tylko z Nash widywałem się w miarę regularnie, bo miała sporo wolnego czasu za dnia. Spacerowaliśmy więc często po Battersea Park z wózkiem. Ale teraz dostała rolę w amerykańskim serialu o lekarzach i wyjechała do Los Angeles.

– A jak w pracy? – zainteresował się Marcus.

– W porządku. Wiadomo, muszę się ostro uczyć.

Trudno mi było zostawić dziecko z obcą osobą, ale musiałbym oszaleć, żeby nie zdobyć uprawnień po tylu latach ciężkiej pracy. Zatrudniliśmy więc nianię: Kasię, absolwentkę filozofii z Polski. Nie miała żadnych oficjalnych kwalifikacji, ale była inteligentna, odpowiedzialna i chciała ćwiczyć angielski, więc Flora spędzała z nią teraz mnóstwo czasu na nowych zajęciach, takich jak pływanie czy aerobik dla niemowląt. Charlotte pewnie miała rację, kiedy powiedziała, że będę tęsknić za Florą dużo bardziej niż ona za mną.

Bez świadków, wśród kojącego szumu fal rozbijających się o kamienistą plażę, przez moment miałem ochotę wyznać Marcusowi, że nie znoszę pracy w przychodni, ale się powstrzymałem. Czułem coś w rodzaju lojalności wobec Charlotte. To ona podsunęła mi ten pomysł w drodze powrotnej z Nowego Jorku. Praca w przychodni byłaby bardziej elastyczna, prawda? Kto mógłby się oprzeć nowym kontraktom w przychodniach, przy których wypłata lekarza w szpitalu wyglądała jak napiwek? Czy nie miałoby więcej sensu, gdybym to ja poszedł na urlop rodzicielski? Niestety, okazało się jednak, że podejmowanie decyzji

o zdrowiu tłumów ludzi, których widziałem pierwszy raz w życiu, to jakiś koszmar. Spędzałem stanowczo za dużo czasu z każdym pacjentem, co prowadziło do coraz dłuższych kolejek w poczekalniach, irytacji kolegów i siedzenia po godzinach dłużej, niż mogłem czy chciałem.

Marcus rzucił kolejny kamień. Jedenaście, może dwanaście kaczek.

Pochyliłem się, żeby podnieść muszlę ostrygi, wygładzoną przez morze.

– Florku, chodź, zobacz! Muszelka.

– Selka – powtórzyła Flora.

– Nie do buzi, Florku. To ostre – ostrzegłem.

– Osle.

– Pokażemy ją mamie?

– Wiadelko.

– Dobry pomysł. Zbierzemy muszelki do wiaderka i zawieziemy do domu, do naszego ogrodu w Londynie, co?

– Jestem sobie ogrodnicka... – zaśpiewała Flora, bez żadnej konkretnej melodii.

– Mam nasionek pół koszyczka! – dołączyłem, uradowany, jak spontanicznie skojarzyła naszą rozmowę z piosenką.

Marcus patrzył na mnie, jakbym oszalał.

– Macie ogród w Wandsworth?

– Malutki.

Nasze życie na Charlotte Street było jak unoszenie się w powietrzu. Dom w Wandsworth ściągnął nas na ziemię. Wybraliśmy tę okolicę, bo to było jedno z niewielu miejsc, gdzie młode, ambitne rodziny z klasy średniej stać było na dom. Za oknem widać było niekończący się strumień młodych rodziców pędzących z dziećmi w designerskich sportowych trzykołowych wózkach, takich jak nasz. Ale ulica była ponura, a nasz bliźniak ciemny w środku.

– To czemu się nie przeprowadzicie?

– Bo nie stać nas na dom w dzielnicach, które nam się podobają. Musimy poczekać, aż zacznę zarabiać pełną stawkę w przychodni. Wy raczej nie będziecie mieli tego problemu – dodałem, domyślając się, skąd te wszystkie pytania. Niedawno Marcus ożenił się z Keiko, ekonomistką specjalizującą się w bankowości. Pewnie analizowali w swoich praktycznych umysłach plusy i minusy posiadania dzieci.

– A seks? – Marcus zniżył głos, żeby upewnić się, że Flora nie usłyszy.

Przez chwilę poczułem się tak, jakbyśmy znów byli w liceum, kiedy seks wydawał się wyjątkowym przywilejem, którym może kiedyś nas zaszczyca tajemnicza płeć przeciwna, jeśli będziemy mieć dość szczęścia.

Seks z Charlotte wciąż był świetny. Tylko już nie tak częsty jak kiedyś, i nigdy poza domem. Teraz, jeśli robiliśmy to, słuchając „La Bohème”, to z płyty,



a nie na żywo podczas koncertu.

– To zabawne, ale seks też przestaje być taki ważny – odparłem. To był błąd, bo zabrzmiało tak, jakbyśmy już w ogóle go nie uprawiali.

Marcus się skrzywił.

– Ale jesteście szczęśliwi z Charlotte?

Zawahałem się. To słowo nie pasowało do Charlotte. Codziennie rano czułem zachwyt i oszołomienie, widząc ją obok siebie, ale gdybym zapytał, czy jest ze mną szczęśliwa, pewnie zbyłaby mnie śmiechem, jakby miała ważniejsze rzeczy na głowie niż takie bzdury. Ale nie wątpiłem, że łączy nas szczególna więź – miłość do Flory.

Każdy rodzic sądzi, że jego dziecko jest wyjątkowe, ale Flora była zarówno niezwykle piękna, jak i rozwinięta – to były fakty. Większość rodziców szybko przestaje wypełniać tabelki w książeczce rozwoju dziecka albo ją gubi, ale my uzupełnialiśmy ją na bieżąco. Flora osiągała wszystkie cele rozwojowe sporo przed czasem. Zaczęła chodzić przed pierwszymi urodzinami, a w wieku osiemnastu miesięcy miała już na tyle bogate słownictwo, że potrafiła poprosić praktycznie o wszystko, czego chciała. Odziedziczyła kruczoczarne włosy i urodę matki i moje niebieskie oczy. To oszałamiające połączenie sprawiało, że wszyscy się nią zachwycali.

– Mama, ładna muselka! – wykrzyknęła Flora, widząc Charlotte i Keiko zbliżające się ku nam po plaży. Niosły siatki z ostrygami, kupionymi od rybaków.

– Śliczna, kochanie – odparła Charlotte, podnosząc nasze dziecko. Żałowałem, że nie mam aparatu, żeby uchwycić te dwie tak podobne twarze, uśmiechające się jedna tuż przy drugiej, z ciemnymi włosami rozwianymi przez wilgotną bryzę.

Marcus i Keiko znacznie rozbudowali rybacką chatę i wyremontowali – całość była utrzymana w nowocześnie minimalistycznym stylu, z ogromnymi oknami i otwartymi schodami, które wyglądały jak wyjęte prosto z kolorowego magazynu, ale dla małego dziecka były równie kuszące, co niebezpieczne. Z przerażeniem zarejestrowałem grudki mokrego piasku, wcierane przez buciki Flory w drogi dywan.

– To wspaniałe, móc spędzić trochę czasu z dorosłymi, którzy nie rozmawiają o pieluchach! – oznajmiła Charlotte, przyjmując od Marcusa kieliszek szampana Taittinger i wyciągając się na sofie, obitej aksamitem w kolorze bladego turkus, który zaczynał niebezpiecznie przyciągać uwagę Flory. – Jesteśmy ostatnio tacy nudni, co, Angus?

Na ustach Marcusa zatańczył lekki uśmiech rozbawienia. W reflektorach uwagi mojej żony nagle zobaczyłem go nie jako przyszczatego nastolatka, z którym przyjaźniłem się w szkole, ale jako atrakcyjnego, bogatego mężczyznę, którym się stał. Kiedy Charlotte poznała mojego przyjaciela, był już czarującym, bogatym

prawnikiem. Zauważyłem błysk uznania w jej oku, kiedy zaparkowałem obok jego porsche.

– Mama je muselkę – powiedziała Flora, widząc, jak Charlotte przechyla muszlę ostrygi wprost do gardła.

– To ostryga, kochanie – odparła.

– Muselka, selka, selka! – zawołała Flora, wrywając małą rączkę z mojej dłoni.

– Z taką siłą przebicia zrobi karierę na giełdzie! – skomentował Marcus, obracając małe przedstawienie naszej córeczki w żart.

– No chodź, spróbuj... – Charlotte wzięła z talerza kolejną ostrygę i podała Florze odrobinę do buzi. Mała natychmiast wszystko wypluła, o włos mijając turkusowe obicie kanapy.

– Osle! – zaprotestowała.

Byłem zachwycony, że zapamiętała nowe słowo, oznaczające niebezpieczeństwo, i natychmiast wykorzystała je, żeby zasygnalizować smak, który jej nie odpowiadał.

Ustawiłem jej małe plastikowe krzeselko i stolik w kuchni, żeby zjadła obiad, podczas gdy pomagałem Keiko przygotować posiłek dla dorosłych.

– To japoński przepis? – zapytałem, wyciskając limonki i patrząc, jak wyjmuje kabryla z lodówki.

– Jamie Oliver. – Uśmiechnęła się lekko.

W salonie rozmowa toczyła się nieco głośniej, pozornie po to, żebyśmy nie czuli się wykluczeni.

– Wenecja! Ależ z was szczęściarze! – zachwyciła się Charlotte.

– Będziemy tam na Biennale – odparł Marcus.

– Zawsze chciałam pojechać na Biennale! Angus! Może pojedziemy na Biennale? Kasia na pewno by sobie poradziła...

Nie wyobrażałem sobie, że mógłbym zostawić Florę i polecieć za granicę, ale nic nie powiedziałem, bo gdybym zaprotestował, Charlotte jeszcze bardziej by się uparła.

– Caroline byłaby zachwycona, Angus! Nie rozumiem, czemu ludzie tak demonizują teściowe. Moja jest aniołem! – oznajmiła Marcusowi.

Niechęć matki wobec naszego małżeństwa wyparowała zaraz po narodzinach Flory. Mała wygląda zupełnie jak Ross w dzieciństwie, oznajmiła, pojawiając się bez zapowiedzi u nas w domu dzień po tym, jak zadzwoniłem ze szpitala i powiadomiłem ją, że została babcią.

– Też tak pomyślałam – zgodziła się Charlotte.

– Przynajmniej nie jest ruda! – dodała matka.

– Całe szczęście!

– Tak, nie przejmujcie się mną – wtrąciłem.

– U dziewczynki to co innego, Angus! – zaprotestowały zgodnym chórem.

Nie mogłem zaprzeczyć, że dodatkowa opiekunka do dziecka się przydawała, bo Kasia nie pracowała w weekendy, ale mimo starań o przyjęcie obecności matki w naszym życiu, nie mogłem do niej przywyknąć. W jej towarzystwie czułem, jakbym tylko przeszkadzał. Szczególnie nie znośłem, jak mówi o Florze w pierwszej osobie, w dodatku w liczbie mnogiej, jakby wiedziała dokładnie, co sądzi moja córka – zwłaszcza że te „myśli” Flory były po prostu wymówką do wygłaszania jej prywatnych opinii.

– Lubimy marcheweczkę, co? Ale nie lubimy *ratatouille*, nie. Sądzymy, że tata dodaje za dużo czosnku do jedzenia, prawda?

– Może wzięlibyśmy Florę ze sobą do Wenecji? – zaproponowałem z kuchni.

– Widzisz, o czym mówię? – Charlotte zwróciła się do Marcusa porozumiewawczo. – On kompletnie nie rozumie, w czym rzecz!

– Raczej nie znaleźlibyście teraz porządnego hotelu. – Marcus szlachetnie stanął po mojej stronie, zamiast dołączyć do pretensji Charlotte. – Musieliśmy zrobić rezerwację kilka miesięcy temu.

– Lubisz sztukę współczesną? – zapytałem Keiko, próbując nawiązać z nią oddzielną rozmowę.

– Tak.

Nie wiedziałem, czy nie czuje się pewnie w angielskim, czy po prostu jest z natury małomówna. Czy w związku jedna strona zawsze dominuje nad drugą? Czy Marcus poradziłby sobie z kimś takim jak Charlotte?

– Popilnujesz małej przez chwilę? Muszę przynieść rzeczy do przewijania z samochodu – poprosiłem Keiko.

Kiedy wróciłem, siedziała w kucki przy krzeselku Flory, robiąc „a kuku!” zza zasłony swoich lśniących czarnych włosów, ku uciesze mojej córeczki, która próbowała złapać je umazanymi sosem pomidorowym łapkami, piszcząc:

– Ki-ko, Ki-ko!

– Dużo tych gratów, co? – skomentował Marcus, przyglądając się, jak niosę Florę i torbę na górę.

– Boom ekonomiczny w Chinach to chyba wyłącznie nasza zasługa. Tyle mamy plastiku w domu! – wtrąciła Charlotte.

Marcus wstał i poszedł ze mną.

– Chcesz spróbować? – zaproponowałem, rozwijając na łazienkowej podłodze matę do przewijania.

– Jak się domyśliłeś?

– Jestem lekarzem.

– Dzięki, ale mowy nie ma, dopóki nie będę miał wyjścia – uśmiechnął się żałośnie.

– Jak sądzisz, myślą o dziecku? – zapytała Charlotte w drodze do domu.

– Ona już jest w ciąży.

– Poważnie?

Czasami myślałem, że Charlotte dobrze wybrała, zostając chirurgiem, bo dużo lepiej rozumiała ludzi, kiedy byli pod narkozą. Wtedy mogła ich rozciąć i obejrzeć od środka.

– Jak myślisz, powinniśmy mieć jeszcze jedno?

– Dziecko? – upewniłem się, oszołomiony.

– Nie, koło w samochodzie. A myślałeś, że o czym niby mówię? – odparła kwaśno.

– Łał.

Wiedziałem, że posiadanie tylko jednego dziecka jest uważane za coś nie w porządku albo za przejaw egoizmu. Kiedy wychodziłem z Florą, zawsze słyszałem: „To pierwsze dziecko?” – co sugerowało, że będzie więcej. Kilka „gorących mamusiek” z mojej grupy już było w drugiej ciąży, ale nigdy nie przyszło mi do głowy, że my też moglibyśmy mieć kolejne dziecko. Charlotte swobodnie przyznawała, że nie ma zbyt wiele instynktu macierzyńskiego. Nie wyobrażałem sobie, że chciałyby znów zająć w ciążę.

Może też nie byłem tak dobry w „czytaniu” ludzi.

– Dobrze by było, żeby Flora miała z kim się bawić, co? – przekonywała.

Nie byłem pewien, czy Charlotte próbuje wymóc na mnie pozytywną odpowiedź, czy czeka na zapewnienie, że Flora bardzo dobrze poradzi sobie w pojedynkę. Sam się zdziwiłem, że mam tak mieszane uczucia. Narodziny Flory bez dwóch zdań były czymś najlepszym, co mi się w życiu przytrafiło, a skoro Charlotte proponowała kolejne dziecko, to chyba oznaczało, że jest zadowolona z naszego wspólnego życia. Ale czy to był dobry pomysł, wprowadzać kolejne zmiany zaraz po tym, jak udało nam się zbudować jakąś stabilność?

Zerknąłem na Florę w lusterku. Spała.

Czy będę w stanie kochać drugie dziecko równie mocno?

Zanim znaleźliśmy na naszej ulicy miejsce do parkowania, słońce zaczęło zachodzić. Zawlokłem wszystkie bagaże do domu, razem z Florą, śpiącą w foteliku. W domu było ciepło, Kasia miała wolne. Panowała przytulna atmosfera, tylko nas troje, razem.

– Masz ochotę na drinka na tarasie? – zapytała Charlotte.

„Taras” to szumna nazwa, jaką nadał tej maleńkiej powierzchni agent nieruchomości, ale miło było na nim posiedzieć w letnie wieczory, no i tylko tam mogliśmy czasem zapalić, jeśli Flora nie bawiła się w pobliżu.

– Wódka z tonikiem, proszę. – Charlotte wyjęła z torebki paczkę marlboro i posłała mi szelmowski uśmiech.

Napełniłem dwie szklanki lodem.

– Wódka się skończyła – powiedziałem, zaglądając do szafki.

– To gin.

Ginu też nie zostało zbyt wiele. Nalałem cały Charlotte i otworzyłem butelkę toniku. Zasyczał na pękających kostkach lodu.

Zabraliśmy drinki na zewnątrz i siedzieliśmy, paląc w milczeniu. Żar na koniuszkach papierosów lśnił pomarańczowo w gęstniejącym mroku.

– Jedyacy są samotni – Charlotte znów podjęła temat.

Z rodzeństwem też można być samotnym – miałem ochotę odpowiedzieć.

– Pewnie i tak nic z tego nie będzie – dodała.

– Za pierwszym razem poszło dość łatwo.

Moja cicha zgoda sprawiła, że przestrzeń między nami w jednej chwili przesycało napięcie seksualne, intensywne jak elektryczność.

Za pierwszym razem tego nie doświadczyłem, bo ciąża była ostatnią rzeczą, jakiej wtedy chciałem. Ale teraz przekonałem się, jak niesamowity jest seks, kiedy stoi za nim świadoma chęć spółdzenia dziecka. Oczywiście, jesteśmy genetycznie zaprogramowani, żeby lubić seks, ale kiedy pierwotny instynkt łączy się z intencją, powstaje nowy, niemal duchowy wymiar zbliżenia.

Po wszystkim miałem ochotę zadzwonić do Marcusa i powiedzieć mu, że owszem, seks wciąż jest tak samo ważny.

2005

TESS

Komórkę miałam od niedawna, więc wciąż panikowałam, kiedy wibrowała mi w kieszeni podczas pracy. Byłam na przerwie, a według niepisanych zasad nie wypadało trąkotać do telefonu w pokoju dla pracowników, więc wstałam i poszłam do toalety.

– Tak, słucham?

Bałam się, że dzwonią ze szkoły Hope, więc kiedy kobieta się przedstawiła, w pierwszej chwili poczułam ulgę. Ale dopiero po kilku sekundach dotarło do mnie, że to recepcjonistka ze szpitala. Po prawie czterech tygodniach oczekiwania udało mi się trochę stłumić strach, ale teraz znów uderzył z całą mocą.

– Są już wyniki? – zapytałam. Serce zaczęło mi łomotać.

Po jej rzeczowym tonie poznałam, że nic mi nie powie przez telefon. Zresztą nie musiała – skoro zaproponowała mi wizytę na dziesiątą rano następnego dnia, domyśliłam się wyniku. Po co chcieliby mnie widzieć, gdyby był negatywny?

Ale kiedy się rozłączyłam, wyobraźnia natychmiast zaczęła mi podsuwać możliwe powody wizyty: byłam w dobrych stosunkach z lekarką prowadzącą, Jane. Dużo rozmawiałyśmy, zanim zapisałam się na test. Może chciała osobiście przekazać mi dobre wieści i pogratulować przed pożegnaniem? Albo przypomnieć, że Hope też powinna się kiedyś zbadać? Może chciała omówić najlepszą strategię?

– Wszystko okej, Melonku? – Lewis puścił do mnie oko, kiedy szłam przez sklep z powrotem do kas.

Lewis był kierownikiem sekcji warzyw i owoców i było jasne, że trochę mu się podobam. Umieszczenie go w tym dziale było najgorszym możliwym pomysłem, bo zapewniało nieskończoną inspirację do żartów z podtekstem – jeśli nie banany, to ogórki, a po tym, co zrobił ze świeżą figą, większość dziewczyn straciła ochotę do brania kiedykolwiek tego owocu do ust. Ale nie był z niego zły chłopak, tylko tak się wygłupiał w dobrej wierze.

– Wszystko w porządku? – zapytała kierowniczką, kiedy poprosiłam o późniejsze godziny na następny dzień ze względu na lekarza.

– Tak, tak. Wiesz, kobiece sprawy...

W pracy panowała dobra atmosfera – raz w miesiącu chodziliśmy razem na kręgle – ale z nikim nie byłam dość blisko, żeby się zwierzać.

Pracowałam na kasie w Waitrose, odkąd go otwarto. Na rozmowie zapytali, czy nie chciałabym przeskoczyć na kierowniczkę, bo mam maturę, ale odparłam,

że nie widzę się na takiej ścieżce kariery. Chciałam zachować przestrzeń na twórcze myślenie, jak to nazwał Shaun. Poza tym w Waitrose lepiej płacili, bo to supermarket z wyższej półki, no i dorzucali bonusy dla pracowników. Oficjalnie nie byliśmy pracownikami tylko „partnerami” i każdy miał jakieś udziały w firmie – to brzmiało dużo lepiej, ale nie zależało mi specjalnie na nazwach. Odpowiadało mi za to, że miałam elastyczne godziny pracy, więc mogłam być z Hope. Chłopak pracujący przy zbieraniu wózków miał trudności w uczeniu się, więc firma rozumiała takie rzeczy.

Nie żeby Hope wciąż mnie tak bardzo potrzebowała. Jak każda nastolatka chciała być bardziej niezależna. W jej przypadku nie chodziło o przesiadywanie na automatach do gier ze znajomymi, bo raczej nie miała znajomych; bardziej o takie rzeczy jak chodzenie do szkoły bez mnie i kieszonkowe do wydawania na płyty CD i, jak podejrzewałam, słodycze w sklepiku za rogiem.

W szkole był dziś dzień otwarty dla rodziców. Na początku było trochę problemów z prześladowaniem Hope przez inne dzieci, ale teraz wszystko się już uspokoiło. Nieźle sobie radziła w nauce, z małą pomocą indywidualnego opiekuna podczas zajęć i moją – dużą – pomocą przy odrabianiu prac domowych.

Zwykle lubiłam się widywać z panią Goode, bo uczyła muzyki, a w tym Hope była najlepsza. Głowę wciąż miałam zaprzątniętą własnymi problemami, dobrą chwilę zajęło mi przyswojenie, co mówi pani Goode: Hope nie może dłużej śpiewać w chórze. Uczniowie skarżyli się, że słyszą przykre komentarze. Pani Goode zerknęła na Hope, która siedziała koło mnie ze wzrokiem wbitym w podłogę. Nagle do mnie dotarło, że tym razem to moja siostra dokucza innym. Byłam przerażona.

– Może wolałaby zamiast tego indywidualną naukę gry na instrumencie? – zaproponowała nauczycielka, żeby Hope nie była pokrzywdzona. – Fortepian ją interesuje, prawda, Hope?

– Obawiam się, że nie stać nas na lekcje fortepianu – odparłam. – No i nie mamy w domu pianina.

– Rozmawiałam z dyrektorką, szkoła może wypożyczyć Hope keyboard. Z jej talentem na pewno szybko zacznie robić postępy. Są do tego książki, a jeśli jej się spodoba, możemy pomyśleć o lekcjach...

Napomknęła o sklepie muzycznym Martin's Music. Zamożniejsi rodzice w Świętym Kutbercie kupowali tam instrumenty dla swoich dzieci. To był mały, ciemny sklepik w alejce odchodzącej od deptaka głównej ulicy handlowej, naprzeciwko szewca, u którego wymienialiśmy fleki w butach. Często zaglądałyśmy do okna, ale nigdy nie byłyśmy w środku, bo tata nie miał ochoty wkładać Hope do ręki fletu czy skrzypiec, choć pewnie poradziłaby sobie lepiej niż większość dzieciaków.

– Pójdziemy do Martin's Music? – zapytała Hope w drodze powrotnej.

- Teraz będzie zamknięte.
- A pójdziemy, jak będzie otwarte?
- Pójdziemy, ale tylko jeśli obiecasz, że będziesz miła dla innych.

Nic nie powiedziała. Czy ona jest zdolna do wyrzutów sumienia?

Wprawdzie znałam ją od urodzenia, ale nigdy nie zdołałam pojąć, co ma w głowie.

– Hope, pamiętasz, jak chłopcy przed sklepem na ciebie krzyczeli, że jesteś gruba? Miałaś wtedy takie dziwne uczucie w środku?

– Nie dziwne!

– Nie, nie dziwne. Takie okropne uczucie.

Nie odpowiedziała, więc uznałam to za potwierdzenie.

– Widzisz, Hope, jak mówisz Emily w chórze, że nie umie śpiewać, ona też wtedy czuje się tak okropnie w środku. To nie jest fajne, prawda?

– Ale Emily nie umie śpiewać.

A ty jesteś gruba, miałam ochotę odpowiedzieć, ale tak się nie robi.

Całą noc nie mogłam zmrużyć oka, a kiedy w końcu przysnęłam nad ranem, śniło mi się, że otwieram drzwi do gabinetu i widzę w środku moją lekarkę, Jane, z butelką szampana. Obudziłam się, kiedy korek wystrzelił przez pokój prosto we mnie. Powidoki euforii prędko ustąpiły miejsca przerażeniu.

Spojrzałam na budzik. Jeszcze cztery godziny. Wstałam i poszłam na długi spacer przez śpiące miasto, a potem po krawędzi klifu. Patrzyłam, jak słońce wschodzi nad wodą i całe niebo zabarwia się na różowo. Czerwone niebo. Jeśli wcześniej nie byłam całkiem pewna, teraz już wiedziałam.

Oczywiście, Hope nie miała o niczym pojęcia. Jak zwykle włożyłam ubranie do pracy, więc zareagowała zdziwieniem i niechęcią, kiedy ją przytuliłam na pożegnanie. Teraz już sama chodziła do szkoły, ale każdego ranka miałam wrażenie, że wstrzymuję oddech aż do dziewiątej, bo wtedy już by do mnie zadzwonili, gdyby się nie pojawiła.

– Uśmiechnij się, kotku. Nie ma tego złego! – powiedział kierowca autobusu. Trochę to niezręcznie zabrzmiało, bo dopiero co poprosiłam o bilet do szpitala.

Spróbowałam uśmiechnąć się tak nieszczerze i kwaśno, jak tylko potrafiłam. Ciekawe, czy jakiś mężczyzna kiedyś usłyszał coś takiego od kobiety. I co myślą mężczyźni, kiedy mówią takie rzeczy? Czy naprawdę chcą poprawić ci humor, czy po prostu powiedzieć: „Ale z ciebie smętna krowa”?

Nerwowo otworzyłam drzwi do gabinetu.

– Chodź, chodź, Tess! – Jane nie podniosła wzroku znad ekranu komputera.

– Usiądź sobie. – Teraz się do mnie uśmiechała, ale w jej oczach przez chwilę zatrzepotał strach.

Na ułamek sekundy pomyślałam: nie muszę tego robić. Może powiem jej, że



zmieniłam zdanie, i wyjdę nie wiedząc? Zawsze powtarzałam, że niewiedza jest najgorsza, ale teraz nagle wydawała się lepszą opcją. Tylko że i tak już wiedziałam.

– Niestety, wynik jest pozytywny.

Sądziłam, że przepracowałam już wszystkie uczucia, jakich mogłabym doświadczyć, kiedy usłyszę te słowa. Bo przecież każdy tak robi, nie? Trzymamy się nadziei, że jeśli naprawdę uwierzymy w najgorsze, jakoś oszukamy los i to się nie wydarzy. Ale to nie przypominało żadnego wyobrazonego scenariusza. Chyba dlatego Jane poprosiła, żebym usiadła – bo teraz czułam, jakbym spadała w pustkę. Nigdy wcześniej nie rozumiałam, czemu w takich sytuacjach lepiej nie stać.

Widziałam, że Jane porusza ustami, ale nie dochodził do mnie żaden dźwięk, bo mózg miałam jak osnuty gęstą mgłą. Przeczytałam wszystko na ten temat. Kiedy wyjeżdżałyśmy z Nowego Jorku, Shaun podarował mi laptopa, żebym miała na czym pisać. Ale kiedy założyłam w domu internet, to było jak podłączenie się do nieskończonej wielkiej biblioteki. Dużo czasu spędziłam na czytaniu, nie tylko o raku. Wiedziłam, że pozytywny wynik testu na mutację genu BRCA 1 albo 2 – w moim przypadku BRCA 2, jak powiedziała Jane – oznacza dwie możliwości. Pierwsza to operacja prewencyjna. Najpierw podwójna mastektomia, a po niej usunięcie jajników, prowadzące do wczesnej menopauzy. Druga możliwość to obserwacja, czyli mammogram i rezonans magnetyczny raz w roku, żeby można było szybko działać, gdyby coś wykryto.

Ale słowa Jane sugerowały, że wybór nie należy tak naprawdę do mnie. Wprawdzie z pokolenia na pokolenie rak występuje coraz wcześniej, ale lekarze nie bardzo chcieli pozwalać mi na tak radykalną operację w wieku dwudziestu pięciu lat, zwłaszcza że nie miałam jeszcze dzieci.

– Ale skoro proponujecie coroczny mammogram i rezonans, to znaczy, że jest zagrożenie? – zaprotestowałam.

– To bardzo mało prawdopodobne.

– Ale pozytywny wynik też był bardzo mało prawdopodobny, prawda?

Jane zerknęła w notatki.

– Twoja babcia zmarła w wieku pięćdziesięciu jeden lat. Twoja matka miała czterdzieści osiem. Czas przemawia na twoją korzyść.

– Ale u mamy pierwszy raz wykryto raka, jak miała czterdzieści trzy lata... Czyli dla mnie to schodzi do czterdziestu...

– Tess, nie można tu ustalić żadnej daty. Może nigdy nie będziesz mieć raka. Albo dopiero po siedemdziesiątce.

– Ale mogą mi go wykryć jutro!

Jane westchnęła. Nie zamierzała mnie okłamywać.

– Jeśli poddam się operacji, moje ryzyko zapadnięcia na raka spadnie do tego samego poziomu, co u wszystkich?

– Owszem.

– Czyli nie do zera?

– Nie, nie do zera – znów westchnęła. – Słuchaj, Tess. Może ci zająć trochę czasu przyswojenie tego wszystkiego... Nie musisz podejmować żadnych decyzji natychmiast. Ale proszę, pamiętaj, że wiedza to potęga.

Ustaliliśmy to już na wcześniejszych wizytach. Tak mi ulżyło, gdy dostałam w końcu zgodę na test, że przez chwilę pomyliłam to z prawdziwą walką.

Wiedza to potęga. Ale nigdy w życiu nie czułam się tak bezradna jak teraz, w drodze na przystanek. Biologiczny przypadek zdecydował, że wyda na mnie wyrok śmierci, a ja nic nie mogłam na to poradzić.

Chyba się rozniosło, że byłam na wizycie w szpitalu, bo koledzy w pracy nie byli tak wygadani jak zazwyczaj. Może miałam przerażenie wypisane na twarzy. Całą zmianę przepracowałam jak na autopilocie, a głos Jane powtarzał mi wciąż w głowie wszystkie możliwości tak głośno, że kilka razy zapomniałam zapytać o kartę członkowską czy wydać żetony na akcję charytatywną.

– Tess, wszystko dobrze? – zapytała kierowniczka, kiedy przyszła mi pomóc z zablokowaną rolką do paragonów.

– Tak, nic mi nie jest.

To przecież prawda. Wszystko ze mną w porządku. Byłam okazem zdrowia, ale czułam się, jakby mieszkało we mnie coś strasznego, jak w „Obcym”. Ale najdziwniejsze, że nie zagrażało mi nic obcego, lecz moje własne DNA. To była część mnie samej, tak jak moje kręcone włosy. Właśnie z tym nie mogłam sobie poradzić.

„Obserwacja” to dość niefortunne słowo na strategię „poczekamy, zobaczymy” – miałam wrażenie, że to rak obserwuje mnie, a nie na odwrót.

Zazwyczaj umilałam sobie w pracy czas wymyślaniem historyjek o klientach na podstawie ich zakupów. Dużo można zgadnąć o człowieku, zaglądając mu do wózka. Nie chodzi mi tylko o to, czy organizują przyjęcie albo mają kota.

Teraz wydawało mi się, że każda rzecz na taśmie skrywa jakieś głębsze znaczenie.

Czy pestki granatu to nie jest czasem superfood chroniące przed rakiem?

– Co pani z nimi robi? – zapytałam młodą bizneswoman w eleganckim kostiumie z Nexta, bo kierownictwo zachęcało do nawiązywania relacji z klientami.

– Cokolwiek – odparła, rozkojarzona. – Wrzucam do sałatki, takie tam.

Więc czemu kupuje colę light? W Stanach na butelkach jest ostrzeżenie, że jeden ze składników powoduje raka u szczurów.

Jakaś kobieta w średnim wieku miała w koszyku witaminy na menopauzę, opakowanie pieluchomajtek i słoik niskokalorycznej gorącej czekolady w proszku. Miałam ochotę zapytać, czy uderzenia gorąca faktycznie są takie złe.

A czy ten facet, kupujący trzy paczki Doritos w cenie dwóch, słoik dipu

i czteropak piwa, słyszał kiedyś o zdrowym odżywianiu i utrzymywaniu rozsądnej wagi?

– Wieczór w domu? – zagadnęłam z grzeczności.

– A co, chcesz się przyłączyć?

Udałam, że nie dosłyszałam. Nikt by nie uwierzył, ile dostawałam takich propozycji.

Bardziej by mnie interesował facet z szynką parmeńską, ciabattą i paczką rukoli w wózku. Ale był w na tyle poważnym związku, że kupował tampony dla swojej partnerki i nawet ich nie chował pod papierem toaletowym.

– Jak tam, Tess? – rzucił Lewis, kiedy po skończonej zmianie przechodziłam między półkami warzyw i owoców.

Czy wciąż bym mu się podobała, gdybym była płaska?

Może to najlepszy czas na operację, skoro nie miałam chłopaka? A może najgorszy? Operacja miała prowadzić do „żyła długo i szczęśliwie”, ale czy miałabym po niej w ogóle na to jakieś szanse?

Myślałam, że samotny spacer trochę mi oczyści umysł, ale nic z tego.

Nawet gdybym poddała się operacji, i tak mogę umrzeć na coś innego. Mutacja BRCA zwiększa ryzyko raka trzustki, a tego zwykle nie udaje się wykryć, aż jest za późno.

Poza tym kiedy lekarze uznają, że jestem już w odpowiednim wieku do operacji?

No i operacja to też ryzyko, prawda? Z moim szczęściem pewnie zeszląbym na stole. I co by wtedy było z Hope?

Jeśli zdecyduję się na operację, nie będzie odwrotu. Ale jeśli odpuszczę, może nawet do tego czasu znajdzie się jakiś lek.

– Jeśli nie wiesz, co robić, nie rób nic – mawiała mama.

No, ale wiadomo, jak na tym wyszła.

To jest właśnie problem z czasem na twórcze myślenie. Człowiek zaczyna myśleć więcej, niż potrzeba.

Kiedy mijałam dom O'Neillów, przez chwilę niemal zapragnęłam zadzwonić i porozmawiać przy kuchennym stole nad kubkiem herbaty, jak za dawnych czasów po szkole. Ale od pani O'Neill usłyszałabym tylko, że Bóg wie, co robi. No i to nie z nią chciałam porozmawiać. Doll zawsze hamowała moje ponure rozmyślania, ale jej już tu nie było.

Doll w końcu doczekała się swojego wesela, a Dave – żony. To brzmi, jakbym była zazdrosna, choć tak naprawdę nie byłam. W głębi serca wiedziałam, że świetnie do siebie pasują. W lokalnej gazecie widziałam ich zdjęcie z jakiegoś hotelu z jacuzzi za miastem. O ironio, pojawiło się tego samego dnia, co artykuł pod tytułem „Fred wypada z gry”. Okazało się, że Fred odniósł kontuzję więzadła krzyżowego i nie będzie mógł grać do końca sezonu.

Zastanawiałam się, czy nie wysłać im kartki, ale nie mogłam znaleźć słów. Wciąż nie przebolełam tego, co powiedziała – i tego, co ja powiedziałam. Zabrzmiało to wtedy, jakbym jej nienawidziła, chociaż to nie była prawda. Ale to, co zrobiła, nie było w porządku i nie mogłyśmy po prostu udawać, że nic się nie stało. Tylko że jeśli tak wierzyłam we własną krzywdę i w to, że zerwanie przyjaźni z Doll będzie dla niej karą, to strzeliłam sobie w stopę. Ja też przez to straciłam przyjaźń i towarzystwo.

Czasami chciałam, żeby Doll po prostu pojawiła się przy mojej kasie. Na przerwie poszłybyśmy na kawę i nie byłoby to nic wielkiego. Ale ludzie są wierni swoim supermarketom, a Dolls House wciąż się rozrastał, więc pewnie i tak nie miała czasu na zakupy.

Albo może ktoś jej powiedział, gdzie pracuję, i specjalnie mnie unikała?

Wydawałoby się, że jeśli znało się kogoś całe życie, to można sobie wyobrazić, co by powiedział w danej sytuacji, ale Doll zawsze miała na wszystko własną perspektywę. Dla niej szklanka zawsze była w połowie pełna, a dla mnie po śmierci mamy stała się w połowie pusta. Gdyby Doll nie zniknęła z mojego życia, pewnie teraz rzuciłaby jakiś dwuznaczny żart o szklankach i miseczkach. Towarzyszyłyśmy sobie we wszystkich ważnych wydarzeniach w życiu: pierwszy dzień szkoły, pierwsza komunia, pierwsza miesięczka, pierwszy pocałunek, pierwsza śmierć rodzica, pierwszy poważny chłopak. Dziwne było, że nawet nie wie o mojej pierwszej poważnej zdrowotnej decyzji.

Nadal wierzyłam, że gdybym do niej zadzwoniła i powiedziała o teście, natychmiast by do mnie przyjechała z butelką Pinot Grigio. Teraz pewnie już raczej czegoś droższego, jak Sancerre, które co zamożniejsi klienci kupowali do kolacji. Ale ponieważ miała męża, opowiedziałaby wszystko Dave'owi. Nie mogłam znieść myśli, że leżą we dwójkę w gigantycznym łóżku po sesji akrobatycznego seksu i wzdychają:

– Biedna Tess, ona to nie ma szczęścia w życiu!

Po powrocie do domu zadzwoniłam do Shauna. To on namówił mnie na wizytę u lekarza i na test, więc byłam rozczarowana, kiedy spotkałam się z ciszą wypełnioną przerażeniem. Uświadomiłam sobie, że on też spodziewał się negatywnego wyniku, więc teraz nie tylko był w szoku, ale pewnie też czuł się w jakiś sposób współodpowiedzialny.

Ostatecznie to ja zaczęłam pocieszać jego.

– Wiedza to potęga, Shaun. Musimy się tego trzymać...

Ale jako partner Keva, Shaun martwił się teraz już nie tylko o mnie.

– Czy to możliwe, że Kevin też odziedziczył ten zły gen?

– Pewnie jest pięćdziesiąt procent szans – odparłam, nieco zirytowana. Nie mogłam znieść myśli, że mój brat robi teraz z tego swój problem. – Proszę, nie mów mu – powiedziałam błagalnie.

– Obawiam się, że muszę, Tess.

Miałam wrażenie, że kolejne drzwi właśnie się zamknęły.

Czułam się tak żałośnie, że zamierzałam opuścić zajęcia z kreatywnego pisania. Ale Hope wróciła do domu z obiecany keyboardem na specjalnym wózek i natychmiast zaczęła z nim eksperymentować, więc musiałam wyjść, żeby nie oszaleć.

Zajęcia odbywały się w ramach programu edukacji dorosłych w lokalnym college'u. Nasz nauczyciel, Leo, był profesorem uniwersyteckim. Miał przydługie, gęsto przetykane siwizną włosy, które odgarniał do tyłu, a na twarzy zawsze lekki zarost. Poza mną w grupie było jeszcze czworo uczniów. Liz miała pomysł na komedię romantyczną, rozgrywającą się na rejsie turystycznym. Emerytka Violet przyszła na zajęcia za namową wnuków. Chcieli, żeby spisała niektóre swoje opowiesci z czasów wojny. Nastoletnia Ashley była komputerowym gikiem: pisała powieść fantasy, w której główni bohaterowie nazywali się Snork i Godroon.

Wszystkie się różniłyśmy, ale dobrze się dogadywałyśmy. No i był jeszcze Derek, emerytowany policjant, który uważał się za lepszego od reszty, bo wydał własnym kosztem powieść kryminalną. Pewnego wieczoru przyczepił się do mnie, gdy szłam na przystanek. Zaczął mówić, że jesteśmy pokrewnymi duszami i że moglibyśmy pójść do hinduskiej restauracji niedaleko, ale odparłam, że to mogłoby zakłócić naszą kreatywną energię. Wiem, że policjanci wcześniej przechodzą na emeryturę, ale i tak był dwa razy starszy ode mnie. Poza tym, szczerze mówiąc, trochę mnie przerażały jego drastyczne opisy zamordowanych kobiet.

Nie chodziło tylko o czytanie naszych tekstów. Leo zadawał nam ćwiczenia na rozwijanie warsztatu – na przykład kazał nam wymyślać przeszłość osób na starych fotografiach, które przynosił. Trochę mi to przypominało popołudnia z mamą, kiedy siedziałyśmy w kawiarniach i wymyślałyśmy różne scenariusze dla ludzi wokół.

W zeszłym tygodniu każdy miał opowiedzieć trzy anegdoty ze swojego życia, dwie prawdziwe i jedną fałszywą, a reszta musiała zgadywać. To był sposób na ćwiczenie umiejętności narracyjnych.

Domyśliłam się, że cała sztuka polega na stworzeniu wiarygodnej sceny. Nie ma sensu opowiadać, że się spotkało George'a Clooneya, chyba że wszystkie detale są na swoim miejscu. Na przykład: idziesz przez Leicester Square i widzisz tłum ludzi czekających przed kinem na przyjazd gwiazd, które przejdą po czerwonym dywanie. Nagle zauważasz, że niechcący weszłaś za barierki, i akurat wtedy tuż przy tobie zatrzymuje się limuzyna. Wszędzie wokół pełno fotografów, więc nawet nie możesz się ruszyć. A wtedy z samochodu wysiada mężczyzna, poprawia krawat, zapina i rozpiną marynarkę, jak faceci w talk shows – to chyba nerwowe, ale może chodzi o zmarszczki na materiale. Stoi tak blisko, że czujesz zapach jego wody po goleniu, patrzy na ciebie i posyła uśmiech mówiący: „Nie wiesz, kim

jestem, co? A, czekaj! Już wiesz!”. A potem oddała się w nawałnicy fleszy.

Wszyscy się nabrali.

Jako pracę domową Leo zadawał nam jedno słowo: „chciwość”, „zima”, to mogło być cokolwiek – a my mieliśmy napisać coś na ten temat: opis, kawałek dialogu, wiersz, opowiadanie, co chcieliśmy. Ale zależało mu, żebyśmy to robili.

– Co robią pisarze? – pytał, jeśli ktoś przychodził z wymówkami.

– Piszą – odpowiadaliśmy chórem.

Wspaniale było uczyć się czegoś nowego. To pewnie był eskapizm. Kiedy siadałam przed laptopem, znikał cały świat poza plikiem w Wordzie. Zazwyczaj pisałam o wiele za dużo – Leo radził, żebym wyrzuciła słownik i postawiła na prostotę.

On sam jednak miał bardzo bogate słownictwo i często podczas lekcji wplatał takie słowa jak „antropomorfizacja” czy „kafkowski”. Był przy tym niesamowitym erudytą. Zawsze, kiedy wspominał o jakimś autorze, którego podziwiał, robiłam notatki i zamawiałam książki z biblioteki: Nabokowa, Kunderę, Grassa. Dla mnie to był bardziej kurs literatury europejskiej niż kreatywnego pisanie, bo nie mogłam odpędzić myśli: ci pisarze są tak wspaniali, po co w ogóle zawracam sobie głowę? Ale Leo mówił, że nie jesteśmy tu, żeby stać się wielkimi pisarzami, tylko trochę lepszymi.

– Pisz o tym, co znasz – radził.

– Kto by chciał czytać o supermarkecie?

Jakimś cudem brylowałam w żartach, choć w szkole nigdy taka nie byłam. Łatwiej być kimś innym w miejscu, gdzie nikt cię nie zna. Jakoś tak bardziej sobą, albo może trochę lepszą wersją siebie.

– A kto by chciał czytać o pani domu z małego miasteczka? – Leo odbił piłeczkę.

– Nie jestem panią domu – zaproponowałam.

– Nie, ale Emma Bovary owszem.

Czasem Leo posyłał mi rozbawiony uśmiech, który nie był jednak protekcyjny ani jowialny. Nie jestem pewna, jakie słowo by to dobrze oddało.

– Flaubertem też nie jestem.

– Nie – zgodził się po prostu Leo, przez co pożałowałam, że próbowałam się popisywać.

Miał niezwykłą zdolność sprawiania, że człowiek w jednej chwili czuł się bardzo inteligentny, a w następnej bardzo głupi – a to napięcie pomiędzy było jednocześnie straszne i ekscytujące. „Napięcie” to słowo bardzo w jego stylu.

Po zajęciach zwykle szliśmy do pubu, a Leo czasem się przyłączał i zabawiał nas anegdotkami i cytatami. Najbardziej lubiłam jego głos, melodyjny i z lekkim walijskim akcentem, jak u Anthony'ego Hopkinsa albo Michaela Sheena. Rozpiętość tonów też miał jak aktor, od szeptu po dudnienie.

Raz wspomniał o powieści, którą napisał: wydawca wybrał okropną okładkę i w ogóle nie włożył wysiłku w promocję, więc nie można było dostać jej w księgarni.

– Mówi się, że jak ktoś nie umie czegoś robić, to zaczyna tego uczyć – skomentował Derek, kiedy Leo poszedł do baru. Wszystkie uważaliśmy, że to straszliwie aroganckie i niewdzięczne z jego strony.

Zamówiłam w bibliotece powieść Leo. Była zatytułowana „Zainteresowania badawcze” i okazała się czarną komedią o wykładowcy angielskiego na kampusie uniwersyteckim w latach osiemdziesiątych. Przeczytałam całą od razu. Tonem przypominała nieco powieść amerykańskiego pisarza, Johna Updike'a. Kiedy powiedziałam to Leo, jego oczy pojaśniały, więc nie dodałam, że nie przepadam za taką literaturą.

Zajęcia na kilka godzin pomogły mi zapomnieć o wyniku testu, ale kiedy tylko wyszłam, wszystko wróciło fałą. Stałam na przystanku i byłam tak zatopiona w myślach, że nawet nie zauważyłam parkującego przede mną samochodu. Ocknęłam się dopiero wtedy, kiedy Leo opuścił szybę i pochylił się nad fotelem pasażera.

– Wskakuj! Podwiozę cię.

– Nie, nie trzeba. To za daleko...

– Proszę – odparł. – Chciałbym cię podwieźć.

Więc teraz niegrzecznie byłoby odmówić.

Przez pierwszych kilka minut siedziałam w milczeniu ze wzrokiem wbitym w jezdnię, świadoma spojrzeń, jakie rzucał mi ukradkiem od czasu do czasu, kiedy zwalniał na światłach.

– Tess, powiesz mi, co się stało? – zapytał w końcu. – Nie widzę w tobie tego dynamicznego entuzjazmu co zwykle.

– To długa historia.

– Może mi ją opowiesz?

To zabrzmiało jak zadanie warsztatowe. W pierwszej chwili chciałam odmówić, ale potem pomyślałam, że chyba nie mam nic do stracenia. Mamy przed sobą jeszcze co najmniej pół godziny drogi i nie możemy siedzieć w ciszy. Więc zaczęłam od tego, że moja matka zmarła na raka i od tamtej pory czułam na sobie cień zagrożenia, i że zaangażowałam całą siłę woli, żeby zrobić test genetyczny; w tym cała ironia: teraz żałowałam, że go zrobiłam.

– Ale nie masz raka? – Głos Leo był łagodny i ostrożny, jak u Anthony'ego Hopkinsa. W „Cienistej dolinie”, oczywiście, nie w „Milczeniu owiec”.

– Nie. Ale bardzo możliwe, że kiedyś będę miała.

Jakoś lepiej mi się zrobiło, kiedy powiedziałam to na głos do kogoś inteligentnego i współczującego, zwłaszcza po reakcji Shauna.

– Mogę podjąć pewne kroki zapobiegawcze, ale są dość drastyczne i nie

jestem pewna, co robić... – ciągnęłam.

– Musisz podjąć decyzję od razu?

– Dopóki czegoś nie zrobię, nie będę mogła się skupić na niczym innym.

Taka już jestem.

Przez ostatnich kilka kilometrów Leo nic nie mówił, ale gdy zaparkował przed moim domem, wyłączył silnik i odwrócił twarz w moją stronę, bardzo poważnie spoglądając mi w oczy.

– Na biurku mam trzy szuflady na dokumenty – zaczął. – Jedna na przychodzące, druga na wychodzące. Ale trzecia jest na oczekujące. Kiedy nie jestem pewien, co zrobić z jakąś sprawą, wkładam ją do szuflady na oczekujące. Czyli coś z nią zrobiłem, prawda?

Leo miał takie podejście do różnych rzeczy. Wydawało się, że po prostu dzieli się jakąś informacją, ale szybko się okazało, że to metafora.

– Czyli że mogę zdecydować, że nie będę się na razie na nic decydować? – upewniłam się.

Nagrodził mnie rozbawionym uśmiechem. Przyłapałam się na myśli, jak mu się udaje utrzymać cały czas taką samą długość zarostu. Wyglądał, jakby golił się co dwa albo trzy dni. Ale jeśli tak było, to przy siedmiu dniach tygodnia w niektóre czwartki miałby go więcej, a w inne mniej. Może golił się tylko raz, na przykład w poniedziałek rano, więc do czwartku zawsze odrastało tyle samo. Pewnie w niedzielę wieczorem miał już niemal prawdziwą brodę, którą znów golił rano, zaczynając cały cykl od nowa.

Zorientowałam się, że patrzę na jego usta.

– Może napisałabyś coś o tym? – zapytał miękko.

– To dość osobiste, prawda? – odparłam. Nagle zauważyłam, że jestem fizycznie bliżej niego niż kiedykolwiek dotąd.

W oddali słyszałam Hope grającą na keyboardzie. Udało się jej już załapać melodię „Is This the Way to Amarillo?” – tę piosenkę bez przerwy grali teraz w telewizji.

– Graham Greene mawiał, że każdy pisarz ma w sercu okruch lodu – powiedział Leo. – Jak myślisz, o co mu chodziło?

– Że na wszystko patrzę z dystansem? – zgadłam.

– Właśnie! Dla pisarza wszystko wokół to materiał.

Patrzyliśmy sobie w oczy jeszcze chwilę, aż przez ułamek sekundy byłam pewna, że mnie pocałuje, po czym pochylił się nade mną i otworzył drzwi dla pasażera, żeby mnie wypuścić; odjechał bez słowa. Oczywiście, że nie zamierzał mnie pocałować! Lekko oszołomiona stałam na chodniku. Miał żonę. Pracowała na uniwersytecie. Ale moje ciało nadal drżało w środku, a jego głos rozbrzmiewał mi bez przerwy w głowie, kiedy próbowałam przekonać Hope, by przestała już grać i poszła spać.



Usiadłam przed laptopem. Na ten tydzień Leo zadał nam słowo „wakacje”.

Spróbowałam przypomnieć sobie nasze najlepsze rodzinne wakacje. Chyba lato 1995 roku. O ironio, w tym roku odkryto gen BRCA 2. Wszyscy byliśmy tacy szczęśliwi, Hope była jeszcze malutka. W domu zrobiło się więcej miejsca, bo chłopcy się wyprowadzili. Świetnie mi poszło na testach GCSE<sup>[14]</sup>, a mama skończyła chemioterapię, więc tata zafundował nam wyjazd na Teneryfę, żeby to uczcić. Wygrał konkurs na najlepszego Elvisa w irlandzkim pubie w Playa de los Cristianos – zaśpiewał „The Wonder of You”. A mama kupiła wtedy malowany talerzyk, który stał na półce w kuchni obok trofeum taty. I przez cały ten czas gdzieś daleko w jakimś laboratorium pracowali naukowcy w białych kitlach i maskach na twarzach. Trzymali takie szklane pipety, jakie zawsze pokazują w telewizji, kiedy mowa o przełomie w genetyce, służące do wpuszczania zabarwionych płynów do probówek, żeby odkryć coś, co sprowadzi tragedię na nas wszystkich. Nie żeby to była wina naukowców, oczywiście.

Ostatecznie napisałam o rodzinie wypoczywającej nad basenem na Kanarach. Czułam dziwny spokój, próbując spojrzeć na to z perspektywy mamy, wyobrażając sobie, jak się czuła, leżąc w jednoczęściowym kostiumie z poduszeczkami w miseczkach, wpatrzona w błękitne niebo bez jednej chmurki.

Nie byłam pewna, czy to początek opowiadania, a może nawet wiersz, ale nadałam mu tytuł: „Dziś jest pierwszy dzień reszty twojego życia”.

Nigdy wcześniej się tak nie denerwowałam, czytając na głos pracę domową, jak na następnych zajęciach – bo to było w jakiś sposób ważne.

Kiedy skończyłam, zapadła długa cisza.

– Tak brzmią ludzie, którzy chcą więcej – powiedział w końcu Leo. – O wiele lepszy dźwięk, niż kiedy chcą mniej – dodał. Jakimś cudem udało mu się jednocześnie puścić do mnie oko i skinąć głową mniej więcej w stronę Dereka.

**19**

**2007**

**GUS**

Może kiedy wszystko idzie dobrze, nie należy kusić losu.

Nasza druga córka nie weszła w życie tak łatwo jak Flora. Charlotte dużo gorzej zniosła ciążę i prawie cały czas cierpiała na poranne mdłości. Poród się spóźnił, co zburzyło nam wszystkie plany.

Charlotte chciała jak najszybciej wrócić do pracy, więc wyprosiłem miesięczny urlop ojcowski, na który wykorzystałem należne mi na kolejny rok dni wolne. Już wcześniej uznaliśmy, że to będzie dobra okazja, żeby Kasia pojechała

na coroczne wakacje do Polski, żeby spotkać się z rodziną. Ponieważ data porodu przypadała niemal dokładnie na początek żłobka Flory, wszystko mieliśmy idealnie zgrane. Nawet przez myśl nam nie przeszło, że dziecko mogłoby nie wpisać się w nasz starannie zaplanowany grafik.

Poród też okazał się trudny, bo główka nie była pochylona ku klatce piersiowej, lecz odchylona do tyłu, jakby miała być ciekawa, dokąd się wybiera. Postanowiliśmy, że jeśli urodzi się dziewczynka, damy jej na imię Bella, ale nawet najbardziej kochający rodzic nie mógłby nazwać jej pięknym noworodkiem. Twarzyczkę miała posiniaczoną od kleszczy porodowych, a w dodatku okalały ją nastroszone rude włosy.

Flora zawsze świetnie spała, więc łatwo było przy niej uwierzyć, że jesteśmy wyluzowanymi, kompetentnymi rodzicami. Parę razy pozwoliłem sobie na taką myśl, kiedy mamuśki z mojej grupy narzekały na brak snu. Bella przywołała mnie do porządku. Charlotte wróciła do pracy zaledwie dwa tygodnie po porodzie, a Flora nie była zadowolona, że całą należną jej uwagę kradnie teraz rozwrzeszczany noworodek. Często jeździłem nocą po południowym Londynie, z Bellą w foteliku obok, rzucającą się we śnie.

Odkąd zostałem lekarzem rodzinnym, odzwyczaiłem się od długich, nieregularnych godzin pracy, jakie miałem w szpitalu. Teraz byłem więc ciągle jak zombie, półprzytomny, z powiekami drgającymi jak skrzydełka umierającego ptaszka za każdym razem, kiedy tylko na chwilę przysiadłem. Piłem tyle espresso, że moje serce było chyba jedynym mięśniem w całym organizmie zdolnym do aktywności fizycznej.

Charlotte nie ukrywała, że zajmowanie się niemowlętami jej nie interesuje, jakby to był wybór, jakiego każdy może swobodnie dokonać. Jeśli byłem wykończony, to na własne życzenie. Charlotte tymczasem zajmowała się Florą, żeby nie czuła się zaniedbana. Dużo jej czytała wieczorami, a w weekendy zabierała na poranki do teatru i do motylarni. Flora z każdym dniem coraz bardziej przypominała matkę. Zaczęła naśladować jej wyrażenia (dokładnie tak samo jak Charlotte mówiła: „No naprawdę!”), a nawet przejęła jej gust. Charlotte uwielbiała opowiadać, jak poszły do Selfridges po wyjściową sukienkę, ale kiedy Flora dostała do przymierzenia komplet z różowego tiulu, zwróciła się rzeczowo do ekspedientki:

– A macie taką w czarnym kolorze?

Kiedy Bella skończyła sześć tygodni, okazało się, że cierpi na egzemę. Przez pierwszych kilka dni wmawiałem sobie, że czerwone plamy na jej policzkach to zdrowe rumieńce. Ale kiedy zaczęły rozlewać się po całym jej małym ciałku, nie mogłem dłużej wykręcać się od diagnozy.

Egzema nie wzbudza zbyt dużego współczucia. Zwykle nie jest groźna, chyba że przez zaniedbanie dojdzie do zakażenia gronkowcem, ale bardzo swędzi i jest

męcząca dla dziecka, a poza tym nieprzyjemna dla oka. Ze zdrowym dzieckiem nie zauważałem, jak często życzliwi nieznajomi zagląдают do wózka, żeby wygłosić jakąś wesołą uwagę. Ale przy dziecku z egzemą nagle stałem się boleśnie wyczulony na uśmiechy znikające na widok czerwonej twarzyczki pokrytej strupkami i płynem surowicznym.

Żałowałem, że z taką obojętną bez troską przepisywałem zdesperowanym matkom krem z hydrokortyzonem dla ich dzieci, zapewniając, że z tego wyrosną. Jak mało wiedziałem o ich zmartwieniach, jakim byłem ignorantem! Nie miałem pojęcia, ile pracy i opieki wymaga zmniejszenie cierpień dziecka z taką przypadłością. Większość dzieci faktycznie wyrasta z tego przed drugim rokiem życia, ale przy sześciotygodniowym maleństwie to brzmi jak dożywocie. No i pojawia się prawdopodobieństwo, że kiedy egzema ustąpi, u dziecka rozwinie się astma.

Każdą wolną chwilę w pracy spędzałem na przeczesywaniu internetu w poszukiwaniu zajmujących się tym problemem organizacji. Okazały się o wiele bardziej pomocne niż moi koledzy z pracy – znalazłem sporo praktycznych wskazówek. Kasia przyszyła do śpioszków Belli małe bawełniane rękawiczki, żeby dziecko jak najmniej się drapało.

Kiedy w grę wchodzi dobro własnego dziecka, nawet przy pracy na pełny etat można znaleźć dość sił, żeby wstać w środku nocy, jeśli tylko kołysanie na rękach przyniesie ukojenie. Pracownik nie ma takich zapasów determinacji napędzanej rodzicielską miłością. Kasia przez kilka miesięcy robiła, co mogła, ale potem związała się z chłopakiem, który chciał wrócić z nią do Polski i założyć sklep internetowy, więc nie miała po co siedzieć dłużej w Anglii.

Na wieść o jej odejściu w moich oczach pojawiło się takie przerażenie, że się nad nami trochę zlitowała. Obiecała, że zostanie, dopóki nie znajdziemy kogoś na jej miejsce. Ale to nie było łatwe. Charlotte i ja pracowaliśmy. Jedyne osoby, do których byliśmy przekonani, przyszła w dniu, kiedy Belli się szczególnie pogorszyło, i aż się cofnęła na widok jej skóry.

To oczywiście, że egzema jest schorzeniem alergicznym, ale Charlotte wymyśliła teorię, że zarówno za chorobę Belli, jak i odejście Kasi i każdy inny problem w naszym życiu odpowiada dom w Wandsworth.

– Tu jest tak nisko i ciemno. Pełno tu pyłków – wzdychała tak często, że w końcu zrozumiałem, czego oczekuje.

– Uważasz, że powinniśmy się przeprowadzić?

Sądziłem, że chciała wyjechać dalej z centrum Londynu, do czystsze go powietrza Surrey, gdzie oboje spędziliśmy dzieciństwo, ale ona już zdążyła wybrać dom w jednym z zaułków Ladbroke Grove, gdzie pełno eleganckich ogródków i stiukowych frontów. Dom był wysoki, elegancki i stanowczo za drogi.

– Nic nie mów, dopóki nie zobaczysz go od środka – szepnęła, gdy

wchodziliśmy za agentem nieruchomości po frontowych schodach.

Dom miał cztery piętra, w tym piwnicę.

– I potencjał na rozbudowę dachu – dodał usłużnie agent.

Był mniej więcej w moim wieku, a krótkie czarne włosy miał sklezione żelem. Emanowała z niego pewność siebie faceta, który jeździ czerwonym sportowym samochodem.

– Ręczne robótki nigdy nie wychodzą z mody – powiedział, puszczając do Charlotte oko, żeby podkreślić podtekst. Nagrodziła go cieniem nieszczerego śmiechu.

W domu mieszkała wcześniej starsza pani. Zgadywałem, że nie było tu remontu co najmniej od lat pięćdziesiątych. Kuchnia z niezabudowaną kuchenką i żółknącymi szafkami przypominała dekoracje do sztuki Johna Osborne'a. W całym domu śmierdziało kotami.

– Stanowczo za duży dla nas – szepnąłem do Charlotte.

– No właśnie. Moglibyśmy zrobić dwa mieszkania, jedno w piwnicy, drugie na ostatnim piętrze, i wciąż zostałyby nam spory dom pomiędzy.

Przypuszczałem, że wpuścili nas na oglądanie tylko dlatego, że nieruchomość była praktycznie w rozsypce. Telewizyjni agenci nieruchomości mówią na takie domy „ciekawy projekt”. To jedna z wad posiadania dwójki małych dzieci: człowiek jest tak zmęczony, że obejrzy wszystko, co akurat leci w telewizji.

– Lokatorzy na najwyższym piętrze musieliby przechodzić przez naszą część – zauważyłem, zastanawiając się, czemu w ogóle rozważam ten pomysł.

Charlotte była jedną z najmniej praktycznych osób, jakie znałem, a ja nie potrafiłem nawet zamontować półki. Nie byliśmy materiałem na inwestorów nieruchomości. Nie wiedziałem nawet, kto mógłby nam pomóc. Przychodził mi do głowy tylko mój ojciec, ale straciłem kontakt z nim i jego nową żoną – żadna ze stron nie starała się specjalnie, a na mnie ciążyła dodatkowo swego rodzaju lojalność wobec matki, którą widywaliśmy o wiele częściej, niżbym chciał.

Charlotte zbiła ten argument, zanim zdążyłem go wyrazić na głos.

– Kasia zna sporo budowlańców. Poczekaj tylko, aż zobaczysz ogród...

Ogród był niewielki i zarośnięty, ale na tyłach znajdowała się furka, prowadząca do małego prywatnego parku, dzielonego z pozostałymi domami. Nawet w szary listopadowy dzień sprawiał wrażenie sekretnej oazy w środku miasta. Na jednym z wielkich starych drzew ktoś zawiesił huśtawkę, na innym wśród gałęzi krył się domek do zabawy. Usłyszałem płaczliwe gruchanie gołębia i uświadomiłem sobie, jaki tu spokój. Prawie nie dochodziły tu odgłosy miasta.

– Dziewczynki byłyby zachwycone, co? – Charlotte wzięła mnie pod rękę.

Przez chwilę staliśmy w milczeniu, wyobrażając sobie, jak w letnie wieczory siedzimy w tym liściastym Edenie i patrzymy na nasze bawiące się dzieci, może popijając schłodzone Sancerre, a z sąsiednich ogrodów płynie zapach grilla.

– Zakupy na targu Portobello w sobotnie poranki. – Charlotte dobrze wiedziała, co najlepiej na mnie zadziała. – A do muzeów wystarczy przejść przez park...

– No, to nie tak blisko – zauważyłem.

Skrzywiła się, dając do zrozumienia, że znów wszystko psuję.

– I jak? – zapytał agent, nie podnosząc wzroku znad telefonu.

– Będziemy musieli porozmawiać.

– Wiedzą państwo, że to posiadłość spadkowa, więc właściciel chce ją szybko sprzedać, ale mam jeszcze innych zainteresowanych w kolejce. Jeśli się spodobała, to radzę nie rozmawiać zbyt długo.

Wszystko to powiedział do Charlotte, odprowadzając nas do wyjścia, a potem uściśnął nam ręce i wycelował kluczyki w czerwony sportowy samochód, który zapiszczał posłusznie. Sięgnąłem do kieszeni po kluczyki od naszego auta.

– Czekaj – powstrzymała mnie Charlotte zza wymuszonego uśmiechu, jak brzuchomówca. – Okej – powiedziała w końcu, kiedy samochód agenta zniknął za rogiem Ladbroke Grove. – Nie chciałam, żeby pomyślał, że jesteśmy ludźmi, którzy jeżdżą picasso.

– Ale jesteśmy – odparłem.

– No cóż, ja nie postrzegam siebie w taki sposób – odcięła się.

Charlotte była w swoich oczach osobą, która jeździ o wiele lepszym samochodem i mieszka w Notting Hill, w pięknym domu ze stiukowym frontem. W sumie miała do tego prawo, bo awansowała na konsultanta, sporo zarabiała i powinna mieć męża o równie atrakcyjnych zarobkach, jeśli nie lepszych od niej.

– Poszukamy domu w tej okolicy, kiedy zaproponują mi partnerstwo w przychodni – obiecałem, gdy staliśmy w korku.

– Wtedy będzie już za późno – odparła stanowczo. – Angus, nie widzisz, że to nasza jedyna szansa? Za kilka miesięcy ten dom będzie już poza naszym zasięgiem. Teraz jest chwila spokoju, bo idą święta, ale jak tylko przyjdzie wiosna, na rynku znów zrobi się ruch. W ogóle nie wpuściliby nas na oglądanie, gdyby ten dom nie wymagał modernizacji.

– Ale to jeszcze więcej pieniędzy, których nie mamy! – zaprotestowałem.

– Zwiększymy jego wartość. Zarobi na sobie i jeszcze na nas, jak sprzedamy jedno z mieszkań!

– Widzę w tym logikę – starałem się nie zabrzmieć zbyt negatywnie – ale nie widzę pieniędzy na depozyt.

– No, jest sposób. Gdyby twoja matka sprzedała dom, a my Wandsworth, mielibyśmy dość środków na depozyt, a moja pensja wystarczyłaby na spłatę kredytu. Niższy parter ma własne wejście. Można tam urządzić całkiem osobne mieszkanie.

W końcu pojąłem, do czego zmierza.

– Chcesz, żeby moja matka się wprowadziła?  
– Byłaby zachwycona, Angus.  
– Wymyśliłaś to wszystko razem z nią?  
– Nie, absolutnie – zaprzeczyła, ale zaraz potem dodała nieco ostrożnie: – Ale powiedziała, że skoro Kasia odchodzi, a my nie możemy nikogo znaleźć, mogłaby zajmować się dziewczynkami cały czas. Nie wiem, jak to miałyby działać, gdyby z nami nie mieszkała.

Unikała mojego wzroku, więc domyśliłem się, że negocjacje zaszły już o wiele dalej.

Samochody wokół nas się poruszyły. Przesunęliśmy się kilka metrów naprzód.

– Tak wszystko byłoby o wiele prostsze – dodała Charlotte, pozostawiając dyplomatycznie kilka chwil, żebym przetrwał propozycję. – No i świetnie sobie radzi z Bellą. To logiczne, Angus!

Moja matka była dawniej asystentką stomatologiczną. Kiedy przychodziła w weekendy zająć się dziećmi, z pedanterią pilnowała higieny, kąpieli i smarowania Belli kremami. Jeśli rzeczywiście chciała zastąpić Kasię, powinienem wychodzić z siebie z wdzięczności, a jednak sprzeciwiałem się temu każdą komórką ciała.

Resztę drogi do domu Charlotte spędziła, siedząc w spokojnej ciszy. W mojej głowie tymczasem trwała wojna instynktu i rozsądku. Próbowałem wymyślić jakiś racjonalny, przekonujący argument, wykazujący, że mieszkanie z moją matką to zły pomysł. Nic nie przychodziło mi jednak do głowy.

– I tak prawie byśmy jej nie widywali. – Charlotte przerwała ciszę dokładnie w momencie, kiedy skończyły mi się wymówki. Powinna zawodowo grać w pokera. Zawsze wiedziała, kiedy siedzieć cicho, a kiedy podnieść stawkę. – Jestem pewna, że ceni sobie swoją prywatność i niezależność tak samo jak my.

– Mielibyśmy wspólny ogród...

– Ale za to jaki ogród!

Czasami człowiek pozwala sobie uwierzyć, że jeśli zmieni w życiu jedną rzecz, wszystko się ułoży. Wyobraziłem sobie naszą rodzinę w tym pięknym, otoczonym zielenią domu, i pomyślałem, że to w jakiś magiczny sposób odmieniłoby nasze życie. Kiedy w końcu zdobędę uprawnienia lekarskie, to znajdę pracę w pobliskiej klinice, bo nie ma szans, żebym dojeżdżał codziennie do Croydon. Może w nowej przychodni bardziej by mi się podobało; miałbym nowy start, w oczach współpracowników byłbym doświadczonym mężczyzną z własną rodziną, a nie studentem, któremu nic nie wychodzi. Zarabiałbym więcej, a Charlotte nie musiałyby tak ciężko pracować. Dziewczynki mogłyby bezpiecznie uczyć się jazdy na rowerze w ogrodzie. W niedzielne poranki całą czwórką chodzilibyśmy do Muzeum Historii Naturalnej albo na łódki na jeziorze Serpentine.

Bylibyśmy szczęśliwą rodziną.

Kiedy dojechaliśmy na naszą ulicę, był już wieczór. W zapadającym mroku niskie domy z czerwonej cegły wyglądały jeszcze bardziej przygnębiająco niż zwykle, w porównaniu z przestronnymi białymi willami Notting Hill.

– No dobrze, zobaczymy, co ona na to – powiedziałem, parkując przed domem.

Matka przyjechała w następny weekend. Było oczywiste, że już przedyskutowała cały pomysł z Charlotte.

– Nie sądzisz, że powinnaś najpierw zobaczyć dom? – zapytałem. – Jest w okropnym stanie.

– Och, większość to będą kosmetyczne poprawki – odparła i od razu się spłoszyła, widząc, że się wygadała.

W poniedziałek Charlotte złożyła ofertę, która została przyjęta, więc wystawiliśmy na sprzedaż oba domy: nasz i matki. Tydzień później, kiedy Kasia zakończyła pracę, przepelniała mnie mieszanka przerażenia i podekscytowania. Postanowiliśmy wejść na zupełnie obcy teren. Nie było już odwrotu.

Matka mieszkała w dawnym pokoju Kasi od niedzieli do czwartku, a w piątek wieczorem wracała do siebie na weekend, żeby wszystko spakować i posprzątać. Przez kilka tygodni ten układ działał zaskakująco dobrze. Zacząłem jeździć do pracy samochodem zamiast pociągiem, bo matka miała własne auto i mogła wozić nim dzieci. Bella niemal natychmiast zaczęła przesypiać całe noce. W weekendy częściej się budziła i była bardziej kapryśna. Według Charlotte to dlatego, że za bardzo nad nią skakałem i jej dogadzałem.

Ja i matka byliśmy wobec siebie ostrożni. Kiedy mówiła coś, co mnie denerwowało, wrzeszczałem w duchu, ale głośno nie komentowałem. Za to ona posłusznie znikwała po kolacji w swoim pokoju, gdzie cały wieczór oglądała telewizję. Raz próbowałem wejść do niej późno w nocy, bo zasnęła przy włączonym telewizorze, ale okazało się, że zamknęła drzwi na klucz.

– Sam chciałeś, żeby była niezależna – wytknęła mi Charlotte, gdy wróciłem do łóżka, narzekając na hałas.

Od narodzin Flory matka spędzała z nami święta. Okres świąteczny był dla niej chyba równie okropny, co dla mnie. Na każdym kanale w telewizji pełno było śnieżnych obrazków, po wiadomościach prognoza pogody dla narciarzy, i oczywiście szczęśliwe rodziny siedzące wokół stołu w każdej reklamie. Czasem czułem, jakby duch Rossa dopadł mnie nawet tutaj, w moim salonie. Starąłem się być cierpliwym i troskliwym synem, ale widziałem, że moja obecność jest dla matki przykrym przypomnieniem rodzinnej tragedii, więc zwykle na większość dnia znikalem w kuchni, udając, że muszę pilnować indyka albo mieszać sosy. Czasami wychylałem się na chwilę i pytałem, czy ktoś ma ochotę na herbatę albo dolewkę szampana. Widząc moją matkę, żonę i córki pochłonięte świątecznymi

zajęciami, miałem niemal wrażenie, że patrzę na cudzą rodzinę.

Co ciekawe, perspektywa wspólnej przeprowadzki po Nowym Roku sprawiła, że nasze ostatnie święta w Wandsworth były mniej napięte. Matka przyjechała w Wigilię. Przywiozła wędzonego łososia i drogie świąteczne ciasto z Waitrose. Zamiast od razu pobiec do Charlotte, stanęła w kuchni ze szklanką ginu z tonikiem i zapytała, jak mi idzie w pracy i czy wybrałem indyka czy gęś.

Ja z kolei pochwaliłem jej prezenty dla Flory i Belli. Prawie jakbyśmy w duchu postanowili zapomnieć o wzajemnych pretensjach. Może poczucie krzywdy też kiedyś ulega przedawnieniu, pomyślałem, i z lekkim zaskoczeniem uświadomiłem sobie, że to dziesiąte święta od śmierci Rossa.

W pierwszy dzień świąt zobaczyłem, jak matka pomaga Florze nawlekać koraliki na wstążkę, żeby zrobić naszyjnik. Poczulem przypływ zadowolenia i dumy, że zdołała znaleźć radość w przebywaniu z wnuczkami.

Flora wywinęła się z jej kolan i podbiegła do mnie.

– Tatusiu, a w przyszłym roku będziemy mieli wielką choinkę! Taką wielką, że trzeba będzie wejść na taboret, żeby nałożyć gwiazdę!

– Właśnie tak! – potwierdziłem, wyobrażając sobie przestronny salon z wysokim sufitem i białymi ścianami w naszym nowym domu.

– Tatusiu, a co to jest taboret?

– Takie małe krzeselko.

– Narysujesz mi w notesie?

Flora uwielbiała uczyć się nowych słów, więc kupiłem jej notes w kolorowej plastikowej okładce i zapisywałem tam nowe słowa, często z ilustracjami. Obok słowa „taboret” naszkicowałem choinkę w wielkim wykuszu, takim jak na wyższym parterze w domu w Notting Hill, a obok taboret, na którym stała dziewczynka z gwiazdą w dłoniach, sięgająca ku górze.

Podąłem notes Florze.

– Ta-bo-ret – przesyłabizowała, przesuując palcem po literach.

– Cztery lata i już czyta! – powiedziała z dumą Charlotte.

– Ross też wcześniej zaczął czytać – wtrąciła matka. – Angus nie był daleko w tyle – dodała prędko.

– Babcia może mieć własną choinkę na dole – oznajmiła Flora. Było jasne, że powtarza coś, co usłyszała od Charlotte. – Więc będziemy mieć dwie!

– W ogrodzie też jest dużo drzew – przyłączyłem się do snucia planów. – Więc może uda się rozwiesić na nich wszystkich lampki!

Charlotte posłała mi uśmiech. Bella siedziała jej na kolanach, trzymając pluszowego słonika, który jedno ucho miał trzeszczące, drugie piszczące, a w brzuchu dzwonek, który rozbrzmiewał wesoło, kiedy potrząsała zabawką. Jej skóra wyglądała dziś dość dobrze, a z aureolą rdzawych loczków przypominała małego cherubinka.



Spróbowałem uchwycić w pamięci ten świetlisty obrazek trzech pokoleń kobiet mojej rodziny. Wiedziałem, że jeśli wyciągnę aparat, zeszywnieją w swoich pozach i zniknie otaczający je blask zadowolenia.

– Może usiadłbyś z nami? – zaproponowała Charlotte. – Cały dzień pracujesz...

– Tatusiu, zrób ze mną bransoletkę – poprosiła Flora.

Indyk dochodził w piekarniku, sos był zrobiony. Co z tego, jeśli warzywa się trochę rozgotują?

Usiadłem na kanapie koło matki, wciąż w fartuchu w granatowo-białe paski, który mi podarowała pod choinkę. Podała mi tackę z koralikami. Flora wdrapała mi się na kolana.

W kominku tańczyły gazowe płomienie. Wraz z zapadającym za oknem zmrokiem światełka na choince wydawały się lśnić coraz jaśniej. Pomyślałem, że gdyby ktoś przechodzący ulicą zajrzał do środka, zobaczyłby szczęśliwą, kochającą się rodzinę.

2007

TESS

W okresie świątecznym populacja Wielkiej Brytanii chyba ulega podwojeniu. Nie mam pojęcia, jak ludzie znajdują w lodówce miejsce na te wszystkie ceramiczne garnuszki glazurowanego *parfait* z kurczaka z żurawiną. A jeśli *stilton* jest taki pyszny, to czemu jemy go tylko w święta? Jak to możliwe, że rodziny potrafią cały rok przeżyć na jednej paczce krakersów Jacob's Cream Crackers, ale teraz nagle wszyscy muszą mieć w domu ogromną puszkę „krakersów do sera”? Kto przy zdrowych zmysłach płaci dwanaście funtów za czekoladową roladę z fikuśną polewą? Czy ktokolwiek w tym kraju w ogóle lubi świąteczny pudding? A skoro już o tym mowa, czemu trzeba więcej płacić za taki z pomarańczą w środku, skoro o tej porze roku można dostać dwie siatki Naveliny za trzy funty?

W supermarkecie rzadko można poczuć ducha świąt – wszędzie jest tłoczno, głośno i drogo. Teraz byłam już kierowniczką, więc większość czasu spędzałam przy stanowisku obsługi klienta, wysłuchując wiecznych narzekań, a od czasu do czasu gasząc puddingowe pożary.

– Pani Costello proszona do działu z pieczywem.

Przy półce z ciastami dwóch mężczyzn kłóciło się o ostatnie pudełko.

– Po cholere to reklamujecie w telewizji, jeśli nie macie dość zapasów?! – wrzasnął na mnie ten przegrany. Twarz niebezpiecznie mu poczerwieniała.

Czy naprawdę warto podnosić sobie ciśnienie?, chciałam zapytać. Zafundujesz sobie atak serca, zanim zdążysz zjeść ten pudding.

– Czy mogłabym zaproponować darmową struclę z przeprosinami za rozczarowanie?

– A ja też dostanę? – zainteresował się jego przeciwnik.

– Jeśli zechce pan oddać swój pudding temu panu...

W życiu nie sądziłam, że kiedyś powiem coś takiego.

Szybko odkryłam, że aby sprawnie rozwiązać problem, należy pełzać przed klientem i proponować rekompensatę, jeśli to tylko możliwe.

– To rozładowuje sytuację – wyjaśniłam zastępcy dyrektora, który wolał, żebyśmy oferowali wyjaśnienia zamiast prezentów. – Wrócą do domu z darmowym ciastem i miłą historią, którą opowiedzą rodzinie i znajomym. A potem przyjdą do nas, zamiast sprawdzać, czy w Marks & Spencer nie czeka coś lepszego.

– Naprawdę powinnaś zająć się marketingiem – podsumował.

Nie byłam przekonana do oferowanych mi możliwości rozwoju zawodowego. Obawiałam się, że nie mam odpowiednich umiejętności do „pracy z ludźmi” czy „kierowania zespołem” – jedynie odrobinę zdrowego rozsądku. Nie widziałam swojej przyszłości w supermarkecie, ale czas leciał i zaczynałam się zastanawiać, na co czekam. Raz napisałam opowiadanie o kasjerce, która wyobraża sobie życie klientów na podstawie ich zakupu – wysłałam je do jednego czasopisma, ale nawet mi nie odpowiedzieli. Więc odpuściłam sobie szalony pomysł życia z pisania. Może należało po prostu pogodzić się z tym, że nie czeka mnie nic lepszego. Czasami najlepsze rzeczy patrzą ci prosto w twarz, mawiała Doll.

Jej się powiodło. W lokalnych wiadomościach pokazali, jak zapala świąteczne dekoracje na rynku.

– Maria Newbury, przedsiębiorca roku Północnego Kentu! – oznajmił reporter, podsuwając jej mikrofon pod nos. – A może powinienem powiedzieć: przedsiębiorczyni?

– Może pan mi powie? – odparła Doll, zalotna jak zawsze.

– Dużo się słyszy o szklanym suficie dla kobiet w biznesie. Jak pani udało się przebić?

– W Dolls House nie ma szklanego sufitu. No wie pan, ja tam siedzę praktycznie na dachu, prawda?

Był zachwycony.

– Maria Newbury, założycielka Dolls House! – Odwrócił się do kamery. – Gdzie nic nie jest niemożliwe!

Kiedy zapytałam Hope, co chciałaby dostać na Gwiazdkę, odparła, że fortepian, jak u Martina nad sklepem. Hope i Martin (właściwie to Martin Junior, bo jego ojciec, właściciel sklepu, miał parkinsona i mieszkał w domu opieki na Esplanadzie) nawiązali jakąś nić porozumienia. Przypominało to trochę jej przyjaźń z Dave'em, też opartą na absolutnej pamięci do muzyki. Cieszyłam się, bo przypuszczałam, że Hope tęskni trochę za Dave'em.

– Nie lubię Doll – oznajmiła, kiedy zobaczyła w gazecie zdjęcie z ich ślubu.

Martin był dość młody jak na samodzielnego przedsiębiorcę – miał zaledwie dwadzieścia jeden lat, a jego praca nie ograniczała się do prowadzenia sklepu. Na tyłach był też warsztat, w którym naprawiał klarnety, nakładał nowe struny w gitarach, i tak dalej. Początkowo nie wydawał się zbyt miły – kiedy przyszłyśmy z Hope kupić podręcznik do samodzielnej nauki gry na keyboardzie, zdawał się zirytowany, że mu przeszkadzamy. Sądzę, że sprawiał tylko takie wrażenie, bo nie miał zbyt wiele kontaktu z ludźmi, ale nie był celowo niemiły. Kiedy był mały, jego mama uciekła z saksofonistą jazzowym, więc to pewnie też miało na niego duży wpływ. Często przychodziłyśmy po coraz bardziej zaawansowane podręczniki. Tak mu to zaimponowało, że czasami dawał Hope lekcje za darmo.

Boże Narodzenie obchodziliśmy w tym roku tylko we dwie, bo tata i Anne pojechali do Algarve do jej wakacyjnego domu, a ja musiałam siedzieć w pracy do samego zamknięcia w Wigilię. Świąteczny poranek spędziliśmy w piżamach, jedząc czekoladki. Hope wydawała się zadowolona z pełnowymiarowego keyboardu, który dla niej kupiłam i schowałam pod łóżkiem taty. Natychmiast chciała zacząć ćwiczyć utwory z podręcznika, który polecił mi dla niej Martin. Nowy keyboard miał dużo lepszy dźwięk niż ten szkolny i brzmiał jak prawdziwe pianino, albo organy, albo klawesyn – zależy, co ustawiła Hope. Niepewnie rozczytywała utwory, które człowiek całe życie słyszy w reklamach, ale nie zna ich tytułów, jak „Dla Elizy” czy „Sonata Księżycowa”.

Miło było sobie z nią posiedzieć, wiedząc, że jeśli zgłodniejemy, przygotowanie jedzenia zajmie cztery minuty. Kupiłam nam gotowe obiady do odgrzania w mikrofalówce, z indykiem, warzywami, kielbaskami, taki typowy świąteczny zestaw.

– Czemu są trzy opakowania? – zapytała Hope, kiedy zajrzała do lodówki.

Znając jej apetyt, spodziewałam się, że mogłaby chcieć dokładkę, a w końcu były święta, więc czemu miałabym jej odmawiać... Ale nie zamierzałam jej tego mówić wprost.

– Była promocja, trzy w cenie dwóch – skłamałam.

– Możemy zaprosić Martina?

Była prawie szesnasta i na dworze zdążył już zapaść zmrok.

– Martin pewnie ma własne plany – odparłam.

– Odwiedza ojca, a potem nic.

– Jeśli chcesz go zaprosić, musisz do niego zadzwonić – odparłam.

Ku mojemu zaskoczeniu, Hope od razu sięgnęła po telefon. To było do niej niepodobne – nigdy nie lubiła korzystać z telefonu. Przypuszczam, że nie czuła się komfortowo z niepewnością całego procesu.

W głębi duszy wołałam, jak byłyśmy same, bo teraz musiałam iść na górę, by się przebrać, a potem posprzątać papiery po prezentach, ale czułam też wielką radość, że Hope będzie mieć w domu gościa. Nawet jeśli chodziło bardziej o jej problem z asymetrią trzech odgrzewanych posiłków niż o troskę, że Martin sam spędza Boże Narodzenie.

Zjawił się pół godziny później. Przyniósł prezent dla Hope: książkę z nutami zatytułowaną „Piosenki z musicali”. Oczywiście nie była zapakowana, bo złapał ją ze stojaka, wychodząc ze sklepu.

Usiadłam na kanapie i słuchałam śpiewu Hope przy akompaniamencie Martina. Za nimi stała srebrna choinka. Przypominało to trochę święta z wiktoriańskich powieści, w których rodziny zawsze zabawiały się grą na fortepianie.

– Powinna brać lekcje śpiewu. Ma sopran koloraturowy – oznajmił Martin,

kiedy Hope skończyła „Defying Gravity”.

Nie byłam pewna, co to dokładnie jest, ale napomknęłam tacie, kiedy zadzwonił złożyć nam życzenia.

– Lekcje śpiewu? A po co? Przecież już umie śpiewać – odparł, przekrzykując harmider w barze.

Wyjęłam pudełko najdroższych krakersów – w Wigilię po południu praktycznie dostawaliśmy je w sklepie za darmo. Hope, Martin i ja usiedliśmy przy kuchennym stole ze złotymi koronami na głowach. Zauważyłam, że Martin podchodzi do jedzenia bardzo poważnie, jakby to był cel sam w sobie, dokładnie tak samo, jak robiła to Hope. Na deser była malinowa *pavlova*, wciąż trochę zimna, bo za późno wyjęłam ją z zamrażalnika. Ale zamiast prosić o dokładkę, Hope natychmiast po jedzeniu zerwała się od stołu i popędziła z powrotem do keyboardu.

Zmywałam naczynia i słuchałam, jak znów grają. Nagle przyszło mi do głowy rozwiązanie problemu, który zaprzętał mi myśli od jakiegoś czasu. Przed pójściem do dziesiątej klasy wszyscy uczniowie ze szkoły Hope musieli odbyć dwutygodniowe „praktyki zawodowe”. Większość wybierała opiekę nad starszymi osobami, ale nikt nie widział Hope w takiej roli. Uczniowie rozważający pracę w szkole wybierali praktyki w podstawówkach.

Hope już prawie nie miała napadów złości, ale nie dało się przewidzieć, co ją zdenerwuje. Gdyby jakaś szkoła miała ją wziąć na praktyki, musiałby towarzyszyć jej opiekun, a przecież nie o to chodzi, prawda? Obawiałam się, że Hope będzie musiała spędzić dwa tygodnie w domu, ale u Martina w sklepie chyba nie sprawiłaby kłopotu? W pół dnia znałaby na pamięć cały asortyment, a Martin nie musiałby się odrywać od swoich szmatek, wosków i narzędzi, żeby obsługiwać klientów.

– A muszę jej płacić? – zapytał, kiedy rzuciłam pomysł przy pożegnaniu.

– Nie.

– No, to okej.

Hope poszła do łóżka, a ja siedziałam dalej w salonie, wpatrzona w światełka na choince. Myślałam, jak bardzo mama by się ucieszyła, że Hope ma przyjaciela. Wtem uderzyła mnie myśl, że to nasze dziesiąte święta bez niej. Dziesięć lat to dwa razy dłużej, niż Hope w ogóle знаła mamę. W tym czasie zmieniła się z małej dziewczynki w młodą kobietę. Ale wszystko inne, nawet migocząca sztuczna choinka, pozostało takie samo.

Nigdy nie zabierałam Hope na grób mamy. Jako dziecko byłaby przerażona wizją mamy zakopanej w ziemi. Wiedziałam, że mama by tego nie chciała. Ale tym razem postanowiłam, że pójdziemy tam w drugi dzień świąt. W drodze na cmentarz kupiliśmy na stacji benzynowej wiązankę goździków pokrytych brokatem.

– „Oddana żona Jamesa i ukochana matka Kevina, Brendana, Teresy i Hope”

– moja siostra przeczytała napis na nagrobku. – Kto to jest James?

– To pełne imię taty.

– Czy tata dalej jest mężem mamy?

– No, tak...

– Mama nigdy nie przestanie nas kochać, Tree.

– Nie.

– Tree, ja nie pamiętam mamy.

– Ćśś... Nie mów tego tutaj – szepnęłam.

Nie żebym wierzyła, że mama nas słyszy.

Pożegnałam się z Hope, stojącą za ladą. Z głośników leciał Mozart, a Martin pogwizdywał w warsztacie do melodii. Otworzyłam drzwi frontowe, zabręczał dzwoneczek, a Hope zrobiła dłonią gest, jakby mnie wyganiała, mówiąc: „Idź, idź! Już cię nie potrzebuję!”.

Był styczniowy dzień, taki z osłepiającym słońcem i mroźnym wiatrem. Pewnie dlatego piekły mnie oczy, gdy szłam w stronę morza, bo przecież nie było żadnego powodu do płaczu. Wręcz przeciwnie, czułam niewiarygodną ulgę, bo nagle okazało się, że może Hope znajdzie własną drogę w życiu. Czy to nie wspaniałe, że było gdzieś dla niej miejsce? Najbardziej na świecie chciałam, żeby Hope była samodzielna.

Ale czasami chce się płakać ze szczęścia, prawda? Pamiętam, jak mama jednocześnie się uśmiechała, płakała i machała Kevinowi na Heathrow, kiedy przeprowadzał się do Nowego Jorku.

Całe dziesięć lat poświęciłam na zapewnienie Hope niezależności.

Ale nie mogłam przestać myśleć: co mam teraz ze sobą zrobić?

Nowy Rok to zwykle optymistyczny okres. Dni robią się coraz dłuższe, a w sklepach pełno kartek walentynkowych, czekoladek w kształcie serca i prosecco z różowymi etykietami, ale jakoś nie mogłam się rozchmurzyć. Dziesiąta rocznica wydawała się ważna, choć to przecież idiotyczne. Raptem kilka dni temu było jeszcze dziewięć lat, nie dziesięć, a jakoś w ogóle mi to nie przeszkadzało.

Było mi tak smutno, że opuściłam pierwsze w semestrze zajęcia z kreatywnego pisanie, ale w następny poniedziałek wieczorem Leo pojawił się w moim sklepie. Najpierw zauważyłam zawartość jego wózka. Karma dla psów była w promocji – dwie w cenie jednej – ale czasami zniżki nie nabijały się na kasę.

– Mogę w czymś pomóc? – zapytałam.

– Mam taką nadzieję!

Najpierw głos, potem twarz. Był gładko ogolony, co potwierdzało moją teorię na temat jego zarostu.

– Nie wiedziałam, że masz psa.

– Staram się utrzymywać pozory tajemnicy – szepnął filuternie.

– Czasem zdarza się zgrzyt w systemie – powiedziałam, skupiona na wciskaniu guzików kasy. Miałam nadzieję, że nie zauważy mojego rumieńca. – Jeśli dasz mi paragon, zrobię zwrot.

– To nie problem – odparł. – O której kończysz pracę? Chciałem poprosić cię o przysługę.

Przez ostatnie piętnaście minut pracy mózg podsunął mi dziesiątki hipotez, ale wszystkie okazały się nietrafione.

Spotkałiśmy się w Caffè Nero. Leo zapłacił za swoje espresso i moje latte, po czym przyniósł je do stolika.

– Mam kłopot. Kupiłem bilety na „Wiele hałasu o nic” w Narodowym. Przyszły piątek. Miałem iść z żoną, ale zapomniała sobie zapisać, że ma tego dnia wydziałową kolację...

Skinęłam głową.

– Więc powiedziała: „A może zabierzesz tę dziewczynę z zajęć, o której tyle mi opowiadasz?”

Dopiero po chwili pojęłam, o co mu chodzi. Myślałam, że naprawdę chce mnie poprosić o przysługę, a on po prostu na swój czarujący sposób oferował coś miłego.

– Mnie? – upewniłam się.

Nagrodził mnie tym swoim rozbawionym uśmiechem.

Po powrocie do domu rozłożyłam wszystkie ładne ubrania na łóżku i zaczęłam mierzyć. Doll określiłaby idealną stylizację jako „elegantką, ale na luzie”. W końcu zdecydowałam się na blezer z lat pięćdziesiątych w kolorze patynowego błękitu, który kupiłam w second handzie, ale jeszcze nie miałam okazji założyć. Miał jedwabną podszewkę i kwiatowy wzór z pastelowych koralików. Do tego obcisłe nowe dzinsy. Uznałam, że udało mi się osiągnąć idealną równowagę: dość elegancko na wyjście do teatru i wystarczająco praktycznie na podróż pociągiem. Przyłapałam się na strojeniu min do lustra. Przywołałam się do porządku: to nie randka. Leo jest po prostu wspaniałym nauczycielem, któremu zależy na uczniach. No i ma żonę. Jeśli wyczuwałam między nami jakąś chemię, to po prostu ją sobie wymyśliłam. Nie mogę zrobić z siebie idiotki. Ale mimo to nie potrafiłam stłumić ekscytacji.

Na południu Anglii klimat jest niby łagodniejszy niż w pozostałych częściach kraju, ale jeśli zapowiadają śnieg, to zwykle pada właśnie tutaj. Przez pogodę Hope później niż zwykle wróciła ze sklepu Martina, bo autobus jechał wolniej. Niepokoiłam się o nią, więc kiedy w końcu weszła do domu, nakrzyczałam na nią. Nie zachowałam się w porządku, bo przecież nic nie zawiniła – ale byłam pewna, że się spóźni.

– Czemu się tak zachowujesz? – zapytała. Zawsze tak do niej mówiłam,

kiedy jeszcze miewała napady złości, więc zrobiło mi się głupio.

– Musiałam poczekać na Hope... – przeprosiłam bez tchu, gdy dobiegłam do Leo na stacji. Przeze mnie prawie spóźnił się na pociąg.

– Hope?

– Moją siostrę.

Nigdy nie wspomniałam o Hope na zajęciach, co teraz wydało mi się trochę nielojalne. Ale tak naprawdę po prostu chciałam mieć w życiu coś zupełnie z nią niezwiązanego.

– Ma syndrom Aspergera – wyjaśniłam.

– Tak jak w tej powieści? – zapytał Leo.

– „Dziwny przypadek psa nocną porą”? Tak.

Dzięki popularnej książce więcej ludzi wiedziało teraz coś na ten temat.

– Myślałaś kiedyś, żeby napisać coś z perspektywy Hope?

Zaśmiałam się.

– Sporą część życia spędziłam na próbach zobaczenia świata przez pryzmat umysłu Hope, ale nigdy nawet się do tego nie zbliżyłam. Nie wiem, jak to jest być Hope, tak samo jak nie wiem, jak to jest być tobą!

– Może warto spróbować...

– Może kiedyś. Teraz próbuję się przekonać, jak to jest być mną!

Kiedy dojechaliśmy do Londynu, w powietrzu było gęsto od ciężkich płatków śniegu, tańczących w pomarańczowych aureolach lamp wzdłuż południowego brzegu Tamizy.

– Jak na obrazie Moneta. Budynek Parlamentu Londyńskiego. Tylko ze śniegiem zamiast mgły, oczywiście – powiedziałam, chcąc popisać się znajomością sztuki.

Leo posłał mi rozbawione spojrzenie.

– Wiedziałaś, że Monet był w Londynie na wygnaniu przez wojnę pruską we Francji? – ciągnęłam.

– Nie miałem pojęcia.

– Dużo się można dowiedzieć ze stron galerii sztuki.

– Naprawdę?

– Niesamowite, że z początku impresjoniści nikomu się nie podobali, co?

– Prawdziwemu artyście nie zależy na popularności – odparł Leo, tak że w końcu straciłam rezon.

Dotarliśmy do teatru dość wcześnie, żeby jeszcze zdążyć wypić drinka. Usiedliśmy z ginem i tonikiem, słuchając zespołu jazzowego, grającego we foyer. Dobrze się ubrałam. Niektóre kobiety były w sukienkach i butach na obcasie, ale wiele wybrało dzinsy. Zamieć za oknem sprawiła, że wszystkie były trochę potargane i mocno zaróżowione, nieważne, ile czasu i pieniędzy poświęciły na makijaż.



Wprawdzie widziałam film na podstawie „Romea i Julii”, a przed maturą czytaliśmy „Otella” i oglądaliśmy DVD, ale nigdy nie byłam na sztuce Szekspira w teatrze. Kiedy zgasły światła, serce zabiło mi szybciej. Nie wiem, czy denerwowałam się bardziej ze względu na siebie czy aktorów, ale nie było się o co martwić. Wyglądali, jakby naprawdę dobrze się bawili. Spodziewałam się atmosfery nabożnego skupienia, ale było bardzo zabawnie. Nie tak, żebyśmy zerkali na siebie, kiwając głowami z zadowolonym uśmiechem. Tak, że wszyscy śmialiśmy się w głos.

Podczas przerwy Leo poszedł do toalety, a ja oparłam się o ścianę, popijając drugi gin z tonikiem. Staralam się nie wyglądać, jakbym podsłuchiwała toczące się wokół rozmowy. Zauważyłam, że londyńska publiczność teatralna rozmawia dużo głośniejsz niż ludzie, którzy wychodzą z kina. Prawie jakby chcieli, żeby było ich dobrze słychać.

Tuż przy mnie stało dwóch mężczyzn i kobieta, cała trójka w średnim wieku, a razem z nimi młodsza kobieta. Bez dwóch zdań to ona była w centrum uwagi. Jej inteligentne komentarze na temat przedstawienia kazały mi myśleć, że może sama jest aktorką. Wystarczająco piękna, z długimi ciemnymi włosami. Emanowała z niej pewność siebie, jakby regularnie bywała na przyjęciach koktajlowych, nosiła piękne sukienki i paliła papierosy przez długą lufkę. W rzeczywistości jednak miała na sobie tylko proste czarne spodnie i czarny kardigan, pewnie kaszmirowy. Jeden z mężczyzn był nią szczególnie zainteresowany. Opowiadał o jakiejś produkcji, którą niedawno widział. Miał lekki akcent.

– Nigdy nie byłaś na Festiwalu Salzburskim? – zapytał zdziwiony. – Góry i opera. To coś wyjątkowego.

– Brzmi cudownie – odparła kobieta, patrząc na niego lśnącymi zielonymi oczami.

Może pozostała dwójka zorganizowała im randkę w ciemno? Był dla niej trochę stary. Stary, ale bogaty. Na pewno bogaty. Nikt nie wkłada do teatru czarnego golfu pod jasnobrązową tweedową marynarkę, jeśli nie jest bogaty.

– Wracamy? – zapytał drugi mężczyzna, gdy zabrzmiał pierwszy dzwonek.

– Jaka szkoda, że mój mąż nie mógł tu być... – powiedziała piękna kobieta.

– Jakie szczęście dla mnie – odparł bogaty mężczyzna niskim szeptem. Jego dłoń zawisła centymetr nad dołem jej pleców, gdy przesunął się, żeby ją przepuścić.

– Gotowa? – zapytał Leo, pojawiając się znów obok mnie.

– Tak. – W jednej chwili wybudziłam się z własnej narracji i poszłam z nim z powrotem na widownię.

Na dworze w tym czasie zrobiła się prawdziwa śnieżycyca. Udało nam się przedrzeć przez zasy na drugą stronę rzeki i do mostu dla pieszych na Charing Cross, ale kiedy dotarliśmy na stację, okazało się, że wszystkie pociągi do Kentu

odwołano.

Martwiłam się, że Hope będzie musiała sama spędzić noc, ale zadzwoniłam do Anne i usłyszałam, że już zabrała moją siostrę do siebie.

– A ty co zrobisz?

Oczywiście wyobraźni widziałam już film o młodej kobiecie i jej profesorce, uwięzionych na jedną noc w rozmigotanym mieście, recytujących kwestie z „Wiele hałasu o nic” na schodach Galerii Narodowej, robiących anioły na nieskałanym śniegu w parku...

– Może spróbujemy w Premier Inn? – zaproponował Leo.

Nie mieli już żadnych pojedynczych pokoi ani podwójnych z osobnymi łózkami. Trafił nam się ostatni podwójny z małżeńskim łóżkiem. Na recepcji wynegocjowałam składaną szczoteczkę do zębów i małą pastę do zębów. Kiedy wyszłam z łazienki, Leo był już w łóżku. Dżinsy miałam mokre od śniegu, a blezer był zbyt delikatny do spania, więc postanowiłam usiąść na łóżku, rozebrać się do majtek, podkoszulka i stanika, a potem wślizgnąć prosto pod kołdrę, nawet na niego nie patrząc. Zgasiałam lampkę nocną po swojej stronie.

– Czy należałoby położyć między nami poduszkę? – szepnął mi w kark. Oddech miał przesycony ginem z tonikiem.

– Nie trzeba – zachichotałam. – Nie rzucę się na ciebie!

To miał być żart, aby mu pokazać, że nawet o tym nie myślę, ale zabrzmiało bardziej jak zaproszenie.

– Nawet jeśli zrobię tak? – zapytał i musnął moją szyję pocałunkiem delikatnym jak piórko.

Poczułam dreszcz wzdłuż kręgosłupa, napinający całe ciało w przyjemnym spazmie. Nie ośmieliłam się odwrócić, na wypadek gdyby żartował i miał zaśmiać mi się prosto w nos.

– Albo tak? – Łagodnie wsunął mi dłoń pod ramię i miękko objął pierś.

Wtedy się odwróciłam. Patrzył na mnie z wielką powagą. Pocałowaliśmy się, najpierw ostrożnie, potem zachłannie. Jego zarost drapał moją skórę bardziej, niż się spodziewałam.

Leo powiedział, że skrywam szczerą niewinność Audrey Hepburn w ciele Claudii Cardinale. Ten opis spodobał mi się jeszcze bardziej, gdy znalazłam jej zdjęcia w Google. Bez przerwy miałam świadomość konturów własnego ciała pod sklepowym ubraniem, jakby ktoś zerwał ze mnie wierzchnią warstwę skóry, odsłaniając wszystkie zakończenia nerwowe, wychwytyjące najłżejsze musnięcie poliestrowej bluzki. Stałam przy stanowisku obsługi klienta i gapiłam się na alejkę z mrożonkami, w głowie słysząc jego głos, powtarzający pięć sylab słowa „zniewalająca”. Trzymałam telefon w górnej kieszeni bluzki, więc kiedy przychodził esemes od niego, czułam wibrację tuż przy sercu.

Prawie każdego wieczoru po pracy Leo zabierał mnie do pubów za miastem,

gdzie nikt nas nie znał. Mówił o poezji, a potem kochał się ze mną w samochodzie.

– Jesteś jak tchnienie świeżego powietrza – mówił. – I nigdy nie będę miał dość twojego ciała.

Słuchałam jego komplementów cicha i pasywna. Nie umiałam znaleźć słów dostatecznie głębokich, by opisać to wszechogarniające przeświadczenie, że czekałam na niego całe życie.

Nikomui nie powiedziałam o naszym romansie. Nie chciałam słyszeć zdania Shauna. Nie pozwalałam sobie na rozważania, co powiedziałyby mama. Wspomnienie jej twarzy w mojej wyobraźni stopiło się w jedno z malowaną twarzą figury Matki Boskiej, przed którą modliłyśmy się razem, kiedy byłam mała. Jej gładka, świetlista skóra, usta złożone w maleńki truskawkowy uśmiech, oczy wpatrzone w przestrzeń gdzieś daleko. Już jej nie było, więc jej opinia nie miała znaczenia.

Tajemnica jeszcze wzmacniała cudowną iluzję, że Leo należy tylko do mnie.

Chyba przekonałam samą siebie, że jego żona po cichu zainicjowała nasz związek. Wprawdzie rzadko o niej wspominał, ale uznałam, że pewnie po menopauzie straciła zainteresowanie seksem. Rzucałam się na każdy okrucieństwo informacji jak wygłodniała mewa.

Poznali się podczas studiów w Oksfordzie. Oboje grali w plenerowym przedstawieniu „Miłości i gniewu”.

Zamówiłam sztukę na Amazonie. Zmroziły mnie tyrady Jimmy'ego Portera.

– Byłeś młodym gniewnym?

– Byłem młodym Walijczykiem z klasy pracującej, który zabłądził przez linię wroga na terytorium klasy średniej.

– Ale teraz należysz do klasy średniej...

– A twoim zdaniem to zmiana na lepsze, co? – Popatrzył na mnie z grymasem, po czym nagle się zaśmiał. Irytacja w jednej chwili zmieniła się w pobłażliwość.

Jego nieprzewidywalność była ekscytująca. Bez przerwy czułam się, jakbym szła na palcach po cienkiej linii jego adoracji, lecz nieustannie zagraża mi upadek w niełaskę. Ale zawsze wiedziałam, że prawdziwa miłość będzie przerażająca i stroma jak krawędź przepaści. Przecież wszystkie wielkie romanse, od „Doktora Żywago” po „Angielskiego pacjenta”, polegały na chwytanych łąpczywie momentach bolesnej ekstazy. Przecież „pasja” dosłownie oznacza „cierpienie”, prawda?

Jeśli miałabym porównać Leo do romantycznego bohatera literackiego, wybrałabym pana Rochester. Nie tylko ze względu na wiek i status matrymonialny – chociaż oczywiście jego żona była zdrowa psychicznie, a on nie trzymał jej pod kluczem. Chodziło o tę jego mroczną, tajemniczą stronę. Jego kreatywność była tłamszona przez kompromisy zobowiązań zawodowych

i rodzinnych. Uwierzyłam, że jesteśmy bratnimi duszami. Sądziłam, że skoro jego miłość dopełnia mnie, ja będę w stanie dopełnić jego. Jane Eyre dobrze rozumiała, jak wielkim wyzwaniem jest przynieść radość stroskanej duszy. Każdy ulotny uśmiech jest wart więcej od stu godzin szczęścia mniej wartościowego kochanka.

Pewnego popołudnia pracowałam na poranną zmianę. Leo przyjechał po mnie i zabrał do Whitstable. Spacerowaliśmy po asfaltowej ścieżce wzdłuż plaży. Słońce gasło, zmieniając kolor morza ze srebrnego w cynowy; wiatr znad wody był ostry i zimny.

– Zamknij oczy – nakazał nagle.

Słyszając, jak jego kroki się oddalają, zaczęłam drzeć w irracjonalnym strachu, że mnie tu zostawi.

– Nie patrz!

Usłyszałam zgrzyt metalu, szcęknięcie kłódki, a potem powracające ku mnie kroki. Poczułam jego ciepłą dłoń w mojej. Poprowadził mnie, wciąż posłusznie niewidomą.

– Na dół po schodach! Schyl się!

Za nami zamknęły się drzwi. Poczułam woń klatek na homary, środka do konserwacji drewna i niemal słodki zapach stęchłych, wilgotnych ręczników.

– Już możesz patrzeć.

Byliśmy w chatce, pełnej kartonów z książkami i kawałków połamanych mebli. Na środku zobaczyłam dwa rozkładane krzesła i stolik, na którym stała świeczka, dwa kieliszki, butelka wina Rioja i mała miseczka migdałów.

– Kupiłem to za moją pierwszą zaliczkę. Przestrzeń do pisania, wiesz? Nigdy nie zebrałem się, żeby coś z tym zrobić. Ponoć teraz takie domki są warte fortunę...

– Pisziesz tutaj?

– Nie, cholernie tu zimno. Ale może, skoro teraz ty tu jesteś...

Byłam zachwycona myślą, że mogłabym być jego muzą. Wino było łagodne i rozgrzewające, o smaku letnich jeżyn, a migdały słodko-słone. Leo wziął mnie za rękę i poszliśmy po chropowatej drabinie na zatłoczony stryszek. Rozebrał mnie ostrożnie, wpatrując się w moją bladą skórę w drżącym blasku świecy, kiedy leżałam na zimnym, wilgotnym materacu.

– Jesteś moją odaliską – wyszeptał. – A teraz zerznę cię tak mocno, że jeszcze długo będziesz mnie czuła.

Położył się na mnie i wszedł od razu, po czym zaczął ujeżdżać, aż w końcu nasze ciała skleił pot, a jego żądza spaliła mnie całą. Rozdzieliliśmy się, zmęczeni i nasyчени. Dyszeliśmy ciężko, wpatrując się w nagie drewniane belki spadzistego dachu. Potem Leo objął mnie ramieniem i mocno przycisnął do piersi, gładząc moją twarz z nieskończoną czułością.

Kiedy świeczka zgasła, po omacku zeszliliśmy na dół, zamknęliśmy drzwi na

kłódkę i znaleźliśmy w ciemności drogę do jego samochodu. Mroźne powietrze paliło mi skórę.

2008

GUS

W radiu zapowiadali śnieg.

Od samego rana czułem w powietrzu coś złowróżbnego. W nocy wstawałem kilka razy, bo Bella się przeziębila – i to nie był katar, tylko jakaś paskudna infekcja. Za każdym razem, kiedy kaszłała, przesywał mnie dreszcz przerażenia.

Zawahałem się nad miską płatków. Charlotte właśnie wyszła do pracy z kawałkiem tosta w zębach. Matka rozmawiała z Florą przy kuchennym stole. Poszedłem na górę sprawdzić temperaturę Belli, niemal z nadzieją, że okaże się dość wysoka, żebym musiał zostać w domu. Była jednak zaledwie kilka kresek powyżej normy.

– Pamiętaj, żeby podawać jej dużo płynów – poinstruowałem matkę, naciągając na garnitur gruby zimowy płaszcz.

– Wiesz, ja też wychowałam dwoje dzieci – odparła. Przez chwilę patrzyła pustymi oczyma w przestrzeń, ale szybko wróciła do rzeczywistości.

– Zadzwonisz, jeśli jej się pogorszy? – upewniłem się i wyszedłem na ponurą ulicę Wandsworth. Niebo było szare i zachmurzone. – Może nie zabieraj dziś Flory do przedszkola? Lepiej nie wyciągać Bell na dwór w taką pogodę.

– Nic jej nie będzie. Nie chcemy opuścić przedszkola, prawda, Florku?

Ruch na ulicy był mniejszy niż zwykle, pewnie przez ostrzeżenia pogodowe, więc przyjechałem do pracy wcześniej. Poranek wypełnił niekończący się strumień małych dzieci z okropnym przeziębieniem, jak u mojej córeczki. Dawałem rodzicom te same rady: dużo płynów, na gorączkę Calpol. Dodawałem kilka kojących słów i przekonywałem, że antybiotyki nie działają na wirusy – mówiłem to zarówno do zmartwionych matek, jak i sam do siebie.

Po południu w końcu spadł śnieg. Miękkie, gęste płatki wypełniły małe podwórko za oknem mojego gabinetu, lśniąć własnym białym światłem. Zapatrzyłem się na nie jak w transie, we wspomnieniu zachwytu, który czułem jako mały chłopiec, kiedy nadejście śniegu oznaczało wyłącznie zabawę. Flora na pewno ucieszyła się na ten widok. W weekend zrobimy razem bałwana. Może powinienem zajrzeć w drodze powrotnej do Toys R Us i kupić jej sanki? Wyobraziłem sobie córkę i inne dzieci w przedszkolu, małe zachwycone twarzyczki przyciśnięte do szyby, czekające aż zostaną wypuszczone na miękkie biały dywan, trzeszczący pod podszewkami ich śniegowców. Chwilę później zadzwonił telefon z przedszkola. Miałem wrażenie, jakbym sam go wywołał.

– Czy ktoś przyjedzie po Florę? – zapytała wychowawczynie.

– Słucham?

– Czeka od dwudziestu minut.

– Moja matka miała po nią przyjechać, pewnie utknęła w śniegu – odparłem.

Oczywiście wyobraźni od razu zobaczyłem, jak przewraca się na oblodzonym podjeździe i rozbija głowę. W zamieci płatków za oknem mignęła mi przez chwilę twarz Rossa. Jego białe zęby, oczy schowane za lustrzanymi szklami narciarskich gogli.

– Tutaj nie pada – odparła kobieta.

– Dzwoniła pani do niej?

– Dwa razy, na komórkę i domowy.

Wyobraziłem sobie matkę leżącą bezwładnie na podłodze po zawale.

A może Belli się pogorszyło? W mojej głowie powstał kolejny obraz, jak siedzą w poczekalni u lekarza.

Wiedziałem, że nie należało iść dziś do pracy.

– Czy Flora mogłaby zostać trochę dłużej? – zapytałem, próbując zatrzymać nawałnicę hipotez i wymyślić jakiś praktyczny plan działania. – Przyjadę, kiedy tylko będę mógł.

– Flora może zostać na popołudniowych zajęciach, jeśli pan chce. Damy jej lunch.

Zapomniałem, że przecież Flora zostaje w przedszkolu tylko na pół dnia.

– Tak! Świetny pomysł. Dziękuję. Potem ją odbiorę.

Odłożyłem słuchawkę i drżącą ręką wybrałem numer do domu. Nikt nie odpowiedział.

Poszedłem do przełożonej. Akurat jadła lunch przy biurku. Wyjaśniłem sytuację, czując się jak wagarowicz przed dyrektorką.

– Oczywiście, Angus, jedź – odparła znużonym głosem. – Ale to pewnie nic takiego. Zwykle tak jest.

Moi koledzy po fachu mieli zawodowy obowiązek oceniać sytuację chłodno i bez emocji, ale często wydawało mi się, że to przesiąknęło całą ich osobowość. A może ludzie, którzy chcieli być lekarzami, mieli te cechy rozwinięte naturalnie, a ja po prostu się nie nadawałem.

Samochód matki wciąż stał przed domem. Pogoda nie mogła się zdecydować między deszczem a śniegiem. Kiedy otworzyłem drzwi wejściowe, uderzył mnie ogłuszający ryk telewizora. Był nastawiony na maksymalną głośność, więc w pierwszej chwili pomyślałem, że może po prostu nie słyszała telefonu. Traciła słuch? Może powinienem zasugerować jakieś badanie?

Znalazłem ją w salonie, śpiącą głęboko przed odbiornikiem. Na poręczy fotela niepewnie balansowała szklanka wody. Wyłączyłem telewizor i poszedłem na górę. Bella spała w swoim kojcu. Czoło miała gorące, ale choć trochę rzeziło jej

w płucach, oddychała głębiej niż rano. Nikt nie umarł. W drodze do kuchni czułem, jak serce powoli mi się uspokaja.

Podszedłem do zlewu, żeby nalać wody do czajnika. Na suszarce do naczyń zaskoczył mnie widok niemal pustej butelki wódki marki Tesco.

Charlotte zawsze kupowała Grey Goose.

Przypomniało mi się, jak zaledwie kilka dni wcześniej Charlotte nalewała sobie wódki z tonikiem.

– Próbujesz mi powiedzieć, że mam problem z alkoholem? – zapytała.

– Co?

– Dolałeś mi wody do wódki?

– Oczywiście że nie!

Powąchała szklankę.

– Dałabym głowę, że jest słabsza niż dawniej!

– No to może rzeczywiście masz problem!

Roześmialiśmy się i zapomnieliśmy o całej sprawie.

Patrząc na butelkę, pomyślałem znów o szklance na fotelu matki. Ostatnio trochę mnie niepokoiło, ile pije. Trzy kieliszki szampana przed świątecznym obiadem, wino do posiłku, a potem kilka kieliszków brandy „na dobranoc”. Nic nie powiedziałem. W końcu były święta.

Ale chyba nie piła codziennie? Nie w ciągu dnia? Nie podczas opieki nad naszymi dziećmi? I na pewno nie wtedy, gdy miała prowadzić?

Złapałem wódkę i poszedłem przez korytarz z powrotem do salonu.

Matka powoli uniosła powieki i wbiła wzrok w pustą butelkę w mojej dłoni.

– Tylko kropelkę – wyjąkała. Uniosła się szybko w fotelu, strącając szklankę na podłogę. Podniosłem i powąchałem.

– Chyba jednak trochę więcej.

– Pomaga jej zassnąć... – Trochę plątał jej się język.

Minęło kilka sekund, zanim zrozumiałem, że mówi o Belli.

Popędziłem do kuchni. Na stole znalazłem butelkę z mlekiem. Powąchałem, a potem odkręciłem smoczek i spróbowałem odrobinę. Mleko z alkoholem. Biały Rosjanin dla niemowląt. Nic dziwnego, że tak dobrze spała!

Matka stała teraz za mną i wymyślała wymówki.

– Cała się robi gorąca od tego płaczu, nie może w ogóle zasnąć!

– To niemowlak!

– Z tobą oczywiście było tak samo. Ciągłe miałeś kolkę.

– Mnie też dolewałaś wódki do mleka? – zapytałem, spodziewając się, że prychnie i zaprzeczy.

– Niedużo, troszkę prądu od czasu do czasu, jak mieszkaliśmy nad gabinetem.

– Jasna cholera! Nic dziwnego, że zawsze byłem oderwany od



rzeczywistości!

Spojrzała na mnie zaskoczona, jakby nagle się zorientowała, że wróciłem do domu wcześniej.

– Możesz mi powiedzieć, ile dziś wypiałś? – Starłem się, żeby mój głos brzmiał spokojnie i profesjonalnie.

– Szklaneczkę. Nie więcej niż dwie jednostki.

Przy pytaniu o spożycie alkoholu pacjenci z problemem zawsze dokładnie wiedzą, jaka jest zalecana ilość jednostek, i podają odrobinę niższe wartości. Robią to swobodnie, jakby w ogóle się nie zastanawiali.

– Zwykle tego nie robię. Tylko ziśśś...

Wbiła wzrok za okno. Płatki śniegu wirowały teraz w gęstych chmurach na tle pomarańczowych latarni.

– Przez ten śnieg?

Rozpromieniła się w zadowolonym uśmiechu, jakbym w końcu ją zrozumiał.

– Więc ile ci tego schodzi w tygodniu? – Wskazałem na butelkę po wódce. Starłem się, by zabrzmiało to obojętnie.

– Najwyżej jedna – odparła, zerkając na sufit. – Zajrzę do Bell, co? – dodała, ale zanim się poruszyła, już byłem na schodach.

Zapomniała zamknąć drzwi do swojej sypialni. W walizce leżały dwie puste butelki po wódce. Przyjechała w niedzielę wieczorem. Piła pół butelki dziennie, a oprócz tego jeszcze wino do obiadu, a my nic nie zauważyliśmy.

Bella zaczęła kaszleć. Wziąłem ją na rękę. Żółte smarki zatykały jej nos i miała pełno w pieluszcze, ale chyba nie pogorszyło się jej od rana.

– Tu jesteś, moje kochanie! – zawołała matka, gdy zniosłem Bellę na dół, jakby już zapomniała o naszym wyścigu na górę. – To co, pojedę po Florę?

– Nie!

– Mogę prowadzić.

– Mowy nie ma!

Ubrałem Bellę w kombinezon i zabrałem do samochodu. Flora była uradowana, że mogła spędzić w przedszkolu cały dzień jak inne dzieci, i trajkotała o bałwanie, którego zrobili na podwórku. Kupiłem jej Happy Meal w McDrive w nagrodę, że była grzeczna. Zatrzymałem samochód i patrzyłem na padający wokół gęsty śnieg, zastanawiając się, co robić.

Kiedy zadzwoniłem do Charlotte, była już w złym humorze, bo nie odpisałem na jej esemesy z pytaniami, gdzie się spotkamy przed spektaklem. Ordynator zaprosił nas do Teatru Narodowego.

– Coś wypadło, nie mogę przyjechać.

– Ale wiesz, jakie to dla mnie ważne! Z dziewczynkami wszystko okej?

– Tak, nic im nie jest.

– Więc?

– Naprawdę nie mogę teraz wyjaśnić. Nikomu nic się nie stało.  
– A Caroline jest w domu? No, to niby czemu...?  
– Przekaż moje przeprosiny. Powiedz, że się przeziębilem albo że złapałem coś zaraźliwego, jeśli to pomoże. Dasz radę wrócić do domu?

– Och, na miłość boską!

Wróciła po północy, lekko zaróżowiona i pełna docinków o tym, jaki miała wspaniały wieczór. Bez problemu złapała taksówkę na Waterloo Bridge.

– Nie rozumiem, co z tym cholernym krajem jest nie tak – powiedziała, wślizgując się do łóżka koło mnie. – Raptem trochę śniegu i wszystko sparaliżowane. No wiesz, przecież śnieg to nic nadzwyczajnego. Londyn leży na tej samej szerokości geograficznej co Moskwa, błagam. W Szwajcarii wysyłają pługi i raz-dwa wszystko działa normalnie. Obudziłam cię?

– Nie, chciałem coś wyjaśnić.

„Wyjaśnić” nie było chyba najlepszym słowem, bo sugerowało, że jestem czemuś winien.

– Tak, co to za wielka tajemnica?

– Wiesz, czemu Bella tak świetnie śpi, odkąd moja matka się nią zajmuje? Dziś się dowiedziałem. Dolewała jej wódki do mleka.

Spodziewałem się co najmniej: „O Jezu!”.

– Moja babcia mówiła, że kiedyś się tak robiło – zamyśliła się Charlotte. – Widać działa!

– Sugerujesz, że to w porządku?

– Och, wyluzuj, Angus, na Boga! Nic jej nie jest, prawda? Nie sądzę, żeby to jej zrobiło jakąś krzywdę.

– Naprawdę nie pojmuję, jak lekarz mógłby zaakceptować, albo chociaż patrzeć przez palce, jak dziecku podaje się alkohol.

– Dobra, dobra. Zgadzam się, jeśli ci z tym lepiej. – Charlotte ziewnęła i odwróciła się plecami, jakby sprawa była zamknięta.

– Moja matka jest alkoholiczką.

Z trudem wypowiedziałem to słowo. Czy tego doświadczają ludzie na pierwszym spotkaniu AA?

– Nie bądź śmieszny! – wymamrotała Charlotte.

– Pamiętasz, jak się zaniepokoiłaś, ile pijesz? Okazuje się, że to nie ty, tylko ona. Dlatego miałaś rozrzedzoną wódkę, a ostatnio zaczęła przynosić własną. Znalazłem w jej walizce dwie puste butelki! Zadzwonili do mnie dziś z przedszkola, bo nie odebrała Flory. Jak wróciłem do domu, była pijana do nieprzytomności, ale wciąż uważała, że może prowadzić, kiedy ją obudziłem.

Charlotte gwałtownie usiadła i zapaliła lampkę nocną.

– Jesteś pewien?

– Stanowi zagrożenie dla dzieci i dla siebie.

– No, to trzeba znaleźć jej jakąś pomoc.  
– Tak, ale w międzyczasie...  
– Co?  
– Musimy znaleźć kogoś innego. Albo ja będę musiał zająć się dziećmi...  
– Chyba jesteś niepoważny! – wykrzyknęła Charlotte. – W przyszłym tygodniu zamykamy sprzedaż domu!

– Nie damy rady.  
– Angus, pomyśl o tym. Nie sprzedamy naszego domu, Caroline nie sprzeda swojego. Jeśli stracimy ten dom, nigdy się nie przeprowadzimy. Ceny idą w górę dosłownie z dnia na dzień!

– W takim razie będzie trzeba poczekać.

Charlotte wpatrywała się we mnie w milczeniu.

– Co jest ważniejsze? – ciągnąłem. – Bezpieczeństwo naszych dzieci czy prestiżowa dzielnica?

– Boże, jaki ty jesteś, kurwa, święty! – Wstała z łóżka, zabrała kołdrę i zeszła na dół, trzaskając drzwiami do salonu.

Rano zobaczyłem, jak siedzi w sypialni przy swojej toalecie i nakłada make-up.

– Pracujesz dzisiaj? – zapytałem z zaskoczeniem.

Nie odpowiedziała na pytanie, ale patrząc na moje odbicie w lusterku, oznajmiła:

– Ostatni raz spałam na sofie.

– Dobrze – westchnąłem ze zmęczeniem.

– Od teraz ty możesz tam spać. Albo przeprowadź się do pokoju niani, bo twojej matki już nie ma.

– Nie ma? – Usiadłem na łóżku.

– Powiedziała, że wie, że nigdy nie była tu mile widziana, a potem odjechała po oblodzonej drodze. Mam nadzieję, że jesteś z siebie zadowolony!

– Ale to jakiś obłąd. To nie moja wina. Chcę jej pomóc...

– Powiedziała, że jak zwykle histeryzujesz.

– I ty też tak uważasz?

– Nie zamierzam całe życie mieszkać w Wandsworth! – wrzasnęła Charlotte, po czym, jakby zaskoczona własnym wybuchem, złapała torebkę i wyszła.

Nie chodziło o seks, bo po narodzinach Belli i tak było go niewiele. Z początku nie chciałem zrobić Charlotte krzywdy, kiedy dochodziła do siebie po szwach, a potem ciągle byliśmy zmęczeni. Ale tęskniłem za dzieleniem z nią łóżka, za znajomym rytmem oddechu mojej żony, nawet za prychaniem i naciąganiem kołdry na głowę, kiedy wstawałem do dziecka.

Co ciekawe, w kryzysie finansowym pojawił się dla nas promyk nadziei. Na kilka miesięcy ceny nieruchomości w Londynie gwałtownie spadły. Nagle zrobił

się dobry czas na kupowanie. Złożyliśmy dość niską ofertę na domek przy końcu Portobello Road, niedaleko Notting Hill, i usłyszeliśmy, że została przyjęta. Nawet Charlotte musiała przyznać, że mniejszy dom o wiele lepiej odpowiadał naszym potrzebom. To paradoksalne, ale udało się nam dokonać tych zmian dzięki nieobecności mojej matki. Wziąłem kilka tygodni bezpłatnego urlopu, po czym ordynator przychodni w Croydon powiedział, że „nasze drogi się rozchodzą”. Nie musieliśmy płacić za remont ani za opiekę nad dziećmi, oprocentowanie szło w dół, a ja miałem czas, żeby znaleźć najlepszy kredyt i zorganizować przeprowadzkę. Dziewczynki miały się świetnie, a Charlotte mogła zająć się swoją kwitnącą karierą, pracować do późna i latać na konferencje w luksusowe miejsca jak Monte Carlo czy Doha.

Kiedy już się trochę zadomowiliśmy, zaprosiliśmy moją matkę. Odmówiła, twierdząc, że moje oskarżenie bardzo ją zabolowało. Według mnie chodziło raczej o to, że nie wytrzymałaby całego weekendu bez alkoholu. Charlotte, która zabierała dziewczynki z wizytą do babci co kilka miesięcy, w końcu przyznała mi rację. Niewiele można zrobić dla kogoś, kto nie chce uznać, że ma problem.

W weekendy Portobello Road była zapchana strumieniami turystów, ale w tygodniu, zwłaszcza wcześniej rano, bywała pusta. W ładne dni odprowadzałem Florę do szkoły, a potem spacerowałem z Bellą po ulicy, zaglądając w okna sklepów z antykami w poszukiwaniu misia Paddingtona. Zastanawiałem się, który sklep mógł należeć do pana Grubera. Przeczytaliśmy wszystkie książki o Paddingtonie tyle razy, że wypadały z nich kartki. Byłem niemal rozczarowany, gdy pewnego dnia podekscytowana Bell wskazała palcem na rzeczywistej wielkości misia w jednym ze sklepów, ubranego w kalosze, płaszcz i zydwestkę. Stał na szeszlunku w głębi pomieszczenia. Ale następnego ranka już go nie było – widać był dla klientów bardziej atrakcyjny niż meble z drugiej ręki. Więc kontynuowaliśmy poszukiwania.

Gdy sklepy z antykami się przeredzały, ustępując miejsca sprzedawcom ubrań i jedzenia, Bella zwykle już spała, a ja spędzałem resztę poranka w naszej ulubionej kawiarni, czytając gazetę nad filiżanką kawy i pyszną tartaletką z budyniem i glazurą przypalanego cukru. Pewnego wiosennego dnia, akurat kiedy walczyłem z wózkiem przy wejściu, usłyszałem:

– Gus! Gus!

Od lat nikt tak mnie nie nazywał, więc chwilę zajęło mi dostrzeżenie Nash machającej z przeciwnej strony ulicy. Kiedy ostatni raz się widzieliśmy, Flora była jeszcze malutka, ale czasem oglądałem ją w telewizji, bo amerykański serial medyczny, w którym grała, okazał się hitem również w Wielkiej Brytanii. Z włosami ufarbowanymi na głęboką czerwień wyglądała o wiele bardziej elegancko i poważnie. Przeszliśmy do stolika w głębi kawiarni, bo było tam więcej miejsca na wózek. Zauważyłem, że inni klienci rozpoznają twarz Nash i trącają się

dyskretnie.

– Na jak długo wróciłaś?

– Obawiam się, że na stałe. Miałam wypadek na motorze – poinformowała.

– Ale wszystko okej?

– Nie, umarłam. Och, czekaj, tutaj leci dopiero drugi sezon, nie? No, taki los silnych kobiecych postaci. Zostajemy poskromione albo unicestwione...

– Straszna szkoda. Wszyscy uważają, że jesteś świetna – dodałam prędko.

– Poważnie?

Przez chwilę pod idealnie dopracowaną fasadą mignęła mi dawna rozbijająca Nash, tak bardzo potrzebująca uwagi i akceptacji.

– Nawet Charlotte. A ona teraz jest już prawdziwym konsultantem.

– Łał! – Odrzuciła lśniące włosy przez ramię. – A ty co porabiasz?

– Wciąż zajmuję się dziećmi. Długa historia. Przy okazji, to jest Bella.

– Urocza. – Nash zerknęła na śpiące dziecko, a potem posłała mi długie, krytyczne spojrzenie. – Nigdy nie wyobrażałam sobie siebie jako lekarza...

– Czemu? – Teraz to ja potrzebowałam akceptacji.

– Jesteś zbyt chwiejny. Przy podejmowaniu takich decyzji trzeba mieć sporo pewności siebie. Zrobiłam duży research do roli...

– Widzę.

– Więc co zamierzasz robić, Gus?

Odwieczne londyńskie pytanie. W tętniącej życiem stolicy to praca decyduje, kim jesteś.

– Nie myślałem o tym jeszcze – odparłem, patrząc, jak Bella zaczyna się wiercić. – Może wpadłabyś do nas na lunch?

Nasze drzwi frontowe otwierały się prosto na wielki pokój służący za salon, jadalnię i kuchnię. Na ścianach zawiesiłem filcowe tablice, do których przyczepiłem rysunki dziewczynek i kilka ich portretów mojego autorstwa.

Nash oglądała rysunki, podczas gdy ja szykowałem prosty lunch: pasta z pomidorami koktajlowymi i bazylią.

– Kto to rysował?

– Ja.

– Niezłe. Zawsze wiedziałam, że masz jakiś ukryty talent!

– Może tym mógłbym się zająć... No wiesz, w Covent Garden? Zawsze ktoś tam siedzi i rysuje turystów.

Nash wlepiła we mnie wzrok.

– Jezu, Gus. Tylko ty mógłbyś w wieku trzydziestu lat rozważać karierę ulicznego artysty!

Postawiłem przed nią parujący talerz pasty.

– A może zostałabyś dziecięcym portrecistą? – Podmuchała na gorący widelec. – W tej okolicy pewnie jest sporo nadzianych rodziców?

– Paru mnie prosiło, wiesz, jak odbierali dzieci z urodzin, ale nigdy nie myślałem, żeby brać za to pieniądze...

– Boże, Gus, w ogóle się nie zmieniłeś! – zaśmiała się Nash.

– Czemu tak mówisz?

– Jesteś taki – nie wiem, jak to nazwać. Rozmarzony? Z innego świata?

– Przepraszam.

– Nie musisz. Ta cecha, o której mówię – to nie jest nieatrakcyjne.

– Charlotte uważa, że jest – powiedziałem bez zastanowienia.

– Tak uważa? – powtórzyła Nash, zaintrygowana.

Zawsze wierzyłem, że między mną a Charlotte wszystko jeszcze się ułoży. W nowym domu zwykle spaliśmy w oddzielnych sypialniach, ale bywały okazje, jak urodziny dzieci, że po wyjściu wszystkich małych gości, kiedy nasze córeczki już spały przytulone do nowych zabawek, otwieraliśmy butelkę szampana, by uczcić kolejny kamień milowy w naszej wspólnej podróży. Pocałunek na dobranoc zmieniał się w coś więcej, a nasze ciała znały się tak dobrze, że same wiedziały, co robić.

Byłem pewien, że przyjdzie czas, może na wakacjach, że wszystko magicznie wróci na dawne miejsce. Wynajęliśmy na tydzień domek na północnym wybrzeżu Kornwalii. Na plaży wyglądaliśmy jak rodzina z katalogu Boden, ubrana ze swobodną elegancją, uśmiechnięta w słońcu, i ewidentnie z klasy średniej. W kwestii dzieci Charlotte i ja zawsze się dogadywaliśmy. Pilnowaliśmy zachowania przy stole, ograniczaliśmy słodycze, słuchaliśmy, co mają nam do powiedzenia, i zachęcaliśmy do odkrywania małych kamienistych jezior i tworzenia obrazków z zasuszonych wodorostów. Charlotte mniej chętnie ode mnie brała udział w kopaniu dołków i innych brudnych zajęciach, ale lubiła rywalizację. Wystarczyło zaproponować partię badmintona albo konkurs na najlepszy zamek z piasku, a natychmiast podejmowała wyzwanie. Dobrze się bawiliśmy nawet w deszczowe dni. Chodziliśmy do ogrodu botanicznego Eden Project i do galerii Tate St Ives, a potem kupowaliśmy wielkie siatki importowanych muszelek, żeby robić z dziećmi własne dzieła sztuki z pomocą kleju i kolorowego brystolu.

Ale kiedy całowaliśmy dziewczynki na dobranoc i gasiliśmy światło w ich pokoju, gasł też nasz związek. Charlotte siadała z książką; ja zmywałem naczynia. Czasem wspominaliśmy coś zabawnego, co dzieci powiedziały lub zrobiły w ciągu dnia, ale poza tym rozciągała się między nami niezmierna zatoka ciszy. Szedłem do łóżka pierwszy i udawałem, że śpię, kiedy Charlotte kładła się obok. A potem leżałem zdenerwowany bez ruchu, aż sen w końcu wymazywał smutek, a poranek przynosił radosny chaos, kiedy dzieci wdrapywały się nam do łóżka, napędzając mnie energią na kolejny dzień.

– Czemu nie macie z mamą jednego dużego łóżka w domu? – zapytała raz

Flora.

Spojrzałem na Charlotte. Ona była lepsza ode mnie w mówieniu tak, żeby nic nie powiedzieć.

– Tata okropnie chrapie, więc mama nie może spać, a rano mama musi iść do pracy – odparła.

Posłusznie zamknąłem oczy i zacząłem chrapać najgłośniej jak umiałem, wśród dźwięcznego śmiechu moich dziewczynek.

**2010****TESS**

Anne uparła się na menu degustacyjne w eleganckiej restauracji. Ja uważałam, że Hope wolałaby Pizza Express, ale to tata wpadł na idealny pomysł.

– To jej osiemnastka. Co się robi na osiemnastkę? Idzie do pubu!

Już miałyśmy zaprotestować, kiedy dodał:

– A w czwartek jest wieczór karaoke!

Więc zarezerwowaliśmy stół na wczesną kolację, bo mieli tam bufet z pieczenią i bar sałatkowy; każdy mógł się najeść, bez względu na apetyt. A potem Hope dodała:

– A Martin może przyjść?

Hope pracowała teraz na pełny etat w Martin's Music. Kiedy skończyła praktyki, Martin poprosił ją, żeby przychodziła w soboty.

– Jestem mu potrzebna, Tree – oznajmiła z dumą.

Było więc dość naturalne, że zaproponował jej pracę, kiedy zdała testy GCSE.

Hope była minimalnie bardziej uprzejma dla klientów niż Martin, a taki układ pozwalał mu skupić się na naprawie instrumentów, co było bardziej opłacalnym zajęciem. Obojgu odpowiadał taki podział obowiązków.

Pchnęłam ciężkie drzwi pubu i poczułam przeciąg, jakby ktoś wszedł zaraz za mną. Odwróciłam się.

Mama miała na sobie granatową sukienkę i marynarkę. Zawsze wkładała je na wesela.

– O, Boże! Jesteś tutaj! – zawołałam.

– Przecież za nic bym tego nie przegapiła – odparła z uśmiechem.

Obudziłam się, czując, jak bąbelki ekscytacji pękają w jednej chwili. Leżałam dalej z zamkniętymi oczami, próbując znów przywołać uczucie jej obecności i mówiąc w duchu:

– Mamo, Hope ma osiemnaście lat. I wszystko jest dobrze. Byłabyś z niej dumna!

Chciałam dodać: „I ze mnie też!”, ale po policzku spłynęła mi łza, zostawiając mokrą, zimną ścieżkę. Nie byłam tego taka pewna.

Dostaliśmy stół na sześć osób. Po jednej stronie siedział tata z Anne, a po drugiej Martin, Hope i ja – naprzeciwko pustego krzesła. Dla mamy, pomyślałam, wciąż zdezorientowana po dzisiejszym śnie, w którym wydawała się taka



prawdziwa.

Czułam się jak stara panna, sama na końcu stołu, ale przynajmniej byłam poza zasięgiem upierścienionych palców Anne. Zwykle w takich sytuacjach łapała mnie za ramię i zionęła przesyconym tytoniem oddechem, zapewniając, że na miłość nigdy nie jest za późno, a Ten Jedyny może pojawić się w każdej chwili.

Żadne z nich nie wiedziało, że jestem zakochana. Choć ostatnio zdarzało mi się złapać na myśli, czy to nie jest związek na niby, a rozklekotana chatka to taki domek na drzewie dla dorosłych, w którym bawiliśmy się w prawdziwą parę. Zamiast kuchni mieliśmy kuchenkę gazową; zamiast sypialni – stary materac. Zamiast wspólnie oglądać telewizję, czytaliśmy przesiąknięte wonią stęchlizny książki o kartkach brązowych ze starości, a ja nerwowo robiłam herbatę, w nadziei że go zainspiruję. Czy udało nam się nabrać parę z Londynu, Marcusa i Keiko, którzy przyjeżdżali na weekendy ze swoimi uroczymi, pół angielskimi, pół japońskimi dziećmi, do eleganckiej chatki obok, całej ze szkła i designerskich kafelków? Czy to oczywiste, że jestem kochanką Leo?

Bez reszty pochłonał mnie romantyzm naszej zakazanej miłości, aż uwierzyłam, że to tylko dodaje jej pikanterii. Nigdy nie przyszło mi do głowy zakwestionować *status quo* i zapytać, czemu miałoby tak być. Hope dorastała, a dzieci Leo już dawno wyprowadziły się z domu: jedno kończyło studia magisterskie na Stanfordzie w Kalifornii, a drugie zarabiała fortunę jako aktuariusz w londyńskim City. Leo utrzymywał, że gardzi taką pracą, ale często słyszałam, jak chwali się synem przed Marcusem. Czemu nie mielibyśmy zacząć myśleć o przyszłości albo chociaż zrobić coś razem, jak normalna para?

Raz napomknęłam, że może pojechalibyśmy na festiwal w Glastonbury.

– Będą zespoły ze wszystkich dekad...

– Będzie też błoto – odparł Leo.

– Ale to niesamowite, doświadczyć energii takiego oceanu ludzi, nie sądzisz?

– Moja słodka Tess! Jak ci się udaje zachować ten niewyczerpany optymizm?

Z czasem jego komplementy zaczęły coraz bardziej przypominać krytykę, więc starałam się nad nimi głębiej nie zastanawiać.

A mimo to w powietrzu zawsze wisiała ta kusząca obietnica, że pewnego dnia wszystko się zmieni.

Jak ostatnio, kiedy po seksie Leo powiedział:

– A może powinniśmy uciec do Hiszpanii, co, Tess? Zamieszkamy w fince, będziemy śniadać pod drzewem oliwnym, pić dobre wino, hodować pomarańcze i pieprzyć się, jakby jutra miało nie być?

– Albo do Włoch? – zaproponowałam, niepewna, co to jest finka. – Zawsze chciałam tam wrócić.

Posłał mi tak rozbawione spojrzenie, że poczułam się jak kretyńka. Powinnam była od razu pojąć, że pomysł był tylko jeszcze jedną z jego niezliczonych metafor, pustych jak marzenie.

A mimo to mówiłam sobie: przecież nawet metafora musi znaczyć, że gdzieś w głębi serca też by tego chciał?

Martin coś do mnie mówił. A właściwie nie mówił, bardziej oznajmiał.

– Hope chce iść na lekcje śpiewu. Ma już osiemnaście lat, więc może sama decydować.

– Świetny pomysł! – zgodziłam się.

– Nie możesz mnie już powstrzymywać! – odezwała się Hope. – Mam osiemnaście lat!

Czując na sobie cztery pary oczu, zaczęłam się zastanawiać, jak długo byłam we własnym świecie z Leo, i czy może coś przegapiłam.

– Przecież nigdy cię nie powstrzymywałam! – zaśmiałam się.

– Nie zgodziłaś się, żeby brała lekcje muzyki – dodał Martin.

– Zaraz, zaraz. Nigdy przed niczym nie powstrzymywałam Hope! – zaprotestowałam.

Kto kupił jej keyboard? Kto słuchał jej śpiewania przez te wszystkie lata?

– Powiedziałaś, że lekcje są za drogie – dołączyła do Martina Hope.

– No tak, lekcje gry na fortepianie. Zresztą, to było dawno, prawda? Nie rozmawialiśmy o śpiewaniu.

– Martin z tobą rozmawiał.

– Tak, ale... – Myślałam, że po prostu chciał być miły.

Spojrzałam na tatę i Anne w nadziei na ratunek.

– Trzeba było powiedzieć – zawtórowała Anne. – Wystarczyło poprosić.

Tata wydawał się gotowy, by przyjść mi z pomocą, kiedy Martin dodał:

– A co z chórem w kościele? Hope mówi, że jej nie puszczałaś...

– No, to akurat dobre pytanie, Tess – odezwał się ojciec. – Coś ty się tak uwzięła, żeby jej nie puszczać do kościoła?

Aż się we mnie zagotowało. Wrzasnęłam w duchu: Jak śmiecie?! Nie dość zrobiłam?

Przypomniało mi się, jak kiedyś mówiłam mamie, że powinna bardziej się stawiać i walczyć o swoje, ale teraz siedziałam cicho, zupełnie jak ona.

Nie potrafiłam wymyślić żadnej odpowiedzi, która nie zabrzmiałaby jak sugestia, że Hope jest dla mnie ciężarem. Nie chciałam tego robić. Pewnie dlatego mama też nigdy nic nie mówiła.

Oczy zaszyły mi łzami. Wbiłam zamglony wzrok w szare plastry jagnięciny, kule pieczonych ziemniaków i kałużę sosu na talerzu. Mama zawsze powtarzała, że nie wolno płakać na urodzinach, bo to przynosi pecha.

– Trochę boli mnie głowa – powiedziałam cicho, odsuwając krzesło. –

Chyba muszę was zostawić.

Nikt nie powiedział: „Nie wygłupiaj się!” czy „Ależ nie idź!”.

Zerknęłam za siebie, kiedy otwierałam drzwi. Tata otworzył menu i zapytał:

– No, Hope, to co na deser? Sernik wiśniowy czy *banoffee*?

Kilka minut stałam na ulicy przed pubem, zastanawiając się, czy nie jestem przewrażliwiona i może powinnam wrócić. Miałam cichą nadzieję, że któreś wyjdzie i zabierze mnie z powrotem do środka. Kiedy zrozumiałam, że tak się nie stanie, ruszyłam w stronę plaży, wciąż trochę oszołomiona. Nie miałam ochoty iść do domu, udekorowanego chorągiewkami i balonikami. Nie mogłam zadzwonić do Leo, bo był na zakończeniu roku akademickiego z żoną. Raczej nie ucieszyłby się z brzęczenia telefonu odbijającego echem po ścianach katedry w Canterbury. Przystanąłam i zapatrzyłam się na wybrzeże. Łąd rysował się ciemną kreską na tle nieba w kolorze bladej moreli, a morski wiatr sprawiał, że moje łzy były jeszcze bardziej słone.

Przez te wszystkie lata myślałam, że to ja się poświęcam. A może tak naprawdę hamowałam ambicje Hope? Czy za mało się po niej spodziewałam i przez to nie mogła stać się taka, jaka chciała być? Tak mnie zszokowały jej słowa, że nie byłam nawet pewna, czy mama chciałaby mnie pocieszyć. Nigdy od jej śmierci nie czułam się tak samotna.

Na całym świecie była tylko jedna osoba, która mogła mi powiedzieć prawdę. Ktoś, kto był przy tym od początku. Wybrałam numer, na który nie dzwoniłam od bardzo dawna.

Odebrała telefon już po pierwszym sygnale, nie dając mi czasu na zmianę zdania.

– Cześć, mówi Tess. Mogę z tobą porozmawiać?

– Gdzie jesteś? – Doll natychmiast zauważyła rozpacz w moim głosie. – Nigdzie się nie ruszaj, Tess! Stój, gdzie stoisz! Wysyłam po ciebie taksówkę.

Brama otworzyła się automatycznie, kiedy taksówka podjechała pod dom Doll i Dave'a. Zaczęłam grzebać w torebce w poszukiwaniu portfela.

– Już zapłacone – poinformował kierowca. – Pani Newbury ma u nas konto.

Pani Newbury. Maria Newbury była celebrytką, regularnie pojawiającą się w takich programach jak „South Today” czy „Meridian”, żeby wygłosić opinię na temat parytetów czy zachęcać do praktyk zawodowych. Pani Newbury miała wielki dom i kwitnący interes; ja w czasie naszej rozłąki nic nie osiągnęłam. Mówiliśmy teraz innymi językami i wiedziałam, że nie będziemy miały sobie nic do powiedzenia. Po co w ogóle do niej dzwoniłam?

Otworzyła drzwi, zanim zdążyłam nacisnąć dzwonek.

– Dobrze ci z takimi włosami – powiedziała.

Wyszła przed dom i przytuliła mnie tak mocno, jakby chciała przesłać cały żal i przeprosiny prosto do mojego ciała. Też ją objęłam. Stałyśmy tak, dopóki obie

nie zaczęłyśmy się trząść jednocześnie od łez i śmiechu.

W salonie jedna ściana była cała ze szkła. Siedziałyśmy naprzeciwko siebie, każda na białej skórzanej kanapie. Światło na zewnątrz zgasło, a szyba zrobiła się czarna jak ekran ogromnego telewizora, w którym odbijały się nasze sylwetki.

Doll wysłuchiwała, nie przerywając mi ani razu, ale kiedy na chwilę zamilkłam, powiedziała:

– Tak mi ulżyło, Tess. Kiedy zadzwoniłaś, myślałam, że to rak. No wiesz, bo twoja mama była taka młoda... Przepraszam. Nie pomagam. To znaczy, oczywiście, to też jest okropne, tylko w inny sposób...

– Myślisz, że Martin ma rację? Było oczywiste, że oni wszyscy tak myślą.

– Po pierwsze, nie będę używać mocnych słów, ale z twojego ojca zawsze był kawał gnoja, który powie cokolwiek, żeby tylko wyszło na jego, a Anne to durna zdzira, co sobie przygruchała kochasia i teraz się go trzyma.

– No, to dobrze, że nie użyłaś mocnych słów – mruknęłam.

– A Hope... Wiesz, ona mówi różne rzeczy, ale nie wkłada w nie takiego znaczenia jak ty – ciągnęła Doll.

– Podtekstu – wtrąciłam, używając jednego z ulubionych słów Leo.

– Nieważne. Wiesz, że Hope nie chciała być niemłą. Ona nie bardzo rozumie, co to znaczy być miłym, nie? A ten cały Martin chyba sam jest na granicach spektrum. Widać, że się dobrali.

– Oni nie są parą! – zaprotestowałam.

– Nie?

– Hope nie ma w sobie za grosz romantyzmu!

– A skąd wiesz?

– Po prostu wiem!

– Nie wiedziałaś też, że ją hamujesz – powiedziała Doll. To trochę zabolęło, ale dlatego do niej przyszłam.

– Ale nie... Na pewno nie?

Nawet mi do głowy nie przyszło, że Hope mogłaby być w związku z Martinem. A jednak, jak teraz o tym pomyślałam, przecież zauważyłam, że wziął od niej płaszcz, jak prawdziwy dżentelmen. Ale oni na pewno nie...?

– Nie sądzisz, że każdy rodzic nastolatka przez to przechodzi, Tess? Musisz nauczyć się stać z boku.

– Łatwo powiedzieć. Ale wiadomo, kto będzie musiał lecieć na ratunek, jak coś się posypie.

– Fakt – zgodziła się Doll.

– Może byłam zbyt opiekuńcza. Może nie wszystko zrobiłam tak, jak należało – przyznałam.

– Dałaś z siebie wszystko. Nikt na świecie nie mógłby zaprzeczyć.

– Ale czy naprawdę? Może trzeba było ją zabierać do kościoła?

– Żeby ojciec Michael ją straszył tymi swoimi przestrogi o...

– ...pokusach cielesnych przyjemności! – powiedziałyśmy razem, przedrzeźniając jego złowrogi ton.

Zerknęłam nerwowo w ciemność za oknem, jakby podstarzały ksiądz czaił się w ciemnościach, podsłuchując.

– Fred mówił, że jak ojciec Michael sędziował, to chłopcy przebierali się w minutę – wyznała Doll.

– To przez niego nie wzięłaś ślubu w kościele?

– Mamę to prawie zabiło. Wciąż uważa, że zmierzamy z Dave'em prosto do piekła!

Kiedy wypowiedziała jego imię, wydawało mi się, że zawisło między nami.

– Przepraszam za Dave'a, Tess – powiedziała w końcu Doll.

– Och, to było tak dawno. Już zapomniałam, jak mogłam się o to gniewać. Ani dlaczego w ogóle się gniewałam, szczerze mówiąc.

– Byłam taka pewna, że jest twoim Jedynym. Naprawdę tak myślałam, ale kiedy się zesłaliśmy, coś jakby się zmieniło w gwiazdach i okazało się, że tak naprawdę jest Tym Jedynym dla mnie.

– Naprawdę wierzysz w przeznaczenie? Czy nie było raczej tak, że miałaś okazję go poznać? Zobaczyłaś, że jest romantyczny, można na nim polegać i ma złote ręce, a nigdy byś się o tym nie przekonała, gdybyś go spotkała na dyskotecę...

Doll wlepiała we mnie wzrok.

– Boże, TAK BARDZO za tobą tęskniłam, Tess! Nic ci nie umknie!

– Ja za tobą też!

Myślami wciąż wracałam do Hope.

– Zrobiłaś, jak zrobiłaś – ucięła Doll. – Chyba każdy rodzic przez to przechodzi, prawda? Nikt nie może przeskoczyć samego siebie, nie?

Wciąż mówiła „rodzic”, chociaż przecież nie byłam matką. To brzmiało, jakby sama myślała o wyzwaniach rodzicielstwa, a to mogło znaczyć tylko jedno.

– Jesteś w ciąży?

Przez chwilę gapiała się na mnie zaskoczona.

– Jezu. Widać? – Poglądziła przód białych dżinsów.

– Nie!

– To skąd wiedziałaś?

– Bo cię znam!

– Tak długo się staraliśmy, już myśleliśmy, że nic z tego. Ale jestem już prawie w dwunastym tygodniu. Byłam dziś na pierwszym USG. Jak zadzwoniłaś, myślałam, że to Dave dzwoni, by zapytać, jak poszło. Miał wczoraj wieczorem wrócić z targów handlowych, ale lot się opóźnił. No, ale cieszę się, że to byłaś ty. Bo wiesz jako pierwsza. Zawsze najbardziej za tobą tęskniłam w tych

najważniejszych momentach.

– Ja też – przyznałam.

Doll wycelowała pilota w okno, automatycznie opuszczając białą roletę.

– No, to co z tym twoim facetem? – Podciągnęła nogi pod siebie na kanapie, już się ciesząc na babskie pogaduszki.

– Jakim facetem?

– Oj, daj spokój! Widziałam was parę tygodni temu!

– Gdzie?

– Byłam w Withstable na lunchu. Zabieram tam czasem francyzobiorców.

No, więc siedzę w Oysterage i udaję, że słucham o wynikach sprzedaży. Aż tu nagle widzę cię jakieś pięćdziesiąt metrów dalej, na leżaku, z książką...

– O czym ty mówisz? – zaśmiałam się, wciąż licząc, że jakoś się wykręcę.

– Wtem podchodzi ten gość, podciąga cię na nogi i zaczynacie się tak całować, jakbyście mieli to zrobić tu i teraz, a potem gdzieś poszłiście. Nie żebyś miała dużo do zdejmowania. Tylko to neonowe bikini, które ci kiedyś przywiozłam z Dubaju, pamiętasz, jak byłam z Fredem?

– No, to jak uważasz? – zapytałam. Jednak poczułam ulgę, że mogę się wreszcie przed kimś przyznać.

– Dojrzały, nie?

– Jest profesorem.

– Ma to sens – oceniła Doll.

– Jak to?

– Jo i ten stary profesor w „Małych kobietkach”!

– Ty chciałaś być Amy...

– Bo była ładna. No i dostała Lauriego, a on był milutki.

Oczywiście, że tak.

Przez chwilę obie milczałyśmy.

– Musisz tam iść i zobaczyć, jak Hope śpiewa – powiedziała w końcu Doll.

-Poszłabym z tobą, ale chcę być w domu, jak Dave wróci, żeby mu pokazać pierwsze zdjęcie. Wiesz, takie, co dają po skanie.

Odprowadziła mnie do drzwi, ale kiedy chciałam chwycić klamkę, otworzyły się i nagle przede mną stanął Dave. Miał na sobie dobrze skrojony szary garnitur. Jego włosy były trochę dłuższe. Miał całoroczną opaleniznę, typową dla bogatych ludzi, ale jego uśmiech się nie zmienił. Może był nieco bielszy.

– Co słysząc, Tess?

– W porządku.

– Świetnie!

Cofnęłam się, żeby mógł wciągnąć walizkę do środka. Prędko i z zażenowaniem cmoknęliśmy się w policzek na przywitanie.

– Jak idzie pisanie? – zapytał.

– Pisanie?

– Ostatnim razem mówiłaś... że chcesz się zapisać na kurs pisania?

Nie mogłam uwierzyć, że pamiętał.

– Zaczęłam. Ale przerwałam.

Zaśmialiśmy się wszyscy. To rozładowało napięcie.

Związek z Leo pochłaniał całą moją twórczą energię. Poza tym chyba czułam, że stawka jest teraz wyższa. Nie chciałam narażać się na krytykę z jego strony – to by mnie zniszczyło. Przestałam chodzić na jego zajęcia, bo Liz i Vi od razu by się zorientowały, że coś między nami jest. Czasem zastanawiałam się, czy kiedykolwiek o mnie wspomnią, ale nie pytałam, żeby Leo nie uznał mnie za małą dziewczynkę.

– Pracuję teraz w HR – odparłam. – W Waitrose.

– To dobra firma – powiedział Dave.

Wszyscy tak mówili – poza Leo, który nie pojmował, czemu pracuję w sklepie, choć technicznie rzecz biorąc, teraz pracowałam nad sklepem. Leo znał tylko świat uniwersytecki i nie rozumiał, jak trudno jest dostać dobrą pracę, czy w ogóle jakąkolwiek pracę, u szczytu światowej recesji. Niedawno szukaliśmy kogoś do rozkładania towaru na półkach. Dostaliśmy siedemdziesiąt aplikacji na jedno stanowisko. Jakby ktoś zobaczył z boku proces rekrutacji, pomyślałby, że szukamy dyrektora generalnego. Kandydaci musieli przejść przez całą masę testów, budować wieżę ze spaghetti i pianek, opowiadać, jakim byliby jedzeniem, i tak dalej.

– Jestem kierowniczką działu.

– Zaraz będziesz zarządzać całym sklepem – powiedziała Doll.

Zdażyłam już zapomnieć, jakie to miłe uczucie – być uważaną za inteligentną.

Teraz oboje się do mnie uśmiechali.

– Będę lecieć. Pójdę zobaczyć, jak Hope śpiewa.

– Pozdrów ją ode mnie – poprosił Dave.

– Pozdrowię. Ucieszy się.

– Daj nam znać, jak znowu będzie śpiewać – dodała Doll.

– To tylko karaoke.

– Ale chętnie byśmy jej posłuchali, prawda, Dave?

– Oczywiście – potwierdził, po czym wszedł do środka, pozwalając nam się pożegnać. Może zauważył, że czułam się trochę dziwnie, ciągle słysząc „my”.

Doll znów mocno mnie przytuliła.

– Trzymaj się! Zadzwoń jutro, co? Opowiesz mi, jak poszło?

– Jasne, pogadamy jutro – odparłam, jak zawsze.

Weszłam do pubu akurat w chwili, gdy tata prowadził Hope na scenę. Zawsze wyobrażał sobie, że jest trochę jak Louis Walsh z „X-Factora”. Oczywiście

nie słyszał plotek, że słynny sędzia talent show jest gejem.

– Słuchajcie teraz – zaczął, stukając w mikrofon – bo ta dziewczyna ma głos. Nazywa się Hope Costello i wy jako pierwsi o niej usłyszeliście!

Hope stanęła na środku. Anne pożyczyła jej czarną sukienkę z rękawem trzy czwarte. Hope dobrała do niej kasztanową bluzę z kapturem z Gapa i adidasy. Wzięła mikrofon i spojrzała przed siebie, czyli prosto na mnie, ale chyba była zbyt zestresowana, żeby mnie zauważyć.

Rozbrzmiały pierwsze akordy „Crazy”. Hope przegapiła wejście pierwszej zwrotki. Przez salę przetoczyło się westchnienie współczucia przemieszanego z zażenowaniem. Zacisnęłam mocno pięści, serce biło mi jak szalone, a w myślach powtarzałam: No dalej, Hope, proszę, dasz radę!

Zamknęła oczy, jakby chciała odgrodzić się od tłumu. Przy drugiej zwrotce zaczęła na czas, idealnie trafiając w dźwięk.

Gdyby zgasić światło, każdy by uwierzył, że to Patsy Cline we własnej osobie przyszła tu zaśpiewać. Pewnie to Martin wybrał dla niej tę piosenkę. Country to chyba najbliższe muzyce poważnej, co można znaleźć w maszynie do karaoke. Dobrze wiedział, że będzie pasować do jej głosu.

Kiedy wyśpiewała ostatnią nutę i odeszła od mikrofonu na kilka kończących piosenkę taktów, przez ułamek sekundy panowała cisza pełna oszołomienia. A potem pub zatrząsł się od oklasków.

Miesiąc później Hope oznajmiła, że przeprowadza się do Martina. Chyba żadnemu z nich nie przyszło do głowy, że mogłabym cokolwiek poczuć w związku z tym. W świecie Hope nie było miejsca na smutek, samotność czy kompletne zagubienie.

Nie wiedziałam, jak zapytać ją o naturę ich znajomości. Żadne nie wydawało się zbyt zainteresowane kontaktem fizycznym, ale kto wie, co się dzieje za zamkniętymi drzwiami? Hope nigdy nie lubiła „klejenia się”. Jeśli ktoś ją przytulał, stała sztywno jak kołek i czekała, aż skończy. W ostatnich latach kilka razy próbowałam z nią rozmawiać o reprodukcji i antykoncepcji, ale zawsze mówiła, że przerabiali to na biologii i wychowaniu do życia w rodzinie.

Odwlekałam też nieuniknioną rozmowę o testach genetycznych. Zakładałam, że właściwy moment sam się pojawi- może kiedy zdecyduję się na operację, bo Hope niezbyt dobrze radziła sobie z hipotetycznymi sytuacjami. Teraz, bojąc się kolejnych oskarżeń, że ją zawiodłam, zabrałam Hope do miłej internistki. Usiadłam na korytarzu, a pani doktor zaprosiła moją siostrę do gabinetu i omówiła z nią stosowanie pigułek antykoncepcyjnych. Poczulałam ulgę, kiedy wyszła z receptą w dłoni.

– Tess, a ty bierzesz te pigułki?

– Tak.

– Dobrze je stosować, jeśli nie jesteś gotowa na dziecko.



– Tak.

To była najdłuższa kobieca rozmowa, jaką kiedykolwiek przeprowadziłyśmy.

Najlepsze w Martinie było to, że nie postrzegał Hope jako różną od innych. Jak powiedziała Doll, pewnie on też był gdzieś na obrzeżach spektrum. Może do jakiegoś stopnia wszyscy jesteśmy. Chyba właśnie to znaczy „spektrum”?

Żadne z nich nie wiedziało, że nasz dom, jako własność komunalna, był wynajmowany. Tata nie zamierzał dalej płacić czynszu tylko za mnie. Czemu miałby to robić? Byłam już dorosłą kobietą, sama na siebie zarabiałam. Najwyższy czas na przeprowadzkę. Zostałam tam tak długo, bo Hope była do tego domu przyzwyczajona – obawiałam się, że ciężko zniesie tak dużą zmianę. Ale kiedy spotkałyśmy się nad morzem na shake'a, powiedziała:

– Tak jest dużo wygodniej. Nie muszę dojeżdżać do pracy.

Mieszkanie Martina zajmowało wszystkie trzy piętra nad sklepem. Na poddaszu znajdował się pokój muzyczny z dużym oknem. Rozciągał się stąd widok na dachy domów, aż do morza. Wieczorami na High Street było cicho, bo wszystkie sklepy były pozamykane – czasem można było wtedy usłyszeć, jak Hope śpiewa, a Martin akompaniuje jej na fortepianie. Zdarzało się, że rozbrzmiewał też ich śmiech, gdy Martin wybrał zły akord albo Hope zapomniała słów, i zaczynali od początku.

Brzmieli, jakby byli szczęśliwi.

Nie śledziłam Hope ani nic takiego. Po prostu tyle lat bez przerwy się martwiłam, że teraz trudno mi było przestać. Może to ja miałam problem ze zmianą przyzwyczajień?

Mojej wypłaty starczało akurat na wynajęcie dwupokojowego mieszkania z małym ogródkiem. Chciałam mieć trochę przestrzeni, bo czasem zabieraliśmy do chatki na plaży Ebony, starego czarnego labradora Leo. Przyznam szczerze – zakładałam, że kiedy będę mieć własne mieszkanie, zaczniemy spędzać w nim razem czas, ale nie oczekiwałam, że wspólnie zamieszkamy. A może sama się oszukuję, bo przecież poprosiłam, żeby mi towarzyszył w wyprawie do Ikei. Oczywiście, jemu powiedziałam, że chodzi o pomoc z transportem, bo mógłby mnie podwieźć z zakupami. Od razu zauważyłam, że pomysł mu się nie spodobał. W piątek przed zakupami zadzwonił i poprosił, żebym spotkała się z nim w Whitstable. Czułam, że coś jest nie tak, ale kiedy szłam ku jego chatce po asfaltowej ścieżce, przyspieszyłam kroku. Zauważyłam, że drzwi są otwarte. Serce zabiło mi szybciej, jak zawsze, gdy miałam go zobaczyć.

Włosy czekającej na mnie kobiety były długie i ciemne, przetykane siwizną. Miała na sobie pikowaną bawełnianą marynarkę z indyjskiego jedwabiu w różowo-pomarańczowy wzór. Elegancja i bohema w jednym. Ponieważ zsunęła pomarańczowe birkenstocki, nie mogłam nie zauważyć, że paznokcie u stóp miała

w tym samym głębokim odcieniu różu, co wzór na marynarce. Przez to pomyślałam przez sekundę, że to może jedna z klientek Doll. Było w jej ubraniu coś, co mówiło: klasa średnia.

– Pewnie jesteś Tess – powiedziała, patrząc na mnie, kiedy zatrzymałam się na ścieżce.

Prawie sprostowałam: „Teresa”, bo się nie znałyśmy. Poza tym siedziała na moim krześle.

– Nie rozumiem.

– O, na pewno rozumiesz. Matka ci nie mówiła, że wszystko co dobre, kiedyś się kończy?

– Moja matka nie żyje. I nigdy nie powiedziała nic takiego.

Zobaczyłam, że jej maska szyderstwa pęka.

– Och, przykro mi.

– Nie szkodzi. Nie mogła pani wiedzieć.

Nie tak sobie wyobrażałam jego żonę. W myślach zawsze ubierałam ją w ciemny żakiet, narzucony na bluzkę w przygaszonym kolorze, z okrągłym dekoltem. Jedyнным barwnym akcentem, na jaki jej pozwalałam, była jedwabna apaszka. Żona Leo w mojej wersji nosiła buty na niewysokim obcasie, stukające po uniwersyteckich korytarzach, gdy spieszyła się na następny wykład.

– Wiesz, nie byłaś pierwsza. Pewnie ci nie mówił, że musiał odejść z uczelni. Jego ostatnia ukochana złożyła skargę o molestowanie seksualne.

– To nie jest molestowanie seksualne!

Uśmiechnęła się do mnie krzywo.

– Pojęcia nie mam, co wy wszystkie w nim widzicie!

– Więc czemu z nim pani jest?

Westchnęła ze znużeniem. Zupełnie jak Leo, kiedy mówiłam coś zdradzającego mój brak wykształcenia.

– Leonard i ja jesteśmy ze sobą już prawie czterdzieści lat. Jesteśmy starymi przyjaciółmi. Lubimy swoje towarzystwo.

– Leonard? – powtórzyłam.

– Chyba nie bawi się znów w „Leo”? – zachichotała. – Nie rozumiem, czemu sądzi, że to brzmi jakoś lepiej.

Ja tak sądziłam. „Leo” – to brzmiało jak imię dla pisarza. To imię widniało na okładce powieści. Myślałam, że to skrót od Leopolda albo Leonardo, czegoś w tym stylu. Ale nie Leonard. „Leonard” to facet, który przesiaduje w pubie albo nosi biały kaszkiet i gra w kręgle. „Leonard” to ktoś stary.

Zaczęła zacinać mżawka.

– On wie, że pani tu jest?

Wlepiała we mnie wzrok.

– Jesteś urocza, naprawdę. Powinnam była się uprzeć, żeby sam po sobie

posprzątał.

– Nie jestem urocza – odparłam. Ale nie wiedziałam, jak to udowodnić bez tłuczenia kubków albo rzucania w nią kamykami, więc po prostu stałam przed nią, a przed oczami przelatywały mi sceny mojego romansu.

– Ale to pani mu powiedziała, żeby zabrał mnie do teatru!

– Słucham?

– Ten bilet, którego nie mogła pani wykorzystać, do Narodowego. „Wiele hałasu o nic”...

Wciąż nie kojarzyła.

– Utknęliśmy w Londynie przez śnieżycę – dodałam, próbując odświeżyć jej pamięć.

– Och, więc tak długo to trwało, co? – Teraz to ona wyglądała na trochę wzburzoną. Przez chwilę ukłuło mnie poczucie winy, że o tym wspomniałam. Skąd miałam wiedzieć, jaką historyjkę jej opowiedział?

– Więc czemu teraz? – zapytałam wbrew sobie.

– To naturalne, że kobieta w twoim wieku chce dzieci...

– Ale ja nie chcę!

Przecież Leo o tym wiedział, prawda? Przecież cały ten czas wisiała nad nami operacja, na którą miałam się zdecydować lub nie. Czy to nie przepełniało tej ciszy po seksie wyrafinowaną goryczą? Czy nie byliśmy oboje w metaforycznej szufladzie z napisem „oczekujące”, aż któreś z nas zbierze się na odwagę, by stanąć twarzą w twarz z nieuniknionym? Chyba nie zapomniał naszej pierwszej prawdziwej rozmowy? Chyba nie tylko ja myślałam, że to właśnie nas połączyło i sprawiło, że nasza miłość była tak niezrównanie wyjątkowa?

Teraz deszcz padał już na całego. Miałam przemoknięte włosy. Strużki wody przenikały mi przez bluzkę i spływały po skórze.

– Kazałaś mu wybierać – powiedziała żona Leo. – Jak większość mężczyzn jest leniwy. Sama myśl o opuszczeniu przytulnego, wygodnego domu to już za duży wysiłek. Może sobie wyobrazić, że jest młodym gniewnym, ale przyzwyczyił się do prywatnej łazienki i czterogwiazdkowych hoteli, za które zapłaci żona. Nie będzie przecież w wieku sześćdziesięciu jeden lat znów bawić się w kempingi i kawalerki.

– Sześćdziesięciu jeden?

Na jej wargach zatańczył blady uśmiech.

– Czemu mi to pani mówi? – Wciąż kurczowo trzymałam się szalonej iskierki nadziei, że to nie dzieje się naprawdę. Może nie wiedział, że ona tu przyjdzie? Może chciała nas rozdzielić, ale to zaraz obróci się przeciwko niej, kiedy tylko Leo tutaj dotrze? Zerknęłam za siebie. Ani śladu Leo.

– To tyle, Tess – powiedział przez telefon. Nigdy wcześniej nie zakończył tak rozmowy.

– Tak dla jasności – zaznaczyłam, prostując się dumnie – nigdy nie kazałam mu wybierać. Wymyślił to.

– No cóż, jest pisarzem.

Wtem pojęłam, czemu ta sytuacja wydaje mi się dziwnie znajoma: to, że stoję przed nią w deszczu, który przykleja mi włosy do czoła i spływa po twarzy. W powieści Leo, „Zainteresowania badawcze”, była taka scena. Żona głównego bohatera oznajmia jego studentce, że romans skończony. Tylko że to się nie dzieje w rybackiej chatce, a w altance na wydziałowym przyjęciu w ogrodzie.

*Dla pisarza wszystko wokół to materiał.*

– Zastrany tchórz! – wykrzyknęła Doll.

– Jestem tak samo wściekła na siebie jak na niego – odparłam. Jak mogłam być tak głupia? Przecież powiedział mi, że jego ulubiona angielska powieść to „Koniec romansu” Grahama Greene'a. Powinnam była się domyślić. Zresztą, tyle się naczytałam i dalej nie przyszło mi do głowy, że kochanki zawsze źle kończą?

– I teraz nie mam już nic – podsumowałam.

– Można tak na to spojrzeć – odparła Doll. – Albo uznać to za okazję do zrobienia tego, o czym zawsze marzyłaś.

2010

GUS

Nash zawsze była na bieżąco z różnymi żywieniowymi trendami. Według niej byłem jedynym człowiekiem na świecie, który umie nadać soczewicy smak, więc zaczęła regularnie wpadać do nas na lunch.

– Powinieneś się zgłosić do „MasterChefa” – powiedziała, jak zawsze gotowa wymyślać mi nową ścieżkę kariery.

– Ludzie naprawdę to robią?

– Przecież żartuję!

Nash sama miała kłopot ze znalezieniem pracy. W Stanach dostawała taką gazę, że teraz mało która rola była dla niej odpowiednia. Przy tym chyba niezbyt łatwo się z nią pracowało, bo zawsze mówiła straszne rzeczy o innych aktorach. Uwielbiała o tym ze mną plotkować, bo byłem z zupełnie innego świata, a poza tym i tak nie miałbym komu tego powtórzyć. Dowiedziałem się też o wiele więcej o jej relacjach z mężczyznami, niż chciałem lub powinienem.

– Za dużo chlapanęłam? – To było jedno z jej ulubionych powiedzonek.

Czasami Nash towarzyszyła nam też w popołudniowych spacerach do Kensington Gardens, kiedy odbierałem Florę ze szkoły. Siedzieliśmy na ławce i rozmawialiśmy, a dziewczynki bawiły się w parku Piotrusia Pana.

Pewnego piątkowego popołudnia na pirackim statku wybuchła kłótnia między moimi dziećmi. Flora zawsze była Wendy, a Bell dostawała rolę Michaela, bo Wendy się nim opiekowała. Zwykle to działało bardzo dobrze, ale tym razem Bella postanowiła być Dzwoneczkiem.

– Przykro mi, ale nie możesz! – oznajmiła ostro Flora. Zabrzmiała tak podobnie do Charlotte, że aż poczułem się niezręcznie.

– Czemu nie mogę? – zapytała Bella rozsądnie.

Postanowiłem interweniować.

– Dziewczyny, może będziecie się zmieniać?

Wtem Nash wstała.

– Wystarczy, Floro, cholernie się rządysz! Ty będziesz Piotrusiem Panem, a Bella Dzwoneczkiem, dla odmiany!

Nie wiedziałem, czy chodziło o przekleństwo, czy o rzadkie w życiu mojej starszej córki doświadczenie reprimendy, ale wycofała się i spokorniała, a Bella mogła śmigać po całym statku dzyń-dzyń-dzyń, aż straciła oddech.

– Na zbyt wiele jej pozwalasz! – oznajmiła Nash.

Czułem się jak na dywaniku u dyrektora.

– A Bell musi się nauczyć stawiać na swoim – dodała.

– Tak. Masz rację.

– Przecież nie chcesz, żeby dzieci się nad nią znęcały w przedszkolu, co?

– Nie.

Czy to się tak zaczynało? Z milczącym przyzwoleniem rodziców? Musiałem bardziej uważać.

– Więc co zamierzasz ze sobą zrobić? – zapytała Nash.

– Nie jestem pewien.

– Boże, jesteś beznadziejny! Mogę coś zaproponować? Idź do szkoły kucharskiej.

– To kosztuje majątek.

– No to złap pracę w knajpie na obiadową zmianę albo coś w tym stylu. Tuż za rogiem masz restaurację z gwiazdką Michelin. Może pogadasz z szefem kuchni? Na pewno byście się jakoś dogadali, może przyjąłby cię na ucznia. Byłeś kiedyś kelnerem, nie?

– Charlotte by tego nie zniosła.

– Och, na litość boską! – Nash zachnęła się z rozdrażnieniem. – Zawsze sprawiasz wrażenie, że twoja żona jest tobą rozczarowana!

Nie wiedziałem, że sprawiam jakiegokolwiek wrażenie w kontekście Charlotte. Starłem się unikać tematu mojego małżeństwa w rozmowach z Nash.

– Ona jest mną rozczarowana.

– No, to co jeszcze razem robicie? Nie rozumiem. Co wy macie ze sobą wspólnego?

– Oboje stawiamy dobro dzieci na pierwszym miejscu – odparłem. Miałem tendencję do napuszonych wypowiedzi, kiedy ktoś zapędzał mnie w kozi róg. – Zrozumiałabyś, gdybyś miała własne – dodałem, tylko pogarszając sytuację.

– Och, przestań pieprzyć! Dobrze wiem, jak to jest być dzieckiem rodziców, którzy się nienawidzą, wielkie dzięki.

– Przepraszam.

– I przestań ciągle przepraszać. Nie wyglądasz zbyt atrakcyjnie z tą miną zbitego psa.

– Poza tym ja i Charlotte wcale się nie nienawidzimy.

Co za ironia. Tego samego dnia Charlotte poinformowała mnie, że ma romans.

Już wcześniej coś podejrzewałem, bo coraz częściej spędzała weekendy na konferencjach. Z jakiejś przyczyny wyobrażałem sobie, że to ktoś młodszy od niej, może kolejny student medycyny, w skórzanej kurtce, przydługich włosach, emanujący seksualną energią. Jak zwykle nie mogłem się bardziej mylić. Był sporo starszy od Charlotte i łyсы, gruba ryba w farmacji. Miał na imię Robert.

– Jak go poznałaś?

Siedzieliśmy na kanapach naprzeciwko siebie w salonie. Charlotte starannie unikała kontaktu wzrokowego.

– W teatrze. Przyłączył się do mnie tej nocy podczas śnieżycy, kiedy mnie wystawiłeś. Oczywiście, nie zaczęło się od razu. – W końcu na mnie spojrzała.

A jak długo im to zajęło? Poczulem, że takie pytanie nie byłoby dżentelmeńskie.

– Więc czemu teraz mi to mówisz?

– No, cóż – odparła Charlotte tak obojętnym tonem, jakby omawiała ze mną swój plan dnia. – Chodzi o to, że Robert chce, żebyśmy zamieszkali razem w Szwajcarii.

– My? – Przez sekundę powstała mi w głowie absurdalna myśl, że włącza mnie w ten układ.

– Dziewczynki go lubią. On je też.

– Zaraz! Dziewczynki nawet go nie znają!

– Owszem, znają. – Charlotte wbiła wzrok w podłogę. – Tamten tydzień na Majorce.

Charlotte sama zabrała nasze córki do jej matki na Majorce, twierdząc, że tak rzadko może spędzać z nimi czas. Ja zostałem w domu, żeby wyremontować łazienkę dziewczynek, bo trochę zachodziła pleśnią, a z astmą Belli lepiej nie ryzykować. Kiedy dziewczynki wróciły z masą opowieści o tym, co robiły z Robertem, byłem pewien, że mówią o Robbiem, drugim mężu mojej teściowej. Jakie to dla Charlotte wygodne, że obaj mieli podobne imiona.

Czy zabierała go też w odwiedziny do mojej matki? Czy prosiła dzieci, żeby mnie okłamywały?

– To był jedyny raz – powiedziała Charlotte, jakby czytała mi w myślach. – Przykro mi, że cię okłamałam, ale tylko tak mogłam się przekonać, czy taki układ się sprawdzi bez emocjonalnego ryzyka.

– Racja. W końcu tu nie powinny wchodzić w grę emocje.

– Nie do twarzy ci z sarkazmem – odparowała.

– Więc twoja matka dała temu Robertowi swoje błogosławieństwo, tak? – Nie wiedzieć czemu czułem się bardziej upokorzony faktem, że w konspirację zamieszane było więcej osób.

– Owszem. Nie żebym się tym specjalnie przejmowała.

A czym się przejmowała? Co w ogóle było dla niej ważne? Gapiłem się na moją żonę, jakbym widział ją pierwszy raz w życiu: bardzo atrakcyjna kobieta po trzydziestce, u szczytu kariery. Nie zbliżyłem się ani o krok do zrozumienia, co dzieje się w jej głowie od dnia, kiedy pierwszy raz kochaliśmy się w jej kawalerce na poddaszu. Czy to wszystko było oszustwo? Czy tylko ostatnie kilka lat?

– Cóż, nie chciałbym psuć twojego starannie opracowanego planu bez

emocji, ale się na to nie zgodzę. Nie pozwolę ci zabrać dzieci!

– Nie widzę, żebyś miał jakiś wybór. Jak się sam nimi zajmiesz?

– Znajdę pracę!

– *I au pair*, bo musiałbyś pracować dwadzieścia cztery godziny na dobę, żeby spłacić dom. Zakładając, że ktokolwiek będzie cię chciał – z twoim doświadczeniem zawodowym!

– No, to znajdziemy tańszy dom.

– Nie wiem, czy zauważyłeś, ale ceny idą w górę.

– To zamieszkamy poza Londynem. Ludzie tak robią i żyją, wiesz? – Słuchałem sam siebie jak kogoś z boku. Wszystko, co mówiłem, brzmiało żałośnie.

– Może jesteś gotowy pozwolić dziewczynkom zniżyć się do twoich warunków, ale ja nie. Jestem ich matką. Jak myślisz, czyją stronę weźmie sąd?

– A jesteś gotowa mieszać je w proces o prawa do opieki? – Desperacko próbowałem odzyskać wyższość moralną.

– Jeśli postanowisz ze mną walczyć, ty będziesz to robić, nie ja – odbiła piłeczkę.

Złapałem się na myśli, że powinna była zostać prawniczką. Miała odpowiedni do tego chłodny, analityczny umysł. A potem uświadomiłem sobie, że pewnie już się kogoś radziła. Robert z pewnością miał na podorędziu zespół prawników. Charlotte przygotowała się na każdy argument i wzięła mnie z zaskoczenia. Może należało poprosić o trochę czasu, żebym mógł przygotować się na obronę? Zadzwoiłbym do Marcusa. W naszej niepisanej rywalizacji teraz to ja byłbym pierwszym rogiaczem, pierwszym rozwodnikiem, pierwszym walczącym o prawa do opieki nad dziećmi.

– Gdybyśmy byli normalną rodziną, nie widywałbyś ich tak często w tygodniu, prawda? – tłumaczyła Charlotte, łagodząc trochę ostry ton.

Normalną rodziną? Właśnie tego chciała? Czy wszystkich zawiodłem?

– Gdzie w Szwajcarii? – zapytałem.

– Genewa. Robert ma dom z widokiem na jezioro.

Przypomniałem sobie, że jakieś pół roku temu była tam konferencja. Ale czy rzeczywiście? Następny fortunny zbieg okoliczności, a może po prostu kolejne kłamstwo?

– Dostałaś tam pracę?

– Mam różne propozycje, ale mi się nie spieszy. Dziewczynki będą dla mnie na pierwszym miejscu.

– To będzie odmiana – zauważyłem kwaśno.

– Nie miałam wielkiego wyboru, prawda? – odcięła się.

– Nie widzę, co dziewczynki będą z tego miały – powiedziałem, uświadamiając sobie, że moja jedyna szansa na zwycięstwo to ich przyszłość.

– Tuż za rogiem jest międzynarodowa szkoła. Bell nie będzie miała żadnego



porównania. Flora, jak wiemy, łatwo się adaptuje. – Odebrałem to jako pretensję, że Flora chodziła do publicznej szkoły, zamiast do prywatnej, jak wolałaby Charlotte, gdyby było nas stać.

– To dla nich dobry moment na przeprowadzkę – dodała.

Z tym nie mogłem dyskutować. Jeśli miałyby się przeprowadzać, to lepiej teraz, kiedy są małe i nie trzymają ich tu żadne przyjaźnie ani relacje z nauczycielami.

– To będzie dla nich fantastyczne: dorastać w Genewie. Będą mówić w kilku językach, poznają niesamowitych ludzi. Przy okazji, Robert jest hrabią, chociaż raczej nie używa tytułu.

– Myślałem, że Szwajcaria jest republiką?

Charlotte zeszywniała.

– Ma też dom zimowy w górach w Austrii – dodała.

– Chyba nie pozwolisz im jeździć na nartach?

– Nie możesz zabraniać im żyć pełnią życia tylko dlatego, że czujesz się winny – powiedziała. Przez jej twarz przebiegł cień uśmiechu, jakby poczuła smak zwycięstwa.

– To nie poczucie winy, tylko racjonalny strach – jazda na nartach jest niebezpieczna, pamiętasz?

Wyobraziłem sobie mojego brata pędzącego przez biel, zerkającego za siebie, by sprawdzić, czy go doganiam.

To był lęk. Ale poczucie winy również. Oboje o tym wiedzieliśmy, choć przez wszystkie wspólne lata nigdy o tym nie wspominaliśmy. Czy Charlotte też obarczała mnie odpowiedzialnością, tak jak matka? Czy przez cały ten czas trzymała za plecami nóż, czekając na dobry moment, żeby wbić mi go prosto w brzuch?

Czy to twoja zemsta, Ross?

Jak mogłem uwierzyć, że uda mi się zdobyć jego dziewczynę? Jak mogłem myśleć, że zasługuję na moje cudowne córeczki?

– Nie każdy musi jeździć na nartach – wydukałem jak kretyn.

A potem nagle zacząłem płakać. Po raz pierwszy, odkąd miałem trzynaście lat. Podczas pierwszego semestru w prywatnej szkole nauczyłem się, żeby tego nie robić, bo płacz był dla mięczaków. Teraz dławiłem się łzami, jakby tama, za którą przez te wszystkie lata trzymałem emocje, nagle pękła i wylewała mi się oczami, nosem i ustami w potężnej, mokrej powodzi.

W pewnej chwili poczułem na plecach delikatny, ostrożny dotyk.

– Zostaw! – krzyknąłem tak agresywnie, że Charlotte gwałtownie cofnęła rękę, jak kopnięta prądem.

Odczekała, aż moje ramiona przestaną się trząść, i wtedy podała mi chusteczkę.

– Wciąż będziesz je widywać – powiedziała pojednawczo, jakby ten wybuch płaczu ostatecznie zdecydował o mojej porażce. – Genewa to raptem półtorej godziny samolotem. Nic się aż tak bardzo nie zmieni, poza tym, że teraz to ty będziesz je widywać w weekendy...

– Nie bądź śmieszna! – przerwałem, smarkając i ocierając łzy. Nagle wypełniła mnie zimna determinacja. – Są stanowczo za małe, żeby co weekend latać do Londynu.

– No, to raz w miesiącu.

Warunki już się pogarszały.

– Nie sądzisz, że powinniśmy zapytać je o zdanie? – spytałem nagle.

Charlotte nie potrafiła ukryć zaskoczenia, jakbym odbił jej piłkę prosto w twarz. Było oczywiste, że takiego scenariusza się nie spodziewała. Niemal widziałem, jak jej mózg naprędce kalkuluje wszystkie za i przeciw, przyznając, że nie może odmówić dziewczynkom zabrania głosu.

– Porozmawiajmy z nimi rano – naciskałem. – Będą miały cały weekend na zadawanie pytań.

– Okej, ale musimy być wszyscy razem – zażądała Charlotte, już ustalając zasady. – I ma być prosto, bez presji... Powiemy coś w rodzaju: „Mama i tata już się nie kochają, ale...”.

– Ale to nieprawda, nie dla mnie... – przerwałem.

Charlotte posłała mi zniecierpliwione spojrzenie, jakbym niepotrzebnie wszystko komplikował.

Więc straciłem okazję, żeby zapytać, czy kiedyś mnie kochała, jak to sugerowały jej słowa. Udręczony tym pytaniem, i wszystkimi możliwymi pytaniami, jakich mogłem się spodziewać od Flory i Belli, nie mogłem spać prawie całą noc. Zasnąłem dopiero wtedy, gdy na niebo wpełzał chłodny blady świt.

Obudził mnie zapach tostów. Charlotte i dziewczynki już siedziały przy stole, kiedy zbiegłem po schodach, wyczerpany i rozczochrany.

– Dzień dobry, śpioszku – powiedziała Charlotte, na co dziewczynki zachichotały.

– Chcecie naleśniki? – zapytałem, próbując odzyskać utracony grunt. Kiedy Charlotte podniosła na mnie wzrok, dodałem: – Często jemy naleśniki w weekendy, gdy wyjeżdżasz.

Jak dziwnie jest siedzieć we czwórkę, wszyscy razem, pomyślałem. Mózg wciąż miałem umęczony i pusty od płaczu. A może Charlotte faktycznie miała rację, że nie zmieni się aż tak wiele? Nalałem sobie kawy z kawiarki.

– Musimy wam coś powiedzieć – zagadnęła żywo Charlotte, a potem spojrzała na mnie.

Spróbowałem przypomnieć sobie, na jakie słowa dokładnie się zgodziliśmy.

– Mama będzie mieszkać ze swoim przyjacielem Robertem... – zacząłem.

– A jednym z powodów jest to, że chcę spędzać z wami więcej czasu – wtrąciła Charlotte, co dla mnie stanowczo zabrzmiało jak wywieranie presji.

– Ale widzicie, oboje tak bardzo was kochamy, że każde z nas chciałoby z wami mieszkać – powiedziałem. Bardzo mi się nie podobało, że to tak szybko się rozwija. Spojrzałem na moje córki, spodziewając się łez, ale zajaśniały płatki i wyglądały tylko na lekko zainteresowane.

– Rozwodzicie się? – zapytała Flora. Zdążyła się już zapoznać z tym terminem, bo niektórzy rodzice jej przyjaciół byli w separacji.

Zerknąłem na Charlotte.

– W swoim czasie – odparła.

Jak siedmio – i trzylatka mają rozumieć coś takiego?

– Możecie zostać tu ze mną i mieszkać tak jak teraz, jeśli chcecie.

– Albo przeprowadzić się ze mną do domu Roberta – dodała Charlotte, patrząc na mnie gniewnie.

– Ja chcę zostać z tatą! – wykrzyknęła natychmiast Bella, jakbyśmy rozmawiali o jakimś wesołym przyjęciu.

Poczułem, jakby serce miało mi wybuchnąć z miłości, a na twarzy rozlał mi się uśmiech jasny jak słońce.

– A jaki Robert ma dom? – zapytała chłodno Flora.

– No, jest bardzo duży, z basenem.

– To nie fair – wymamrotałem.

– Mam kłamać?

– A ma ogród? – chciała wiedzieć Flora.

– Ogromny ogród.

– A huśtawki? – dołączyła Bella.

– Nie jest taki fajny jak Kensington Gardens... – zaprotestowałem desperacko.

– A nie możecie się wymieniać? – Twarz Flory pojaśniała, jakby nagle odkryła oczywiste rozwiązanie.

– Będziemy się wymieniać – odparła Charlotte. Jej mózg był bardziej niż mój czujny na zagospodarowanie chwili impasu. – Ale musimy zdecydować, gdzie będziecie chodziły do szkoły. Bell niedługo zaczyna szkołę, prawda, rybko?

– Mamo, a będziesz mnie zabierała do szkoły?

– Tak, kochanie. Będzie fajnie, co?

Marcus skontaktował mnie z prawniczką specjalizującą się w rozwodach. Była ostra, ale nie robiła mi zbyt dużych nadziei. Jej zdaniem dziewczynki mniej by ucierpiały, gdybym udawał, że według mnie to dobry pomysł. Ku mojemu zaskoczeniu, Nash to poparła. Powiedziała, że najgorsze w byciu dzieckiem rozwiedzionych rodziców jest ciągła presja: przed każdym trzeba udawać, że jest lepszy od tego drugiego. Chyba po cichu miałem nadzieję, że będzie mnie

zagrzewać do walki.

– Ale pójdziecie do sądu przecież nie przywróci tego, co było, prawda? – powiedziała Nash, uświadamiając mi, że pragnę niemożliwego.

Idąc na ugodę, przynajmniej zapewniałem sobie wizyty dziewczynek w co drugi weekend i każde wakacje.

Poznałem Roberta. Na miejsce spotkania wybrałem Kew Gardens. Nie wiem dlaczego, bo w życiu tam nie byłem, ale pomyślałem, że będziemy mogli tam spokojnie pospacerować i porozmawiać, a on nie wykręci się od trudnych pytań. Okazało się, że to piękne miejsce z cudownymi wiktoriańskimi szklarniami, ale wątpię, czy kiedykolwiek jeszcze je odwiedzę.

Zaparkowałem przed potężną bramą z kutego żelaza. Kilka samochodów dalej zauważyłem mężczyznę, celującego breloczkiem w mały elektryczny G-Wiz i pomyślałem: jaki to śmieszny samochodek dla kogoś tak wysokiego i poważnego, jak zabawka. Nigdy sobie nie wyobrażałem, że kochanek Charlotte jeździłby czymś mniej prestiżowym niż białe audi cabriolet. Poszedłem za nim aż do kawiarni w oranżerii, gdzie umówiliśmy się na spotkanie. Po kilku minutach niezręcznego stania przy wysepce ze sztukami Robert odważył się do mnie podejść. Uniósł brwi i uśmiechnął się, mocno ściskając moją dłoń, jakbyśmy mieli zacząć spotkanie służbowe.

– Angus?

– Robert?

Moją pierwszą reakcją było dziwne uczucie ulgi. Był ode mnie o tyle starszy, że ludzie będą go brać za dziadka moich dzieci. Może przez tę różnicę wieku nie potrafiłem wykrzesać w sobie złości na niego. Koniec końców, to Charlotte postanowiła mnie zostawić. Robert nie przekonałby jej, gdyby sama nie chciała. Jeśli pragnęła kogoś bogatego i starszego, to nigdy nie mógłbym z nim konkurować. Robert był zamożnym i wpływowym człowiekiem, co było widać na pierwszy rzut oka. Zasiadał w radach nadzorczych opery i fundacji artystycznej. Wprawdzie miał na sobie dzinsy i koralową koszulkę polo od Ralphi Laurena, ale bez trudu potrafiłem go sobie wyobrazić w smokingu na Festiwalu Salzburskim, a przy nim Charlotte w oszałamiająco drogiej sukni.

Otwarcie opowiedział mi o swojej przeszłości podczas spaceru przez Broad Walk w stronę jeziora. Z pierwszą żoną rozstał się w przyjaźni. Miał z nią syna, który pracował na jakimś stanowisku urzędowym w Brukseli. Było jasne, że Robert nie zamierza uzurpować sobie mojego miejsca w życiu Flory i Belli, ale wtrącił kilka spostrzegawczych uwag na ich temat, by zademonstrować, że jest wrażliwy na ich potrzeby.

– Jeśli twoje córki z nami zamieszkały, będę zaszczycony gościć cię w moim domu – zapewnił.

Nie mogłem zrozumieć, jakim cudem to ja wyjdę na nieucywilizowanego,

jeśli odmówię.

– Nie mówi się tak – usłyszałem własny głos.

– Proszę?

– Po angielsku mówimy: jeśli twoje córki z nami zamieszkają... – wyjaśniłem, czując maleńką, idiotyczną iskierkę dumy na widok chwilowego zmieszania na jego pewnym sobie, eurokratycznym czole.

– Poproszę również Florę i Bellę, żeby poprawiały mój angielski! – zaśmiał się, gładko odzyskując równowagę.

Gdy pożegnaliśmy się przy bramie kilka godzin później, podniósł rękę w przyjaznym geście pożegnania. Prawie zrobiło mi się go żal, że bierze na siebie lodowatą obecność Charlotte, choć byłem pewien, że dobrze wie, jak sobie z nią radzić. A kiedy między mną i Charlotte się układało, wcale nie była lodowata, przypomniałem sobie ponuro.

Charlotte zabrała dziewczynki do mojej matki, żeby się pożegnać, bo ja wciąż miałem do niej żal o to, jak zareagowała na mój telefon z informacją o rozwodzie.

– Jestem zdumiona, że to przetrwało tak długo.

W wieku siedmiu i trzech lat moje córki nie potrafiły sobie tak naprawdę wyobrazić, jak bardzo zmieni się ich życie, więc nie przyszło im do głowy, żeby się smucić. Staralem się nie okazywać, jak bardzo cierpię. Z drugiej strony nie chciałem, żeby pomyślały, że mi nie zależy. Bo w końcu przecież rozumieją, że układ nie jest tak symetryczny, jak się spodziewały. Przez ostatnie kilka dni razem robiliśmy wszystkie nasze ulubione rzeczy. Zaskoczyło je, że nie odmawiałem im żadnych słodyczy ani lodów. Dużo je przytulałem i mówiłem rzeczy w rodzaju: „Będę za wami bardzo tęsknić!” i „Pamiętajcie, że zawsze możecie do mnie zadzwonić przez telefon albo na Skypie. Mama i Robert wiedzą, jak to zrobić, więc możecie ich poprosić o pomoc!”, a nawet nieco melodramatycznie: „Tak bardzo was kocham! Moje życie bez was nie będzie takie samo!”.

– Ale przecież wciąż będziesz mieszkał w naszym domu, nie, tato? – odparła na to Flora. – I nasz pokój będzie taki sam? I będziemy przyjeżdżać na weekendy i wakacje jak Harry, Ron i Hermiona z Hogwartu?

Ostatniego wieczoru przygotowałem rodzinny obiad: ich ulubioną sałatkę *tricolore* i pastę *alla carbonara*, a na deser truskawki z lodami. Po jedzeniu spuściły mi lanie w rozgrywce tenisa na Wii, a potem poszły do łóżek i mocno spały sekundę po tym, jak skończyłem im czytać ostatnią stronę „Misia zwanego Paddingtonem”.

Przez kilka chwil siedziałem w ciemności, wdychając nieopisanie kojący zapach świeżo wykąpanych dzieci, słuchając ich spokojnych oddechów. Wielkie, gorące łzy spływały mi po twarzy.

Kiedy zszedłem na dół, Charlotte wciąż siedziała przy stole.

– Przez cały rok nie zjadłam tyle węglowodanów – oznajmiła, przeciągając się na kanapie.

Automatycznie zacząłem zbierać talerze.

– Zostaw – powiedziała, wskazując na sufit. – Obudzisz je.

Usiadłem naprzeciwko niej, ocierając nos grzbietem dłoni jak dziecko, które zapomniało wziąć chusteczkę do szkoły.

– Angus, przykro mi, że to dla ciebie takie trudne.

– Czyżby?

Ostatnie, czego chciałem, to okazywać pretensje po tym, jak wszystko tak porządnie rozegrałem, ale mechanizmy obronne wokół mnie zaczęły się sypać.

– Staralam się, Angus. Naprawdę. Tak bardzo się starałam... Nagle zorientowałem się, że ona też płacze. Nie pamiętałem, żebym widział jej łzy od pogrzebu Rossa.

– Widzisz, chodzi o to, że nigdy nie chciałeś ustąpić, żadnego kompromisu – wyszłochała.

Nie mogłem w to uwierzyć. Ja? Ja? Odwracała kota ogonem. Zawsze robiliśmy tak, jak ona chciała, nie ja.

– ...Cała ta presja, jako jedyna musiałam zarabiać... Wszystkim się zajmować... Tobie to w ogóle nie przychodziło do głowy... Kompletnie nie rozumiałeś! Ani przez chwilę nie pomyślałeś, że chciałabym trochę побыć z własnymi dziećmi? Nie, nie chciałam być mamuszką na pełny etat, ale większość ludzi znajduje jakąś równowagę!

– Ale myślałem... – Sądziłem, że kariera jest dla niej najważniejsza. Zawsze wydawała się zadowolona, że jest wolna od konieczności codziennego dbania o dom.

– Myślałeś? Zdarzyło ci się kiedyś tak naprawdę pomyśleć?

Nie tyle, ile powinienem, jak widać.

Charlotte wzięła głęboki wdech.

– Wiem, że próbowałeś egzorcyzmować Rossa, kiedy pierwszy raz... – Na dźwięk jego imienia poczułem, jakby kopnął mnie prąd. To zawsze było dla nas słowo tabu. – ...Ale nigdy nie przyszło ci do głowy, że ja robiłam to samo? Angus, miałam za niego wyjść. Całe życie przewróciło mi się do góry nogami. Musiałam nauczyć się sama o siebie dbać. Nie wiedziałam, jak rozmawiać z ludźmi bez zmieniania się w tragiczną postać. Kiedy chodziłam na randki, bałam się, że znowu usłyszę: „Czemu taka ładna dziewczyna jest wciąż sama?”. Z tobą nie musiałam nic mówić.

Wpatrywałem się w moją żonę – niedługo już była żoną. Czekala mnie przyszłość bez niej, a teraz wydawało mi się, że przeszłość też wydarzyła się bez niej. Zawsze postrzegałem ją jako zimną, seksownie kontrolującą, jak ta wampirzyca na zdjęciu w salonie moich rodziców. Czy gdyby przebrała się wtedy

za anioła, w białą sukienkę ze skrzydłami, myślałbym o niej inaczej?

– Nigdy nie byłam tak blisko zapomnienia jak podczas seksu z tobą.

– Dzięki.

– Nie, w dobrym sensie. To było jak narkotyk. A kiedy zaszłam w ciążę, wydawało mi się, nie wiem... Nie mogłam nie zatrzymać dziecka...?

– Nie! – Świat bez Flory był nie do wyobrażenia.

– Trochę nam jakoś szło – powiedziała Charlotte. – Prawda?

Nie opiekowałem się nią. A ona tego potrzebowała. Dwa razy o tym wspomniała. A ja myślałem, że jestem dobry w opiece nad innymi.

Przed oczami stanęło mi wspomnienie Charlotte klęczącej na łóżku w bladuróżowej bieliźnie Agent Provocateur, tej nocy, kiedy wyznała mi, że jest w ciąży.

– Nie mógłbyś się odrobinę bardziej ucieszyć? – zapytała wtedy, a potem powiedziała cichym, tęsknym tonem, którego nie usłyszałem nigdy przedtem ani potem: – Mogłoby być fajnie... Nie sądzisz?

– Czy nie mogliśmy jeszcze... – zająknąłem się teraz. – Może jest szansa? Dla dziewczynek? Zrobiłbym wszystko...

– Na miłość boską, Angus, dorośnij wreszcie!

Teraz miała kogoś, kto się nią zaopiekuje. Oboje wiedzieliśmy, że robi to lepiej, niż ja kiedykolwiek bym potrafił.

Aby przerwać przeciągającą się ciszę, powiedziałem w końcu:

– Napiłbym się czegoś. Masz ochotę?

– Myślałam, że nigdy nie zaproponujesz. – Posłała mi krzywy uśmiech.

W lodówce znalazłem butelkę szampana, zachowaną po jakiejś weselszej okazji. Stuknęliśmy się kieliszkami.

– Rozejm? – zaproponowała toast Charlotte.

– Rozejm – powtórzyłem, choć jak zwykle nie byłem do końca pewien, na co się godzę. – Wiedziałem, że to nie było nam pisane.

– Czy cokolwiek może być komuś pisane? – zapytała Charlotte. – Gdybyśmy żyli z takim przeświadczeniem, za nic byśmy nie brali odpowiedzialności.

– Kocham moje dzieci – powiedziałem.

– Wciąż są twoje.

– Musimy znaleźć sposób, żeby to jakoś działało. Dla nich. – Starłem się brzmieć jak odpowiedzialny dorosły.

– Wypiję za to. – Charlotte jeszcze raz stuknęła kieliszkiem mój kieliszek, po przyjacielsku, a potem poszła do swego pokoju.

Następnego popołudnia, kiedy wróciłem do cichego, pustego domu, zobaczyłem na stole jej kieliszek, wciąż do połowy pełen. Owszem, zastanawiałem się, czy nie rozegrała tego wszystkiego, żeby przygotować mnie na pożegnanie i uniknąć sceny na lotnisku.





## CZEŚĆ CZWARTA

2012

TESS

Korony drzew jak chmurki waty cukrowej, żółte narcyzy, trawa zielona jak skórka limonki. Rząd domów kolorowych jak kasetka z akwarelami: błękit, róż, akwamaryna. Piramidy pomarańczowych, czerwonych i fioletowych owoców. Zgrzyt mojego klucza w drzwiach, przede mną stroma drewniana klatka schodowa...

Każdego ranka budziłam się z uderzeniem rozczarowania w piersi. A potem wstawałam z łóżka i podchodziłam do okna, czując pod stopami drewniane deski. A potem na milimetr odchylałam zasłonę i zerkałam na dwór. Na ulicy pode mną sprzedawcy nawoływali do siebie, rozkładając stoiska, stukwały metalowe kijki markiz, śmieciarka właśnie się cofała, wymijana przez biegaczy na porannym joggingu, elegancka kobieta ciągnęła po chodniku ziewające małe dziecko w szkolnym mundurku, z kawiarni obok dochodził słodki zapach croissantów. Wszystko potwierdzało, że to nie sen.

Zaczęłam biegać, bo w Londynie każdy coś ćwiczy. Nie tak jak w domu, gdzie zapisujesz się na zumbę, ale już po paru tygodniach szukasz wymówek: bo pada, bo jesteś zmęczona, bo w telewizji leci „Scott & Bailey”. W Londynie trzeba było mieć odpowiedź na pytanie, jak dbasz o formę – zwłaszcza podczas Igrzysk Olimpijskich, bo wszyscy byli wtedy nakręceni na zdrowy tryb życia. Większość naszych klientek chodziła na siłownię, ale ponieważ niemal cały dzień spędzałam w budynku, wołałam ćwiczyć na dworze. Najpierw co rano chodziłam na spacer, ale ponieważ do parku trzeba było iść dobre piętnaście minut, kupiłam buty do biegania i sportowy stanik. Stopniowo zwiększałam tempo, aż doszłam do dziesięciu kilometrów na godzinę. Nigdy wcześniej nie biegałam, ale kiedy moje nogi raz się przekonały, do czego są stworzone, trochę się uzależniłam.

Ludzie zawsze mówią, że lubią Nowy Jork, bo jest dokładnie taki jak w filmach. Ja kocham Londyn z odwrotnego powodu. Żaden film nie potrafi uchwycić różnorodności tego miasta: zjawiskowej elegancji domów o białych stiukowych frontach; absurdalnej jak świąteczne ciasto czerwieni cegieł Royal Albert Hall, ze złotym Albertem lśniącym w słońcu; koni galopujących po Rotten Row; wariatów skaczących do jeziora Serpentine; i wreszcie, przy Hyde Park Corner, gdzie zawracałam do domu, ogrodów obramowanych rozbuchanymi zielnymi grządkami, z pergolami róż, sadzonymi i pielęgnowanymi wyłącznie po to, żeby ludzie mogli popatrzeć na coś o tak pięknych barwach.

Czasem łapałam się na tym, że spisuję w myślach listę kwiatów, jak kiedyś podczas zabaw z Hope w drodze do szkoły. Irysy, lawenda, pierzaste goździki, akant, lilie... Powtarzałam w myślach różne nazwy, aż udawało mi się osiągnąć rytm, i jak w transie przebiegałam setki metrów bez świadomości, że to robię, aż do powrotu w gwarną terażniejszość Bayswater Road.

Zawsze zwalniałam u szczytu Portobello Road. Ciekawiło mnie, czy ludzie mieszkający w tym rzędzie kolorowych eleganckich domów też budzą się każdego ranka z uczuciem obezwładniającego zachwytu, jak ja w moim mieszkaniu na drugim końcu ulicy.

Mówię „moje mieszkanie”, ale tak naprawdę to mieszkanie Doll. Upierała się, że to czysto biznesowa decyzja. Cóż za przypadek – ze wszystkich ulic w Londynie wybrała akurat tę jedną, o której marzyłam całe życie.

Przez pewien czas po Leo straciłam zainteresowanie światem. Nie wiem, co bym zrobiła, gdyby Doll nie przychodziła do mnie co weekend z jedzeniem na wynos i DVD, jak za starych czasów.

Kiedy powiedziała, że moja niespodziewana wolność to okazja, myślałam, że ma na myśli studia. Ale odkąd podniesiono czesne na publicznych uniwersytetach, wiedziałam, że to już nigdy się nie stanie. W teorii z dyplomem więcej się zarabiałoby, więc można było spłacać pożyczkę studencką, ale w rzeczywistości każdemu było trudno znaleźć pracę, ze studiami czy bez. Poza tym straciłam wiarę w profesorów. Kiedyś spijałam każde słowo z ust Leo, ale nie byłoby warto płacić za to dziewięć tysięcy funtów rocznie, nie licząc kosztów mieszkania, rachunków i jedzenia.

– Nie mówię o studiach – przerwała Doll. – Mówię o mieszkaniu w Londynie, jak zawsze planowałyśmy...

– Doll, Londyn jest drogi. Z taką pracą, jaką mogę tam dostać, nie będzie mnie nawet stać na czynsz.

– I tu wchodzę ja.

– Nie wezmę od ciebie pieniędzy – odparłam natychmiast.

Doll była bardzo szczodra. Aż za bardzo. Bransoletka z przywieszkami, którą podarowała Hope na osiemnaste urodziny, była cała ze złota i musiała kosztować majątek. Powędrowała już na zawsze prosto do szuflady, tak samo jak ta, którą kupiłyśmy mojej siostrze lata temu na Ponte Vecchio.

– Nie chcę ci dawać pieniędzy – mam propozycję biznesową. Kupiłam nieruchomość w Zachodnim Londynie, sklepik z mieszkaniem na piętrze. Teraz jest najlepszy czas na interesy, euro w kryzysie, cały kapitał ucieka z Europy. Ludzie zaczynają uważać Londyn za bezpieczną przystań. No i ci oligarchowie. To moja jedyna szansa, żeby wejść tam na rynek. Teraz albo nigdy.

Niesamowite, jak dobrze Doll rozumiała finanse i ekonomię. Nikt by w to nie uwierzył, gdyby zobaczył jej wyniki testów GCSE.

– Nie ma szans, żebym nadzorowała wszystko tutaj i jeszcze w Londynie, w dodatku z dzieckiem w drodze...

– Kompletnie się nie znam na paznokciach – przerwałam, bo nie powinno się pracować z przyjaciółmi, wszyscy tak mówią, a ja nie zamierzałam znów ryzykować, że ją stracę.

– Ale masz umiejętności miękkie – ciągnęła niewzruszenie Doll. – Znasz się na zatrudnianiu pracowników, zasadach bhp, ustalaniu grafiku, na całym HR. I jesteś inteligentna, więc w jedno popołudnie nauczysz się wszystkiego o składaniu zamówień i regulacjach sanitarnych.

Otworzyłam usta, żeby się sprzeciwić, ale pojęłam, że Doll funduje mi dokładnie taką samą przemowę motywacyjną, jaką zawsze wygłaszałam przed kobietami w średnim wieku. Chciały wrócić do pracy po wychowaniu dzieci, ale straciły pewność siebie i nie wierzyły, że ktoś mógłby je zatrudnić.

– Potrzebny mi ktoś, komu mogę zaufać, bo dużo od tego zależy. I wiem, że ty tego nie spieprzysz.

– Bo nigdy w życiu niczego nie spieprzyłam, co? – odparłam z przygnębieniem.

Doll wyglądała teraz na zniecierpliwioną. Poczułam się trochę jak kandydatka w „The Apprentice”, która zaraz dostanie burę. Maria Newbury nie tolerowała marudzenia. Jeśli chciałam skorzystać z tej okazji, musiałam wziąć się w garść i po nią sięgnąć – najlepsza przyjaciółka czy nie.

– Gdzie jest ten sklep?

– No, więc tak – zaczęła Doll. – To jest na Portobello Road. Zaniepokoiłam się, że Doll za dużo ryzykuje podczas recesji, ale ona tak to wyjaśniła: zrobienie sobie paznokci jest jak karmelowe latte. Kiedy masz mniej pieniędzy, nie chodzisz do spa i do restauracji, ale nadal zasługujesz na małą przyjemność.

Mama mawiała, że jeśli robisz coś z lekkim sercem, przyniesie ci to radość. A któż nie byłby szczęśliwy, każdego ranka wychodząc z domu prosto na Portobello Road i wpadając do portugalskiej kawiarenki na cappuccino i migdałowego croissanta? Zanim zostałam kierowniczką Dolls House Portobello, nigdy nie malowałam paznokci, już nie mówiąc o tym, żeby ktoś robił to za mnie. Tak jak bieganie, okazało się to zaskakująco uzależniające. Gdyby dawniej ktoś mi powiedział, że wyrażę chęć pomalowania paznokci u stóp na turkusowo, by pasowały do mojego nowego kostiumu kąpielowego... założyłabym się o swoje życie, że tego nie zrobię. Teraz wszędzie wokół widziałam potencjalnie nowe wzory manicure. Różowe pompony kwiatów wiśni na tle lazurowego nieba podobały się japońskim klientkom. Srebrno-czarne wzory w stylu art deco odzwierciedlały lustrzane wnętrza Wolseley, gdzie sporo odwiedzających nas bizneswomen spotykało się z klientami na brunch. W święta furorę robiła maleńka pojedyncza złota gwiazdka na granatowym tle. Byliśmy pierwszym salonem

reprodukującym logo londyńskiej olimpiady, dopóki nie otrzymaliśmy ostrzeżenia o naruszeniu praw autorskich.

To ja zauważyłam, że jeszcze tylko jeden interes kwitł mimo postępującego niedostatku: salony tatuażu. Nigdy nie odważyłabym się na tatuaż – pewnie nie byłam odosobnionym przypadkiem. Udało mi się znaleźć dostawcę pięknych zmywalnych tatuaży z organicznej farby warzywnej. Wyglądały świetnie, nie bolały i trzymały się kilka dni, jeśli nie były mocno tarte gąbką pod prysznicem. Doll była zachwycona, że „poszerzam możliwości” interesu.

Zapisałam się na zajęcia z kreatywnego pisania w City Lit. Ale nie z fikcji. Po Leo miałam dość fikcji. Te zajęcia nazywały się „Pisanie o życiu” i przyciągnęły najróżniejszych życiowych rozbitków – takich jak ja – którzy osiągnęli punkt zwrotny.

Sarah była żoną bardzo bogatego faceta, który wymienił ją na młodszy model. Dosłownie, bo Sarah też była modelką. Nadal była szczupła i chodziła jak po wybiegu, z nogami jedna przed drugą, ale jej niegdyś gładką twarz porałał łęk.

Lorcan był kurierem na motorze. Próbował odtworzyć pamięć po niemal śmiertelnym wypadku drogowym, w którym odniósł poważne obrażenia głowy. Byliśmy bardzo różni, ale dość szybko poczuliśmy się razem swobodnie, bo zwierzałyśmy się sobie z wielu osobistych rzeczy.

A potem pojawiła się Gayle, scenografka z Australii. Przeczytała na głos zabawny kawałek o swojej fascynacji procesem hodowania zarostu u jej byłego kochanka, a ja wiedziałam, że się zaprzyjaźnimy. W Melbourne miała sześćioletni romans z szefem. Ponoć cierpiał na „egzystencjalny smutek”, jak Leo. Gayle mówiła na to po prostu „kryzys wieku średniego”.

Po zajęciach często chodziłyśmy razem na drinka albo do kina, a latem w niedziele stałyśmy w kolejkach na koncerty muzyki klasycznej nad Tamizą albo na darmowe koncerty w Hyde Parku. Przyjemnie było mieć koleżankę w tym samym wieku i o podobnych zainteresowaniach. Pracując w szkole i w Waitrose, obracałam się wśród kobiet w średnim wieku, z wyjątkiem Doll. Ale Doll nie przepadała za kulturą.

– Wreszcie możesz uwolnić swoją twórczą naturę – powiedział Shaun, kiedy on i Kev przyjechali do Anglii na wakacje.

Zatrzymali się w butikowym hotelu na Fitzrovii. Spotykałam się z nimi niemal co wieczór. Czułam się dość światowo, bo wiedziałam teraz, które restauracje są najmodniejsze i jakie sztuki koniecznie trzeba zobaczyć. Zrobiliśmy też trochę turystycznych rzeczy: poszliśmy na herbatę do Fortnum & Mason i na koktajle do American Bar w hotelu Savoy (mimo że ceny były absurdalne, jeśli policzyć, ile mojito można zrobić z butelki Havana Club, siatki limonek i paczki świeżej mięty z Waitrose).

– No, to jak ty się czujesz? – zapytał Shaun, kiedy spędzaliśmy dzień sami.

Kev pojechał do domu, odwiedzić tatę i Hope.

Byliśmy na wystawie Davida Hockneya w Royal Academy. Tak bardzo mi się podobała, że to była już moja piąta wizyta. Większość obrazów przedstawiała drzewa – wprawdzie całe życie oglądałam drzewa, ale Hockney zmienił sposób, w jaki na nie patrzę. Czasem jego kolory są tak wyraziste, że sprawiają wrażenie niemal prymitywnych i sztucznych. Ale jeśli dobrze się przyjrzeć świeżym liściom w wiosennym słońcu albo czerwonym gałązkom na zimowym żywopłocie, to widać, że naprawdę są aż tak żywe. Ta wystawa dosłownie nadała mojemu światu więcej barw.

Staliśmy w sali z potężnymi płótnami, przedstawiającymi ten sam zagajnik w czterech porach roku.

– Jestem szczęśliwa. I zdecydowałam się na operację. To długi proces, najpierw będę musiała przejść przez testy i rozmowy z psychologiem, żeby ocenił, czy jestem psychicznie gotowa. Potem konsultacje z chirurgiem, więc wszystko to może potrwać rok albo i dłużej...

Shaun skinął głową. Nie potrafiłam stwierdzić, czy uważa to za dobry pomysł czy nie.

– Nawet jeśli wyznaczą już termin, to nie jest ostateczne. Zawsze mogą mnie przesunąć dalej w kolejce, jeśli ktoś będzie potrzebować operacji wcześniej – ciągnęłam. – Ale już jestem na dobrej drodze. Jestem bardzo pozytywnie nastawiona.

Przeszliśmy do sali pełnej wizerunków białych kwiatów głogu.

– Kiedyś myślałam, że usunięcie wszystkiego będzie oznaczało, że się poddałam i zrezygnowałam z życia. Ale teraz czuję, że właśnie nabieram odwagi, żeby żyć.

Przerwałam na chwilę.

– I nie uwierzysz, ale postanowiłam, że zrobię też rekonstrukcję. Najpierw myślałam, że to do mnie nie pasuje, ale potem stwierdziłam, że czemu nie? Jest za darmo. No i to nie są jakieś sztuczne silikonowe implanty, bo pobierają ci tkankę z ud albo brzucha, więc starzeje się razem z tobą...

– Nie widzę tu za dużo do pobierania – ocenił Shaun, patrząc na moje wysmukłone bieganiem nogi.

– Zawsze chciałam mieć mniejsze piersi – odparłam z szerokim uśmiechem.

Shaun odwzajemnił uśmiech. Zgadza się ze mną, pomyślałam. A potem uświadomiłam sobie, że to nie ma znaczenia, bo ja sama wiem, że to dla mnie dobre.

Potem poszliśmy na spacer po Green Park. Słońce przebijało się przez rozłożyste drzewa, rozrzucając na asfaltowej ścieżce kropki jasnego białego światła, tańczące w rytm kołysania gałęzi.

– Chyba jesteś w dobrym punkcie w życiu, co? – powiedział Shaun.

„Dobry punkt w życiu” to jeden ze zwrotów, których Doll też często używała.

Tak, chciałam zawsze odpowiedzieć, przecież jestem w Londynie!

– Poznałaś kogoś nowego?

– Nie.

Wszyscy wokół mnie potrafili tworzyć związki: Doll, tata, nawet Hope, na litość boską! Ale nie ja.

Gayle była uzależniona od randkowania *on line*. Miała konto na Match.com, eHarmony i chyba wszystkich innych portalach. Zawsze mi powtarzała, że powinnam spróbować, ale szczerze mówiąc, trochę się zniechęciłam, słuchając jej niezliczonych dziwnych doświadczeń. Czasami podejrzewałam nawet, że chodzi na te wszystkie randki tylko po to, żeby o nich pisać.

Pewnego wieczoru siedziałyśmy przed budynkiem Opera House w Covent Garden, czekając na transmisję „L'Elisir d'Amore” na żywo. Gayle poprosiła, żebym zadała jej trochę pytań, bo chciała poćwiczyć przed zbliżającym się wieczorem speed datingu. Zadałam jej trochę pytań z czasów mojej pracy w HR, takich jak: „Jak twoi przyjaciele opisaliby cię w trzech słowach?” czy: „Gdybyś była warzywem, to którym?”.

– Cebulą – zaproponowała Gayle.

– A dlaczego?

– Bo ma dużo warstw...

– Ale czuć ją na rękach cały dzień i chce się od niej płakać – zauważyłam.

– Okej, no to pomidorem.

– Pomidor to raczej owoc.

– Byłabyś beznadziejna w speed datingu, Tess.

– Wiem.

– To w jaki sposób kogoś poznasz?

– To chyba musiałyby być bardziej spontaniczne. – Wzruszyłam ramionami.

W tych nowych sposobach randkowania przeszkadzało mi, że to wygląda, jakbym siedziała z wielkim neonem nad głową, mówiącym: „Chcę mieć faceta”. Ja wciąż trzymałam się fantazji rodem z filmów Richarda Curtisa: ktoś na mnie wpadnie, rozlewając moje latte, spojrzymy sobie w oczy i będziemy wiedzieli, że to jest to.

– Wiesz co, jest taka nowa aplikacja, powinnaś ją wypróbować. Nazywa się Tinder – powiedziała Gayle. – Pokazuje zdjęcia ludzi z twojej okolicy, którzy też tego używają. Więc jeśli ktoś ci się spodoba, przesuwasz jego zdjęcie w stronę „tak”. Jeśli druga osoba ciebie też przesunie na „tak”, możecie do siebie napisać. Trochę jakbyś nawiązała z kimś kontakt wzrokowy w metrze. Ale w ten sposób możesz coś z tym zrobić.

Wyjęła iPhone'a i zademonstrowała. W pobliżu było siedmiu mężczyzn

korzystających z aplikacji. Ciekawe, czy któryś siedział w oczekującym tłumie? Albo może nawet w środku, w operze? To było trochę straszne. Gayle wybrała „tak” przy dwóch. Z jednym ją połączyło. Po chwili wysłał wiadomość.

*Co porabiasz?*

*Oglądam operę* – wystukała Gayle.

Nie odpisał.

– Oszczędza się w ten sposób dużo czasu – podsumowała.

– A spotkałaś się kiedyś z którymś?

– Z trzema. Pierwszy i drugi – frajerzy. Ale trzeci... Petarda w łóżku.

Powinnaś spróbować.

– Poszłaś do łóżka z nieznajomym? – zapytałam tonem, na który Doll zawsze mówiła „głos zakonnicy”, akurat w sekundę po tym, jak tłum zamilkł w oczekiwaniu na pierwsze takty uwertury.

– Co masz do stracenia? – zapytała Doll, kiedy spotkałyśmy się, by omówić interesy, jak co dwa tygodnie.

– Moją godność?

– Czyli nic takiego.

Wybuchnęłyśmy śmiechem, opluwając stolik okruszkami.

Zwykle jadałyśmy lunch w restauracji z gwiazdką Michelin w sąsiedztwie, ale czasami Doll przywoziła Elsie, moją córkę chrzestną, więc tym razem jadłyśmy bagietki w moim mieszkaniu. Elsie w tym czasie gotowała drewniany obiad na dziecięcej kuchence, którą jej kupiłam, żeby miała się czym bawić podczas odwiedzin.

– No, weź – nalegała Doll. – Załóżmy ci konto, zanim się rozmyślisz.

Trochę mnie zaniepokoił jej entuzjizm, niejako w moim zastępstwie. Przypomniało mi się, jak bardzo nalegała, żebym przyjęła zaręczyny Dave'a, choć podświadomie chciała tego dla siebie.

Doszłyśmy do etapu wyboru zdjęcia z mojego profilu na Facebooku, kiedy Doll nagle mnie zatrzymała.

– Nie ma mowy. Nikt się na to nie złapie.

– Dzięki.

– Nie o to mi chodzi. Po prostu nie umiesz pozować do zdjęć. Kiedy próbujesz być sexy, wyglądasz na zmęczoną. A kiedy ktoś ci robi zdjęcie z zaskoczenia, wychodzisz jak wariatka. To nie ma nic wspólnego z rzeczywistością, przysięgam. Musimy ci zrobić profesjonalną sesję. Możemy to odliczyć od podatku, bo i tak przyda się do celów promocyjnych.

I tak spędziłam popołudnie w studiu fotograficznym, ze stylistką fryzur i makijażu. Wysłałam z kompletem gorących zdjęć, na których w ogóle nie przypominałam samej siebie. Ale to akurat dobrze, pomyślałam, bo jeśli nikt mnie nie zechce, nie wezmę tego do siebie.



Gayle przyniosła mi paczkę gumek, bo seks z nieznanym bez zabezpieczenia nie wchodził w grę. Kupiła też na straganie cukinię, na wypadek gdybym musiała poćwiczyć nakładanie.

– O, cholera! – skomentowałam, patrząc na jej rozmiar.

– Gdybyś była warzywem... A Leo? Jaki był? – zapytała z błyskiem w oku.

– Bardziej jak korniszon – odparłam ze złośliwą satysfakcją. Ale by się wściekł.

Nieważne, ile sobie powtarzasz, że to tylko dla zabawy i nie będziesz się przejmować. Przewijanie bez wzajemności to niezbyt przyjemne uczucie. Wytrzymałam tylko dlatego, że Gayle i Doll regularnie domagały się informacji o postępach.

Pewnego niedzielnego poranka, kiedy siedziałam w sąsiedzkiej kawiarni nad „Observerem”, nagle zabrzączał mi w kieszeni telefon. Ktoś przesunął mnie na „tak”. Carl. Lorcan był naszym wspólnym znajomym na Facebooku, więc poczułam się odrobinę pewniej.

*Thomas Hardy czy David Nicholls?* – napisał. Uznałam to za dość inteligentne, bo jeden napisał „Tessę d'Urberville”, a drugi zacytował ją na początku „Jednego dnia”.

*Jeden i drugi* – odpisałam.

*Kawa?*

Właśnie piję.

*Gdzie?*

Carl był w kawiarni po niecałych dziesięciu minutach, więc nawet nie miałam kiedy się rozmyślić. Był dość wysoki, barczysty, z blond włosami opadającymi na czoło. Miał jakieś dwadzieścia jeden lat. Przez jeden krótki, okropny moment rozglądał się po kawiarni, prześlizgując po mnie wzrokiem. Ale potem uśmiechnął się, unosząc brwi, a ja odwzajemniłam uśmiech.

– Tess?

Nie byłam pewna, czy mam wstać, czy siedzieć, a może pocałować go na niby w policzek. Powiedziałam więc po prostu: „Proszę, siadaj”, jakby przyszedł na rozmowę o pracę.

Miał na sobie dżinsy i szary T-shirt wystarczająco obcisły, by dało się zauważyć zarys jego torsu. Unosił się wokół niego ciepły zapach mężczyzny, który niedawno się obudził. Wyobraziłam sobie, jak leży wyciągnięty na wielkim łóżku, z telefonem na poduszce, powoli otwiera zaspane oko i zerka na mój profil, nie zauważając, że jestem co najmniej dziesięć lat starsza od niego.

– Masz na coś ochotę? – zapytałam.

– Sprzedałbym duszę za kanapkę z bekonem.

Dla siebie zamówiłam następne latte i tartaletkę z budyniem. Dowiedziałam się, że studiuje islandzki i literaturę angielską, bo jego matka jest Islandką.

Z jakiegoś powodu powiedziałam mu, że też studiowałam literaturę angielską. Przez chwilę rozmawialiśmy o książkach, które ostatnio czytaliśmy. Potem zapytał, czym się zajmuję. Odpowiedziałam, że jestem pisarką.

– Łał! – powiedział i spojrzał mi na usta.

– Co?

– Masz okruch... Nie, z drugiej strony.

Rozmowa dobiegała do naturalnego zakończenia.

Może nie uwierzył, że jestem pisarką, a może, ponieważ był tak młody i piękny, pisanie było ostatnim, co go interesowało.

– No, to co teraz? – zapytał, patrząc mi w oczy.

– Możemy pójść na spacer? Piękny dziś dzień. Ale muszę zmienić buty – powiedziałam, bo miałam na stopach japonki. – Mieszkam tuż obok.

– W porządku – powiedział, wstając razem ze mną.

Nie to miałam na myśli. Nie byłam pewna, czy tego chcę. A jeśli to psychopata? Ale nie wypadało teraz powiedzieć: „Nie, ty poczekaj na mnie tutaj”. No i pewnie już by go nie było po moim powrocie.

– Nie chodziło mi o... no wiesz... – zająknęłam się.

Uśmiechnął się powoli.

– A czy to taki straszny pomysł?

Dziesięć lat młodszy, ale dużo dojrzałszy ode mnie.

To było dla mnie coś nowego. Seks bez zobowiązań z pięknym chłopcem, którego nigdy więcej nie zobaczę. Mógł być mordercą, ale w rzeczywistości pewnie po prostu obudził się z erekcją.

– No, dobra – powiedziałam.

Moje mieszkanie to właściwie jedno duże pomieszczenie. Z jednej strony jest aneks kuchenny, a z drugiej duże podwójne łóżko, niedaleko okien od strony ulicy. Natychmiast podeszłam do zlewu i nalałam wody do czajnika, ale kiedy odwróciłam się i zapytałam: „Kawy?”, on już był bez koszulki. Tors miał jak grecka rzeźba.

– Depilujesz się? – zapytałam z zawodowej ciekawości.

– Nie muszę.

Taki młody, że jeszcze nawet nie rosły mu włosy na piersi.

– Nie robię takich rzeczy – powiedziałam niepewnie. – Nie bardzo wiem, jakie są zasady.

Uśmiechnął się łagodnie.

– Po prostu się odpręż – powiedział. Podeszedł do mnie, wyjął mi czajnik z dłoni i odstawił na stół.

Posłusznie podniosłam ręce, kiedy ściągał mi przez głowę luźną jedwabną bluzkę. Potem zdjął ze mnie stanik i wziął obie moje piersi w dłonie, jakby je ważył, a potem każdą pocałował. Rozpiął mi dzinsy. Pozwoliłam, żeby zsunęły się

na podłogę. Wziął mnie za rękę i zaprowadził do łóżka, a potem położył się obok mnie. Jego palce prędko znalazły miejsca, jakich nie odkrył dotąd żaden mężczyzna. Zaczęłam zatracać się w falach przyjemności tak niespodziewanych, że aż się zaśmiałam.

– Co? – Odsunął się.

– Nie, nie przestawaj, jest cudownie!

– Chcesz, żebym założył gumkę?

– Oczywiście.

Wziął ode mnie prezerwatywę i nasunął starannie – ulżyło mi, bo nawet po treningu na cukinii wciąż nie czułam się zbyt pewnie – a potem posłał mi kolejny uśmiech.

Nieco dziwnie było przyjmować instrukcje od nieznajomego, ale jednocześnie miałam pewne poczucie władzy. Patrzyłam, jak leży pode mną, a na jego śliczną twarz spływa wyraz błogości, kiedy znalazłam właściwy rytm.

– Dobrze... A teraz zrób tak... Tak... Właśnie tak... Oo, tak!

Byłam zakochana w Leo, ale nigdy nie rozmawialiśmy podczas seksu. Tego faceta nawet nie znałam, a mimo to wydawał się sto razy bardziej zaangażowany.

Kiedy skończyliśmy, położyłam się na nim, czując jego wyrzeźbione mięśnie pod moimi piersiami; nasze ciała oddychały w jednym rytmie. Potem on odsunął się ostrożnie i zawiązał prezerwatywę w chusteczkę.

– Wiele kobiet w twoim wieku chce mieć dzieci – powiedział. Po tym, co właśnie zrobiliśmy, nie było zbyt taktowne wypominać mi wiek.

– A ty? – zapytałam pruderyjnie. – Nie martwisz się, że narobisz dzieci, gdzie popadnie?

– A czy to naprawdę takie straszne?

Jezu!

Zaczął się ubierać. Ja zostałam w łóżku, przykryta kołdrą. Nagle dziwnie zawstydziałam się swojej nagości przed nim. Carl.

Nie wiedzieć czemu przypomniła mi się reklama, która kiedyś ciągle leciała w telewizji. Znowu się zaśmiałam. Spojrzał na mnie, zdziwiony.

– Carling odświeży cię tam, gdzie żadne piwo nie sięgnie!

(„Wyobrażasz sobie, że był za młody, żeby skojarzyć tę reklamę?” – powiedziałam Doll, kiedy zadzwoniłam do niej zaraz po jego wyjściu. „A to nie był heineken?” – zapytała).

– Więc co się mówi w takich sytuacjach? – zapytałam, kiedy wiązał buty.

– Było fajnie – odparł, pochylając się nad łóżkiem, żeby pocałować mnie na pożegnanie.

– Tak – pisnęłam, podciągając kołdrę pod brodę.

Otworzył drzwi i popatrzył na mnie. Pomachałam palcami znad kołdry, a potem drzwi się zamknęły i już go nie było, a w mieszkaniu zrobiło się bardzo

cicho. Przez chwilę myślałam, że może się rozplączę, ale umysł miałam doskonale przejrzysty; czułam się świetnie. Całe moje ciało delikatnie mrowiło, jakby właśnie na nowo się przebudziło. Przyjemności ciała, pomyślałam z nieśmiałym zadowoleniem. Jedną dłonią znów dotknęłam się między udami. Nadal byłam tam ciepła i trochę drżąca. Drugą musnęłam lekko piersi, czując, jak sutki znów sztywnieją mi pod koniuszkami palców. Zatrzymałam się, zabrałam rękę, a potem dotknęłam jeszcze raz, tym razem przyciskając odrobinę mocniej.

Guzek był dokładnie pod sutkiem, nie przy krawędzi piersi, gdzie zawsze spodziewałam się go znaleźć.

(„O, cholera” – powiedziała Doll).

Z radością życia jest jeden problem: człowiek zapomina bać się najgorszego. Minęło dopiero sześć miesięcy od mojego corocznego rezonansu, a od tamtego czasu byłam też badana przez lekarza podczas przygotowań do operacji, no i sama też się badałam, ale jak widać nie dość dokładnie, bo guzek był już wielkości orzecha laskowego.

Gdybyś była orzechem, to którym?

W przychodni był akurat jakiś lekarz na zastępstwie. Powiedział, że to prawdopodobnie tylko torbiel, bo w moim wieku rak piersi to rzadkość.

– Proszę zajrzeć do mojej karty – powiedziałam.

Wyraz jego twarzy zmienił się w jednej chwili. I wtedy już byłam pewna.

Wszyscy narzekają na brytyjską opiekę zdrowotną i długie kolejki, ale jeśli w grę wchodzi rak, wszystko dzieje się bardzo szybko. Jednego dnia żyjesz sobie normalnie i uprawiasz niezobowiązujący seks ze studentem o nordyckiej urodzie, a dwa tygodnie później leżysz w szpitalnym wdzianku i czekasz, aż zawiozą cię na salę operacyjną.

Myślałam: a co, jeśli nie spotkałabym Carla? Biegałabym teraz po Hyde Parku jak zwykle? Jak bardzo guzek musiałby urosnąć, żebym go zauważyła? Jak długo tkwiłabym w nieświadomości?

Tata i Anne przyszli mnie zobaczyć razem z Hope.

– Najpierw moja żona, teraz córka! – zaczął tata, zanim Anne kazała mu wyjść odetchnąć świeżym powietrzem.

– Jesteś silna, Tess – powiedziała, łapiąc mnie za rękę. Jej wielkie złote pierścionki wbijały mi się w palce. – Masz w sobie wolę walki, wygrasz z tym.

Ale ja wiedziałam, że to tak nie działa. Moja matka była silną kobietą. Cichą, ale silną. Nikt się tak po prostu nie poddaje, prawda?

– Masz różowy diament? – zapytała Hope.

– Różowy diament? – powtórzyłam.

– Doll dostała kiedyś różowy diament na walkę z rakiem piersi – wyjaśniła.

Pielęgniarka zapytała, czy jestem gotowa na przyjęcie narkozy.

Anne mnie ucałowała i zostawiła z Hope. Przez chwilę pomyślałam, że może

moja siostra też mnie pocałuje, ale tego nie zrobiła. Po prostu stała przy mnie. Nagle ogarnęła mnie wielka potrzeba poczucia niezręcznego, sztywnego ciężaru Hope przy mojej piersi. Zaprażyłam ją mocno przytulić i wciągnąć w nozdrza znajomy zapach truskawkowego szamponu L'Oréal Kids, którym tyle lat myłam jej włosy. Nadal go używała, bo nie przyszłoby jej do głowy spróbować czegoś innego.

Zawsze kochałam Hope bezwarunkowo, ale tylko ten jeden raz tak bardzo chciałam, żeby moja miłość była odwzajemniona.

Powoli traciłam świadomość. Wyciągnęłam dłoń w jej stronę, ale ona nadal stała bez ruchu, odrobinę poza moim zasięgiem.

– Nie umrzesz, Tree – oznajmiła nagle.

Byłam już półprzytomna, ale wyobraziłam sobie rozmowę, jaka musiała mieć miejsce, kiedy Hope na dźwięk słowa „rak” zapytała: „Czy Tree umrze?”.

Anne i mój ojciec pewnie spojrzeli na siebie skrzępowani, nie wiedząc, jak odpowiedzieć. Kiedy cisza zaczęła się przeciągać, jedno z nich – pewnie Anne – odparło: „Nie. Nie umrze”.

Przez lata nauczyliśmy się, że w świecie Hope nie funkcjonują takie słowa jak „możliwe” albo „jeszcze”. Po prostu oczekiwała konkretnej odpowiedzi na pytanie.

W sumie tak samo jak my wszyscy.

Całe moje ciało wypełniła fala słodkiej ulgi: wiedziałam, że coś dla niej znacę. A może to tylko wpływ leków.

– Śpisz?

– Prawie – wyszeptałam.

– Zaśpiewać ci?

– Tak. Proszę.

Odpląnąłam w narkozę, kołysana jej perfekcyjnym wykonaniem „I Have a Dream” Abby.

2013

GUS

Stałem przed drzwiami jednego z domów w zielonej uliczce, zaledwie pięć minut drogi od szpitala, w którym pracowałem. Zanim nacisnąłem guzik dzwonka, rozejrzałem się w obie strony, czy nikt mnie nie widzi, jakby wizyta tutaj była czymś wstydliwym.

W pokoju nie było leżanki, tylko dwa wygodne fotele. Dorothy była bardziej przyjazna i mniej inteligentka, niż się spodziewałem. Najpierw omówiliśmy moją historię, a potem poprosiła, żebym powiedział o wypadku.

– To jest jak zapętłony fragment filmu, który w kółko wyświetla mi się w mózgu.

– A co jest na tym filmie?

Twarz Rossa, patrząca na mnie zza gęstej zasłony śniegu, jego białe zęby, oczy skryte za lustrzanymi goglami narciarskimi, białe płatki opadające mu na odgarnięte do tyłu ciemne włosy.

– Jest przede mną. Zjeżdża z pełną prędkością i zerka za siebie, żeby zobaczyć, czy za nim jadę. Nagle przed nim pojawia się drzewo, a on przez to, że się odwrócił, traci ten ułamek sekundy potrzebny, żeby je wyminąć...

– Ale ciebie przy tym nie było?

– Nie, ale ścigaliśmy się setki razy. On zawsze tak robił.

– Okej, więc uznajmy, że właśnie tak to było, choć nie możesz tego wiedzieć. Czy gdybyś tam był, za nim, to zrobiłoby różnicę?

Nigdy nie wybiegłem myślami dalej, za to spojrzenie, drzewo, uderzenie, pożerającą mnie panikę.

Nie odpowiedziałem.

Siedzieliśmy w milczeniu. Cisza przeciągała się w nieskończoność.

– Obrażenia, jakie odniósł Ross... – odezwała się wreszcie Dorothy. – Czy mógłbyś go uratować, gdybyś przy nim był?

– Nie.

– Nawet gdybyś już wtedy pracował na oddziale ratunkowym?

– Nie. Uszkodzenia mózgu były katastrofalne.

– A mimo to wierzysz, że w jakiś sposób to ty spowodowałeś jego śmierć?

– Może trzeba było z nim zostać?

– Czemu? Wiedziałaś, że to niebezpieczne. Próbowalesz go zatrzymać.

– Może nie próbowałem wystarczająco... – wyrwało mi się. Obiecałem sobie

kiedyś, że nigdy tego nie powiem. Ani rodzicom, ani ratownikom, ani policji. Trzeba było dalej próbować. Ale ja odpuściłem.

Łzy napłynęły mi do oczu. Dorothy pozwoliła mi płakać.

– Jak się poczułeś, kiedy od niego odchodziłeś? – zapytała łagodnie.

– Dobrze. – Pociągnąłem nosem. – Jakbym wreszcie przestał się przejmować, czy coś dla niego znaczę.

– Więc odebrałeś mu władzę nad tobą?

– Tak. – Znów zacząłem szlochać.

– I dlatego to się stało?

Wypowiedziana głośno, ta myśl zabrzmiała idiotycznie.

– Czy poczułeś ulgę, kiedy twój brat umarł? – pytała dalej.

– Nic nie czułem. To był taki paraliżujący bezwład, przeplatany momentami paniki, nie ulga.

– Bo prześladowanie bynajmniej się nie skończyło, prawda? Tak przywykłeś do jego znęcania się nad tobą, że ciągnęło się dalej nawet bez niego – powiedziała miękko.

Niesamowite, jak jedno zdanie potrafi wytłumaczyć szesnaście lat.

To Nash przekonała mnie, żebym z kimś porozmawiał, kiedy w końcu opowiedziałem jej o Rossie.

– W trzecim sezonie miałam pacjenta z podobnymi objawami. Jestem prawie pewna, że cierpisz na zespół stresu pourazowego.

Nie miałem pojęcia, czemu przez te wszystkie lata medycyny nie przyszło mi to do głowy.

– Może dlatego, że nigdy z nikim o tym nie rozmawiałeś? – zasugerowała Nash.

Piliśmy drinki w jej klubie. Nie tym samym, do którego Charlotte zabrała mnie tego brzemiennego w skutki dnia w 2001 roku, ale w podobnie ekskluzywnym miejscu tylko dla członków, przy Shaftesbury Avenue.

– Lewackie przekonania zostawiłam w szatni – poinformowała mnie beztrąsko, uprzedzając moje sarkastyczne pytanie, jak klub dla wyższych sfer ma się do jej równościowych poglądów.

Klub wychodził na jeden z tych sekretnych ogródków, jakie kryją się za niektórymi uliczkami w Londynie, gdzie człowiek najmniej by się ich spodziewał. Nash była krnąbrną palaczką; ja wciąż udawałem, że ten problem już mnie nie dotyczy, choć od czasu do czasu kupowałem paczkę dziesięciu papierosów, odpalałem jednego i zaciągałem się kilka razy, po czym od razu wyrzucałem i deptałem. Więc teraz siedzieliśmy na tarasie w przyjaznym milczeniu, prawie jakbyśmy nie chcieli przejść do kolejnego tematu.

W końcu Nash przerwała ciszę.

– Wiesz, że zawsze cię lubiłam.

– Ja ciebie też.

– Pewnie nie masz ochoty zostać kolejną ofiarą mojego namiętnego i katastrofального życia uczuciowego?

Panika zaczęła wzbierać mi w brzuchu, aż wyrwała się przez gardło do mózgu. Nash była moją opoką, odkąd dziewczynki wyjechały. Pożyczała mi pieniądze przez kilka miesięcy, kiedy musiałem dokończyć praktykę lekarską. Wspierała przez kilka pierwszych wyczerpujących tygodni po powrocie do pracy i ze współczuciem słuchała o trudnościach diagnozowania zakrzepicy żył głębokich i horrorze ratowania ofiary ataku kwasem, mając pewne zrozumienie dzięki pracy na SOR w serialu. Znaliśmy wszystkie swoje najgorsze strony, ale po prostu nie pociągała mnie w taki sposób. Wiedziałem, że ona godzi się w życiu tylko na wszystko albo nic.

Chciałem powiedzieć:

– Proszę, nie przestawaj się ze mną przyjaźnić!

Ale ona miała odwagę, żeby zadać pytanie, więc ja musiałem ją znaleźć, żeby uczciwie odpowiedzieć.

– Nie. Przykro mi.

Nie mogłem wykręcać się przed Nash wymówkami w rodzaju: „Nie jestem gotowy”, i byłem pewien, że zirytowałyby ją tłumaczenia: „Jesteś świetną osobą, ale...”.

Nastąpiła długa, pusta pauza, a później Nash wychyliła drinka i ostrożnie odstawiła kieliszek. Byłem pewien, że wstanie i odejdzie z mojego życia. Zamiast tego zapaliła kolejnego papierosa.

– No, to oczyściło atmosferę – powiedziała, wydmuchując przez stół kuszącą chmurę dymu.

Zawzięłem się, że zatrzymam dom, na wypadek gdyby dziewczynkom kiedyś znudziło się życie z Charlotte i zapragnęły wrócić. Chyba nie sądziła, że uda mi się kontynuować spłatę kredytu, ale sobie radziłem. Znajdowałem pewne ukojenie w pracy – w chaotycznym świecie SOR istniało się tylko tu i teraz. Tak jak się obawiałem, weekendy z córkami stawały się coraz rzadsze i rzadsze, a ja nie chciałem zaburzać ich świeżo zbudowanej stabilności, nalegając na przestrzeganie warunków umowy za wszelką cenę.

Znów zacząłem biegać. Najkrótsza droga do parku prowadziła przez tłoczne, wąskie gardło bramy Notting Hill Gate i prosto wzdłuż Bayswater Road do pierwszej bramy. W letnie wieczory na ulicach panował hałas, chodniki były gorące, a powietrze przepelniał smród taniego oleju do smażenia. Zimą po nocnym dyżurze czasem czułem się jak jedyny żywy człowiek w mieście, moje kroki odbijały się echem po betonie, a ciemność niechętnie ustępowała miejsca zimnemu, szaremu światłu poranka.

Ze względu na nieregularne dyżury w pracy biegałem o różnych godzinach,



więc nie nawiązałem przelotnych znajomości z innymi biegaczami, jak w Regent's Park, gdzie rozpoznawaliśmy się po sylwetce albo kolorze dresów i witaliśmy skinięciem głowy albo mówiliśmy sobie „dzień dobry”. Samotność długodystansowca, myślałem czasami, zastanawiając się, czy ojciec nie był bardziej spostrzegawczy, niż sądziłem, i czy ucieszyłby się, gdybym się do niego odezwał. Jednak jakoś nie mogłem się do tego zebrać.

W dni wolne od pracy brałem prysznic po bieganiu i szedłem przez Portobello Road do naszej ulubionej kawiarni. Nigdy nie znudziły mi się ich cudownie kremowe budyniowe tartaletki, pokryte skorupką karmelizowanego cukru. Zamieniałem kilka słów o pogodzie z właścicielką kawiarni, Portugalką. Siadałem z gazetą na wysokim stołku przy oknie i patrzyłem na świat za szybą. Czasem zauważałem którąś z matek koleżanek Flory ze szkoły. Machaliśmy do siebie, ale te znajomości nie obejmowały przyjaźni między dorosłymi. Bez dziewczyniek nie byłem samotnym ojcem. Byłem po prostu samotny.

Pewnego dnia na oddział SOR zawołano starszego onkologa, żeby zbadał pacjenta z dużym guzem w udzie. Okazało się, że onkolog to mój dawny kolega ze studiów, szachista Jonathan. Niedawno ożenił się z producentką teatralną i nie miał jeszcze dzieci, więc łatwiej mu było znaleźć czas na drinka niż Marcusowi, który był ojcem chłopca i dziewczynki.

Jonathan z żoną podjęli bardzo oczywistą próbę wyswatania mnie z jedną z jej koleżanek, Gayle. Zaprosili nas do siebie na kolację, podczas której Gayle bawiła nas opowieściami o swoich przygodach w świecie internetowych randek. Była dużo bardziej atrakcyjna niż moje wyobrażenie osoby korzystającej z tego typu rozwiązań. Kiedy szliśmy razem do metra, nieśmiało zapytałem, czy miałyby ochotę spotkać się kiedyś na drinka, ale odparła, że jak dla niej mam za duży bagaż emocjonalny. Nauczyła się być od razu szczerą, to pozwala oszczędzić sporo czasu.

Bardziej z ciekawości niż z palącej potrzeby zarejestrowałem się na miesięczny okres próbny na portalu randkowym. Ku mojemu zaskoczeniu, zobaczyłem tam Pippe, siostrę Lucy. Ocenilem ryzyko kompromitacji i potencjalną radość z ponownego spotkania, po czym postanowiłem wysłać jej wiadomość, po której nastąpił potok e-maili. Dowiedziałem się, że Lucy wyszła za Toby'ego i ma trójkę dzieci, czwarte w drodze, a Pippa była rozwiedziona, bezdzietna i mieszkała przy Strawberry Hill. Umówiliśmy się na spotkanie pewnego sobotniego popołudnia na piątym piętrze Tate Modern, skąd rozciąga się jeden z najlepszych widoków w Londynie.

Pippa była równie krucha i szczupła co w dniu swojego wesela, kiedy niepokoiłem się, że potężny Kanadyjczyk udusi ją swoją masą i dobroduszością.

– Co ja sobie wyobrażałam? – powiedziała, przesuwając widelcem brownie po talerzyku. – On był taki porządny, miły i normalny, na litość boską! Porąbańcy są o wiele bardziej zabawni, nie uważasz?

Było oczywiste, że nie jest zainteresowana wystawą Paula Klee, choć powiedziała, że możemy na nią pójść, jeśli bardzo mi zależy. Przespacerowaliśmy się wzdłuż rzeki i wypiliśmy za dużo wina Rioja w barze tapas na Borough Market. Gdy szliśmy z powrotem ku zachodzącemu słońcu, Pippa co chwila na mnie wpadała, więc ostatecznie wzięliśmy się pod rękę, maszerując chwiejnym krokiem i próbując złożyć w całość słowa piosenki The Kinks, „Waterloo Sunset”.

Na stacji ostrożnie pochyliłem się, żeby pocałować ją na pożegnanie w policzek, ale skończyło się na przeciągłym, głębokim pocałunku, pełnym żalu i obietnic. Jej smukłe ciało wyginało się pod zwiewną letnią sukienką.

– Chyba jesteśmy szaleni – wyszeptała malinowymi od pocałunku ustami.

Wchodziliśmy na niebezpieczne, grzeszne terytorium, z seksem w tle.

– Czego po tym oczekujesz? – zapytałem.

– Szukam kogoś na zawsze.

Przed oczami stanęła mi twarz Nicky. „Poważnie, Gus?”

– Chyba nie jestem właściwą osobą.

– Nie, chyba nie.

– Będziemy w kontakcie?

– Jasne!

Pocałowaliśmy się niewinnie w oba policzki i pomachałem jej na pożegnanie z peronu, wiedząc, że już nigdy jej nie zobaczę.

– Nadal uważam, że powinieneś zająć się gotowaniem – oznajmiła Nash pewnego lipcowego wieczoru, tuż przed przyjazdem dziewczynek na wakacje.

Poszliśmy na film do Gate Cinema, a potem siedzieliśmy u mnie w domu przy kolacji. Nash była na diecie Dukana, żeby stracić na wadze przed ważnym castingiem, więc przygotowałem tajską sałatkę na ostro z tofu, białej rzodkwi, ogórków i dymki ze szczypiorkiem.

– To tak samo realistyczne jak planowanie, na co wydałbym wygraną w totolotka – odparłem, potrząsając słoikiem z cytrusowym dressingiem z limonki, cienkich plasterków imbiru i chili.

– A grasz w totolotka?

– Nie! O to mi właśnie chodzi.

Nash nabrała sałatki na widelec.

– No wiesz, w dzisiejszych czasach nie potrzebujesz dużo pieniędzy – ludzie przychodzą do ciebie do domu. Nazywasz to klubem obiadowym, wyrabiasz sobie opinię w mediach społecznościowych, robisz się popularny i kasujesz, ile chcesz!

– Ale musiałbym znać dużo ludzi.

– Gus, jesteś, kurwa, NIE DO ZNIESIENIA! – wrzasnęła nagle Nash. – Nic dziwnego, że Charlotte nie wytrzymała! Na wszystko masz wymówkę. Czemu nigdy nie możesz po prostu czegoś zrobić?

– Nie szukam wymówek! – zaprotestowałem. – Po prostu nie znam zbyt

wielu ludzi!

– Ale ja znam, nie? Mam pięćdziesiąt tysięcy obserwujących na Twitterze, a ty masz fikuśny domek w najlepszej części miasta, z wielkim stołem w kuchni w sam raz na organizowanie kolacji, no i świetnie gotujesz!

– Ale mam pracę na pełny etat i bardzo mały repertuar potraw.

– Okej – ucięła Nash, odsuwając krzesło. – Poddaję się. Naprawdę się poddaję i nie będę więcej o tym wspominać, żeby cię przypadkiem nie zabić.

– Wychodzisz?

– Tak. Mam cię dosyć, Gus.

– Ale przyjdiesz spotkać się z dziewczynkami?

Nagle zaniepokoiłem się, że będą się nudziły. Nash zawsze zabierała je do Primarka, co stanowiło dla nich jedną z największych atrakcji w Londynie.

– Zobaczę. W tej chwili mam ochotę cię udusić.

Charlotte była cała podekscytowana boorem na nieruchomości w Londynie.

– We wszystkich artykułach piszą, że to bańka – oznajmiła, kiedy przywiozła dziewczynki z lotniska. – A bańki pękają!

W Londynie panował właśnie największy upał, więc przygotowałem dziewczynkom dmuchany basen w ogrodzie. Dawniej Flora od razu by się rozebrała i wskoczyła do wody, ale miała już dziewięć lat i zaczynała nabierać nieśmiałości. Nie widziałem jej od trzech miesięcy. W tym czasie jej twarz zaczęła się wydłużać w procesie przemiany z ładnego dziecka w piękną kobietę, którą kiedyś miała się stać. Bell też podrosła, ale wciąż była piegowatym krasnałem z burzą rudych loków. Przytuliłem je obie i puściłem na górę, żeby poszukały swoich starych strojów kąpielowych. Zaskoczyło mnie, że Charlotte przyjęła zaproszenie na kawę, które wystosowałem wyłącznie z uprzejmości. Przycupnęła na brzegu kanapy i popijała wodę z lodem, a ja w tym czasie zająłem się ekspressem do kawy.

Okazało się, że ona i Robert chcieli zaproponować mi układ. Jeśli zgodzę się na sprzedaż domu, po spłacie kredytu odstąpią mi połowę wartości, co przy obecnych cenach wyniosłoby nieco ponad pół miliona funtów i znacznie przekroczyło mój dotychczasowy wkład.

Miała wypisane na twarzy, że spodziewa się wdzięczności za tę szczodłą ofertę.

– Chyba i tak by mi się to należało – odparłem chłodno – biorąc pod uwagę nasz czas małżeństwa i mój wkład w wychowanie dziewczynek.

Jedna z brwi Charlotte uniosła się w wyrazie zaskoczenia.

– W każdym razie, nie sprzedam.

Teraz obie brwi Charlotte opadły, a nos zmarszczył się w grymasie.

– Nie sądzisz, że trzy lata w roli skrzywdzonego męża wystarczą? – zapytała zmęczonym głosem.

– Nie dość im już pozmieniałaś w życiu? – odbiłem piłeczkę.

Należało się spodziewać, że zapłacę za satysfakcję z tej małej wymiany zdań. Mądrzej byłoby powiedzieć, że to przemyśle, i poczekać do ostatniego dnia wakacji z odpowiedzią.

Jednego się nie spodziewałem: że posunie się do manipulowania dziewczynkami, choć oczywiście nie miałem dowodów, że włożyła im swoje słowa w usta.

– To taki duży dom dla jednej osoby, tato – westchnęła Flora zaraz po tym, jak pożegnaliśmy się z mamą.

– Nie smutno ci tu samemu? – dodała Bell.

Kiedyś bawiły się w swoim dawnym pokoju wśród radosnych pisków, ponownie odkrywając stare skarby. Teraz jednak ich reakcja była przygaszona.

– W domu mamy własne pokoje – poinformowała Flora.

– Ja mam tapetę w Hello Kitty – oznajmiła Bell.

Dorastały, a ja cieszyłem się, że jest im dobrze w ich nowym życiu. Jest chyba takie powiedzenie, że jesteś tak szczęśliwy, jak twoje najmniej szczęśliwe dziecko.

Podąłem każdej szklankę różowej lemoniady, którą dla nich zrobiłem.

– Osle! – skrzywiła się Bell.

Podobało mi się, że wciąż używa naszego rodzinnego słówka na coś, co nam nie do końca smakuje.

– Może odświeżymy wasz pokój, dopóki tu jesteście? – zaproponowałem. – Możecie wybrać kolor ścian, zasłony, wszystko, co chcecie.

Kiedy to nie wywołało reakcji, spróbowałem podnieść stawkę.

– Mogłybyście mieć własne pokoje. Przerobimy starą sypialnię mamy na pokój dla Bell...

– A czy warto tyle robić, skoro jesteśmy tylko na tydzień? – zapytała Flora.

– Tydzień?

– Na pewno wspominałam – powiedziała Charlotte, kiedy zadzwoniłem do niej, żeby zaprotestować. – Dziewczyny tak bardzo chciały jechać na obóz z przyjaciółmi. Ani przez sekundę nie pomyślałam, że chciałbyś je powstrzymać.

Ciekawe, czy dostałbym moje trzy tygodnie, gdybym zgodził się na ofertę Charlotte. Ale było za późno na wyjaśnienia.

Przynajmniej nie było ryzyka, że się sobą znudzimy, choć komunikacja z córkami nie wydawała się już tak łatwa jak kiedyś. Regularnie rozmawialiśmy na Skypie, ale trudno było spamiętać imiona i narodowości ich najlepszych przyjaciół, których i tak nigdy nie poznam – zwłaszcza że w tym wieku to się co chwila zmienia.

Flora była bardziej zainteresowana wzorami tatuaży za oknem salonu obok

kawiarni niż tartaletkami z budyniem.

– Jesteś o wiele za mała na tatuaż!

– Ale tato, te się zmywają!

Nie mogłem się oprzeć wizji przerażenia na twarzy Charlotte, kiedy zobaczy wytatuowane córki.

Kosmetyczka przykleiła Florze delfina na ramieniu, a Belli gwiazdkę na maleńkim nadgarstku.

– Popłynęliśmy do Greenwich, przejechaliśmy się kolejką linową nad rzeką, pojechaliśmy do Oxfordu, by zobaczyć Christ Church College, gdzie filmowali „Harry'ego Pottera” – poskarżyłem się Nash przez telefon. – Ale one wolą siedzieć na WhatsAppie ze znajomymi.

– Przestań traktować je jak turystki – poradziła Nash. – Pewnie chciałyby po prostu spędzić z tobą normalnie trochę czasu. Jest piękna pogoda. Zabierz je na dzień do Brighton i każ zostawić telefony w domu. Powiedz, że piasek i telefony to zły pomysł!

– Ale w Brighton plaża jest kamienista, nie?

– Boże kochany, to jedźcie gdzie indziej!

Znałem takie miejsce, gdzie piasek jest miękki i złoty. Nie miałem już samochodu, więc pojechaliśmy pociągiem do Lymington z przesiadką w Brington w Hampshire.

– Dokąd jedziemy? – zapytała Flora.

– Na wyspę pośrodku morza!

W Yarmouth zjedliśmy kanapki w ogrodowym pubie z widokiem na cieśninę Solent. Malutkie jachty i wielkie statki rejsowe wyglądały jak wymieszane zabawki w wannie pełnej idealnie błękitnej wody.

Może to dlatego, że wyspa Wight jest jakby trochę w pętli czasu. W sklepach wciąż sprzedają wiaderka, łopatkę i malutkie papierowe flagi, które można wetknąć na szczyt zamku z piasku, lody kokosowe, pudełka krówek z widoczkami na wieczku i lody włoskie z wetkniętym patyczkiem z czekolady, który zawsze wydaje się odrobinę zwiędziały. Prawie nic się nie zmieniło od mojego dzieciństwa.

Nie pomyślałem o ręcznikach, a na dobrą plażę musielibyśmy jechać autobusem, więc zamiast tego kupiliśmy żyłkę i opakowanie bekonu w plasterkach. Spędziliśmy popołudnie, siedząc w kucki na molo koło pubu, i łowiliśmy niczego niepodważające kraby, aż uzbieraliśmy pół wiaderka.

– Co teraz z nimi zrobimy? – zapytała Flora.

– Urządzimy wyścigi krabów z powrotem do morza – odparłem.

– A skąd mamy wiedzieć, który jest czyj?

– Trzeba pilnować swojego kraba! Bez oszukiwania!

Chyba że jest się rodzicem. Za każdym razem, kiedy Flora wysuwała się na prowadzenie, mój zwycięski krab nagle jakoś zmieniał się w kraba Bell. Ostateczny

wynik: po sześć punktów dla Flory i Bell, trzy punkty dla taty.

– Tatusiu, a z kim ty się ścigałeś, jak byłeś mały? – zaciekała się Bella.

Była wrażliwym dzieckiem. Czasem zastanawiałem się, czy to właśnie ze względu na skomplikowane dzieciństwo była bardziej empatyczna od siostry.

– Z moim starszym bratem, Rossem.

– Z wujkiem Rossem, który umarł? – wtrąciła Flora.

– Kto wam powiedział o wujku Rossie? – Staralem się, żeby mój głos brzmiał lekko i neutralnie.

– Babcia. Wujek miał się ożenić z mamą, ale umarł, więc mama musiała zamiast tego wyjść za ciebie, no i dlatego tak naprawdę jesteśmy też tak jakby jego dziećmi – wyjaśniła Flora.

Poczułem, jak w brzuchu wzbiera mi znajoma fala żółci.

Jest piękny dzień i spędzasz go ze swoimi dziećmi, pomyślałem. Odpuść sobie.

– Ile wujek Ross miał lat, jak umarł? – zapytała Bella.

– Dwadzieścia dwa.

Jej mała twarzyczka zmarszczyła się w zastanowieniu.

– A ile ludzie mają zwykle lat, jak umierają?

– Ross był bardzo młody. Ludzie umierają w różnym wieku, ale najczęściej kiedy są bardzo starzy.

– A ty ile masz lat?

– Trzydzieści cztery.

– To chyba nie jesteś bardzo stary jak na dorosłego?

– Nie, kochanie, nie jestem stary jak na dorosłego – zapewniłem.

– Smutno mi, że wujek Ross umarł – powiedziała Bell.

– Nie możesz spędzać życia na smuceniu się – wtrąciła Flora. W jej głosie usłyszałem ostry ton Charlotte.

– Dlaczego? – pociągnąłem temat.

– Bo wtedy inni ludzie robią się smutni!

– A kiedy ty jesteś smutna? – zapytałem łagodnie.

– Czasami po tym, jak rozmawiam z tobą na Skypie – przyznała.

– Ja też wtedy jestem trochę smutny.

– Nie szkodzi, jak jest się czasem smutnym – podsumowała Flora – pod warunkiem że przez większość czasu jest się szczęśliwym.

– Racja – przytaknąłem.

Promienie słońca padały na wodę pod takim kątem, że wydawała się perłowobiała. Wiał łagodny, ciepły wiatr.

– Lubię wyspę Wight – powiedziała Bell. – Możemy tu przyjeżdżać w każde wakacje?

W drodze powrotnej pociągiem udało nam się zająć miejsca przy stoliku. Na

jakiś czas dziewczynki zajęły się magazynami z lamigłówkami, które kupiliśmy na stacji, a ja czytałem gazetę zostawioną przez innego pasażera. Kiedy zrobiło się cicho, podniosłem wzrok znad artykułu i zobaczyłem, że Bell zasnęła oparta o Florę, która dalej czytała, opiekuńczo obejmując siostrę ramieniem. Zauważyła, że patrzę, i przyłożyła palec do ust, bardzo poważnie traktując obowiązki starszej siostry.

Napisałem do Nash. *Siedzimy w pociągu, wracamy znad morza. Wspaniały pomysł! Masz ochotę na zakupy jutro?*

Natychmiast dostałem odpowiedź. *OK, ale wcześniej. O 14 mam randkę u fryzjera. Ostatni etap castingu w LA!*

*Gratulacje!*

*Nie napalam się.*

Starła się o rolę księżniczki Małgorzaty Windsor w filmie o jej romansie z pilotem RAF-u Peterem Townsendem. Film miał nosić tytuł „Wybór”. To była dla niej idealna rola. Nie tylko miała w sobie tę nutę niedbałej seksowności Małgorzaty, ale potrafiła też z talentem pokazywać bezbronność aroganckich, trudnych postaci. Takie role – rodzina królewska, biografia, kostiumy z epoki – często zgarniają Oscara. Ale nic nie powiedziałem. Z Nash człowiek zawsze balansuje na delikatnej granicy między komplementami a kuszeniem losu.

– Kiedy jedziesz? – zapytałem następnego dnia, gdy spotkaliśmy się przed Primarkiem przy Marble Arch.

– Dziś wieczorem. Przegapię Stonesów.

– No, ale i tak wspaniale! – starałem się brzmieć bardziej entuzjastycznie, niż się czułem.

Wziąłem trzy tygodnie urlopu. Teraz, zaledwie po jednym, moje dziewczynki wyjeżdżały i nawet nie będę mógł się widywać z Nash.

Wyszliśmy ze sklepu z wielkimi torbami z brązowego papieru wypełnionymi sukienkami, koszulkami, legginsami, torebkami, brokatowymi akcesoriami i ozdobami do włosów. Z ponurą satysfakcją pomyślałem, że Charlotte będzie musiała zapłacić za dodatkowy bagaż na lotnisku, tyle tego było. Na chodniku roilo się od ludzi na zakupach, a Nash była już spóźniona do fryzjera, więc nie mieliśmy czasu porządnie się pożegnać. Przytuliłem ją i życzyłem powodzenia, a ona popędziła ulicą. Wtem o czymś sobie przypomniała i zanurkowała w torebce, po czym podbiegła z powrotem do mnie z kopertą.

– Miłego! – zawołała i znów pobiegła.

– Tatusiu, Nash to twoja dziewczyna? – zapytała Bell.

– Nie, to tylko dobra przyjaciółka.

– Twoja najlepsza przyjaciółka? – zainteresowała się Flora.

– Tak, myślę, że tak – odparłem, patrząc czule za znikającą w oddali postacią na szpilkach, manewrującą po popękany londyńskim chodniku.

– Jestem głodna! – oznajmiła Bell.

Rozejrzałem się w poszukiwaniu inspiracji. Zapatrzyłem się na znajome kolumny Selfridges.

– Znam idealne miejsce na lunch – oznajmiłem.

Brass Rail prawie się nie zmieniło, odkąd ojciec zabierał nas tu na kanapki z soloną wołowiną, kiedy przyjeżdżaliśmy oglądać zapalanie świątecznych dekoracji, ale było stanowczo zbyt gorąco na tłuste plastry pieczeni między grubymi pajdami żytanego chleba. Zamiast tego przysiedliśmy na stołkach w YO!Sushi. Przez stół przejeżdżały kolorowe porcje sushi, a my zdejbowaliśmy z taśmy to, na co mieliśmy ochotę. Potem pozwoliłem dziewczynkom wybrać po babeczce na deser, a ponieważ nalegały (a ja wiedziałem, że Charlotte prawie nic nie sprawi mniej radości), wzięliśmy też szczególnie krzykliwą, różano-fiołkową babeczkę z różowo-fioletową górą kremu, żeby mogły ją zabrać dla mamy.

Potem poszliśmy do chłodnej od klimatyzacji perfumerii. Zachęciłem córki, żeby testowały na paznokciach najróżniejsze lakiery i spryskiwały się szcudrze testerami perfum. Dostarczyłem dziewczynki ich matce na cukrowym haju, w chmurze „Purr” Katy Perry.

Charlotte kupiła bilety na „Matyldę”. Ja nie byłem zaproszony, bo uznała, że nie będę chciał iść, skoro będzie tam moja matka. Flora i Bella miały spędzić ostatnią noc w hotelu ze względu na wczesny lot, a Charlotte nie wytrzymałaby stresu, gdybym miał być odpowiedzialny za przywiezienie ich na lotnisko. Podczas ostatniej wizyty na linii Piccadilly były spóźnienia, więc nie z własnej winy dowiozłem je na Terminal 2 na ostatnią chwilę. Charlotte niemal pluła ogniem, bo w metrze nie ma zasięgu, więc nie mogła się ze mną skontaktować.

Kiedy dziewczynki usłyszały, że nie spędzę z nimi wieczoru, zrobiły satysfakcjonującą awanturę.

Pochyliłem się, żeby je przytulić.

– Dziękujemy za ubrania – powiedziała Flora.

– Tatusiu, nie chcę, żebyś szedł. – Bell zaczęła pociągać nosem.

Przytuliłem moją delikatną małą córeczkę do piersi, czując jej smutną mokrą twarzączkę na policzku.

– Zobaczymy się jutro na lotnisku – obiecałem.

– Jeśli metro się nie zepsuje – prychnęła Charlotte.

– Musisz być taką suką? – szepnąłem jej do ucha, gdy ze względu na dzieci zamarkowaliśmy lodowaty pocałunek w policzek.

Jej twarz natychmiast zmieniła wyraz z wściekłego na bardziej pokorny. Z Charlotte jest tak, że potrafi dopiec, ale potrafi też przyjąć krytykę. Nie mam pojęcia, czemu zawsze o tym zapomniałem i próbowałem coś wskórać, będąc miłym zamiast wrednym.

Hyde Park tonął w powodzi fanów Rolling Stonesów. W drodze do domu



słyszałem echa jakiejś piosenki, ale nie mogłem jej rozpoznać, więc uznałem, że to pewnie jeszcze support.

Wokół biletowanej strefy stały barierki, ale w każdej najwyższej szczelinie cisnęli się ludzie, żeby posłuchać chociaż z daleka. Był słoneczny dzień, a nieznośnie gorące powietrze wydawało się drżeć w oczekiwaniu.

– Nigdy nie byłem wielkim fanem Stonesów – powiedziałem Nash na początku roku, kiedy zastanawiała się, czy nie kupić biletów. – Mój ojciec ich uwielbia. Pewnie będzie tam masa sześćdziesięciolatków udających Micka Jaggera.

– No ale wiesz, Stonesów trzeba kiedyś odhaczyć...

– Odhaczyć?

– Oj, proszę cię! To jest coś, co musisz zrobić przed śmiercią. Na jakim ty świecie żyjesz?

W gazecie pisali, że bilety sprzedały się w mniej niż trzy minuty.

Teraz atmosfera była tak niezwykła, że niemal pożałowałem swojego niezdecydowania.

Skręciłem w boczną uliczkę i po kilkuset metrach byłem już całkiem sam. Za to uwielbiam Londyn: w jednej chwili potrafi się zmienić z chaosu w oazę spokoju. Nigdy nie doświadczyłem czegoś takiego w żadnym innym dużym mieście. W Londynie nawet najgęściej zamieszkała ulica potrafi być cicha i senna jak wiejska droga.

Wróciłem do domu i postanowiłem się odświeżyć pod prysznicem.

Kiedy zdejmowałem szorty, z kieszeni wypadła koperta od Nash.

Najpierw wyjąłem bilet na koncert Stonesów, który kupiła sama po tym, jak spotkała się z moim brakiem entuzjazmu.

W środku było coś jeszcze. Rezerwacja na dwutygodniowy kurs gotowania w Toskanii, zrobiona dziś rano na moje nazwisko. Wylot pojutrze.

Na wydruku rezerwacji nabazgrała: Chyba nawet ty dasz radę odprawić się online?

Natychmiast do niej zadzwoniłem, ale miała wyłączony telefon, czyli pewnie była już w powietrzu. W duszy trochę się nawet z tego ucieszyłem, bo trudno znaleźć właściwe słowa, kiedy człowiek jest kompletnie oszołomiony, a nie chciałem zabrzmieć jak palant.

Kiedy dotarłem na miejsce, słońce zachodziło, a Stonesi zdążyli już zacząć. Scena była daleko, ale odchodził od niej wybieg dla Jaggera, który wyglądał, jakby spacerował unoszony przez tłum. Na ogromnych ekranach tańczyły wizualizacje na zmianę ze zbliżeniami pooranych zmarszczkami twarzy Stonesów.

W połowie „Honky Tonk Women” uświadomiłem sobie, że śpiewam. Składałem wargi w słowa tak automatycznie, jakbym powtarzał słowa piosenek z dzieciństwa. We wspólnocie doświadczenia można było poczuć wolność, przynależność do czegoś większego od siebie. Nigdy nie byłem na festiwalu

w Glastonbury ani na żadnym innym, ale tego letniego wieczoru w tłumie stu pięćdziesięciu tysięcy ludzi nagle pojąłem, czemu niektórzy tak to uwielbiają. Na czas jednej piosenki możesz zapomnieć o wszystkim, co działo się wcześniej, i o wszystkim, co może nadejść później. Przez moment można żyć wyłącznie w rozświetlonej słońcem teraźniejszości. Po każdej piosence wszyscy klaskali, gwizdali i krzyczeli, wymieniając się uśmiechami, nieznajomi zjednoczeni magią chwili.

Nawet nie zauważyłem, jak zapadł zmrok. Kiedy rozbrzmiały pierwsze akordy „Miss You”, na migoczących ledowych ekranach pojawiły się roztrzepotane białe motyle. Wyglądały, jakby naprawdę unosiły się nad tłumem, co chwila oświetlając inne twarze.

Mniej więcej sześć osób przed sobą zauważyłem wysoką kobietę, wpatrzoną z niewinną radością w efemeryczną srebrnobiałą sylwetkę motyla nad jej głową. Wyglądała jak dziecko obserwujące cyrkową akrobatkę, usta układały się jej do słów piosenki. Nagle, jakby poczuła na sobie mój wzrok, odwróciła się i nasze oczy się spotkały, jej wargi przestały się poruszać, czas stanął w miejscu. Wtem motyl odleciał, a jej twarz znów zniknęła w ciemności.

Wrażenie *déjà vu* było tak silne, chwila rozpoznania tak krótka i ulotna, że nie potrafiłem stwierdzić, czy już ją kiedyś widziałem, czy może to ktoś sławny. Oślepiiony efektami pirotechnicznymi na scenie, przeczesywałem wzrokiem tłum w poszukiwaniu jej twarzy, ale na próżno.

Bis „Satisfaction” przeciągał się tak długo, że ostatecznie zamknął nas w niekończącej się pętli refrenu, a potem, dość niespodziewanie, wszystko się skończyło. Aplauz sięgnął zenitu, a potem jeszcze trwał przez optymistycznie długą chwilę, aż w końcu zgasł, gdy zorientowaliśmy się, że zespół zniknął już na dobre z parku. Ludzie zaczęli kierować się ku wyjściu, wyczerpani i lekko oszołomieni, jak dzieci po przyjęciu urodzinowym.

Tłum przesuwiał się w spokojnym, równym tempie do chwili, kiedy ktoś upadł kilka metrów przede mną i wkroczyła ochrona, żeby odgrodzić strumień ludzi od miejsca wypadku.

Pośród rozgorączkowanych szeptów ktoś nagle wykrzyknął zdanie, które słyszałem tylko w filmach:

- Czy jest tu jakiś lekarz?!
- Ja jestem lekarzem!

Ludzie rozstąpili się, żeby mnie przepuścić. Kilka osób klęczało nad nieprzytomną kobietą, debatując nad właściwą procedurą pierwszej pomocy.

- Chyba trzeba jej włożyć głowę między kolana?
- A nie położyć w pozycji bocznej ustalonej?

Jeden ochroniarz utrzymywał tłum w pewnej odległości od kobiety, drugi wachlował ją czapką. Ich walkie-talkie co chwila syczały i wypluwały

niezrozumiałe wiadomości. W powietrzu czuć było niepokój.

Nie było widać żadnych obrażeń głowy; nie wyglądało, jakby miała jakiś atak; nie połknęła języka. Miała na sobie kamizelkę, szorty i japonki, więc nie było czego luzować. Przyklęknąłem obok, poprosiłem ochroniarza, żeby usiadł plecami do niej, i położyłem mu jej długie nogi na ramionach, żeby wspomóc dopływ krwi do mózgu. Oddychała, ale miała dość niski i nierówny puls.

Wokół mnie rozlegały się wygłaszane półgłosem diagnozy.

– Widać, że za dużo wypła.

– To pewnie z gorąca.

– Zadzwoił pan po karetkę, prawda? – upewniłem się, podnosząc wzrok na ochroniarza.

Jakby w odpowiedzi na moje pytanie w oddali rozbrzmiało wycie syreny.

– Panie doktorze, czy nic jej nie będzie? – zapytał ochroniarz.

Twarz miała śmiertelnie bladą.

No dalej, obudź się – prosiłem w myślach. – No już!

Nagle otworzyła oczy i spojrzała prosto na mnie. Kobieta od motyli!

– Czy ja cię znam? – zapytała.

– Jestem Gus – odparłem.

Usłyszałem, jak ratownicy przepychają się przez tłum.

– Proszę się rozejść. Dajcie jej oddychać!

Kobieta próbowała usiąść. Ludzie ruszyli dalej, lekko rozczarowani, że już po wszystkim.

– Już dobrze, pojedziemy na oddział ratunkowy – powiedział ratownik.

– Wszystko okej, naprawdę. Nic mi nie będzie.

– Już, już. Jak się nazywasz?

– Tess. Naprawdę, nie trzeba...

– Tylko cię zbadamy, Tess – ciągnął ratownik. – Potrzebujesz noszy czy masz siłę chodzić?

– Mogę iść! – Podniosła się z ziemi, lecz od razu lekko zachwiała.

Podszedłem, żeby ją złapać, ale ratownik był szybszy.

– Już, już, weźmiemy cię do karetki.

Jej jasna twarz nagle posmutniała. Kiedy nasze oczy znów się spotkały, widziałem, że milcząco prosi o pomoc, po czym, jakby pogodziła się z porażką, posłusznie usiadła na noszach.

Zanim drzwi karetki się zamknęły, lekko mi pomachała.

Kierowca okrążył samochód i wsiadł do środka. Pobiegnę za nim.

– Mogę z nią jechać?

– Jest pan jej partnerem?

– Nie!

– Krewnym?

– Nie – przyznałem. – Ale jestem lekarzem.

Zbył mnie spojrzeniem, jakiego nie widziałem od czasów, gdy byłem zahukanym studentem na praktykach, po czym zatrzasnął drzwi i wystawił wielki, włochaty łokieć przez otwarte okno.

Ambulans ruszył. Przez moment stałem niezdecydowany, po czym, kiedy zaczął nabierać tempa, moje nogi nagle zaczęły same biec.

– Do którego szpitala jedziecie?! – krzyknąłem.

Gdyby światła nie zmieniły się na czerwone, nie dogoniłbym ich. Kierowca patrzył na mnie wyzywająco, ale kiedy zapaliło się zielone, zmiękł.

– Do Świętego Tomasza, kolego.

Włączył syrenę i wcisnął gaz. Musiałem odskoczyć, żeby tylne koła nie przejechały mi po stopach.

Większość tłumu szła w kierunku Piccadilly. Wybrałem ulicę biegnącą przy murach pałacu Buckingham, potem wzdłuż St James's Park do Westminster. Parliament Square świecił pustkami; podświetlone od dołu Opactwo Westminsterkie wyglądało dziwnie płasko, jak ogromna teatralna dekoracja. W połowie drogi przez most, kiedy już widziałem szpital, stanąłem w bezruchu. Pot spływał mi po plecach.

Intrygująca kobieta o imieniu Tess zemdląła na moich oczach. Teraz jest w dobrych rękach. Mój epizod w historii jej życia już dobiegł końca, a pragnienie ujrzenia jej ponownie jest nieracjonalne. Gdybym pojawił się w szpitalu, to byłoby po prostu dziwne.

Oparłem się o balustradę i spojrzałem w dół. Światła odbijające się na wodzie sprawiały, że wyglądała na czarną i gęstą jak ropa.

Usłyszałem echo głosu Nash. „Czemu nigdy nie możesz po prostu czegoś zrobić?”

Ruszyłem z miejsca i pobiegłem najszybciej, jak mogłem.

Był sobotni wieczór u szczytu sezonu upałów, więc SOR zapełniali jaskraworóżowi ludzie z udarem słonecznym. Nigdzie nie widziałem bardzo szczupłej kobiety o krótkich, elfich włosach i olśniewającym uśmiechu.

– Szukam kobiety, którą przywieziono karetką jakieś pół godziny temu – powiedziałem recepcjonistce.

– Jak się nazywa?

– Tess. Zemdląła na koncercie Stonesów. Chciałem się tylko upewnić, że wszystko z nią w porządku. Jestem lekarzem.

– A nazwisko?

– Nie wiem – przyznałem.

– Jeśli jest pan lekarzem, to na pewno pan wie, że nie mogę udzielać informacji o pacjentach.

– Oczywiście. Przepraszam!

Odwróciłem się w stronę wyjścia, ale przystanąłem.

– A mógłbym zapytać, czy ona tu jest?

– Nie mogę udzielać informacji o pacjentach.

– Jeśli zostawię wiadomość, mogłaby ją pani przekazać?

Kobieta się zawahała.

– Naprawdę jestem lekarzem...

– W życiu nie spotkałam takiego lekarza.

– Proszę... – Obsługa szpitala rzadko słyszy to słowo od lekarzy.

– Jeśli zostawi pan kartkę, spróbuję przekazać – zgodziła się ostatecznie.

– Mógłbym pożyczyć kawałek papieru?

Potrząsnęła głową w niedowierzaniu, po czym podsunęła mi notes z reklamą antydepresantu.

– Coś do pisania pewnie też potrzebne? – Podała mi długopis.

– Dziękuję, mam.

To było szaleństwo. Może to ja za długo siedziałem na słońcu.

Recepcjonistka wyglądała teraz na niemal rozczarowaną. Westchnęła i zabrała długopis.

– Przepraszam – powiedziałem, opuszczając wzrok w spóźnionej nadziei, że mnie nie pozna, jeśli kiedyś dostanę pracę w tym szpitalu.

Powietrze na dworze wciąż niemal parzyło, miałem sucho w ustach. Przypomniało mi się, że na stacji Waterloo kilka sklepów jest otwartych do późna, więc przeszedłem na drugą stronę ulicy. Złapałem butelkę zimnej wody mineralnej i stanąłem w kolejce do kasy, patrząc na wiadra ze świeżymi kwiatami przy wyjściu.

„Czemu nigdy nie możesz po prostu czegoś zrobić?”

To idiotyczne, dawać kwiaty obcej osobie, nie?

– Kasa numer dziewięć – oznajmił automatyczny głos. Zawahałem się, czując, że osoba za mną przestępuje z nogi na nogę.

– Przepraszam, czy mogę złapać coś jeszcze?

Przy biurku siedziała teraz inna recepcjonistka. Podeszedłem z bukietem fioletowych lewkonii i różowych róż.

– To dla mnie? – zapytała z nieco figlarnym uśmiechem. – Jak cudnie pachną!

Była miłsza niż poprzednia, nie przypominała tak bardzo ziejącego ogniem smoka przed wejściem do zamku uwięzionej królowy.

– Czy mógłbym zostawić je dla pacjentki?

– Jak się nazywa?

– Tess.

– Zaraz, to pan...?

Skinąłem głową.

- Jak romantycznie! – Uśmiechnęła się do mnie.
- Mogę poczekać? – Rozejrzałem się za wolnym krzesłem w poczekalni.
- Chyba zatrzymali ją na noc na obserwację.
- To przyjdę z samego rana, dobrze?
- Nic nie obiecuję!
- Przypomniało mi się, że o ósmej dziewczynki mają lot.
- A nie, nie mogę. Muszę się zobaczyć z dziećmi.

Przyjazny wyraz twarzy zniknął jak zdmuchnięty. Chciałem powiedzieć: To nie tak, jak pani myśli. To wszystko robiło się zbyt skomplikowane.

– Czy mogłaby pani wyświadczyć mi przysługę i dać jej kwiaty? – Niemal wcisnąłem jej bukiet w dłoń.

– Pan jest doktor...?

– Gus. Po prostu Gus – odparłem i uciekłem.

Byłem na koncercie Stonesów, ale to nie był koncert Stonesów, tylko wesele Pippy, ale organista grał „You Can't Always Get What You Want”. Biegłem całą drogę do kościoła, spocona koszula kleiła mi się do pleców... W pierwszej ławce siedziała wysoka kobieta o krótkich, kręconych włosach i wiedziałem, że muszę się do niej dostać, więc zacząłem iść przez nawę na palcach w nadziei, że nikt mnie nie zauważy, ale kiedy się odwróciła, zobaczyłem, że to Nicky, matka Lucy... Tańczyłem, dyskotekowa kula rzucała odbłyśki światła po całym namiocie, na sekundę oświetlając różne twarze, a potem zostawiając je w ciemności; chciałem, żeby się zatrzymała, bym mógł dobrze wszystkich zobaczyć, ale twarze wciąż mi się wymykały. Wybiegłem do ogrodu i położyłem się na bujanej ławce, ktoś podniósł materiał przy wyjściu, rzucając trójkąt światła na trawnik przed namiotem; na zewnątrz wyszła wysoka, szczupła kobieta, trójkąt zniknął. W ciemności nie byłem nawet pewien, czy faktycznie widzę jej sylwetkę i...

Obudziłem się gwałtownie, bardziej zmęczony niż przed pójściem spać. Ledwo zdążyłem na lotnisko na umówioną godzinę, ale okazało się, że lot jest opóźniony. Lotniska to takie bezduszne miejsca, że nie czułem, jakbym naprawdę spędzał czas z dziewczynkami. Wydawało się, że siedzimy w jakimś frustrującym limbo bez końca. Charlotte w końcu musiały się skończyć sklepy, w których mogła się czaić i udawać, że nie patrzy, jak jemy muffiny z malinami i białą czekoladą w Coście. W końcu skończyły się nam tematy do rozmowy. Flora siedziała na WhatsAppie, a Bell grała we Fruit Ninja.

Żadna się nie odwróciła, kiedy ja stawałem na palcach i wyciągałem szyję po swojej stronie bramki, by jak najdłużej widzieć, jak przechodzą przez odprawę. W końcu się odwróciłem, czując, że zbiera mi się na płacz. Ale to nie były już te dzikie potoki łez, które kiedyś sprawiały, że z punktu obserwacyjnego machałem do każdego startującego samolotu, a później zrezygnowany szedłem do metra.

Wszyscy przyzwyczajaliśmy się do separacji. Nie potrafiłem ocenić, czy to

dobrze czy źle.

Zamiast jechać linią Piccadilly do South Kensington i iść do domu przez park, zostałem w metrze i przesiadłem się do linii Jubilee na stacji Green Park.

W Świętym Tomaszu siedziała inna recepcjonistka. Miałem się już odezwać, kiedy zobaczyłem bukiet fioletowych lewkonii i różowych róż za uchylonymi drzwiami pokoju dla administracji za jej plecami. Kwiaty wciąż były owinięte w celofan i papier. Stały na biurku w szpitalnym dzbanku z wodą.

– Słucham?

– Kwiaty. – Wskazałem. – Zostawiłem je dla kogoś wczoraj wieczorem.

– To pan?

Czyli byłem aktualnym obiektem plotek, pewnie też drwin.

– Próbowaliśmy jej dać, ale powiedziała, że lepiej będzie, jak tu zostaną, żeby poprawiać ludziom humor.

– Więc nie przyjęto jej na oddział?

– Lekarze zamierzali ją zatrzymać, ale pana koleżanka nie chciała o tym słyszeć.

Nie było sensu pytać, czy zostawiła adres do kontaktu.

– Ale to bardzo miło z pana strony – dodała serdecznym, macierzyńskim tonem, jakby chciała mnie pocieszyć. – Ten zapach to miła odmiana od, no wie pan – ktoś wspominał, że pan jest lekarzem?

– Pytała, kto je zostawił?

– Powiedziałyśmy, że Gus.

Po jej głosie poznałem, że Tess nie skojarzyła.

„Czy ja cię znam?”

„Jestem Gus”

Dopiero się wybudzała z omdlenia.

Moje imię nic jej nie mówiło. I ja, i recepcjonistka o tym wiedzieliśmy. Spojrzeliśmy na siebie. A potem się odwróciłem i odszedłem.

## CZEŚĆ PIĄTA



## Lipiec 2013

### TESS

Kiedy Doll jest z czegoś naprawdę zadowolona, mówi, że umarła i poszła do nieba. Właśnie tak się czuję, kiedy leżę w moim pokoju i patrzę w sufit. Cherubiny podtrzymują girlandy wokół bladoturkusowych skrawków nieba. Szklane krople żyrandola rzucają małe tęczowe na ściany. Łóżko jest tak ogromne, że mogę rozłożyć ręce i nogi jak rozgwiazda, i nadal nie sięgam krawędzi. Biała pościel z czystej bawełny jest przyjemnie ciężka. Za ciepło na koc, ale z włączoną klimatyzacją w nocy zrobiło się trochę chłodno.

Czuję pod stopami zimne kafelki. Podchodzę do okna i odchylam szeroko okiennice, żeby zobaczyć pnące się nad miastem wzgórze, naznaczone zielonoszarymi smugami gajów oliwnych. Wysokie cyprysy wystrzelają w błękit nieba. W oddali majaczą terakotowe dachy małego miasteczka. To chyba Vinci, rodzinne strony Leonarda.

Doll zwróciła uwagę na to miejsce, bo na stronie pokazali, że jest tu basen *infinity* na świeżym powietrzu. Zanurzam się w chłodnej wodzie i odpycham nogami, płynąc cichą zabką. Wiem, że inni goście jeszcze śpią, i czuję, jakbym mogła płynąć bez końca, prosto w niebo. Ważki śmigają nad srebrzystym jak rtęć lustrem wody; powietrze jest przesycone wonią jaśminu i pierwszymi powiewami aromatu świeżej kawy z kuchni.

W Villa Vinciana obowiązuje tylko jedna zasada. Goście, którzy przyjeżdżają tu pracować nad indywidualnymi artystycznymi projektami, mają jeść wspólnie posiłki. Chodzi o to, żeby nadać miejscu charakteru wspólnoty, choć już pierwszego dnia zauważyłam, że nowym trudno nawiązać znajomość z tymi, którzy przyjechali wcześniej i zdążyli już stworzyć własne towarzystwo. W jadalni czeka śniadanie: stoły na kozłach z bufetem na zimno. Talerze prosciutto i sera, trójkąty melona, koszyki małych ciastek, rogalików i bułeczek wypełnionych dżemem, budyniem i marcepanem – nie dowiesz się, póki nie ugryziesz – wszystkie przepyszne.

Nie wszyscy tutaj to single. Niektórzy przyjechali z partnerami, ale oni jedzą w milczeniu, bo są przyzwyczajeni do swojego towarzystwa przy śniadaniu. My przyjechaliliśmy poprzedniego wieczoru minibusem z lotniska w Pizie i teraz zadajemy sobie ostrożne pytania, dlaczego tu jesteśmy. Uważamy, aby na tym etapie znajomości nie być wścibskim, ale też nie zdradzać zbyt wiele. Villa Vinciana oferuje nie tylko zajęcia z kreatywnego pisania. Prowadzą tu też kursy

kuchni włoskiej, rzeźby w kamieniu (ale te zajęcia odbywają się w przerobionej na ten cel tłoczni oliwy kilka kilometrów dalej, ze względu na hałas), jogi oraz kultury i sztuki.

Po śniadaniu dyrektorka kursów, Lucrezia, przedstawia plan zajęć i wycieczek lokalnych. Jej angielski da się zrozumieć, ale nie zawsze używa właściwych słów. Dla uczestników zajęć artystycznych poranki to czas na samotność w pracy, zanim słońce jest bardzo gorący, a nasza kreatywność jest bardzo duża. Potem długi lunch, jeden czas rekreacyjny, a następny seminarium grupowy o szóstej. Kolacja jest bufet coś lekkie. Możesz zjeść pizza z ognia.

Siedzę przy niewielkim drewnianym biurku pod otwartym oknem. Jestem tak zachwycona tym magicznym miejscem, że mam ochotę natychmiast napisać e-maila do Doll. Chciałabym jej powiedzieć, że pokój z widokiem był wart dodatkowych pieniędzy, ale nie mam jeszcze hasła do wi-fi, a Lucrezii trochę się boję. Wydaje się dość ostra. Chociaż pewnie musi taka być, żeby ogarnąć czterdzieści kilka osób o różnych potrzebach. No, ale Doll może być zła, jeśli pomyśli, że marnuję czas na opisywanie jej tego miejsca. W końcu przyjechałam tu, żeby pisać książkę.

Po godzinie wciąż wpatruję się w biały ekran. Trochę dziwnie się czuję, próbując nakreślić życie na osiedlu komunalnym w zaniedbanym angielskim miasteczku nad morzem, kiedy siedzę w tokańskim *palazzo*.

Chciałabym skończyć książkę, ale czy to faktycznie ma jakieś znaczenie? Czasem myślę, że boję się ją skończyć, bo co potem? Ciekawe, czy każdy pisarz ma takie momenty.

Postanawiam zapoznać się z otoczeniem. Jeśli wpadnę na Lucrezię, mogę udawać, że komponuję tekst w głowie czy coś takiego. Odsuwam krzesło i wstaję – powoli, bo nie chcę znów zemdleć, a na pewno nie na tę twardą terakotową podłogę. Smaruję ręce i nogi kremem z filtrem, dwudziestką, i zakładam słomkowy kapelusz z szerokim rondem.

*Agriturismo* składa się z okazałej willi, w której znajduje się mój pokój, budynku przypominającego kościół (ale bez krzyża na dachu) i kilku jednopiętrowych budynków gospodarczych – kiedyś pewnie pełniły funkcję stajni, zanim całość przerobiono na Kulturalno-Artystyczny Ośrodek Pracy Twórczej. Całość stoi na dość stromym wzgórzu – dlatego basen *infinity* ma sens, bo znajduje się na tarasie ze wspaniałym widokiem. Tuż pod wysoką kamienną ścianą wspierającą taras widać drewnianą podłogę ogrodową z baldachimem. Tam ćwiczę się jogę. Stroma kamienna ścieżka prowadzi w dół na inny taras, na którym rosną pnącza obwieszane małymi pomarańczowymi, zielonymi i czerwonymi owocami. Nagle uświadamiam sobie, że to przecież są te maleńkie drogie pomidorki, które można kupić w Waitrose. Pomidory prosto z krzaczka! Nigdy w życiu nie widziałam rosnących pomidorów. Wyciągam rękę, żeby zerwać jednego, ale wtem

na liściu tuż przy mojej dłoni przysiada biały motyl. Śledzę go wzrokiem, kiedy trzepocze i ląduje na przypadkowych liściach kolejnych krzaczków w rzędzie, aż nagle zauważam, że patrzy na mnie facet w koszulce koloru khaki i dżinsowych szortach obciętych nad kolanem. Przez łokieć ma przewieszony koszyk na warzywa.

– *Buongiorno!*

Tracę równowagę i ześlizguję się na tyłku po zakurzonej ścieżce na taras niżej, próbując wyhamować dłońmi.

– Wszystko okej? – słyszę głos z góry.

– Tak, dzięki... – Jestem zbyt zawstydzona, żeby się rozglądać. Dłonie mnie pieką, ale zadrapania są powierzchowne, szybko się zagoją. Wstaję i odchodzę, starając się zachować tyle powagi, na ile pozwalają mi klapki i nadwyrężona godność.

**GUS**

Nie widzę dobrze jej twarzy, bo ma na głowie wielki kapelusz, a potem traci równowagę i zjeżdża po ścieżce.

Staję na palcach, żeby ją zobaczyć zza pomidorów. Siedzi na ścieżce w chmurze pyłu taras niżej. Prędko podnosi się na nogi, szczupłe jak słomki, i odchodzi, nieświadoma wielkiej smugi kurzu w kolorze gliny z tyłu jej białych szortów.

Słońce jest wysoko na niebie, świeci z oślepiającą mocą. Już prawie południe – też powinienem założyć kapelusz, bo z gorąca chyba mam jakieś zwidy.

Wracam do kuchni z *ciliegni*. Myję pomidorki w wielkim zlewie ze stali nierdzewnej przy oknie. Kobieta w kapeluszu przechodzi tuż obok, trzymając rękę za nadgarstek, dłoń ma odwróconą wnętrzem ku górze, jak dziecko, które przewróciło się na placu zabaw.

– Goos! – woła szef kuchni.

– *Si?*

– *Facciamo la pasta?*

Robimy pastę?

– *Certo!*

Rano kupiłem na lotnisku rozmówki z płytą, którą odsłuchałem w wynajętym samochodzie w drodze do *agriturismo*. Trochę się zagalopowałem z wyborem włoskojęzycznej nawigacji po zaledwie kilku godzinach z językiem, ale w końcu dotarłem na miejsce.

Na kursie gotowania jest nas troje. Teraz pomagamy kucharzom w przygotowaniu lunchu. Jeden z kursantów to niedźwiedziowaty Niemiec z wydętym brzuchem, wylewającym się spod fartucha. I jest jeszcze Amerykanka, rozwódka po czterdziestce. Amerykanie używają innych niż Anglicy nazw na wiele

produktów; mówimy innymi kulinarnymi językami. Kurt poci się nad *osso buco*; Nancy właśnie kończy wegetariańską potrawę zwaną *melanzane farcite*. Ja dołączyłem do grupy ostatni, więc przypadło mi w udziale spaghetti *al pomodoro*. Prosty sos należy przygotować wcześniej, ale nakładać na pastę zaraz przed podaniem, więc chwilowo nie mam nic do roboty, ale szef kuchni wskazuje na świeże owoce i pokazuje, jak mam je pokroić.

Okazuje się, że przy podawaniu spaghetti czterdziestu osobom można się zgrzać o wiele bardziej, niżbym się spodziewał, zwłaszcza w białym kucharskim uniformie. Ale jest to też bardziej satysfakcjonujące, niż myślałem – kiedy nakładam ostatnie porcje, zaczynają do mnie docierać komentarze ze stolików:

- Ale świeże!
- Pasta idealnie ugotowana!
- Myślisz, że sprzedają tu tę oliwę? Muszę wziąć trochę do domu!
- Co to za zielone listki? – słyszę nagle głos, który odbija się echem w mojej

głowie.

Podnoszę wzrok. To ona. To jest ona! Kobieta od motyli!

Zdjęła kapelusz. Pot skleił jej krótkie włosy wokół ronda i wilgotne loki przypominają trochę włosy dziecka w kąpielu. Podejrzliwie zerka na ostatnie nitki spaghetti.

– Bazylia – mówię, słysząc własne słowa jakby stłumione: tak się zdenerwowałem, że mózg mam jakby omotany watą.

– Jak smakuje? Jak szpinak? – mówi z lekkim zaciąganiem. Nie Essex, ale niedaleko.

– Nie powiedziałbym.

– No, to poproszę!

Ręka tak mi się trzęsie przy nakładaniu jedzenia do miski, którą ku mnie wyciągnęła, że niechcący brudzę jej kciuk oliwą z sosem pomidorowym.

– Przepraszam, przepraszam! – Łapię ścierkę, którą mam przewieszoną przez ramię, ale ona już podniosła kciuk do ust, żeby go oblizać. Po drodze kropla sosu spadła jej na koszulkę.

– Szlag – wzdycha. – To już dwa razy dzisiaj.

Podnosi dłoń, żeby pokazać mi wielki plaster.

– Ponoć nieszczęścia chodzą parami, co? – dodaje. – Ale w takim miejscu człowiek nie może być naprawdę nieszczęśliwy, co?

Jej twarz rozpromienia się w tym absurdalnie znajomym uśmiechu, przez który wydaje mi się, że znam ją od zawsze, a puls skacze mi jak szalony.

– Goos! – woła szef kuchni.

– *Si, Chef. Vengo!*

„Idę”. Czy to właściwe słowo? Mam nadzieję, że nie powiedziałem niechcący „dochodzę”, czy coś równie niezręcznego.

– *La frutta!* – sapie zirytowany.

Muszę usunąć szypułki z truskawek i nasączyć owoce w soku z pomarańczy, których jeszcze nie wycisnąłem. No i potem trzeba będzie posprzątać.

Do czasu kiedy w końcu znów wyłaniam się z kuchni, większość gości zdążyła się już przenieść na kawę do niewielkiego ocienionego baru po drugiej stronie gospodarstwa. Nagle serce mi podskakuje. Kobieta w kapeluszu nadal siedzi przy swoim stoliku. Jest sama i skrobie coś w notesie.

„Czemu nigdy nie możesz po prostu czegoś zrobić?”

Bo to będzie dziwnie wyglądać, prawda? Widzę, że mnie nie poznaje. Poza tym wprawdzie to kompletny przypadek, ale ona na pewno w to nie uwierzy, zwłaszcza po tych kwiatach. Pewnie pomyśli, że dorobiła się stalkera.

Wstaje i podchodzi, klapiąc japonkami po podłodze.

– Bardzo dobre – mówi, podając mi talerz. – Jeśli mam być całkiem szczerą, wolę jednak bez bazylii.

– Zapamiętam.

– Sam je robiłeś?

– Jestem tu na kursie kulinarnym. Owoce też ja przygotowałem.

– Owoce były doskonałe. Zwłaszcza arbuzy. Zwykle pełno w nim pestek.

– Trzeba go pokroić w specjalny sposób.

– Będziesz musiał mi pokazać. Chociaż pewnie nigdy nie kupię w Anglii całego arbuza, prawda? Po kilku dniach miałabym dość, nie? W Anglii i tak nie smakuje tak samo, co? Bardziej jak ogórek. Beznadziejnie gotuję. Nawet grilla nie umiem zrobić, żeby wszystkiego nie spalić!

– Każdy przypala jedzenie na grillu.

– Poważnie?

Kiwam głową na potwierdzenie. W nagrodę dostaję kolejny niezwykle uśmiech.

– A ty...?

– Piszę. A przynajmniej powinnam. Chyba muszę wracać do roboty, bo inaczej będę w tarapatach.

Nie przychodzi mi do głowy żaden sposób, żeby ją zatrzymać.

– No, to do zobaczenia?

– Na pewno, nie?

**TESS**

Że też zawsze muszę tak paplać, kiedy się denerwuję. Jest bardzo uprzejmy, ale są granice, prawda? Ma taką twarz, z której można czytać jak z książki. Kiedy słucha, przybiera poważny i skupiony wyraz, ale jeśli go rozbawić, wygląda jak chłopiec, który nie ma nic do ukrycia. Ma taką piegowatą urodę, jak ten aktor, który grał Mariusa w „Les Misérables”. Chłopięcy, ale bardzo sexy. On jest do

niego trochę podobny. Tylko wyższy. Jest bardzo wysoki.

Przyjechał tu z kimś? A może sam? Ucieka przed jakąś traumą? Oczy ma niebieskie, ale nakrapiane złotem. Na zmianę migocze w nich radość i onieśmiałe zdenerwowanie.

Oczywiście, nie moja liga. Przecież słyszę ten jego akcent z prywatnej szkoły i w ogóle. No, nieważne. Nie po to tu przyjechałam.

Skończyć pierwszą wersję tekstu.

Początkujący pisarze często mają kłopot z dokończeniem maszynopisu...

Tekst nad planem zajęć jest taki sam jak reklama w internecie, która przykuła uwagę Doll. Myślała o Toskanii, bo zawsze powtarzałam, że chciałabym tam wrócić. Ale pomyślała, że może będę czuła się samotnie bez niej – nie mogła mi towarzyszyć z Elsie i w dodatku w siódmym miesiącu ciąży.

*Pozwól nam wskazać Ci drogę. Villa Vinciana stoi na malowniczych tokańskich wzgórzach nad Vinci, gdzie urodził się jeden z największych twórców w historii. To zaciszne schronienie dla kreatywnych umysłów. Każdy pokój ma własną łazienkę i jest wyposażony w klimatyzację, a także biurko do pracy w ciągu dnia. Wiezorami odbywają się grupowe seminaria, prowadzone przez naszych ekspertów. To wspaniała okazja do dyskusji o technikach literackich, czas na profesjonalną krytykę i konstruktywne komentarze.*

*Dzień 1*

*Zapoznanie i prezentacja swojej pracy przed grupą*

Spotkaliśmy się pod markizą – to tu rano widziałam z basenu ludzi ćwiczących jogę. Było nas tylko pięcioro, wliczając prowadzącą, Geraldine. Z moich obserwacji wynika, że joga jest stanowczo najpopularniejszym kursem – jest ich co najmniej dwadzieścioro. Jeszcze nawet nie zaczęliśmy, a już się zastanawiam, czy mogłabym zamienić kursy, choć nigdy wcześniej nie interesowała mnie joga.

Dwójka kursantów nie zrobiła na mnie najlepszego wrażenia – mąż i żona w średnim wieku, dwa w jednym, przylecieliśmy tym samym samolotem. To nie była wina stewarda, że nachosy się skończyły, a przecież nikt o zdrowych zmysłach nie spodziewa się szerokiego wyboru przekąsek w Ryanairze. Kiedy zawołali go po raz trzeci, miałam ochotę się odwrócić i powiedzieć, że trzeba było się najeść na lotnisku. No i dobrze, że się powstrzymałam, bo okazało się, że jedziemy tu razem, ściśnięci w tym samym minibusie.

Od pierwszej chwili czuć atmosferę rywalizacji. „Ile już masz napisane?”, coś w tym rodzaju. Graeme i Sue, para w średnim wieku, to nauczyciele geografii. On pisze thriller akcji, rozgrywający się na wycieczce terenowej. Ona – komedię romantyczną o dwojgu nauczycieli. Chce, żebyśmy odgadli tytuł na podstawie jej opisu. Od razu widać, że nikt nie ma na to najmniejszej ochoty.

– A może sama nam zdradzisz? – proponuje miło Geraldine.

– „Nauczyć nauczycielkę”! – oznajmia triumfalnie.

– Ale super! – mówi Erica, bardzo duża Amerykanka.

Pisze dla nastolatków powieść o wampirach, ale absolutnie nie taką jak „Zmierzch”, zapewnia. Wolalabym, gdyby powiedziała, że będzie identyczna jak „Zmierzch”, bo cała seria bardzo mi się podobała.

Teraz wszyscy patrzą na mnie. Trudno ocenić wiek Eriki, ale chyba jestem najmłodsza w grupie.

– Ja nie piszę powieści – zaczynam.

– Ciekawe – komentuje Erica.

Zauważam, że Sue i Graeme posyłają sobie porozumiewawcze spojrzenia, jakbym była niegrzeczną uczennicą, która niedokładnie przeczytała pytanie na egzaminie.

Geraldine na pewno jest przemiłą kobietą, ale przypomina mi żonę Leo. Też ma długie włosy z nitkami siwizny i sukienkę w orientalny wzór. Uśmiecha się do mnie zachęcająco. – Tytuł to „Żyjąc z nadzieją”. To będzie tak jakby o mojej matce i o siostrze, która ma syndrom Aspergera.

– Więc to autobiografia? – pyta Sue nieco protekcyjnym tonem.

– Bardziej wspomnienia.

Graeme śmieje się w zwinętą dłoń, jakbym była głupia. Może to faktycznie to samo? Może „wspomnienia” po prostu lepiej brzmi.

– Jest jakaś nazwa na takie książki, prawda? – wtrąca Erica. Mruży swoje i tak już nieco świńskie oczka, próbując sobie przypomnieć.

Geraldine przychodzi mi na ratunek.

– Nie zwracajmy sobie za bardzo głowy kategoryzowaniem.

– Moja siostra ma na imię Hope, czyli nadzieja, stąd tytuł...

– Ale super – mówi Erica.

Geraldine przedstawia podstawowe zasady uczestnictwa. Mamy się wzajemnie szanować i zachować pozytywne nastawienie. Powtarza wszystko, co już wiem z City Lit. Potem prosi, żebyśmy chwilę posiedzieli w ciszy, przyjrzeni się fizycznym cechom naszego otoczenia i posłuchali dźwięków wokół, a potem napisali „całościowy zarys sceny”, stopniowo coraz bardziej przybliżając na grupę postaci.

Głos Graeme wdziera się w moment spokojnej kontemplacji.

– „Słońce zachodziło nad wzgórzami Toskanii, wokół cykały świerszcze”...  
O coś takiego chodzi?

– Mniej więcej – potwierdza Geraldine.

– No, to ja już swoje zrobiłem – stwierdza Graeme, jakby była jakaś nagroda dla tego, kto skończy pierwszy.

Pod markizą szeleści lekki wiaterek nasycony zapachem węgla i świeżej pizzy.

Nie wierzę, że znów jestem głodna.

– Dokończcie ćwiczenie w wolnym czasie, jutro wieczorem przeczytamy wszystkie propozycje. A potem omówimy kilka technik, żeby popracować nad konstruktywną krytyką – mówi Geraldine, zamykając spotkanie.

– Wyciskacz łez! – skrzeczy nagle Erica.

Wszyscy na nią patrzą.

– Taką książkę piszesz! Żeby wszystkim było cię żal. – Wskazuje na mnie palcem.

– Nie, wcale nie taką.

– Tak. Tak się na to mówi! – upiera się Erica.

Mam ochotę odpowiedzieć, że nad niczym się nie użalam. Ale nie chcę, żeby ona ani reszta tych ludzi wiedziała cokolwiek więcej. W niczym nie przypominają mojej grupy w City Lit. Nie mam najmniejszej ochoty dawać im rozdziałów do „konstruktywnej» krytyki. W ogóle nie jestem gotowa dzielić się z nimi moim tekstem.

Wracam do pokoju i dzwonię do Doll. Jest mi źle, bo zapłaciła tyle pieniędzy i to był taki przemyślany prezent. Nie chciałabym jej zawieść.

I tak będę się dobrze bawić, mówię, bo tu jest naprawdę pięknie, z basenu rozciąga się obłędny widok, no i codziennie są wycieczki minibusem w różne miejsca. Może dopiszę się do zajęć z kultury i sztuki albo po prostu sama pozwiedzam trochę galerii i muzeów.

– Rób, na co masz ochotę! – odpowiada Doll. – Przecież to twoje wakacje!

No, to mi ulżyło.

– Jacyś fajni faceci?

– Doll, dopiero przyjechałam!

– Ach, taaak – mówi.

Wieczorem widzę go przy piecu z pizzą. Dzieli wielkie koła radełkiem.

Do wyboru jest pizza na słono i na słodko. Ta wytrawna jest z sosem pomidorowym, kałużami mozzarelli i innymi ziołami niż w spaghetti. Mówi, że to oregano i że właśnie ono nadaje potrawom typowo włoski smak. W Anglii można je dostać suszone, ale tutaj hodują świeże w ogródku. Można też poprosić o inne dodatki, anchois albo kawałki włoskiej kielbasy, która nazywa się *salsiccia*. Układają surowe ciasto na wielkiej łopacie i wkładają do pieca tylko na minutę albo dwie, bo taki jest gorący.

Twarz ma bardzo różową od stania przy ogniu. A może to od słońca, bo rudzi szybko reagują na promienie słoneczne. Jest miły, ale nie mogę za długo rozmawiać i blokować wygłodniałej kolejki.

Nie mam ochoty siadać z grupą od kreatywnego pisania, ale ludzie z innych kursów trzymają się razem i nikt nie wydaje się chętny, żeby zrobić mi miejsce. Rzeźbiarze wrócili późno i są cali pokryci białym pyłem, jak duchy. Grupa od jogi



z przerażeniem patrzy na moją pizzę z kielbasą, bo to sami wegetarianie. W końcu rezygnuję, siadam samotnie na końcu stołu i przyglądam się, jak on podaje pizzę. Chyba jest tu sam, bo co chwila na mnie zerka, więc muszę udawać, że po prostu zapatrzyłam się w przestrzeń i myślę o książce albo o innych twórczych rzeczach.

Po pizzy na słono możemy znów podejść do kuchni, żeby spróbować pizzy ze świeżymi owocami, posypanej cukrem. Nie wiedziałam, że pizzę można jeść na słodko.

– Smakuje jak francuskie ciastko z morelami! – zachwycam się. A potem, czując się jak idiotka, dodaję: – Tylko że z brzoskwinia.

– I włoskie? – dopowiada on. Ale w miły sposób. Nie tak, jak powiedzieliby to Sue i Graeme.

– Może masz ochotę na kawę, kiedy skończę pracę?

– Nie mogę pić kawy wieczorem. Ale może herbatę? – dodaję prędko.

– *Rendezvous* przy barze, jak posprzątamy w kuchni?

*Rendezvous!*

Dopiero kiedy otwieram szafę, zauważam plamę na szortach, odbitą przez lustro na ścianie. Przebieram się, myję twarz, rozważam make-up, ale rezygnuję z tego pomysłu i spryskuję się Chanel nr 5 ze strefy bezcłowej. Gdy wreszcie schodzę na dół, bar jest już zamknięty, a willę spowija ciemność i gęsta cisza, jaką można usłyszeć tylko na wsi.

## **GUS**

Rozumiem, że kuchnia w każdej restauracji musi być nieskazitelnie czysta, ale to są wakacje, za które Nash zapłaciła. Wydaje się trochę nie w porządku, że willa zatrudnia tylko dwóch kucharzy i jedną osobę na zmywaku, a kursanci odpowiadają za większość przygotowań, gotowanie i sprzątanie. Zanim udaje mi się skończyć, kawiarnia jest już pusta, a kobieta od motyli dawno się poddała i poszła do łóżka.

Leżę w moim pokoju przy basenie, nie mogąc zasnąć. Słucham cykania cykad i rozlegającego się co jakiś czas piania koguta, zupełnie nie w porę. Uśmiecham się na myśl, że ona śpi gdzieś niedaleko.

Zasypiam, ale nic mi się nie śni.

Budzi mnie brzęczenie sztućców i słodki, maślany zapach ciepłych croissantów.

Schodząc na śniadanie, zauważam, że na wysypanym żwirze podjeździe przed głównym wejściem czeka minibus. W oknie widzę jej twarz. Samochód rusza, a ona odprowadza mnie wzrokiem. Macha na pożegnanie, tak jak wcześniej z karetki, a potem nagle marszczy brwi, jakby coś sobie przypomniała.

– Dokąd jadą? – pytam Lucrezję, dyrektorkę kursu.

– Na wycieczkę do Florencji.

- I wrócić...?
- Dziś wieczorem, tak.

## TESS

Wysiadamy przed dworcem, gdzie czeka już na nas przewodniczka z czerwoną parasolką. Mówię jej, że wybieram się na zakupy. Nie chcę jej urazić, mówiąc, że mam własny plan zwiedzania.

Inne przystanki naszych wakacji w Europie zapisały się w mojej pamięci jak pocztówki: podświetlony amfiteatr w Weronie na tle granatowego nieba; Zatoka Neapolitańska; widok z brzegu na San Giorgio w Wenecji. Ale ten ostatni beztroski dzień, który spędziłam z Doll we Florencji, dzień, zanim moje życie zmieniło się na zawsze – ten dzień pamiętam godzina po godzinie, niemal krok po kroku. Chcę przeżyć go jeszcze raz, ze względu na sentyment.

Łapię autobus do Fiesole. Podczas jazdy stoję przy otwartym oknie, ciesząc się powiewem łagodnego wiatru na twarzy. Autobus wysadza mnie na ostatnim przystanku, wypływa chmurę szarych wyziewów i zawraca do miasta. Na placu nagle zapada spokój. Łagodny górski wiatr chłodzi moje nagie ramiona. Znajduję rzymski amfiteatr i siadam na rozgrzanych słońcem schodach. Wspomnienie jest tak wyraziste, że niemal słyszę, jak młodsza Tess krzyczy ze sceny: „Jutro, jutro i znów jutro!”.

Robię zdjęcie i wysyłam do Doll z wiadomością. *Tęsknię!*

W kawiarni siadam w cieniu winorośli, popijam gazowaną wodę mineralną. Jem spaghetti *al pomodoro* bez bazylii i wpatruję się w panoramę Florencji, miniaturowe miasto w oddali. Wygląda jak tło na obrazie Leonarda.

## GUS

Szef kuchni uczy mnie, jak przygotować *vitello tonnato*. Nigdy nie próbowałem tego dania, bo byłem trochę podejrzliwy. Nie szaleję ani za cielęciną, ani za tuńczykiem, ale razem? Czy to w ogóle ma prawo dobrze smakować? Szef zapewnia, że jeśli zrobię wszystko dokładnie według jego przepisu, będzie *buono*.

Najpierw muszę upiec kawałki udźca cielęcego i upewnić się, że są dobrze podpieczone, ale nie suche. Potem mięso musi poleżeć i ostygnąć, bo danie serwuje się na zimno. Następnie robię majonez z żółtek, soku z cytryny i oliwy. Doprawiam drobno posiekanymi kaparami i odrobiną pokrojonej trybuli i szczypiorku z ogrodu. Do tego dorzucam kilka rozbitych i posolonych anchois oraz odcedzoną puszkę rozdrobnionego tuńczyka. Potem kroję przestudzoną cielęcinę na plastry w maszynie i układam mięso na półmisku, przekładając sosem majonezowym. Nie wygląda obiecująco, ale smakuje niebiańsko.

– *Perfetto!* – mówi szef kuchni, kiwając głową z aprobatą.

Kurt, który był dziś odpowiedzialny za pastę i deser, posprzątał kuchnię dużo

szybciej i sprawniej niż ja, więc o trzeciej jestem już wolny i mam całe popołudnie dla siebie.

Na basenie jest dość tłoczno, a ponieważ nie zostałem stworzony do wylegiwania się na słońcu, postanawiam zamiast tego wybrać się na wycieczkę po okolicy moim wynajętym samochodem.

Pierwszy znak na drodze mówi, że do Florencji jest stąd tylko pięćdziesiąt kilometrów. Wjeżdżam więc na drogę ekspresową Fi-Pi-Li i po niecałych czterdziestu minutach jestem już na niezbyt atrakcyjnych przedmieściach. Oznaczenia prowadzą do parkingu na Piazzale Michelangelo. Fiat panda gramoli się zygzakiem na szczyt wzgórza, a ja zaczynam rozpoznawać okolicę.

Kiedy wysiadam z klimatyzowanego samochodu, gorące powietrze uderza mnie jak żar z pieca. Okazuje się, że jestem chyba na najpiękniejszym parkingu świata. Widok Duomo na tle doskonale błękitnego nieba tak bardzo przypomina pocztówkę, że wydaje się nierealny. Podchodzę do kiosku z pamiątkami, na którym pełno koszulek piłkarskich i plastikowych figurek „Dawida” Michała Anioła, i kupuję krem z filtrem pięćdziesiątką oraz mapę, chociaż raczej nie będzie mi potrzebna. Widzę stąd dokładnie tę trasę, którą biegałem tu kiedyś z miasta co rano, prowadzącą przez niewiarygodnie wiejski krajobraz.

Zaraz po wejściu na cienistą drogę przypominam sobie, że gdzieś tu będą schody prowadzące do pięknego kościoła, który lata temu dostrzegłem z basenu na dachu naszego hotelu.

## TESS

Musi być jakiś autobus do San Miniato al Monte, ale każdy zapytany przechodzień daje mi inne wskazówki, a może po prostu nie rozumiem wyjaśnień. W końcu postanawiam więc zrobić to, co zrobiłaby Doll, gdyby tu ze mną była, i łapię taksówkę. Droga wije się przez przedmieścia, które wyglądają jak w każdym innym mieście; potem wjeżdżamy na zalesione wzgórze. Tu i ówdzie stoją eleganckie wille, chłodno dystansujące się od tłoku i harmidru średniowiecznych uliczek *centro storico*. Taksówkarz zostawia mnie przed schodami prowadzącymi do kościoła. Tylko ja jestem tak szalona, żeby wdrapywać się po takich schodach w pełnym słońcu. Dwa razy muszę przystanąć i złapać oddech, ale nie pozwalam sobie spojrzeć w tył, dopóki nie dojdę na samą górę.

Widok jest wstrząsająco piękny, aż wypełnia mi oczy łzami, tak samo jak za pierwszym razem lata temu. Nie pamiętam, o co mi wtedy chodziło. Przecież miałam całe życie przed sobą i nic nie wskazywało na nadchodzące zmiany. Pomyślałam wtedy, że to wspaniałe miejsce na ślub. To dziwaczne, bo przecież nie należałam do nastolatek marzących o białej sukni z welonem.

W kościele jest tak ciemno w zderzeniu z jasnym słońcem na zewnątrz, że przez dobry moment nic nie widzę. Nawet po zdjęciu kapelusza i odsunięciu

okularów na czubek głowy potrzebuję kilku chwil, by oczy mogły się przystosować. Wchodzę po schodkach do prezbiterium, świadoma bezbożnego kłapania japonek, i wrzucam jedno euro do automatu. Złote światło zalewa całą apsydę.

Wpatrując się w ogromną, krytyczną twarz Chrystusa, odczuwam przemożną potrzebę przeproszenia Go.

– To nie tak, że w Ciebie nie wierzę – mówię Mu w myślach. – Ale nie lubię Kościoła, i szczerze mówiąc, Ty pewnie też byś za nim nie przepadał, gdybyś nadal tu był.

Światło gaśnie z nagłym stuknięciem, jakbym została ukarana za heretyckie myśli.

Ale po kilku sekundach znów wypełnia kościół, a ja odwracam się gwałtownie.

Wysoki facet z Villa Vinciana stoi obok automatu. W złotym świetle jego włosy mają kolor bursztynu.

Przez chwilę gapimy się na siebie, a potem oboje wykrzykujemy jednocześnie:

– To ty!

– Wiedziałam, że skądś cię znam! – wołam. – Byłeś tu tego dnia, kiedy dostałam wyniki matury!

– Byłaś tu. A potem rozmawiałaś ze mną na Ponte Vecchio!

– Zrobiłeś mi to zdjęcie z Doll. Dopiero co je oglądałyśmy!

– Powiedziałaś mi o *Gelateria dei Neri*.

– Tak?

Głęboko ukryta szufladka ze wspomnieniem nagle otwiera się z trzaskiem.

Szłyśmy na nocny pociąg do Paryża, kiedy zauważyłam go przy moście w kolejce do bezczelnie drogich lodów dla turystów. Nie wiem, co mnie opętało.

– Co ty wyprawiasz? – zapytała Doll, kiedy odchodziłyśmy, bo zwykle to ona była flirciarą.

– I co, poszedłeś tam?

Dziwna rozmowa na wizytę w kościele.

– Dwa razy – odpowiada.

Światło znowu gaśnie. On wrzuca kolejną monetę. Stoimy obok siebie, patrząc z czcią na poważną twarz Chrystusa. Nagle mówi:

– Myślisz, że wciąż tam jest?

– Co?

– *Gelateria*.

**GUS**

Po kościelnym półmroku biel marmurowego tarasu jest wręcz oślepiająca.

Moja towarzyszka podchodzi do balustrady i opiera się o poręcz, w zamyśleniu patrząc w dal. Otacza ją aura melancholii.

– Kiedy ostatni raz tu byłam, przysięgłam sobie, że kiedyś wrócę – mówi cicho. – Wiesz, tak jak sobie obiecujesz różne rzeczy, kiedy masz osiemnaście lat.

– Też to sobie obiecałem – wyznaję. – Sądziłem, że w otoczeniu takiego piękna nie można być nieszczęśliwym.

Odwraca się i posyła mi taki uśmiech, że mam ochotę odrzucić wszelką ostrożność i zapytać, czy wie, jak piękna jest ona sama. Ale z moich ust wydobywa się tylko jedno słowo:

– Gotowa?

Marmur jest gładki i śliski. Podaję jej rękę i schodzimy razem. Uważam, żeby nie naciskać za mocno szerokiego plastra na jej dłoni.

– Przewróciłam się wczoraj – wyjaśnia. Jej klapki głośno uderzają o pięty przy każdym schodku.

– Widziałem cię.

– To ty się chowałeś w pomidorach?

– Tak. I przy okazji, wcale się nie chowałem.

Na dole oboje zerkamy raz jeszcze na kościół. Ona nie potrzebuje już oparcia, więc puszcza moją dłoń. Wędrujemy wzdłuż ulicy, teraz gęstej od popołudniowego ruchu. Kiedy mijamy wejście na kemping, mówi:

– Tutaj mieszkaliśmy. A ty?

– W hotelu. Przy Piazza Santa Maria Novella. Byłem z rodzicami. Sam chętniej zatrzymałbym się w willi z widokiem na wzgórze.

– Takiej jak Villa Vinciana?

– Tak to sobie wyobrażałem!

Jej twarz znów rozjaśnia ten niezwykle uśmiech, jak słońce wychodzące zza chmur, i nie mogę już dłużej omijać tematu.

– Jesteś Tess, prawda?

– Tak. Skąd wiesz, jak mam na imię?

– Zgadnij...

Marszczy nos w zastanowieniu.

– Widziałeś w spisie gości u Lucrezii? – strzela, kiedy zaczynamy iść po płytkich schodach prowadzących do miasta.

– Źle!

– Ile razy mogę zgadywać?

– Pięć – wybieram pierwszą lepszą liczbę.

– Słyszałeś, jak się komuś przedstawiam przy śniadaniu?

– Nie było mnie na śniadaniu! Jeszcze trzy.

– Widziałeś na moim notesie?

Zatrzymuje się i wyjmuje z przewieszanej przez ramię torby notatnik,

wskazując na naklejkę z informacją, zapisaną pętelkowym pismem: *Teresa Mary Costello. Znalazcę proszę o kontakt pod numerem...* Chowa notes z powrotem, zanim zdąży zapamiętać jej telefon.

– Nie. Jeszcze dwa!

Żałuję, że nie dałem jej więcej prób. Trzeba było powiedzieć dziesięć, albo dwadzieścia, albo tyle, ile jest schodów stąd do miasta, bo nie chcę, żeby to się skończyło.

– Czekaj, a skąd mam wiedzieć, że nie oszukujesz? – protestuje nagle.

– Możesz mi zaufać, jestem lekarzem!

Posyła mi badawcze, zaciekawione spojrzenie, jakby to słowo przywołało jakieś odległe wspomnienie.

– A ty? Jak masz na imię? – pyta. Chwilę się waham.

– Gus.

Oboje zatrzymujemy się w cieniu drzewa.

– Gus? – powtarza.

– Słuchaj, wiem, że to zabrzmia trochę dziwnie, ale byłem na koncercie Stonesów w zeszłą sobotę, kiedy zemdlałaś. I naprawdę jestem lekarzem.

– Ten Gus, który przyszedł sprawdzić, jak się czuję, i przyniósł mi różowo-niebieskie kwiaty? – upewnia się z niedowierzaniem.

Przytakuję.

– Strasznie mi przykro, ale musiałam zostawić je w szpitalu, bo spieszyłam się na lot tutaj. Przez trzydzieści cztery lata nie dostałam bukietu. A jak raz dostałam, to nie mogłam nawet... Czekaj... Ale nie, to były białe róże... – przerywa i patrzy mi w oczy ze szczerą powagą. – Dziękuję, Gus. Cudownie pachniały.

Ona wierzy, że to przypadek. W gruncie rzeczy ma rację.

Odwzajemniam jej uśmiech, po czym oboje prędko odwracamy wzrok, powracając do niezręcznego milczenia osób, które dopiero się poznały. W powietrzu tańczą niezadane pytania.

– No, więc jesteś fanem Stonesów? – pyta w końcu, kiedy znów zaczynamy iść.

– Niespecjalnie. Ale to trzeba odhaczyć przed śmiercią, nie? – Przypominam sobie słowa Nash.

– Ale nie umierasz, co?

– Mam nadzieję! – odpowiadam. – A ty?

Marszczy brwi.

– Chciałam poczuć, jak to jest być w wielkim tłumie, który śpiewa jednym głosem – mówi w końcu.

– Wspaniała energia, co?

– Wspaniała – zgadza się.

Promienie słońca są teraz nieco łagodniejsze, a ulica do połowy kryje się w cieniu.

– Czemu byłeś nieszczęśliwy? – pyta. – Ostatnim razem?

– Skąd wiesz, że byłem?

– Tam, na górze! – Wskazuje w stronę kościoła. – Powiedziałeś, że chciałeś tu zamieszkać, bo nie można tu być nieszczęśliwym. Więc pomyślałam...

Przechodzimy parę kroków w milczeniu.

– Kilka miesięcy wcześniej mój brat zginął w wypadku na nartach.

– Och, przykro mi – mówi i na sekundę dotyka mojego ramienia, ale kiedy cofa dłoń, czułość tego gestu pozostaje mi na skórze.

– Wciąż byliśmy pogrążeni w głębokiej żałobie, ale jak to Anglicy, staraliśmy się nie psuć tym wakacji. Czysty idiotyzm.

Tyle życia spędziłem na unikaniu rozmów na ten temat, ale teraz, z obcą osobą, nagle słowa same zaczynają płynąć.

– Mamy takie tabu wokół śmierci, nie sądzisz? – dodają. Świetny tekst na podryw! – niemal słyszę, jak krzyczy na mnie Nash.

– Wiesz, że we Włoszech ludzie chodzą w Boże Narodzenie na groby bliskich? – mówi Tess. – Sprzedawcy kwiatów przed cmentarzami zbijają wtedy majątek.

– Ładny zwyczaj. Uwielbiam tutejszy sposób życia.

– Ja też – zgadza się Tess.

*Gelateria dei Neri* już nie istnieje. Kilka razy przechodzimy tam i z powrotem odcinek Via dei Neri, gdzie znajdowała się kiedyś lodziarnia. Jestem rozczarowany nie ze względu na lody, ale raczej dlatego, że straciliśmy jedną z łączących nas nitek, jakby nasza więź miała przez to osłabnąć. Ale kiedy idziemy na Santa Croce, jednocześnie zauważamy kolejkę. *Gelateria dei Neri* tylko się przeprowadziła i teraz jest dużo większa.

Tess wybiera trzy smaki: malinę, melona i mango. Po chwili wahania decyduje się na jagodę, mandarynkę i marakuję. Smaki idealnie zawierają w sobie kwaskowatą słodycz owoców, lepiej niż jakikolwiek inny sorbet. Nie znamy się na tyle dobrze, by dać sobie swoje różki do polizania, więc tylko pomrukujemy z zadowoleniem, każde skupione na własnym. Idziemy z powrotem w stronę głównego placu, lecz nagle Tess przystaje.

– Zapomnieliśmy o zasadzie dwóch smaków!

– Co to takiego?

– Jeśli weźmiesz trzy smaki, z jakiegoś powodu po chwili czujesz już tylko dwa, więc Doll i ja w końcu postanowiłyśmy, że lepiej zjeść dwa smaki trzy razy niż trzy smaki po dwa razy.

Ma rację. W pierwszej chwili moje *mirtillo* smakowało jak czysta esencja jagód, ale nie potrafię odróżnić mandarynki od marakui.

– Skończmy tę porcję – proponuję. – A potem napijmy się wody, żeby odświeżyć podniebienie, i idźmy po następne.

– Zdecydowanie jesteś w moim typie! – śmieje się Tess.

Naprawdę tak uważasz? Czujesz to, co ja? Co chwila odczuwam małe uderzenia intensywnych emocji, maleńkie eksplozje adrenaliny, przebiegające aż do koniuszków palców. Sprawiają, że kręci mi się w głowie ze szczęścia i z nerwów jednocześnie.

– Nie udało mi się wtedy zobaczyć Uffizi – mówi Tess, kiedy przechodzimy obok wejścia do galerii. – Była straszna kolejka, a moja przyjaciółka ma ograniczoną tolerancję na sztukę.

Zerkam na zegarek.

– Mamy jeszcze czas na jeden obraz.

– „Wiosna” Boticellego?

– Nie ma kolejki.

Kasa już się zamyka. Wciskam zdumionej sprzedawczynie dwa banknoty po dwadzieścia euro i pędzimy po schodach do pomieszczenia z obrazami Boticellego, jeśli dobrze pamiętam.

– Boże, te sufity! – mówi Tess, kiedy pośpiesznie przechodzimy przez korytarz. – Nikt nawet nie wspomina o sufitach!

Udaje nam się znaleźć salę, w której znajdują się dwa spośród najświetniejszych obrazów świata oraz nieszczęśliwy pracownik, zbierający się właśnie do wyjścia.

– Tyle się tu dzieje, że można patrzeć cały dzień i wciąż znajdować nowe rzeczy – szepcze Tess i podchodzi do „Wiosny” najbliżej, jak może.

– Jest na nim pięćset gatunków roślin i ponad sto różnych kwiatów – przypominam sobie.

– Liczyłeś?

– Nie, czytałem! – śmieję się.

– Jest taki wielki! Nie miałam pojęcia. Kupiłam kiedyś plakat, ale ma jakiś metr szerokości. Te kolory nie przypominają innych obrazów, co? Tyle tu zieleni. Jakby to był jednocześnie obraz religijny i pogański, nie sądzisz? Jeśli uznać Wenus za Matkę Boską, to bogowie byłiby świętymi... Naprawdę, miesiąc mogłabym na to patrzeć! Ej, a to co?

Podchodzi do „Narodzin Wenus” na sąsiedniej ścianie, zaintrygowana niewielką płaskorzeźbą przed obrazem.

– To chyba dla niewidomych, żeby mogli w ten sposób zobaczyć obraz – ocenia. – Jak malarstwo Braille'em. Świetne, nie?

Po kolei zamykamy oczy i dotykamy płaskorzeźby.

– Jak myślisz, czy niewidomi wyobrażają to sobie z jakimiś obrazami w myślach? Tak jak to robi nasz mózg, kiedy śpimy i mamy zamknięte oczy, ale



nadal widzimy różne rzeczy? – pyta Tess. Z jej komentarzem czuję, jakbym wszystko oglądał po raz pierwszy w życiu.

– Myślisz, że przekonamy się kiedyś, jak to jest być kimś innym? – Ona zadaje pytania, które większość ludzi w naszym wieku już dawno porzuciła.

Pracownik po raz któryś znacząco chrząka.

– Chyba wiemy, że on chce już iść do domu – szepczę.

Wychodzimy z sali i idziemy przez pustą galerię do okien na samym końcu, z widokiem na rzekę.

– Chyba właśnie to próbują robić pisarze – Tess ciągnie wcześniejszą myśl. – Znaleźć się w kimś innym...

– Tak samo jak malarze portreciści – dodaję.

– Wiesz, że wzdłuż Ponte Vecchio jest korytarz, w którym wiszą portrety różnych artystów? – Tess wskazuje na most. – Nazywa się korytarz Vasariego. Czytałam na jakiejś stronie.

Pokazuje palcem rząd kwadratowych okien nad sklepami. Nigdy wcześniej ich nie zauważyłem.

– Prowadził stąd do pałacu Pittich, pewnie po to, żeby florency lordowie i damy nie musieli mieszać się z plebsem.

– Można go zwiedzać?

– Wydaje mi się, że trzeba zrobić rezerwację na kilka miesięcy wcześniej.

– Chętnie bym go zobaczył.

– Ja też!

Czy ona też myśli, że między nami dzieje się coś większego niż tu i teraz, niż tylko dzisiaj?

Pod kolumnadą na zewnątrz siedzą artyści i rysują turystów. – Miałaś kiedyś ochotę dać się namalować? – pytam, gdy zatrzymujemy się na chwilę, żeby popatrzeć.

– Mowy nie ma! W lustrze wyglądam okej, ale na zdjęciach zawsze wychodzę okropnie, a przecież aparat nie kłamie, prawda? To byłoby jeszcze gorsze!

– Chciałbym cię narysować.

– Umiesz rysować? – Posyła mi sceptyczne spojrzenie.

– Trochę.

– Człowiek o wielu talentach! Gotowanie, rysowanie! Gus, zarobiłbyś tu fortunę! Powinieneś przeprowadzić się do Włoch, otworzyć restaurację i rysować gości, jak Van Gogh. W Akademii Królewskiej była wystawa jego listów, widziałeś? No wiesz, Van Gogh chyba nie gotował, ale rysował wszystkich klientów w barze. Byłby z tego świetny serial, co? Mógłby się nazywać „Sztuka włoskiej kuchni”. A może już jest jakiś z takim tytułem?

Uliczny muzyk gra na klaracie jazzowym przy Ponte Vecchio. Brukowaną

uliczkę wypełniają tłumy turystów.

– Zróbmy selfie – proponuje Tess. – I wyślijmy Doll. Zobaczymy, czy cię pozna!

Jedną ręką mnie obejmuje, przysuwając twarz blisko mojej, a w drugiej trzyma telefon, najdalej jak może.

– Powiedz: „ser”!

– *Formaggio!*

Na zdjęciu mamy zamknięte oczy, bo oboje się śmiejemy, więc musimy zrobić jeszcze jedno. Nie zdejmuję ze mnie ramienia, kiedy oglądamy zdjęcie. A potem podnosimy wzrok znad ekranu i patrzymy sobie w oczy, a ja bardzo chcę ją pocałować.

– Myślisz, że już czas? – pyta.

– Na co?

– Na następne gelato?

To cudowne, że mówi „następne”, jakby czekał nas cały wieczór jedzenia lodów. Nagle staję jak wryty.

– Co? – niepokoi się Tess.

– Miałem gotować kolację!

Tess spogląda na zegarek.

– A mnie właśnie uciekł transport!

– Okej – mówię. – Mamy dwa wyjścia: a) łapiemy taksówkę na parking Piazzale Michelangelo, a potem ja prowadzę jak Włoch, żebyśmy zdążyli przed końcem kolacji, albo b) nie martwimy się i spędzamy spokojny wieczór, spacerując po mieście...

Wszędzie wokół pstrykają aparaty i telefony. Ta chwila pojawi się w tle tysięcy zdjęć na Instagramie.

– Chyba powinniśmy im powiedzieć, gdzie jesteśmy – mówi Tess.

Przez sekundę jestem rozczarowany, że nie powiedziała b), ale to uczucie ustępuje miejsca radości, gdy uświadamiam sobie, że przecież powiedziała.

Odbywam trudną rozmowę z Lucrezią, podczas której udaję, że rozumiem jej łamany angielski gorzej niż w rzeczywistości. Kiedy się rozłączam, Tess posyła mi zaniepokojone spojrzenie.

– Szef kuchni bardzo źle – wyjaśniam. – Grupa kulturalna nie lubi czekać godzina w autobus, bardzo gorący. Wszyscy interesują nasze bezpieczeństwo... Ale płacimy nasze pieniądze...

– Więc możemy robić, co nam się podoba! – przerywa Tess. – W końcu to mają być wakacje, nie?

Ponoć Doll byłaby zachwycona, że siedzimy przy Piazza Signoria i popijamy szprycery z aperolem.

– Według niej lepiej smakuje, jeśli więcej zapłacisz – wyjaśnia Tess.

Wysłałam Doll jeszcze jedno selfie, tym razem znad stolika. Próbuję wyobrazić sobie tę kobietę, tak ważną w życiu Tess, ale kompletnie jej nie pamiętam. Mam nadzieję, że moja osoba na zdjęciach wpadających do jej skrzynki spotka się z aprobatą.

– Wiesz co – podnoszę kieliszek do ust – Doll chyba ma rację!

Tak łatwo wywołać uśmiech na jej twarzy, a mimo to za każdym razem czuję, jakbym dostał niespodziewany prezent.

Co chwila mam ochotę powiedzieć coś w rodzaju: „Czy ty w ogóle wiesz, jaka jesteś śliczna?”, ale powstrzymuję się, bo przecież mam trzydzieści cztery lata, nie jestem nastolatkiem.

– Masz ołówek? – pytam zamiast tego.

Chwilę przetrząsa torbę, aż w końcu znajduje króciutki ołówek.

Wyjmuję serwetkę ze stojaka i zaczynam rysować.

Tess przeczesuje włosy palcami i stara się utrzymać poważną minę.

Okazuje się, że nie potrafię jej uchwycić. Pamiętam, jak rysowałem Lucy. Przypominała mi lalkę, zawsze o takim samym wyrazie twarzy, ale piękno Tess kryje się w jej energii. Dlatego nie wychodzi dobrze na zdjęciach. Ale aparat kłamie.

– Siedź spokojnie! – strofuję ją.

Może przez mój rodzicielski ton przychodzi jej nagle do głowy pytanie:

– Jesteś żonaty?

– Nie – odpowiadam, ale nie chcę jej zwodzić półprawdami. – Rozwiedziony. Moja była mieszka z Genewie z naszymi dwiema córkami. To długa historia.

– Och, przykro mi – mówi i podnosi ze stolika drinka w kolorze neonowego pomarańcza, pociągając łyk przez słomkę.

– A ty?

– Ja? Nie. Akurat w moim przypadku to raczej krótka historia.

Pochyliła się nad stolikiem, żeby zobaczyć rysunek.

– Naprawdę tak wyglądam?

– Niezupełnie.

– Mówiłam! Mogę go zatrzymać?

– Oczywiście!

– Schowam go w notesie. Inaczej zaraz będę potrzebowała chusteczki, zacznę grzebać w torebce i niechcący wydmucham w niego nos.

Starannie wkłada serwetkę między środkowe strony.

– Co piszesz?

– Coś w rodzaju wspomnień. Ale trochę utknęłam.

– Masz jakiś termin?

– Nie taki prawdziwy – odpowiada, po czym idzie do toalety.

Patrzę, jak lawiruje między stolikami, schylając się pod żółtymi parasolami.

Wołam kelnera i proszę, żeby polecił jakąś dobrą restaurację. Próbuję dać mu po męsku do zrozumienia, że chcę zrobić wrażenie, ale zamiast tego brzmię trochę jak podejrzanym drugoplanowy bohater z „Ojca chrzestnego”.

– *Una persona molto importante, capisce?*

Dopiero kiedy wyjmuję z portfela dwadzieścia euro, kelner nagle przypomina sobie nazwę najlepszej restauracji we Florencji i wykonuje prywatny telefon z komórki, żeby załatwić rezerwację.

– *Bellissima, la signorina!* – mówi na widok powracającej Tess i puszcza do mnie oko.

– Na co masz teraz ochotę? Najadłam się tyle lodów, że chyba najchętniej po prostu bym pospacerowała z kawałkiem pizzy. Zresztą, tu jest tak pięknie, że szkoda chować się w restauracji, co?

Mój plan zaimponowania jej butelką dobrego chianti i krwistym stekiem tak drogim, że sprzedaje się go na wagę, znika w jednej chwili. Już nawet nie pamiętam, czemu w ogóle przyszło mi do głowy uwięzić ją w restauracji przy świecach, gdzie zgorszony kelner będzie potrząsać lnianą serwetką nad jej długimi nogami w szortach.

Wędrujemy bez celu po brukowanych uliczkach mniej turystycznej części Arno, gdzie ubrane w czerń staruszki siedzą na kuchennych stołkach przed drzwiami domów, plotkując z sąsiadkami. W powietrzu unosi się zapach skwierczącego na patelni czosnku i słychać stukanie garnków, w których niewidoczne matki przygotowują rodzinną kolację.

– Tutaj nie dotarliśmy – mówi Tess, kiedy wchodzimy na plac z niewielkim parkiem pośrodku. Wpatruje się w podświetloną fasadę kościoła z takim samym zachwytem na twarzy, jaki widziałem na koncercie Stonesów w weekend i w San Miniato al Monte – dziś po południu i pół życia temu.

– To chyba studencka dzielnica – domyślam się.

Pod platanami kręci się maleńka karuzela dla najmłodszych dzieci. Jest pora wieczornej *passegiate*, więc po placu spacerują młode pary z wózkami i starsze kobiety trzymające się pod rękę. Powietrze jest ciepłe i pełne łagodnej ciszy.

Siadamy przy stoliku przed niedużą pizzerią. Kelner zapala świeczkę i przynosi nam *grissini* w cylindrycznym naczyniu, po czym przyjmuje zamówienie.

– Ostatnim razem kiedy tu byłam, miałam właśnie iść na studia – mówi Tess, łamiąc na pół chlebową pałeczkę. Wpatruje się w grupę młodzieży na kościelnych schodach, skupioną wokół gitarzysty. – Już miałam zarezerwowany pokój w akademiku i spakowany plakat z „Wiosną”.

– I co się stało? – pytam, a w tym czasie kelner przynosi karafkę czerwonego wina i dwie pizze większe niż drewniane deski, na których leżą.

– Kiedy wróciłam do domu, wszystko się zmieniło.

Jedzenie leży praktycznie nietknięte, a ona opowiada o śmierci matki i o tym, jak musiała zająć się młodszą siostrą. Przerzywa po opisie pogrzebu, smutnym i zabawnym jednocześnie, i mówi:

– Ty wcześniej straciłeś brata, więc wiesz, jak to jest. Nigdy nie da się do końca z tego otrząsnąć, prawda? Nieważne, co ludzie mówią. Przyzwyczajasz się, ale nie przestajesz tęsknić.

Patrzę w migoczącą świeczkę i zastanawiam się, czy ja też potrafię być taki szczery. Wiem, że muszę wyznać jej prawdę, bo to zauroczenie, ta więź, cokolwiek mnie do niej przyciąga, nie pozwoli mi nic przemilczeć.

– Widzisz, tylko że ja nie przepadałem za moim bratem. Oczywiście, nie chciałem jego śmierci, ale nie było we mnie potem właściwie nic poza poczuciem winy.

Tess bardzo długo milczy. Jestem już przekonany, że wszystko popsułem.

– Tobie chyba było trudniej, Gus – mówi w końcu. – Nie żeby to były jakieś zawody. Jasne, ciężko mi z tym, że mama umarła, ale zawsze wiedziałam, że mnie kocha, a ona wiedziała, że ja kocham ją. Ale ty zostałeś z myślą, że się nienawidziliście, bo bracia tacy są – sama mam dwóch – i nie mieliście szansy razem dojrzeć i przekonać się, czy moglibyście zostać przyjaciółmi.

Czy potrafiłbym kiedykolwiek się zaprzyjaźnić z Rossem? Nigdy nie przyszło mi to do głowy.

– Każdy, kto zostaje, ma poczucie winy – ciągnie Tess. – Kochałam mamę najbardziej na świecie, a mimo to zadręczałam się myślami, czego nie zrobiłam. Gdybym tylko zauważyła sygnały, gdybym tylko nie wyjechała, gdybym tylko nie była taka pochłonięta pójściem na te cholerne studia, jakby to była najważniejsza rzecz na świecie. Ale nie można żyć przeszłością, prawda? Wiem, łatwo powiedzieć.

Siedzę ze wzrokiem wbitym w stolik. Tess nachyla się ku mnie, lekko przechylając twarz na bok, jakby próbowała wejść w moją linię wzroku i zmusić, żebym podniósł oczy. Tak jakby chciała wywołać uśmiech na buzi nadąsanego dziecka.

– Dwa słowa? – mówi.

– Następne *gelato*?

**TESS**

W jednej chwili rozmawiamy, jakbyśmy znali się całe życie. W następnej milczymy, jakbyśmy właśnie się poznali. Chyba jedno i drugie się zgadza. Kiedy idziemy z powrotem, jestem bardzo świadoma jego fizycznej obecności tuż przy mnie. Nasze ręce prawie się dotykają, ale jednak nie.

– Więc gdzie studiowałeś medycynę?

– Na University College.

– Ja miałam tam iść! – krzyczę, jakby zgarnął mi coś sprzed nosa. – A gdzie mieszkałeś? – dodaję, już uprzejmie.

Opowiada mi o przyjeździe z rodzicami do akademika, o tym, jak próbował stworzyć sobie nową tożsamość i jak poznał swoją przyjaciółkę Nash, której udało się dostać sąsiedni pokój, bo ktoś zrezygnował w ostatniej chwili.

– Myślisz, że to był mój pokój? – pytam, kiedy wchodzimy znów na Ponte Vecchio.

– To by było dziwne, co?

Sklepy już są pozamykane, uliczni grajkowie poszli do domu. Opieramy się o balustradę pod łukami wspierającymi korytarz Vasariego, którym wpływowi obywatele spacerowali niewidzialni dla zwykłych mieszkańców.

– Myślisz, że wtedy byśmy się zaprzyjaźnili? – Gus patrzy w dół na Arno.

Nocą rzeka wygląda lepiej, bardziej romantycznie. W ciągu dnia ma kolor błota, ale teraz jest oleście czarna, lśniąca od tańczących po powierzchni świateł latarni stojących wzdłuż brzegu.

Instynkt podpowiada mi, że prawdopodobnie nie, jeśli mam być szczerą. On był chłopcem z klasy średniej, po prywatnej szkole. W jego oczach byłabym nudziarą z małego miasteczka. No i pewnie bym go unikała, myśląc, że nie jestem dla niego dość dobra – może tak właśnie jest. Nie łączyłoby nas wtedy nic poza miłością do sztuki i lodów. Czy to by wystarczyło?

– Mama zawsze powtarzała, że nie wchodzi się dwa razy do tej samej rzeki – mówię. – Nigdy nie byłam pewna, co ma na myśli, ale może gdybyśmy poznali się wtedy, nie bylibyśmy tu dziś razem. Bez Nash nawet nie byłoby „Gusa”!

– Jak teoria chaosu. – Odwraca się, żeby na mnie spojrzeć. – Jeśli motyl w jednej części globu zatrzepocze skrzydłami, może wprawić w ruch ciąg wydarzeń, które wywołają huragan...

– Albo tęczę – wtrącam, bo to nie zawsze musi być coś złego.

Na chwilę zapada cisza, potem się prostujemy; nasze ciała są blisko siebie, tak drżące, jakby przechodził między nami prąd. On patrzy mi głęboko w oczy i bierze moją twarz w dłonie, jakby to była delikatna, drogocenna waza, jego usta na ułamek sekundy dotykają moich, a potem się odsuwa. Znów na mnie patrzy, wydaje mi się, że całą wieczność, a potem całuje mnie głęboko, z zamkniętymi oczyma, jakby oddawał mi się w modlitwie; jego usta są tak łagodne i czułe, że moje ciało rozpuszcza się w jego ramionach jak ciepły wosk.

Bierze mnie za rękę i schodzimy z mostu, oboje z szerokimi uśmiechami na twarzach.

Ulice są zaskakująco puste, restauracje już pozamykane. Docieramy do *Gelaterii* dei Neri, kiedy właściciel już opuszcza żaluzje na noc. Gus wybiera nocciolę i cytrynę, a ja fior di latte i gruszkę. Wracamy na plac Duomo. Światła

sprawiają, że fasada katedry wygląda płasko, jak ogromna teatralna dekoracja, za którą nic nie ma. Jesteśmy sami i wydaje się, że te światła są tylko dla nas, jakbyśmy dostali możliwość prywatnej wizyty dla VIP-ów.

Kiedy to mówię, Gus znowu mnie całuje. Tym razem nie zamykam oczu, bo chcę zapisać ten obraz w pamięci: jego twarz na tle pastelowych warstw kampanili.

Nagle pojawia się grupka nastolatków na deskorolkach. Okrążają nas i pokrzykują po włosku – pewnie coś w rodzaju: „Domu nie macie?”.

– Ten hotel, w którym się zatrzymaliśmy – pokazuje Gus – jest zaraz obok.

– Dobre miejsce.

Przez chwilę wiem, że oboje myślimy o tym samym.

– Chyba powinniśmy wracać do Vinci...? – wypowiada to jak pytanie.

– Chyba tak – zgadzam się.

Taksówka wiezie nas jeszcze raz tą samą drogą, którą przebyłam do Piazzale Michelangelo sześć godzin temu. Moje życie zdążyło jednak w tym czasie zmienić bieg, cichy hymn nostalgii zastąpiło crescendo oczekiwania. Napęla mnie ekscytacją i przerażeniem jednocześnie, jakbym mogła coś zaprzepaścić tylko dlatego, że w to uwierzę.

Na parkingu zatrzymujemy się, żeby spojrzeć w stronę podświetlonego Duomo, teraz tak odległego na tle czarnego nieba. Nagle cała drzę od przecucia: muszę uchwycić w pamięci każdy najmniejszy szczegół, bo już nigdy więcej tego nie zobaczę.

– Nie chcę wyjeżdżać! – Łamie mi się głos.

Gus opiekuńczo obejmuje mnie ramieniem, przyciągając do siebie. To cudowne, że mogę oprzeć mu głowę na ramieniu, bo jest tak wysoki.

– Zawsze możemy tu wrócić – zapewnia.

– Tak?

– Codziennie, jeśli masz ochotę. Albo możemy jeździć w inne miejsca. Mamy samochód. Możemy uznać Villę Vincianę za bazę.

– Trochę jak kemping – zgadzam się. – Tylko oczywiście bez kamieni wbijających się w plecy i kolejek do łazienki...

Prawie słyszę głos Doll: Co ty wyprawiasz?

– Opowiedz mi więcej o Hope – prosi Gus, przekręcając kluczyk w stacyjce.

Więc mówię, jaką była zabawną i zawziętą dziewczynką, i jak nigdy nie wiedziałam, czy dobrze się nią zajmuję, i jak życie z nią uświadomiło mi, jak często wszyscy kłamiemy tylko po to, żeby świat jakoś funkcjonował, i jaka potrafiła być trudna, i jaka muzykalna, i to prowadzi do Dave'a.

Więc wtedy Gus opowiada mi o Lucy, o tym, jak dzięki niej poczuł się bardziej pewnie, jak pomogła mu utrzymać się na studiach, i jak nie powiedział jej o swoim bracie, i to prowadzi do Charlotte.

Gus koncentruje się na drodze, która ma zaledwie dwa pasy i betonowy

murek zamiast trawy pośrodku, ale czasem łatwiej mówić, kiedy nie patrzy się komuś w twarz. Przy Empoli Est zjeżdża z drogi ekspresowej i przez jakiś czas kręcimy się w kółko po opustoszałym miasteczku, zanim przyznaje, że chyba wybrał niewłaściwy zjazd i się zgubiliśmy. Parkuje w bocznej uliczce i próbuje włączyć nawigację. Udaje mu się zmienić język z włoskiego na jakiś inny, chyba rosyjski, ale zamiast się śmiać, Gus jest zdenerwowany i łapie mnie za rękę, patrząc na mnie tak intensywnie, że prawie się go boję.

– Nienawidzisz mnie teraz? – domaga się odpowiedzi.

– Czemu miałabym cię nienawidzić?

– Bo ty jesteś taka szczerą, a ja zachowałem się ohydnie.

– Nie nienawidzę cię – mówię i chwilę się waham. – Ja też nie zawsze jestem szczerą.

Dalej krążymy po jednokierunkowych uliczkach, a ja opowiadam mu o Leo. W końcu Gus zauważa znak do Vinci i wyjeżdżamy z miasteczka na wzgórze po stromej ścieżce pełnej niespodziewanych zakrętów, bez żadnych latarni.

Wreszcie w światłach samochodu ukazuje się ręcznie malowany drogowskaz do Villi Vinciana. Czuję zarazem ulgę, że znaleźliśmy drogę powrotną, i chciałabym, żeby Gus zignorował znak i jechał dalej. W tym samochodzie jest niemal jak w konfesjonale: możemy powiedzieć sobie wszystko, nie ma dokąd uciec przed prawdą. Ale nie skończyliśmy jeszcze swoich historii.

Samochód trzęsie się na nierówno ubitej drodze, aż w końcu skręcamy na parking, rozrzucając żwir. Gus zaciąga ręczny i gasi światła, zatapiając nas w całkowitej ciemności. Cisza między nami wydaje się naładowana pytaniami, które moglibyśmy zadać podczas jazdy, ale teraz wydają się zbyt osobiste.

– Więc zostałam pisarką?

– Tylko w wolnym czasie. Przez lata wszyscy mówili: „kiedy Hope dorosnie”, ale nikt nie sądził, że to się kiedyś faktycznie stanie. Więc gdy w końcu rzeczywiście dorosła, czułam, że nic w życiu nie zrobiłam, i zaczęłam pisać tę książkę. Chyba po to, żeby nadać mojemu życiu jakąś wartość. No i może wierzę, że dobrze by było, gdyby coś zostało dla Hope. Jeśli kiedyś chciałaby dowiedzieć się więcej o swojej przeszłości, chociaż szczerze mówiąc, to byłoby do niej niepodobne...

Zapada długa cisza. Nie wiem, czy zrozumiał podtekst.

– A ty w końcu zostałam lekarzem?

– Tak. Muszę spłacać dom, żeby dziewczynki mogły do niego wracać, kiedy tylko zechcą. Chociaż w czasie ich ostatniej wizyty nie byłem pewien, czy faktycznie jeszcze chcą. To pewnie dobrze, tak jak powiedziałaś. Trzeba umieć pozwolić ludziom, których kochamy, żeby byli od nas niezależni. – Śmieje się smutno. – Żałuję tylko, że to przyszło tak wcześnie.

– A gdzie jest twój dom?



– Przy Portobello Road.  
– Portobello Road?  
– Na samym końcu, niedaleko pubu Sun in Splendour. – Jeden z tych domków pomalowanych na różne kolory? – Tak! – potwierdza. – Znasz Portobello Road?

## GUS

Zrobiłem moim dziewczynkom tatuaże w jej salonie. Ona zwalnia za każdym razem, kiedy przebiega koło mojego domu. Od dwóch lat prawie codziennie rano pijemy kawę w tej samej kawiarni, ale jakimś cudem nigdy na mnie nie wpadła, rozlewając swoje latte.

– Rany boskie, musiałam zemdleć, żebyś mnie zauważył!

W Londynie jest tyle światła, że nigdy nie widać gwiazd, ale tutaj są ich miliardy, rozsiane na przepastnym czarnym sklepieniu.

– Jak myślisz, czy gdybyśmy wszyscy mieli jakieś urządzenie śledzące nasze ruchy, takie maleńkie światełko widoczne z kosmosu, okazałoby się, że ścieżki wszystkich ludzi tak na siebie nachodzą jak nasze? – pyta Tess, kiedy stoimy z głowami zadartymi w górę.

– Nie. Myślę, że to było n... nieprawdopodobne.

Chciałem powiedzieć, że to było nam pisane, ale usłyszałem w głowie echo pogardliwego głosu Charlotte: „Czy cokolwiek może być komuś pisane?”. A dla niej nie ma tu teraz miejsca.

– Nieprawdopodobne?

– Nadrealne? – proponuję zamiast tego.

– „Nadrealne” to piękne słowo – mówi Tess.

Oboje drżymy, kiedy się całujemy, bo teraz mamy dużo więcej do stracenia, skoro już znamy wszystkie swoje skryte nadzieje i przebyte walki.

Usta Tess smakują gruszką i śmietanką. Zamykam oczy, a jej uśmiech zostaje mi pod powiekami. Tak jak kiedy patrzysz na znikającą tęczę: już się rozplywa, ale wydaje ci się, że jeszcze ją widać.

Gdzieś w pobliżu pohukuje sowa.

– Mogę wziąć cię pod rękę? – pyta Tess, gdy idziemy przez nierówny grunt.

– Te cholerne klapki! Zapomniałam zabrać normalne buty, to do mnie niepodobne, ale spieszyłam się, żeby zdążyć na samolot.

A gdyby się spóźniła, czy też bylibyśmy tu teraz? Złapałaby następny lot? Czy i tak dotarlibyśmy do San Miniato al Monte w tym samym czasie? Nić, która nas łączy, wydaje się nieunikniona, ale jednocześnie taka delikatna.

Całujemy się znowu na kamiennych schodach prowadzących do jej pokoju. Robimy przerwę na oddech, ciągnę ją w górę, a jej spada kłapek ze stopy. Patrzymy, jak odbija się po stopniach i leci w dół, a potem słyszymy zbliżające się

kroki, więc biegniemy przez piętro. Tess upuszcza klucze, potem po amatorsku szarpiemy się ze starym żeliwnym zamkiem, aż w końcu wpadamy do środka, zamykając stanowczo drzwi w ostatniej chwili, zanim ktoś nas przyłapie. Stoimy oparci plecami o drzwi i jak uciekinierzy z więzienia wstrzymujemy oddech, aż kroki ucichną.

W ciemności moje dłonie znajdują dłonie Tess; moje usta jej usta, moja skóra jej skórę. Nasze pożądanie jest tak oszalałe, jakbyśmy próbowali wejść w swoje ciała, jakbyśmy całkowicie się sobie oddawali, jakby to była ostatnia rzecz, jaką w życiu zrobimy.

Kiedy się budzę, mrok pokoju rozcinają wąskie pasy światła przebijające się przez deski okiennic. Tess śpi obok mnie, jej ciemne loki leżą rozsypane na białej poduszce. Dziwnie widzieć jej rysy tak nieruchome i spokojne. Mam wrażenie, że patrzeć na jej sen jest czymś niemal bardziej intymnym, niż obudzić ją pocałunkiem.

Ostrożnie wyslizguję się z łóżka, naciągam szorty i wychodzę na palcach, bezgłośnie zamykając za sobą drzwi.

Na tarasie jest wciąż cicho i pusto, ale śniadanie już czeka w bufecie. Wkładam owoce i słodkie bułeczki do kieszeni. Przy ekspresie do kawy przyłapuje mnie szef kuchni.

– *Mi dispiace* – mówię. – *Non posso lavorare... Una cosa molto importante...*

Przepraszam, nie mogę pracować... Coś bardzo ważnego.

Może lepiej byłoby to powiedzieć po angielsku. Szef patrzy na dwie maleńkie filiżanki, które napelniam kawą, i puszcza do mnie oko.

– *Amore!*

Jest Włochem. Zna się na ważnych rzeczach.

W drodze powrotnej znajduję u dołu schodów kłapek Tess.

Trzeba było wziąć klucz. Teraz i tak ją obudzę.

Cicho pukam do drzwi.

– Kto tam?

W jej głosie pobrzmiewa niepewność. Chyba nie pomyślała, że się wymknąłem bez pożegnania?

– To ja!

– Hasło! – żąda z nerwowym chichotem.

– Śniadanie.

Otwiera stare drewniane drzwi i pędzi z powrotem do łóżka, zasłaniając nagie ciało kołdrą.

Wchodzę, balansując filiżankami espresso na klapku jak na miniaturowej tacy, i stawiam jedną na jej szafce nocnej, drugą na swojej. Wkładam Tess truskawkę do ust i schylam się, żeby pocałować jej wilgotne wargi. Na widok jej

uśmiechu nie mogę już dłużej powstrzymać słów wzbierających we mnie niczym wstrząśnięty szampan, odkąd stanąłem obok niej w słońcu przed San Miniato al Monte.

– Chyba cię kocham!

Tess reaguje cudownym, niewinnym niedowierzaniem, jak dziecko w świąteczny poranek.

– Nie, nie chyba. Kocham cię! Kocham cię! – Mówiąc to, czuję obłędne szczęście. – Masz najwspanialszy umysł na świecie, najcudowniejsze ciało...

– Nie! – Nagle podnosi rękę i przekręca głowę, wbijając wzrok w zasłonięte okno, jakby wpatrywała się w odległy krajobraz.

– Tess?

– Moje piersi są nieprawdziwe!

– Wiem.

Gwałtownie odwraca twarz w moją stronę.

– Wiesz, że miałam raka piersi?

Masz trzydzieści cztery lata i piszesz wspomnienia!

– Wczoraj... – jąkam się – wyczułem blizny... No i ta historia twojej rodziny...

Niebiański pokój zamienił się w gabinet lekarski. Próbuję wziąć ją za rękę, ale się wyrywa. Potem, nie odrywając ode mnie wzroku, opuszcza koldrę.

Na jej piersi padają cienkie smugi światła. Linie nacięć są trochę bardziej różowe i lśniące niż jej naturalny kolor skóry. Może jest coś, co należy powiedzieć, ale nie wiem co. Chciałbym zapewnić ją, że to nie robi różnicy, ale obawiam się, że zabrzmiałoby właśnie tak, jakby robiło, więc po prostu nie odwracam wzroku.

– Ale wyglądają jak prawdziwe, co? – pyta w końcu. – Pod koszulką?

– Tak.

– Są dużo mniejsze niż te prawdziwe. Szczerze mówiąc, zawsze byłam dość obfita u góry. Budowa pływaczki, wiesz?

Kiwam głową.

– Więc to okej, że cię kocham?

– Myślę, że tak – odpowiada, opadając z powrotem na poduszki. W jej oczach pojawia się teraz zapraszający błysk.

Kładę się obok niej i podpieram na łokciu.

– Kocham cię, Tess. – Gładzę ją po twarzy. – Nigdy wcześniej nie powiedziałem tych słów, wiedząc, co tak naprawdę znaczą.

– Też cię kocham, Gus. Powiedziałam to wcześniej dwa razy. Wierzyłam w to, ale to było, zanim wydarzyło się wczoraj... Zanim cię znalazłam.

Całuję ją szybko.

– Zabawne, co? – ciągnie Tess. – Tyle mamy słowników pełnych fantastycznych wyrazów, ale jedyna fraza, jaką ludzkość wymyśliła, żeby wyrazić

tę wyjątkową, nieskończoną pasję, zamyka się w trzech maleńkich, niepozornych sylabach?

„Wyjątkowa, nieskończona pasja” ma dziesięć sylab, myślę.

Wyciąga ku mnie rozpostarte ramiona. Całujemy się długo i powoli, jakby nasze dusze stapały się w jedno, składając sobie głębokie obietnice. Obejmuję ją bardzo mocno, próbuję wchłonąć samą esencję jej istnienia. Znow zaczynamy się kochać, tym razem bezgłośnie – świadomi gości przechodzących tuż za drzwiami w drodze na śniadanie. Mówimy do siebie bez słów, wpatrujemy się sobie w oczy, dotykamy się z rozdzierającą, niemą czułością. Uwielbiam każdy milimetr jej smukłego ciała przyciśniętego do mnie, uwielbiam jej spontaniczny śmiech czystej radości, kiedy zbliża się orgazm. Uwielbiam to uczucie, które nas ogarnia, przekraczające zmysłową przyjemność, sięgające czystego, ekstatycznego szczęścia.

Nagle rozlega się ostre, rytmiczne stukanie obcasów i oboje jednocześnie zamieramy w bezruchu.

Ktoś puka do drzwi.

Wciąż złączeni w jedno, wstrzymujemy oddech.

– Signorina Costello? – Z korytarza dobiega surowy głos Lucrezii.

– Tak? – W głosie Tess pobrzmiewa poczucie winy.

– Pani wie, gdzie jest Mister Goos? Jego samochód przeszkadza miniboos.

Żadne z nas nie odpowiada, bo wpychamy sobie kołdrę do ust, żeby zagłuszyć śmiech.

**TESS**

Jeśli istnieje jedno miejsce na świecie, które należy odwiedzić w dzień, kiedy się zakochujesz, jest nim Piza.

Podchodzimy od strony bazaru z pamiątkami, który wygląda jak setki innych miejsc dla turystów. Wzdłuż ulicy znajduje się wysoki mur miejski, więc nic nie widzimy aż do przejścia pod łukiem. Kiedy wreszcie przechodzimy na drugą stronę, rozciąga się przed nami cudowny widok: śnieżnobiały marmur, zielona trawa, lazurowe niebo. Zawsze myślałam, że stoi tam tylko wieża, bo nic innego nie widać na zdjęciach. Okazuje się jednak, że sąsiaduje z nią katedra, baptysterium i kościół – cały plac pełen oszałamiającego piękna. Kolory są tak wyraziste, jakby zostały zaprojektowane na komputerze. I pomyśleć, że ludzie, którzy je zbudowali setki lat temu, nie mieli do dyspozycji elektryczności, dźwigów, całej tej maszynierii. Chyba dlatego mówi się na to miejsce Campo dei Miracoli. Plac Cudów.

Krzywa Wieża wygląda nieśmiało zza rogu katedry. Na tabliczce jest napisane, że kiedy powstała, uznano ją za straszliwą porażkę architektoniczną i nikt nie chciał się do niej przyznać. Dlatego nie znamy nawet nazwiska człowieka,

który stworzył budynek podziwiany przez miliony ludzi każdego roku.

Przed wieżą stoją w rzędzie turyści robiący zdjęcia przyjaciółom, którzy udają, że podtrzymują przechylającą się budowlę.

– Zróbmy sobie takie!

Staję z wyciągniętą do góry ręką, a Gus ustawia mnie w kadrze. Już mam wysłać zdjęcie Doll, kiedy Gus mówi:

– A może zróbmy zdjęcie tych wszystkich ludzi z drugiej strony, bez wieży w tle, i zobaczymy, czy zgadnie, gdzie jesteśmy?

To świetny pomysł, a Doll nie odpowiada – pewnie ma zagwozdkę.

Siadamy na trawie jak setki innych ludzi, choć na znakach jest napisane, że nie wolno.

Widzę białego motyla, przelatującego z jednego źdźbła na drugie. Próbuję zrobić mu zdjęcie: białe skrzydła na tle zielonej trawy, biel na tle błękitnego nieba, ale motyl ani razu nie siedzi w bezruchu dostatecznie długo.

Podchodzi do nas para backpackersów. Wyciągają w naszą stronę aparat i proszą o zdjęcie przed katedrą. Marmur do złudzenia przypomina białą koronkę, jak na sukni ślubnej, a piętra wyglądają jak warstwy weselnego tortu. Na szczycie dachu stoi złota figura Matki Boskiej z Dzieciątkiem w ramionach.

Para uśmiecha się z wdzięcznością, kiedy oddaję aparat.

– Jak myślisz, można tu wziąć ślub? – pytam, podciągając Gusa na nogi, żeby zrobić wspólne selfie z Duomo w tle.

Naprawdę nic nie chcę zasugerować.

– A chciałybyś? – mówi.

Patrzemy na selfie. Kościół idealnie mieści się w kadrze. Udało mi się złapać też całą złotą figurę, ale zamiast naszych twarzy na zdjęciu zmieściły się tylko czubki głów.

Więc robimy jeszcze jedno. Już zamierzam wysłać je Doll, kiedy Gus pyta:

– Tess, słyszałaś, co powiedziałem?

Udaję skupioną na wiadomości, ale on łagodnie wyjmuje mi telefon z dłoni.

– Wyjdiesz za mnie?

– Nie mogę!

– Mam uklęknąć?

– Nie, nie! Podoba mi się, że jesteś wysoki!

I nie mogę znieść myśli, że ten moment pojawiłby się w tle fotografii innych ludzi.

– Znamy się od dwóch dni...

– Nie, Tess – mówi poważnie. – Spotkaliśmy się, kiedy mieliśmy osiemnaście lat, ale przez maleńkie przesunięcie przeznaczenia wciąż się mijaliśmy. To brzmi naiwnie, lecz nie potrafię wyjaśnić tego inaczej. Wiem jedno. Przez ostatnie dwadzieścia cztery godziny czułem, jakbyśmy mieli za sobą całe

życie, takie, jakie miało być. Tess, nigdy niczego nie byłem pewien, ale co do tego nie mam najmniejszych wątpliwości.

Staram się skoncentrować na czystej bieli na tle doskonałego błękitu, by powstrzymać łzy rozmywające mi pole widzenia. Ale kiedy się odzywam, głos mi nie drży, bo nie zamierzam kłamać ani się nad sobą litować, bo to najlepszy dzień w moim życiu.

– Chodzi o to – zaczynam – że pozbyłam się raka piersi, ale ostatnio kilka razy zemdlalam, więc lekarze chcą zrobić mi skan mózgu, żeby sprawdzić, czy nie rozwinął się tam wtórny nowotwór, i dlatego jestem teraz we Włoszech. Bo kiedy wrócę, to się zacznie, i uwierz, nie chcesz być przy chemioterapii, no i możliwe, że zupełnie mi odbije, a potem umrę!

– Nie – mówi stanowczo. – Mogłaś zemdleć z wielu powodów. Na koncercie było gorąco. Wciąż nie odzyskałaś wagi po operacji i jesteś osłabiona. Słuchaj, mój dobry kolega jest fantastycznym onkologiem. Przyjmie cię od razu po powrocie i zapewni najlepszą opiekę. Ja też się tobą zaopiekuję. Cokolwiek się stanie. Przrzekam, że będę się tobą opiekować.

Ściskam jego dłoń bardzo mocno, próbując sprowadzić go na ziemię.

– Mama umarła. Co roku chodziła na badania, ale i tak umarła.

– Ale to nie znaczy, że z tobą będzie tak samo.

Nie jestem pewna, czy mówi o prawdopodobieństwie, czy próbuje zaklinać rzeczywistość. Ale nie mówi, że wyzdrowieję, jeśli będę dostatecznie mocno walczyć. Uwielbiam go za to, że tak nie mówi.

– Tess, to jest nasz początek.

– To nie tak, że się poddaję. Ale raka to wcale nie obchodzi...

Uśmiecha się do mnie. W jego niebiesko-złotych oczach lśni zrozumienie.

– Wyjdź za mnie! – mówi. – A jeśli nie chcesz małżeństwa, po prostu ze mną bądź. „Pójdź ze mną, zostań moją miłą”!<sup>[15]</sup> Przeprowadźmy się do Włoch! Co nas trzyma? Sprzedam dom! Pójdzie w jeden dzień. Dla dziewczynek to bez różnicy, gdzie będą nas odwiedzać. Hope też mogłaby przyjeżdżać, gdyby chciała. Będę gotować dobre, zdrowe jedzenie. Może nawet założę klub obiadowy!

– Albo możemy zostać na Portobello Road? – upewniam się.

– Albo możemy zostać na Portobello Road.

– Nie chcę czuć, że przed czymś uciekamy...

– Nie będziemy uciekać.

– Ale możliwe, że nie mamy dużo czasu.

– Nikt nie wie, ile ma czasu, prawda? – mówi Gus.

Podnoszę wzrok na złotą figurę Matki Boskiej i nagle myślę, jak mama musiała się czuć po pierwszym raku, z nowo narodzoną Hope. Wprawdzie zatytułowałam książkę „Żyjąc z nadzieją”, ale nigdy nie wiedziałam, dlaczego mama dała mojej siostrze na imię Hope. Zawsze myślałam, że to przez jej

odmienność i że mama się o nią martwiła. Ale uświadamiam sobie, że przecież nie mogła tego wiedzieć, kiedy ją urodziła. W jednej chwili staje się dla mnie jasne, że mamie chodziło o coś zupełnie innego: żeby nie pozwolić lękowi przed rakiem kłaść się cieniem na życiu.

Stoję w pełnym słońcu na Placu Cudów. Ogarnia mnie silne uczucie, że mama jest blisko i się uśmiecha, bo w końcu ją zrozumiałam.

– Znalazłam dobrego mężczyznę, mammo. Znalazłam mężczyznę, który mnie rozumie – mówię do niej w myślach, a wokół nas trzepocze biały motyl, jak płatek konfetti tańczący w powietrzu.

[1] William Szekspir, „Makbet”, przeł. J. Paszkowski. Wszystkie przypisy pochodzą od tłumaczki.

[2] W Wielkiej Brytanii dzieci idą do szkoły w wieku 4 lat.

[3] William Butler Yeats, „Innisfree, wyspa na jeziorze”, przeł. Leszek Engelking.

[4] Hamleys – brytyjska sieć sklepów z zabawkami.

[5] Selfridges – sieć ekskluzywnych brytyjskich domów towarowych.

[6] Wzgórze w Londynie.

[7] Pinta – jednostka objętości, równa 568 ml płynu.

[8] Sos angielski (custard) – słodki sos deserowy na bazie śmietanki i żółtek, popularny w Wielkiej Brytanii.

[9] WHSmith – brytyjska sieć sklepów papierniczych.

[10] Hootenanny – specjalny noworoczny odcinek popularnego programu telewizyjnego „Later... with Jools Holland”, nadawanego przez BBC od 20 lat.

[11] Hogmanay – szkockie obchody Nowego Roku.

[12] W brytyjskiej tradycji panna młoda powinna mieć przy sobie cztery rzeczy: coś starego, coś nowego, coś niebieskiego i coś pożyczonego.

[13] WAGs – akronim używany przez prasę bulwarową dla określenia żon i dziewczyn znanych sportowców (ang. Wives and Girlfriends).

[14] GCSE – ang. „The General Certificate of Secondary Education” to egzamin zdawany powszechnie w Wielkiej Brytanii w 5 klasie liceum (w wieku ok. 16 lat), konieczny do kontynuowania nauki i podejścia do A Levels, czyli brytyjskiego odpowiednika matury.

[15] Christopher Marlowe, „Namiętny pasterz do swej lubej”, przeł. S. Barańczak.



Tytuł oryginału: *Miss You*

Pierwsze wydanie: Mantle, an imprint of Pan Macmillan, 2016

Design and illustration: Joanna Thomson, Pan Macmillan Art Department

Opracowanie graficzne okładki: Emotion Media

Redaktor prowadzący: Małgorzata Pogoda

Opracowanie redakcyjne: Jolanta Nowak

Korekta: Sylwia Sandowska-Dobija

©2016 by Kate Eberlen

© for the Polish edition by HarperCollins Polska sp. z o.o., Warszawa 2017

Wszystkie prawa zastrzeżone, łącznie z prawem reprodukcji części dzieła w jakiegokolwiek formie.

Wszystkie postacie w tej książce są fikcyjne. Jakiegokolwiek podobieństwo do osób rzeczywistych – żywych i umarłych – jest całkowicie przypadkowe.

HarperCollins jest zastrzeżonym znakiem należącym do HarperCollins Publishers, LLC. Nazwa i znak nie mogą być wykorzystane bez zgody właściciela.

Wszystkie prawa zastrzeżone.

HarperCollins Polska sp. z o.o.

02-516 Warszawa, ul. Starościńska 1B lokal 24-25

[www.harpercollins.pl](http://www.harpercollins.pl)

ISBN 978-83-276-2390-4

Konwersja do formatu EPUB:

Legimi Sp. z o.o.

